

Fannie Flagg

Dogonić Tęczę

(Standing in the Rainbow)

Tłumaczyła: Renata Kopczewska

Eudorze Welty i Williemu Morrisowi

Do Szerokiego Ogólu:

Jako jedna z postaci występujących w tej książce mogę zaświadczyć, że wszystko, co zostało tu opisane, zdarzyło się naprawdę, tak więc mogę polecić ją bez najmniejszych oporów. I chociaż nie jestem główną bohaterką, tyle mogę Wam powiedzieć: dom, w którym mieszkam, jest moją własnością, dbam o niego i utrzymuję w nim czystość, skrupulatnie też płacę podatki. Nigdy nie trafiłam do więzienia i najprawdopodobniej jestem od Was starsza: chyba że znajdujecie się jedną nogą na tamtym świecie, a w takim razie – witajcie, przyjaciele.

Nie uważam się za zawodowego krytyka, ale podobają mi się książki, w których jest początek, środek i zakończenie, a także, co daj Boże, parę wątków po drodze i coś do śmiechu. Nie znoszę książek, które przeskakują z tematu na temat. Zaręczam też, że ta nie należy do tych śmiertelnie nudnych czytań, które opowiadają o kimś, kto teraz jest nadzwyczajny, ale przedtem był zły jak diabli, a że na szczęście zło dało się pokonać, człowiek ten znowu może być wspaniały. No i jestem ciągle przy zdrowych zmysłach, w przeciwieństwie do mojej sąsiadki, pani Whatley, która myśli, że jej wnuczek Travis nadal pracuje u Searsa w dziale opon, a nie że znajduje się tam, gdzie będzie jeszcze przebywał przez następne pięć lat, chyba żeby go wypuścili wcześniej za dobre sprawowanie. Ale to nie w moim stylu: rozsiewać plotki. Nie mogę sobie pozwolić na nic takiego. Możecie mi wierzyć albo nie: nadal pracuję na swoje utrzymanie, choć czasem zastanawiam się, dlaczego, skoro tyle już napłaciłam się podatków, że teraz mogłabym siedzieć sobie w domu na zasiłku i nadal mieć się dobrze, ale kiedy przez kilka dni nie ułożę komuś włosów, zaczynają mnie świerzbić palce. A zresztą muszę pójść sprawdzić, czy czasem moja córka nie niszczy klientce owłosienia (wiecie, jak to jest: wypadnie kilka włosów i już cię skarżą do sądu) albo czy czasem nie puszcza z dymem całego zakładu. Poza tym potrzebuję pieniędzy. Nadal spłacam swój samochód, który rozbił Dwayne junior, i to nie raz, ale dwa razy w ciągu ostatniego półrocza.

Niestety nie mogę polegać na swoich dzieciach, ale to osobna historia. Dość już na ten temat powiedziałam. Wiecie, jak to wygląda. Ciągle mnie nosi, ale nie jestem żwawa. Nie ma nic gorszego od żwawej staruchy. To stan nienaturalny. Mimo że nie jestem główną bohaterką tej książki, moja w niej obecność sprawiła, że zaczęłam się zastanawiać. Zanim więc zniknę i pozwolę Wam zabrać się do czytania, muszę jeszcze powiedzieć i to: życiem ludzkim rządzą przypadki, co by więc było, gdyby to czy tamto się nie zdarzyło? Na przykład, żeby zacząć od

siebie... co by było, gdybym umarła, wydając na świat Dwayne'a juniora (co nie byłoby chyba wcale najgorszą możliwością, wzięwszy pod uwagę ostatnie zdarzenia). Nie przeczytalibyście o mnie tutaj. Jednak dla opowieści, którą właśnie macie zamiar przeczytać, znacznie ważniejsze jest pytanie, co by było, gdyby Dorothy Smith nie spotkała nigdy Oatman Family Gospel Singers? I co by było, gdyby Betty Raye Oatman nigdy nie spotkała Hamma Sparksa? Albo gdyby Hamm Sparks nie zaczął nieczysto pogrywać? Mogłabym tak wyliczać w nieskończoność, ale dam spokój. Nie znoszę, jak ktoś mi zdradza zakończenie. Kto mądry więc, niech nie bierze ze mnie przykładu i nie zagląda na ostatnią stronę. W ten sposób nieraz zepsułam sobie przyjemność lektury. Jak już mówiłam, pojawiaam się w książce tylko od czasu do czasu, ale idę o zakład, że kiedy skończycie czytać, będziecie się dziwili, jak to możliwe, że w końcu udało mi się zachować względnie dobry charakter.

Z poważaniem Tot Whooten

PS. Nigdy nie wychodźcie za mąż za człowieka, który pije.

POCZĄTEK

MIEJSCE AKCJI: POŁUDNIOWE MISSOURI

CZAS AKCJI: LATA CZTERDZIESTE

NASTRÓJ: PEŁEN NADZIEI

Elmwood Springs

Prawie każdy w mieście, kto miał w domu wolny pokój, przyjmował lokatora. Wtedy nie było jeszcze hoteli czy domów z mieszkaniami do wynajęcia. Zanim Howard Johnson wybudował pensjonat, co nastąpiło dopiero parę lat później, ktoś przecież musiał się troszczyć o kawalerów, a i samotne kobiety też musiały mieć jakiś przyzwoity kąt do zamieszkania. Większość ludzi uważała za swój chrześcijański obowiązek wziąć ich do siebie, bez względu na to, czy potrzebowali dodatkowych paru dolarów tygodniowo, czy nie, a niektórzy lokatorzy mieszkali u nich przez lata całe. Pan Pruiet na przykład, kawaler z Kentucky, wyróżniający się długimi i cienkimi kończynami, mieszkał i żywił się u Haygoodów tak długo, aż w końcu wszyscy uważali go za członka rodziny. Kiedy oni się przeprowadzali, on przeprowadzał się razem z nimi. A gdy dokonał żywota w wieku lat siedemdziesięciu ośmiu, został pochowany w rodzinnym grobie Haygoodów, gdzie wryto na nagrobku:

PAN PIRUET

NADAL JEST Z NAMI

PRZY PEŁNEJ ODPLATNOŚCI

Z domów przy First Avenue North można było spacerkiem dojść do miasta i do szkoły, tam więc zamieszkiwała większość lokatorów.

Teraz lokatorem Smithów jest Jimmy Head, kucharz przygotowujący krótkie dania w Trolejbusowej Gospodzie, obok u Robinsonów mieszka i stołuje się Beatrice Woods, Niewidoma Ptaszyna, trochę dalej, na tej samej ulicy, u Whatleyów mieszka panna Tuttle, nauczycielka angielskiego w szkole średniej. Ernest Koonitz, dyrygent szkolnego zespołu

i solista grający na tubie, jest lokatorem u tych samych gospodarzy co panna Alma, która, akurat tak się złożyło, ma kłopoty ze słuchem. Wkrótce jednak Smithowie przyjmą nowego lokatora, co wywoła cały ciąg zdarzeń, o których, jak się potem okaże, będzie można przeczytać na stronach książek historycznych. Oczywiście na razie nic o tym nie wiedzą, zwłaszcza ich dziesięcioletni syn Bobby. Stoi sobie właśnie przed zakładem fryzjerskim ze swym przyjacielem, Monroe'em Newberrym, i wpatruje się w wirujące białe i czerwone paski na obracającym elektrycznie godle fryzjerskim. Zabawa polega na tym, żeby jak najdłużej wgapić się w wirujący obraz, aż się dostaje od tego zezą, co uważane jest za wielkie osiągnięcie. A skoro już o rozrywkach mowa, to do tej samej kategorii należy wstrzymanie oddechu, dopóki nie straci się przytomności, albo spuszczenie się na linie do kąpieliska za miastem, które zwą Sinym Diabłem. Nawet w największe upały woda w nim jest tak lodowata, że przy zetknięciu z nią serce staje, oczy wyłazą na wierzch, w nogach traci się czucie, a usta natychmiast sinieją, stąd nazwa tego miejsca. Oczywiście chłopcy, te głupie stworzenia, nie mogą się powstrzymać od ciągłego powtarzania tej sztuczki, mimo że wykonują ją pokryci gęsią skórką.

Właśnie tego typu wyczyny przyprawiały Bobby'ego o silny dreszcz emocji. Zresztą już samo jego życie było dostatecznie emocjonujące. Nie znalazłoby się wtedy w całej chyba Ameryce chłopaka, który nie budziłby się rano wesół jak szczygiełek, gotów stawiać czoło całemu światu. Przyszło mu żyć w samym środku największego kraju – ludzie mówili, że większego kraju nigdy przedtem nie było i pewnie już nie będzie. Właśnie pokonaliśmy Niemcy i Japonię w ucziwej walce. Ocaliliśmy Europę, za co nas wtedy wszyscy lubili, nawet Francuzi. Nasze dziewczęta były najbardziej urodziwe, chłopcy najprzystojniejsi, a flaga najładniejsza. Wyglądało na to, że tego roku każdy chciałby być Amerykaninem. Ludzie na całym świecie mieli ochotę wybrać się tutaj. I trudno im się dziwić. Mieliliśmy przecież Johna Wayne'a, Betty Gracie, Myszkę Miki, Roya Rogersa, Supermana, Dagwood i Blondie, Siostry Andrews i kapitana Marvela. Do tego – Bucka Rogersa i Red Ryder, wiatrówki, Hardy Boys, federalnych urzędników śledczych, Miss America, watę cukrową. Doliczmy jeszcze Charliego

McCarthy'ego i Edgara Bergena, Amos'n'Andy, Fibber McGee i Molly oraz fakt, że każdy, kto dochodził do pełnoletności, mógł zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Bobby nawet współczuł każdemu, kto nie miał szczęścia urodzić się w Ameryce.

W końcu to my wynaleźliśmy wszystko, co się naprawdę w świecie liczyło. Hot dogi,

hamburgery, kolejkę górską, łyżworolki, lody w rożkach, elektryczność, koktajle mleczne, jazzową trzęsionkę, baseball, piłkę nożną, koszykówkę, grillowanie, pistolety na kapiszony, lody z sokiem owocowym i bitą śmietaną, a także banany z lodami i bitą śmietaną. Mieliśmy coca-cole, fistaszki w czekoladzie, szafy grające, oxydol, płatki mydlane, margarynę i bombę atomową!

Byliśmy potężniejsi, lepsi, bogatsi i silniejsi od wszystkich, a jednak zawsze postępowaliśmy zgodnie z zasadami fair play. Do tego stopnia, że zaraz potem, jak pokonaliśmy Niemców i Japończyków, pomogliśmy im podnieść się i pozbierać. Jeśli nie jest to sportowa postawa, w takim razie jak inaczej to nazwać? Z rodzinnego stanu Bobby'ego, Missouri, pochodzili Mark Twain, Walt Disney, Ginger Rogers, jak też światowe targi w St. Louis. Na pokładzie okrętu wojennego „Missouri” Japończycy poddali się generałowi Douglasowi MacArthurowi. To jeszcze nie wszystko. Drużyna zuchów Bobby'ego osobiście spenetrowała całe miasto, zbierając stare opony, makulaturę i stare garnki aluminiowe. W ten sposób przyczynili się do wygrania wojny. Na dodatek prezydent całych Stanów Zjednoczonych, pan Harry S. Truman, był rdzennym missourińczykiem, a St. Louis wygrał mistrzostwa w baseballu. Tego roku nawet drzewa dumnie się prostowały; w każdym razie tak to widział Bobby.

Miał on ojca i matkę, a także babkę, nie znał przy tym nikogo, kto by już nie żył. Widział jedynie wystawione w witrynach sklepowych fotografie chłopców poległych na wojnie. Bobby i jego najlepszy przyjaciel, Monroe, byli teraz związani braterstwem krwi; akt ten był tak podniosły, że żaden z nich nie wspominał o nim ani słowem podczas drogi powrotnej do domu. Starsza siostra, Anna Lee, ładna niebieskooka blondyneczka, miała ogromne powodzenie wśród starszych chłopaków, którzy krążyli nieraz wokół domu i kiwali się z Bobbym w nogę. Czasami dostawał od nich ćwierćdolarówkę, żeby sobie poszedł i zostawił ich samych na ganku z Anną Lee. A ćwierćdolarówka w roku 1946 oznaczała prażoną kukurydzę, cukierki, kino z kroniką i dodatkiem, a także wyprawę do budki projekcyjnej, by spotkać się ze Snookym, który czytał książki Mickeya Spillane'a. Po kinie mógł też pójść do Trolejbusowej Gospody, gdzie ich lokator, Jimmy, smażył mu hamburgera, jeżeli nie był akurat zajęty.

Mógł też wstąpić do drugstore'u na rogu, żeby przeczytać kilka najnowszych komiksów. Jego ojciec był aptekarzem, Bobby'emu pozwalano więc oglądać je do woli, oczywiście pod warunkiem, że nie pozagina kartek i nie poplamia ich jedzeniem. Thelma i Bertha Ann, które

siedziały przy saturatorze z wodą sodową, uważały go za fajnego chłopaka i przemycały mu czasem trochę wiśniowej coli albo – jeśli miał więcej szczęścia – porcję piwa korzennego. Centrum Elmwood Springs stanowiła tylko jedna długa ulica pomiędzy dwiema przecznicami, nie sposób więc było tu zabłądzić. Pogoda przez okrągły rok dopisywała jak na zamówienie. Co roku w październiku na niebie pojawiał się wielki pomarańczowy księżyc, wprost wymarzony na Halloween. W Święto Dziękczynienia natomiast zawsze robiło się rześko, tak że po sutym obiedzie z tradycyjnym indykiem dobrze było wyjść na dwór i pobawić się w berka. Raz albo dwa razy do roku spadał śnieg, akurat wtedy, gdy Bobby wolał zostać w domu i nie iść do szkoły.

Potem następowała wiosna – pojawiały się świerszcze, żaby, a na drzewach znów wyrastały małe zielone listki. Po niej przychodziło lato, a z nim spanie na osłoniętej werandzie, łowienie ryb, gorące dni spędzane na miejskiej pływalni Kaskada, i jak dotąd Czwarty Lipca zawsze zaznaczony rojem świetlików, które swą luminescencyjną obecnością przedłużały świętowanie, kiedy wystrzelono już wszystkie ognie sztuczne, fajerwerki, a karuzele zatrzymano.

W sierpniowe parne noce, kiedy człowiekowi się wydaje, że zaraz umrze z duchoty, zaczynały się zbierać chmury, gdzieś wałał piorun z tak ogłuszającym grzmotem, że niemal czuło się w piersiach jego uderzenie. Nie wiadomo skąd zrywał się chłodny wiatr, niebo przybierało stalowoszary odcień, tak ciemny, że zapalały się zdezorientowane latarnie uliczne. Chwilę później zaczynała się ulewa, nagła i gwałtowna, taka, jaka może zdarzyć się tylko w Missouri, by wkrótce bez ostrzeżenia przenieść się do sąsiedniego miasteczka. Zostawiała za sobą przepełnione studzienki, tak że Bobby mógł bosy biegać po kałużach, czując na stopach chłód wody deszczowej.

Mimo że kawaler nasz od niedawna gościł na tym świecie i na razie dorósł do wysokości zaledwie czterech stóp ośmiu cali, zdążył już dorobić się całkiem okazałej fortuny.

Większość owego majątku trzymał w swoim pokoju – na podłodze, ścianach, na łóżku i pod łóżkiem, pod sufitem, gdzie tylko znajdowała się jeszcze jakaś niezajęta przestrzeń. Dekorator wnętrza mógłby powiedzieć – co w ostrych, żołnierskich słowach wyraziła matka Bobby'ego – że jego pokój zaczyna przybierać wygląd składu rupieci i starzyzny, jakimi handluje Armia Zbawienia. W końcu była to zaledwie niewielka sypialnia z całkiem niedużą szafką, ale dla Bobby'ego oznaczała niepodzielne królestwo, pełne nieprzebranych skarbów. Czuł się tam niczym sułtan zarządzający wszystkim, co znajdowało się w jego posiadaniu. Prawdę

mówiąc, trudno sobie wyobrazić, by sułtan czy ktoś jego pokroju mógł chcieć cokolwiek z tych skarbów, chyba że akurat poszukiwałyby malowanych żółwi lub kolekcji kamieni albo rozjechanych jednocentówek, które Bobby wraz z Monroe'em podkładał na szyny tramwajowe, czy też naturalnych rozmiarów, wyciętego z kartonu Sunseta Carsona, jego ulubionego kowboja, którego mu sprezentował Snooky z miejscowego kina. A może dwa srebrne dolary czy sztuczne rybie oko w złotym kolorze, znalezione za siedzibą VFW ? Mały szklany jeep, w którym kiedyś, przez bardzo krótką chwilę, znajdował się cukierek. Wśród jego skarbów zgromadzonych tego lata znajdowała się też własnej roboty proca, torebka marmurowych kulek, szpilka do dekodera Orphan Annie, pierścionek świecący w ciemności, kompas, zestaw Małego Montera, trzy piłeczki jo-jo, model samolociku, szczotka do włosów z kalkomanią przedstawiającą Lone'a Rangera na ręczce (prezent urodzinowy od Monroe'a, kupiony przez jego matkę), tekturowa stacja benzynowa Firestone wyposażona w dystrybutory, cała półka wypełniona broszurowymi wydaniem po dziesięć centów przygód Terry'ego wśród piratów, Joe Pallooka oraz komiksowe historyjki z Red Ryderem. Pod łóżkiem znajdowało się kilka egzemplarzy Spider Mana, Porky Pig, Małej Audrey oraz zabawne opowieści o Casprze i przyjaznych duchach. Do tego jeszcze zestaw kolejki L&N, indiańska bransoletka upleciona z włosów, prezent od dziewczyny, który od dawna uważał za zgubiony, wreszcie gumowa nasadka na kierownicę starego modelu roweru.

Jednakże świat Bobby'ego nie ograniczał się wyłącznie do tego, co mógł zobaczyć lub dotknąć w obrębie czterech ścian swojego pokoju. Przejechał pod łóżkiem tysiące mil swoją kolejką L&N, pokonując niebezpieczne góry długimi tunelami nad spienionymi nurtami rzek, a małym samolocikiem uczepionym sufitu obleciał cały świat, nieraz nad dżunglami wokół Amazonki, w której roiło się od krokodyli. Nawet zwyczajne latarnie uliczne dostarczały Bobby'emu niezwyklej rozrywki. W letnie wieczory, kiedy leżał już w łóżku, obserwując cienie, jakie rzucały na ściany sąsiedniego domu liście topoli poruszane lekkim wietrzykiem, widział w nich najprawdziwsze palmy, kołyszące się w takt podmuchów pasatu wiejącego od sąsiednich wysp tropikalnych. Bywały noce, kiedy słyszał odległe dźwięki hawajskiej muzyki i widział zastępy dziewcząt tańczących hula-hula tuż nad oknami sypialni Robinsonów. Zauroczony tym widokiem Bobby zapragnął ukulele. Jakież było jego rozczarowanie! Spodziewał się, że przy pierwszym dotknięciu instrument zacznie grać pieśń, ale nic z tych rzeczy! Wydawane dźwięki w niczym nie przypominały muzyki, hawajskiej czy jakiegokolwiek innej. Szybko więc Bobby przeprosił się z organkami. Wydawało mu się nawet,

że wygrywa prawdziwą melodię, było to jednak złudzenie. Miał tak bujną wyobraźnię, że kiedy jechał po podwórku na kiju od szczotki, słyszał tętent kopyt końskich i widział kurz wzbijany przez rozpędzonego rumaka, unoszącego go na swym grzbiecie przez zachodnią pustynię. Tego lata zasypiał, mając pod powiekami obraz Indian i kowbojów, a głowę wypełnioną ich głosami. „Tom Mix i wyborowi strzelcy Ralstona są tuż-tuż”. „Z Zachodu przybywa amerykański waleczny kowboj!” „Gdy zjesz kwakerskie owsiane płatki, staniesz się dumny, dzielny i chwacki”. „Idę o zakład, Red Ryder”. „Znowu w siodle”. „Jeśli teraz nie nadeszła pora walki, to jestem kłapouchym kangurem”. „Ja Tonto, a ty Kemo Sabe”. Ale jego ulubione zawołanie to: „Wio, Siwku, w drogę!”

Komuś z zewnątrz mogłoby się wydawać, że takie życie to wprost ideał. Żeby jednak być całkiem szczerym, trzeba powiedzieć, że bycie Bobbym Smithem miało swoje dwie słabe i kłopotliwe strony. Jedną to jego wygląd. Uchodził na ogół za dość ładnego chłopca, miał piwne oczy i kasztanowe włosy, proste zęby. Uszy mu leciutko odstawały, ale nie wykraczało to ani trochę poza przyjętą normę. Jedynym problem stanowiły kąciki jego ust, leciutko uniesione ku górze, co sprawiało wrażenie, że skrywa on jakiś sekret, z czego jest nadzwyczaj rad. Powodowało to ustawiczne pytania jego matki i nauczycieli: „Co ty tam knujesz?”, nawet jeśli akurat niczego nie knuł. I bez względu na to, jak bardzo starał się dowodzić własnej niewinności, i tak ich reakcja była zawsze taka sama: „Bobby Smith, nie kłam, masz wypisane na czole, że coś tam knujesz”.

Drugą słabą stroną stanowili rodzice. Każdy ich znał, więc kiedy Bobby coś przeskrobał, byli natychmiast dokładnie o wszystkim informowani. Jego ojciec, aptekarz, ponadto mason, rotarianin, członek The Elks, należący do starszyny Pierwszego Kościoła Metodystów, znajdował się na czele listy najważniejszych obywateli miasteczka. Ale co było stokroć gorsze, jego matka, znana jako Sąsiadka Dorothy, pięć dni w tygodniu nadawała własną audycję dla miejscowej rozgłośni z ich saloniku. Co roku też na Boże Narodzenie wysyłała swoim słuchaczom kartki świąteczne z wizerunkiem całej rodziny, tak więc ludzie mieszkający w promieniu kilku mil od ich domu wiedzieli, kim jest i jak wygląda. Zdarzało się też, że kiedy nie pojawiał się zaproszony do programu gość, matka ściągała Bobby'ego do saloniku, by odgrywał rolę gościa i odpowiadał na wszystkie jej pytania, zadane tak, jakby go pierwszy raz w życiu widziała. Z okazji różnych świąt Bobby musiał też recytować jakieś głupie wiersze. Ale najgorsze w tym wszystkim było to, że jego prywatne sprawy często

stawały się tematem matczynej audycji; cokolwiek więc zrobił, złego czy dobrego, natychmiast cały świat się o tym dowiadywał.

Jedyną pociechę stanowiła świadomość, że krzyż ten dźwigał wspólnie z siostrą, choć dla Anny Lee nie stanowiło to żadnej osłody. W zeszłym roku dostała ataku hysterii, kiedy jej matka wspomniała mimochodem, że Anna Lee nie umówiła się jeszcze z nikim na potańcówkę, czekając, aż zaprosi ją chłopak, który zaprzętał jej uwagę i który przypominał z wyglądu Glenna Forda, w którym się wówczas podkochiwała. Nie po raz pierwszy Dorothy dzieliła się ze słuchaczami sprawami swojej rodziny, ale kiedy Anna Lee usłyszała tę wiadomość idącą w eter, jak wystrzelona z procy przebiegła przez dom, wrzeszcząc na całe gardło, i ze strasznym szlochem rzuciła się na łóżko.

– Jak mogłaś, mammo? Zrujnowałaś mi życie. Już nigdy z nikim się nie umówię. Och, ja się zabiję!

Rozpaczała tak przez dwa dni, nie wychodząc z łóżka i kładąc sobie zimne kompresy na czoło. Matka tymczasem, której było niesłychanie przykro z tego powodu, próbowała na różne sposoby wynagrodzić wyrządzoną córce przykrość, więc przynosiła lody brzoskwińowe domowej roboty, obiecując jednocześnie, że już nigdy nie wymieni jej imienia przez radio.

Wówczas całe zajście wydawało się Bobby’emu całkiem zabawne, ale w tym wieku nie ma się jeszcze na tyle rozumu, by wiedzieć, że to, co inni o tobie myślą, to sprawa życia i śmierci. Tak więc na razie nie dbał o świat zewnętrzny i jak większość dziesięcioletnich chłopców wierzył, że wkrótce może się wydarzyć coś wspaniałego.

Sąsiadka Dorothy

Pod koniec lat dwudziestych i na początku trzydziestych, kiedy z każdym rokiem coraz gęstsza sieć linii elektrycznych prowadziła od wiejskich dróg do zabudowań, długie dotychczas wieczory nagle zaczęły wypełniać się ciepłymi, przyjaznymi głosami. To były głosy innych gospodyń emitowane przez radio. Już w 1924 roku kobiety nazywane na Środkowym Zachodzie „domorosłymi radiówkami” zaczęły nadawać audycje, przekazując innym gospodyniom nowe przepisy, sprawdzone sposoby wychowywania dzieci, praktyczne porady z dziedziny gospodarstwa domowego i prac ogrodniczych, miejscowe nowinki,

rozrywkowe kawałki. Najważniejsze w tym wszystkim były codzienne wizyty kogoś zaprzyjaźnionego. W Iowa słuchacze codziennie uczestniczyli w „Kuchennych pogaduszkach” Leanny Driftmiller, nadawanych przez KMA w Shenandoah, lub w „Spacerach wiejską drogą” z Evelyn Birkby. Ci zaś, którzy odbierali WNAX z Yankton w Dakocie Południowej, mogli słuchać głosu Wynn Speece, „Pani z sąsiedztwa”. Swoje audycje miały również Adella Shoemaker, Ida Bailey Allen, Bernice Currier, Alma Kitchell, Edith Hansen i inne.

Takim właśnie domorosłym radiowcem była matka Bobby’ego, pani Dorothy Smith, która nadawała ze swojego domu w Elmwood Springs w Missouri w godzinach od dziewiątej do dziewiątej trzydzieści za pośrednictwem lokalnej stacji WDOT 66. Niewątpliwie miała ku temu odpowiednie kwalifikacje. Oprócz tego, że lubiła dużo mówić, miała za sobą dwuletnie studia w Bostonie, po których wróciła do domu z dyplomem z ekonomiki gospodarstwa domowego i opieki nad dziećmi, mając na oku Roberta Smitha, Doca, który akurat ukończył studia farmaceutyczne na uniwersytecie w Tennessee. Sześć miesięcy później szli już do ołtarza w Pierwszym Kościele Metodystów, gotowi rozpocząć wspólne życie i założyć rodzinę. Od 1936 roku do końca wojny matka Bobby’ego nadawała swoją audycję, znana swoim słuchaczom jako po prostu „Sąsiadka Dorothy”. Nalon Klegg, spiker głównej rozgłośni w Poplar Springs, zapowiadał ją codziennie w taki oto sposób: „A teraz łączymy się z małym białym domkiem, tuż za rogiem, niedaleko was, gdziekolwiek mieszkacie, skąd usłyszymy naszą wspólną sąsiadkę o uśmiechniętym głosie: Sąsiadka Dorothy... a na fisharmonii gra Matka Smith”. Wtedy włączała się jej teściowa ze swoim pełnym werwy wykonaniem tematu zapowiadającego audycję pt.: „Po słonecznej stronie drogi”.

Nie przypadkiem wybrano ten motyw muzyczny. Kiedy Doc kupował dom w roku 1934, wiedział, że jego żona będzie chciała mieć pełno kwiatów kwitnących w doniczkach w każdym oknie, a zwłaszcza swoje ukochane fiołki, które namiętnie gromadziła; zwrócił więc szczególną uwagę na to, by dom faktycznie stał po słonecznej stronie ulicy. Sąsiadka Dorothy była w przyjemny sposób pulchna i zawsze mile uśmiechnięta. Wkrótce uśmiechała się do wszystkich z okładek własnych książek kucharskich i plakatów zdobiących cały Środkowy Zachód. Ludzie, znając jej wizerunek i ciepły, zawsze radośnie brzmiący głos, nigdy by nie pomyśleli, że mogłaby ona kiedykolwiek mieć jakieś poważniejsze problemy czy zmartwienia. Większość rzeczywiście nic nie wiedziała o jej pierwszym dziecku – a ona nigdy nie wspominała o swoim pierwotnym jasnowłosym czterolatku o imieniu Michael.

Dorothy myślała, że chodzi o zwykłą dziecięcą gorączkę albo o przeziębienie, w każdym razie nic poważnego. Ale przed południem Michael dostał konwulsji. Umarł cichutko, bez żadnego ostrzeżenia. Jednego dnia był wesoły i żywy, a następnego już nie żył.

Lekarze orzekli, że to było wyjątkowo złośliwe zakażenie bakteryjne, które zaatakowało go w nocy, a o wpół do szóstej po południu spowodowało śmierć. Nigdy nie stwierdzili ostatecznie, co to była za infekcja i dlaczego się nią zaraził, ale gdy został przywieziony do szpitala, już miał zajęte całe płuca. Nikt nie jest przygotowany na śmierć swoich najbliższych, ale utrata dziecka to największy ból, jaki człowiek może znieść.

Szok był tak wielki, że owdowiała matka Doca sprowadziła się do syna i synowej, by zająć się nimi po stracie dziecka. Po jakimś czasie Doc wrócił do pracy, ale Dorothy nadal nie była zdolna do niczego, tylko siedziała w pokoju dziecięcym i wpatrywała się w puste łóżeczko.

Nie chciała jeść mimo perswazji Matki Smith, nie mogła też spać, chociaż zażywała pigułkę nasenną, jaką Doc przygotowywał specjalnie dla niej. Mimo że lekarze stale powtarzali, że naprawdę nic nie można było zrobić, ona nigdy tak do końca w to nie uwierzyła. Pograżona w nieustannym rozpamiętywaniu, za każdym razem podawała to w wątpliwość. Setki razy zadawała sobie pytanie, co by było gdyby, ale nie znajdowała żadnej rozsądnej odpowiedzi. W tym czasie Doc nie na wiele jej się przydawał. Przede wszystkim miała mu za złe, że tak po prostu wrócił do dawnego życia, jak gdyby nic się nie stało. Nawet z nią nie rozmawiał na ten temat, a kiedy ona podejmowała rozmowę, po prostu wychodził z pokoju. Dorothy była jeszcze młoda i nie wiedziała, że mężczyźni inaczej reagują na ból. Doc, także młody, niesłusznie uważał, że pomoże jej, udając silnego mężczyznę. Ona z kolei nie wiedziała, że mąż często wyjeżdżał za miasto, by zatrzymać się gdzieś na uboczu i płakać.

Ból po stracie dziecka właściwie jest nieuleczalny, nigdy całkiem nie mija. Ale gdzieś po roku czy dwóch oboje byli już w stanie wrócić do mniej więcej normalnego życia.

Wtedy to Dorothy zaczęła piec ciasta. Zajęcie się czymś dobrze jej robiło. Bywały dni, że wypiekała po pięć albo i po dziesięć ciast. Wkrótce wszyscy mieszkańcy zaczęli nosić ze sobą widelczyk albo torebkę, ponieważ kiedy mijało się jej dom, ona zapraszała na kawałek ciasta. Wprost zawałona była wypiekami i trzeba było jakoś się ich pozbyć, kiedy więc mówiła: „Zapraszam do siebie na kawałek ciasta”, wiadomo było, że mówi to szczerze.

Zaprzyjaźniona z nią Gerta Nordstrom, która prowadziła piekarnię, wyznała, że obroty spadły

u niej o połowę, od kiedy Dorothy postanowiła rozdawać swoje ciasta. Wkrótce Dorothy zaczęła wypiekać dla piekarni Nordstromów, a jej wyroby stały się powszechnie znane. W roku, kiedy jej przepis na sześciowarstwowy przekładaniec ananasowy z niespodzianką w środku zdobył drugą nagrodę w konkursie na najlepszy wypiek w Pillsbury, została zaproszona do wzięcia udziału w audycji w Poplar Bluff. W trakcie wywiadu wspomniała mimochodem, że zawsze używa mąki Złote Płatki Lekkie jak Piórko. Kiedy w ciągu jednego dnia podwoiła się sprzedaż mąki Złote Płatki, zaproponowano jej prowadzenie własnej audycji. Wkrótce wielki maszt radiowy z czerwonym światełkiem na szczycie stanął na ich podwórku i odtąd Dorothy była „na antenie”. Potem, kiedy przyszła na świat Anna Lee, oboje z Dokiem stali się znów tacy sami jak przedtem, chociaż nigdy nie zapomnieli o jasnowłosym chłopczyku. Życie biegło zwyczajnym torem aż do dnia, w którym Dorothy, mając już lat czterdzieści trzy, dowiedziała się, że ich życie ma się zmienić, choć obydwójce od dawna nie planowali żadnych zmian. Mianowicie lekarz poinformował ją, że nie wkracza ona, tak jak myślała, w następny etap życia kobiety, ale że spodziewa się dziecka. I tak oto niebo zesłało im Bobby’ego, który miał przynieść prawdziwą odmianę w ich życiu. Pod każdym względem.

Wieża ciśnień

Może dlatego, że są jeszcze małe i do ziemi mają niedaleko, albo dlatego, że ich zmysłów nie zdążył przytępić wiek, dzieciom dni wydają się dłuższe, kolory żywsze, zapachy ostrzejsze, hałas głośniejszy, a zabawa bardziej zabawna. Bobby pod tym względem nie stanowił wyjątku. Codziennie patrzył na świat, jakby go widział po raz pierwszy, niemal drżąc z podekscytowania. Gdyby przykręcić go do ściany, z pewnością jaśniałby jak pięćsetwatowa żarówka. Jemu to oczywiście nie przeszkadzało, ale mieć go w rodzinie oznaczało mniej więcej to samo, co mieć w domu szczeniaczka o wadze sześćdziesięciu ośmiu funtów, który bez przerwy wpada i wypada, i wszędzie się kręci. Tego dnia Bobby i Monroe przedsięwzięli coś, czego nie powinni robić.

Wybrali się daleko za miasto do wieży ciśnień, na której napisane było wielkimi czarnymi literami ELMWOOD SPRINGS, z mocnym postanowieniem wdrapania się na sam jej szczyt. Gdyby jego matka dowiedziała się o tym pomysle, zapewne dostałaby ataku serca albo czegoś jeszcze gorszego. Kilka lat wcześniej jakiś licealista spadł z tej wieży i zabił się. Dla dziecka jednak fakty się nie liczą. Wyobraża sobie, że jemu nic złego stać się nie może. Poza tym

Bobby i Monroe pilnowali się wzajemnie, tak że nie było już odwrotu.

W głębi duszy każdy z nich leciutko się niepokoił. Głównie przejmował ich strach, by nie stchórzyć w ostatniej chwili. Obawę, że można sobie zasłużyć na miano maminsynka, równoważyła nęcąca perspektywa późniejszego pochwalenia się wszystkim – z wyjątkiem rodziców – że jednak wdrapali się na wieżę. Jeszcze tylko należało coś wymyślić, by przekonać wszystkich, że naprawdę dokonali tego wyczynu. Bobby miał pewien plan. Rano poszedł do sklepu gospodarstwa domowego Warrena i kupił tam duży kłębek mocnego sznurka. Monroe miał kieszeń wypchaną czerwonymi balonikami, które mieli nadmuchać i przywiązać na samym szczycie, tak by niedowiarki musiały uwierzyć, że oni tam byli. Kiedy w końcu dotarli na miejsce i popatrzyli w górę, to, co z daleka wyglądało jak srebrna piłka zwisająca z nieba, teraz wydawało się wielkie jak boisko do gry w nogę. I tak wysoko, że od samego zadzierania głowy bolały ich szyje. Ludzie mówili, że stamtąd widać aż sześć stanów, a przy dobrej widoczności można zobaczyć całą drogę do Iowa... W każdym razie tak się mówiło. Bobby i Monroe ociągali się, czubkami butów drążąc dołki w ziemi i raz jeszcze dyskutując plan balonowy.

– Myślisz, że powinniśmy je nadmuchać, zanim tam wejdziemy? – spytał Monroe, grając na zwłokę.

– Nie. Nie pamiętasz, co mówiliśmy? Gdybyśmy je najpierw nadmuchali, ktoś mógłby zobaczyć, jak tam wchodzimy.

– A, rzeczywiście.

– Kiedy wejdziemy na samą górę, wtedy je napompujemy i przywiążemy z boku, a potem zejdziemy tak szybko, jak tylko się da.

Monroe, krępy chłopczyk z wiechą włosów jak marchewka, zazwyczaj różowiotki, teraz wyglądał trochę blado. Raz jeszcze popatrzył w górę.

– Kto idzie pierwszy?

Bobby zastanawiał się przez chwilę, ale się nie ruszył. Wtedy Monroe powiedział:

– To był twój pomysł. Więc ty powinienes iść pierwszy.

– To nic. Możesz ty pójść pierwszy, jeśli chcesz. Mnie nie zależy.

– O nie. Musi być fair. Ty to wszystko wymyśliłeś, więc ty idź pierwszy.

Tu go miał. Bobby nie mógł teraz się wycofać.

– Dobra. Jeśli się boisz, to ja mogę iść pierwszy, skoro ci na tym zależy.

– Wcale się nie boję. Po prostu to był twój pomysł, nic więcej.

– Jak chcesz, to ty idź pierwszy.

Monroe raz jeszcze spojrział na górę.

– Nie chcę – powiedział.

Bobby zrobił nonszalancką minę.

– Dobra, pójdę pierwszy, ale pamiętaj: Macky Warren mówił, że cała rzecz polega na tym, aby nie patrzeć w dół, dopóki się nie wejdzie na sam szczyt.

– Dobra. W takim razie idziemy. – Bobby wziął głęboki oddech, postawił nogę na pierwszym szczeblu drabiny i ruszył w długą drogę po stalowych drabiniastych schodkach, które prowadziły na górę. Wkrótce obaj mieli się przekonać, że była to długa i stroma wspinaczka. Nie wzięli tylko pod uwagę kilku okoliczności: że im wyżej wejdą, tym mocniej słońce będzie paliło; że poręcz przy schodach okaże się śliska, zwłaszcza kiedy się ją trzyma spoconymi rękoma, nie mówiąc już o silnym wietrze, który niemal zdmuchnął ich z drabiniastych schodków. Wydawało im się, że wieki minęły, zanim wreszcie dostali się na górę, spoceni, bez tchu, z łomoczącym sercem i wyschniętymi ustami. Kiedy w końcu zeszli z ostatniego szczebelka na mały, okrągły podest z blachy falistej, nogi tak bardzo im się trzęsły z wyczerpania, że musieli usiąść na chwilę i odpocząć. Policzki Monroe'a były tak czerwone jak balony, które miał w k szeni.

Po chwili znów zebrali całą odwagę, by wstać i rozejrzeć się po okolicy.

– Ojej! – wykrzyknął Monroe. – Musimy znajdować się na wysokości jakichś dziesięciu tysięcy stóp, a może i wyżej... Wyżej od samolotu, chyba jeszcze wyżej niż Empire State Building!

Oczywiście nie znajdowali się aż tak wysoko, ale łatwo mogli ulec takiemu złudzeniu.

Przecież Bobby i Monroe nie oglądali dotąd niczego z wysokości wyższej niż czubek drzewa czy z dachu garażu. Teraz rozciągał się przed nimi widok na wiele mil dookoła, więc gdy Monroe zauważył żółte poletko kukurydzy, znajdujące się w sporej odległości, był przekonany, że jego wzrok sięga aż do Iowa.

Bobby zaniemówił z wrażenia. Stał osłupiały. Nie miał pojęcia, jak wygląda świat widziany z tak wysoka i tak daleka. Mógłby się raczej spodziewać, że świat będzie okrągły, tak jak globus znajdujący się w gabinecie ojca, ale ku jego ogromnemu zaskoczeniu był płaski jak naleśnik. Jak okiem sięgnąć, wszędzie tylko płaskie pola w kolorze brązowym albo zielonym. Zupełnie jakby patrzył na mapę! Kiedy jednak Monroe wskazał na prawo, gdzie znajdowało się ich miasteczko, Bobby przeżył następny wstrząs w swoim krótkim życiu.

– Patrz – powiedział Monroe – tam jest kościół, a tam nasza szkoła. Widzisz?

Bobby stał z otwartą buzią i patrzył z niedowierzaniem. Elmwood Springs, które tak niedawno jeszcze wydawało mu się miejscem gigantycznej wręcz wielkości, teraz skurczyło się do zaledwie niewielkiego prostokąca domków ustawionych wzdłuż kilku ulic, o długości nie większej niż kilka cali, zagubionego w bezkresnej przestrzeni. Widział teraz, gdzie znajduje się kościół i z drugiej strony hali masoński. Malutkie punkciki, które przemieszczały się w różnych kierunkach, wielkością przypominały mrówki; samochody były małe jak matchboxy, a domy jakby wzięte z gry Monopol.

– Patrz, tam jest twój dom – powiedział Monroe. – Widzisz maszt radiowy na podwórku?

Bobby wlepił wzrok w miejsce, które wskazywał Monroe. Rzeczywiście, tam stał jego dom. Dało się widzieć czerwone światełko na czubku anteny, a jeśli się zmrużyło oczy, można było dostrzec na podwórku malutki punkcik, który akurat rozwieszał na sznurze pranie. Wtedy go olśniło: ten punkcik to jego mama! I przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl, która niemal ścięła go z nóg. Bo gdyby tak to on teraz kręcił się po podwórku, a ktoś inny znalazłby się na jego miejscu i patrzył na wszystko, co się tam w dole dzieje? Wtedy on sam wyglądałby jak ta mrówka. A może byłby jeszcze mniejszy! Jak pół mrówki albo tylko pchła! Z tego miejsca, gdzie się teraz znajdował, nie był już wcale ośrodkiem wielkiego wszechświata, który go otaczał, ani też oczkiem w głowie rodziców; stąd nie byłby wcale kimś szczególnym, ot, po prostu jeden z wielu małych punkcików. Na tę myśl oblał go zimny pot.

– Muszę wracać do domu, mama na mnie czeka – powiedział i zaczął pędem zbiegać na dół, zostawiając osłupiałego Monroe'a, który wołał za nim:

– Zaczekaj! Jeszcze nic nie zrobiliśmy z balonami! Zaczekaj!

Ale Bobby już go nie słyszał. Jedyne, co słyszał, to głośnie bicie własnego serca i krew dudniącą w uszach, a jedyne, co myślał, to żeby jak najszybciej zejść na dół, na ziemię. Chciał czym prędzej znaleźć się znów we własnym domu i wrócić do poprzednich, właściwych rozmiarów.

Monroe jednak, zostawiony sam sobie i opuszczony, wcale nie myślał się poddawać.

Ogarnęła go determinacja. Skoro przebył całą tę niebezpieczną drogę na górę, ludzie musieli się o tym dowiedzieć. Do licha z Bobbym, sam może poprzyczepiać balony! Wyciągnął z kieszeni pierwszy balon, ale kiedy go już nadmuchiwał, nagle sobie przypomniał. Podbiegł więc na skraj drabiniastych schodków i zawołał co sił w płucach:

– Zaczekaj, Bobby! Przecież u ciebie jest sznurek! Rzuć mi sznurek! – Było jednak za późno. Bobby znajdował się już w połowie drogi wiodącej na ziemię.

Wkrótce Bobby wpadł jak burza do domu, przebiegł przez cały dom i nie zatrzymał się aż do swojego pokoju, gdzie rzucił się na własne łóżko. Anna Lee, która akurat siedziała na ganku, spostrzegła wyraz jego twarzy, kiedy przebiegał obok niej, i pomyślała sobie, że ktoś musiał go gonić. Wstała nawet, żeby się rozejrzeć, czy nie ma gdzieś w pobliżu Luthera Griggsa, barczystego osiłka, który nie przepuszczał żadnej okazji, by pobić Bobby'ego, ale Luthera nigdzie nie było widać.

Tymczasem biedny Monroe siedział na wieży jeszcze co najmniej trzy kwadranse, usiłując przymocować chociażby jeden z czerwonych balonów, które ze sobą wzięli, ale jego wysiłki spełzły na niczym. Wszystkie balony wzleciały w powietrze.

Dla Bobby'ego jednak dzień ten upamiętnił się nie tylko z powodu nieumieszczenia na wieży balonów. Właśnie wtedy bowiem po raz pierwszy ujrzał swoje życie z dalszej perspektywy, a w każdym razie z innego miejsca niż z centrum własnego wielkiego wszechświata, w którym się znajdował. Czy naprawdę jest możliwe, że mógłby być zaledwie małym punkcikiem wśród innych małych punkcików? Zawsze wydawało mu się, że jest inny niż wszyscy, że jest kimś wyjątkowym. Teraz był zupełnie zdezorientowany.

Anka Szmacianka

Tego popołudnia Bobby zachowywał się niezwykle grzecznie i po kolacji, kiedy wszyscy przenieśli się na werandę, usiadł na bujanej ławce obok matki, położył głowę na jej kolanach i w tej pozycji zasnął, co mu się nie zdarzyło na pewno od czasu, kiedy skończył sześć lat. Ponieważ wieczór był wyjątkowo upalny, cała rodzina, nie wyłączając Jimmy'ego i Princess Mary Margaret, białorudej spanielki należącej do Dorothy, ulokowała się na dworze, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Wszędzie panowała cisza i spokój, słychać było tylko cykanie świerszczy i skrzypienie ławki. Dorothy popatrzyła na śpiącego Bobby'ego. Spał tak mocno, że nie zbudził się, nawet gdy zmieniała pozycję, by założyć nogę na nogę. Odgarnęła włosy z jego czoła.

– Musiał być czymś niezwykle przejęty, bo wydaje się całkiem nieobecny.

Anna Lee przytaknęła.

– Myślałam nawet, że znowu uciekał przed Lutherem Griggsem. Dziś po południu Bobby

wpadł do domu jak burza, pędził jak ekspres, ze sto kilometrów na godzinę.

– Martwię się, żeby ten chłopak Griggsów nie zrobił mu kiedyś prawdziwej krzywdy – powiedziała z westchnieniem matka chłopca. – Przecież on jest przynajmniej o głowę wyższy od Bobby’ego.

Doc postukał fajką o ścianę ganku, żeby wysypać popiół.

– Zbyt nie bym się tym nie martwił – pocieszył żonę. – Musiałby go najpierw złapać.

A Bobby, chociaż jeszcze mały, jest naprawdę szybki.

To w pewnym stopniu uspokoiło Dorothy.

– No cóż, to prawda – przyznała po chwili namysłu. – Któregoś razu jak pomknął od progu, to ani się nie obejrzałam, a on już był het, daleko, że widać było tylko czubek jego głowy.

– Ten dzieciak to prawdziwe utrapienie – skwitowała Anna Lee, która z wyżyn swych kilkunastu lat, mówiąc o swoim bracie, nazywała go ostatnio „ten dzieciak”. – Prawda, Matko?

– Tak. – Matka Smith przytaknęła. – Ale kiedy chce, potrafi być naprawdę słodki. To chyba kwestia wieku, tak mi się wydaje.

– Czy ja też kiedyś taka byłam? – chciała wiedzieć Anna Lee.

– Nie – zapewniła ją Dorothy. – Byłaś aniołkiem. Prawda, Matko?

– Najprawdziwsza prawda – zgodziła się Matka Smith. – Nie było grzeczniejszej od ciebie dziewczynki. Mogłam cię wszędzie zabrać ze sobą, wystarczyło tylko posadzić cię i dać lalkę do zabawy, a ty cały czas grzecznie się bawiłaś, cichutko jak myszka. Kochałaś swoje lalki. A najbardziej dużą Ankę Szmaciankę, nigdzie się bez niej nie ruszałaś.

Siedzieli tak jeszcze przez chwilę, wsłuchani w cykanie świerszczy.

– Co się właściwie stało z twoją Anką Szmacianką? – spytała nieoczekiwanie Dorothy.

– Bobby skasował jej głowę.

– O, jaka szkoda.

W tym momencie Tot Whooten, która wyglądała na bardzo zaaferowaną, przetruchtała przed ich domem, najwyraźniej gdzieś się spiesząc. Nie zatrzymując się, pomachała im ręką i zawołała:

– Mamusia znów zostawiła w kinie torebkę, więc muszę tam zdażyć, zanim zamkną.

Matka Smith pokręciła głową.

– Biedna Tot, to już drugi raz w tym tygodniu.

– Biedna Tot – zgodziła się Dorothy.

Kilka minut później Tot znów przechodziła przed ich domem, tym razem z wielką czarną torbą przewieszoną przez ramię.

– Widzę, że ją znalazłaś! – zawołała Matka Smith.

– Tak, chwała Bogu. Snooky ją znalazł i czekał na mnie. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedzieli wszyscy, a Matka Smith dodała jeszcze: – Pozdrów ode mnie swoją matkę.

– Okay.

Kiedy już nikt nie mógł jej słyszeć, Dorothy powtórzyła raz jeszcze:

– Biedna Tot.

Potem pomachało im jeszcze kilka osób, które przechodziły tamtędy, wracając z kina do domu. Po chwili Dorothy westchnęła:

– Szkoda, że Bobby tak się obszedł z Anką Szmacianką. Miałam nadzieję, że kiedyś dasz ją swojej córeczce. Tak kochałaś tę lalkę. Nie rozstawałaś się z nią nawet, kiedy byłaś już w pierwszej klasie. – Popatrzyła na córkę melancholijnie. – Wydaje się, że to było zaledwie wczoraj, kiedy prowadziłam cię po raz pierwszy do szkoły.

– To ja nie poszłam sama? – zdziwiła się Anna Lee. – Przecież to zaledwie dwie ulice dalej.

– Nie. Zaprowadziłam cię pierwszego dnia, chociaż wcale się nie bałaś. Byłaś naprawdę uradowana, że idziesz do szkoły; ty i Anka Szmacianka. Stałam na ulicy i patrzyłam, jak wchodzisz po schodach, potem odwracasz się, machasz mi i idziesz dalej. Och, serce mi krwawiło, że tracę swoją małą dziewczuszkę. Stałam tak na ulicy i płakałam na oczach wszystkich.

– Naprawdę? – nie dowierzała Anna Lee.

Doc skinął głową.

– O tak – potwierdził, nabijając powtórnie fajkę. Przysunął bliżej popielniczkę i wrzucił do niej zgaszoną zapałkę. – Twoja matka przyszła do drugstore’u zupełnie rozstrojona.

Można by pomyśleć, że właśnie wsadziła cię na parowiec płynący do Chin.

Tę opowieść Anna Lee usłyszała po raz pierwszy.

– Czy byłaś tak samo przejęta, kiedy Bobby szedł do pierwszej klasy?

Dorothy obrzuciła spojrzeniem śpiącego syna.

– Nie – potrząsnęła głową. – Wstyd mi to mówić, ale w gruncie rzeczy odczuwałam ulgę.

Poprzedniego dnia właśnie zniszczył sześć ciast, które upiekłam na kościelną wyprzedaż. Paluchami przeorał wierzch każdego ciasta, żeby wyjeść lukier. Byłam więc zadowolona, że przez jakiś czas ktoś inny będzie miał na niego oko. Ale wszyscy chłopcy są tacy. Przekonasz się, kiedy wyjdiesz za mąż i sama będziesz miała syna.

Anna Lee potrząsnęła głową.

– O nie. Nie będę miała żadnych chłopców. Będę miała same dziewczynki.

Matka Smith roześmiała się głośno.

– To od ciebie nie zależy, kochaneczko. Możesz sobie chcieć urodzić dziewczynki, ale samo chcenie sprawy nie załatwia.

– W takim razie w ogóle nie wyjdę za mąż.

Matka Smith uśmiechnęła się.

– Wszystkie tak mówimy, dopóki nie pojawi się ten wybrany. Mam rację, Dorothy?

– Tak było ze mną. Powiedziałam wszystkim, że jadę do Nowego Jorku, by wstąpić na scenę i zostać drugą Sarą Bernhardt. Wtedy twój ojciec zaprosił mnie na karnawałową zabawę i licho wzięło wszystkie moje plany. – Dorothy przesunęła się trochę na ławce, a głowa Bobby’ego przesunęła się razem z nią. – Teraz zdrętwiała mi druga noga. Nie wiem, czym on ma nabitą głowę, bo waży chyba tonę.

– Pewnie kamieniami – stwierdziła Anna Lee.

Jimmy wstał z ławki, przeciągnął się i ziewnął szeroko.

– No, ludzie, chyba na nas czas. Do jutra.

– Dobranoc, Jimmy.

Dorothy popatrzyła na Doca.

– Wiesz co, mój wybrany, chodź tu lepiej i zabierz swojego syna do łóżka. Ja muszę jeszcze coś zrobić i przygotować się do jutrzejszej audycji, zanim będzie za późno. Już prawie dziesiąta.

Doc odłożył fajkę, wziął Bobby’ego na ręce i przerzucił go sobie przez ramię.

– Nałożyć mu piżamę?

– Nie, niech śpi w ubraniu. To mu nie zaszkodzi.

– Dobranoc wam wszystkim – powiedział Doc, a kiedy był już przy wewnętrznych drzwiach obitych siatką przeciw owadom, odwrócił się i dodał: – Dobranoc, panno Bernhardt.

Doc Smith

Doc był znacznie starszy od większości ojców kolegów Bobby'ego, czym zresztą trochę się martwił, gdyż nie mógł tak jak oni dokazywać z synem ani grać w piłkę nożną, dla Bobby'ego jednak nie miało to większego znaczenia, jako że tylko on mógł robić wiele rzeczy z ojcem, które z nawiązką wynagradzały tamte niedostatki. Doc na przykład kiedyś całkiem nieźle grał w baseball, a i teraz był zagorzałym kibicem tej gry, tak samo jak i Bobby. Razem wysłuchiwali radiowych transmisji rozgrywek baseballowych i pilnie śledzili wyniki. Mając rozległą wiedzę w tej dziedzinie, Doc nauczył Bobby'ego doceniać niuanse taktycznych posunięć i innych subtelnych elementów gry. I chociaż nigdy nie został zapalonym myśliwym, to jednak był wędkarzem, i od kiedy tylko Bobby zaczął chodzić, Doc zabierał go ze sobą na ryby. Zjawiał się wtedy w pokoju syna o wpół do czwartej rano i budził go. Bobby wstawał i ubierał się, po czym obaj cichutko wymykali się frontowymi drzwiami, starając się nie obudzić kurcząt Robinsonów, którzy mieszkali po sąsiedzku. Doc najdelikatniej jak mógł uruchamiał silnik swojego dodge'a, model z 1938 roku, z uszkodzonym tłumikiem i wyruszali jeszcze w ciemności, jadąc bocznymi drogami, aż docierali nad rzekę. W takie poranki Doc dawał mu pociągnąć z termosu łyk czarnej kawy, przykazując za każdym razem: „No dobrze, ale tylko jeden łyczek, i żebyś nic nie mówił mamie”. Ten drobny rytuał sprawiał, że Bobby czuł się współnikiem ojca w jakiejś wielkiej konspiracyjnej akcji. I chociaż kawa miała okropny gorzki smak, wypijał ją bez skrzywienia warg i bez mrugnięcia okiem. To była męska sprawa. Czasami wyprawiali się razem z Glennem Warrenem i jego synem, Mackym, Bobby jednak najbardziej lubił, kiedy zostawali tylko we dwóch: on i ojciec. Uwielbiał, kiedy Doc przedstawiał go innym panom na łowisku. Widać było, że oni darzyli ojca wielkim szacunkiem, i Bobby czuł się z tego powodu dumny. Lubiał też, jak wypuszczali się na łowisko Starego Johnsona, skąd wypożyczali łódź. Rozwalająca się drewniana buda pełna była sprzętu i różnych wędek. Rozwieszona na ścianach ryby najprzeróżniejszych rodzajów i wielkości zapełniały każdy wolny centymetr powierzchni. Prócz ryb wisiał też ilustrowany kalendarz z 1945 roku z fotografią ładnej dziewczyny w szortach, łowiącej na muchę w strumieniu, który Bobby'emu wydawał się egzotyczny. Kupowali tam zawsze żywą przynętę, trzymaną w chłodzie, do tego dwa zimne napoje, krakersy, puszkę sardynek i wiedeńskie kielbaski na lunch. Wschód słońca na ogół zastawał ich już na wodzie. Do Bobby'ego należało wiosłowanie w dół rzeki, gdzie był głęboki cień i gdzie lubiły się chować tłuste wielkie pstrągi i sumy, gdy tymczasem ojciec

zarzucał wędkę najbliżej brzegu. Do południa krakersy od pana Johnsona stawały się czerstwe, a napoje ciepłe, ale im to nie przeszkadzało. Jak jest się głodnym, to wszystko smakuje. Czasami udawało im się nałowić całą linkę ryb, a czasami tylko trzy albo cztery rybki. Któregoś dnia tak źle im się wiodło, że ojciec kupił do domu parę pstrągów od pana Johnsona. Wieczorem Bobby opowiadał tak szczegółowo o tym, jak to każdy pstrąg został złowiony i jak dzielnie walczył o życie, że w końcu jego matka zaczęła coś podejrzewać. Ale dla Bobby'ego nie miało większego znaczenia, ile ryb złowili, liczyła się przyjemność przebywania razem z ojcem.

Przed kilkoma laty ojciec, jak gdyby nigdy nic, położył przed nim na stole kuchennym garść biletów na mecze baseballowe i zapytał:

– Czy chciałbyś, synku, wybrać się ze mną na eliminacje do mistrzostw?

To był po prostu cud, bo ich drużyna, St. Louis Browns, miała akurat grać z St. Louis Cardinals i wszyscy z całego stanu Missouri usiłowali dostać bilety na ten mecz. Tak się szczęśliwie złożyło, że Luke Sewell, przyjaciel Doca ze studiów, okazał się szwagrem menedżera St. Louis Browns, i to za jego pośrednictwem Doc mógł kupić bilety. Doc załatwił sobie zastępstwo w drugstworze na ten czas i Dorothy mogła ich wyprawić w drogę. Trzeciego października obaj wsiedli do pociągu zdążającego do St. Louis, mając ze sobą bilety na wszystkie sześć meczów, gdyby się okazało – co było ich marzeniem – że tyle spotkań trzeba będzie rozegrać. Cóż to było za miasto. I co za podróż. Tylko on z tatą, obaj w najprawdziwszym hotelu, a jadali w restauracjach jak dwaj dorośli panowie. Przejażdżka taksówką Yellow Cab do ogromnego drugstore'u Rexalla w centrum St. Louis, by odwiedzić przyjaciela ojca ze studiów, i powrót stamtąd też taksówką. Bobby ma z tej wyprawy zdjęcie zrobione pod wielką stalową bramą Gateway Arch i nowiutką baseballówkę z klubowymi znakami Brownsów. Codziennie jechali tramwajem ze śródmieścia do North Grand Avenue i dalej, aż do Sportsman's Park. Wszędzie towarzyszył im zapach kremu do golenia Old Spice, dymu papierosowego i tłumy pełnych energii, głośno rozprawiających mężczyzn i chłopców w różnym wieku, zdążających i powracających z meczów. Och, widok boiska pierwszego dnia, te tłumy, ten hałas, zapachy, odgłos uderzeń kijów, zieleń trawy, hot dogi, fistaszki, łyk piwa Pabst Blue Ribbon! Tyle tego! Od wszystkich tych wrażeń Bobby'emu kręciło się w głowie. Ich drużyna wygrała pierwsze spotkanie, dwa do jednego, co napełniło ich nadzieją, ale przegrała dalsze spotkania, co było do przewidzenia. Ale i tak nadal im kibicowali i zagrzewali do boju. Obaj wspaniale spędzili razem ten czas. I mimo że pokonana

drużyna St. Louis Browns miała nie zagrać już w eliminacjach do mistrzostw, Bobby nie wrócił do domu z pustymi rękami. Był dumnym posiadaczem prawdziwej, oryginalnej czapeczki baseballowej z mistrzostw oraz piłeczki, którą udało się złapać jego ojcu, podpisanej nie przez kogo innego, ale samego gracza roku krajowej reprezentacji, łącznika Marty'ego Mariona. Żeby dostać ten autograf, chłopiec z ojcem stali w kolejce ponad dwie godziny, ale warto było czekać. Po powrocie do domu Bobby wszystkim pokazywał swój skarb. Przez najbliższe kilka dni był naprawdę ważną osobą w miasteczku, dopóki każdy nie zobaczył tej piłeczki z autografem co najmniej kilka razy. Doc natomiast wrócił do domu odprężony i wypoczęty, a bardzo już potrzebował wypoczynku.

Na pierwszy rzut oka praca aptekarza w małym miasteczku może nie wydawać się szczególnie ważna, w każdym razie nie uchodzi za zajęcie męczące czy ryzykowne. Związane są z nią jednak pewne stresy, o których wiedzą tylko nieliczni. Jego praca na pewno nie była monotonna, składały się na nią różnorakie obowiązki. Musiał on bowiem nie tylko stać i cierpliwie wysłuchiwać wszystkich mieszkańców miasteczka, którzy uważali za swoją powinność opowiedzieć mu rozwlekłe i z najdrobniejszymi szczegółami o każdym niedomaganiu czy bólu, jakie ich nękały, ale też udzielić pomocy, gdy przynosili mu ptaki ze złamanymi skrzydełkami, przyprowadzali dzieci, by opatrzył ich skaleczenia, nastawił zwichnięte palce, obandażował skręcone kostki. Do tego dochodziły różne przeziębienia, niedyspozycje żołądkowe, zaczerwienione gardła, kocie zadrapania, psie ugryzienia, podbite oczy i zapytania o wysypki spowodowane uczuleniem na sumaka jadowitego. Wszystko to wykonywał ochoczo, niemniej jako jedyny aptekarz w Elmwood Springs był wtajemniczany w prywatne sprawy i sekrety, o których niekoniecznie chciałby wiedzieć. Ze swoją wiedzą medyczną orientował się doskonale z treści recept, co dolegało jego klientom. Wiedział na przykład, że jego najlepszy przyjaciel cierpi na poważne dolegliwości sercowe, skoro lekarz przepisał mu duże dawki lekarstwa i zalecił częste zażywanie leku; nie zdradził się jednak ani słowem ze swoją wiedzą. Wiedział też, że Biedna Tot Whooten dostała receptę na antabus, który potajemnie wsypywała swojemu mężowi, Jamesowi Dwayne'owi, do porannej kawy, próbując w ten sposób odzwyczaić go od picia. Wiedział, który żołnierz wrócił z wojny z syfilisem, która kobieta brała lekarstwo na nerwy, którzy mężczyźni leczyli się z impotencji, które panie miały dolegliwości kobiece, kto nie chciał mieć dzieci, a kto chciał. I wszystko to zatrzymywał dla siebie. Było to szczególnie trudne, jeśli chodziło o własną rodzinę. Tego dnia, kiedy jego ojcu przepisano morfinę, Doc wiedział, że to

zapowiedź śmierci – na długo zanim jego ojciec faktycznie umarł.

O ile więc jego praca czasami była złożona, o tyle życie domowe stanowiło przyjemną ucieczkę. I na pewno nie było nudne. Na przykład w zeszłym tygodniu ktoś zupełnie nieznajomy przyszedł do nich na obiad.

Ponieważ przystanek autobusowy Greyhounda znajdował się dokładnie przed ich domem, zawsze ktoś siedział na ich ganku albo w salonie. To oraz częste odwiedziny fanów Dorothy, którzy wpadali do ich domu o każdej porze, zmyliło owego mężczyznę. Kiedy zobaczył, że bez przerwy ktoś wchodzi i wychodzi z budynku, na którego frontowym oknie umieszczony jest napis WDOT, pierwsze litery nazwy rozgłośni radiowej, pomyślał, że to restauracja i że wstąpi tam, żeby coś przegryźć, zanim wyruszy w dalszą drogę do Poplar Bluff. Około wpół do szóstej zaparkował samochód w pobliżu, wszedł śmiało i usiadł w saloniku obok Doca i Jimmy'ego, którzy akurat czytali gazetę, i zapytał: „O której podaje się tu obiad?” Doc nie wiedział, kim jest nieznajomy, ale grzecznie odpowiedział, że mniej więcej za pół godziny. Wtedy mężczyzna zapytał jeszcze, gdzie jest męska toaleta, poszedł tam, potem wrócił, wziął sobie gazetę i cierpliwie czekał. Doc pomyślał sobie, że to musi być któryś ze sponsorów Dorothy, który przyjechał do ich miasta. Kiedy Dorothy zawołała, że obiad jest już na stole, mężczyzna podniósł się i przeszedł do jadalni. Nikt go nie zapytał, kim jest, każdy myślał, że jest czymś przyjacielem, a Dorothy spokojnie dodała jeszcze jedno nakrycie. Bardzo mu smakowała pieczeń i tłuczone kartofle, swobodnie gawędził w trakcie całego obiadu, zabawiając wszystkich opowieściami z życia zawodowego inspektora drobiu na stan Missouri i nie ukrywając, jak to ludzie żartowali sobie z niego jako inspektora od drobiu noszącego nazwisko Fowler .

Zadziwił wszystkich, mówiąc, ile gatunków kurcząt występuje w świecie. Kiedy skończył drugą porcję ciasta kokosowego, wstał od stołu i oświadczył:

– No dobrze, moi kochani, ale na mnie już pora, muszę jechać, zanim się ściemni. –

Pogrzebał w kieszeniach i zapytał Dorothy, ile jest winien.

– Ależ, panie Fowler – odpowiedziała zaskoczona Dorothy. – Nic mi pan nie jest winien.

Radziśmy pana gościć. Mam nadzieję, że jeszcze pan do nas wpadnie, kiedy będzie pan tędy przejeżdżał.

Dzień jak co dzień

W dni powszednie Jimmy Head, lokator Smithów, budzi się najwcześniej ze wszystkich. Wstaje około wpół do piątej, idzie do kuchni, parzy kawę, wypija jedną filiżankę i przed piątą już wychodzi. O tej porze światło pali się jeszcze tylko u Nordstromów, którzy otwierają swoją piekarnię o siódmej trzydzieści, ale u Jimmy'ego są zazwyczaj tłumy na śniadaniu, więc o szóstej rano Trolejbusowa Gospoda musi być już gotowa do otwarcia. Doc i Matka Smith to też ranne ptaszki, więc około piątej trzydzieści schodzą do kuchni, by razem wypić poranną kawę. Godzinę później Dorothy już ubrana wchodzi do kuchni, by zacząć dzień od wstawienia do pieca pierwszej partii jej radiowych ciasteczek dla zaproszonych gości, a potem karmi Princess Mary Margaret i dwa żółte kanarki, Pierożka i Kreta. Latem Bobby o siódmej jest już na nogach, ale Anna Lee pojawia się w kuchni dopiero około ósmej albo wpół do dziewiątej. Musi dłużej spać, by być piękną. Doc przychodzi do drugstore'u o wpół do ósmej, a otwiera o ósmej.

Do dziewiątej dwadzieścia dostarczone jest już mleko, lód i pieczywo, i wtedy od sąsiadów przychodzi Beatrice, Niewidoma Ptaszyna, która śpiewa w każdej audycji. Wtedy obie z Matką Smith, która gra na fisharmonii, idą do saloniku przećwiczyć piosenkę Beatrice na dany dzień. Dorothy i Princess Mary Margaret przychodzą na program dwadzieścia pięć po dziewiątej.

Princess Mary Margaret merdaniem wita pozostałe osoby, które przybyły posłuchać programu na żywo i siedzą w saloniku. Niekiedy wskakuje komuś na kolana i tak spędza cały czas audycji, a jeśli nie jest w odpowiednim nastroju, wchodzi do swojego kosza umieszczonego pod biurkiem Dorothy, co nieraz wywołało komentarze, że pies jest lepiej ułożony niż Bobby – Potem Dorothy wita swoich gości i zebranych słuchaczy, którymi są na ogół pasażerowie czekający na autobus lub członkinie klubu pań. Siada jeszcze na chwilę, by po raz ostatni rzucić okiem na program audycji i reklamy, po czym wygląda przez okno, by móc podać słuchaczom najaktualniejszy stan pogody. Punktualnie o wpół do dziesiątej zaczyna migać czerwone światełko na fisharmonii, oznaka, że sajuż na antenie, Matka Smith gra parę taktów motywu przewodniego i tak audycja się zaczyna. Wszyscy w mieście i okolicy mają nastawione radio na ten program.

Tego dnia pani Elnor Shimfissle, grubokoścista wieśniaczka o prostych, ale przyjemnych rysach, mieszkająca piętnaście mil od miasteczka, nakarmiła drób, garściami syjąc karmę

Purina z białoniebieskiego cętkowanego garnka. Kurczaki, przeważnie rasy Rhode Island Reds, rozbiegły się we wszystkie strony z dziobami tuż przy ziemi, każdy starając się przechytryć resztę w wyścigu po ziarenka. Pani Shimfissle ubrana była w nowy zielony fartuch, nałożony na wyblakłą nieco suknię w kwiatowy deseń, a na nogach miała wygodne sznurowane buty, jakie noszą starsze kobiety.

Zasłoniła oczy od słońca, by popatrzeć na pole, gdzie w oddali jej mąż orał zaprzężonymi do pługa dwoma czarnymi mułami, i zawołała: „Hop, hop, Will!” Nieduży mężczyzna w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem zatrzymał się, pomachał jej i wrócił do orania. Kiedy opróżniła już cały garnek, podeszła do studni, wypłukała naczynie i powiesiła je na gwoździu wbitym w boczną ścianę domu, w pobliżu blaszanej wanny. Jeszcze raz spojrzała w słońce, wytarła ręce o fartuch i domyślając się, że to już pora, weszła do domu. Od czwartej była na nogach, zdążyła już wydoić krowy, zebrać jajka, dać mężowi śniadanie, wyszorować w kuchni podłogę, zrobić przepierkę, rozwiesić pranie na sznurze, namoczyć parę drelichowych spodni, przygotować pieczeń i odstawić szesnaście słoików dżemu figowego. Uznała, że może sobie pozwolić na chwilę odpoczynku, nalała więc sobie kubek kawy, a po drodze wzięła jeszcze ołówek i zeszyt, by móc zanotować nowe przepisy. Włączyła radio, które zawsze było nastawione na WDOT, jedyną stację, którą dobrze było słyszeć z tak daleka, i usłyszała zapowiedź audycji Sąsiadki Dorothy, programu, którego słuchała od szesnastu lat.

Audycji tej pani Shimfissle słuchała regularnie, tak samo jak wiadomości rolniczych, „Czasu modlitwy”, „USA” oraz „Grand Ole Opry”. Tego dnia audycja zaczęła się jak zwykle radosnym powitaniem:

– Dzień dobry, witajcie wszyscy. U nas, w Elmwood Springs, jest ładna pogoda, mam nadzieję, że u was też jest ładnie. Tyle wspaniałych wiadomości mam dziś dla was... tyłu gości programu... taka jestem tym przejęta. Obok mnie siedzi ktoś, z kim chcielibyście na pewno porozmawiać. To pan Milo Shipp, który przyjechał tutaj aż z Nowego Jorku, żeby opowiedzieć wam o swojej nowej książce, Deszczowe wzgórza, wprost nie możemy się tego doczekać. Powitajmy też naszych gości obecnych w studiu.

Jest to sześć pań z Klubu Ogródkowego Claire De Lunę, które zaraz jadą do St. Louis na wielki pokaz kwiatowy... – Tu Matka Smith zagrała parę taktów ze Spotkajmy się w St. Louis.

– Wiem, że wszyscy będą się tam świetnie bawili. Ale tutaj mamy dla was także wiele atrakcji. Oprócz naszych stałych gości, Siostry Ruby Robinson i Beatrice, Niewidomej

Ptaszyny, która nam zaśpiewa... co zaśpiewa? Zakochałam się w mężczyźnie z Księżycą... w naszym muzycznym programie na dziś są też Siostry Goodnight, które obiecały wpaść do nas troszkę później, by zaśpiewać na cześć naszego przyjezdnego gościa: Mój ukochany poszedł na dno ze swym statkiem. Mówi się, że to smutna piosenka, ale nie udało nam się znaleźć niczego innego, co by miało „statek”* w tytule.

Zanim jednak przejdziemy do naszego wywiadu, chciałabym serdecznie pozdrowić naszych najnowszych sponsorów – Verne Clapp, producenta przecieranych produktów dla dzieci, będziemy jeszcze wiele mówili na ten temat w dzisiejszym programie. Ale najpierw, na wypadek gdybyście się zastanawiali, co to za hałas, musicie wiedzieć, że to nie wasze radio. Foksterierka Biednej Tot znowu się oszczeniła i ten hałas pochodzi z pudełka, gdzie baraszkuje dwanaście najwspanialszych szczeniąt, jakie kiedykolwiek widzieliście, prawda, panie Shipp? On mówi, że tak.

Matka Smith zagrała jeden czy dwa takty piosenki Ile kosztuje ten piesek w oknie?, co Dorothy skwitowała śmiechem.

– Te są zupełnie za darmo, Tot zależy jedynie na tym, żeby trafiły w dobre ręce. Powiada, że jest tu pięciu chłopców i siedem dziewczynek, ale lepiej nie wierzyć jej na słowo. Znamy matkę, ale ojciec jest absolutnie nie znany. Sądząc po ich wyglądzie, wnioskuje, że szczęściarzem jest airedale z naszej ulicy, przychodźcie więc i weźcie sobie po jednym. Aha, żebym nie zapomniała, chciałam jeszcze powiedzieć, że bardzo się cieszę ze wszystkich nadesłanych listów z przepisami do naszej książki deserów. Pani Frances Cleverdon z Arden w Oklahomie pisze:

Droga Sąsiadko Dorothy!

Bardzo mi się podoba Twój pomysł z książką deserów. Chętnie wniosę swój wkład do niej, podając przepis na ulubiony deser z rodzaju Nesselrode.

Nieprzetłumaczalna gra słów – piosenka ze statkiem (ang. ship) w tytule miała uhonorować pana Shippa.

– Dziękuję, Frances. Widzę, że mamy tu jeszcze parę ogłoszeń z naszej rubryki: „kupię – zamienię”. Pani Irene Neff z Elkton pyta, czy ktoś przypadkiem nie ma filcowych kapci męskich, kolor brunatny, rozmiar dziewiątka, z wyhaftowanym czarnym Indianinem, gotowa

jest dać cztery ściereczki do naczyń za parę, a choćby i za jeden kapeć: lewy. Natomiast pani Claudia Graham z Blue Springs poszukuje pudełeczka po pudrze Lady Esther. Samo pudełeczko, nie puder. Da na wymianę flakonik perfum Evening in Paris. Ale zanim przejdziemy do naszego wywiadu i piosenek, chcę ogłosić zwycięzcę w naszym konkursie „Najzabawniejsza rzecz, jaka mi się przydarzyła”.

Matka Smith zagrała fanfarę.

Droga Sąsiadko Dorothy!

Któregoś dnia szorowałam w kuchni zlew w nieskończoność, ale nie chciał się doczyścić.

Wtedy weszła moja córka i zapytała, dlaczego nasypałam do zlewu tyle parmezanu.

Następnego dnia mój mąż poszedł ze mną kupić mi okulary.

Podpisano: Pani Mina Fleet z Mount Sterling, Kentucky.

– Gratulujemy! Wygrałaś pięcioletni woreczek mąki Złote Płatki. Jak upieczesz na niej ciasteczka, to twoja rodzinka będzie się oblizywała ze smakiem, takie będą pyszne! Poza tym wiem, Mina, jak się czujesz, sama potrzebuję już okularów. Co jeszcze miałam wam dziś przekazać? Aha. James Whooten właśnie skończył odnawiać dom Whatleyów, więc jest wolny. Powiedział: wy potrzebujecie malarza, a ja roboty, więc dzwońcie. Co tam jeszcze? Co? O, Matka Smith powiada, że zapomniałam zadać wam pytanie tygodnia. Wybaczcie, dziewczynki, poniedziałek jest zawsze pełen nowości, jestem trochę rozkojarzona, tyle ciekawych rzeczy się wydarzyło. Gdzie jest to pytanie? Przecież miałam je gdzieś tutaj. Nagle w hallu zadzwonił telefon.

– O, mam, znalazłam. Pytanie brzmi: „Jaki jest wasz ulubiony sprzęt do gotowania i dlaczego?” Czy my czasem nie mieliśmy już tego pytania, Matko Smith? Mówi, że nie, więc chyba nie mieliśmy. A kto tam do mnie dzwoni? Będzie musiał zatelefonować za trzydzieści minut, ponieważ teraz jestem na antenie. Po dziesiątej, proszę. – Telefon umilkł. – Przepraszam na chwilę, dziewczynki. – Dorothy zasłoniła dłonią mikrofon. – Bobby! Zanieś to natychmiast do kuchni i odłóż na miejsce!

W tym momencie postawny mężczyzna wszedł na ganek i stamtąd przez okno do saloniku podał Dorothy kartkę papieru, a ona natychmiast przeczytała na antenie, co tam było napisane.

– Merle mówi, że jeśli w sobotę będzie padał deszcz, smażenie ryb w klubie Elków

zostanie przeniesione do American Legion Hali, po drugiej stronie ulicy. No dobrze, dziękuję, Merle, miejmy jednak nadzieję, że w sobotę nie będzie padało. A teraz następny punkt programu, czyli rozmowa z naszym sławnym pisarzem z samego Nowego Jorku, który opowie nam o swojej nowej książce. Wiem, że spodoba wam się to, co on wam powie. Dorothy nachyliła się, by odlepić karteczkę przyklejoną scotchem do woreczka mąki naleśnikowej Złote Płatki zostawionego dla pamięci na biurku.

– A skoro mówimy o książkach, to mam tu coś, co pana może rozśmieszyć, panie Shipp. Otóż pani Patricia Lennon z St. Paul w Minnesocie podczas robienia porządków na strychu znalazła książkę wypożyczoną z biblioteki dwadzieścia osiem lat temu. Opłata biblioteczna urosła przez ten czas do trzech tysięcy dolarów. A jaki jest tytuł tej książki? Jak poprawić pamięć. Sprawdźcie więc, czy oddaliście książki w terminie. Zanim jednak przejdziemy do pana Shippa, muszę was jeszcze o coś zapytać: czy marzyliście kiedyś o tym, żeby wybrać się gdzieś daleko na południe, w stronę Meksyku? – Sąsiadka Dorothy dała znak Matce Smith, która natychmiast zaprezentowała próbkę meksykańskich gorących rytmów. – Wiecie, jak mówią ludzie z Niblets? Precz z nijakością, niech żyje aromat. Racja, niech żyje meksykańska odmiana kukurydzy! Kukurydza o pełnym ziarnie zmieszana z czerwoną i zieloną papryką. Teraz będziecie mogli urządzić u siebie w domu prawdziwą meksykańską fiestę, a cała wasza rodzina zakrzyknie: „Ole!”

Tymczasem Milo Shipp, pisarz o szczupłej sylwetce, z muchą pod szyją, siedział na krześle oniemiały, trzymając w jednej ręce ciasteczko, mając na kolanach dużą spanielkę i patrząc, jak chłopak z ubijaczką do jajek co chwila wpadał i wypadał z pokoju. Nagle ośmioro ludzi z walizkami podniosło się i wyszło, by wsiąść do Greyhounda, który akurat zajechał przed dom i zatrąbił, natomiast szczeniaczek, zadając kłam staremu porzekadłu, że wszystkie szczeniaczki są urocze, wygramolił się z pudełka i z zapalem zaczął obgryzać sznurowadła pisarza.

Kilkoro maluchów w wieku poniżej sześciu lat, które miały zajęcia przedszkolne na tylnym ganku, przemykało się do saloniku, by wziąć sobie ciasteczko i pogłaskać szczeniaczka, a dwie nastolatki, chichocząc bez przerwy, zakradały się zza węgła, by mu się przyjrzeć. Po paru minutach wyszły dwie jednakowo ubrane paniusie w średnim wieku, Ada i Bess Goodnight, i idealnie równo zaśpiewały okropną piosenkę o tonącym „Titanicu”, cały czas przy tym machając do niego i śląc uwodzicielskie uśmiechy. Otumaniony tym wszystkim Milo, odmachując im bez przekonania i usiłując zmusić się do uśmiechu, zastanawiał się,

w co też się wpakował i co, u diabła, skłoniło wydawcę, by wysłać go do tego domu wariatów. Przejechał niemal całą Amerykę do miejsca, gdzie diabeł mówi dobranoc, wierząc złotoustym zapewnieniom, że ta Sąsiadka Dorothy dzięki swojej audycji potrafi sprzedać więcej książek niż ktokolwiek inny na całym Środkowym Zachodzie. Ale teraz, patrząc na tę okrągłą gospodynię domową o nijakim wyglądzie, siedzącą za biurkiem, na którym piętrzył się stos papierów, wśród kwiatów doniczkowych, z kulistym akwariem ze złotą rybką, ustawionym na ceramicznej podstawie w kształcie kota, uznał to za mało prawdopodobne.

Po dwudziestu dziewięciu minutach, jednej rozmowie i trzech przepisach Dorothy podniosła głowę i zauważyła:

– Och, ten nieszczęsny zegar na ścianie przypomina, że... pora kończyć. Jak zwykle z przyjemnością spędziłam z wami ten czas przy wspólnej filiżance kawy. Dzięki wam czujemy się szczęśliwi. A kiedy zaglądam do naszej skrzynki i widzę wszystkie te listy, które mi przysyłacie, czuję się jak milionerka. Będę za wami tęskniła, do jutra więc, spotkamy się, prawda? Sąsiadka Dorothy i Matka Smith życzą wam udanego dnia.

A tam, na swojej farmie Elnor Shimfissle podniosła się, podeszła do radia, by je wyłączyć, i wylała do zlewu resztki kawy. Wolałaby, żeby Sąsiadka Dorothy rozdawała kocięta, a nie szczeniaczki. Will powiedział, że następnym razem, kiedy będą kocięta, pojedą do miasta, żeby sobie wziąć jednego. Elnor schowała przepis na ciasto, jak też nagryzmoła tytuł książki tego pisarza. Trudno byłoby powiedzieć o niej, że pochłania książki, ale ta wygląda na ciekawą. Zapowiadała się radośniejsza część dnia, jak po wizycie dobrego przyjaciela.

Jeśli zaś chodzi o pana Shippa, to nie zdawał on sobie sprawy, jakie miał szczęście, że Sąsiadka Dorothy zgodziła się gościć go w swojej audycji. Jej słuchacze, znajdujący się w promieniu pięciu stanów albo i jeszcze dalej, dobrze wiedzieli, że nie polecałyby książki, która by jej się naprawdę nie podobała. Mogli też być pewni, że skoro jej się coś podoba, to najprawdopodobniej im też przypadnie do gustu.

Trzy tygodnie później, kiedy pan Shipp znalazł się w biurze swojego wydawcy i cały personel powtarzał mu: „A nie mówiliśmy?”, musiał sam przyznać, że nie wystawił się na pośmiewisko, jadąc na Środkowy Zachód, ale że ten wyjazd utorował mu drogę do dużych miast. Ku jego wielkiemu zdziwieniu książka Deszczowe wzgórza skoczyła niespodziewanie

na trzecie miejsce listy bestsellerów „New York Timesa”, dotąd dla niego nieosiągalne. Ale był tylko jednym z wielu, których zadziwiło lub miało jeszcze zadziwić, czego ta kobieta potrafiła dokonać.

Siostry Goodnight

Wprawdzie pan Milo Shipp mógł uważać, że zaprzyjaźnione z Dorothy siostry Goodnight, te, które w zgodnym unisono dawały mu wymowne znaki, są trochę dziwne, nikt jednak w miasteczku nie podzielał jego zdania, a wszyscy znali je od urodzenia. Oczywiście ich pojawienie się na świecie wywołało sporo sensacji. Bliźnięta są rzadkością, więc wszyscy z całej okolicy przychodzili je zobaczyć. Ich matka, Hazel Goodnight, która w tym czasie pracowała jako kierowniczka poczty, wystawiała je na pokaz w pokoiku na zapleczu do czasu, aż skończyły pięć lat.

Mimo że Hazel traktowała je, jakby były bliźniętami jednojajowymi, i ubierała je w jednakowe ubranka, w rzeczywistości dziewczynki wcale nie były identyczne. Ada, starsza o półtorej minuty, nosiła ubrania o rozmiar większe, ważyła też przynajmniej o cały funt więcej niż Bess, ale żeby przypodobać się matce, nadal ubierały się jednakowo. Fryzury również nosiły takie same, zaondulowane w drobne loczki, jednego dnia także odwiedzały kosmetyczkę. Obie miały otwartą i przyjazną naturę, w mieście uchodziły za śmieszki. Jeśli jedną o coś się pytało, druga odpowiadała, były tak ze sobą zżyte, że nieraz jedna kończyła zdanie zaczęte przez drugą.

Nigdy się ze sobą nie rozstawały, z wyjątkiem tygodniowej podróży poślubnej Bess i podczas wojny. Po ataku na Pearl Harbor Ada, zawsze odważniejsza od siostry, potraktowała atak personalnie i zadziwiła wszystkich, pakując manatki następnego dnia i przysięgając „znieść Japońców z powierzchni ziemi” za wszelką cenę.

Większość mieszkańców miasteczka wzięła tę przysięgę na serio. Przecież to Ada doprowadziła żeńską drużynę softballu do mistrzostwa stanu w roku 1936. A ponieważ chodziła z Vernem Suttle'em, który był pilotem rolniczego samolotu wykonującego opryski, miała jakieś pojęcie o samolotach, ostatecznie więc wylądowała w grupie WASP-ów odbywającej szkolenie w Avenger Field w Sweetwater w Teksasie. To było trudne szkolenie i sporo uczestników odpadło. Ada wytrwała wiele ciężkich i zmudnych godzin, ale kiedy napisała do domu, narzekała tylko na dwie rzeczy: za mało mężczyzn i za dużo robactwa.

Po tym, jak Ada zaciągnęła się do wojska, jej siostra Bess przystąpiła do walki na lokalnym froncie. Nie tylko objęła kierownictwo śródmiejskiej filii Western Union, ale też zgłosiła się jako ochotniczka do Czerwonego Krzyża i w każdej wolnej chwili pomagała rozdzielać żywność na stacji kolejowej. Wkrótce po wybuchu wojny Sasiadka Dorothy zawiązała organizację kobiecą czuwającą nad tym, by każdy oddział żołnierzy jadący transportem na wojnę, który przejeżdżał przez Elmwood Springs, witany był gorącą kawą, paczkami, kanapkami i domowym ciastem. Przeważnie żołnierzami byli wystraszeni młodzi chłopcy, udający zuchów, niemniej jednak pisali na karteczkach swoje imię, nazwisko i adres, po czym wyrzucali je przez okno w nadziei, że jakaś dziewczyna znajdzie je i będzie do nich pisała. Pod koniec wojny Elmwood Springs szczyliło się faktem, że każdy chłopiec, który wyrzucił przez okno karteczkę z imieniem i adresem, dostawał listy. W czasie wojny co wieczór dziewczęta spędzały całe godziny na pisaniu listów. A co rano, kiedy podczas porannej toalety umalowały usta na karminowo, pieczętowały koperty czerwonym odciskiem ust. Za morze słało tysiące paczek z domowymi wypiekami, słodyczami, wełnianymi skarpetkami robionymi na drutach. Do codziennych obowiązków Bobby'ego i Monroe'a należało oblecieć wczesnym rankiem całe miasto i zebrać listy, tak aby można je było wyekspediować z pierwszą pocztą. Macky Warren, miły chłopak o płowej czuprynie, zbyt młody, by wzięto go do wojska, nie był zbyt zachwycony, że Norma, jego dziewczyna, pisała listy do wielu żołnierzy, jednak nic jej nie powiedział. To niepatriotyczne być zazdrosnym o mężczyzn walczących na wojnie. Ci żołnierze, którzy w odpowiedzi pisali, że nie mają swoich dziewczyn, prosili o zdjęcia. Tym sposobem zdjęcia Anny Lee, Normy, Patsy Marie i wielu innych przejechały pół świata, biorąc udział w wielu bitwach, oglądane po kilka razy dziennie przez chłopców, których nigdy nie poznały. W ciągu tych lat niektórzy żołnierze, zwłaszcza ci, co nie mieli licznej rodziny, zawiązali dłuższe przyjaźnie ze swymi korespondencyjnymi znajomymi z Elmwood Springs. Nie wszystkie jednak były młodymi, ładnymi dziewczętami. Bess Goodnight miała trzydzieści lat i męża, a pisała listy do osiemnastu żołnierzy. Wszystkim posłała fotki Rity Hayworth do powieszenia na ścianie, a każdą opatrzyła dedykacją: od Bess Goodnight z wyrazami miłości. Po wojnie kilku żołnierzy przyjechało do miasteczka, żeby ją odwiedzić. Chcieli poznać Bess, której listy tyle dla nich znaczyły, gdyż dzięki nim czuli się bliżej domu. Jak każda wojna, i ta sprawiła, że dzięki niej wielu ludzi się spotkało, co nie nastąpiłoby w innych okolicznościach. Na przykład w 1943 roku Ada Goodnight tuż po tym, jak zaczęła latać, będąc na przepustce, pojechała na

weekend do Nowego Jorku, otarła się o sławę i spotkała prawdziwą gwiazdę Hollywood. I gdyby nie pewien nieznajomy, spotkanie to przeszłoby całkowicie przez nią niezauważone. Tamtego wieczoru ona i jeszcze kilka dziewczyn z tej samej eskadry poszły do miasta zabawić się i trafiły do znanego lokalu, gdzie jakiś mężczyzna poprosił Adę do tańca. Potem tak to relacjonowała: „Wiecie, tańczyłam rumbę w nocnym klubie El Morocco z gwiazdorem filmowym i nawet o tym nie wiedziałam. Podszedł do mnie taki nieduży, krępy facecik, zapytał, czy zatańczę, a kiedy wstałam, złapał mnie w pasie i szust! Dalej w tany! Szarpał mną wte i wewte, w tył i w przód, po całym parkiecie, a kiedy w końcu wróciłam na miejsce, nie mogąc złapać tchu, wtedy – jak babcie w trypcie – jakiś men, co siedział przy sąsiednim stoliku, wychylił się do mnie i mówi: »Może nawet nie wiesz o tym, młoda damo, ale właśnie tańczyłaś rumbę z panem George’em Raftem!« Zrobiło mi się strasznie głupio. Bo nie tylko, że nie rozpoznałam George’a Rafta, ale do tego nie wiedziałam, że tańczę rumbę!”

Ada miała przeżyć jeszcze więcej, znacznie bardziej niebezpiecznych przygód. Jednym z zadań jej eskadry było na przykład latanie nad polem artyleryjskim i jednoczesne ciągnięcie za samolotem jedwabnych celów, do których nasi żołnierze mieli trafiać, wprawiając się w zestrzeliwaniu przeciwnika. Nie wszystkie strzały były trafione, zdarzało się, że pocisk zamiast w cel, trafiał w samolot. Jak Ada donosiła w swym liście do Bess, ogon jej samolotu był tak podziurawiony, że wyglądał niczym ser szwajcarski.

Tymczasem w miasteczku, choć życie wyglądało nie tak bohatersko ani też nie tak niebezpiecznie jak u Ady, wszystkie wysiłki mieszkańców zmierzały do wygrania wojny. Dorothy dostosowała swoje przepisy do racjonowanej żywności i ograniczyła ilości podawanych składników tłuszczu, mięsa, cukru i masła. Przy każdym domostwie zakładano ogródki zwycięstwa, a doktor Smith został szefem obrony przeciwlotniczej. Przeprowadzono z powodzeniem kilka prób zaciemnienia, chociaż nie wydawało się prawdopodobne, żeby Japończycy czy Niemcy zbaczali ze swoich wojennych szlaków, by zaatakować Elmwood Springs. Ale nawet jeśli nie czuło się zagrożenia bezpośrednim atakiem, to jednak lata wojny oznaczały zgrzyotę i zmiany. W 1942 roku cała starsza drużyna zawodników piłki nożnej liceum w Elmwood Springs została powołana do wojska następnego dnia po maturze i nie wszyscy wrócili. Nordstromowie, właściciele piekarni, stracili swego syna Gene’a pod Iwo Jimą w 1944 roku, nie wróciło też kilku chłopców mieszkających na farmach na obrzeżach miasteczka. Niektóre starsze dziewczęta i kobiety, które wyjechały do dużych miast, by podjąć pracę w fabryce, po powrocie już inaczej się zachowywały i inne miały ambicje niż

przedtem. Ada Goodnight powiedziała do siostry, że skoro ona nauczyła się latać, to nie ma żadnych ograniczeń w tym, co mogą robić kobiety; zresztą tego dowiodła. Przeprowadziła do domu swego nowego męża, przedstawiła go całemu miastu jako „wojennego pana młodego”, po czym zaraz założyła własną szkołę latania. Żołnierze po powrocie z wojny wydawali się poważniejsi niż przed wyjazdem. Ale nawet ci, którzy zostali w domu, dorastali szybciej niż w normalnych warunkach, nie wykluczając Anny Lee.

Będąc w wieku, w którym na ogół jedyną troską są ładne ciuszki, wyjście na zabawę i inne rozrywki, Anna Lee otrzymała list.

24 października 1945 Yorkshire, Anglia Droga Panno Smith!

Z przykrością zawiadamiam, że Pani przyjaciel, starszy szeregowy Harry Crawford z Armii Stanów Zjednoczonych, zmarł w szpitalu dziś rano z powodu odniesionych ran.

Mimo że znałam go niezbyt długo, muszę Pani powiedzieć, że był to bardzo miły chłopak i do samego końca okazywał odwagę i męstwo.

Jeśli może to być jakimś pocieszeniem, musi Pani wiedzieć, że Pani listy i zdjęcie stanowiły dla niego osłodę w ostatnich dniach jego życia. Ponieważ to właśnie ja mu je czytałam, czuję się upoważniona do napisania i zwrócenia Pani listów i zdjęcia, jak również przesłania wyrazów najgłębszego współczucia z powodu poniesionej straty.

Z poważaniem, Glyniss Neale, R.N.*

Szpital Weteranów

Tego popołudnia matka robiła, co mogła, by pocieszyć Annę Lee, ale jedyne, co jej się udało, to siedzieć razem z nią i słuchać, jak szlocha.

* R.N. – Registered Nurse, dyplomowana pielęgniarka.

– Och, mamó, tak mi wstyd, nawet nie odpowiedziałam na jego ostatni list. Pomyślałam sobie, że teraz, kiedy wojna już się skończyła, nie muszę pisać tak często... Teraz jest już za późno... Och, tak okropnie się czuję, że chciałabym umrzeć.

Wkrótce potem Anna Lee uroczyście oświadczyła rodzicom, że postanowiła nigdy nie wychodzić za mąż i poświęcić się pracy pielęgniarskiej.

– To wspaniale, kochanie – odpowiedziała matka – ale zaczekajmy, aż skończysz szkołę, i wtedy zastanowisz się na nowo.

Dorothy z pewnością nie miałyby nic przeciwko temu. Ich najbliższa sąsiadka, siostra Ruby Robinson, zawsze mawiała: „Pielęgniarstwo to pewny zawód”. Jednak Dorothy nie była przekonana, że Anna Lee wytrwa w swojej decyzji. Zeszłego lata na przykład Anna Lee oświadczyła, że zamierza zostać zawodową łyżwiarką na lodzie i podróżować po świecie. Było to dziwne postanowienie jak na dziewczynę, która nigdy w życiu nie znalazła się nawet w pobliżu lodowiska, ale jak Matka Smith zauważyła ze spokojem, Anna Lee po prostu obejrzała o jeden film z Sonją Henie za dużo.

Niewidoma Ptaszyna

Po wojnie liczba mieszkańców Elmwood Springs pozostała raczej nie zmieniona, z wyjątkiem nowego męża Ady Goodnight oraz Marion, synowej Nordstromów, i ich nowego wnuczka, który odtąd miał z nimi mieszkać. Beatrice Woods, znana swoim radiowym fanom jako Niewidoma Ptaszyna, po raz pierwszy przeniosła się do Elmwood Springs wiosną 1945 roku. Oficjalnie lokatorka Ruby i Johna Robinsonów, płacąca im czynsz, była jednak daleką krewną Ruby. Jej przyjazd do nich okazał się szczęśliwym dla wszystkich splotem okoliczności. Jak powiedziała Dorothy, „każdy znalazł się na właściwym miejscu we właściwym czasie”.

W tym przypadku właściwym miejscem okazał się pogrzeb pani Lillian Sprott, starszej siostry Ruby. Z tej okazji Ruby i jej mąż, John, pojechali do Franklin w Tennessee. Beatrice Woods, która była kuzynką Lillian ze strony jej męża, miała zaśpiewać na pogrzebie. W tym czasie Beatrice mieszkała z ojcem na niewielkiej farmie za miastem.

Niewidoma od urodzenia Beatrice przeżyła dziewiętnaście lat swojego życia właściwie w obrębie czterech ścian swojego domu. Z wyjątkiem niedzielnych wyjść do kościoła i innych rzadkich okazji, większość czasu spędzała na słuchaniu radia. Wtedy nauczyła się na pamięć niemal każdej zasłyszanej piosenki.

Od chwili, kiedy po raz pierwszy zaśpiewała w kościele, stała się znana w bliższej i dalszej okolicy. Ludzie przyjeżdżali z odległości wielu mil, by posłuchać niewidomej dziewczynki, która śpiewa jak anioł. Pewnej niedzieli kaznodzieja wizytujący kościół, wzruszony do łez jej pięknym, wdzięcznym głosem o wysokich tonach, powiedział, że jej śpiew jest czysty i jasny jak trele ptaszyny śpiewającej o brzasku dnia. Od tej pory Beatrice nazywano Niewidomą Ptaszyną z Tennessee.

W dniu pogrzebu Lillian Sprott, kiedy pastor dał znak, ojciec poprowadził ubraną na biało Beatrice przez całą nawę, posadził ją na krześle i położył na kolanach cytę. Zaśpiewała starą pieśń Ktoś tam na mnie czeka na górze, a na koniec nabożeństwa jeszcze Zapanuje pokój w dolinie.

Kiedy skończyła, nie było osoby, której oczy pozostałyby suche. Pewna kobieta, niezbyt bliska drogiej nieobecnej, zauważyła, że śpiew ten otworzył Lillian drogę do raj, bez względu na to, czy zasłużyła na niebo, czy nie. John Robinson powiedział Ruby, że Beatrice powinna zaśpiewać w audycji Sąsiadki Dorothy, która zawsze poszukiwała nowych talentów. Po południu ojciec zapytał Beatrice, czy chciałaby pojechać. Odpowiedziała prędko, że tak, i już dwa dni później zaśpiewała w radiu piosenkę zatytułowaną Zawsze. W audycji Sąsiadki Dorothy gość programu nie był niczym nadzwyczajnym. W ciągu tych lat Dorothy wypromowała wielu śpiewaków. Zaledwie przed tygodniem przybyły z Kanady dwunastoletni Ian Barnard, którego przedstawiano na afiszach jako „Cudowne dziecko pieśni i tańca z Windsoru”, wzbudził sensację, śpiewając Gdybyście znali Susie i stepując w takt tej melodii. Jednak dotychczas żaden solowy występ nie spotkał się z tak wielkim zbiorowym entuzjazmem, jak pierwszy występ Beatrice Woods. Telefony urywały się, masowo zaczęły napływać listy od słuchaczy, którzy koniecznie chcieli jeszcze usłyszeć Niewidomą Ptaszynę z Tennessee. A podczas jej drugiego występu, kiedy zaśpiewała piosenkę o psie Stary pasterz, każdy, kto kiedykolwiek przeżył lub mógłby przeżyć śmierć psa, nie wytrzymał i płakał, nie wyłączając Sąsiadki Dorothy, która musiała wyjść z pokoju, a kiedy wróciła, ledwie była w stanie zakończyć audycję. W sklepie z artykułami gospodarstwa domowego piętnastoletni Macky Warren, który pomagał swojemu ojcu, kiedy usłyszał tę piosenkę, rozżalił się tak bardzo nad śmiercią swego psa Tessa, że aż się pochorował i musiał pójść do domu. Niewidoma Ptaszyna okazała się taką rewelacją, że Sąsiadka Dorothy zaprosiła ją do cotygodniowych występów, a firma produkująca mąkę Złote Płatki Lekkie jak Piórko zgodziła się płacić za wynajęcie jej pokoju i utrzymanie. Ojciec znów ją przywiózł do Elmwood Springs, tym razem z ubraniami i radiem. Jak się okazało, Beatrice знаła setki piosenek i mogła zaśpiewać wszystko – poważne pieśni, lekkie piosenki, pieśni kościelne, melodie ludowe, cokolwiek. Wkrótce proszono o nią tak często, że zaczęła codziennie występować w programie Sąsiadki Dorothy. A ponieważ mieszkała teraz w Missouri, ze swego miana odrzuciła określenie „z Tennessee”, pozostając tylko „Niewidomą Ptaszyną”. Nie musiała daleko chodzić, gdyż Ruby i John mieszkali tuż obok. Doc przeciągnął linę od

jednych drzwi z tyłu domu do drugich w sąsiednim domu, tak więc bez kłopotu mogła sama przejść tam i z powrotem. Świetnie się to sprawdzało w suche dni, a kiedy padało, miała czekać na ganku, aż ktoś po nią przyjdzie i ją przeprowadzi.

Tajemnica

Bobby pierwszy odkrył tajemnicę Beatrice. Któregoś deszczowego dnia Dorothy wyjrzała przez kuchenne okno i zobaczyła, że ulewa ani trochę nie zelżała, powiedziała więc Bobby'emu, żeby lepiej poszedł po Beatrice. Bobby chętnie się zgodził, skończył akurat śniadanie i już był przy drzwiach, kiedy matka go zatrzymała.

– Weź parasol – poleciła.

Bobby jęknął. Nie miał nic przeciwko temu, żeby przyprowadzić Beatrice – szczerze ją lubił – ale miał wiele przeciwko parasolowi. Burcząc coś pod nosem, zaczął grzebać w wielkiej szafie w przedpokoju, gdzie jego matka przechowywała grube zimowe ubrania, i w końcu wyciągnął stamtąd wielki czarny parasol, którego szczerze nie znosił. Ten najeżony drutami stwór dręczył go od lat. Pomijając fakt, że był niemal tak samo duży jak Bobby, miał też własny rozum, a do tego złośliwy i dokuczliwy charakter. Zawsze jeden drut musiał się wysunąć, a kiedy już Bobby uporał się i złożył go, zaraz uwalniało się kilka następnych. Poza tym stały problem stanowiło wyjście z nim przez drzwi od podwórka, tak aby nie omsknąć się ze schodów. Matka Smith zawsze przestrzegała go, by nie otwierał parasola w mieszkaniu, bo to przynosi pecha, ale jeśli otwierało się parasol na zewnątrz, tak długo to trwało, że zdążył przemoknąć do suchej nitki, zanim uporał się z całym mechanizmem.

Zaciągnął więc potwora na schody, rozwarł go z całej siły, ale jak zwykle jeden drut z lewej strony wysunął się z uwięzi i sterczał teraz jak na urągowisko. Bobby postanowił nie drażnić się ze swym wrogiem, trzasnął drzwiami i zbiegł po schodkach ze złożonym parasolem. Beatrice, już ubrana, czekała na niego. Miała na sobie żółtą pelerynę, kapelusz przeciwdeszczowy i kalosze, które Siostra Ruby uparcie kazała jej wkładać, mimo że chodziło tylko o przejście z domu do domu. Beatrice powitała go, jeszcze zanim uchylił siatkowe drzwi.

– Cześć, Bobby – powiedziała, rozpoznając go po krokach, a właściwie po sposobie, w jaki wbiegał na schody.

Gwarząc, szli obok siebie, ramię przy ramieniu.

– Co dziś zaśpiewasz?

– O, jeszcze nie wiem... A jak myślisz?

Bobby zastanowił się nad tym, prowadząc ją bezpiecznie obok dużej kałuży.

– Może Zimna, zimna woda’? – Gust muzyczny Bobby’ego podsuwał mu najpierw piosenki kowbojskie. – Albo Kwietniowe ulewy!

Beatrice skinęła głową.

– Dobrze. Te są ładne.

Matka Smith czekała na nich tuż przy drzwiach.

– Kapitalne! – zawołała. – Chodźcie, musicie zdjąć z siebie te mokre rzeczy!

Beatrice uwielbiała poranne wizyty u Smithów. Zapach świeżo upieczonego ciasta, odgłos wchodzących i wychodzących ludzi, tabuny fanów wpadających choćby na chwilę stanowiły dla niej całkowitą odmianę w porównaniu z ciszą pustych pokojów jej rodzinnego domu, gdzie spędzała większość czasu.

Dom Robinsonów z kolei pachniał lizolem i środkami dezynfekcyjnymi, jako że Ruby wyznawała zasadę: „Nie ma takich bakterii, których bym nie zwalczyła”. Przeważnie po audycji Beatrice zostawała jeszcze na lunch i wracała do domu około pierwszej. Tego dnia ulewa nie ustawała, więc Bobby został przywołany ze swojego poddasza, gdzie ekspediował glinianych żołnierzyków czołgiem zrobionym z dużego pudła od zapalek. Kiedy wyszli kuchennymi drzwiami i Beatrice usłyszała, jak Bobby znów zмага się z parasolem, szepnęła:

– Daj sobie z tym spokój. Nie musimy iść pod parasolem.

Bobby rozpromienił się.

– Nie przeszkadza ci, że zmokniemy?

– Nie. Chodzenie po deszczu może być fajne, nie sądzisz?

– Jasne!

Zdjęła kapelusz i wsadziła go do kieszeni.

– Idziemy!

Przez następne dziesięć minut Bobby i Beatrice byli rozbawieni jak nigdy w życiu, biegając boso po chodniku i wskakując w każdą kałużę, jaką Bobby wypatrzył. Mieli właśnie zamiar przejść się znów do rogu, kiedy Ruby, która właśnie wróciła do domu, wyjrzała przez okno i ich zobaczyła. Wybiegła na ganek i wrzasnęła na nich, żeby natychmiast wracali.

Powodowały ją wyłącznie względy zdrowotne; czuła się odpowiedzialna za stan zdrowia swojej lokatorki.

Ruby wpadła we wściekłość, kiedy zobaczyła ich kompletnie przemokniętych.

– Słyszałam o ludziach, którzy nie mają dość zdrowego rozsądku, by nie stać na deszczu, ale po raz pierwszy widzę ich na własne oczy. Nie do uwierzenia, że to właśnie ty, Bobby Smith, wyprowadzasz na taką ulewę tę biedną, małą niewidomą dziecinę.

– To nie jego wina – Beatrice starała się wziąć go w obronę. – To ja chciałam pochodzić po deszczu.

Siostra Ruby zmierzyła surowym spojrzeniem Bobby'ego, z którego woda skapywała na jej dywan. Zanim sprowadziła go na gazety, mruknęła jeszcze złowieszczo:

– Nie będzie miało większego znaczenia, czyj to był pomysł, kiedy umrzecie na obustronne zapalenie płuc. Obydwoje powinniście się wstydzić, żeby dla takiego głupstwa narażać na szwank własne zdrowie i życie. Będę zdziwiona, jeśli przeżyjecie najbliższy tydzień.

Wbrew jej ponurym przewidywaniom żadne z nich nie zachorowało, nie przeziębilo się ani nawet nie dostało kataru. Przez cały tydzień Siostra Ruby mierzyła im temperaturę, a w końcu, nie mogąc dopatrzeć się choćby najlżejszych oznak choroby, musiała skapitulować. Z termometrem wzniesionym do światła, który nieodmiennie wskazywał trzydzieści sześć i sześć, orzekła:

– Cóż, po prostu tym razem mieliście wiele szczęścia, i tyle.

Później tego dnia powiedziała do Dorothy:

– Wyobraź sobie, co by było, gdyby ta dziewczyna zapadła na zapalenie płuc i umarła, mieszkając pod jednym dachem z dyplomowaną pielęgniarką? Co by na to ludzie powiedzieli? Zresztą jestem odpowiedzialna za zdrowie całej tutejszej społeczności, a ja swoje obowiązki traktuję poważnie.

– Wiem, że tak jest – próbowała jej przerwać Sąsiadka Dorothy. – Wszyscy to doceniają, ale...

– Beatrice bierze to wszystko lekko – mówiła dalej Ruby. – Aleja muszę dbać o swoją zawodową reputację. Jakże mogłabym dalej udzielać przez radio medycznych porad, kiedy tuż pod moim okiem umarłaby moja lokatorka? No, powiedz mi: jak?

Dorothy usiłowała zachować umiar, a jednocześnie jej nie urazić.

– Wiem, Ruby, że troszczysz się o Beatrice, i to bardzo ładnie z twojej strony, ale czy nie wydaje ci się, że od czasu do czasu przydałoby jej się trochę rozrywki?

Siostra Ruby poprawiła czepek, przewiesiła przez ramię niebieską pelerynkę i prychnęła:

– Rozrywki? Nie, nie uważam, jeśli wystawianie na szwank własnego zdrowia ty nazywasz rozrywką.

Nie było sposobu przekonać Ruby, ale czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, a Bobby i Beatrice wpadli na pewien pomysł. Od tej pory Beatrice w tajemnicy brała udział w wielu eskapadach, o których Siostra Ruby nie miała pojęcia. Między innymi była to przejażdżka na taczkach, wyprawa do Blue Springs na tylnym siodełku motocykla któregoś z wielbicieli Anny Lee, galopada na grzbiecie muła, którego Monroe wypożyczył i przyprowadził, zjazd z ośnieżonej góry na spłaszczonym kartonie.

Raz tylko zostali przyłapani, kiedy jakiś plotkarz napomknął Siostrze Ruby:

– A propos, widziałem twoją lokatorkę, jak na stanowym jarmarku jeździła kolejką górską, i oboje z Bobbym Smithem darli się jak opętani.

Informacja była na tyle poważna, że Ruby przywdziała swój służbowy strój, czepek i pelerynkę, i pomaszerowała do domu Smithów, by wszystko opowiedzieć jego matce. Tym razem nawet Dorothy zaniepokoiła się jazdą kolejką górską.

– A gdyby tak spadła i skręciła sobie kark? – zapytała później Bobby’ego. A Bobby dziękował w duchu swojej szczęśliwej gwiazdzie, że nikt nie doniósł Siostrze Ruby o innych przejażdżkach, diabelskim młynie, gokartach, karuzeli i zderzających się samochodach.

Zwłaszcza tych ostatnich. Nie tylko jej, ale i jemu mogła stać się krzywda – tak brawurowo prowadził. Mając u boku Beatrice, gnał jak szalony, aż im gwizdało w uszach, i w największym rozpędzie zderzał się z kim popadło, aż leciały iskry. Z kolei Monroe – jak się okazało, demon szybkości – walił w nich bez litości. Nie mówiąc już o Lutherze Griggsie, którzy najechał ich z tyłu z takim impetem, że o mało nie powypadali ze swych siedzeń. Ale Beatrice była zachwycona jazdą i zderzeniami. Na koniec trasy zawołała: „Och, Bobby, jeszcze!” Więc zrobili jeszcze jedno okrążenie. A nawet dwa, jeśli chodzi o ścisłość.

Tego lata Bobby poznał jej tajemnicę. Patrząc na tę łagodną, spokojną, niemal eteryczną istotkę, nikt by się nie domyślił, choćby i za sto lat, że Beatrice Woods miała w sobie żyłkę rozrabiaki. Tęskniła za przygodami, a nade wszystko uwielbiała szybką jazdę.

Anna Lee

Siostra Bobby’ego i jej dwie najlepsze przyjaciółki, Norma i Patsy Marie, dorastały razem. Norma była ładną brunetką. Jej ojciec zarządzał jedynym w mieście bankiem. Rodzice

Patsy Marie, Merle i Verbena, byli właścicielami pralni Blue Ribbon, którą też sami prowadzili. Patsy Marie najlepiej z nich trzech się uczyła, ale nie była specjalnie ładna. Jak to określiła jej ciotka, „Patsy, od kiedy skończyła sześć lat, miała wypisane na twarzy staropanieństwo”, ale za to była miła. Wszystkie trzy zresztą były miłymi dziewczętami i jeśli miały jakieś skazy, to tylko właściwe wiekowi szaleństwo na punkcie gwiazd filmowych. Gdy tylko zmieniano program w Elmwood Theater, zawsze można było znaleźć całą trójkę siedzącą w dwunastym rzędzie na środkowych miejscach. Każda miała innego idola. Anna Lee aktualnie durzyła się w Danie Andrews. Zapełniła kilka albumów jego fotosami wyciętymi z różnych czasopism filmowych. Patsy Marie z kolei miała hopla na punkcie Alana Ladda, którego niedawno zobaczyła w *The Blue Dahlia*. Ale najnowszy idol Normy okazał się kompletnym zaskoczeniem dla obu przyjaciółek. Wybrała mało znanego aktora, Williama Bendixa. Zapytana, dlaczego właśnie on, skoro nawet nie jest przystojny, odpowiedziała:

– I o to chodzi. Ktoś go przecież musi lubić.

Niemniej kiedy rok szkolny miał się ku końcowi, ich zainteresowanie aktorami nieco zbladło, ustępując zaafelowaniu zbliżającym się balem dla absolwentów szkoły średniej. Norma oczywiście miała się wybrać z Mackym, Patsy Marie zaś jak zwykle ze swoim kuzynem. Anna Lee była jedyną dziewczyną, która jeszcze nie zdecydowała się, z kim pójdzie, odrzucając wszystkie propozycje. Ale najważniejszy problem zawierał się w pytaniu, w co mają się ubrać. Wszystkie uczennice szkoły średniej – bez względu na to, kim były – chciały mieć kupione gotowe sukienki na bal. Nałożenie stroju uszytego w domu równało się napiętnowaniu. Sąsiadka Dorothy, mimo że miała wyższe wykształcenie, sama robiła wykroje i uchodziła za najlepszą krawcową w całym stanie. Wiedziała jednak, że tym razem na nic się zda cały jej kunszt i będzie musiała pozwolić Annie Lee wybrać się do domu towarowego Braci Morgan, by tam kupić gotową kreację wprost z wieszaka. Oczywiście gotowa sukienka będzie kosztowała trzy razy więcej, niż gdyby Dorothy sama ją uszyła, ale jej córka musiała mieć sukienkę ze sklepu, w przeciwnym razie umarłaby ze wstydu i upokorzenia. W każdym razie tak twierdziła.

Zakupy w domu towarowym Braci Morgan były nęcące również za sprawą sprzedawczyni, pani Marion Nordstrom, która kierowała działem Lepszych Strojów. Jeśli ona wybrała sukienkę, strzał był zawsze w dziesiątkę. Uważana przez wszystkie dziewczęta z otoczenia Anny Lee za największą doskonałość, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi,

wysmukła i wyniosła, ubrana zawsze w najmodniejsze stroje, była dla nich niedościgłym ideałem. Owdowiawszy w czasie wojny, przyjechała do Elmwood Springs aż z San Francisco w Kalifornii, a zawartość jej szafy stanowiła niewyczerpany temat komentarzy wszystkich licealistek.

– Ona nigdy nie nałoży dwa razy tego samego – powtarzały z podziwem. Nieraz po lekcjach Anna Lee i Patsy Marie szły do sklepu i pod pozorem, że chcą coś kupić, sprawdzały, jak też Marion Nordstrom jest ubrana tego dnia.

Anna Lee zaczęła się nawet czesać tak samo, upinając wysoko włosy. Dorothy delikatnie sugerowała, że taka fryzura może wydawać się trochę za poważna dla dziewczynki, która nosi jeszcze dziecinne podkolanówki i mokasyny, ale Anna Lee uważała, że dowodzi to niezwykle wyszukanego gustu. Jedyne, czego Dorothy trochę się obawiała, to że Annie Lee może się trochę przewrócić w głowie. W każdej szkole zawsze znajdzie się dziewczyna, na której punkcie wszyscy chłopcy dostają bzika już w pierwszej klasie, i Anna Lee należała do takich właśnie dziewczyn.

Jedyną istotą rodzaju męskiego nieczułą na jej urok pozostawał Bobby, gotów dokuczać jej przy każdej nadarzającej się okazji. Ona z kolei skarżyła na niego, gdy tylko cokolwiek przeszkrobał, a ponieważ była starsza, zawsze jej, nie jemu dawano wiarę. W związku z tym Bobby bynajmniej nie był zachwycony faktem, że Anna Lee pojawiła się na tym świecie sześć lat przed jego urodzeniem. A ona ze swej strony dokładała starań, by o tym nie zapomniał. Bobby nie znosił na przykład, kiedy w rodzinie opowiadano o czymś, co zdarzyło się przed jego urodzeniem. Zawsze w takiej sytuacji dopytywał się: „Ale gdzie ja wtedy byłem?”, na co matka odpowiadała: „Jeszcze się nie pojawiłeś na świecie”, a Anna Lee nieodmiennie kwitowała to komentarzem: „Stare dobre czasy, wtedy byłam jedynaczką” lub coś w tym rodzaju. Ta sytuacja nie tylko drażniła, ale nawet zbijała go z tropu.

Choćby nie wiadomo jak się starał, po prostu nie potrafił wyobrazić sobie, jak świat mógłby wyglądać bez niego. Więc gdzie on właściwie był? I co robił? Któregoś popołudnia, uziemiony w domu, gdyż w pobliżu grasował Luther Griggs, czekając tylko, żeby go pobić, Bobby skorzystał z nadarzającej się okazji, by nie odstępować matki i męczyć ją odwiecznymi pytaniami.

– Skoro nie tutaj, to gdzie byłem?

– Jeszcze się nie urodziłeś – odpowiedziała, krając w plasterki kartofle.

– Ale gdzie byłem, zanim mnie urodziłaś?

– Jak to się mówi, byłeś jeszcze błyskiem w oku taty. Możesz mi podać masło?
– A kiedy się urodziłem, czy to byłem od razu ja, czy też najpierw się urodziłem, a potem stałem się sobą?

– Od początku to byłeś ty.

Podał jej talerzyk z masłem.

– A gdybym urodził się w Chinach, to czy też byłbym sobą czy Chińczykiem?

– Och, Bobby, wolałabym, żebyś przestał zadawać mi takie głupie pytania. Wiem tylko, że jesteś częścią mnie i tatusia oraz że jesteś tym, kim miałeś być.

– No dobrze, ale gdybyś nie wyszła za tatusia, to co by się wtedy stało?

– Tego nie wiem – odparła, smarując szklane naczynie. – Ale wiem za to, że urodziłeś się we właściwym miejscu, o właściwym czasie i jesteś dokładnie tym, kim miałeś być, oraz że chcieliśmy ciebie właśnie takiego.

– Naprawdę? – zdziwił się Bobby. – Tak jak się wypowiada życzenie, kiedy widzi się spadającą gwiazdę?

– Mniej więcej tak.

– Co mówiłaś, kiedy wypowiadałaś życzenie?

– Powiedziałam, że chcę chłopca o piwnych oczach i ciemnych włoskach, który by wyglądał jak ty, no i właśnie jesteś. Tak więc jesteś ziszczonym życzeniem. I co ty na to?

– No, no. – Bobby zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę, by zapytać w końcu: – A skąd wiesz, że nie dostałaś innego chłopca?

– Bo tam, na górze, trzeba ci o tym pamiętać, jest Ktoś, kto wie wszystko lepiej ode mnie i od ciebie.

Dorothy podeszła do kuchni, by nastawić piecyk, a potem do lodówki, skąd wyjęła ser, a Bobby cały czas deptał jej po piętach.

– A jeśli Jemu coś się pomieszało i się pomylił? I ja urodziłem się nie w tym roku, co trzeba, i nawet w innym kraju?

– On się nie myli.

– Ale gdyby się pomylił?

– Nie pomyliłby się.

– Ale przypuśćmy, że tak, to co by się wtedy stało?

Dorothy wstawiła naczynie do pieca. Stała przy zlewku, żeby umyć ręce, mając Bobby'ego tuż za plecami. Wytarła ręce i odwróciła się, patrząc na niego.

– Więc powiedz, Bobby, czy chciałbyś urodzić się gdzie indziej niż tutaj, w naszej rodzinie?

– Nie... – odpowiedział pospiesznie. – Ja tylko tak się zastanawiałem. – To mówiąc, starał się wyglądać jak najbardziej niewinnie; udał, że nagle przypomniał sobie o niecierpiącym zwłoki podlaniu hodowli robaków na przynętę znajdującej się w ogródku za domem.

Bobby nie był całkowicie szczery w rozmowie z matką. Czasem przed zaśnięciem wyobrażał sobie, że pewnego dnia ktoś zapuka do drzwi i powie: „Przyszliśmy po chłopca”. Wtedy podejda jego rodzice i powiedzą mu, kim jest naprawdę. Bo w rzeczywistości jest on prawdziwym księciem Anglii, oni natomiast wychowywali go do czasu ukończenia dwunastu lat. Wtedy nastąpi triumfalny przejazd ulicami miasta, a wszyscy ludzie będą kłaniali mu się w pas i szeptali między sobą: „Oto młody książę”. Jego nauczyciele ze szkoły w lansadach będą mu oddawać cześć. A kiedy przejdą koło jego domu, stojący na ganku rodzice i babcia także będą bić pokłony. On zaś skinie im ręką, by powstali, ale Anna Lee podbiegnie do karety i padnie na kolana cała we łzach: „Przepraszam za wszystko, co ci uczyniłam, Wasza Książęca Mość. Przebacz mi, przebacz”. A wtedy on jednym gestem ręki wszystko jej odpuści. „Wybaczam ci”, powie. Będzie władcą łaskawym i wybaczącym wszystkim, z wyjątkiem Luthera Griggsa. Tego każe zakuć w łańcuchy i wlec ulicami, Luther będzie szlochał i błagał o przebaczenie, na próżno jednak. Co za radość.

Istniała też inna wersja marzeń, w której Bobby był synem Roya Rogersa i Dale Evans, porwanym tuż po urodzeniu i w końcu szczęśliwie odnalezionym. I znowu radosny pochód przechodzi głównymi ulicami, ale tym razem on siedzi na grzbiecie Triggera, Roy zaś niedbałym gestem, przytykając palce do ronda swego wielkiego kowbojskiego kapelusza, pozdrawia wszystkich mijanych po drodze. Obok Bobby’ego zaś Dale i Gabby Hayes uśmiechnięci machają do wiwatującego tłumu. Zamieszka z Royem i Dale na ranczo, ale sprowadzi też rodzinę z Elmwood Springs. Dnie będzie spędzał na tropieniu złych chłopców, a noce na słuchaniu przy ognisku piosenek kowbojskich śpiewanych przez Synów Pionierów. Odtąd będą wszyscy żyli długo i szczęśliwie. „Szczęścia na szlaku... do zobaczenia”. Na razie jednak był tylko zwykłym Bobbym Smithem. I – pechowo dla Anny Lee – właśnie coś knuł.

Bobby znał jeden pewny sposób, aby zemścić się na siostrze, która go podle zdradziła, opowiadając mamie o jego wyprawie do Blue Springs, za co został ukarany aresztem

domowym i zakazem oglądania w najbliższą niedzielę Kumpli od siodła i Poskromienia mustanga. Obaj z Monroe'em od tygodni obmyślali szczegóły zemsty. „To” miało nastąpić w noc po balu.

Jego matka i babcia pełniły dyżur opiekuńczy w szkole, Doc natomiast postanowił dłużej zostać w drugistorze, tak by dzieci mogły przyjść po balu i kupić lody. Jimmy'ego także miało nie być w domu, bo wybierał się na swoją piątkową partyjkę pokera z kolegami w VFW. Bobby i Monroe mieli zatem cały dom do swojej wyłącznej dyspozycji i mogli nie zauważeni przez nikogo wprowadzić w czyn swoje zamiary.

Kiedy wszystko było gotowe, przenieśli się do pokoju Bobby'ego i tam czekali. Anna Lee, z głową w chmurach, ostatnia wróciła do domu – o godzinie dwunastej dwadzieścia dziewięć, na minutę przed swoją godziną zero, mając jeszcze głowę nabitą romantycznymi marzeniami po balu. Przetańczyła cały wieczór pod gwiazdami wyciętymi ze srebrnej folii i sztandarami z białoniebieskiej krepiny, zwieszającymi się z sufitu sali gimnastycznej, z Billym Nobblitem, który był podobny do Van Johnsona – lub przynajmniej tak jej się wydawało. Rozbierała się rozmarzona, nadal nucąc melodie To musisz być ty i Kropeczki w świetle księżycy, które jeszcze brzmiały jej w uszach.

Kiedy nałożyła już koszulę nocną i umyła zęby, pieczołowicie wstawiła do wody bukiet z gardenii, a wazonik postawiła na toalecie. Zmęczona i szczęśliwa wczłgała się pod kołdrę, nadal zatopiona w marzeniach, które miały trwać już tylko sekundę.

Wyskoczyła z łóżka jak z procy, wrzeszcząc ile sił w płucach: „Węże, węże!” Popędziła do pokoju rodziców i tam w otwartych drzwiach zawołała: „Ratunku, pokąsały mnie węże!”, po czym padła zemdlona.

Po tym, jak Docowi i Dorothy udało się ocucić i trochę uspokoić Annę Lee, a Matka Smith z siatką na włosach, zgarniająca poły szlafroka oświadczyła: „Jeśli tu są płazy, to ja nie zostaję w tym domu ani chwili dłużej”, spokój został przywrócony jedynie na krótko. Matka Smith odmówiła powrotu do łóżka, zanim Doc nie sprawdził dokładnie pokoju Anny Lee. Ale to nie było przywidzenie. Na jej pościeli pełzało około setki oślizgłych, wijących się czerwonych robaków, pochodzących z własnej hodowli Doca w jego ogródku. Dobrze się domyślał.

– Nie wiem, o co ona robi tyle krzyku, to przecież tylko niewinne robaczki – bronił się Bobby, wyciągnięty przez ojca z łóżka. Co gorsza, z chwilą gdy Doc otworzył drzwi, Monroe, związany z Bobbym braterstwem krwi, wyskoczył przez okno i popędził do domu w samej

piżamie, zostawiając przyjaciela, by sam pił piwo, jakie wspólnie nawarzyli.

Anna Lee była wściekła na brata i powiedziała, że dla niej on po prostu przestał istnieć.

Postawiła sobie za punkt honoru nie zwracać na niego najmniejszej uwagi. Przez dłuższy czas w ogóle się do niego nie odzywała, aż któregoś dnia, niepomna na fakt, że ze sobą nie rozmawiają, poprosiła, by przyniósł jej trochę mleka z kuchni.

Bobby roześmiał się na to i wytykając ją palcem, zauważył:

– Myślałem, że się do mnie nie odzywasz. Sama sobie przynieś. – To mówiąc, zbiegł z ganku i pognał na ulicę. Anna Lee musiała wstać z kwaśną miną, pójść do kuchni i wziąć sobie z lodówki mleko.

– Nie rozumiem – powiedziała do matki – dlaczego musiałaś mieć drugie dziecko. Ja ci nie wystarczałam?

Dorothy uśmiechnęła się.

– Kochanie, po prostu musieliśmy.

Anna Lee odwróciła się do matki zdumiona. Coś takiego usłyszała po raz pierwszy w życiu.

– A co się stało?

– Chyba to Pan Bóg postanowił zesłać nam jeszcze jednego aniołka.

– Och, robi mi się niedobrze – powiedziała Anna Lee i wyszła z pokoju.

Weszła Matka Smith.

– Co jej się stało?

Dorothy roześmiała się.

– Chciała wiedzieć, dlaczego Bobby musiał się urodzić.

– I co jej powiedziałaś?

– Zwaliłam wszystko na dobrego Stwórcę.

– No cóż, wymówka dobra jak każda inna. Jak twierdzą prezbiterianie, wszystko w życiu jest z góry zaplanowane, w każdym razie tak twierdzi matka Normy.

– Ida? A co ona może wiedzieć na ten temat? Przecież jest metodystką.

– Już nie. W zeszłym tygodniu oświadczyła, że jest prezbiterianką.

– Co takiego?

– Tak. Ogłosiła to akurat podczas rozgrywek turniejowych w brydża. Zdumiona Dorothy wbiła trzy jajka do brązowej miseczki z niebieskim szlaczkiem i rozbełtała je.

– Przecież w promieniu stu mil naokoło nie ma ani jednego prezbiteriańskiego kościoła.

Co jej przyszło do głowy, żeby nagle stać się prezbiterianką?

Matka Smith naląła sobie szklanę mrożonej herbaty.

– Myślę, że to część jej planu pięcia się w górę.

Dorothy oniemiała.

– Coś takiego... Po prostu nie wiem, co na to powiedzieć... W lodówce jest cytryna. Cóż, mogę mieć tylko nadzieję, że będzie z tym szczęśliwa.

Matka Smith sięgnęła do lodówki.

– Ja też, ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, by cokolwiek jęnaprawdę uszczęśliwiło, chyba żeby Norma poślubiła Rockefellera, bo wtedy znalazłaby się na właściwym miejscu drabiny społecznej.

Wyższe sfery

Matka Smith miała rację. Jeśli istniało coś takiego w Elmwood Springs jak wyższe sfery, matka Normy do nich należała. Przede wszystkim mąż Idy Jenkins, Hubert, był bankierem, i już samo to narzucało pewną społeczną pozycję. Ida uważała za swój obywatelski obowiązek dawać przykład dystyngowanego zachowania. Nieść oświaty kaganek. Być wzorem. Czuła się powołana do ciągłego doskonalenia oraz wnoszenia piękna i kultury do tej małej społeczności, w której przyszło jej żyć, co doprowadzało do szaleństwa Normę i jej ojca.

Mimo że mieszkała w niedużym miasteczku niemal na końcu świata, prenumerowała wszystkie najnowsze kobiece czasopisma, by iść z duchem czasu. W późnych latach trzydziestych słowo „nowoczesny” zastąpiła określeniem „moderne”, o swoim domu mówiła „bungalow”, a ubranie nazywała „garderobą”. Wszystko dla niej było „intrygujące”, stylem uczesania naśladowała gwiazdę z Broadwayu, Inę Claire, nigdy nie zdarzyło jej się „poryczeć”, bo zamiast tego mogła „zapłakać” lub króciutko „zaszlochać”.

Duszą i ciałem przynależała do najprzeróżniejszych klubów. Była grandę damę Krajowego Związku Klubów Kobięcych w Missouri, przewodniczyła miejscowemu Związkowi Działkowiec, była prezeską Klubu Brydżowego, Klubu Środowych Przyjęć Wieczornych, Klubu Czytelniczego oraz Śródmiejskiego Klubu Teatralnego i nigdy nie pokazywała się bez kapelusza i białych rękawiczek. Podając u siebie posiłek, zawsze do

każdego nakrycia dodawała osobną miseczkę na fistaszki i czystą serwetkę.

– Tylko barbarzyńcy jedzą przy nie nakrytym stole – powtarzała.

Normie na szesnaste urodziny podarowała nowe rozszerzone wydanie księgi dobrych manier i etykiety autorstwa Emily Post, z dedykacją:

Gdyby wszyscy na świecie znali tę książkę, z pewnością zaoszczędzilibyśmy sobie wielu przykrych chwil. Z najlepszymi życzeniami urodzinowymi

Matka

Ida była w dobrej komitywie z autorką tego dzieła i często zapytywała głośno: „Ciekawe, co by na to powiedziała Emily”. Nieraz też poprzedzała swoje uwagi słowami: „Emily twierdzi...” Życiowym powołaniem Idy, jak też, jej zdaniem, Ameryki było oświecić nie tylko Elmwood Springs, ale świat cały, od najodleglejszego igloo gdzieś na biegunie północnym do dzikich ostępów i nieprzebytych dżungli Borneo, gdzie wszyscy bez wyjątku powinni wiedzieć, że widelec kładzie się z lewej strony, świeże kwiaty na stole to uczta dla oka, czysty dom to szczęśliwy dom, oraz bezwzględnie każdy powinien zdawać sobie sprawę z tego, że podnoszenie głosu jest bardzo niegrzeczne i żadne okoliczności tego nie usprawiedliwiają.

Ida zawsze napominała Normę:

– Pamiętaj, że w Ameryce o tym, czy ktoś ma klasę i jest wysoko postawiony, decyduje nie arystokratyczne pochodzenie, ale sposób, w jaki się zachowuje.

W takim razie, zdaniem Normy, jej matka powinna uchodzić za księżną Kentu.

Norma kochała matkę, ale kiedyś tak powiedziała do Anny Lee:

– Spróbowałabyś przebywać z nią przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet nie wiesz, jaka z ciebie szczęściara, że masz swoją matkę, a nie moją.

Istotnie, Norma nocowała u Anny Lee tak często, jak tylko to było możliwe. Podobnie Monroe. W domu tym zawsze było gwarno, wesoło, a jedzenie doskonałe. A co najważniejsze, w domu Sąsiadki Dorothy można było naprawdę siadać na meblach znajdujących się w salonie, czego Ida surowo wzbraniała Normie i jej ojcu w ich własnym domu. Tam salon nazywał się pokojem konferencyjnym i jedynie w przelocie pokazywany był gościom. Miał tak oficjalny charakter, że nikt w nim nie przebywał od osiemnastu lat, kiedy to Ida go urządziła.

Podczas jednego z licznych weekendów spędzanych u Anny Lee, Norma pomogła

przyjaciółce wziąć odwet na Bobbym i Monroe'em. Pewnego niedzielnego popołudnia obaj siedzieli w saloniku przy zaciągniętych storach i przymkniętych okiennicach, zając kanapki z masłem orzechowym i bananami oraz słuchając ulubionej detektywistycznej audycji, która przyprawiała ich o dreszczyk emocji. Poznali już słuchowisko Z poważaniem, Johnny Dolar, Czarnuch z Bostonu oraz Gwizdek, a teraz przyszła kolej na nowe słuchowisko, które właśnie się zaczynało.

Na początku zabrzmiało kilka posepnych akordów organowych, po czym odezwał się głos:

KOBIETA: Właśnie wchodzi do... owego drugstore'u. Wstępuje na wagę.

{Słychać dźwięk wrzucanej monety}. KOBIETA: Dwieście trzydzieści siedem funtów.

{Słychać upadającą kartę}.

KOBIETA: To na szczęście. Uwaga, niebezpieczeństwo! Organy: (brzdęk!) KOBIETA:

Kto to?! MEŹCZYŻNA: Grubas!!!

Tak jak zapowiedziano, słuchowisko pełne było grozy i suspense. Pod koniec chłopcy niemal unosili się z krzeseł. Akurat w chwili, gdy ktoś skradał się za nieznajomym w nieprzemakalnym płaszczu, docierającym właśnie do ostatnich zabudowań uliczki bez wyjścia, i słychać było coraz wyraźniej odgłos nieuchronnie zbliżających się kroków... nie ma gdzie się schronić... żadnej kryjówki... gdy przerażony mężczyzna, z sercem podchodzącym do gardła, już się odwracał, by spojrzeć w twarz swojego zabójcy, nagle dwie zamaskowane postaci w obrzydliwych gumowych maskach, błyskające zieloną poświatą płynącą spod brody, wyskoczyły zza kanapy, becząc: „Beeee! Beeee!”

Obaj przerażeni chłopcy zerwali się na równe nogi z piskiem godnym dziewczynek.

Wypadli z pokoju w szalonym pośpiechu, wpadając na siebie i wywracając po drodze stolik do kawy oraz parę krzeseł, zanim w końcu udało im się wydostać do hallu.

Chłopak Normy, Macky, wkręcił do latarek zielone żarówki, a maski zostały po ostatnim Halloween. Przez całe popołudnie dziewczęta czatowały ukryte za kanapą, czekając na stosowny moment. Ale kiedy Anna Lee dała znak, przekonały się, że warto było czekać.

Zwycięzca

Sąsiadka Dorothy zaczęła od triumfalnego powitania:

– Dzień dobry, dzień dobry. Już się nie mogłam doczekać, kiedy będę na antenie, ponieważ, jak powiada Gabriel Heatter: „Na wieczór mamy dobrą wiadomość!” W naszym przypadku chodzi o dzień, nie o wieczór, ale wszystko jedno. My tu wprost przebieramy nogami z niecierpliwości, żeby wam o tym powiedzieć. Najpierw jednak muszę was zapytać: czy kichacie od używanych przez was płatków mydlanych?

Pani Squatzie Kittrel z Silver Springs w Maryland donosi: „Rinso pierze szybko i daje obfitą pianę, nie szkodzi skórze na rękach, a w dni, kiedy urządzam pranie, wcale nie kicham jak po innych proszkach”. Pamiętajcie więc: Rinso się pieni, Rinso wybieli, jedyne mydło w proszku, które w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach jest wolne od drażniącego pyłu mydlanego. Co jeszcze: szukacie może materiału w kratkę, paski czy kropki do sypialni albo na zasłonki do kuchni? Jeśli tak, to zaprasza was Fred Morgan od Braci Morgan. Mówi, że ma jeszcze całą belę szwajcarskiego materiału w kropki, na który obniża cenę od jarda, tak więc jeśli zamierzacie sprawić sobie zasłony, akurat jest okazja.

A teraz wielka nowina... – Dorothy wzięła do ręki kopertę z dobrą nowiną i pojaśniała z dumy. – Wiecie, że nie lubimy dąć we własne dudki, ale takie jesteśmy przejęte, że nie posiadamy się z radości i po prostu musimy wam o tym powiedzieć. – Matka Smith zagrała fanfarę na fisharmonii. – Wczoraj ogłoszono, że już drugi raz z rzędu Doc wygrał Doroczną Nagrodę Farmaceutów Rexall za biegłość w wydawaniu leków. Będzie mu ona wręczona podczas dorocznego Południowowschodniego Kongresu Farmaceutycznego w Memphis i mam szczerzy zamiar pojechać tam, żeby zobaczyć na własne oczy, jak mu ją wręczają. Jeśli więc słuchasz nas tam w drugistorze, Doc, to wiedz, że jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Tymczasem u Rexalla, Thelma i Bertha Ann ubrane w jednakowe białoróżowe fartuszki, siedziały za saturatorem z wodą sodową, mając za plecami na półce nastawione radio. Thelma myła szklanekę po napoju bananowym, a Bertha Ann przyrządzała sałatkę jajeczną, oczekując tłumy klientów na lunch, kiedy dotarła do nich ta wiadomość. Obie przerwały swoje zajęcia, zaczęły klaskać, gwizdać i wołać w stronę zaplecza:

– Hurra! Brawo! Gratulacje, Doc! Jesteś naszym idolem!

Doc, który akurat skończył wydawać leki na receptę, wręczał klientce butelkę mikstury mającej przynieść ulgę jej ząbkującemu małństwu. Kiedy zapytała, co się stało, Doc odpowiedział zmieszany:

– E, nic takiego, po prostu dziewczyny wariują. Wie pani, jakie są, po prostu głuptaski... –

I wrócił do zaleceń: – Nie trzeba tego wiele brać, parę kropel na szklanę wody i to już zadziała.

A potem podszedł do stanowiska z saturatorem i pogroził dziewczętom palcem w udawanym gniewie.

– No i co ja mam teraz z wami zrobić?

Odpowiedziały mu śmiechem.

– To za to, że pan nam nic nie powiedział – wyjaśniła Bertha Ann.

Usiadł na stołeczku.

– Coś mi się zdaje, że będę musiał tej swojej żonie założyć kaganiec.

Ale w gruncie rzeczy cieszył się.

– Przygotuj mi, Bertho, lody cytrynowe z wodą, i sobie też coś weźcie. Skoro się wszystko wydało, możemy to jakoś uczcić.

Tymczasem Dorothy, nadal prowadząc audycję, nadała jeszcze jeden komunikat.

– Kolejna nagroda w naszym nieustającym konkursie „Najciekawsze zdarzenie, jakie ci się przytrafiło” została dzisiaj przyznana pani Sally Sockwell z Hot Springs w Arkansas.

Pisze ona: „W zeszłym roku zgubiłam pierścionek z brylancikiem, który gdzieś musiał spaść mi z palca, czym byłam bardzo przybita, bo dostałam go tuż po ślubie od swego męża, teraz już nieżyjącego, więc utraciłam i jedno, i drugie. Łatwo możecie sobie wyobrazić moją radość i zaskoczenie, kiedy trzy tygodnie później, gdy smażyłam jajecznicę, zauważyłam, że coś się błyszczy w białku. I cóż widzę: oto mój zgubiony pierścionek. Musiała dziobnąć go któraś kura, kiedy podbierałam im jajka. Niezmierzone są wyroki boskie”. Prawda, pani Sockwell, i chwała Bogu, że nie smażyła pani omletu, bo wtedy trudno byłoby dostrzec zgubę.

A skoro już mówimy o zgubionych rzeczach, zadzwoniła Leona Whatley i powiedziała, że ktoś musiał sprzedać jej sweter i torebkę na szkolnym kiermaszu. Mówi, że położyła je na stoliku tylko na chwilę, a kiedy się odwróciła, jej rzeczy już nie było. Kto więc kupił niebieski sweterek wyszywany paciorkami i czarną torebkę z nieotwartym opakowaniem chusteczek higienicznych, niech zatelefonuje do Leony, która gotowa jest odkupić swoje rzeczy. Mamy jeszcze wiele komunikatów w naszym programie. Zaraz Beatrice zaśpiewa waszą ulubioną piosenkę A ja żuję gumę. No właśnie, nadszedł na to czas, niestety.

W najbliższą sobotę w Elmwood Theater odbędą się doroczne zawody w żuciu i strzelaniu z gumy... pełne buzie roboty, przygotujcie się na to, wszystkie mamy. Znam to, gdyż Bobby doprowadza nas w domu do szaleństwa tym swoim żuciem, nic tylko „mniem, mniem,

mniam, pyk, pyk, pyk”, bez przerwy. No i nie zapomnijcie, że w środę jest przyjęcie w Elmwood Theater, przychodźcie więc... Czy coś jeszcze mamy, o czym zapomniałam powiedzieć, Matko Smith?

Matka Smith zagrała parę taktów marsza żałobnego i wskazała wzrokiem stojący na biurku słoik.

– A, racja, Matko Smith. Tydzień temu mówiliśmy o nowej kawie rozpuszczalnej, ale niestety musimy wycofać ją z naszej listy towarów polecanych, strasznie mi przykro, ale kawa po prostu nie nadaje się do picia. Prawda, Matko Smith? Mówi, że nie, i krzywi się. Ale jak zawsze powtarzam wszystkim sponsorom: próbujcie dalej, będziemy wam kibicować. I pamiętajcie nasze motto: „Jeśli raz ci się nie uda, spróbuj jeszcze raz”.

Niestety Bobby wkrótce miał usłyszeć to motto w odniesieniu do siebie, kiedy wrócił do domu ze zwieszoną głową, bo po raz drugi z rzędu przegrał w zawodach żucia i strzelania z gumy. Niezbyt go to motto pocieszyło. Ćwiczył długo i rzetelnie, aż go szczęki bolały, ale zakwalifikował się dopiero jako szósty. „Parszywe szczęście – pomyślał – wszyscy w rodzinie coś wygrywają, tylko ja nie”.

O chłopcu, który wzywał pomocy

Kiedy Doc wrócił do domu, Dorothy stała przy kuchennym stole, czekając na jego opinię o jej nowym kapeluszu, który kupiła na zbliżającą się podróż do Memphis. On przyjrzał się uważnie temu, co sterczało na głowie żony, i powiedział:

– No nie wiem. Jeśli chodzi o kapelusze, to widywałem gorsze.

– Wielkie dzięki – zachnęła się.

Matka Smith aż podskoczyła.

– A mnie się podoba – zapewniła i posłała synowi groźne spojrzenie.

Dorothy popatrzyła na nią z nadzieją.

– Naprawdę?

– Pewnie. Jest taki stylowy. A jego nie pytaj. On się nie zna na kapeluszach.

Doc przystał na to skwapliwie.

– Racja. Mnie nie pytaj. W ogóle nie odróżniam kapeluszy.

– Szczerze mówiąc, sama nie wiem, dlaczego zadaję sobie tyle trudu, jeśli ty nie potrafisz

dostrzec różnicy. Równie dobrze mogłabym wcisnąć garnek na głowę.

Kiedy wyszła z pokoju, Matka Smith powiedziała:

– No i widzisz, co narobiłeś.

Doc odchrząknął.

– Rzeczywiście wszystkie kapelusze wydają mi się podobne, ale ten wygląda jak naleśnik z owocami i zdechłym ptakiem na wierzchu. – Na to siedząca z nimi przy stole Beatrice wybuchnęła śmiechem. Doc nachylił się do niej przez stół i szepnął, tak żeby nikt niepowołany nie usłyszał: – Masz szczęście, że go nie widzisz. Nie wiedziałabyś, czy go zjeść, czy strzelić do niego.

Kiedy Doc wrócił do drugstore'u, wszyscy usiedli przy stole, żeby porozmawiać o zbliżającej się podróży.

– Chciałabym schudnąć przed wyjazdem przynajmniej dziesięć funtów – westchnęła Dorothy.

– A ja chciałabym znów mieć osiemnaście lat i ten rozum co teraz dodała Matka Smith.

– Co byś zmieniła w swoim życiu? – zapytała Dorothy.

– Wyszłabym za mąż za tego samego mężczyznę i oczywiście miała z nim dziecko, ale tak bym się z tym nie spieszyła... może bym skończyła studia magisterskie jak Ann Sheridan albo zrobiłabym karierę i miała własną sekretarkę, paliła cygara i wyrażała się...

Beatrice i Dorothy roześmiały się na to, a Dorothy zwróciła się teraz z pytaniem do Beatrice:

– A gdyby twoje marzenia miały się spełnić, co by to było? Beatrice, której ulubionym słuchowiskiem był Podróżnik w fotelu, zastanowiła się chwilę i powiedziała:

– Chciałabym wsiąść od samochodu i objechać bez przystanku cały świat.

Dorothy nachyliła się do niej przez stół i dotknęła jej ręki:

– Naprawdę, kochanie?

– No pewnie – odpowiedziała. – To byłoby fajne.

– Jasne, że by było – zgodziła się Matka Smith i szybko zmieniła temat. Wiedziała, że Dorothy zaraz się wzruszy. Serce się krajało na myśl, że ułomność Beatrice ograniczała jej życie, przy czym ona nigdy się nad sobą nie użalała z tego powodu; trzeba było przy niej bardzo uważać, by czasem w ich głosach nie dała się słyszeć nutka współczucia. Do tego jeszcze ta świadomość, że niektóre z jej marzeń nie miały szansy nigdy się spełnić.

Tydzień później przypowieść o chłopcu, który za często niepotrzebnie wołał o pomoc, sprawdziła się na Bobbym, który po obudzeniu się zaczął marudzić, że nie pójdzie do szkoły, bo dostał czerwonej wysypki na całym ciele. Dorothy wiedziała, że tego dnia miał być trudny sprawdzian z matematyki, i podejrzewała, że Bobby po prostu nie zdążył się przygotować.

W zeszłym roku o tej porze udawał, że złamał nogę. Dwa lata temu wymyślił wyrostek robaczkowy. Posłała więc do niego Annę Lee, która zakomunikowała mu zwięźle:

– Mama mówi, że jeśli nie wstaniesz i za pięć minut nie będziesz gotowy, to pożałujesz, że naprawdę nie masz tej wysypki.

– Ale ja naprawdę mam wysypkę! – bronił się Bobby. – Chodź i zobacz, jakie mam wszędzie czerwone plamki i słabo się czuję... No chodź i sama zobacz. – Podciągnął górę od pizamy, żeby jej pokazać. – Popatrz na tę wysypkę, jest coraz bardziej czerwona, do tego jest mi niedobrze i chyba mam gorączkę, możesz dotknąć mojego czoła. Anna Lee zlekceważyła go, a wychodząc, dodała jeszcze:

– Jak chcesz, to zostań w łóżku, nic mnie to nie obchodzi, najwyżej dostaniesz baty.

Więc Bobby wstał, mruczając pod nosem i jęcząc, ubrał się i poszedł do kuchni, by porozmawiać z mamą. Ta jednak wręczyła mu szybko banana i przykazała:

– Masz, zjesz po drodze.

– Ale mam – zaczął.

– Nie chcę tego słyszeć, Bobby. Idź już, bo się spóźnisz.

W takiej sytuacji mógł tylko burknąć coś i wyjść, zamykając za sobą głośno drzwi.

Około drugiej po południu zadzwoniła nauczycielka.

– Dorothy, chcę ci powiedzieć, że zatrzymałam Bobby'ego w izolatce, bo ma wysypkę na całym ciele. Ruby orzekła, że to odra i że on musi być odizolowany.

Dorothy wpadła w panikę.

– No nie. Powiedz Ruby, że już idę i zaraz go zabiorę. Dziękuję, że zadzwoniłaś.

Dorothy miała straszne wyrzuty sumienia, a Bobby bynajmniej nie kwapił się z rozgrzeszeniem.

– Mówiłem ci, że jestem chory – powtarzał.

Kiedy Anna Lee wróciła z próby o piątej trzydzieści, on już leżał w łóżku wyciągnięty jak król, a wszystkie jego zachcianki były natychmiast spełniane. Na kołdrze piętrzył się stos nowych komiksów, które ojciec przyniósł mu z drugstore'u. Dostał już lody, dwie cole i jedną puszkę 7UP, a matka stała w pobliżu, tylko czekając na następne życzenia. Kiedy Anna Lee

weszła do pokoju, Dorothy skierowała na nią wzrok pełen bólu.

– Twój brat ma odrę, biedactwo, on rzeczywiście był chory.

Bobby opadł na poduszki i uśmiechał się słabo, zadowolony z roli, jaka mu przypadła.

Spodziewał się, że Anna Lee zaraz zacznie go przeproszać. Tymczasem ona popatrzyła na niego z przerażoną miną i zawołała ze zgrozą:

– Odra! – Wypadła z pokoju, by natychmiast wyszorować sobie twarz i ręce.

Bardziej niż samej odry Anna Lee obawiała się dostać jakichś wyprysków. Czekwała na nią sztuka, w której miała zagrać. Tego roku była przewodniczącą Koła Dramatycznego, a ponadto grała w szkolnym przedstawieniu. Dopiero gdy Ruby zapewniła ją, że nie można dwa razy chorować na odrę, zgodziła się zbliżyć do brata. Ale nawet wtedy nakładała rękawiczki i zasłaniała twarz szalem. Nie mogła sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko. Dostała przecież w szkolnym przedstawieniu główną rolę!

Kryminalistka Matka Smith

W przeciwieństwie do swojego syna, Doca, który miał charakter łagodny i bezkonfliktowy, Matka Smith była zadziorną kobietką, noszącą ślady dawnej urody. Urodziła się w Independence w Missouri, na tej samej ulicy, gdzie mieszkała Bess Wallace, późniejsza żona Harry'ego Trumana. Kiedyś grały razem Walca Missouri na dwóch fortepianach, nic dziwnego więc, że mówiąc o tej znajomości, podkreślała: „Poznałam go na jego drodze do wielkości”.

Matka Smith zawsze odznaczała się niepodległym duchem, na długo przedtem, zanim stało się to modne. Ale jak mówiła: „To zobowiązuje: być urodzonym i wychowanym w Independence”. Coś musiało w tym być, gdyż należała ona do pierwszych sufrażystek, a w 1898 roku wraz z grupą koleżanek z college'u wzięła udział w marszu na Waszyngton, by dopominać się o prawa wyborcze kobiet, za co została aresztowana pod zarzutem zakłócania spokoju. Bobby i Anna Lee uwielbiali tę opowieść, mogli jej słuchać w nieskończoność.

„Wsadzili nas do ciupy bez mrugnięcia okiem”, wspominała ze śmiechem i dodawała:

„Wasza babcia może być kryminalistka, ale w końcu mamy prawa wyborcze”. A w wieku lat czterdziestu była pierwszą kobietą w miasteczku, która zrobiła sobie trwałą ondulację.

W Kansas City odwiedziła też zakazany lokal, gdzie sprzedawano samogon, trochę się ubzdryngoliła po wypiciu filiżanki księżycówki, po czym wygrywała jazzowe melodie na

pianinie. Tych rewelacji jednak starała się nie rozpowszechniać jako późniejsza organistka w Pierwszym Kościele Metodystów.

Matka Smith miała małe zgrabne stopki, z których była bardzo dumna i którymi lubiła się chwalić. Miała ponad trzydzieści par butów. I jeśli to po niej Bobby odziedziczył ciekawość świata, to Anna Lee upodobanie do butów. Akurat przed tygodniem Anna Lee poszła do miasta na wyprzedaż i wypatrzyła na wystawie u Braci Morgan parę białoczarnych mokasynów, które zapragnęła mieć za wszelką cenę. Oczywiście ze wszystkich butów na wystawie ta jedna para nie podlegała przecenie. A ona wydała już całe swoje kieszonkowe na sukienkę balową i była splukana. Przez cały następny tydzień głowiła się nad tym, gdzie by zarobić na ich kupno, i umierała ze strachu, że ktoś mógłby je przed nią kupić. Codziennie tam się zjawiała, by choć na nie popatrzeć, ale nic nie przychodziło jej do głowy, aż tu na kilka dni przed wyjazdem Doca i Dorothy na kongres w Memphis Matka Smith musiała nagle wyjechać do Independence, by zająć się swoją siostrą, która upadła i złamała sobie biodro. Mimo że odrą Bobby'ego niemal już minęła, Dorothy nadal się ociagała z podjęciem ostatecznej decyzji o wyjeździe, póki on nie był całkiem zdrowy. Nadal jeszcze przesadnie przejmowała się chorobą któregokolwiek z dzieci, ale ku zaskoczeniu wszystkich Anna Lee zaofiarowała się zajmować przez cały weekend Bobbym i Princess Mary Margaret za cenę butów, wypłaconą z góry. Siostra Ruby zapewniła, że będzie codziennie do niego zaglądać, a jeszcze Jimmy obiecał mieć oko na oboje, Bobby'ego i Annę Lee. Tak więc zachęcana i namawiana ze wszystkich stron Dorothy ostatecznie postanowiła pojechać.

Przez następne trzy dni Bobby wiedział, że Anna Lee jest jego zakładniczką i niewolnicą. Spędził ten czas, nie wychodząc z łóżka, słuchając radia, czytając zabawne książeczki i rzucając tylko krótkie rozkazy, żeby mu przynieść colę, piwo imbirowe, lody i co tylko mógł wymyślić. Tymczasem Princess Mary Margaret, strapiona od urodzenia, krążyła po mieszkaniu w poszukiwaniu Dorothy, nie mogąc zrozumieć, gdzie się jej pani podziała, skoro zawsze wracała do domu.

Doc i Dorothy przybyli do Memphis w piątkowy wieczór. Sobotę spędzili bardzo przyjemnie na odwiedzaniu przyjaciół, nie mając pojęcia o zakulisowych dramatycznych przeżyciach organizatorów. Na parterze w pokoju numer 367 Norvel Float, odpowiedzialny za program rozrywkowy, który miał nastąpić po bankiecie z okazji wręczenia nagród, był bliski szaleństwa. Właśnie otrzymał telegram, w którym go zawiadamiano, że Willy i Buck,

śpiewający duet, znany jako zespół How-Do-You-Do Boys, których Norvel osobiście zamówił na ten wieczór przed ośmioma miesiącami, nie przyjedzie. Panowie bowiem pobili się o kobietę, co miało miejsce w Shreveport w Luizjanie. Buck złamał Willowi nos i uciekł z tą panią do Chicago. Nietrudno zgadnąć, że występ odwołano w ostatniej chwili, a Norvel Float został sam z siedmiuset dwudziestoma trzema farmaceutami, którzy mieli być pozbawieni programu rozrywkowego po uroczystym obiedzie. Nerwowo złapał za telefon i rozpoczął gorączkowe poszukiwania u wszystkich agentów od rozrywki w okolicy, ale niczego nie załatwił. Ani jednego stepującego tancerza, żadnej piosenkarki, żadnego komika, nawet akordeonisty nie mógł znaleźć na ten wieczór. W przyływie desperacji próbował ściągnąć Tommy'ego Troupe'a, który naśladował głosy ptaków i był w tym bardzo kiepski, ale powiedziano mu, że Tommy umarł przed miesiącem. Chwyając się ostatniej deski ratunku, zadzwonił do miejscowej rozgłośni radiowej WRCC, usytuowanej na osiemnastym piętrze tego samego hotelu. Odpowiedź nie brzmiała zachęcająco. Powiedziano mu, że mają objazdową grupę gospel, która u nich gościła o szóstej rano i która podobno jeszcze nie wyjechała z miasta. Norvel z miejsca ich zaangażował, nie oglądając ich ani nie przesłuchując.

– Jest pan pewien, że ich pan chce? – zapytano go jeszcze w rozgłośni. – Są trochę jakby surowi.

– Coś ci powiem, przyjacielu – odparł Norvel. – Jestem w podbramkowej sytuacji. W tym stanie rzeczy zaangażuję każdego. Byleby się zjawił o dziewiątej trzydzieści. – Odłożył słuchawkę uszczęśliwiony. Nie miał pojęcia, kogo lub co zamówił. Do szczęścia wystarczył mu fakt, że przybędzie ktoś, kto w ogóle potrafi wydać z siebie głos.

Wieczorny bankiet – to było coś wspaniałego. Doc i Dorothy, tak jak wszyscy aptekarze i ich drugie połowy, wbili się w najlepsze, odświętne ubrania. Kiedy Doc szedł po odbiór swej nagrody przy rześzystych brawach, prezentował się niesłychanie przystojnie i dystygowanie w smokingu, z posrebrzonymi siwizną skrońmi w świetle reflektorów, tak że kiedy wrócił na miejsce, Dorothy szepnęła do niego:

– Najprzystojniejszy mężczyzna ze wszystkich tu zebranych jest moim mężem.

Roześmiał się i szepnął w odpowiedzi:

– Tak mówisz, bo już nie masz wyboru.

Po rozdaniu wszystkich nagród mistrz ceremonii odczytał z kartki to, co Norvel Float za

kulisami nakreślił na serwetce w ostatniej chwili:

– Mam nadzieję, że kolacja wszystkim smakowała, a nagrodzonym serdecznie gratuluje.

A teraz pora na część artystyczną. Dziś gościmy u siebie przybyły z Sand Mountain w Alabamie znany zespół Oatman Family Gospel Singers... Powitajmy ich, przybyli do nas bezpośrednio po udanym występie radiowym w ramach Yellow Label Table Syrup Gospel Hour, by wykonać wasze ulubione, od dawna śpiewane na Południu pieśni gospel.

W tym momencie zza rozsuwającej się kurtyny oczom zebranych ukazała się piątka Oatmanów: ojciec, matka, dwóch synów i córka. Matka, która siedziała przy fortepianie, ważąca około dwustu funtów, rasy białej, z czarnymi włosami spiętymi w koczek na karku, bez żadnego makijażu, ubrana w sztytą w domu lawendową sukienkę, nagle i bez ostrzeżenia zaatakowała nieprzygotowaną na taką agresję klawiaturę – jedną pulchną ręką wystukując rytm, drugą coś całkiem innego. Nieduży instrument podskakiwał, jakby walcząc o życie, gdy ona bezlitośnie go dusiła, nadeptując na pedały. Wtedy znów bez ostrzeżenia wielki chłop, najstarszy z nich wszystkich, oraz dwóch młodszych mężczyzn i dziewczyna wydarli się na całe gardło: „CZY SŁYSZELIŚCIE JUŻ DOBRĄ NOWINĘ?!!”

Nie można było na tej sali nie usłyszeć owej dobrej nowiny. Już Minnie Oatman postarała się o to. Z całego zespołu miała najsilniejszy głos, chropawy, głęboki tenor o takiej sile, że gdyby naprawdę zaśpiewała pełną piersią, musiałby tynk ze ścian podpadać. Laicy nie mogli przynajmniej odmówić jej siły głosu. W ciągu pół godziny grupa rozprawiła się z Chwałą na wysokościach, Za każdym razem czuję Ducha Świętego, z Domem na wzgórzu, Radosnym dniem, Powiedźcie matce mojej, że ja przyjdę i Gdy dotrę do tego miasta. Kiedy skończyli śpiewać, farmaceuci, zwłaszcza ci z Nowego Jorku, Bostonu czy Filadelfii, siedzieli nieporuszeni i oniemiały, podczas gdy większość tych z Południa kiwała głowami, uśmiechając się i głośno przytupując. Oatmanowie jednak wydawali się całkowicie odporni na każdy typ reakcji publiczności i dalej z zapalem wyśpiewywali: Wytrzymaj, to już niedługo, To będzie wielki dzień, Wznoszę się coraz wyżej, by zakończyć pieśnią, którą Minnie z dumą zapowiedziała jako świeży produkt autorski, który powstał w tym hotelu, gdy jadła tu właśnie śniadanie.

– Pieśń ta nosi tytuł – zapowiedziała – Nie mogę się doczekać, kiedy pójdę do nieba, mam nadzieję, że się wam spodoba. – Odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła pełnym głosem wyśpiewywać swą radość.

Przebiegnę po schodach z kryształu,
Z kości słoniowej nawę,
Wprost do złotego tronu,
Gdyż wiem, że słodki Jezus
Czeka na mnie, mój Pan.

Natychmiast Go rozpoznam,
Poznam Go przecież wszędzie,
Lśnią jego rany jak rubin.
A zamiast cierni we włosach
Brylantów błyski zobaczę.

Ach, kiedyż pójdę do nieba,
Nie mogę wprost się doczekać,
By ból swój zostawić na ziemi,
Pozbyć się trosk i cierpienia
I o nic już nie zabiegać.

Ach, gdzież są te schody z kryształu
I z kości słoniowej nawa?
Chcę śpiewać już Alleluja!
Niech skończą się troski me ziemskie, Bo Jezus, mój Pan, będzie tam!

Kiedy skończyła w tonacji e-moll, niektórzy słuchacze usłyszeli, jak z trzaskiem pęka w ich szklankach lód. Jedni wykonawcy śpiewali pod dźwiękiem, inni powyżej, ale Minnie Oatman, mając słuch absolutny, zawsze trafiała w sam środek nuty, jakby przewiercając ją srebrnym pociskiem. Niejednemu długo jeszcze po opadnięciu kurtyny dzwoniło w uszach.

Nadejście Oatmanów

To był żywy program, mówiąc ogólnie. Po wysłuchaniu ostatniego utworu Doc nachylił się do swojego sąsiada z następującym komentarzem:

– Nigdy w życiu nie spotkałem nikogo, kto by tak niecierpliwie jak oni wyglądał śmierci. Ale Dorothy ich występ podobał się bez zastrzeżeń. Już przedtem poznała gospel, ale po raz pierwszy słuchała w takim wykonaniu. Pewne braki opracowania i niedostatki stylu Oatmanowie z pewnością nadrabiali swoim entuzjazmem. Dorothy, tak jak i Doc, nie była szczególną wielbicielką gospel, wiedziała jednak, że wielu jej słuchaczy pochodzących ze wsi bardzo ten gatunek lubiło. Kiedy większość uczestników bankietu opuszczała salę, zdążając jak w transie do baru, ona poszła za kulisy, by podziękować Oatmanom za występ.

Kiedy w końcu ich odnalazła, jeszcze pakowali sprzęt. Podeszła do nich i przedstawiła się, mówiąc Minnie Oatman, że bardzo podobał jej się ich występ i gdyby kiedykolwiek znaleźli się w pobliżu Elmwood Springs w Missouri, z radością zaprosi ich do swego programu radiowego. Minnie, która obficie spociła się podczas występu, osuszała twarz chusteczką.

– Niech cię Bóg błogosławi – powiedziała, po czym odwróciła się i zawołała: – Ferris, czy my czasem nie mamy obchodów przebudzeniowych* w Missouri jeszcze w tym roku? Czy to może w Arkansas? Rzuć okiem do kalendarza. Ta miła pani chce nas zaprosić do swojego programu w radio. – I dodała usprawiedliwiającym tonem, zwracając się znów do Dorothy: – Tyle miejsc odwiedzamy, złotko, że już nie mogę się w tym połapać.

* W oryginale – revival. Pastorzy zielonoświątkowców tłumaczą to jako „uroczystości przebudzeniowe” lub „duchowe przebudzenie”.

Ferris Oatman, który ważył przynajmniej sto funtów więcej niż jego żona, z trudem wyciągnął podłużną cienką książeczkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. Przejrzał zrobione tam zapiski i powiedział:

– Jesteśmy umówieni w Kościele Chrystusowym na obrzeżach Ash Hill w Missouri przy autostradzie numer 78 w pierwszym tygodniu lipca.

– Czy to gdzieś niedaleko was, złotko? – chciała wiedzieć Minnie.

– Tak, znam Ash Hill – przyznała Dorothy. – To niedaleko od nas. Z rozkoszą przyślę po was kogoś, kto was przywiezie i odwiezie. Tylko muszę wiedzieć, gdzie się zatrzymacie. Minnie wybuchnęła śmiechem.

– Och, złotko, my tego nigdy nie wiemy, to się okazuje na miejscu. Zwykle Kościół znajduje nam jakieś lokum. Śpimy tam, gdzie są wolne łóżka. Razem z Floydem jest nas sześcioro, on jest w samochodzie i tam na nas czeka, on nie obsługuje imprez z bankietami,

tylko kościoły i obchody przebudzeniowe. No więc jeśli znasz kogoś, kto mógłby przemocować jedną czy dwie osoby, przez tydzień, daj znać. A może ty masz przypadkiem jakieś dodatkowe łóżko czy kanapę, co?

Dorothy poczuła się przyciśnięta do muru, bo przecież ta kobieta właśnie zgodziła się wystąpić w jej programie. Rzuciła okiem na piętnastoletnią, może szesnastoletnią dziewczynę należącą do ich grupy i powiedziała:

– No cóż, prawdę mówiąc, mamy córkę w tym samym mniej więcej wieku co wasza dziewczynka, jestem pewna, że uraduje się niezmiernie, mogąc gościć pani córkę.

Minnie spojrzała na sufit i zaśpiewała pełnym głosem: „DZIĘKI CI, JEZU”, potem spuściła wzrok na Dorothy i wyznała:

– Muszę pani powiedzieć, pani Smith, że Pan codziennie zsyła nam dobrych ludzi. –

I zaśpiewała jeszcze głośniejsze: „DZIĘKI CI, SŁODKI JEZU”.

Dorothy czuła się trochę zażenowana takim przedstawieniem, więc szybko dodała:

– Tylko że, pani Oatman, my nie należymy do Kościoła Chrystusowego i nie wiem, czy to ma zasadnicze znaczenie...

Minnie lekceważącym machnięciem ręki rozwiała wszelkie wątpliwości.

– Nie, złotko, jakież to może mieć znaczenie, wystarczy, że jesteście chrześcijanami, nie pijecie, nie palicie i nie uprawiacie hazardu. – I zanim Dorothy mogła cokolwiek powiedzieć na tak czy na nie, Minnie zawołała donośnie: – Ferris, mamy już jedno miejsce w Ash Hill – i dodała, zwracając się do Dorothy: – To naprawdę bardzo uprzejmie z pani strony, a jeśli chodzi o Betty Raye, to z nas wszystkich ona sprawia najmniej kłopotu; je jak ptaszek, można by pomyśleć, że jej po prostu nie ma. – Przywołała córkę, powiewając chusteczką. – Betty Raye, chodź tutaj. Ta pani jest tak miła, że chce, żebyś u niej nocowała, kiedy będziemy w Missouri.

Betty Raye, blada, chuda dziewczyna z włosami ciemnoblonde i piwnymi oczami, ubrana tak jak matka w lawendową sukienkę, podeszła z pewnym ociąganiem.

Dorothy uśmiechnęła się do niej promiennie.

– Jak się masz, Betty Raye. Cieszymy się, że zamieszkaś z nami. Mam córkę mniej więcej w twoim wieku, która będzie uszczęśliwiona, kiedy przyjedziesz.

Minnie szturchnęła Betty Raye.

– Powiedz pani „dziękuję”. – Dziewczynka zaczerwieniła się i wyszeptała coś tak cichutko, że nie sposób było zrozumieć, co powiedziała.

Kiedy po chwili Dorothy wróciła już do stolika i zdała sobie w pełni sprawę, co zrobiła, powiedziała do męża:

– Anna Lee mnie zabije.

Kolacja na trawie

Rodzina Oatmanów była tylko jedną z wielu wędrujących grup gospel objeżdżających tego roku Południe i Środkowy Zachód. Zespoły takie jak Rodzina Spearów, Szczęśliwi Goodmanowie, Obywatele, Harmoniści, Weatherfordowie, Rodzina LeFevre, Czwórka Dixie, Chłopcy z Doliny Tennessee, Mistrzowie Melodii zarabiali na życie, występując w kościółkach, śpiewem uświetniając kongresy, uroczystości przebudzeniowe w namiotach lub na wolnym powietrzu. Tradycja muzyki gospel pochodzącej z Południa bierze swój początek z wczesnych lat osiemnastego wieku w Nowej Anglii, kiedy to pierwsi koloniści przywieźli ze starego kontynentu śpiewniki kościelne. Gospel szybko się spopularyzowało, stając się na dłuższy czas dominującym stylem w muzyce amerykańskiej, śpiewane w kościołach, na obozowych spotkaniach we wszystkich zakątkach kraju. Jednakże po zakończeniu wojny secesyjnej styl ten, nazywany Świętą Harfą, na Północy zaczął tracić na popularności, podczas gdy w wiejskich kościołach na głębokim Południu trzymał się krzepko. W 1910 roku niejaki James D. Vaughan wydał swój pierwszy śpiewnik Gospel Chimes. W ramach akcji promocyjnej wysłał z koncertami po kraju zespół zwany Vaughan Quartet, który był pierwszą w Ameryce południową grupą gospel wyłącznie męską. Potem utworzył Szkołę Muzyczną Vaughana w Lawrenceburgu, w Tennessee. Po niej zaczęto otwierać następne szkoły i do roku 1930 grupy południowego gospel, skupiające mężczyzn, kobiety i dzieci zaczęły pojawiać się jak grzyby po deszczu i można je było spotkać wszędzie na Południu, Środkowym Zachodzie aż do Iowa. Zespoły, które osiągnęły większe powodzenie, zaczęły pojawiać się w radiu, co jeszcze bardziej zwiększyło ich popularność, i stopniowo ich występy zaczęły przyciągać tłumy.

W 1946 roku występy radiowe jeszcze nieczęsto trafiały się Oatmanom. Ferris wraz z braćmi, Floydem i Le Royem, wychowywali się na skrawku nieurodzajnej ziemi. Mieli surowych rodziców, skrupulatnie przestrzegających zasad zielonoświątkowców. Tak wychowany Ferris mocno wierzył, że już samo słuchanie radia, nie mówiąc o występowaniu w nim czy wygłoszeniu kazania, było grzechem. Jak mawiała Minnie, „Ferris we wszystkim

widzi podszepty diabła”. Z drugiej strony Ferris widząc, jak bardzo zapowiedź radiowa, wskazująca, gdzie będą występować, wpływała na frekwencję, sam zaczął się o to modlić. Po tygodniu oświadczył:

– Minnie, Pan Bóg przemówił do mnie i powiedział, że chce, abyśmy wystąpili w radio. –
I tak już zostało.

Minnie Varner, czwarte dziecko kaznodziei Zgromadzenia Boga, urodziła się w Georgii, koło Shiloh. Varnerowie byli muzykalną rodziną, a Minnie zaczęła grywać na pianinie w kościele już jako dziewięcioletnie dziecko. Kiedy miała dwanaście lat, poznała Ferrisa Oatmana, wówczas dwudziestoczteroletniego. Brała wtedy udział w całodziennych występach razem z Harmonettami, dziewczęcą grupą z Birmingham. Pierwszego dnia, kiedy Minnie ujrzała Ferrisa z czarnymi kręconymi włosami, zakochała się w nim na zabój. On musiał przeżywać podobne uczucia, tego wieczoru bowiem powiedział do swego brata Le Roya:

– Dziś poznałem swą żonę.

Dwa lata później, kiedy Minnie miała czternaście lat, uciekła z nim, niepomna przestróg rodziców i starszych braci, którzy ostrzegali ją przed trudami życia wędrowniej trupy gospel. Mówili, że jeśli ich nie posłucha, spędzi całe życie w przyczepie samochodowej, jak sęp rzucając się na śpiewniki. Jak dotąd ich prorocтва się spełniły. Ale Ferris Oatman, który pracował na plantacji bawełny, by móc zapisać się do Szkoły Muzyki Gospel Stamps-Baxtera w Dallas, uważał, że ma prawdziwe powołanie. Od kiedy skończył sześć lat, jego jedynym marzeniem było zostać członkiem kwartetu śpiewaków gospel. Z kolei jedynym marzeniem Minnie, od kiedy skończyła dwanaście lat, było zostać jego żoną, dołączyła więc do zespołu i ruszyła z nim w trasę.

Kiedy Minnie urodziła dwóch chłopców, Bervina i Vernona, a później jeszcze Betty Raye, jej rodzice kupili im malutki dwupokojowy domek niedaleko miejsca, gdzie się wychowywała. Chcieli, by dzieci miały jakiś dom, ale rodzina nigdy nie zatrzymywała się tam dłużej niż na czas potrzebny na wypranie i wyprasowanie ubrania, po czym znów ruszała w drogę. To było ciężkie życie. Podczas Wielkiego Kryzysu odszedł od nich brat Ferrisa, Le Roy, który przystał do zespołu country. Nie licząc paru dolarów, które zarabiali na sprzedaży śpiewników, występowali za wolne datki. Czasem było to pięć, czasem dziesięć dolarów, zależy, ilu członków liczyła kongregacja. Trudno było o pieniądze. Minnie twierdziła, że jedyną pociechę stanowiła świadomość, że trudzili się dla Boga, oraz mieli jedzenie za darmo. Większość kościołów znajdowała się na wsiach, gdzie jedzenia było w bród. W domach,

w których kwaterowali podczas licznych całonocnych występów albo przyjęć na wolnym powietrzu, nawet w czasach Wielkiego Kryzysu karmiono ich dobrze. Pieczone kurczaki, szynka, kotlety wieprzowe, herbatniki, sosy, smażone sumy, świeże warzywa, młode kartofle, puree, nieodciągane mleko, miód, dżemy i galaretki, chleb z mąki kukurydzianej, chleb własnego wypieku, ciastka, paszteciki i zimne napoje. Jedli tyle wysokokalorycznego pożywienia, że wydawało się, iż wartość pieśniarza gospel ocenia się według wagi. Pewien naoczny świadek wypadku samochodowego, w którym brała udział dość znana grupa gospel, tak skomentował to zdarzenie: „Ciężki wypadek, nie ma co, z jednego tylko samochodu trzeba było wyciągać aż dwa tysiące funtów pieśniarzy gospel. Tyle że taka wyściółka ma swoje dobre strony, bo nikt z nich nie został ranny”. A zła strona, jak ujęła to Minnie: „Śpiewanie gospel sprzyja duchowości, ale szkodzi wątrobie”. W rodzinie Oatmanów tylko Betty Raye pozostawała szczupła i nikt nie wiedział dlaczego. Jeśli chodzi o Betty Raye, takich niezrozumiałych spraw związanych z jej osobą było znacznie więcej.

Znów w domu

Dorothy i Doc wrócili z kongresu późnym wieczorem w niedzielę, a w poniedziałek o dziewiątej trzydzieści Dorothy jak zwykle była już na antenie. Zaczęła od słów: – Witam wszystkich, dzień dobry, mam nadzieję, że u was jest piękna pogoda, bo u nas okropna, szaro i mokro, siąpi deszcz. Ale czy deszcz, czy słońce, zawsze się cieszę, kiedy wracam do domu, a szczególnie do was, swoich radiowych przyjaciół. Mieliśmy cudowną podróż do Memphis, gdzie zobaczyliśmy to i owo. Nie tylko kaczą rodzinę zamieszkałą w hallu naszego hotelu, ale też stoisko z hot dogami otwarte przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Powiedziałam do Doca, że nie wyobrażam sobie, jak można mieć ochotę na hot doga w środku nocy, ale domyślam się, że są ludzie, którym to się zdarza. W każdym razie Memphis to piękne miasto, ale... – Tu Matka Smith zagrała parę taktów z piosenki Nie ma jak w domu, co Dorothy skwitowała śmiechem. – To prawda, Matko Smith, a tak przy okazji, cieszymy się bardzo, że Matka Smith może znów być z nami. Powiada, że jej siostra ma się lepiej i dochodzi do siebie, jak to się mówi... przesyłamy jej najlepsze życzenia rychłego powrotu do zdrowia, jak również wszystkim, którzy są unieruchomieni w domu. Mam dla was dobrą nowinę, zwłaszcza dla fanów muzyki gospel, ale o tym za chwilę, bo najpierw... Muszę was o to zapytać: czy pieczenie babeczki tak dobre, że wasza rodzinka mówi:

„palce lizać”? Jeśli nie, to radzę wam kupić torebkę mąki Złote Płatki Lekkie jak Piórko, a gwarantuję, że wasza rodzina powie: „palce lizać”. Zanim przeczytam list nadesłany na nasz konkurs „Jak poznałam swojego męża”, muszę najpierw pozdrowić inną domorosłą radiówkę, Evelyn Birkby, której audycji Wzdłuż wiejskiej drogi, nadawanej przez KMA, słuchać można aż do Shenandoah w stanie Iowa. Dziękuję jej za przesłany nam przepis na śmietanowe ciasto z rodzynekami. Co my tu jeszcze mamy? Aha, dzwonił Fred Morgan z informacją, że ma świeżą dostawę nowiutkich radioodbiorników konsolowych Philco, więc przychodźcie. Niechętnie się do tego przyznaję, ale powiem wam, że jestem już w tym wieku, że pamiętam radioodbiorniki domowej roboty: zestaw kryształków, pudełko po starych cygarach i opakowanie po płatkach owsianych. Co takiego? Matka Smith przyznaje, że pamięta czasy, kiedy w ogóle radia nie było. No cóż, cieszę się, że żyjemy teraz, a nie wtedy, ponieważ uwielbiam odwiedzać swoich przyjaciół za pośrednictwem fal radiowych, ale proszę mnie nie pytać, jak to działa. Pozostaje dla mnie zagadką, jak to się dzieje, że przy takiej liczbie audycji nadawanych jednocześnie nie wpadamy na siebie tam w przestworzach. Często zastanawiam się, jak to jest z audycjami: czy po ich nadaniu po prostu rozplývają się w powietrzu, czy gdzieś tam się unoszą? Jeśli wiecie, nie mówcie, jestem pewna, że dopiero bym się wystraszyła!

Jest tu ze mną Beatrice, która ma coś dla wszystkich słuchaczy z Kentucky: Gwiazdy świecą na łąkach niebieskich, zacznijmy jednak od laureatki naszego konkursu. Pani Boots Carroll z Enid w Oklahomie pisze:

Droga Sąsiadko Dorothy!

Swojego męża poznałam w Alcatraz. Nie, on nie był więźniem, tylko strażnikiem więziennym. Byłam na wycieczce organizowanej przez kościół i wpadłam mu w oko, poszedł za nami aż do autokaru, dowiedział się, w jakim hotelu się zatrzymaliśmy, i jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił do mnie, żebym się z nim umówiła. Mimo że strażnik, to jest przystojny, dobrze mu w mundurze i mamy ze sobą czwórkę dorosłych już dzieci.

Wygrała pani bezapelacyjnie, pani Carroll, dostaje pani pięcioletni woreczek mąki Złote Płatki.

Po piosence Beatrice i kilku następnych reklamach nadeszła pora na zapowiedź:

– Wiecie, że zawsze staram się znaleźć wam dobrą rozrywkę, więc kiedy byliśmy

z Dokiem w Memphis, tak się szczęśliwie złożyło, że mieliśmy okazję zobaczyć i posłuchać świetnie śpiewającej grupy Oatman Family, a za miesiąc wystąpią oni na żywo w naszej audycji. Wszyscy, którzy kochają muzykę gospel, niech będą gotowi na posterunku, podam wam dokładną datę. Nie zapomnijcie nastawić radia, bo to wielkie wydarzenie.

Słuchacze Dorothy zamieszkali w miastach mogli nie słyszeć o Oatmanach, ale większość słuchaczy ze wsi ucieszyła się na wiadomość o ich przyjeździe. Szczególnie ciotka Normy, Elnor Shimfissel, która słyszała ich w Czas na gospel, USA. Zaczynała gorzej słyszeć na prawe ucho, lubiła więc zespoły, które głośno śpiewają.

Po audycji Dorothy poszła do pokoju Anny Lee, gdzie musiała podziwiać nowe mokasyny i wysłuchać szczegółowej relacji, jaki to Bobby był nieznośny podczas ich nieobecności. Dorothy starała się wykorzystać okazję i wspomnieć coś na temat ich przyszłego gościa, który miał do nich zawitać już za miesiąc. Udała bardzo zaaferowaną, poprawiając firanki. Zaczęła od niefrasobliwego: „Och, a propos”, ale nie udało jej się osłabić reakcji córki.

– Pieśniarka gospel z Kościoła Chrystusowego?! – krzyknęła Anna Lee. – W moim pokoju? Przez cały tydzień? W głowie mi się nie mieści!

– Ależ, kochanie, jestem pewna, że ją polubisz, kiedy tylko ją poznasz. Wygląda na bardzo sympatyczną. – Dorothy starała się, by jej głos brzmiał przekonująco.

Anna Lee osunęła się na łóżko śmiertelnie ugodzona.

– Mamo, jak mogłaś zrobić coś takiego, nawet mnie nie pytając?

– Po prostu tak się złożyło. Pani Oatman zapytała mnie, czy nie mamy dodatkowego posłania... Ciebie nie było w pobliżu, żebyś cię mogła zapytać... Myślałam, że nie będziesz miała nic przeciwko temu. Ona jest mniej więcej w twoim wieku, mogłaby ci się spodobać znajomość z kimś trochę różnym od ciebie.

– Różnym? Mamo, ci ludzie nawet nie chodzą do kina ani na tańce, nie malują się ani nic z tych rzeczy!

Dorothy przypomniała sobie, jak oni wyglądali, i musiała przyznać córce rację.

– Może rzeczywiście tego nie robią, ale taka jest ich religia, musimy więc to uszanować.

Możesz chyba zrezygnować na tydzień z chodzenia do kina i na potańcówki, co?

Anna Lee spojrzała na matkę ze zgrozą.

– Dlaczego miałabym zrezygnować? Przecież jestem metodystką.

- Wydaje mi się, że nie byłoby to zbyt miłe robić coś, czego im nie wolno.
- A jak mam ją zabawić, skoro nic jej nie wolno?
- Możesz przedstawić ją kilku swoim przyjaciółkom. Jestem pewna, że jest mnóstwo rzeczy, które możecie wspólnie robić.
- Na przykład co?
- Możecie iść razem na basen... Możemy zorganizować w ogrodzie jakieś małe przyjętko... Zabierz ją na piknik.
- I co jeszcze?
- Nic więcej nie przychodzi mi teraz do głowy. Ale jestem pewna, że kiedy się już poznacie, będziesz miała mnóstwo pomysłów, jak zabawić swojego gościa.
- Ona nie jest moim gościem, będę musiała przez tydzień znosić jej obecność, to wszystko. A jeśli ona zacznie szperać w moich rzeczach?
- Nie bądź śmieszna, dlaczego ma szperać w twoich rzeczach? To bardzo miła dziewczuszka i nie mam wątpliwości, że wszystko się uda. Nic ci się nie stanie, jak przez tydzień będziesz dla kogoś miła. Później jeszcze o tym porozmawiamy. Teraz muszę już robić kolację.

Dorothy była już przy drzwiach, kiedy Anna Lee jeszcze dodała:

- Dobra, ale jeśli okaże się, że ona nosi jakieś badziewne sukienki szyte w domu, nigdzie jej nie biorę. Niech sobie siedzi w domu i już.

Może nie całkiem tak myślała, jak powiedziała, ale to zmroziło Dorothy.

Anna Lee rzadko wyprowadzała matkę z równowagi, ale kiedy to się zdarzało, natychmiast wiedziała, że posunęła się za daleko. Dorothy odwróciła się i popatrzyła przeciągle na córkę.

- Anno Lee, chyba mi nie powiesz, że wychowałam snobkę? Serce by mi pękło, gdybym choć przez chwilę pomyślała, że możesz być niemiła dla kogoś, a zwłaszcza dla biednej dziewczyny, która prawdopodobnie nie może się doczekać spotkania z tobą. Powiedziałam tej dziewczynce, że bardzo się ucieszysz, goszcząc ją u siebie, ale widzę, że się myliłam.

Anna Lee poczuła się okropnie zawstydzona.

- Przepraszam, mamusiu, naprawdę nie chciałam.

Dorothy stała nieporuszona, zastanawiając się, co zrobić, a w końcu powiedziała:

- Skontaktuję się jeszcze dzisiaj z panią Oatman i powiem jej, żeby zmienili plany.
- Nie, nie rób tego, proszę... Przepraszam, mammo.

Dorothy jednak odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Anna Lee pobiegła za nią, wołając:

– Proszę, mamusiu, nie rób tego!

– Nie mogę zapraszać dziewczyny gdzieś, gdzie jej nie chcą.

– Ale ja chcę, żeby ona przyjechała. Obiecuję, zrobię wszystko, na co będzie miała ochotę. Ale niech przyjedzie! Zabiję się, jeśli do nas nie przyjedzie! – Rzuciła się na podłogę, wpadając w histerię właściwą nastolatkom. – Proszę, proszę! Może zająć cały mój pokój, może chodzić w moich ubraniach, ja będę spała z babcią. Będę ją zabawiała dzień i noc, tylko nie dzwoń, proszę!

Dorothy już nieraz była świadkiem podobnych przedstawień, więc nie całkiem dała się przekonać.

– Już dobrze, Anno Lee. Wstań. Nie zadzwonię dzisiaj. Ale niczego nie obiecuję.

Zobaczmy, co jutro powiesz na ten temat.

Od tego dnia codziennie przy obiedzie Anna Lee zapewniała, jak to nie może się doczekać, kiedy Betty Raye przyjedzie.

I chociaż nie były to całkiem szczere wyznania, Anna Lee raczej dałaby się pokrajać, niż miałyby ponownie zawieść matkę.

Niechętny gość

Miesiąc później, około czwartej po południu pokryty kurzem stary czterodrzwiowy zielony packard, wypakowany po brzegi ludźmi, nutami i książkami oraz sprzętem nagłaśniającym piętzącym się na dachu i na przyczepce podjechał pod dom Smithów. Z tyłu auta widniał wymalowany ręcznie napis: RODZINA OATMANÓW – W DRODZE DO JEZUSA.

– Anno Lee, Bobby, przyjechała Betty Raye! – zawołała Dorothy z saloniku.

Przez cały dzień Anna Lee ćwiczyła radosne uśmiechy i wygląd uszczęśliwionej gośćmi, ale gdy zajechał rozklekotany wehikuł, modliła się w duchu, by nikt ich nie widział.

Z samochodu wygramoliły się trzy osoby, i tak jak Anna Lee przewidywała, dziewczyna ubrana była w szytą w domu spłowiałą niebieską sukienkę z jakimś brzydkiem zygzakiem wijącym się nierówno wokół szyi i na rękawkach. Jeden z młodych Oatmanów odwiązał z przyczepki małą kartonową walizkę, podał ją Betty Raye i wrócił do samochodu.

Minnie siedziała z przodu i pomachała im chusteczką.

– Macieja – zakomunikowała, po czym obrzuciła spojrzeniem dom i wykrzyknęła: – Ojej, jak tu ładnie. Jakie ładne krzaczki i kwietniki, to chyba najładniejszy dom, w jakim dotąd gościła.

Dorothy podziękowała.

– Może wejdziecie na chwilę i poczęstujecie się kanapką i czymś zimnym do picia?

Upiekłam dla was ciasteczka.

– O nie, złotko, nie możemy, całą drogę z Oklahomy jedziemy ściśnięci jak sardynki w puszcze, nogi mi napuchły i marzę tylko o tym, by wreszcie dotrzeć na miejsce. Nie mówiąc już o tym, że jakbyśmy wysiedli, to nie wiadomo o której znów wszyscy by się zebrali. Chłopaki się zawsze rozłożą, gdziekolwiek staniemy. Ale możemy wziąć ciasteczka ze sobą, jeśli są poręczne.

Oczywiście – odpowiedziała Dorothy. – Anna Lee i ty, Bobby, biegnijcie do kuchni i zapakujcie ciasteczka w papier woskowy, zawińcie też kanapki. – Podeszła do samochodu, przywołana gestem przez Minnie.

– Jak już mówiłam, pani Smith, ona nie je dużo – powiedziała szeptem Minnie. – Co panią może zaskoczyć, to że ona potrafi siedzieć w kącie i nie odzywać się do nikogo. Ale tym proszę się nie przejmować i nie brać sobie tego do serca. Ona jest po prostu nieśmiała, pojęcia nie mam po kim. Bo nikt w naszej rodzinie, Bóg mi świadkiem, nie jest ani trochę nieśmiały. Modlimy się do Boga, żeby ją z tego uleczył, ale jak dotąd bez rezultatu.

Przyjęła ciasteczka i kanapki i obiecała rano zwrócić talerzyki.

– Nie ma obawy, przyjedziemy punktualnie o dziewiątej na tę audycję – obiecała, zostawiając Betty Raye samą na chodniku.

– Cześć, jestem Anna Lee, witaj – powiedziała Anna Lee trochę zbyt entuzjastycznie.

– A to jest Bobby – dodała Dorothy, wypychając go naprzód.

– Cześć – powiedział Bobby.

Betty Raye skinęła głową ze wzrokiem wbitym w chodnik. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, kiedy wszyscy stali w milczeniu, ale zaraz Dorothy poderwała się:

– No, chodźmy, musisz się rozgościć. Bobby, bierz walizkę. Bobby, który jak urzeczony wpatrywał się w jej dziwaczny przydziewek, zająknął się:

– O... okay. – Wziął do ręki bagaż i natychmiast zapytał: – Czy ta walizka zrobiona jest z tektury?

Dorothy spiorunowała go wzrokiem.

– Tak tylko pytam – wyjaśnił.

Betty Raye, przyzwyczajona do mieszkania u obcych ludzi, gdziekolwiek pojechali, z rezygnacją poddawała się rytuałowi. Podążyła za nimi, czekając na wskazane miejsce. Nie odezwała się, dopóki nie weszli do pokoju Anny Lee. Dorothy otworzyła drzwi i zapowiedziała:

– A to będzie twój pokój na czas waszego pobytu.

Duży słoneczny pokój z koronkowymi zasłonkami przy łóżku i z tapetami w roślinne wzory wydawał się jak wycięty z żurnala. Anna Lee i Dorothy całe przedpołudnie przygotowywały go na przyjazd gościa. Dorothy uprała i wykrochmaliła firanki, by nadać wnętrzu świeży i pogodny wygląd. Wszyscy czekali, aż Betty Raye zrobi pierwszy krok, ale ona nie ruszyła się od progu. Po chwili popatrzyła na Dorothy i skręcając się w niemal widoczny sposób, zapytała przepaszającym tonem:

– Pani Smith, czy nie ma pani jakiegoś innego pokoju, gdzie bym mogła zamieszkać?

Dorothy była kompletnie zaskoczona. Wszystkiego by się spodziewała, ale nie tego.

– O – westchnęła. – Nie podoba ci się ten pokój? Coś w nim jest nie tak?

– Nie, psze pani.

Dorothy była zdezorientowana. Wszystko, na co mogła się zdobyć, to następne westchnienie:

– Ojej.

Bobby wyskoczył z poronionym pomysłem:

– Ej, jak chcesz, to możesz spać w moim pokoju. Mam tam mnóstwo różnych gratów.

– Nie, Bobby, ona nie będzie spała w twoim pokoju. Próbuję właśnie coś wymyślić, gdzie by jej się mogło podobać. Możemy się rozejrzeć po domu, jeśli chcesz.

Betty Raye znowu się skurczyła i zapytała ledwo dosłyszalnym szeptem:

– Nie ma pani nic przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie – zaprzeczyła żywo Dorothy, nadal oszołomiona. – Chcemy, żebyś się dobrze czuła.

Kiedy tak szli przez cały dom jak w uroczystym pochodzie, Dorothy spojrzała na córkę przez ramię, uniosła w górę ręce i potrząsnęła głową, jakby chciała bezgłośnie powiedzieć: „Nie wiem, o co jej chodzi, a ty?” Annie Lee jednak nagle zaczął się podobać taki obrót spraw i nie wykazała żadnej reakcji. Wzniosła tylko oczy do góry, zatrzepotała rzęsami, co

miało oznaczać: „Nie patrz tak na mnie, to nie ja ją zaprosiłam”. W tym momencie Dorothy miała ochotę ją dzielić.

Zlustrowali już niemal cały dom, kiedy na końcu Dorothy otworzyła drzwi do pokoiku, w którym się szyło, usytuowanego na strychu. Betty Raye popatrzyła na łóżko zasłane skrawkami materiałów i wykrojów, po czym zapytała:

– A tutaj mogę zostać?

Zdruzgotana Dorothy w pierwszej chwili nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Dlaczego nie, chyba tak... Ale to przecież taka klitka, nie większa od szafy. Nawet nie ma gdzie powiesić ubrań. Czy naprawdę nie wolałabyś mieć ładnej sypialni z osobną łazienką?

Ale Betty Raye nie wolała.

– Nie, proszę pani – odpowiedziała. – Tu jest dobrze.

W takim razie zgoda. – Dorothy siliła się na wesołość. – Chcemy, żebyś się u nas czuła swobodnie. Anno Lee, pomóż mi zebrać z łóżka te klamoty i złożmy deskę do prasowania. Wieczorem Betty Raye prawie nie tknęła kolacji. Nie odzywała się, chyba że ją o coś pytano, a i wtedy odpowiadała półgębkiem.

Doc wrócił do domu akurat w porze kolacji i próbował nawiązać z nią rozmowę. Zaczął od pytania rzuconego mimochodem:

– No jak tam, Betty Raye, podoba ci się twój pokój?

– Wcale jej się nie podobał – wyrwał się Bobby. – Ona śpi w pokoju do szycia.

Doc popatrzył pytająco na Dorothy.

– Dlaczego ona śpi w pokoju do szycia? Myślałem, że będzie razem z Anną Lee w jej sypialni.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której Dorothy starała się wymyślić jakąś taktowną odpowiedź i która była tak długa, że zdawała się trwać wieki. W tym czasie Bobby, niebacznym na niezręczność sytuacji, zauważył, że gość nie ma apetytu, skorzystał więc z okazji, by zapytać:

– Jeśli ona nie chce deseru, to czy mogę go zjeść?

Po kolacji Betty Raye bez słowa stanęła przy zlewie, gotowa pomóc w zmywaniu. Kiedy Dorothy zorientowała się, o co chodzi, zaprotestowała:

– O nie, kochanie, jesteś naszym gościem. Idź się pobaw. My z Matką Smith zajmiemy się zmywaniem.

Betty Raye wyglądała na zdziwioną, ale poszła prosto do swojego pokoju i starannie zamknęła za sobą drzwi. Gdy po chwili weszła Anna Lee, niosąc naręczę różnych gier, i zapytała, gdzie jest Betty Raye, Dorothy odpowiedziała:

- Nie jestem pewna, ale zdaje się, że położyła się już do łóżka.
- Przecież dochodzi dopiero siódma.
- Kochanie, może jest zmęczona po podróży – wyjaśniła Dorothy.
- Cóż, w takim razie widzę, że sobie nie pogramy w Monopol, prawda?

Później wieczorem, zanim Dorothy przysła usiąść z nimi na ganku od frontu, Matka Smith nachyliła się do Doca i szepnęła poufnym tonem: – Ta mała wydaje się jakaś dziwna, nie uważasz?

Nic dziwnego

Pierwszego wieczoru Matka Smith myślała, że Betty Raye jest dziwolągiem, ale kiedy następnego ranka poznała cały klan Oatmanów w pełnej krasie, nie wyłączając zagadkowego indywiduum, wuja Floyda Oatmana, brzucho mówcę, z nieodłączną kukłą o imieniu Chester, który bez przerwy cytował Pismo Święte, nosił wielki kapelusz kowbojski i na dzień dobry zaczął śpiewać Jezus napełnił me serce jodłowaniem, zmieniła zdanie. Gdy poznała pozostałych członków rodziny Oatmanów, uznała, że Betty Raye była z nich wszystkich najlepsza.

Kiedy tamci odjechali i Betty Raye wróciła do swego pokoju, Matka Smith szepnęła do Dorothy:

- Wielki Boże, nic dziwnego, że mała jest trochę zbakierowana, ale to przecież nie jej wina.

Punktualnie o godzinie dziewiętej piętnaście całe towarzystwo wysypało się z samochodu, wdarło do domu niczym armia najeźdźców i w parę sekund pochłonęło, jeszcze w hallu, sześć tuzinów kruchych ciastek. Podczas ich występu Minnie z taką mocą zaatakowała fisharmonię Matki Smith, że biedny instrument ledwo zipsał. Po odśpiewaniu trzech pieśni manekin Chester zaanonsował skrzypiącym głosem:

- Pamiętajcie, ludziska, dziś wieczór wszyscy spotykamy się w Kościele Chrystusowym przy autostradzie 78, gdzie odbędzie się coroczny zjazd na wolnym powietrzu, a przez cały

tydzień pod namiotami odnowa w duchu chrześcijańskim... naśpiewamy się... najemy dobrych rzeczy... i ocalimy swoje dusze. Przybywajcie więc tłumnie!

Po czym wszyscy znów wgramolili się do samochodu i odjechali. Ich śpiew podobał się słuchaczom zgromadzonym w saloniku, a zwłaszcza Beatrice Woods, Śpiewającej Ptaszynie, która zachwycała się każdą po kolei pieśnią przez nich zaśpiewaną i klaskała rozbawiona, kiedy Chester, kukła brzuchomówcy, jodłował. Matka Smith, w mniejszym stopniu zachwycona, cieszyła się, że jej organy nie rozleciały się na skutek ich występu. Bobby'emu natomiast nie przeszkadzało, że Betty Raye nosi szytą w domu sukienkę ani że należy do grupy śpiewaków gospel; dla niego liczył się fakt, że w domu przebywa jeszcze jedna osoba. Wreszcie mógł popisywać się przed kimś nowym. Następnego dnia zaczął, aż Betty Raye zejdzie do kuchni na śniadanie. Kiedy siedziała już przy stole obok Dorothy i Matki Smith, z hallu dał się słyszeć niesamowity przenikliwy gwizd. Następnie w drzwiach wejściowych ukazał się Bobby, ubrany w długi płaszcz swojego ojca z postawionym kołnierzem, w filcowym kapeluszu wciśniętym na oczy i odezwał się zmienionym głosem: – To ja jestem Wistler, wiem o wielu sprawkach, bo włóczę się całymi nocami. Znam wiele mrocznych tajemnic skrywanych na dnie serc kobiet i mężczyzn, którzy zstępują w ciemności. Tak... Znam nie nazwane strachy, o których oni nie wspominają! – Po czym zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił, przez cały czas śmiejąc się upiornie. Betty Raye drżała, będąc świadkiem tak dziwnego przedstawienia, ale wszyscy pozostali ze spokojem jedli dalej śniadanie. Tylko Dorothy, smarując tost masłem, zauważyła: – Gdyby równie dużo czasu poświęcał lekcjom co słuchaniu radiowych audycji, zostałby geniuszem.

Betty Raye spojrzała przez okno i zobaczyła sunącą wzdłuż sznura do bielizny młodą osobę w ciemnych okularach oraz zaaferowaną kobietę z siateczką na włosach nawiniętych na lokówki, która zajrzała przez frontowe drzwi i zapytała:

– Nie widzieliście mamy?

Dorothy wyglądała na zaniepokojoną.

– Nie, tutaj jej nie było. Znów zniknęła?

– Właśnie. Wystarczyło, żebym odwróciła się na parę sekund, a już przepadła. Jak się pojawi, to ją zatrzymaj.

Kiedy kobieta poszła dalej, Matka Smith powiedziała:

– Biedna Tot. To już drugi raz w tym tygodniu.

Dorothy potrząsnęła głową.

– Biedna Tot.

Matka Smith odwróciła się, by powiedzieć coś do Betty Raye, ale i ona zniknęła, zostawiając niemal nietknięte śniadanie. Po chwili usłyszały trzask zamykanych drzwi na górze. Spojrzały na siebie porozumiewawczo.

– No cóż – powiedziała Matka Smith.

– No cóż – powtórzyła Dorothy. – Nie wiem, co mam o tym myśleć, a ty?

– Ja też nie.

Na śniadanie zeszła Anna Lee.

– Ona jeszcze nie wstała?

– Owszem. Była już i poszła. Minęłaś się z nią.

Betty Raye ani razu nie opuściła pokoju wcześniej, niż kiedy trzeba było już wychodzić na uroczystości, wtedy przez nikogo nie zauważona wymykała się cichutko z pokoju i na chodniku czekała, aż nadjedzie jej rodzina i ją zabierze. Raz Dorothy zapukała do jej pokoju, a nie słysząc odpowiedzi, zajrzała sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku, ale Betty Raye już weszła. Dorothy nie zamierzała być wścibska, po prostu samo rzuciło jej się w oczy, że sukienka, w której dziewczyna przyjechała, leży na łóżku, a otwarta walizka stojąca na podłodze jest pusta. Wielki Boże, pomyślała, cały majątek tego biedactwa to zaledwie dwie sukieneczyny na krzyż.

Wiedziona pierwszym odruchem chciała natychmiast biec do miasta i kupić jej cały komplet garderoby. Wieczorem przedyskutowała to z Dokiem. Od lat oboje dyskretnie podsyłali biednym ubrania, jedzenie i pieniądze, kiedy widzieli, że ci ludzie znajdują się w potrzebie. Ale z Betty Raye sytuacja przedstawiała się odmiennie. Ona była ich gościem. Jakże więc mogli potraktować ją jako obiekt działalności dobroczynnej, nie raniąc przy tym jej uczuć?

Dylemat ten okazał się nie do rozwiązania i Dorothy za każdym razem, kiedy patrzyła na znoszoną sukienkę Betty Raye, czuła ukłucie w sercu.

Uroczystości przebudzeniowe

Od kiedy Oatmanowie przybyli do miasta i wystąpili w audycji Sąsiadki Dorothy, Anna Lee, Norma i Patsy Marie wprost umierały z ciekawości, jak wygląda przebudzenie,

i przebierały nogami, by tam pójść i zobaczyć na własne oczy. Wszystkie trzy wychowały się w mieście i tak naprawdę nigdy ich nie korciło, by być na uroczystościach przebudzeniowych. Ich nagłe zainteresowanie tym zgromadzeniem od razu wydało się Dorothy podejrzane.

– Słuchaj, Anno Lee, nie chcę, żebyście tam szły i naśmiewały się z tych ludzi...

Słyszysz?

Anna Lee poczuła się dotknięta tym podejrzaniem.

– Ależ, mam, co ci przyszło do głowy?

– Bo wiem, jak niepoważnie wasza trójka potrafi się zachowywać.

W końcu Annie Lee udało się przekonać matkę, by pozwoliła jej tam pójść, ale matka Normy kategorycznie się sprzeciwiła.

– Nigdzie nie pójdziesz. Nie masz pojęcia, jacy ludzie tam ściągają ze wszystkich okolic, zaczną bełkotać w różnych językach... Zresztajesteśmy prezbiterianami i nie wierzymy w takie prymitywne przedstawienia.

Norma jednak powiedziała matce, że będzie nocować u Patsy Marie, i tak się wymknęła.

Drugiego dnia uroczystości Norma namówiła swojego chłopaka, Macky'ego, żeby je zawiózł za miasto. Spotkali się około szóstej, ale zanim wyjechali z miasta, Norma wysłała Macky'ego do Trolejbusowej Gospody, żeby kupił dla nich hamburgery. Postukała palcem w ulotkę, która zapowiadała: „Uroczystości przebudzeniowe pod namiotem, posiłek na gołej ziemi”.

– Nie mam zamiaru niczego jeść wprost z ziemi, bo gdyby mi coś zaszkodziło, matka od razu by się domyśliła, gdzie byłam.

Kiedy skręcili z autostrady nr 78 na wiejską drogę gruntową, zobaczyli prymitywne transparenty wskazujące kierunek i głoszące: **ZAPŁATĄ ZA GRZECH JEST ŚMIERĆ – CZY JESTEŚ ZBAWIONY? PRZYGOTUJ SIĘ NA SPOTKANIE SWOJEGO STWÓRCY** oraz **BÓG SAM ODBIERA WSZYSKIE ZGŁOSZENIA, ON NIE MA SEKRETARKI.**

– Zrobili błąd w słowie „wszystkie” – zauważyła Patsy Marie.

Trzy kwadransy później, kiedy dojechali do miejsca zwanego Pastwiskiem Browna, za Kościołem Chrystusowym przy autostradzie 78, ujrzeli duży brunatny namiot, ozdobiony czerwonymi i białymi trójkątnymi chorągiewkami rozwieszonymi na sznurkach, widocznymi już z daleka. Po obu stronach drogi stały zaparkowane wcześniej samochody, traktory i ciężarówki, tak że musieli zostawić swój pojazd o pół mili od namiotu. Wokół kłębili się ludzie, niosąc koszyczki i talerze. Kiedy udało im się podejść już całkiem blisko namiotu,

zobaczyli rzędy ławek i stołów uginających się od jedzenia, jakie każdy przyniósł na wspólny posiłek. Norma zdziwiła się, że zapowiadany „posiłek na gołej ziemi” nie oznaczał dosłownie jedzenia z ziemi, ale ze stołów przykrytych gazetami. Kiedy jej towarzysze spostrzegli stopy pieczonych kurczaków, domowe makarony i sery oraz półmiski pełne świeżych kolb kukurydzy i arbuzy, pożałowali, że posłuchali Normy i przywieźli tylko hamburgery. – Skąd mogłam wiedzieć – broniła się Norma – przecież nie napisali: „jedzenie na stołach”.

Kiedy dotarli do namiotu, większość składanych krzeseł była już zajęta, musieli więc usiąść z tyłu, ale to akurat odpowiadało Normie. Na ziemi rozsypano trociny, co kojarzyło się z cyrkiem – podobnie zresztą jak atmosfera panująca w całym namiocie. Rozbrykane dzieci hałasowały i biegały wzdłuż nawy, nie napominane przez rodziców jak w kościele. Panowała radosna atmosfera, pełna wyczekiwania. Ale wyczekiwania na co, tego dziewczęta z Elmwood Springs jeszcze nie wiedziały. Wszędzie pełno było ludzi, których wcześniej nie znały: zielonoświątkowcy, wyznawcy Kościoła Chrystusowego, zatwardziali, ortodoksyjni baptyści, kto tylko mógł, przyszedł tu wspólnie się radować.

Mężczyźni włożyli czyste drelichowe spodnie, kobiety zaś szyte w domu sukienki, podobne do tych, jakie nosiły Minnie i Betty Raye. Wieczór był gorący, więc kobiety, z włosami przeważnie zebranymi w koczki na karku, gwarząc beztrąsko między sobą, wachlowały się dla ochłody, wymachując papierowymi wachlarzami z obrazkiem Ostatniej Wieczerzy, jakie rozdawano wcześniej w kościele. Na okrągłej scenie, ustawionej pośrodku, stał tylko fortepian i sprzęt nagłaśniający oraz sztuczna paproć osadzona w koszyku.

W oczekiwaniu na rozpoczęcie uroczystości dziewczęta szturchały się łokciami i chichotały, gdy Macky pokazał im kobietę, która zażywała tabaki i częstowała nią siedzących wokół z blaszanego pudełka, jakie miała ze sobą. Właśnie wtedy minęła ich duża kobieta o dobrodusznym wyglądem w towarzystwie niepozornego mężczyzny w kombinezonie.

Norma podniosła na nich oczy i natychmiast schowała się za krzesło.

Macky popatrzył na nią zdziwiony.

– Co ty, głupia, wyprawiasz?

– To moja ciocia Elner! – szepnęła Norma. – Powie mamie, jeśli mnie zobaczy.

Resztę wieczoru Norma spędziła ukryta za ciemnymi okularami i owinięta szalem, kryjąc się za plecami siedzących przed nią uczestników, w strachu, że w którymś momencie ciocia Elner się odwróci i wyłowi ją spojrzeniem spośród liczącego setki osób tłumu. Jak się

okazało, możliwość zdemaskowania jej przez ciocię Elner była najmniejszym powodem do zmartwienia.

Punktualnie o siódmej wieczorem pojawił się kaznodzieja z Kościoła Chrystusowego przy autostradzie nr 78. Po długich modlitwach przedstawił zebranym Oatman Family Gospel Singers, którzy przy gromkich brawach kolejno wchodzili na scenę.

Patsy Marie trąciła Annę Lee.

– Która to Betty Raye?

– Ta chuda.

Patsy Marie zaraz zauważyła, że dziewczyna jako jedyna z całej rodziny Oatmanów nie ma też ich kruczoczarnych włosów:

– Nie jest w ogóle do nich podobna, prawda?

– A kto by chciał? – zauważyła szeptem Norma, zwracając się do Macky’ego.

Wkrótce po tym, jak Oatmanowie klaszcząc i tupiąc, zaprezentowali na początek własną wersję Daj mi mą dawną religię i dalej Obmyty krwią, Powiedzcie Matce, że idę do Niej, Spotkamy się przy rzece, Wierzę w Pana na niebiesiech, kiedy wszyscy, wtórując, już kołysali się w krzesłach, przybyły gościnnie wprost z Del Rio w Teksasie kaznodzieja, wielebny Stockton Briggles, przebiegł przez całą długość nawy, wskoczył lekko na scenę, trzymając w jednej ręce Biblię, i począł tańczyć i wołać:

– Czuję, że zbliża się duch!

Takiego przedstawienia, jakie on zaprezentował, żadne z całej czwórki jeszcze nie widziało. Wielebny Briggles, nawrócony za pośrednictwem znanego kaznodziei Billy’ego Sundaya, gotów był zrewanżować mu się tym samym. Podskoczył na jednej nodze, potem na drugiej, po czym ostrzegł tych, którzy jeszcze nie zostali oczyszczeni, o ogniu piekielnym. Grzmiał, że szatan czyha na ludzkie dusze, walczył z nim, odgrażając się:

– Przepędzę go łopata... Pokonam go siekierą... Będę z nim walczył dniem i nocą!...

Zmachał się przy tym tak, aż zrobił się czerwony na twarzy. Tak był rozsierdzony i przejęty walką z szatanem, że za każdym razem, kiedy się odgrażał, rozpryskiwał ślinę, opluwając siedzących najbliżej, którzy pochylali się w przód i w tył, w miarę jak wielebny zbliżał się do nich i oddalał. Macky’ego rozbawiło to tak bardzo, że nie mógł powstrzymać się od głośnego śmiechu, który zaraz pokrył udawanym kaszlem. Anna Lee i Norma przestały nad sobą panować, zaczęły chichotać i dusić się ze śmiechu. Ale wielebny Briggles nie

przestawał, dopóki nie zerwało się kilka kobiet, by tańczyć, podskakiwać i niezrozumiale coś wykrzykiwać. Wkrótce grzesznicy zaczęli pocić się i wiercić niespokojnie na swoich krzesłach, a kiedy po półgodzinnej wzniosłej oracji zebrani byli już śmiertelnie wystraszeni perspektywą smażenia się w piekle, wielebny wezwał ich do wyznania grzechów Bogu Wszechmogącemu, by oczyszczeni mogli uniknąć wiecznego potępienia. Powstało ze trzystu ludzi, niektórzy z nich ustawicznie nawracani, inni po raz pierwszy w życiu, i ruszyli nawą, wołając: „Chwała Ci, Jezu” i „Alleluja”. Jeden mężczyzna, który siedział na końcu ich rzędu, wstał, zaczął podrygiwać i trząść się, jakby wsadził palec do kontaktu.

Norma, Macky i Anna Lee przyglądały mu się jak urzeczony, nawet nie zauważywszy, że ich koleżanka nagle też się podniosła i wmieszała w tłum zmierzający w stronę ołtarza. Kiedy Norma zorientowała się, co się stało, wrzasnęła:

– O Boże, Macky, tam jest Patsy Marie, zatrzymaj ją!

Ale było za późno, Patsy przebyła już połowę drogi. Po godzinie, kiedy udało im się wyciągnąć z namiotu oszołomioną Patsy Marie i wszyscy zmierzali już do domu, dziewczyna usiłowała im wyjaśnić, jak to się stało.

– Siedziałam sobie i nagle, ni stąd, ni zowąd, w ogóle nie zastanawiając się, wstałam i szłam wzdłuż nawy. To było tak, jakby ktoś mnie popychał i kazał mi stawiać nogi naprzód, a ja nie mogłam się zatrzymać. A potem już niczego nie pamiętam, chyba więc jestem zbawiona.

Zaintrygowana Anna Lee zapytała:

– Jak to jest być zbawionym? Czy jakoś inaczej się czujesz?

Patsy Marie poważnie się namyślała przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała:

Nie wiem... Ale już mnie głowa nie boli.

Macky roześmiał się głośno, ale Normie zbawienie Patsy Marie nie wydało się ani trochę śmieszne.

– Nie ma się z czego śmiać, Macky – skarciła go. I zwracając się do Patsy Marie, dodała:

– Jeżeli dostaniesz pomieszania zmysłów i zaczniesz bełkotać niezrozumiale, przysięgam, że się do ciebie nie odezwę.

Zaniepokojona tym Anna Lee przyjrzała się uważniej przyjaciółce.

– Czy czujesz, że zaraz zaczniesz bełkotać w jakimś obcym języku, Patsy Marie?

Patsy Marie poważnie się zastanowiła.

– Nie, nie wydaje mi się. W każdym razie nie teraz.

Norma wzniosła oczy do nieba.

– Świetnie. Będziemy teraz musieli cię pilnować nocą i dniem, jak jastrząb swą ofiarę.

Macky, to twoja wina.

– Moja? A co ja takiego zrobiłem? – zdziwił się Macky.

– Gdybyś ją od razu złapał, jak ci powiedziałam, to by tam nie poszła.

– No co ty, Norma, nie mogłem, ona była już w połowie drogi. A dlaczego ty nie poszłaś za nią? Miałas bliżej.

– Aha, żeby ciocia Elner mnie zobaczyła i powiedziała mamie. Wtedy nie mogłabym wychodzić z domu chyba do końca życia. Wiesz, jaka jest moja matka. Wściekłaby się, gdyby wiedziała, że ciocia Elner poszła do Kościoła Chrystusowego na przebudzenie, a co dopiero, gdyby się dowiedziała, że jej własna córka też tam poszła.

Przyjęcie

Następnego popołudnia w drodze do Anny Lee, gdzie miało się odbyć przyjęcie na cześć Betty Raye, Norma wymogła na Patsy Marie przyrzeczenie, że gdyby poczuła się choć trochę dziwnie albo gdyby naszła ją ochota przemawiać w obcym języku, zaraz opuści towarzystwo.

– Skoro w przyszłym roku mamy być cheerleaderkami, nie możemy dopuścić do tego, byś miała nawrót religijności. – Po chwili zapytała bardziej rozsądnie: – Jak tam twój ból głowy?

Biedaczka, pilnie obserwowana przez Normę od ostatnich dwudziestu czterech godzin, odpowiedziała:

– Wydaje mi się, że powrócił.

Przyjęcie miało się odbyć w małym pomieszczeniu klubowym nad Kaskadą. Anna Lee uprzedziła przyjaciółki, że religia Betty Raye nie dopuszcza tańców i że z tego trzeba będzie zrezygnować. Marudziły, ale stawiły się w komplecie. Przyjęcie miało trwać od trzeciej do piątej, ale rodzina, która zapowiedziała, że jak co dzień wieczorem zabierze ją na śpiewy, przyjechała już o czwartej. Nie szkodzi. Wszyscy starali się zachowywać jak najlepiej, ale gdy tylko Betty Raye zniknęła za drzwiami, rzucili się do szafy grającej i rozpoczęli pląsy. Kiedy Anna Lee wróciła do domu, w kuchni odbywało się właśnie zebranie miejscowego koła Czerwonego Krzyża, na którym omawiano przyszłoroczne ćwiczenia. Anna wniosła

pożyczone na przyjęcie talerze. Dorothy, niespokojna przez całe popołudnie, zapytała:

– Jak udało się przyjęcie?

Anna Lee skrzywiła się i dała matce znak, żeby wyszła z nią na ganek z tyłu domu.

Dorothy przeprosiła zebranych i zamknęła za sobą drzwi. Anna Lee wyznała szeptem:

– Och, mam, to było okropne. Każdy starał się być jak najmilszy, a ona tylko stała w kącie i się trzęsła.

– Ojej.

– Cały talerz jedzenia wywaliła sobie na sukienkę. Strasznie mi było jej żal, nie miałam pojęcia, co zrobić. Wszyscy chłopcy próbowali z nią rozmawiać, ale ona nie wiedziała, jak się zachować. Czy myślisz, że z nią jest coś nie w porządku? Może jest opóźniona w rozwoju albo coś w tym rodzaju?

– Nie... chyba nie. Prawdopodobnie nie przywykła do chodzenia na przyjęcia i to wszystko. – W głębi duszy jednak Dorothy była zmartwiona i przejęta.

Następnego dnia, kiedy Betty Raye zabrano na odpust, Anna Lee orzekła:

– Myślę, że ona mnie po prostu nienawidzi.

– Nie może cię nienawidzić, kochanie – odpowiedziała Dorothy.

– W każdym razie niespecjalnie mnie lubi. Zaprosiłam ją do swojego pokoju, żebyśmy mogły sobie pogadać i lepiej się poznać, ale ona zachowywała się tak, jakbym ją tam więziła.

– Anna Lee była poważnie zmartwiona. – Ja tego nie rozumiem, mam. Przecież wszyscy mnie lubią... W szkolnym głosowaniu zostałam uznana za najpopularniejszą osobę... A na widok Bobby'ego ona za każdym razem odwraca się i zmienia kierunek.

Tu Matka Smith roześmiała się i powiedziała:

– To akurat wydaje mi się zrozumiałe.

– A jeśli chodzi o biednego Jimmy'ego – ciągnęła Anna Lee – kiedyś wszedł do kuchni i powiedział do niej „cześć”. Na to ona wycofała się zaraz do spiżarni i czekała tam schowana, dopóki on sobie nie poszedł.

– To tak jakby mieszkać z małą myszką, prawda? – Matka Smith zadumała się. –

Słyszałam ją, jak późnym wieczorem przemykała do łazienki, żeby uprać swoje drobiazgi, a potem przemknęła z powrotem do pokoju. Chodziła na paluszkach, jakby przeprasząc, że żyje, w strachu, że może narobić hałasu. Wygląda na to, że najchętniej wcisnęłaby się w myszą dziurę i zniknęła.

– Wiem – wtrąciła Dorothy – i to mnie najbardziej boli. Bo możemy tylko być dla niej

mili i starać się, by czuła się u nas jak najlepiej, i to wszystko.

Do końca tygodnia Matka Smith i Anna Lee robiły, co mogły, żeby nawiązać z nią rozmowę podczas tych nielicznych okazji, kiedy się na nią natykały; ale bez większego powodzenia. Pod koniec jej pobytu mogła się czuć nieco swobodniej jedynie z Dorothy i Princess Mary Margaret. Nigdy nie wyszła ze swojego pokoju podczas nadawania audycji. Kilka razy jednak zdarzyło się, że po południu, kiedy nikogo nie było w pobliżu, wślizgiwała się cichutko do kuchni, siadała w kąciku, głaskała psa i przyglądała się, jak Dorothy gotuje. Dorothy miała ochotę z nią pogawędzić, ale nie chciała zmuszać jej do rozmowy, więc pozwalała jej tak siedzieć w milczeniu. Jednak ostatniego dnia rano Dorothy uznała, że musi jej coś powiedzieć, więc poszła do pokoiku krawieckiego i przysiadła na łóżku.

– Siądź tu, kochanie, przy mnie i porozmawiajmy chwilkę, dobrze?

Betty Raye usiadła. Dorothy wzięła ją za rękę i popatrzyła jej w oczy.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale martwię się o ciebie. Wiesz, naprawdę nie musisz być tak bardzo nieśmiała i bać się ludzi. Wszyscy cię bardzo lubimy, ale jeśli się do nas nie odzywasz, nawet nie wiemy, czy ty nas lubisz.

Betty Raye zaczerwieniła się i spuściła wzrok. A Dorothy mówiła dalej:

– Domyślam się, że to dlatego, że po prostu jesteś nieśmiała; możesz mi wierzyć lub nie, ale w twoim wieku czułam się tak samo. Jednak, kotuś, dla własnego dobra musisz zrozumieć, że jesteś bardzo miłą dziewczynką i ludzie będą chcieli zaprzyjaźnić się z tobą, tylko musisz im na to pozwolić. – Dorothy poklepała ją po dłoni. – Wiem, że potrafisz... Obiecasz mi, że przynajmniej spróbujesz?

Betty Raye skinęła głową, a wielkie łzy stoczyły się po jej policzkach.

Pożegnanie

Kiedy Oatmanowie podjechali, żeby zabrać Betty Raye, wszyscy Smithowie wyszli za nią do samochodu. Minnie wychyliła się przez opuszczoną szybę i powiedziała do Dorothy:

– Mam nadzieję, że nie sprawiała pani kłopotu, pani Smith.

– Żadnego, z wielką przyjemnością gościliśmy ją u siebie.

– Mówiłam, że ona je jak ptaszek.

– Pani Oatman – powiedziała Dorothy – czy może się pani pofatygować ze mną do domu? Mam coś dla was.

– No pewnie – odrzekła Minnie i zwróciła się do męża: – Zgaś silnik, bo niepotrzebnie wypalasz benzynę.

W kuchni zobaczyła, że Dorothy przygotowała dla nich wielki kosz kanapek i ciasteczek na drogę.

– Ojej, jak to miło. Tamte ciasteczka, co nam pani dała, to były świetne. Strasznie nam smakowały.

Dorothy zamknęła drzwi i przyznała:

– Pani Oatman, prawdę mówiąc, chciałam mieć okazję, żeby z panią porozmawiać na osobności. Usiądziemy na chwilkę?

– Jasne, złotko. – Minnie usadowiła się przy stole. – O, wielkie dzięki też za zareklamowanie nas w radiu. Nigdy jeszcze nie przyszło tyle ludzi... Trzeba było donieść ze setkę krzeseł i ławek więcej, żeby się wszyscy pomieścili.

– O, bardzo proszę.

– I jeszcze raz dziękuję za przechowanie mojej małej.

– Właśnie na ten temat chciałam z panią porozmawiać. Wiem, że to nie moja sprawa, ale czy pani zauważyła, że Betty Raye dygocze?

Minnie kiwnęła głową.

– Tak, ona to ma już nie wiem jak długo. Chyba jak skończyła pięć czy sześć lat, tak mi się zdaje. – Spojrzała na kuchenne okno i wykrzyknęła: -

Patrzcie no, jakie fikuśne firaneczki, a te roślinki, jakie zmyślne, wyglądają, jakby były sztuczne... Jak słowo daję, nie widziałam jeszcze czegoś takiego.

– A czy pani wie, skąd się wzięły te dygotki?

– Mów do mnie Minnie, kochasiu. Nie, nie mam zielonego pojęcia, skąd jej się to wzięło. Może jest za chuda i dlatego. Kosteczki to majak kurczątko. – Roześmiała się i uniosła rękę, żeby zademonstrować. – Jasne, że to nie po mnie. Patrzaj, ja nawet przeguby mam grube. Mama powiada, że jak się ma grube przeguby, to jest się fest grubym.

– Pani Oatman... Minnie... Wiem, że pani wie najlepiej, ale wzięwszy pod uwagę jej ogromną nieśmiałość, zastanawiam się, czy to ciągle podróżowanie nie ma z tym jakiegoś związku.

– Wie pani, może to i racja, czy ja wiem. – Minnie pochylili się w stronę Dorothy, by wyznać wstydliwie: – Przykro mi to mówić, ale nie wygląda na to, żeby ona miała we krwi śpiewanie gospel. Jej to nie przychodzi w naturalny sposób. Musimy ją siłą wyciągać na

scenę, a i wtedy nie wyśpiewuje. Ja tego nie rozumiem, jak słowo dają. Śpiewanie gospel występowało w rodzinie po obu stronach, chłopaki to aż się rwą do sceny, ale Betty Raye... – Ze smutkiem potrząsnęła głową. – Zawsze była inna niż reszta, trudno nam się z tym pogodzić.

– Tak, wyobrażam sobie.

Minnie westchnęła ciężko.

– Pani Smith, ja wiem, że ona nie lubi podróżować, i ja wiem, że ona nie znosi śpiewania, ale co ja na to poradzę? – W tym momencie Ferris zatrafił i Minnie podniosła się z krzesła. – Lepiej już pójdę. Musimy zdążyć na siódmą do Humboldt w Tennessee na całonocne śpiewy, naprawdę wdzięczna jestem za noclegi dla niej i za te pyszności, co pani dla nas przygotowała.

W drodze do samochodu Dorothy dodała:

– Będziemy się bardzo cieszyć, jeśli Betty Raye kiedyś do nas wróci. – Zajrzała do auta, żeby powiedzieć do widzenia, ale dziewczyna wciśnięta gdzieś na tylnym siedzeniu była niewidoczna. Anna Lee, Matka Smith i Bobby stali i machali na pożegnanie, dopóki samochód nie zniknął im z oczu.

– Jezu, ci ludzie ze wsi naprawdę lubią podróżować gromadą – zauważyła Matka Smith. Kiedy auto skręciło za róg, Dorothy zrobiło się tak smutno, że z trudem powstrzymała się od płaczu. Betty Raye jakoś ją wzruszała. Dorothy dała jej adres i prosiła o list, ale nie była pewna, czy w ogóle kiedyś ją zobaczy, czy usłyszy o niej. Gdy już wszyscy na dobre zniknęli jej z oczu, objęła Annę Lee.

– Byłaś dla niej naprawdę bardzo miła, doceniam to, wierz mi.

– Ja też byłem dla niej miły – pisnął idący za nimi Bobby. – Dałem jej jeden ze swoich najlepszych kamieni.

– Naprawdę? – ucieszyła się Dorothy i też objęła go ramieniem, o co mu najbardziej chodziło. Wracali razem do domu.

– Ten kamień wart był chyba ze sto dolarów – uzupełnił Bobby. – Może nawet więcej.

– Jak myślisz – spytała Anna Lee matkę – czy ona miło tu spędziła czas, czy jak najgorzej?

– Nie wiem, kochanie – odrzekła Dorothy. – Mam nadzieję, że dobrze jej było z nami. Ale nie wiem tego na pewno.

O czym nie wiedzieli

Cztery godziny później i sto siedemdziesiąt osiem mil od Elmwood Springs Oatmanowie przejeżdżali przez most na rzece Tennessee. Betty Raye siedziała z tyłu wciśnięta między obu starszych braci, Bervina i Vernona, którzy się poszturchiwali. Jak zwykle wszyscy mówili jednocześnie. Minnie fukała na Ferrisa, ponieważ nie zatrzymał się na ostatniej stacji benzynowej, wobec czego nie mogła pójść do toalety. Kukła brzuchomowcy, Chester, wyjęty z pudełka, też zrzędził na Ferrisa i narzekał, bo on także chciał się zatrzymać na stacji i kupić sobie butelkę zimnego Dr. Peppera. Ferris jednak nie zwracał na nich uwagi i jechał dalej z mocnym postanowieniem dotarcia na miejsce bez przystanku, podśpiewując swój ulubiony hymn W tysiącu językach. Betty Raye siedziała z zamkniętymi oczami, ściskając w rękę kamyk, który dostała od Bobby'ego, i usiłując odgrodzić się od całego zgiełku aż do samego Humboldt.

Smithowie nie domyślali się, a ona nie potrafiła tego wyrazić, że ich dom był najmiłszym miejscem, w jakim kiedykolwiek przyszło jej mieszkać. W porównaniu z setkami rozkładanych na podłodze materaców i wyboistych łóżek, na których spała w jednym pomieszczeniu z czworgiem, a nieraz z pięciorgiem dzieci, pokoiik do szycia jawił się jej niczym wielki Dom na Wzgórzu, o którym zawsze śpiewała matka. Nie chciała zamieszkać w pokoju Anny Lee nie dlatego, że się jej nie podobał. Tak naprawdę była to najpiękniejsza sypialnia, jaką kiedykolwiek oglądała, stanowczo za ładna dla niej. Problem stanowiły rozmiary. Bałaby się przebywać w tak wielkim pokoju. Przywykła do małych domków, jakie zazwyczaj stały w pobliżu wiejskich kościółków, gdzie najczęściej śpiewali. Jeśli Smithowie myśleli, że ona dlatego wymykała się przy każdej okazji do swojego pokoju, że ich nie lubiła, to byli w błędzie. Po prostu po raz pierwszy w życiu zdarzyło jej się, że mogła wejść do pokoju, zamknąć za sobą drzwi i być sama. Po raz pierwszy – od kiedy sięga pamięcią – nie otaczali jej krewni czy obcy. Zastanawiali się, co ona takiego robi w tym pokoju, i pewnie byliby zdziwieni, gdyby się dowiedzieli, że nie robi absolutnie nic, po prostu siedzi sobie, nieraz nawet i cztery godziny bez przerwy. Natomiast podejrzenie, że nie lubiła Anny Lee, nie mogło być dalsze od prawdy. Uważała, że Anna Lee jest cudowna, a jej przyjaciół szczerze podziwiała. Nie mówiła dużo, to prawda, ale to tylko dlatego, że jakoś nic, o czym można by mówić, nie przychodziło jej do głowy. Podobali jej się wszyscy, szczególnie Dorothy, która była dla niej taka serdeczna. Ostatniego ranka Betty Raye ledwo powstrzymała się od tego, by

nie upaść na kolana i zacząć błagać, by pozwolili jej tam zostać. W Elmwood Springs spędziła zaledwie jeden tydzień, ale był to najlepszy tydzień jej życia.

W nadchodzącym tygodniu jednak Oatmanowie skierują się do Fayetteville w Karolinie Północnej, na następne uroczystości przebudzeniowe i następne zgromadzenie na wolnym powietrzu, a Elmwood Springs będzie oddalać się coraz bardziej.

Zapatrzeni w gwiazdy

W piątek po wyjeździe Betty Raye drużyna zuchowa Bobby'ego miała wybrać się za miasto, na indiańskie wzgórza, w poszukiwaniu grotów strzał. Wyprawę jednak odwołano z powodu deszczu. Ale Bobby'emu deszcz w niczym nie przeszkadzał. Lubił w takie deszczowe, ciepłe dni wysiadywać na ganku i wsłuchiwać się w odgłos śmigających po mokrej nawierzchni samochodów. Wszystko wydawało się lśniące, zielone i mokre. Snuł się tak do czwartej po południu, kiedy to słońce znów ukazało się na niebie, promienne jak przedtem. Powietrze było teraz świeższe, deszcz zmył sierpniowy upał i kurz. Tym razem przypadała kolej Monroe'a, by przenocować u kolegi, a po kolacji wszyscy jak zwykle wyszli na ganek. Matka Smith przechyliła się przez poręcz i zapowiedziała:

– Idę popatrzeć na gwiazdy. Czy ktoś idzie ze mną? – Bobby i Monroe byli chętni, więc we trójkę przeszli na tył domu. Matka Smith zasiadła w drewnianym fotelu, a Bobby i Monroe położyli się na trawie, by stamtąd oglądać niebo. – Takie przejrzyste powietrze – zauważyła Matka Smith. – Czy widzieliście kiedy tyle pięknych gwiazd? Patrzcie, tam jest Wielki Wóz i Wenus. Założę się, że do rana zobaczymy spadające gwiazdy.

Bobby uwielbiał siedzieć tak z Matką Smith, wypatrywać spadających gwiazd i pytać ją o różne rzeczy.

– Babciu, jak wyglądał świat, kiedy byłaś małą? Czy wszystko wyglądało inaczej?

– Inne były czasy.

– A ludzie różnili się od nas?

– Nie, ludzie z tamtych lat właściwie byli mniej więcej tacy sami, tyle że nie mieliśmy wielu rzeczy, jakie są teraz. Nie zapominaj, że to był jeszcze wiek dziewiętnasty.

– Czasy wojny secesyjnej? – Monroe otworzył oczy szeroko ze zdumienia.

– No, nie aż tak dawno temu. Ale pamiętam, jak mój ojciec opowiadał o niej, a kiedy byłam małą, nad kominkiem wisiał miecz.

– Miecz? – zdumiał się Bobby. – Prawdziwy?

- O tak. Podczas wojny tata był żołnierzem konfederacji.
 - I zabijał nim ludzi?
 - Wątpię. Myślę, że to było raczej na pokaz.
 - Masz go jeszcze?
 - Nie, to dawne dzieje. Może wziął go mój brat, a może gdzieś zaginął.
 - Ale dziadek był prawdziwym żołnierzem, co? – upewniał się Bobby.
 - Najprawdopodobniej, tak samo jak twój pradziadek Smith ze strony twego taty, ale on walczył po stronie Unii. Obaj pochodzili z tego samego miasta. Wtedy tak właśnie się działo. Bobby nie mógł się nadziwić, że jego babcia żyje od tak dawna.
 - Czy były wtedy gwiazdy?
- Roześmiała się.
- Tak, kochanie, kiedy miałam tyle lat co ty, oglądałam te same gwiazdy i ten sam księżyc, które teraz świecą nad nami. Natura się nie zmienia, tylko ludzie. Nie mieliśmy wtedy samochodów, kina, radia ani nawet elektryczności.
 - To jak wtedy było?
 - Bardzo spokojnie.
- Monroe skrzywił się.
- To musiało być okropne.
 - Aha – zgodził się Bobby. – Strasznie nudno.
 - Niekoniecznie. Mieliśmy inne zajęcia. Czytaliśmy książki, graliśmy w różne gry, śpiewaliśmy i chodzili na przyjęcia. Nie odczuwa się braku czegoś, czego się nie zna.
 - Babciu, a kim chciałaś zostać jako dorosła?
 - Możesz mi nie wierzyć, ale kiedyś chciałam być sławną uczoną jak Maria Curie, wynaleźć lekarstwo na jakąś straszną chorobę.
 - To dlaczego nie wynalazłaś?
 - Mój ojciec mógł posłać na studia tylko jedno dziecko, posłał więc mego brata, i tak marzenia o staniu się drugą Marią Curie spełzły na niczym.
 - A teraz opowiedz nam o swojej podróży poślubnej i o tym hotelu.
 - Bobby, słyszałeś tę historię dziesiątki razy.
 - To co, ale Monroe jej nie zna.
 - Nie znam – potwierdził Monroe.
 - No więc to było tak... Po ślubie ja i twój dziadek wsiedliśmy do pociągu i pojechaliśmy

w podróż poślubną aż do Karoliny Północnej. On nic mi nie powiedział, dokąd jedziemy, to miała być niespodzianka. Wiedziałam tylko, że zatrzymamy się w znanym hotelu, usytuowanym nad najpiękniejszym na świecie jeziorem. Nigdy nie zapomnę pierwszego wieczoru. Po kolacji wyszliśmy na przestronną werandę z widokiem na jezioro, na której od jednego końca do drugiego rozciągały się chińskie kolorowe lampiony z papieru. Około ósmej, kiedy ściemniło się na dobre, wszyscy goście hotelowi wylegli na werandę, mówiąc: „Patrzcie na jezioro”. Jak na umówiony sygnał Bobby zapytał:

– I co się wtedy stało?

– Wtedy nieoczekiwanie zapalił się ogromny napis, zrobiony z tysiąca złotych żarówczek, układający się w słowa ŚWIETLANY HOTEL na samym środku jeziora.

– Coś takiego! – wykrzyknął Monroe pełen podziwu.

– Wtedy wszyscy zeszliśmy na brzeg, wsiedli do małych łódeczek i wiosłowali aż do tego napisu. Nie wiem, który widok był piękniejszy: czy hotel widziany z oddali, jarzący się lampionami w różnych kolorach, zielonym, czerwonym, żółtym, rozświetlający ciemności nocy, czy też świetlne litery napisu widziane z bliska i odbijające się w wodzie, wśród których przepływaaliśmy. Powiadam wam, to była czarowna noc.

– To teraz opowiedz mi o wyprawie na Coney Island.

– Dobrze. Stamtąd pojechaliśmy do Nowego Jorku, ale było tam tak gorąco, że codziennie jeździliśmy trolejbusem nad ocean do Coney Island, spacerowaliśmy i podziwiali widoki.

Bobby szturchnął Monroe’a.

– Zaraz zobaczysz, co będzie dalej.

– Wybraliśmy się też do wielkiego parku rozrywki, który nazywał się Dreamland. Był tak duży, że mieściło się w nim całe miasteczko dla liliputów. Chodziło się po tym miasteczku i spotykało się tam samych liliputów.

– Coś takiego! – wykrzyknął Monroe.

– Mieli tam swoje własne malutkie domki i sklepy, lilipuciego burmistrza i policjanta też liliputa. Po drodze spotkaliśmy bardzo sympatyczną lilipucią parę małżeńską, która miała dzieci normalnej wielkości, mieszkające w New Jersey.

– Coś takiego! – Monroe nie mógł wyjść z podziwu. – Dałbym wiele za to, by móc zobaczyć na własne oczy miasto liliputów.

– To był niezapomniany widok.

– Co jeszcze, babciu, pamiętasz z dawnych czasów, co by było takie ciekawe jak to?

– Zaczekaj. Pamiętam na przykład koniec wieku i Nowy Rok 1900. To było wielkie święto.

– Co się wtedy działo?

– O, wszędzie trwały zabawy, a o północy ostatniego dnia 1899 roku wszyscy w Independence wylegli na ulice, bito w dzwony, gwizdano, wystrzelono fajerwerki i nikt nie spał tej nocy, witając nowy wiek. Myśleliśmy, że dwudziesty wiek będzie wspaniały, ale kiedy po czternastu latach wybuchła pierwsza wojna światowa, pożegnaliśmy się z tymi marzeniami. – Po chwili Matka Smith powiedziała: – No, chłopcy, robi się późno, na mnie już czas, zostawiam was samych z gwiazdami.

– Dobranoc, babciu.

– Dobranoc, pani Smith.

Kiedy poszła, Monroe odezwał się:

– Wydaje mi się, że ona jest najstarszą osobą, jaką znam.

– Aha – przytaknął Bobby. – Jest naprawdę wiekowa.

Leżeli i wpatrywali się w niebo.

– Zastanawiam się – zaczął Bobby – jak to będzie, kiedy nastanie rok 2000?

– Nie wiem, ale chyba wszyscy będą podróżowali własnymi raketami na Marsa i z powrotem.

– Ile wtedy będziemy mieli lat?

Monroe usiadł i zaczął liczyć na palcach. Patrzył z niedowierzaniem na Bobby'ego.

– Skończymy wtedy sześćdziesiąt cztery lata!

Bobby aż usiadł z wrażenia.

– Niiieee!

– Będziemy tak starzy, że chyba już umrzemy.

Zdjęła ich groza wobec perspektywy osiągnięcia tak sędziwego wieku, w jakim byli mężczyźni, którzy przesiadywali przed zakładem fryzjerskim. Wreszcie Bobby powiedział:

– Umówmy się. Jeśli obaj dożyjemy roku 2000, wszystko jedno gdzie, zadzwonimy do siebie i zawołamy: „Hurra! Udało się nam!” Dobra?

– Okay. Szufla.

Podali sobie ręce i położyli się z powrotem na plecach. Obaj zastanawiali się, co będą robili i jak będą wyglądali, ale wykraczało to poza ich wyobraźnię. Rok 2000 wydawał im się

tak odległy od ówczesnej chwili, czyli dziewiątego sierpnia 1946 roku, jak Elmwood Springs od Księżyca.

Długo jeszcze siedzieli na dworze i wypatrywali spadających gwiazd, aż wreszcie Dorothy zawołała ich do domu.

Czas ucieka

Oprócz przyjazdu pana Peanuta do miasta i wyświetlania w Elmwood Theater czterech filmów Gene'a Autry'ego w ciągu jednego dnia oraz urodzin Monroe'a, na których Bobby skaleczył się w rękę podczas gry „Przypinanie osłu ogona”, nic ciekawego się nie działo i wrzesień zbliżał się wielkimi krokami.

Mimo że Bobby bardzo nie lubił, kiedy kończyło się lato, i związanych z tym szkolnych zakupów, zwłaszcza że musiał wszystko przymierzać, to jednak powrót do szkoły jawił mu się jako coś ekscytującego. Bobby uwielbiał zapach nowych książek, kompletowanie nowego wyposażenia: piórniki, zeszyty, grube gumki do ścierania i nowy tornister. Chłopcy szli do fryzjera, żeby się krótko ostrzyć, a dziewczynki demonstrowały świeżo zaondulowane loczki i nowe fartuszki. Wszyscy dostawali nowe buty.

Szkoła też była wypucowana na początek roku szkolnego. Drewniane podłogi lśniły od świeżego wosku, stołówka świeciła się świeżo wyszorowana. Nawet nauczyciele wypoczęci po wakacjach patrzyli pogodnie w przyszłość, gotowi z zapalem sączyć wiedzę do młodych głów, nad którymi powierzono im pieczę na następne dziewięć miesięcy. I kreda była świeża, i nowe mapy na ścianach, a z sufitu zwieszały się białe kule rozjarzone nowymi żarówkami. Cały budynek szkolny wydawał się drżeć z radosnego oczekiwania na rozpoczęcie następnego, pomyślnego nowego roku. Wszyscy – no, prawie wszyscy – radośnie witali się ze sobą po wakacyjnej przerwie i z nadzieją spoglądali na nowy rok.

Nastrój taki trwał na ogół nie dłużej niż trzy dni, a potem wszystko wracało do normy, czyli zwyczajnej szkolnej harówki. Bobby nadal był najmniejszym chłopcem w klasie, a Luther Griggs jak zawsze odgrażał się, że go pobije.

Nadeszło i minęło Boże Narodzenie, Bobby dostał pod choinkę nowy białorudy rower marki Schwinn, srebrną kowbojską kaburę nabijaną kolorowymi diamentami oraz pistolet na kapiszony Dick Tracy. Do tego mnóstwo niechcianych skarpetek, majteczek i podkoszulków. A marzył o prawdziwym tropikalnym hełmie Jungle Jim.

Poza rozczarowaniem skarpetkami i bielizną następny zawód sprawiło mu odwołanie planowanego na środę 3 stycznia, kiedy to w Elmwood Theater był wieczór wystawnych dań, seansu w kinie objazdowym Greyhounda. W związku z tym Snooky wyciągnął z lamusa wycofany już film, który trzymał na tego typu awaryjne sytuacje. Wieczorem jednak, po zjedzeniu ostatniego dania, niemal wszyscy udali się do domów, no bo ile razy można oglądać Lassie, wróc?

Styczeń i luty przyniosły łagodną pogodę, dopiero marzec się rozsrożył. Pierwszy marcowy poniedziałek zaczął się niewinnie, zapowiadając kolejny słoneczny dzień. Ale już około ósmej rano sytuacja gwałtownie się zmieniła, i to radykalnie. Dorothy ledwo zdążyła wybiec i w pośpiechu pozamykać okna, zanim rozpętała się huraganowa burza. Do czasu rozpoczęcia audycji kilka domów straciło częściowo dachy, a z markiz nad sklepem warzywno-owocowym A & P zostały strzępy. Zadzwoiła też Biedna Tot Whooten, bardzo zmartwiona, bo fragment dachu domu Merlego i Verbeny wpadł do niej przez okno i wytłukł jej resztki dobrej zastawy.

Matka Smith rozpoczęła audycję początkowymi taktami Wietrznej pogody, kiedy wbiegła Dorothy, usiadła i powiedziała:

– To prawda, Matko Smith, mamy wietrzną pogodę, już chyba bardziej wietrznie być nie może, powiadam wam, za oknem dzieją się straszne rzeczy. Mam nadzieję, że u was jest wszystko w porządku. Tu wyglądało nadzwyczaj groźnie, już myślałam, że nas zmiecie z powierzchni ziemi, cieszę się, że jeszcze jestem na antenie. – Zrobiła pauzę. – Albo mi się tylko wydaje, że jestem na antenie. Bobby, biegnij prędko i sprawdź, czy jeszcze nas słychać. Tymczasem będę do was mówiła, dopóki on mi nie powie, czy jesteśmy na antenie. Co za dzień, w jednej sekundzie słońce świeci, a w następnej już leje tak, że ulice spływają strumieniami. Nawet nie zdążyłam ściągnąć prania ze sznura.

Zrobiło się tak ciemno, że jak powiedział Doc, który zadzwonił do domu, w drugistorze musieli pozapalać światła, bo nic nie było widać. Wbiegł Bobby, trzaskając drzwiami i wołając:

– Jesteś na antenie!

– Jak to dobrze! – ucieszyła się Dorothy. – Bobby powiada, że jeszcze jesteśmy w eterze... Kiedy ten huragan się zaczął, nie pozostawało nam nic innego, jak tylko go przeczekać. Wyglądaliśmy na dwór przez wykuszowe okno jadalni, więc wszystko dobrze

było widać, nawet to ładnie wyglądało, mimo że zobaczyliśmy, jak odlatuje pizama Doca. Burza na ogół przychodzi w dni, kiedy urządzamy pranie, prawda? Pani Whatley, która mieszka tuż za nami, przyniosła kilka koszul Doca, ale resztę wywiało. Z całego miasta ludzie dzwonią, żeby powiedzieć, że mają czyjeś rzeczy. Pan Henderson na przykład mówi, że o jego kurek na dachu zahaczyły się damskie reformy, ale wątpię, czy znajdzie się ktoś odważny, by się po nie zgłosić. Co takiego? Bobby mówi, że na naszej antenie wisi mnóstwo różnych ubrań, jeśli więc nie możecie się czegoś doszukać, przyjdźcie sprawdzić, może coś zidentyfikujecie. Och, taka jestem rozkojarzona tym wszystkim, że nawet nie mogę znaleźć swojego planu audycji.

Jeszcze raz uniosła doniczkę i z powrotem ją postawiła.

– Wdzięczna jestem gwiazdom, że nie możecie mnie teraz zobaczyć w swoich odbiornikach. Wyglądam jak stara wiedźma, wyobraźcie sobie, że nadal jestem w podomce. Ale od kiedy zaczęła się burza i rozdzwoniły telefony, czas gnał jak opętany. Że też musiało to wypaść akurat dzisiaj, kiedy mam przedstawić naszego nowego sponsora, Pogrzeby i Kompozycje Kwiatowe Cecila Figgsa, który wychodzi naprzeciw wszystkim zapotrzebowaniom: pogrzebowym i nie tylko, a ja siedzę tu nieumalowana, z siateczką na głowie i w podomce. Przepraszam, panie Figgs, obiecuję, że już jutro się poprawię.

Dorothy spojrzała na Bobby'ego, jak siedzi w pierwszym rzędzie obok Beatrice, beztrosko chrupiąc radiowe ciasteczka, i nagle coś ją tknęło.

– Przepraszam was na minutkę, kochani – powiedziała, zasłaniając dłonią mikrofon. – Dlaczego tu jesteście, a nie w szkole, młody człowieku?

– Musiałem przyprowadzić Beatrice – odpowiedział.

– To bardzo ładnie z twojej strony, ale wydaje mi się, że dalej damy sobie radę bez ciebie.

Och, przepraszam was wszystkich, ale mam w domu chłopca, który powinien być w szkole, więc jeśli ktoś mnie słucha w pokoju nauczycielskim, niech wie, że on zaraz tam będzie. Jeśli nie, to proszę o telefon. – Po chwili do uszu słuchaczy doszedł odgłos zatrzasniętych drzwi.

– Choinka – powiedział Bobby, wyruszając do szkoły.

Dorothy, nadal w poszukiwaniu planu audycji, zapowiedziała:

– A teraz Beatrice zaśpiewa nam specjalnie na ten deszczowy dzień piosenkę Niech uśmiech będzie twym parasolem, a następnie Chmury słońcem malowane, a ja przez ten czas może znajdę to, czego szukam.

Do końca roku nie wydarzyło się nic szczególnego, żadne dramaty ani nieszczęścia,

z wyjątkiem pewnego sobotniego popołudnia, pierwszego czerwca, kiedy to zaszło coś brzemiennego w skutki.

Odmiana życia

Bobby urzędował w drugistorze od samego rana, rozpakowując w magazynie pudła i układając je w stosik przed tylnym wejściem w alejce. Dostawał pięćdziesiąt centów kieszonkowego tygodniowo, ale chciał zarobić trochę dodatkowych pieniędzy, żeby zapłacić za korespondencyjny kurs kulturystyczny Charlesa Atlasa. Obaj z Monroe'em przyrzekli sobie nabrać krzepy do września, czyli przed rozpoczęciem roku szkolnego. Biorąc pod uwagę, że ważył sześćdziesiąt osiem funtów w ubraniu, do tego przemoczonym, a ręce miał jak patyki, był to ambitny plan. Błyskawicznie rozprawił się z pudłami białych i czerwonych słomek, papierowych serwetek, szamponów, syropów na kaszel, zasypek dla niemowląt, aspiryny i bandaży. Bardzo się spieszył. Tego dnia miało nastąpić otwarcie kąpieliska na sezon letni.

Doc wypłacił mu pięćdziesiąt centów i ledwo zdążył krzyknąć za nim:

– Uważaj, synu, żebyś nie uderzył głową o trampolinę!

– Tak jest! – usłyszał już z oddali, bo Bobby biegł co sił w nogach, prosto do domu.

Sąsiadka Dorothy właśnie zapewniała radiosłuchaczy, że w przeciwieństwie do innych soków śliwkowych, znajdujących się na rynku, sok firmy Sunsweet posiada rekomendację „Good Houskeeping”, która gwarantuje właściwości przeczyszczające każdej szklanki soku – kiedy Bobby wpadł jak burza do domu, trzasnął drzwiami i popędził do swojego pokoju. Sąsiadka Dorothy poinformowała słuchaczy:

– Jak się domyślicie, to był Bobby. – Następnie wróciła do komunikatu, że pani Aline Staggers z Arden w Oklahomie poszukuje przepisu na tradycyjne ciasto truskawkowo-rabarbarowe. – Jeśli więc znacie taki przepis, to go nadeślijcie. – W tym momencie Bobby z kąpielówkami w ręku zbiegł ze schodów, głośno tupiąc, ale zanim huknął drzwiami, matka zdążyła go zatrzymać. – Hola, skoro narobiłeś tyle hałasu, to może przyjdiesz tu i powiesz radiosłuchaczom, dokąd to tak się śpieszysz.

Bobby wetknął głowę do saloniku i wykrzyknął:

– Dziś otwierają kąpielisko Kaskada!

– Rozumiem – powiedziała Dorothy. – W takim razie możemy uznać, że lato oficjalnie

nastąpiło. – Matka Smith zabrzdąkała parę radosnych akordów z Nad morzem, nad morzem, nad pięknym morzem, podczas gdy Bobby stał w miejscu, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. – Dobrze, więc idź – ulitowała się nad nim matka. – Tylko uważaj i nie uderz głową o trampolinę!

Słuchacze odbierający w domach tę audycję mogli usłyszeć cichnący w oddali głos, zapewniający:

– Okay.

Bobby znał skróty wiodące bocznymi uliczkami do niemal wszystkich miejsc w mieście, więc dotarcie do basenu zajęło mu nie więcej jak dwie minuty. Kiedy mignął tylko pod oknami mieszkańców, stałe słuchaczki audycji Dorothy od razu przypomniały sobie zeszłoroczną opowieść o tym, jak to Bobby chciał się popisać przed jakąś dziewczyną i wyrzwał łepetyną o trampolinę, rozbijając ją sobie tak fatalnie, że trzeba mu było założyć trzy szwy. Dla większości ludzi wypadek ten byłby nauką, żeby omijać basen z daleka, ale nie dla Bobby'ego.

On kochał chlapać się w wodzie. Już parę razy wybrał się popływać w Sinym Diable, oczywiście w głębokiej tajemnicy przed matką. Było z tym dużo zabawy, ale nie tyle co na kąpielisku Kaskada. Uwielbiał zapach chloru rozchodzący się od nagrzanego, mokrego betonu, pływanie pod wodą, gdy na powierzchni basenu migotały refleksy świetlne od rozpalonego słońca, podwodny spokój i zwolnione tempo, podczas gdy to, co się działo na powierzchni, pozostawało niewyraźne i zamazane. Teraz też dziewczynki przyszły na basen. Znów chciał się popisać przed koleżanką z klasy, nie tą sprzed roku, inną. Ta znakomicie tańczyła. Bobby raz, zaciągnięty przez matkę do Dixie Cahill na pokaz taneczny, zobaczył, jak ona tańczy solo do melodii Przetańcz ze mną na paluszkach wśród tulipanów, i uznał, że jest świetna jak lody śmietankowe.

Bobby dopadł do wielkiego betonowego budynku, ozdobionego malowanym niebem z obłoczkami unoszącymi się nad napisem KĄPIELISKO KASKADA, pogrzebał chwilę w kieszeniach w poszukiwaniu dziesiątki, dostał klucz do kabiny i zanim wpadł do męskiej przebieralni, był już niemal rozebrany. Tak mu się spieszyło, że o mały włos nie rozdarł pomarańczowych kąpielówek, kiedy je nakładał. Błyskawicznie zamknął kabinę, po czym rączo wybiegł z cienistej strefy przebieralni na pełne słońce. No, nareszcie. Na ten widok, do którego tęsknił przez całą zimę, zaparło mu dech w piersiach. Basen przypominał wielkie jezioro, migoczące diamentowymi słonecznymi błyskami, otoczone bezmiarem rozpalonego do

białości betonu. Nie mógł dłużej wytrzymać, wziął rozbieg i jednym susem skoczył do wody. Przepłynął kawałek pod wodą i wynurzył się akurat przy Monroe'em. Po chwili obaj zaczęli rozpryskiwać wodę i chlapać na wszystkie strony, na siebie i na dziewczęta, które uciekały z piskiem, starając się uniknąć zamoczenia włosów. Wreszcie zaczęła się zabawa!

Było już wpół do piątej, kiedy Dorothy zaniepokojona, że Bobby'ego jeszcze nie ma w domu, zwróciła się do Anny Lee, która wraz z Patsy Marie zajęta była w swoim pokoju porządkowaniem albumu z aktorkami:

– Anno Lee, martwię się o Bobby'ego. Nie ma go już od sześciu godzin. Może byście razem z Patsy Marie przeszły się na basen i powiedziały mu, żeby wracał do domu, bo to dosyć pływania jak na jeden dzień.

Anna Lee jęknęła tak boleśnie, jakby matka poleciła jej co najmniej gołymi rękami wzniesić piramidę egipską:

– Ojej, muszę?

– Tak, obawiam się, czy znów nie rozbił sobie głowy.

– Ależ, mam, jeśli on chce sobie rozbijać głowę o trampolinę, ja mu w tym nie przeszkodzę.

– Przestań, na litość boską!

Anna Lee z ciężkim westchnieniem podniosła się i powiedziała:

– Chodź, Patsy Marie, idziemy. A swoją drogą nie rozumiem, dlaczego puszczasz go na basen. Nic, tylko pływa tam w kółko, podszczypuje innych i w ogóle zachowuje się jak wariat.

W tym, co powiedziała, było dużo prawdy. Właśnie w owej chwili on i Monroe nurkowali, zaczepiając kogo się tylko dało. Najlepiej było zanurkować i podpłynąć do nie spodziewających się niczego ludzi i zahaczyć o ich nogi, w ten sposób napędzając im stracha. Świetna zabawa. W basenie roило się od potencjalnych ofiar. Bobby właśnie wplątał się w czyjeś nogi, kiedy zobaczył parę następnych nóg, które postanowił też zaatakować, więc podpłynął w ich stronę. Wydawało mu się to zabawne, dopóki nie zorientował się, o sekundę za późno, że para nóg, które właśnie zaczepił, należała do Luthera Griggsa. Wielki błąd! Bobby starał się odplłynąć możliwie szybko i daleko, ale niestety, nie udało mu się ujść na bezpieczną odległość. Kiedy wynurzył się na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza, dopadł go Luther, który przekręcił się na wznak i z całych sił kopnął Bobby'ego w plecy, trafiając go między łopatki.

Bobby nie wiedział, co się stało. Stracił oddech, a potężne kopnięcie wybiło go na drugi, głęboki koniec basenu. Luther odpłynął, pękając ze śmiechu, ale Bobby już się nie pojawił. Wszyscy go widzieli, kiedy przez cały dzień nie wychodził z basenu, więc jego widok, jak unosi się na powierzchni wody, nikogo nie zdziwił, nawet ratownika, który miał pełne ręce roboty, bo na basenie baraszkowało mnóstwo malców.

Dopiero Macky Warren, który stał w pobliżu pograżony w rozmowie z Normą, spojrział w dół i spostrzegł Bobby'ego, jak unosi się na powierzchni wody twarzą w dół. I w ogóle się nie rusza. Macky podbiegł na brzeg, nachylił się, złapał Bobby'ego za włosy i wyciągnął z wody. Bobby był nieprzytomny i zaczął już sinieć. Kilka minut później Anna Lee i Patsy Marie tanecznym krokiem wstąpiły na teren basenu, spostrzegły grupę ludzi zgromadzonych wokół czegoś, co leżało na ziemi. Annie Lee przemknęło przez myśl pytanie, co to takiego może być, ale nie zastanawiała się nad tym dłużej, dopóki nie podeszła bliżej i nie zorientowała się, że to leży człowiek.

– On chyba nie żyje! – krzyknęła Norma.

Anna Lee podeszła jeszcze bliżej, nadal nie wiedząc, kto tam leży. Nagle wszyscy się przed nią rozstąpili. Kiedy zobaczyła, że to Bobby leży bez życia, prawie zemdląła. Zdyszany ratownik robił mu sztuczne oddychanie, głośno odliczał, rozpaczliwie próbując przywrócić mu oddech. Anna Lee, wrośnięta w ziemię, krzyczała:

– To mój brat! To mój brat!

W ciągu tego krótkiego czasu, zanim Bobby odzyskał przytomność, Anna Lee darowała mu wszystkie przewinienia, które tak działały jej na nerwy; jedyne, czego chciała, to żeby żył. Kiedy w końcu Bobby doszedł do siebie i otworzył oczy, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, były dziesiątki par oczu wpatrzonych w niego, co go śmiertelnie przeraziło. Nie wiedział, co się z nim działo ani co robił na ziemi. Wreszcie zaczął rozróżniać twarze i najpierw rozpoznał twarz klęczącej przy nim Anny Lee. Uszczęśliwiony jej widokiem chwycił ją za szyję i nie chciał puścić.

Nadal w szoku, nie bardzo jeszcze rozumiejąc, co się wydarzyło, zaczął trząść się i płakać. Anna Lee objęła go i uspokajała:

– Już dobrze, Bobby, już dobrze, jestem tutaj z tobą.

Nie puszczał jej ręki nawet wtedy, gdy ratownik zaniósł go do budynku i położył na kozetce. Okryto go kocem i masowano, by poprawić krążenie. Po chwili już siedział i popijał colę. Przeżył szok, ale poza tym nie było powodów do obaw. Kiedy poczuł się już na tyle

dobrze, żeby wstać, Anna Lee wzięła z szafki jego ubranie, pomogła mu się ubrać i razem poszli do domu – on obejmując ją w pasie, ona trzymając mu rękę na ramieniu. Zbliżywszy się do domu, zobaczyli na chodniku wypatrującą ich matkę.

– Okropnie się o was bałam – powiedziała. – Już miałam iść i was szukać. Co robiliście tak długo?

Anna Lee ścisnęła go za rękę i powiedziała.

– Nic. To ja się trochę pokręciłam i pogadałam z różnymi ludźmi. To moja wina.

Nazajutrz Bobby doszedł do wniosku, że dla własnego bezpieczeństwa lepiej będzie nie pokazywać się na basenie przez jakiś czas. Przynajmniej dopóki czyha na niego Luther Griggs. Został więc w domu i czytał komiksy.

Około wpół do pierwszej przybiegł zaaferowany Monroe i zastukał nagle w okno pokoju Bobby'ego. Miał szeroko otwarte oczy, wyglądał, jakby natknął się na Marsjan.

– Wpuść mnie – poprosił. Wdrapał się na parapet, policzki pałały mu z emocji. – Nie uwierzysz, jak ci powiem, co się stało z Lutherem!

– Co?

Monroe złapał się za głowę, nie mógł usiedzieć w miejscu, chodził po pokoju jak nakręcony.

– Fantastycznie!... Rewelacja!... Szkoda, żeś jej nie widział. Bach! Dostał prosto w kark!

I jeszcze raz! A zaraz potem zaprawiła go prawym sierpowym. Och, była znakomita! –

Monroe skakał po całym pokoju, demonstrując przebieg walki. – Bach! Babach!

– Kto taki? – spytał Bobby.

– Anna Lee!

Bobby nie wierzył własnym uszom.

– Anna Lee, moja siostra?

– Aha.

– Żartujesz?

– Wcale nie, sam widziałem. Dopiero co przyszła na basen, odnalazła go, złapała za koszulę i powiedziała mu, żeby się zmierzył z kimś równie dużym jak on. A potem szarpnęła nim i powaliła na łopatki. Kiedy wstał, nie popuściła mu i chyba bebechy z niego wypruła. Płakał i krzyczał. To było coś. Szkoda, żeś tego nie widział.

– Anna Lee?

– Aha. I powiedziała mu, że jeśli jeszcze raz tknie cię palcem, ona napuści na niego

Billy'ego Nobblitta.

– Moja siostra?

Zachwycony Monroe rzucił się na łóżko.

– Mówię ci, chłopie, ty to masz szczęście. Też bym chciał mieć taką siostrę.

– On naprawdę płakał? – upewniał się uśmiechnięty Bobby.

– No, kazała mu błagać o litość.

Wieczorem przy kolacji Bobby patrzył na swą siostrę innymi oczami – pełnymi niedowierzania i podziwu. I mimo że nic nie zostało powiedziane, ich wzajemny stosunek zmienił się z dnia na dzień. Myśl o tym, jak to by było wspaniale być jedynakiem, gdzieś się ulotniła, przestali też skarżyć na siebie przy byle okazji. Zaczęli nawet mieć wspólne tajemnice. Niby nic takiego, drobne ustępstwa, a jednak oznaczało to radykalną zmianę. Jak to później ujęła Dorothy:

– Przyjemnie mieć dzieci, które nie skaczą sobie bez przerwy do oczu. Ciekawa jestem, co się stało?

Chociaż Dorothy nie musiała już dłużej martwić się, że jej dzieci pozabijają się nawzajem, to jednak od czasu do czasu martwiła się o Betty Raye Oatman. Nie dostała od niej żadnego listu. Zastanawiała się nieraz, czy dziewczynce nie dzieje się nic złego. Kiedyś nawet zadzwoniła do pastora z Kościoła Chrystusowego przy autostradzie nr 78, ale on nie miał pojęcia, gdzie się podziewają Oatmanowie.

Betty Raye dopiero po kilku dniach od wyjazdu z Elmwood Springs znalazła kopertę, którą Dorothy wsunęła jej do walizki. W środku było pięćdziesiąt dolarów i odręcznie napisany krótki liścik:

Kochaneczko!

Przyjmij to ode mnie i kup sobie coś, co Ci sprawi radość, albo zachowaj na czarną godzinę, jak wolisz. Nie zapominaj o nas i znów nas kiedyś odwiedź.

Twoi przyjaciele Dorothy i Doc Smith

PS. Daj znać od czasu do czasu, żebyśmy wiedzieli, co porabiasz, dobrze?

Betty Raye chciała napisać, ale nie wiedziała o czym. Dorothy niepotrzebnie się martwiła,

że Betty Raye mogłaby o nich zapomnieć. Mimo że los rzucał ją od miasta do miasta, często wspominała czas spędzony w Elmwood Springs. W trasie rzadko miała okazję chodzić do szkoły, a i wtedy więcej dni opuściła, niż była obecna. Marzyła o tym, by mieszkać w jednym miejscu, chodzić do jednej szkoły. Chciałaby – tak jak Anna Lee – mieć te same przyjaciółki z roku na rok i mieszkać w jednym i tym samym domu. Często, kiedy mijali wieczorami małe miasteczka, widywała rodziny odpoczywające na gankach albo w oświetlonych oknach siedzące przy kolacji, i rozpamiętywała swój pobyt u rodziny Smithów. Czuła się bardzo nieszczęśliwa, ale ani słowem nie wspomniała o tym matce. Minnie miała własne zmartwienia.

Syn marnotrawny

To lato Oatmanowie spędzili wyjątkowo pracowicie. Od początku maja przejechali od Nebraski do Oklahomy, Michigan, Luizjany, Wirginii Zachodniej, Kansas i z powrotem. Po całonocnym koncercie w Spartan – burgu w Karolinie Południowej wreszcie mieli jeden dzień wolny. Ferris z Bervinem i Vernonem zatrzymali się na farmie, a Betty Raye ulokowano w innym miejscu, u siedmioosobowej rodziny. Minnie spała tej nocy u Pike'ów, również śpiewaków gospel o pewnej ustalonej już renomie. Następnego ranka mogła sobie posiedzieć w ogródku wraz z panią Pike, której mąż poszedł już do pracy. Poza tym, że śpiewał gospel, to jako daleki krewny należał do rodzinnego interesu Balsamy Mentolowe Pike'ów i zajmował się sprzedażą tego specyfiku w obu Karolinach. Panie sączyły mrożoną herbatę i omawiały blaski i cienie bycia żonami śpiewaków gospel.

– Niełatwo być bez przerwy na widoku – zauważyła Minnie.

– Wcale niełatwo – zgodziła się pani Pike.

– Wiesz, Ferris nie zawsze był przykładnym chrześcijaninem jak teraz. Mało kto wie, ale przez całe lata miał on swoje przyływy i odpływy, wpadał w ciąg, wychodził z niego i znowu wpadał.

– Poważnie? – zdziwiła się pani Pike.

– Tak. Ale chwała Bogu, będzie już sześć tygodni w najbliższy wtorek, jak jest wyleczony, to nie ten sam człowiek, co za ulga. Ruda uzdrowicielka z Missisipi wyleczyła go z artretyzmu i zbawiła jego duszę podczas tego samego seansu.

– Poważnie? – powtórzyła pani Pike, jednocześnie jednym pacnięciem ubijając komara na

swojej ręce.

Minnie skinęła głową.

– Do tego czasu męczył go poważny kryzys wiary. Po jakichś trzech miesiącach przygotowywania się do egzaminu na kaznodzieję Kościoła Chrystusowego – robił taki korespondencyjny kurs – i po całonocnym wysiadywaniu w samochodzie nad Biblią przychodzi do mnie któregoś rana i okropnie wygląda. „Co się dzieje, Ferris?”, pytam go. A on patrzy na mnie i mówi: „Siadaj, Minnie, bo muszę ci coś powiedzieć. Złotko, mów, chcę, żebyś wiedziała, że choć setki godzin spędziłem na modlitwie i walczyłem ze sobą, nic nie pomogło”. Bierze moją rękę i mówi: „To jest poważna sprawa. Chyba będę musiał zrezygnować z duszpasterstwa”. Zaczęłam się trząść cała, bo do tej pory to było całe jego życie, i mówię mu: „Ferris, czy jest inna kobieta?” A on mi na to: „Nie, złotko, to chodzi o syna marnotrawnego. Próbowałem się z tym jakoś pogodzić, pozostać wierny Słowu, ale nie mogę”. Stracił wiarę przez przypowieść. Mówi: „Jeśli człowiek może zrobić piekło, roztrwonić wszystkie pieniądze, żyć w grzechu, a potem wrócić do domu, a jego ojciec ściska go, całuje na powitanie i zaprasza do środka jak gdyby nigdy nic, to co ma powiedzieć drugi syn, który pracował na roli, oszczędzał i żył po bożemu? Dlaczego ma on sobie myśleć, że wszystkie te lata, kiedy starał się być dobry, dla jego taty są w ogóle bez znaczenia? W takim razie on też mógłby zabawiać się i korzystać z życia. Rozumiesz, Minnie?”, pyta mnie. „Dlaczego ktoś miałby się starać, żeby być dobrym, jeśli dla ojca tak czy siak, jesteś dobry czy zły, jest bez różnicy? No bo jeśli syn marnotrawny robi, co mu się podoba, i wszystko mu uchodzi na sucho, to po co się starać?”

Co ja na to mogłam mu powiedzieć? No więc mówię: „Ferris, ja cię rozumiem. Nie możesz prawić ludziom kazań ani śpiewać jak należy, jeśli sam nie bardzo wierzysz w to wszystko. To byłoby nie tak. Ale musimy ciągnąć ten wózek, bo mamy terminy, więc módl się bez przerwy i rób swoje”. Parę miesięcy później śpiewaliśmy w wielkim namiocie na przebudzeniu duchowym i na takim wielkim zgromadzeniu uzdrowicielskim na polach w Pelham w Alabamie. Nie zapomnę tej nocy. Na niebie ani jednej gwiazdy, ciemno jak w pladze egipskiej, a Ferris wychodzi, kręci się, niby nigdy nic, aż tu co widzę, znosi go do namiotu tej Harperki. Wystaw sobie, on, jeden z najlepszych kaznodziei, tak przynajmniej mówią, co go nigdy nie brały żadne czary-mary ani uzdrowiciele, idzie do niej... Może jakieś dwadzieścia minut minęło, a ona cap go, coś mu powiedziała i od tej pory jest zbawiony i uzdrowiony.

– Bogu niech będą dzięki – powiedziała pani Pike.

– Bogu i tej Harperce. Ja tam nie wiem, co ona mu powiedziała, ale musiała być dobra, bo od tej pory jego ból w kolanie też minął, jakby ręką odjął. Nie dziwota, że ludzie do niej ciągną. W Atlancie gadają, że chorzy przyjeżdżają do niej karetkami, a wracają tramwajem. Idziesz na jedno z takich spotkań uzdrowicielskich i potem już cię nic nie boli. Raz byliśmy na takim seansie w Detroit, to widzieliśmy, ile ludzi wyzdrowiało, przeszedł im od razu ból w plecach, ślepotą, haluksy, wola, kłopoty z wątrobą, grzybica, co tylko. Jedna kobieta przyszła z podkurczonym palcem wskazującym, a pod koniec nabożeństwa był już prosty jak drut.

– Poważnie?

– Jak najbardziej. Złociutka, ona się odwróciła i tym palcem mierzyła prosto we mnie! Minnie zapatrzyła się przed siebie.

– Mam nadzieję, że Ferris zachowa wiarę i zdrowie, przynajmniej dopóki chłopców nie wychowam. Są w wieku, kiedy zaczyna się podskakiwać, muszę mieć na nich oko i jeszcze na wuja Floyda, w sumie mam tego po dziurki w nosie.

Fundacja Princess Mary Margaret

Dorothy była czuła na niedolę nie tylko ludzi potrzebujących, ale także zwierząt, o czym wszyscy wiedzieli. Pierwszego lipca rozpoczęła nadawanie swojej audycji, trzymając na kolanach jeszcze jednego kociaka, którego poprzedniej nocy ktoś jej podrzucił pod drzwi z tyłu domu. Po nadaniu pierwszych reklam Dorothy zagaiła:

– A propos, odgłos, który teraz słyszycie, to nie żadna motorówka, tylko mruczenie milutkiego kociaczka, który szuka domu. Uroczy rudasek, wspaniały towarzysz dla kogoś z was, jestem tego pewna, więc jeśli ktoś może go wziąć, niech zadzwoni.

Ciotka Normy, Elner, regularna słuchaczka programu Dorothy, była również czuła na niedolę zwierząt.

Następnego dnia Matka Smith rozpoczęła audycję dziarskim wykonaniem Znów nadeszły szczęśliwe czasy.

– Racja, Matko Smith, znów nadeszły szczęśliwe czasy, mogę więc zacząć od dobrej nowiny. Właśnie zajrzałam do swojej prywatnej kabiny wyborczej, gdzie zagłosowałam na Elner Shimfissle jako laureatkę dorocznej nagrody „Dobra Sąsiadka”. Po wczorajszej audycji

zatelefonowała do nas i powiedziała, że weźmie kotka, i już po południu zgłosiła się po niego razem ze swoim mężem Willem. Zatem nasz mały rudasek znalazł dla siebie bardzo miły dom na farmie. To już piąty kot, którego Elner wzięła do siebie w tym roku, wielkie dzięki, Elner. Uznała, że jeszcze nie ma rudego kotka, a zawsze takiego chciała mieć. Zatem wszyscy są zadowoleni. Kotek ten otrzymał imię Sonny... Wszystkiego najlepszego, Sonny, w twoim nowym domu. Naprawdę, ludzie są wspaniali. A teraz przechodzimy do naszego święta. Matka Smith zagrała parę akordów Happy Birthday.

– Tak jest, dziś są urodziny naszej Princess Mary Margaret... Swoim fanom przesyła ona serdeczne podziękowania za kartki urodzinowe...

Jeszcze do tego wrócę... Najpierw jednak chciałabym przypomnieć, że wszystkie wpłaty, jakie nadsyłacie na konto Fundacji Princess Mary Margaret, idą na utrzymanie zwierzątek potrzebujących naszej pomocy. Ze wzruszeniem donoszę, że w zeszłym roku znaleźliśmy ciepłe i serdeczne domy dla ponad pięciuset kotków i piesków, a także dla gromadki żółwi i kilku królików. Że nie wspomnę o psie przewodniku, którego zakupiliśmy dla naszej Beatrice Woods.

Pies przybył tu w zeszłym tygodniu. To piękny, złocisty retriever, który na imię ma Honey, jeśli więc zobaczycie Beatrice i Honeya idących razem ulicami naszego miasteczka, przekonacie się, na jaki wspaniały cel przeznaczycie wasze pieniądze. Jesteśmy wam nieskończenie wdzięczni.

Szkoda, że nie możecie zobaczyć teraz Princess Mary Margaret, jak siedzi w swoim koszu wśród nowych zabawek urodzinowych. Nasza sunia kończy dziś dwanaście lat. Aż trudno w to uwierzyć; wydaje się, że zaledwie wczoraj Doc przyniósł ją do domu, a była wtedy nie większa od piastki... Mam rację, Matko Smith? A teraz jest duża i gruba, tak jak ja. Coś mi się wydaje, że obie jemy za dużo lodów. Mam tu kartkę, którą chciałabym wam przeczytać:

Najlepsze życzenia urodzinowe dla Princess Mary Margaret. Mam nadzieję, że to Twój szczęśliwy dzień. Trzymaj tak dalej. Do życzeń dołączają się też Matka, Bess i Margaret
Prezydent Harry Truman

Matka Smith zagrała na fisharmonii Cześć, szefie. Sąsiadka Dorothy roześmiała się i mówiła dalej:

– Po zakończeniu audycji Princess Mary Margaret wybiera się do Trolejbusowej Gospody, gdzie Jimmy da jej urodzinowego hot doga. Następnie pójdzie do szpitalika po drugiej stronie, by odwiedzić swego przyjaciela Korka. Biedna Princess, tak jest przejęta tą wizytą, bo ona kocha tego kota. Całkiem nie rozumiem dlaczego, zwłaszcza że on w ogóle nie zwraca na nią uwagi. Miłość jednak jest ślepa, tak mówią...

Dalsze zmiany

Około drugiej w nocy zadzwonił telefon. Doc pomyślał, że to pewnie znów ktoś potrzebuje czegoś w środku nocy. Nieraz zdarzało się, że o różnych porach musiał wstawać z łóżka i otwierać drugstore, bo jakaś matka potrzebowała pilnie syropu na kaszel dla dziecka albo dzwoniła Tot z prośbą, by Doc odszukał jej matkę, która gdzieś przepadła, czy też żeby zabrać z trawnika Jamesa, zanim świt go tam zastanie. Tym razem chodziło o coś innego.

Dzwonił Olla Warren z wiadomością, że jego najlepszy przyjaciel, Glenn, ten, który prowadził sklep z artykułami żelaznymi, miał atak serca.

Doc odłożył słuchawkę i nie minęło pięć minut, jak był ubrany i gotów do wyjścia, a wraz z nim Dorothy. Kiedy przybyli na miejsce, zastali tam już młodego doktora Hallinga, a karetka pogotowia była w drodze. Przez następne kilka dni Glenn balansował na granicy życia i śmierci, w końcu jednak wrócił do domu z zaleceniem, by przez kilka najbliższych miesięcy oszczędzał się i nie przemęczał. Tak więc sklepem musiał się zająć Macky, jego syn, dopóki Glenn nie stanie na nogi. Bobby podziwiał Macky'ego jak jakiegoś bohatera, zwłaszcza po tym, jak Macky wyciągnął go z wody i uratował mu życie. Ale nie tylko Bobby go podziwiał; inni chłopcy też starali się mu dorównać. Poza tym, że wpuszczał ludzi do kina, zaliczał się do najlepszych graczy w piłkę nożną i w baseball. Powiadano, że był tak dobrym łącznikiem, że gdyby chciał, mógłby grać w piłkę zawodowo. Bobby współczuł Macky'emu z powodu choroby ojca oraz faktu, że musiał pracować podczas wakacji, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć ani co zrobić.

Kilka dni później Doc siedział w saloniku i czytał gazetę, kiedy wszedł Bobby. Zakręcił parę razy globusem stojącym na biurku, wyciągnął ze stojaka fajkę Doca, po czym odłożył ją na miejsce, by znów po chwili ją wyciągnąć, i wreszcie powiedział:

– Tatusiu, chciałbym z tobą porozmawiać.

Wnioskując z tonu, jakim to zostało powiedziane, Doc przygotował się na najgorsze,

zastanawiając się, w jakież to tarapaty obecnie wpakował się jego syn.

– Pamiętasz baseballową piłkę, którą dostaliśmy na mistrzostwach świata? – zapytał.

– Pamiętam.

– Wiem, że to ty ją złapałeś i w ogóle, ale czy gniewałbyś się na mnie, gdybym ją pożyczył na jakiś czas Macky’emu Warrenowi? Byłem tam dzisiaj w ich sklepie. I pamiętam, że mu się podobała ta piłka, kiedy mu ją pokazałem... Bo tak na nią patrzył... Co ty na to?

– To twoja piłka, synku, więc cokolwiek chcesz z nią zrobić, ja nie mam nic przeciwko temu.

– Na razie tylko o tym myślałem – dodał Bobby. – Jeszcze nie jestem pewny, czy tak zrobię, czy nie. Ale chciałem najpierw wiedzieć, czy nie będziesz zły na mnie za to.

– Rozumiem.

Doc nie powiedział nic więcej, ale w głębi ducha cieszył się. Wyglądało na to, że Bobby, na pozór szalony i śmieszny, w gruncie rzeczy jest dobrym chłopcem.

Mimo że pod pewnymi względami Bobby zmienił się na lepsze, pod innymi pozostał taki sam. Na przykład teraz stał w hallu i jak zwykle sprawiał kłopoty.

Sąsiadka Dorothy, która akurat była na antenie, zwróciła się do swoich słuchaczy:

– Jeśli zastanawiacie się, skąd pochodzi ten hałas, to wiedzcie, że to nie wina waszych odbiorników, ale Bobby ze swoją raketką pingpongową... Pac, pac, pac... kompletnie mu odbiło z tym odbijaniem. Bobby, masz natychmiast wynieść się z tym z domu! Chciałabym wiedzieć, kto wynalazł raketkę i to odbijanie. Pac, pac, pac, bez przerwy, gdy tylko skończyło się ostatnie szaleństwo z balonową gumą do żucia. Tak czy owak, jeśli ktoś z was nie ma w domu chłopca, a chciałby go mieć, niech dzwoni...

Wyrzucony z domu i znudzony odbijaniem piłeczki, Bobby nie wiedział, co ze sobą począć. Jak na razie trudno było uznać to lato za udane. Nie dość, że o mały włos nie utonął i po raz trzeci z rzędu przegrał zawody w wydmuchiwaniu gumy balonowej, to na domiar złego Monroe wyjechał do dziadków na miesiąc, panowały upały i nie było co robić. Bobby poszedł do miasta, poszwendał się trochę tu i tam, wypił w drugistorze darmową lemoniadę, przeczytał parę komiksów, powlókł się do fryzjera poobijając się tam jakiś czas, dopóki nie pojawił się Stary Henderson. Wiadomo było, że truje on koty i nie znosi dzieci, więc Bobby szybko się stamtąd ulotnił. Następnie postanowił pójść do Snooky’ego i z nim razem zbijać bąki w jego kabinie projekcyjnej. Akurat był to dzień powszedni, więc nie wyświetlano

niczego, co Bobby miałby ochotę obejrzeć, lubił jednak odwiedzać Snooky'ego, bo ten nieraz pozwalał mu przewinąć taśmę. Gdy tylko Bobby znalazł się za szklanymi drzwiami w hallu kina, od razu lepiej się poczuł. Bez względu na to, jak gorąco było na dworze, w kinie zawsze panował miły chłodek, przyjemne dla ucha też wydawało się terkotanie maszyny do popcornu, w której przez cały dzień, niezmordowanie, podskakiwała kukurydza. Podszedł i kupił sobie dużą porcję popcornu zapakowanego w kartonową torbę w białe i czerwone paski, mlekomałty oraz po butelce coca-coli dla siebie i Snooky'ego. Pieniądze są po to, żeby je wydawać. Bobby pracował w trzech miejscach i miał pełne kieszenie drobnych, od których zjeżdżały mu spodnie. Oprócz pomocniczych prac u ojca, Bobby roznosił gazety i kosił trawniki, niemniej tęsknił za dniem, w którym skończy szesnaście lat, co da mu możliwość zatrudnienia się w kinie w charakterze biletera wpuszczającego na salę. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy dostanie mundur z mosiężnymi guzikami, czapkę oraz służbową srebrzystą latarkę zakończoną czerwoną plastikową osłoną. To było coś. Niestety na realizację tych marzeń trzeba czekać całe lata. Tymczasem Bobby chciałby doświadczyć czegoś bez tak długiego wyczekiwania, a Snooky miał właśnie coś dla niego.

– Podobno jacyś ludzie mają tu przyjechać aż z St. Louis – powiedział, a Bobby'emu zaświeciły oczy – aby otworzyć jakąś fajną, całkiem nową restaurację.

– Naprawdę? – Bobby wybiegł z kabiny operatora i popędził do centrum, wpytując wszystkich po kolei. Okazało się, że to prawda!

Sklep warzywny A & P przenosił się do większego lokalu po drugiej stronie ulicy, tam, gdzie przedtem znajdował się skład opon Goodyear, zanim przeniósł się na tyły stacji Western Auto. To dopiero! Dla Bobby'ego wyczekiwane otwarcie miało być nie lada wydarzeniem. Nie pamiętał, by od jego urodzenia kiedykolwiek coś się w mieście zmieniło. Codziennie chodził tam i sprawdzał postępy robót w przeobrażaniu sklepu warzywnego w restaurację. Widział, jak tylnym wejściem wnoszono krzesła, stoły i całe kuchenne wyposażenie. Obserwował, jak białobrzazowe markizy zmieniały kolor na białoróżowe i jak zawieszono firaneczki zasłaniające okna tylko do połowy. Wszyscy w mieście umierali z ciekawości, jaka to będzie restauracja, ale tę informację trzymano w głębokiej tajemnicy. Snuto najprzeróżniejsze domysły, ale i tak trzeba było zaczekać na uroczyste otwarcie, kiedy to niespodzianka została ostatecznie ujawniona.

W środku nocy robotnicy przynieśli wielki szyld, nadal zasłonięty brązowym papierem, i przymocowali go na frontowej ścianie. Odsłonięcie miało nastąpić dopiero podczas

oficjalnego otwarcia. Wreszcie nadeszła długo oczekiwana chwila. Punktualnie o ósmej trzydzieści papier został usunięty, a wszyscy, którzy stali cały wieczór, wyczekując tej chwili, łącznie z Bobbym i całego rodzina, zaczęli bić brawo, kiedy ujrzeli szyld w całej okazałości. Różowy neon to już było coś, ale neon w kształcie prosiaczka, który biega w kółko, zadziwił i zachwyił wszystkich. Cóż to za cudo! I jaka precyzja! Mały grubiotki prosiaczek z zakręconym ogonkiem, zataczający kółka, a w środku napis wieszczący:

Cafeteria Trzy Małe Świnki

Pyszne jedzenie na szybko

Napis ten sprawił, że ludzie niemal wyważyli drzwi, tłocząc się tłumnie do wejścia. Nawet bez wizerunku różowego prosiaczka już sam wyraz „cafeteria” przyciągnąłby klientów z bliższych i dalszych okolic. Wszyscy słyszeli o gospodzie, barze kanapkowym, jadłodajni, ale „cafeteria” brzmiała intrygująco i tak nowoczesnie... Nawet wielkomięjsko. Bobby’emu rajem się zdał sam pomysł wędrowania z tacą z brązowego plastiku, przeznaczoną wyłącznie do jego użytku, wzdłuż szklanych pojemników wypełnionych najrozmaitszymi potrawami, jakie tylko można sobie wyobrazić, na które wystarczyło jedynie wskazać palcem, by je dostać. Było tam wszystko: galaretka ze struganą marchewką i zielonymi winogronami w środku, warzywa, mięsa, ryby, rolady, kolby kukurydzy i nieograniczony wybór deserów i napojów. Oferowano tam nawet zagraniczne potrawy – włoskie spaghetti, kurczak po chińsku. Zastanawiano się, co jeszcze może się zdarzyć.

Niektóre panie, widząc ten ogromny wybór dań, przysięgły, że przestaną gotować obiady w domu, a kilka z nich nawet dotrzymało słowa.

Wywarło to tak wielkie wrażenie na Idzie Jenkins, matce Normy, że zaczęła przy każdej nadarzającej się okazji wtrącać słowo „cafeteria”.

Oczywiście po pewnym czasie, kiedy nowość trochę spowszedniała, rodzice zaczęli starannie przyglądać się, co ich dzieci wybierają do jedzenia. Pierwszego dnia Bobby zażyczył sobie trzy desery i dwie miseczki puree z gęstym sosem. A kiedy Biedna Tot przyprowadziła tu matkę, ta postawiła na swojej tacy szesnaście kolb kukurydzy i cztery mrożone herbaty. Część z tego Tot usiłowała odstawić na miejsce, ale jej matka zaczęła wierzcąc i narobiła takiego krzyku, że trzeba ją było zabrać do domu.

Nie licząc tego przypadku oraz kilku innych, kiedy ktoś upuścił tacę na podłogę, zanim

dotarł do stolika, nowy lokal stał się miłym urozmaiceniem w życiu miasteczka. Zarówno jeśli chodzi o jego wnętrze, jak i prezencję z zewnątrz. Teraz do neonu w kolorze białym i pomarańczowym, który otaczał markizę kina, jasnozielonego neonu ze znakiem firmowym Kwaciarni Victora, białoniebieskiego neonu Pralni Blue Ribbon oraz drugstore'u Rexalla doszedł ten jeszcze neon z różowym prosiaczkiem biegającym w kółko.

Nagle ulica Główna rozbłysła kolorami. Widok na nią z frontowego ganku Smithów był oszałamiający. Nocą cała ulica mieniła się kolorowo, przypominając ozdobioną i jarzącą się kierownicę Ferrisa.

Następny wrzesień

Minął zaledwie tydzień od powrotu Monroe'a od dziadków, kiedy to ku wielkiemu żalowi Bobby'ego nastąpił kolejny wrzesień, a wraz z nim nowy rok szkolny. Dla jego siostry jednak oznaczał wielkie zmiany. Przede wszystkim Anna Lee była teraz w klasie zaliczającej się do starszych, co niosło ze sobą nowe prawa i przywileje. Uczniowie starszych klas stanowili odrębny gatunek. W porównaniu z pozostałymi uczniami, którym zajęcia lekcyjne wlokły się w nieskończoność, ich rok szkolny wypełniony był grami sportowymi, zabawą, flirtami i atmosferą wyczekiwania.

Ale Bobby był zaledwie szóstoklasistą. Jedyne, na co mógł teraz czekać, to święto Halloween i spotkanie z przerażającym starym Hendersonem.

Pod koniec października Dorothy rozpoczęła swoją poniedziałkową audycję pełnym werwy powitaniem, po którym zadała pytanie:

– Czy widzieliście wczoraj, jak pięknie wyglądał księżyc w pełni? Ja uwielbiam tę porę roku, kiedy, jak to mówi pan James Whitcomb Rileys, szron pierwszych przymrozków pokrywa dynie... Mam dla was też parę dobrych wiadomości. Elmwood Springs ostatecznie wygrał mecz piłki nożnej, a to dzięki młodemu Macky'emu Warrenowi, który wybił piłkę i uratował sytuację. Odnieśliśmy zwycięstwo, więc brawa dla drużyny. Anna Lee i całe jej towarzystwo urządza piknik z pieczenia na ogniu nad jeziorem w najbliższy piątek. Ja z Dokiem mamy nadzorować imprezę z ramienia komitetu rodzicielskiego, jeżeli więc uda mi się przetrwać ten miesiąc i nie przybrać na wadze jakichś dwudziestu funtów, będę miała wiele szczęścia. Później Beatrice, nasza Niewidoma Ptaszyna, zaśpiewa dla was W cieniu szepczących sosn, ale przedtem okolicznościowy komunikat od doktora Orra, naszego

miejscowego dentysty. Pisze on: „Październik to sezon na kandyzowanie jabłek, sezon imprez, na których często urządza się zabawę w chwytanie jabłek zębami bez pomocy rąk. Użytkownikom sztucznych szczęk zdecydowanie odradzam te gry i zabawy”. Doktorze Orr, dziękujemy za przypomnienie. Wszyscy pamiętamy, jak to Biedna Tot straciła całkiem zdrowy przedni ząb, gryząc kandyzowane jabłko na zeszłorocznym jarmarku. Jeśli o mnie chodzi, wzięłabym raczej coś ze stołu niż tego rodzaju smakołyk. Co my tu jeszcze mamy? Aha. Doc prosił, abym przypomniała, że wszystkie pieniądze zebrane w tym roku w Lions Club Haunted House idą na szpital dla ułomnych dzieci, nie zapomnijcie więc przyjść. Mówi też, że wszyscy ci, którzy mają słabe serce, raczej niech zostaną w domach; wygląda na to, że i tym razem będzie to mrozące krew w żyłach widowisko. Ja w żadnym razie nie pójdę, tego możecie być pewni. Wrzucę przy wejściu swój datek i wrócę do domu. W ubiegłym roku Bobby zaciągnął mnie tam siłą, och, byłam śmiertelnie przerażona. Z każdej strony coś wyskakiwało na człowieka. Ale tych, którzy lubią przeżywać dreszczyk emocji, zapewniam, że Lions Club potrafi ich do tego doprowadzić. Matka Smith powiada, że w tym roku pójdzie do nawiedzonego domu, ale nie mówi, co tam będzie robiła.

Trzydziestego pierwszego października o piątej trzydzieści Bobby, ubrany jak Abraham Lincoln w czarnym garniturze i wysokim na trzy stopy cylindrze, zrobionym z kartonu przez Jimmy’ego, kręcił się bez celu. Był właśnie pochłonięty wyjadaniem fistaszków w polewie ślazowej koloru pomarańczowego, które wypełniały duży słój ustawiony na stole w hallu wejściowym, kiedy z kuchni wychyłała Dorothy i go ofuknęła:

– Przestań, Bobby! To nie dla ciebie! To fant na moją świąteczną kwestę.

W jego wzroku malowała się uraza.

– Ja też będę zbierał datki.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Spojrzała na sąsiedni słój, a wtedy Bobby rzucił się do ucieczki. Miałby za swoje, gdyby odkryła, że podgryzał białe czubki z kandyzowanej kukurydzy. Dobrze wyczuł, bo niemal natychmiast usłyszał groźne: „Bobby!”, ale zdążył już wybiec tylnym wyjściem i był w drodze do Monroe’a, dzierżąc w ręku dużą torbę. W torbie tej znajdowały się zrobione z kartonu ogromne stopy goryle, a w każdym razie coś, co miało przypominać stopy goryla. Doc powinien się domyślić, że coś się szykuje, kiedy Bobby zaczął przychodzić do drugstore’u co drugi dzień i kupować po dużym opakowaniu zasyпки dla niemowląt.

Okolo północy, kiedy byli już pewni, że stary Henderson poszedł spać, zrobili to, co zaplanowali sobie wiele tygodni wcześniej, po czym pobiegli do domu Monroe'a, gdzie Bobby miał spędzić noc. Rano, zgodnie z planem, starego Hendersona czekała przykra niespodzianka. Calusieńki ganek jego domu pokrywała warstwa białego proszku, na którym odcisnięte były ślady kocich łap oraz olbrzymie tropy jakiegoś niezidentyfikowanego monstrum. Stary Henderson nie miał pojęcia, co przeszło przez jego ganek tej nocy, ale na wszelki wypadek przez parę następnych miesięcy trzymał przy łóżku broń, w razie gdyby potwór powrócił.

Nadeszło i minęło kolejne Boże Narodzenie, a wraz z nim tuziny skarpetek i stopy podkoszulków z majtkami, ale ani jednego prawdziwego hełmu Jungle Jim, za to dwudziestego ósmego grudnia spadł śnieg. No, przynajmniej tyle. W sylwestra James Whooten upił się i spadł ze schodów wiodących do hallu w VFW, łamiąc sobie oba łokcie i tracąc przez to zajęcie pokojowego malarza. Tot, żeby związać koniec z końcem, zaczęła myć głowy i układać fryzury w swojej kuchni. „Biedna Tot”, powtarzali wszyscy i żeby ją jakoś wspomóc, zaczęli przychodzić do niej do ułożenia włosów, nawet jeśli nie mieli takiej potrzeby. Tot przed swoim zamążpójściem chodziła do szkoły fryzjerskiej i wmówiła sobie, że jest to jedyna rzecz, w jakiej jest dobra. Myliła się, niestety. Matka Smith, podobnie jak wiele innych siwowłosych pań, nieraz wracała od Tot z purpurową fryzurą, żadna jednak nie wносиła zastrzeżeń, co więcej, nadal do niej chodziły. To była niewielka cena, jaką płaciły za przyjacielską pomoc.

Po wyjątkowo zimnym lutym i marcu wiosna w końcu zdecydowała się nadejść, a kwiecień i maj w domu Smithów okazały się miesiącami wyczerpanej pracy. Zbliżała się matura Anny Lee, a z tym okres wzmożonych zakupów kreacji na wieczorki i bal dla abiturientów. Wśród uczniów najstarszej klasy rozgorzały emocje związane z nie kończącymi się domysłami, kto jak zostanie opisany w szkolnym wydaniu „Who is Who”; nastąpił też wybuch zbiorowej hysterii, kiedy okazało się, że nadesłane szkolne pierścienie mają zamiast czerwonych kamieni niebieskie oczka i że trzeba je odesłać z powrotem. Norma i Macky zostali uznani za „Najmilszą parę”, Patsy Marie – ex aequo z Mary Esther Lockett – za „Najinteligentniejszą dziewczynę”, a Anna Lee uzyskała tytuł „Klasowej piękności”. Na koniec Dixie Cahill dała pokaz tańca ze stepowaniem, i pożegnanie abiturientów minęło bez

przeszkód. Dorothy i Doc wręczyli Annie Lee zegarek marki Lady Bulova, Matka Smith i Jimmy – pieniądze, a Bobby, idąc za radą matki, za zarobione na roznoszeniu gazet pieniądze kupił siostrze flakonik perfum pod nazwą „Biel ramion”. Wreszcie nadszedł dzień zakończenia roku szkolnego, co Bobby jak zwykle przyjął z ogromną ulgą. Anna Lee jednak, kiedy opadły emocje związane z rozstaniem ze szkołą i miała już czas na refleksję, początek lata przywitała w nastroju owianym lekkim smuteczkiem i melancholią. Zaczęła rozumieć, że jej życie już nigdy nie będzie podobne do tego, jakie wiodła w ciągu ostatnich dwunastu lat.

Bobby tymczasem martwił się, że jego życie będzie ciągle takie samo.

Pierwszej słonecznej niedzieli po zakończeniu zajęć szkolnych, kiedy wszyscy poszli do kościoła, Bobby wybrał się rowerem do wieży ciśniń z kieszeniami pełnymi czerwonych baloników i zwojów sznurka oraz z mocnym postanowieniem, że tym razem dojdzie na samą górę i dokona od dawna zamierzonego wyczynu. Od czasu, kiedy wybrał się tam razem z Monroe’em, żył z brzemieniem tajemnicy, z której nie zwierzył się nawet przyjacielowi. W ogóle nikomu. On po prostu bał się tam wracać. Co więcej: bał się własnego strachu. Jeździł tam przynajmniej z dziesięć razy, zdecydowany w końcu wejść na górę, ale za każdym razem wycofywał się. Dziś, zaklinał się, będzie inaczej. Dziś wejdzie wprost na sam szczyt.

Ale nie wchodził. Tak jak poprzednio. Stawał u stóp wieży, patrzył na górę, usiłując zebrać całą odwagę, ale bezskutecznie; żeby nie wiadomo jak bardzo się starał, po prostu nie mógł tego dokonać. Z chwilą, kiedy stawiał stopę na pierwszym szczeblu drabiniastych schodków, serce zaczynało mu walić, oblewał się zimnym potem i nie był w stanie iść dalej. Po godzinie prób wsiadał na rower i wracał do domu, ponownie pokonany i upokorzony. Zaczął się obawiać najgorszego, przed czym drżą wszyscy chłopcy. Bał się, że w gruncie rzeczy jest tchórzem. Może Luther Griggs miał rację – może Bobby był maminsynkiem. Po każdej nieudanej wyprawie podejrzewał, że będzie to po nim widać. Ale im dalej zostawiał za sobą wieżę, tym bardziej poprawiało się jego samopoczucie. Kiedy dotarł już do miasta i przejeżdżał obok fryzjera czy kina i widział ludzi, których znał, jego klęska zaczynała blednąć. Z drugstore’u wyszła Dixie Cahill i pomachała mu. Też jej pomachał w odpowiedzi. Zaczynał czuć się bardziej odprężony. Nikt nie patrzył na niego dziwnie. Następnym razem, ślubował sobie. Dokona tego następnym razem. Zresztą, może wcale nie jest tchórzem, przecież ma tyle do zrobienia. Musi polecieć samolotem, żeglować po oceanie,

brać udział w rodeo, ocalić dziewczyny, pokonać byki. Musi wygrać zawody sportowe, pokazać mistrzowskie uderzenie w minigolfie, spędzić bydło do zagrody i wybrać się na Marsa w pojeździe międzyplanetarnym. Zanim wrócił do domu, zdołał przekonać siebie samego, że to niemożliwe, aby mógł być tchórzem.

Nie na trwałe jednak, bo po kilku nocach znów śnił mu się ten sam sen, w którym wchodzi na szczyt wieży, a wtedy szczeble drabiny zaczynają po kolei łamać się i on spada. Za każdym razem budził się gwałtownie na ułamek sekundy przedtem, zanim jego ciało miało ostatecznie zetknąć się z ziemią.

Zaczynał nienawidzić wieży ciśnięć.

Komiwojażer

Tego roku lipiec okazał się wyjątkowo upalny i suchy, codziennie o dziesiątej rano był już piekący żar, a na niebie ani jednej chmurki. W taki właśnie dzień pewien młody człowiek, przejeżdżający czarnym plymouthem w odległości około piętnastu mil od miasta, spostrzegł posuwającą się chmurkę wzbijanego kurzu gdzieś z dala na polu. Kiedy podjechał nieco bliżej, przekonał się, że chmurka była dokładnie tym, co podejrzewał. Pojedynczą sylwetką oracza w roboczym ubraniu posuwającego się za dwójką mułów. Młody mężczyzna rzucił okiem na zegarek. Miał czas. Zawrócił i zaparkował na poboczu drogi.

Pomyślał sobie, że równie dobrze mógłby spróbować ubić drobny interes. Popatrzył na skrzynkę na listy i odczytał nazwisko wypisane z boku białą farbą.

Wysiadł, przeskoczył przez płotek i ruszył w stronę oracza. Kiedy farmer uniósł głowę i zauważył nadchodzącego mężczyznę, zatrzymał muły.

– Prr!

Młodszy mężczyzna nie zapomniał przywołać na twarz uśmiechu i pomachać, tak aby ten drugi od razu domyślił się, że to nie żaden państwowy urzędnik ani wysłannik banku, tylko ktoś, kto przybywa w przyjaznych zamiarach. Wolał nie ryzykować, bo z doświadczenia wiedział, że w zależności od ich sytuacji farmerzy potrafią poszczuć przybysza psami albo nawet i postrzelić. Kiedy był już blisko, zapytał:

– Pan Shimfissle?

Farmer skinął głową w odpowiedzi.

– Tak jest. – Następnie czekał, żeby się dowiedzieć, czego od niego chciano.

Młodzieniec, kiedy był już blisko farmera, zagadał:

– Jak się pan miewa? Ależ dziś gorąco, prawda? – Wyjął wizytówkę z kieszonki na piersiach i wręczył ją gospodarzowi. Potem okrążył zaprzęg i podszedł do muła, by go poklepać po łopatkach. – No, bracie, kawał bysiora z ciebie – przemawiał do muła, podczas gdy farmer czytał, co było napisane na wizytówce. Młodzieniec był sprzedawcą w firmie produkującej traktory Allis-Chalmers. Farmer nie okazał zdziwienia. Nie po raz pierwszy bowiem zatrzymywał się tu sprzedawca traktorów i pewnie nie po raz ostatni. By jednak okazać uprzejmość, farmer zapytał:

– Co mogę dla pana zrobić?

– Właściwie nic. Przejeżdżałem tędy w drodze do Elmwood Springs, kiedy zobaczyłem pana i pomyślałem sobie, czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebyśmy się razem przeszli kawałek?

– Nic a nic, idziemy, jak pan chce.

– Dziękuję, naprawdę jestem wdzięczny – odpowiedział sprzedawca, po czym usiadł, żeby zdjąć buty, skarpetki i podwinąć nogawki spodni. Kiedy już szli obok siebie, zauważył:

– Prawdę mówiąc, panie Shimfissle, nie widziałem takiego pługu, od kiedy byłem mały. Niejeden dzień napracowałem się za takim pługiem. Tata miał coś około dwudziestu pięciu akrów ziemi w okolicach Knoxville, ale straciliśmy wszystko przez TVA*, teraz cała ziemia jest pod wodą.

Shimfissle pokiwał głową ze współczuciem. Wiedział, co to znaczy dla farmera stracić ziemię. Przez jakiś czas szli obok siebie za pługiem, a gdy omówili już ceny zbóż, pogodę oraz kiedy jest najodpowiedniejszy czas na sianie jakich odmian, sprzedawca zapytał:

– Da mi pan popróbować, czy jeszcze potrafię orać samodzielnie? Na chwilę, żebym tylko przekonał się, czy nie zapomniałem, jak to się robi.

Farmer zatrzymał zaprzęg i wręczył sprzedawcy lejce.

– Proszę bardzo. Może je pan lekko szturchnąć, bez obawy. Potrafią być pioruńsko uparte.

Sprzedawca ujął lejce, stanął za jarzmem, gwizdnął parę razy, cmoknął i po kilku lekkich pacnięciach w grzbiet muły rażno ruszyły, tak samo jak o wpół do szóstej rano. Odnalazły swój zwykły krok i tempo, kiedy przemawiał do nich jak do starych znajomych.

To zrobiło wrażenie na Shimfissle'u. Nie był to pierwszy lepszy, świeżo upieczony sprzedawca, który nie odróżniał imbiru od imbryka. Ten chłopak był farmerem. Po około

dziesięciu minutach młodszy mężczyzna zatrzymał muły.

– Bardzo panu dziękuję, panie Shimfissle. To wielka przyjemność znów poczuć w dłoni lejce i w ogóle. Z żalem się z tym rozstaję.

* TVA – Tennessee Valley Authority, Zarząd Zakładów Użyteczności Publicznej w Dolinie Tennessee.

– Mnie też żal, bom sobie troszkę odpoczął przez ten czas. Jak tylko najdzie pana znów ochota, by sobie poorać, niech pan wraca.

– Wielkie dzięki. Skorzystam. Ma pan ładną parkę mułów, nieczęsto się już takie spotyka. Teraz wszystkim się spieszy, nie wiadomo do czego.

Farmer przejął od młodego lejce.

– Dobrze mi się z panem gadało.

– Mnie też. – Sprzedawca otrzepał ubranie z kurzu. – Okropnie wyglądam, co? Nie zna pan czasem jakiegoś miejsca, gdzie bym się mógł troszkę ochlapać? Mam w mieście randkę z jedną panią i lepiej, żebym jej się nie pokazywał w takim stanie.

– Pewnie, że znam. Pójdzie pan do mojego domu i powie, że ja pana przysyłam. A żona już wszystko przygotowuje.

– Będę zobowiązany. – Wziął z ziemi swoje buty i skarpetki i powędrował w stronę białego wiejskiego domu. Will Shimfissle natomiast powrócił do orki, lekko zawiedziony, że ten człowiek od Allis-Chalmersów nawet nie próbował sprzedać mu traktora.

Faktycznie, sprzedawca nie zająknął się na temat traktora. I już samo to wystarczyło, że Will powziął postanowienie: jeśli kiedykolwiek zdecyduje się na traktor, to na pewno kupi go od tego młodzieńca.

Tymczasem sprzedawca dotarł do domu Shimfissle'ów, otrzepał się dokładnie, zanim zastukał do drzwi od podwórka. Usłyszał, jak ktoś przycisza radio, a po kilku sekundach otworzyła mu rosła kobieta ubrana w zwyczajną bawełnianą sukienkę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, pani Shimfissle, ale przysłał mnie tu pani mąż. Bo może mógłbym pożyczyć kawałek mydła i trochę wody. Ukurzyłem się na polu, rozmawiając z pani mężem.

Otworzyła siatkowe drzwi, chroniące przed owadami.

– Jasne, kochasiu, wejdź, zaraz ci dam mydełko i jakąś ściereczkę.

– Dziękuję pani, ale raczej nie będę wchodził, bo zabrudzę podłogę.

– No dobrze, to poczekaj chwilkę – odpowiedziała i wróciła po chwili, niosąc ręcznik i kawałek mydła ługowego domowej roboty na spodeczku. – Wejdz, jak skończysz, to ci naszykuję mrożonej herbaty, bo musisz usychać z pragnienia.

Podszedł do pompy na podwórku, podstawił głowę pod strumień wody, umył twarz i ręce oraz opłukał sobie nogi. Potem nałożył skarpetki i buty, a następnie wyciągnął z kieszeni czarny grzebyk finny Ace i przyczesał się. Wtedy zastukał ponownie do drzwi.

– Proszę pani, zwracam miszkę.

Otworzyła siatkowe drzwi i zobaczyła schludnego, odmienionego młodzieńca w białej koszuli.

– Wejdz, zrobię ci może kanapkę, co?

Wszedł do środka i wziął od niej mrożoną herbatę.

– Nie, dziękuję pani, to mi wystarczy. Jestem umówiony w mieście i mamy iść na lunch do lokalu, który nazywają cafeteria.

– To się nazywa mieć szczęście! Moje siostry, Ida i Gerta, opowiadały mi, że to wyjątkowe miejsce. Sama tam jeszcze nie byłam, ale wybiorę się, jak tylko namówię Willa, żeby się ubrał przyzwoicie. Uznaje tylko takie okazje jak pogrzeb, więc chyba dopiero jak ktoś umrze, będę mogła pójść tam coś zjeść. Ida mówi, że tam jest taki prosiaczek, co biega w kółko, więc nie przegap go.

– Dobrze, proszę pani. – Oddał jej opróżnioną szklankę i już miał wychodzić, kiedy przyszło mu do głowy, że skoro już tu jest, to nie zaszkodzi, jeśli zostawi swoją wizytówkę. – Pani Shimfissle, planuję ubiegać się kiedyś o urząd polityczny. Nie wiem jeszcze dokładnie, o jaki urząd, ale na wszelki wypadek już zostawię pani swoją wizytówkę. – Pogrzebał w kieszeniach, ale bez rezultatu. – Nie mogę znaleźć... W każdym razie, jeśli kiedyś zobaczy pani na ulotkach nazwisko Hamm Sparks i zagłosuje na mnie, to będę pani wdzięczny.

Zapamięta pani?

– Masz na imię Ham*? Jak wielkanocna wędlinia?

– Tak, proszę pani, tylko że trochę inaczej się pisze. Przez dwa „m”.

– Hamm – powtórzyła parę razy. – Dziwaczne, ale za to łatwiejsze do zapamiętania niż Billy czy John.

– Tak, proszę pani. Moja mamusia tak nazywała się z domu.

– Co ty powiesz. A moja matka z domu była Nuckle, a tata Knott, przez „K”, pochodził z Pensylwanii. Goście weselni uważali, że to śmieszne być na weselu Nuckle’a z Knottem**.

– Chyba tak – roześmiał się.

– Dobrze, że nie mieli chłopca i nie nazwali go Nuckle. Dopiero by się nazywał: Nuckle Knott. A w szkole mieliśmy ucznia, co miał na imię Lard***, tyle że się go pisało „Laird”, ale i tak przezywali go zawsze Crisco****. Chyba się nie ożenił, w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Sprzedawał guziki.

Hamm był już przy drzwiach. Wiedział z doświadczenia, że wiejskim

* Ham (ang.) – szynka.

** Nieprzetłumaczalna gra słów: Nuckle wymawia się tak samo jak knuckle, co znaczy „nóżka, udziec, golonka”; knot natomiast (ale pisany przez jedno „t”) oznacza węzeł, również małżeński.

*** Lard (ang.) – smalec. **** Crisco – handlowa nazwa smalcu

kobietom brakowało towarzystwa, dlatego mogły godzinami rozmawiać z całkiem obcą osobą.

– Dziękuję za wszystko, pani Shimfissle – powtórzył jeszcze i zbiegł po schodkach prowadzących na podwórko.

Wybiegła za nim, otwierając drzwi szeroko.

– Zaczekaj, zapomniałam, jak masz na nazwisko.

Odwrócił się.

– Sparks! – odkrzyknął. – Hamm Sparks!

– Sparks*? Jak iskry elektryczne?

– Tak, proszę pani – odpowiedział i pomachał jej na pożegnanie, zanim wsiadł do samochodu.

Spark (ang.) – iskra.

Ciocia Elner ratuje sytuację

Po wyjeździe sprzedawcy Elner zadzwoniła do swojej siostry Gerty Nordstrom i powiedziała jej, że spotkała mężczyznę o imieniu Hamm. Gerta roześmiała się:

– Pewnie następnym razem dowiem się, że spotkałaś kobietę o imieniu Egg*.

W rodzinie Knottów były trzy siostry: Elner, Gerta i najmłodsza Ida, matka Normy. Wychowywały się na farmie na Środkowym Zachodzie, o czym wszyscy doskonale wiedzieli, a mimo to Ida, od kiedy poślubiła Herberta Jenkinsa, nagle zaczęła czynić coraz częstsze aluzje, że pochodzi ze starego rodu z Południa, który zubożał na skutek nieszczęśliwych zdarzeń. Do 1948 roku owe wzmianki o arystokratycznym pochodzeniu Idy stały się tak częste, że sama zaczęła w to wierzyć. Urojenia na temat jej rodowodu przybrały na sile od czasów filmu *Przeminęło z wiatrem*, który przed dziewięcioma laty wyświetlano w Elmwood Theater i Ida obejrzała go dwanaście razy. Była przekonana, że rozpoznaje Tarę i że w związku z tym musiała kiedyś tu mieszkać w innym wcieleniu. Nie przyszło jej do głowy, że Tara to filmowa dekoracja, a jej ostatnio nabyty południowy akcent to zaledwie wąła imitacja młodej Angielki silącej się na południowy akcent. Jedyłą niepodrabianą Amerykanką z Południa była siedemdziesięcioośmioletnia wdowa, pani Mary Frances Samples, urodzona w Huntsville w Alabamie. Na nią film ten również wywarł wpływ, ale zgoła odmienny. Jakby nie dość jej było przegranej wojny domowej, uznała za osobistą klęskę fakt, że rodowita Alabamianka, prawdziwa córka Południa, niejaka Tallulah Bankhead, nie została obsadzona w roli Scarlett O'Hara, Mary Frances Samples przysięgła sobie do końca życia nie oglądać żadnego więcej filmu. Jedyłą pociechą, według jej słów, był fakt, że przynajmniej roli tej nie dostała jankeska.

Egg (ang.) – jajko.

Abstrahując od przykładu pani Samples, Ida powzięła mocne postanowienie, że jej córka, Norma, pójdzie do college'u gdzieś na głębokim Południu. Dla samej Idy było już za późno, by iść za głosem przeznaczenia i zostać córą Konfederacji, ale roiała sobie po cichu, że kiedy posunie się w latach, będzie odwiedzać Normę w jej rezydencji na plantacji gdzieś w Wirginii, wysiadywać na rozległym tarasie, a wszyscy będą wokół niej skakać. Norma jednak nie podzielała jej marzeń. Marzyła jedynie o tym, by poślubić Macky'ego Warrena, osiąść w Elmwood Springs i założyć rodzinę. Norma i Macky chodzili ze sobą od siódmej klasy. Nikt się nie zdziwił, kiedy w przeddzień studniówki Macky dał Normie pierścioneł zaręczynowy. Ale Ida zdecydowanie sprzeciwiła się ich planom. Nie chciała o niczym słyszeć.

– Lubie Macky'ego – argumentowała – ale żadna moja córka nie wyjdzie za syna handlarza żelastwem.

– Ja wyjdę! – oświadczyła Norma.

– Po moim trupie – zarzekła się Ida. – Zresztą za nikogo nie wyjdiesz, dopóki nie skończysz college’u.

Norma wzrokiem poszukała ratunku u ojca, ale on od lat nie sprzeciwiał się żonie.

Tragedia! Przez jakiś czas Norma i Macky stali się miejscowymi Romeem i Julią. Wszyscy zajęli stanowiska: po jednej stronie Ida, po drugiej reszta świata.

Mieszkająca za miastem ciocia Elner nic nie wiedziała o dramacie, jaki się rozgrywał w sercu siostrzenicy i jej chłopaka aż do dnia, w którym oboje przyjechali ją odwiedzić.

Norma była rozbita i cały czas bliska płaczu, Macky starał się trzymać fason.

– Ciociu Elner, przysięgam, że się zabiję, jeśli ona zmusi mnie, żebym poszła do tego głupiego college’u i zostawiła tu Macky’ego samego. Przecież ona chce nam zmarnować cztery lata dla jakichś swoich mrzonek.

Macky spojrział na Normę.

– Poszedłbym z nią, gdybym mógł, ale przecież nie mogę zostawić taty w takim stanie.

Muszę tu zostać i pomagać mu w prowadzeniu sklepu. – Potem zwrócił się do Elner i odważnie zapytał: – Co by pani powiedziała, pani Shimfissle, gdybyśmy obydwójce uciekli? Czy byłaby pani po naszej stronie?

Elner zaskoczyło to wyznanie.

– Macky, chyba nie mówisz tego poważnie. Odczekaj trochę, jestem pewna, że ona się oswoi z tą myślą.

– A jeśli nie? – chciała wiedzieć Norma.

– Wierzę, że tak będzie. Weźmy na wstrzymanie, a potem spokojnie zastanowimy się, co można zrobić w takiej sytuacji.

Przy pożegnaniu uśmiechnięta Elner machała im z podwórka. Kiedy znikli jej z oczu, weszła do domu i podniosła słuchawkę.

– Ida, tu mówi twoja siostra. Co to za historia z zabranianiem Normie poślubienia chłopaka Warrenów?

– Nie powiedziałam, że zabraniam. Powiedziałam tylko, że nie teraz.

– A to dlaczego?

– Ponieważ chcę, żeby najpierw poszła na studia, zdobyła wykształcenie i miała szansę poznać kogoś z lepszej rodziny. Wiem, że teraz nie jest do tego przekonana, ale na dłuższą metę lepiej dla niej będzie, jeśli przynajmniej poumawia się z kimś, kto jest jej równy... Może

ktoś ze starego rodu pochodzącego z Południa, z podobnym...

Elnier nie pozwoliła jej dokończyć.

– Och, przestań, Ido Mae. Przecież nie pochodzisz ze starego rodu z Południa. Twój dziadek był Niemcem, który w Pensylwanii hodował świnie, i wszyscy o tym wiedzą.

Pobłażałyśmy ci do tej pory z Gertą, bo śmieszyły nas te twoje fanaberie, więc przymykałyśmy na nie oko, ale nie zamierzam patrzeć spokojnie, jak rujnujesz Normie życie przez te swoje głupie wyobrażenia, masz więc natychmiast skończyć z tymi głupstwami. –

I rozłączyła się.

Ida została ze słuchawką w ręce i rozdziawionymi ustami. Elnier, najstarsza z sióstr, właściwie wychowywała ją po śmierci matki i rzadko używała wobec niej ostrzejszego tonu. I tym razem zrobiła to z wielkimi oporami, jednak, jak później mówiła, nieprzyjemne sytuacje wymagają nieprzyjemnych rozwiązań.

Następnego dnia Elnier, zaszyta gdzieś daleko w ogrodzie, gdzie zbierała fasolkę, usłyszała, jak dzwoni telefon. Ktoś, kto telefonował, nie zniechęcony długim czekaniem nie zamierzał zrezygnować z rozmowy, Elnier uznała więc, że lepiej będzie, jeśli wróci odebrać telefon, bo może akurat ktoś umarł. Kiedy podniosła słuchawkę, usłyszała na drugim końcu podniecony głos Normy.

– Ciociu Elnier!

– Jak się masz?

– Nie uwierzysz, co się stało. Mama powiedziała, że mogę wyjść za Macky'ego i nie muszę wyjeżdżać na studia.

Ciocia Elnier udała wielkie zdziwienie.

– No to... A co ona właściwie mówiła?

– Powiedziała, że jeśli chcę marnować sobie życie i odrzucić na zawsze wszelkie szansę na zdobycie szczęścia, to mam jej zgodę. Czy to nie cudowne?

– Kochanie, cieszę się tak samo jak ty – odrzekła, wysypując całą zawartość fartucha do miski. – Mówiłam ci, że ona musi się z tym oswoić.

– To prawda. Tak czy owak idziemy zaraz do kościoła ustalić datę ślubu.

– Dobrze. Lepiej działać szybko, bo jeszcze się rozmyśli. Powiedz Mackusiowi, jak bardzo jestem zadowolona, że to się tak ułożyło.

Po krótkiej chwili, kiedy fasolka już gotowała się na ogniu, zadzwonił znowu telefon.

Tym razem był to Macky.

– Dzwonie, pani Shimfissle, żeby podziękować. Wiem, że to dzięki pani matka Normy zmieniła zdanie.

– Nie, kochanie, ona ma swój rozum. Sama z siebie tak postanowiła.

– Mimo wszystko, nawet jeśli nic pani jej nie powiedziała, a wiem, że musiała pani coś zrobić, to i tak bardzo dziękuję. Pomyśleć, czego ta szalona kobieta by nie wymyśliła, żeby nas rozdzielić.

– Cieszę się, że wszystko jest na dobrej drodze... Posłuchaj, kochaneczku, wiem, że Ida przysporzyła tobie i Normie wiele zmartwień, ale postaraj się nie być dla niej zbyt surowy. Ona ma swoje wady, ale nie życzy nikomu źle. Po prostu okropnie jej zależy, żeby być kimś ważnym, ale nie ma pojęcia, jak do tego dojść.

– Spróbuję – obiecał Macky – ale to nie będzie łatwe.

– Dobrze, bo musisz pamiętać, że na dobre czy na złe, ona będzie twoją teściową.

Nastąpiła długa cisza, zanim Macky w końcu się pożegnał. Elnor zwróciła się do kota Sonny'ego ze słowami:

– O mały włos nie zepsułabym wszystkiego przez swój długi jęzor.

Niczego jednak nie zepsuła. Ślub odbył się. Ida robiła dobrą minę, w każdym razie do ich wyjazdu na miesiąc miodowy, ale nie potrafiła tak zupełnie rozstać się ze swoimi marzeniami.

Na wypadek – całkiem nieprawdopodobny – gdyby Macky nagle stał się bogatym człowiekiem, Ida oprócz innych prezentów dała nowożeńcom książkę Vivian Clipp Jak obchodzić się ze służbą w domu.

Postępy

Była dziewięta dwadzieścia osiem, kiedy Matka Smith wywołała z kuchni Dorothy, zajętą jeszcze ostatnim sprawdzaniem szczegółów audycji. Dorothy przebiegła przez hali z plikiem papierów w ręce, a za nią zdyszana Princess Mary Margaret, ujadając zapamiętale.

– Jestem! – zawołała, wbiegając do saloniku w ostatniej chwili. Pomachała na powitanie całkiem sporej gromadce słuchaczy. – Witajcie, przepraszam za spóźnienie – powiedziała, zasiadając za biurkiem, kiedy zapalało się czerwone światełko przy pierwszych dźwiękach sygnału audycji.

– Dzień dobry, witam was wszystkich... U nas znów piękny dzień, mam nadzieję, że u was jest tak samo ładnie... Zanim powiem cokolwiek więcej i jeśli moja wymowa wydaje

się wam dziś nieco dziwaczna, chcę was poinformować, że wcale nie golnęłam sobie kieliszka sherry. – W tym miejscu Matka Smith zagrała Ach, jaka jestem trzeźwa, co Dorothy skwitowała śmiechem. – Moja mowa brzmi trochę inaczej dlatego, że wybrałam się dziś rano do doktora Orra, który założył mi świeżą plombę, ale nowokaina jeszcze nie przestała działać. Po tym wyjaśnieniu przystępuję do dalszej części audycji.

Przed nami Dzień Niepodległości tuż-tuż, wzniesmy więc trzykrotne „hurra” dla czerwonych, białych i niebieskich. Glenn Warren z VFW zapowiada, że wszystkie potrawy, które przygotowują na Czwartego Lipca, będą właśnie w tych kolorach: czerwonym, białym i niebieskim – czerwone buraczki, białe kartofelki, mięso z kurczaków, wyłącznie białe, ciasto z niebieskimi jagódkami i lody waniliowe. Pozostaje nam mieć nadzieję, że arbuzy nie odmówią współpracy i zdążą dojrzeć na czerwono. Pamiętajcie też, że Pan z Kucykiem zawita do nas w przyszłą środę, jeżeli więc chcecie mieć zdjęcie waszych pociech, przyjdźcie między dwunastą a czwartą na wolny plac za kościołem.

Mamy przyjemność gościć dziś parę osób. – Dorothy posłała uśmiech swoim gościom. – Odwiedziła nas pani Ida Jenkins i siedem przyjezdnych członkiń Klubu Ogródkowego. Witajcie, panie. Jak wam wszystkim doskonale wiadomo, Ida jest matką naszej najmłodszej oblubieniczki, Normy Warren. A ponieważ sama jestem matką, powrócę do własnego ogródka, co mi, mam nadzieję, wybaczą. Wszyscy ogromnie się cieszymy z powodu przyjęcia Anny Lee do Szkoły Pielęgniarskiej w Chicago, Alma Mater naszej Ruby Robinson, która nie mniej od nas jest dumna z Anny Lee. Ależ ten czas szybko leci... Wydaje się, że zaledwie wczoraj Norma i Anna Lee szykowały się do swojego pierwszego popisu tanecznego. Mam wrażenie, że świat się zmienia na moich oczach. Doc właśnie wczoraj wieczorem powiedział mi, że za miastem szykują się dwie nowe inwestycje. Jedna to sklep z mrożonkami dla zmotoryzowanych, który ma być zbudowany w kształcie igloo z niedźwiedziem polarnym na szczycie. A druga inwestycja to motelik też dla zmotoryzowanych, o nazwie Wigwamowa Wioska, który składać się będzie z pojedynczych betonowych wigwamów. Jakby tego było mało, chodzą słuchy, że wkrótce powstanie u nas nowiutki motel Howarda Johnsona. Jeśli więc Elmwood Springs będzie się zmieniać w dotychczasowym tempie, to wkrótce nie rozpoznamy naszego miasteczka.

A skoro mowa o rozwoju, to muszę wam przypomnieć, że w okolicy Raymore i Harrisonville powstają filie Pogrzebów i Kompozycji Kwiatowych Cecila Figgsa, niedaleko was, otwarte przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, dla waszej wygody. Pamiętajcie, że

Cecil Figgs jest jedynym moim sponsorem, który nie życzy wam, byście zostali jego klientami, ale w razie potrzeby jest do waszych usług... A teraz Beatrice Woods zaśpiewa nam piosenkę, która jest bardzo a propos: Szykują się zmiany.

Dwie i pół minuty po reklamie Złotych Płatków Mieszanki Naleśnikowej i po podaniu przepisu na marynowane zielone pomidory Dorothy rzuciła okiem na zegar i westchnęła: – Ojej, widzę, że czas nas goni. Miałam jeszcze kilka komunikatów o narodzinach i zgonach, ale chyba narodziny i zgony zaczekają do poniedziałku. A zatem do usłyszenia mówią wam Sąsiadka Dorothy i Matka Smith, które jak zwykle z wielką przyjemnością gościły u was, więc do następnego razu. I nie zapomnijcie, zawsze jesteście mile widziani na First Avenue North 5348.

Dorothy, tak jak mówiła, była bardzo zadowolona, że Anna Lee wybrała szkołę pielęgniarstwa, ale jednocześnie z obawą myślała o perspektywie jej wyjazdu z domu tak daleko. Ostatnio wpatrywała się nieraz w milczeniu w Annę Lee, a wtedy jej oczy napełniały się łzami. Pomyśleć, że wkrótce córca wyfrunie z domu.

Rosnąca popularność gospel

Nie tylko Elmwood Springs gwałtownie się zmieniało, cały kraj zdawał się robić ogromny skok naprzód. Kupowano coraz więcej domów. Wszędzie powstawały nowe stacje radiowe. Codziennie sprzedawano nowe odbiorniki, samochody, pralki, lodówki i kuchenki. Asfaltowano kilometry nowych dróg, a na rynku jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiały się coraz to nowe wynalazki. Zmywarki elektryczne, otwieracze do konserw – wszystko działające na prąd, wystarczało tylko wcisnąć guzik. Przepowiadano, że do roku 1960 większość prac domowych przejmą roboty. Dorothy utrzymywała, że jeśli postęp dokonywać się będzie w takim tempie, wkrótce żony będą mogły pójść na zieloną trawkę. Nic jednak nie zmieniało się w takim tempie jak muzyka gospel. Podczas wojny, kiedy to tak wiele ludzi emigrowało z wiosek do miast, by pracować w fabrykach, muzyka ta wydoszła się z drewnianych wiejskich kościołków Południa i Środkowego Zachodu. Ludzie zmieniali swoje adresy z Alabamy, Georgii na Detroit i Chicago, ale ich upodobania muzyczne pozostawały te same. Chcieli słuchać tej samej muzyki, do której byli przyzwyczajeni, muzyka gospel więc zaczęła się pojawiać wszędzie na falach radiowych, zdobywając całkiem nowych słuchaczy na Północy. Wkrótce tłumy fanów gospel przestały

się mieścić w małych kościółkach i szkolnych aulach, przenosząc się do wielkich sal koncertowych w dużych miastach i do parków. Powstały setki nowych utworów. Nawet „Time” zaczął uznawać istnienie rozwijającej się i świetnie prosperującej Gospel Tin Pan Alley. Teraz już w całym kraju, jak również w Kanadzie, słuchano gospel, a niektóre zespoły stawały się sławne w ciągu zaledwie jednego dnia.

Bardziej znane zespoły były zapraszane na występy radiowe, miały swoje nagrania i jeździły czarnymi limuzynami na występy na żywo. Ale nie Oatmanowie. Oni nadal podróżowali tym samym gruchotem i śpiewali przeważnie w wiejskich kościołach i na całonocnych nabożeństwach. Od czasu swego duchowego ocalenia Ferris obawiał się, że rosnąca popularność gospel oddała ją od Kościoła, a niebezpiecznie przybliżyła do showbiznesu. Czuł, że zły duch wślizgnął się w rytmie bebop do gospel, odciągając dobrych chrześcijan od Pana i kusząc perspektywą dorobienia się szybkich pieniędzy. Prawił kazania każdemu, kto tylko zechciał go słuchać, że śpiewanie gospel w oderwaniu od kościoła jest grzechem. Po tym, jak stracił brata, którego znęciło śpiewanie country po knajpach, obawiał się, że jego chłopcy, Bervin i Vernon, może też zechce uciec do świata. Zgodził się, by ich rodzinny zespół zaczął występować w radiu, ale w tych programach, które nadają tylko gospel.

Jedną z takich rozgłośni była stacja KMA w Shenandoah w Iowa. Tam też dwa razy dziennie występował z piętnastominutowymi programami zespół Blackwood Brothers. Należący do tego zespołu pianista, Cat Freeman, był starym przyjacielem Ferrisa. Cat wraz z siostrą Vestal Goodman (obecnie śpiewającą z zespołem Happy Goodmans) dorastali wspólnie w północnej Alabamie i jako dzieci zbierali razem bawełnę, było to więc szczęśliwe spotkanie po latach. Jak się okazało, było to również szczęśliwe ponowne spotkanie Dorothy z rodziną Oatmanów. Podczas tego weekendu Dorothy przebywała w Iowa z wizytą u swojej radiowej koleżanki, Evelyn Birkby, gdzie brała też udział w przeglądzie miejscowych dokonań w Mayfair Auditorium w Shenandoah.

Dorothy właśnie skończyła swoją pogadankę na temat ozdabiania ciast na każdą okazję i zza kulis obserwowała Adellę Shoemaker, która opowiadała i demonstrowała, jak wybrać odpowiednią tapetę, kiedy ktoś przyniósł jej liścik.

Droga Pani Smith!

Zobaczyłam w KMA afisz, że Pani tu jest, tak samo jak my. Bardzo bym chciała pogadać

z Panią po programie, jeśli znajdzie Pani trochę czasu.

Minnie Oatman

Dorothy natychmiast dopisała pod spodem: „To świetnie! Spotkajmy się przy wyjściu po zakończeniu programu. Dorothy”. I oddała liścik pani, która wręczyła jej kartkę.

Dorothy była uszczęśliwiona perspektywą spotkania Minnie Oatman, mając przy tym nadzieję, że zobaczy też Betty Raye. Tyle razy myślała o tej dziewczynie, zastanawiając się, jak się jej powodzi. Po programie jednak spotkała przy wyjściu samą Minnie.

Obie panie poszły do małej kafejki po przeciwnej stronie ulicy i usiadły w łoży, do której Minnie ledwo się wcisnęła. Po omówieniu wszystkich miejsc, które odwiedzili Oatmanowie, Dorothy zadała pytanie nurtujące ją od samego początku.

– A co słyhać u Betty Raye?

Na twarzy Minnie pojawił się wyraz zakłopotania. Zawahała się przez moment, po czym wyznała:

– Nie najlepiej. Szczerze mówiąc, pani Smith, właśnie na ten temat chciałam z panią porozmawiać. Ona nawet nie wie, że ja tu jestem, ale wy wszyscy byliście dla niej tacy dobrzy, a pani sama ma w domu córkę, to pomyślałam sobie, że pani mi coś doradzi. Bo ja się o nią zamartwiam.

– Ojej. Co takiego się dzieje?

– Może jeszcze nic się nie stało, aleja mam teraz okropny okres. Obaj chłopcy są nastawieni buntowniczo, Floyd ma jeszcze większego hopla na punkcie bab niż zwykle, a u Ferrisa też nie wszystko jest po kolei.

– Cóż mu się stało? – wystraszyła się Dorothy.

– On co chwila jest nawiedzony, ale teraz to chyba jeszcze bardziej niż zwykle.

Powiadam pani, on jest o krok od oswojenia węża, więc nie mogę spuścić go z oka, bo coś się może wydarzyć. Wie pani, wszyscy mężczyźni z Sand Mountain są tacy sami. Trzech z nich już nie żyje, zmarli od ukąszenia węża. – Westchnęła ciężko. – Ale to wyłącznie moja wina.

Mamusia mnie ostrzegła, żebym nie wychodziła za faceta z Sand Mountain, ale nikt mi nie pasował, dopóki nie poznałam Ferrisa Oatmana, więc jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Mam za swoje. Ale nie mogę przecież troszczyć się o niego i jednocześnie o całą rodzinę.

Betty Raye z kolei wchodzi w wiek, że każdy chce się z nią umawiać. Boję się, że za moimi plecami jakiś napalony młody gospelak, których pełno tu się kręci, weźmie i ucieknie z nią.

– Rozumiem. A co ona na to?

– Teraz to ona w ogóle nie zwraca na nich uwagi. Tylko by siedziała gdzieś w kącie i czytała książki. Tak sobie zepsuła oczy, że musieliśmy kupić jej okulary. Ona tak nienawidzi tego wędrowania z miejsca na miejsce, że boję się, że dla świętego spokoju, aby tylko już nigdzie nie jeździć, wyjdzie za pierwszego lepszego.

– Naprawdę tak pani myśli?

– Jeśli choć trochę jest do mnie podobna, to tak zrobi, a my nie mamy pieniędzy, żeby nająć kogoś na jej miejsce, och, jestem już u kresu wytrzymałości.

– Rozumiem, że się pani martwi. – Na twarzy Dorothy też malowało się zatroskanie.

Minnie nachyliła się w stronę Dorothy i wyznała:

– Ja wiem, pani Smith, że nie jestem specjalnie mądra. Słabe mam wykształcenie albo raczej żadne. Niech mnie pani źle nie zrozumie, kocham ich nad życie, ale Bóg mi świadkiem, że Ferris i chłopcy, tak samo jak Floyd, nie są specjalnie lotni. My, ludzie prości, nie mamy do życia pretensji. Ale Betty Raye jest inna. Ona jest od nas mądrzejsza. Jej się wydaje, że ja nie dostrzegam, ale przecież widzę, jak ona czyta książki, bo chce się czegoś nauczyć. Robiłam, co mogłam, żeby ona została u mojej siostry, ale tam jest huk dzieciaków, a to jej działało na nerwy. Ale jeśli czegoś z tym nie zrobię, to może mi pani wierzyć, pani Smith, ona skończy tak jak ja i będzie ciemna jak tabaka w rogu do końca życia.

Nagle w głowie Dorothy zaświtał pomysł, żeby dokonać pewnej rozszady, na razie jednak postanowiła nic o tym nie wspominać. Usiadła wygodniej.

– Minnie, nie wiem jeszcze, czy to się może udać, ale może zadzwoni pani do mnie w przyszłym tygodniu?

Minnie obiecała, że zadzwoni, gdy tylko dotrą do jakiegoś miejsca, gdzie będzie telefon, i zaczęła przeciskać się do wyjścia.

Następnego dnia Dorothy wyruszyła w drogę powrotną do Elmwood Springs,

Oatmanowie natomiast wyjechali z Iowa wczesnym rankiem, zdążając wprost do Nashville w Tennessee, znanym jako wylęgarnia kaznodziejów, gdzie mieli wystąpić u Wally'ego Fawlera podczas całonocnych śpiewów w Ryman Auditorium. Minnie modliła się przez całą drogę, żeby tylko Ferris nie wydzierał się w kulisach i nie prawił wszystkim kazania, że zespoły gospel się sprzedają, oraz żeby Floyd nie uganiał się znowu za siostrami Carter. Ostatnim razem, kiedy śpiewali razem z Carterami, Chester, kukła brzuchomówcy, wyskoczył z jakąś propozycją wobec June, której to się nie podobało, więc zerwała mu

z głowy peruczkę. Musieli potem wydać dwadzieścia osiem dolarów na nową.

Przez całą drogę powrotną Dorothy miały sprzeczne uczucia. Chciała pomóc Betty Raye, ale też nie chciała tracić innej dziewczyny, która była jej bliska. Z drugiej strony jednak wiedziała, że ta sama osoba marzyła o podróżach.

No cóż, próbowała jakoś się przekonać, zapytać nie zaszkodzi. Pierwszego dnia po powrocie do domu, kiedy siedziały obie z Beatrice w kuchni, odważyła się poruszyć ten temat.

– Zgadnij, kogo spotkałam w Iowa?

– Nie wiem.

– A pamiętasz Oatmanów?

Beatrice uśmiechnęła się i poklepała swego psa przewodnika, Honeya.

– Tak, pamiętam.

– A Betty Raye?

Skinęła głową.

– Tak... Tę dziewczynkę, która tu mieszkała. Co u niej?

Dorothy odchrząknęła.

– Wygląda na to, że nie najlepiej. Nie, właściwie to niedobrze.

– O, to szkoda.

– Tak. Jej matka mówiła, że ona bardzo źle znosi podróżowanie. Wolałaby zrobić przerwę na jakiś czas i może pójść do szkoły.

– Naprawdę?

– Tak. Jej matka powiedziała mi, że chciałyby, aby Betty Raye mogła skończyć przynajmniej szkołę średnią.

Beatrice kiwnęła głową, ale się nie odezwała.

– Ale – Dorothy zawiesiła głos – nie wydaje mi się, żeby to mogło dojść od skutku. – Zamilkła na chwilę.

– Dlaczego nie? – zapytała Beatrice.

Dorothy miała nadzieję, że Beatrice zada to pytanie.

– Bo gdyby ona miała przestać śpiewać w zespole, to musieliby znaleźć kogoś na jej miejsce.

– Och. – Beatrice zaczęła energiczniej poklepywać psa po głowie. – Naprawdę?

Dorothy wsypała do swojej filiżanki kawy dwie łyżeczki cukru, które zaczęła starannie mieszać, by dać Beatrice więcej czasu do namysłu.

– To by się oczywiście wiązało z częstym podróżowaniem tego kogoś, przenoszeniem się z miejsca na miejsce...

– Naprawdę?

– Tak. Nic jeszcze nie wspominałam Minnie... Ale czy ty byś nie była czymś takim zainteresowana?

Beatrice poderwała się.

– Och, Dorothy, myślisz, że oni by mnie przyjęli? Znam wszystkie pieśni, mogłabym się nauczyć śpiewania na głosy...

– Otóż Minnie ma za parę dni do mnie zadzwonić, oczywiście mogę ją o to zapytać, jeśli chcesz. Ale uprzedzam cię, że to nie jest popłatne zajęcie.

– Wcale mi na tym nie zależy. A jeśli im przeszkadza, że jestem niewidoma, powiedz im, że mam psa przewodnika. Powiedz, że dajemy sobie radę. Prawie wszystko potrafię zrobić. Nie będę ciężarem. Powiedz, że mogę śpiewać za darmo.

Żadna z nich nie mogła usiedzieć na miejscu, dopóki Minnie nie zadzwoniła, tak jak obiecała. Dorothy powiedziała, że Beatrice jest gotowa wyruszyć z nimi w drogę, jeśli zechcą ją przyjąć na miejsce Betty Raye. Minnie odrzekła, że musi porozmawiać o tym z Ferrisem i że potem oddzwoni.

Po godzinie telefon ponownie się odezwał.

– Pani Smith, niech pani powie tej dziewczynie, że jeśli z nami wytrzyma, to bardzo chętnie ją przyjmiemy. Niech pani nie odkłada słuchawki, jeszcze podejdzie Betty Raye. Czekając, aż Betty Raye podejdzie do telefonu, Dorothy zawołała do siedzącej niecierpliwie w kuchni Beatrice:

– Chcą cię, kochaneczko.

Wtedy odezwała się Betty Raye:

– Halo?

– Betty Raye? Czy mama ci o wszystkim powiedziała?

– Tak, proszę pani.

– Zgadzasz się? Wiesz, że naprawdę chcielibyśmy, żebyś do nas przyjechała.

Po dłuższym milczeniu Betty Raye odpowiedziała:

– Nawet pani nie wie, jak bardzo chcę przyjechać.

To była najdłuższa wypowiedź, jaką Dorothy usłyszała od Betty Raye przez cały czas ich znajomości.

Zamartwiając się od samego początku, czy dobrze robi, w tym momencie Dorothy nabrała pewności, że postąpiła słusznie.

Znów odezwała się Minnie:

– Niech pani powie Beatrice, że przyjedziemy po nią za kilka tygodni. Jak słowo daje, kiedy człowiek myśli, że już nie ma wyjścia, dobry Bóg zsyła mu anioła. Niech panią Bóg błogosławi, pani Smith. Pani to jest święta. Nie ma pani pojęcia, jaki ciężar spadł mi z serca. Dorothy odłożyła słuchawkę i wróciła do kuchni, ale Beatrice już tam nie było. Poszła do swojego pokoju się pakować.

Wymiana

Ferris Oatman wcale nie był zachwycony perspektywą utraty Betty Raye i rozbijania rodziny, ale po raz pierwszy od ślubu z nim Minnie uparła się.

– Ferris, moje dziecko nie chce dłużej żyć w poniewierce, chce pójść do szkoły i pójdzie.

– Po moim trupie – zarzekał się.

– A choćby i po twoim trupie, jeśli to konieczne.

Ferris domyślił się z jej spojrzenia, że na nic zda się jego opór, i po dwóch tygodniach Oatmanowie zahaczyli o Missouri w drodze do Arkansas, żeby zostawić Betty Raye oraz zabrać Beatrice Woods i jej psa. Kiedy nadjechali, Minnie spuściła szybę i powiedziała:

– Pani Smith, nie mam nawet tyle czasu, by wyjść i panią uściskać, bo już złapaliśmy opóźnienie. Przed ósmą powinniśmy dojechać do Little Rock, ale będę się za panią modliła przez całą drogę.

Otworzyły się tylne drzwi, przez które wyszła Betty Raye, a weszła Beatrice z Honey.

Na przednim siedzeniu siedział Floyd obok Ferrisa i Minnie. Gdy tylko ruszyli, Chester, kukła cytująca Pismo Święte, obrócił się, popatrzył na nią, po czym unosząc i poruszając śmiesznie brwiami, zauważył:

– Ho, ho, ho, hej ty tam, jak się masz, przystojniaczko?

Beatrice odpowiedziała bez namysłu:

– A jak ty się masz, przystojniaczku?

Żegnali ich ze łzami w oczach: Matka Smith, Dorothy, Bobby, Anna Lee i siostra Ruby

Robinson. Ale Beatrice Woods nie oglądała się wstecz. Nie zrobiłaby tego, nawet gdyby widziała. Zbyt była przejęta tym, co ją czeka. Wreszcie wyruszyła w świat, w siną dal, het, gdzieś przed siebie.

Betty Raye niewiele się zmieniła od ostatniego spotkania. Trochę tylko urosła i zaczęła nosić okulary. Ktoś musiał je za nią wybrać. Oprawki stanowiły niezbyt fortunną kombinację czarnego plastiku i metalowej obwódki i bynajmniej nie zdołały młodej dziewczyny. Gdy wchodzili do domu, Dorothy postanowiła, że pierwszą rzeczą, jaką sprawi biedactwu, będzie para nowych okularów.

Wszyscy cieszyli się, że Betty Raye znów zamieszka u nich, mimo że z pewnością będzie im brakowało Beatrice. Szczególnie radowała się Anna Lee, która przez całe lato była w melancholijnym nastroju. Oprócz tego, że niepokoiła się z lekka zbliżającym się wyjazdem z domu, czuła się też trochę opuszczona przez swoje obie przyjaciółki, tak że po raz pierwszy w życiu zaznała samotności. Patsy Marie zaczęła pracować w pełnym wymiarze czasu w pralni swojego ojca, a Norma wyszła za męża. I żeby nie wiem jak zarzekały się, że między nimi nic się nie zmieni, to jednak się zmieniło. To już nie to, co przedtem, kiedy mogła o dowolnej porze zadzwonić do przyjaciółki i wyciągnąć ją w różne miejsca. Norma była teraz mężatką, a to wiele zmieniało. Trudno o to kogokolwiek winić. Wokół Anny Lee nadal kręciło się mnóstwo chłopaków, ale brakowało jej koleżanki, z którą mogłaby omawiać wiele spraw.

Teraz liczyły się inne rzeczy.

Pierwszego wieczoru Anna Lee poszła do pokoju Betty Raye, by popatrzeć, jak tamta się rozpakowuje.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę z twojego przyjazdu – powiedziała całkiem szczerze. – Miałam wyrzuty sumienia, że wyjeżdżam tak daleko i zostawiam mamę z samym tylko Bobbym. Nawet myślałam już, żeby zrezygnować. Ale teraz, kiedy ty tu jesteś, wiem, że nie będzie się czuła tak samotna i zmartwiona.

Betty Raye nadal krępowała się Anny Lee, więc mruknęła tylko „dziękuję”.

– Wiesz, jak się tak dobrze zastanowić, to można by pomyśleć, że jesteś moją młodszą siostrą, która zostaje w domu. – Westchnęła. – Chciałabym mieć siostrę. Mama tak bardzo na mnie polega, że czasem wydaje się to trudne do udźwignięcia... A skoro jesteśmy jak siostry, to może byś się zastanowiła nad tym, by się przenieść do mojego pokoju, kiedy wyjadę. To dla mnie ważne.

– Naprawdę?

– Tak, wiem też, że mamie by się to podobało. Ją trochę krępuje, że ty mieszkasz w tej ciupce. Nie w tym rzecz, by ten pokój miał być brzydki czy niewygodny – dodała pospiesznie – ale gdybyś przeniosła się do mojego pokoju, w większym stopniu byśmy się czuły jak siostry. – Betty Raye wyjęła z walizki drugą, szytą ręcznie sukienkę. – Wiesz co, chyba nosimy ten sam rozmiar. Ja mam całą szafę ubrań. I tak wszystkich nie wezmę, większość moich sukienek będzie wisiała w szafie, więc możesz nosić, co chcesz. I tak miałam zamiar je oddać. Chyba że masz coś przeciwko używanym rzeczom. Ale te są w idealnym stanie.

Betty Raye, która całe życie nosiła używane rzeczy, odpowiedziała:

– Nie, nie mam nic przeciwko.

W ciągu następnych tygodni Anna Lee spędzała mnóstwo czasu z Betty Raye i zmusiła ją do przymierzenia wszystkich sukienek, które wisiały w szafie. Pewnego dnia Anna Lee zebrała się na odwagę i zadała wreszcie pytanie, które od dawna ją nurtowało:

– Czy pozwoliłabyś mi poeksperymentować z twoimi włosami?

Kiedy Anna Lee skończyła „eksperymentowanie” z włosami Betty Raye, pociągnęła jeszcze jej usta czerwoną szminką.

– No, patrz, czy tak nie jest lepiej?

Betty Raye spojrzała do lustra, ale bez okularów nic nie widziała, mimo to powiedziała, że tak. Następną rzeczą, jaką Anna Lee zrobiła, było pomalowanie paznokci Betty Raye jaskrawoczerwonym lakierem. Betty Raye nadal krępowała się cokolwiek powiedzieć, ale ktoś mógłby sprzeciwić się Annie Lee, pięknie wyglądającej w różowym sweterku z angory i z różowymi perełkami. Betty Raye dawała robić ze sobą, co tylko Anna Lee zapragnęła.

Anna Lee zabierała ją codziennie do miasta na zakupy, co trwało całe godziny.

Zaabsorbowana zakupami u Braci Morgan kompletowała nową garderobę na nowy rok akademicki i przymierzała wszystko – czasem nawet po dwa razy – kapelusze, buty, sukienki i spódnice, zanim ostatecznie zdecydowała się na ich zakup.

Na początku Dorothy cieszyła się, że obie dziewczyny spędzają razem tyle czasu, ale wkrótce zaczęła się trochę niepokoić. Napomknęła o tym Matce Smith.

– Anna Lee wszędzie ciągnie za sobą Betty Raye, jakby to była jej lalka Anka Szmacianka. – I rzeczywiście tak to wyglądało.

Któregoś popołudnia Anna Lee powiedziała do Betty Raye:

– Wiem, że jesteś naprawdę pobożna, ale gdybyś poszła do kina, to czy popełniłabyś

grzech? Ginger Rogers pochodzi z Missouri, więc bardzo bym chciała obejrzeć znów Kitty Foyle. Może by ci nie zaszkodziło raz się wybrać do kina?

Betty Raye zastanowiła się.

– Nie wiem. Nigdy nie byłam w kinie.

Na wieść o tym Dorothy zaprotestowała:

– Nie chciałabym, Anno Lee, żebyś nakłaniała Betty Raye do rzeczy, których ona może nie życzyć sobie. – Anna Lee zajęta splataniem włosów Betty Raye w mysie ogonki odrzekła z niewinną miną: – Ja wcale jej do niczego nie nakłaniam. Ona przecież chce iść, prawda?

– Tak – odpowiedziała Betty Raye usadowiona przy toalecie. Następnego dnia obejrzała film Kitty Foyle, który jej się bardzo podobał.

W tamten piątek Dorothy zabrała je obie samochodem do Poplar Bluff po nowe okulary.

Po powrocie do domu zwierzyła się Matce Smith:

– Szkoda, że nie pojechałaś z nami. Byłabyś naprawdę dumna z Anny Lee. Tak się troskliwie zajmowała Betty Raye, jakby była jej matką.

– Kupiłaś jej nowe okulary? – zapytała Matka Smith.

– Wreszcie – odrzekła Dorothy, moszcząc się na kanapie. – Mają być gotowe w przyszłym tygodniu. Z niebieskiego plastiku, z czymś w rodzaju skrzydełek na końcach. Wprawdzie ja bym czegoś takiego nie wybrała, ale wybrała je Anna Lee i w końcu te mają być. Betty Raye to słodkie stworzonko, siedziała cierpliwie i bez słowa sprzeciwu przymierzała wszystkie pary, jakie zносиła jej Anna Lee z całego sklepu.

Rzeczywiście Anna Lee dwoiła się i troiła, żeby przekształcić Betty Raye na wzór i podobieństwo swoje. Gdyby dać jej jeszcze parę tygodni, pewnie nauczyłaby Betty Raye jazzowej trzęsionki. Ale wkrótce nadszedł dzień, w którym trzeba było wyruszyć do szkoły pielęgniarskiej. Wszyscy poszli odprowadzić ją na stację i pożegnać. Po drodze Dorothy była nienaturalnie rozmowna i starała się być dzielna, ale w ostatniej chwili, kiedy Anna Lee, wyglądająca tak elegancko i dorośle w nowym brązowym kostiumiku i odpowiednio dobranym kapelusiku, odwróciła się i pomachała na pożegnanie, Dorothy nie mogła już się dłużej opanować. Przykryła ręką usta, by nie zdradzić się, że płacze, ale kiedy pociąg zniknął, załamała się zupełnie. Doc otoczył ją ramieniem.

– No, daj spokój – zaczął ją pocieszać. – Przecież to niedługo. Wróci tu na Boże Narodzenie.

– Wiem – odpowiedziała Dorothy. – Ale ona wydawała mi się taka malutka w tym

wielkim pociągu. – I znowu się rozkleiła. Wiedziała, że to głupie, ale nic nie mogła na to poradzić. Tak samo odczuwała ból rozstania, jak przed dwunastoma laty, kiedy odprowadzała Annę Lee po raz pierwszy do szkoły.

Bobby'emu też było smutno, że Anna Lee odjeżdża, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć, więc rzucił tylko:

– Strasznie głupi kapelusz miała na głowie.

Po powrocie do domu Dorothy położyła się do łóżka, Bobby poszedł do swojego pokoju słuchać radia, a Matka Smith pomogła Betty zgodnie z obietnicą przenieść rzeczy do pokoju Anny Lee. Wieszając sukienki w szafie, Matka Smith wyznała:

– Nawet nie wiesz, Betty Raye, jakie to błogosławieństwo dla Dorothy, że teraz jesteś z nami. Gdyby nie ty, wolę sobie nawet nie wyobrażać, co by ona zrobiła. Straciła już jedno dziecko, więc zdaję sobie sprawę, jakie to bolesne dla niej tracić drugie, choćby tylko na krótko.

Doc i Jimmy siedzieli na ganku i prawie się nie odzywali. Wreszcie po dłuższej chwili milczenia Doc wyrzucił z siebie:

– Wolałbym, żeby Dorothy nie zachowywała się tak, jakby to był koniec świata. Na litość boską, przecież ona przyjedzie do nas na Boże Narodzenie. – Popatrzył na Jimmy'ego i dodał jeszcze: – Te kobiety... Tak się zachowują, że można by pomyśleć, że to nie chodzi o parę miesięcy, ale o dziesięć lat.

– Aha, one się strasznie przejmują.

Obaj mężczyźni siedzieli jeszcze w ciemności i palili, udając, że takie uczucia, jak smutek z powodu wyjazdu Anny Lee, nie mają do nich dostępu. Jednak nie całkiem tak było.

Anna Lee siedziała już w pociągu około dwóch godzin, kiedy zauważyła kopertę, którą Doc wsunął jej do torebki, kiedy Dorothy nie patrzyła. W środku znajdowała się półdolarówka i krótki liścik:

Jeśli z jakiegoś powodu nie będzie Ci się tam podobało, zadzwoń do mnie, a ja przyjadę i Cię zabiorę.

Tata

Doc nie wiedział o tym, ale Jimmy wsunął jej przed odjazdem do kieszeni płaszcza

dwadzieścia dolarów.

– To na drobne wydatki – powiedział.

Chwała na drogę

Drugą parą rodziców, którym przyszło zmagać się z rozstaniem z córką, byli Oatmanowie, Minnie i Ferris. Stale zajęci, od kiedy wyjechali z Elmwood Springs, najpierw spokojnie przeciwiczyli wszystkie pieśni z Beatrice, a potem podróżowali bez przerwy. Strasznie brakowało im Betty Raye. Ferris martwił się, że bez codziennych modlitw i czytania Biblii może oddalić się od Boga i zabłądzić na krętych ścieżkach tego świata. Minnie, przeciwnie, zależało, by Betty Raye spodobał się nowy świat i by spróbowała znaleźć w nim szczęście. Przed rozstaniem powiedziała córce po cichu, tak by Ferris tego nie słyszał, żeby nie przejmowała się zbytnio ideałami zielonoświątkowców wyznawanymi przez ojca. Ferris wpadłby w szal, gdyby wiedział, że pomalowała usta i poszła na film z Ginger Rogers. Ale tak jak powiedziała Minnie do Betty Raye przez telefon:

– Dzieciaku, czego ojciec nie widzi, to jego sercu nie żal.

Ich życie też zaczęło się zmieniać równie szybko jak życie Betty Raye, i to już od pierwszego dnia, kiedy przybyli do Little Rock na całonocne śpiewy. Kiedy dotarli do audytorium, wszystkie pozostałe zespoły już tam były, przebrane i gotowe do występu – The Spears, Happy Goodmans, Lester-Stamps Quartet, John Daniels Quartet, Melody Masters, Dixie Boys, Sunny South Quartet. Za kulisami członkowie tych zespołów witali się wzajemnie, wypytując, co u innych słyhać, ciesząc się z ponownego spotkania, uaktualniając swoją wiedzę o sobie o nowe przypadki zawałów, ataków woreczka żółciowego i przypadłości pęcherza, jakie im się od ostatniego spotkania przytrafiły. Wymieniali też informacje o tym, kto jak wielkie miał kłopoty z IRS*, co było odwiecznym proble-

* IRS – Internal Revenue Service, Wydział Departamentu Skarbu, zajmujący się podatkami i kontrolą zeznań podatkowych.

mem zespołów gospel, szczególnie jak się wydawało, nękanym przez urzędy skarbowe, domagające się od nich wygórowanych podatków od dochodu.

Pozostawało zaledwie pół godziny do rozpoczęcia programu, więc Minnie i Beatrice

poszły wprost do garderoby, podczas gdy chłopcy przebierali się w męskich szatniach na dole. Floyd odpowiadał za cały system nagłośnienia, uwijał się więc, wyciągając urządzenia z samochodu, gotów już je zamontować. We wszystkich pomieszczeniach panowała wrzawa, jak zwykle przed takimi imprezami, do audytorium zaczęły napływać setki słuchaczy i uczestników. Taki spęd gwiazd sprawiał, że Oatmanowie stawali się tylko jednymi z wielu. Nie wyglądało to na najlepszy moment do zaprezentowania nowego członka zespołu, ale nie było innego wyjścia. Musieli zostawić Betty Raye w Elmwood Springs na jakiś czas przed rozpoczęciem roku szkolnego, a poza tym potrzebowali pieniędzy. Siedemdziesiąt pięć dolarów, jakie im dawano, to była jak dotąd najwyższa gaża. Mieli wystąpić jako trzeci zespół, tuż po Dixie Boys. Kiedy nadeszła pora, Minnie zaprowadziła Beatrice i Honey za kulisy. Słyszając pełen podniecenia gwar zarówno za sceną, jak i na widowni, Beatrice schwyciła Minnie za ramię i mocno ścisnęła. Minnie poklepała ją uspokajająco po ręce:

– Nic się nie bój, serdeńko, jestem tu z tobą.

– Och, Minnie – odpowiedziała Beatrice. – Ja się wcale nie boję, po prostu nie mogę się doczekać naszego występu.

Kiedy Dixie Boys skończyli swój ostatni numer: Wiele smutków i radości temu, sala w dalszym ciągu napelniała się ludźmi, którzy spóźniali się, wiedząc, że najlepsze zespoły wystąpią dopiero po przerwie. Kiedy Hovie Lister zapowiedział występ Oatmanów, nadal kilkaset osób wędrowało po widowni w poszukiwaniu dobrego miejsca.

Ci nieliczni, którzy zwrócili uwagę na wyjście Oatmanów, zauważyli ze zdziwieniem, że na scenę wchodzi też pies, a za nim drobna dziewczyna w ciemnych okularach. Zastanawiali się, co to ma znaczyć. Minnie usiadła, wpatrzyła się niewidzącym wzrokiem przed siebie, jak to zazwyczaj czyniła, po czym zaczęła wybijać rytm nogą, aż wreszcie, kiedy wprawiła się już w odpowiedni nastrój, weszła ostro ze swym pierwszym numerem: Chwała, chwała na drogą. Wtedy nastąpiło coś nieoczekiwanego, co zaskoczyło samych Oatmanów. Nigdy dotąd nie słyszeli takiego głosu, który by niósł się tak wysoko i przenikał słuchaczy na wskroś. Minnie natychmiast się zorientowała, że jest w tym coś wyjątkowego. Tak samo czuli pozostali słuchacze. Nagle ci, którzy kręcili się po widowni w poszukiwaniu lepszych miejsc, zatrzymali się i usiedli, by słuchać w skupieniu. Zaraz też opustoszały garderoby, a członkowie pozostałych zespołów zgromadzili się w kulisach, słuchając w zadziwieniu. Sam głos Beatrice to było coś szczególnego, podobnie też głos Minnie. Betty Raye śpiewała miękko i słodko, natomiast czysty i mocny sopran Beatrice tworzył idealne

połączenie z równie silnym tenorem Minnie. Do tego jeszcze głęboki bas Ferrisa i alt chłopców w sumie dawały nadzwyczajny efekt, dla którego publiczność oszalała. Po każdej pieśni zrywała się na nogi, biła brawo i gotowała im owację. Kiedy skończyli ostatnią pieśń Coraz słodszy z każdym dniem, ich stawka za występ skoczyła z siedemdziesięciu pięciu dolarów na sto pięćdziesiąt, odtąd też nigdy już nie występowali przed przerwą.

Jak zauważył potem jeden z Dixie Boys:

– Ci Oatmanowie zdobyli kopalnię złota w tej niewidomej dziewczusce.

Podczas gdy Betty Raye zmieniała swój wygląd i wchodziła w nowe życie, Oatmanowie startowali z nowym brzmieniem.

Tylko Minnie nie wydawała się tym zaskoczona. Jak często powiadała i mocno w to wierzyła: „Bóg nigdy nie zamyka wszystkich drzwi, nie otwierając nowych”.

Jimmy i Trolejbusowa Gospoda

Po tym, jak Anna Lee wyjechała do college’u, Dorothy nie odzyskała spokoju, dopóki nie otrzymała od córki wiadomości telefonicznej. Wiedząc, że Anna Lee dotarła szczęśliwie na miejsce i że wszystko jest w najlepszym porządku, Dorothy mogła odetchnąć z ulgą. Wkrótce znów była tą samą Dorothy, zabieganą i zadowoloną, że ma pełne ręce roboty, szykując Betty Raye do szkoły, sprawdzając, czy ma potrzebne książki i czy wszystko jest odpowiednio przygotowane. Parę tygodni wcześniej Betty Raye przeszła testy sprawdzające, w których wypadła nadszpodziewanie dobrze, mogła więc zostać przyjęta do klasy gimnazjalnej. Prawie jakby Anna Lee była na powrót w domu. Będą więc znów wspólnie przechodziły przez starsze klasy, podobnie przygotowując się do czekających je radosnych wydarzeń.

Natomiast Bobby, biedaczysko, miał przeczłagać się ponownie przez szóstą klasę.

W wyniku cichego porozumienia między jego rodzicami a panną Henderson zdecydowano, że wobec bardzo słabych ocen, zwłaszcza z matematyki i angielskiej gramatyki, najlepiej będzie, jeśli powtórzy on klasę, gdyż w przeciwnym razie zaległości staną się nie do odrobienia w starszych klasach. Bobby miał więc przynajmniej dwa powody, by czuć się nieszczęśliwie podczas tych wakacji: jeden to powtarzanie klasy, a drugi – niemożność sforsowania wieży ciśnienia. Przed nastaniem kolejnych ferii Bobby mógł wyglądać jedynie sobót, kiedy to w Elmwood Springs Theater wyświetlano dwa filmy, po których mógł iść do Trolejbusowej Gospody. Przynajmniej to mu zostało.

Trolejbusowa Gospoda mieściła się w okrągłym, białym budyńeczku z luksferami po obu stronach. Bobby uwielbiał przychodzić tu po kinie, siadać na wysokim stołku przy kontuarze od strony ulicy, zajadać hot doga przyprawianego chilli, popijać pomarańczową lemoniadą i oglądać świat z tej właśnie perspektywy. Jimmy widział, jak Bobby siedzi tam i kiwa nogą, za każdym razem uderzając butem w ścianę. Nigdy nie uczynił najmniejszej uwagi na ten temat, choć oznaczało to dodatkową pracę przy zmywaniu ze ściany śladów butów. Lubił Bobby'ego i jego zabawne historyjki, zawsze cieszył się na jego widok. Będąc od tylu lat lokatorem i stołownikiem Smithów, uważał się za członka ich rodziny. Już dawno stracił bowiem nadzieję na założenie własnej. I chociaż jego utykanie nie rzucało się w oczy, to jednak dla niego samego było kłępujące, co sprawiało, że nie miał śmiałości, by umówić się z dziewczyną na randkę, nie wspominając już o oświadczeniach.

Wstąpił do marynarki, kiedy miał szesnaście lat, a miał dwadzieścia pięć, kiedy wybuchła druga wojna światowa. Dla niego jednak wojna zaczęła się i skończyła tego samego dnia. W niedzielę rano siódmego grudnia 1941 roku wszedł na pokład okrętu wojennego „Arizona”. A potem nastąpiły lata pobytu w szpitalach dla weteranów wojennych, które opuszczał, by wkrótce do nich powrócić, ucząc się na nowo chodzić. Nigdy jednak nie skarżył się na los. I tak miał więcej szczęścia od swoich kamratów. On stracił tylko nogę, a oni – życie. Jimmy pędził ustabilizowany i prosty żywot, na który składało się codzienne uczęszczanie do gospody, tygodniowy urlop raz w roku spędzany w St. Louis na odwiedzinach u kilku kolegów w szpitalu V.A.*, a w piątkowe wieczory poker w VFW. Tak naprawdę nie musiał pracować, gdyż otrzymywał od rządu rentę inwalidzką, ale jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że można by spędzać życie bez pracy.

Kiedy Betty Raye po raz pierwszy przybyła do domu Smithów, była bardzo nieśmiała, ale Jimmy od razu jej się spodobał. Nie był taki hałaśliwy jak mężczyźni w jej rodzinie. Ludzie zawsze ją kłepowali, bała się, że oczekują od niej, by coś powiedziała, ale nie Jimmy. On był spokojny, cichy, nie narzucający się. I też ją lubił. Dorothy poznała to po pewnych drobnych zmianach w jego zachowaniu. Od czasu przyjazdu Betty Raye zaczął codziennie wkładać do kolacji czystą białą koszulę. Zauważyła też, że wieczorem, kiedy wszyscy siedzieli na werandzie, Jimmy czekał, aż Betty Raye wyjdzie pierwsza, ponieważ wstydził się przy niej wstawać. Dorothy jednak nic nie powiedziała na ten temat. Betty Raye nie miała pojęcia, że Jimmy ma drewnianą nogę, a gdyby nawet, nie miałyoby to dla niej znaczenia. Ona jedna wiedziała najlepiej, co to znaczy być odmieńcem.

Żadne z nich nie zdawało sobie z tego sprawy, ale oboje bali się życia, będąc w jakimś sensie upośledzeni, tyle że każde z nich na inny sposób.

* V.A. – Voluntary Aid (Detachment), Ochotnicze Towarzystwo Niesienia Pomocy Rannym.

Powrót Idy Jenkins

Podobnie jak Bobby z niechęcią myślał o powtarzaniu klasy, tak Norma ze strachem wyglądała zbliżającej się wizyty matki. Dwudziestego pierwszego września Ida wróciła z objazdu po waszyngtońskich muzeach i ze spotkania z klubowymi koleżankami z Narodowej Federacji Kobiet w Baltimore, tego samego też popołudnia lustrowała domek Normy, rzucając po drodze miażdżące komentarze.

– Nie mam przekonania do tych firanek, Normo.

– A co im brakuje?

Ida nie wchodziła w szczegóły.

– Szkoda, że nie zgodziłaś się zaangażować zawodowego dekoratora wnętrz, tak jak ci z ojcem radziliśmy. – Rozejrzała się po pokoju. – A gdzie jest twój srebrny garnitur do herbaty?

– W szafie.

Ida popatrzyła z niedowierzaniem na córkę.

– Normo, przecież serwis do herbaty wystawia się na widok publiczny, żeby ludzie mogli go oglądać. Serwis do herbaty to wizytówka każdego przyzwoitego domu.

– Mamo, u nas nie ma dość miejsca na wystawienie filiżanki do herbaty, nie mówiąc już o całym komplecie, którego nie mam zamiaru używać.

Ida usiadła w kuchni i zaczęła zdejmować rękawiczki.

– Nie rozumiem, dlaczego obydwoje z Mackym uparliście się, żeby kupić ten dom, jest nie większy od pudełka od zapalek... A jak wyobrażasz sobie przyjmowanie ludzi, nie mając łazienki dla gości, tego doprawdy nie pojmuję.

Norma naląła matce filiżankę kawy.

– Nie zamierzam przyjmować, zresztą tylko na taki dom mogliśmy sobie z Mackym pozwolić.

Ida popatrzyła na córkę znacząco.

– Nie powiem, jak się z tym czuję. Chcieliśmy wam przecież kupić coś większego.

– Wiem, mamó. Jak ci się udała podróż?

– Cudownie... Wysłuchałyśmy niesłychanie uczonych pogadanek z różnych dziedzin od nadzwyczaj ciekawych pań. Och, tak bym chciała, żebyś zapisała się do klubu, wówczas mogłabyś jeździć razem ze mną.

Fakt, że Norma nie zapisała się do żadnego klubu, do którego należała matka, był dla Idy źródłem niesłabnącej przykrości.

– Mamó, nie zaczynaj znowu – poprosiła Norma, podając jej śmietankę do kawy.

– No już dobrze, już dobrze, i tak nie o tym chciałam z tobą porozmawiać. – Ida popatrzyła na kremowy dzbanuszek, który córka postawiła na stole. – Normo, a gdzie jest ten ładny dzbanuszek z ręcznie malowanymi kwiatkami, który dostałaś od Gerty i Lodora?

– Stłukłam go – skłamała.

– Nie mów o tym Gercie, powiedz, że chowasz go na wyjątkowe okazje.

W tym momencie Ida zauważyła, że Norma jakoś dziwnie wygląda.

– Co zrobiłaś z włosami? Dlaczego masz na głowie siano?

– Byłam u Tot Whooten.

– To mi wystarczy.

Norma przysiadła się do stołu.

– O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

– Co mówisz?

– Powiedziałaś, że chciałaś ze mną o czymś porozmawiać.

– A rzeczywiście. Chciałabym, żebyś wiedziała, jak wiele na ten temat rozmyślałam.

Teraz, skoro jesteś dorosła i zamężna, możemy porozmawiać jak kobieta z kobietą. W końcu jesteś moją córką i powinnaś skorzystać z mego doświadczenia i mądrości, jakiej z latami nabyłam. Po wieloletnich obserwacjach doszłam do pewnych wniosków. – Norma cierpliwie przeczekała pauzę, którą matka zrobiła dla wywarcia większego wrażenia przed wyjawieniem jednego z tysięcy swoich wniosków. – Normo, kobiety z pewnością przejmą władzę nad światem, i to wszystko. Mężczyznom zależy wyłącznie na wywoływaniu wojen i popisywaniu się jeden przed drugim. – Pochyliła się, by wyjrzeć przez okno i sprawdzić, czy czasem w pobliżu nie ma jakiegoś mężczyzny, który by to usłyszał. – Zaczynam myśleć, że większość z nich nie wyrasta ponad poziom dwunastolatka. Oczywiście, chwała Bogu, nie

dotyczy to twego ojca, on jest dojrzały i rozsądny, ale kto wie, jak by to wyglądało, gdyby mnie nie było. Mężczyźni są jak rośliny, trzeba je bez przerwy ogławiać, bo inaczej wszystko pójdzie w nasienie. To smutny fakt, o którym przekonałam się na własnej skórze. Mężczyzna bez pilnującej go kobiety traci cały swój polot.

Córka nie wyglądała na przekonaną.

– Normo, to prawda. Zwróć uwagę, co się stało na amerykańskim Zachodzie. Oto jak postępują mężczyźni, jeśli im się na to pozwoli: nie kąpią się, tylko by strzelali do Indian, bizonów albo do siebie nawzajem, pili, uprawiali hazard i Bóg wie, co jeszcze. Tak było, dopóki nie przybyły skromne, powszechnie szanowane kobiety, wtedy dopiero zaczęli się jakoś zachowywać. Nie zapominaj też, że to mężczyźni wprowadzają światowy zamęt.

Odpowiedz mi na takie pytanie: gdyby kobiety były odpowiedzialne za wszystko, czy na świecie żyłoby tyle sierot pozbawionych ojców? Wiesz chyba, że samiec lwa potrafi zjeść swoje młode, jeśli lwica nie będzie ich dobrze pilnowała.

– Mamo, a co mają do tego lwy?

– Stanowią ilustrację tego, co mówię. Normo, gdyby choć na chwilę spuścić ich z oka, zaczęłyby się rządzić prawami dżungli.

– Ależ, mamo, przecież tata taki nie jest.

– Wiem, że taki nie jest teraz, kiedy przebywa z nami. Nie chcę pozbawiać cię złudzeń, ale pamiętaj, bez względu na to, jak dobrze mogą być wychowani albo jak poprawnie będą się zachowywać w kulturalnym towarzystwie, jeśli grupę mężczyzn zostawić na tydzień w domku kempingowym, to czy wierzysz, że będzie im się chciało używać serwetek, nakrywać do stołu czy choćby mieć na tyle przyzwoitości, żeby się golić? Jeśli tak myślisz, to się grubo mylisz. Nieważne, czy sami mogą temu przeciwdziałać. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli ma się dokonywać światowy postęp, to kobiety muszą wziąć ster rządów w swoje ręce. I trzeba to tak zrobić, żeby się nie zorientowali.

Po wyjściu matki Norma zatelefonowała do sklepu z artykułami żelaznymi. Kiedy Macky podniósł słuchawkę, Norma zadała mu pytanie:

– Czy możesz mi jedno obiecać?

– A co takiego?

– Że jeśli kiedykolwiek zacznę zachowywać się jak moja matka, weźmiesz strzelbę i mnie zastrzelisz.

Nieśmiała licealistka

Kiedy Berty Raye zaczęła chodzić do liceum w Elmwood Springs, początkowo jako nowa uczennica wzbudzała powszechną ciekawość. Szczególnie intrygujący był fakt, że śpiewała w zespole gospel, jednak po kilku tygodniach ogólne zainteresowanie nią spadło i Betty Raye mogła wtopić się w tłum. Sytuacja taka byłaby trudna dla każdego, kto przychodził do klasy, w której wszyscy znają się od przedszkola, jednak dla Betty Raye stanowiła podwójną trudność. Z pewnością niczym się nie wyróżniała w tłumie, więc chłopcy w jej wieku nie zwracali uwagi na tę chudą, raczej prostą dziewczynę w plastikowych okularach. Niektóre dziewczęta robiły, co mogły, by wciągnąć ją do rozmowy albo zaprosić do drugstore'u na lemoniadę, ale ona była tak onieśmielona, że w ogóle niewiele się odzywała. Po jakimś czasie zrezygnowały więc z kolejnych prób. Doszły do wniosku, że Betty Raye nie ma ciekawej osobowości albo jest typem bigotki. Nie to, żeby jej nie lubiły, po prostu już nie starały się poznać jej bliżej. Zatem Betty Raye nigdzie nie wychodziła poza szkołę, czasem tylko zabierała się z domownikami do kina, ale w zupełności jej to wystarczało. Nie potrzebowała więcej do szczęścia jak wrócić po szkole do domu, a Dorothy lubiła mieć ją w pobliżu. W istocie Betty Raye wydatnie jej pomagała. Dorothy otrzymywała setki listów tygodniowo, a Betty Raye otwierała je, sortowała, odkładając na jedną kupkę listy z prośbą o przepisy, a na drugą ogłoszenia. Pomagała też Bobby'emu w lekcjach, tyle że Dorothy nic o tym nie wiedziała. Czasami, kiedy nie mógł zrozumieć jakiegoś zadania z matematyki albo problemu gramatycznego, wymykał się do jej pokoju, a ona odrabiała je za niego. Matka Smith, która uwielbiała grać w karty, nauczyła Betty Raye zasad gry i była zdumiona, jak dziewczyna szybko wszystko pojęła. Po kilku dniach Matka Smith chciała się pochwalić sukcesami i wyznała Dorothy:

– Ta dziewczyna to urodzona karciara. Wcale się nie zdziwię, jeśli w ciągu tygodnia opanuje zasady brydża.

Wszystko wydawało się przebiegać bez zakłóceń aż do pewnego dnia na początku listopada.

Dorothy robiła właśnie zakupy w A & P, wybierając brunatne kartofelki, kiedy do sklepu weszła Pauline Tuttle, nauczycielka angielskiego w średniej szkole, kobieta wysoka i niemal pozbawiona szyi. Zauważywszy Dorothy, natychmiast do niej podeszła i zapytała tubalnym

głosem:

– Jak się miewa Anna Lee? Miałaś od niej wiadomości?

– Wszystko u niej dobrze, Pauline. Twierdzi, że daje sobie radę, więc sędzę, że jej się tam naprawdę podoba.

– Wiedziałam, że tak będzie. Zawsze mówiłam, że jeśli ktoś odniesie sukces w życiu, będzie to Anna Lee Smith.

– Przekażę jej, że o nią pytałaś.

– Ona była najzdolniejsza ze wszystkich moich uczennic, zawsze na samych piątkach, a do tego jeszcze taka ładna.

– Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony. A jak sobie radzi moja podopieczna Betty Raye?

Tu Pauline przybrała poważną minę, biorąc do ręki papierową torebkę.

– Właśnie miałam zamiar zadzwonić do ciebie i porozmawiać na ten temat. Obawiam się, Dorothy, że tu się rysuje poważny problem.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się Dorothy.

– Dobrze sobie radzi z pracami pisemnymi, ale jeśli chodzi o aktywność na lekcji, to właściwie jest żadna. Nigdy nie podniesie ręki, a kiedy ją wyrywam do odpowiedzi, mamrocze pod nosem, że nie wie. – Pauline wzięła do ręki kartofel i uważnie mu się przyjrzała. – A wiem doskonale, że ona zna odpowiedź. Bardzo niechętnie przekazuję niedobre wieści, ale tu muszę powiedzieć, że ta dziewczyna nie ma za grosz zdolności wystawiania się. – Jakby na podkreślenie wagi swych słów, energicznie wrzuciła brunatną bulwę do torby. – Kiedy kilka razy wywołałam ją, by wyrecytowała wiersz, myślałam, że ona trupem padnie z wrażenia. Teraz więc już jej nie wywołuję.

– Ojej, to niedobrze – zmartwiła się Dorothy.

– No, niedobrze. – Panna Tuttle dorzuciła do torby cebulę. – To dziecko nigdy do niczego nie dojdzie, jeśli nie zdobędzie większej pewności siebie, a na pewno nie otrzyma ocen, które mogłaby dostać.

– Wiedzieliśmy, że jest trochę nieśmiała.

– Zatrważająco nieśmiała. A jeśli nie zdusimy tego w zarodku, tu i teraz, jej przyszłość staje pod wielkim znakiem zapytania. Zawsze się będzie wlec w ogonie.

Tym razem Dorothy przestraszyła się nie na żarty.

– Ojej. To co mamy zrobić?

– Pomyślałam sobie, że Betty Raye powinna jak najszybciej zapisać się do kółka dramatycznego. Może pannie Hatcher uda się coś z niej wykrzesać, nauczyć ją wypowiadać się, wyrażać siebie, to jej jedyna nadzieja. – Sięgnęła po główkę sałaty, zważyła ją w rękę i odłożyła z powrotem. – Bardzo trudno jest przygotować obiad dla jednej osoby. Nie można przecież kupić połówki sałaty. Ty masz szczęście, że możesz gotować dla dużej rodziny. Mogę porozmawiać z Betty Raye, jeśli chcesz.

– Nie, dziękuję. Muszę się zastanowić, co ja najpierw mogłabym zrobić. No, tymczasem Pauline, miło mi było ciebie widzieć.

Już na odchodnym Pauline zawołała:

– Powiedz Annie Lee, żeby skrobnęła do mnie parę słów, jak znajdzie chwilę czasu.

Dorothy martwiła się przez całą drogę do domu. Z takim problemem nigdy przedtem nie miała do czynienia. W każdym razie nie z własnymi dziećmi. Jeśli chodzi o Bobby'ego, to w grę mogło wchodzić coś wręcz przeciwnego. Nauczycielom trudno było powstrzymać go od gadania i nakłonić, by skoncentrował się na pracy pisemnej, w której zawsze roiło się od błędów ortograficznych, o ile udało mu się nie zgubić zeszytu i w ogóle dokończyć pracę.

Teraz jednak martwiła się o Betty Raye. Nie zniosłaby myśli, że czegoś zaniedbała. A Pauline uważała, że sprawa jest pilna. Możliwe, że miała rację. Może Dorothy powinna coś powiedzieć Betty Raye, zanim będzie za późno i zanim przepadną wszystkie szanse. Tego samego dnia, kiedy Betty Raye zajęta była przygotowywaniem puree, Dorothy postanowiła poruszyć ten temat.

– Jak tam, kochanie, idzie ci w szkole?

– Dobrze.

– Nie masz jakichś problemów?

– Nie mam.

– A jak z zawieraniem przyjaźni?

– W porządku.

– Nie jestem pewna, czy wiesz, że najlepszym sposobem na zawieranie przyjaźni jest udział w dodatkowych zajęciach. Ja na przykład przewodniczyłam szkolnemu klubowi gospodyń i bardzo mi się to podobało.

Betty Raye uśmiechnęła się.

– Wiesz – ciągnęła Dorothy – wpadłam dzisiaj na Pauline Tuttle, rozmawiałyśmy o tobie.

W trakcie rozmowy ona, nie, obie doszłyśmy do wniosku, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś

zapisala się do jakiegoś kółka zainteresowań. Pomyślałyśmy, że może zechcesz zapisać się do kółka dramatycznego. Wiem, że Anna Lee czerpała wiele radości z występowania we wszystkich sztukach. – Mówiła to wszystko z udawaną wesołością, ale gdy tylko wymówiła słowa „kółko dramatyczne”, Betty Raye natychmiast zbladła jak ściana. Odwróciła się do Dorothy i błagalnym głosem wyznała:

– Po prostu nie mogłabym, pani Smith.

W tym momencie Dorothy zrozumiała, jaki to był okropny pomysł, i natychmiast pożałowała, że w ogóle zaczęła rozmowę na ten temat. Objęła Betty Raye.

– Oczywiście, że nie, co też mi przyszło do głowy... Jaka ja jestem głupia... Przecież przez całe życie wypychano cię siłą na scenę, prawda?

– Właśnie – odpowiedziała Betty Raye bliska płaczu. – I ja tego nie znosiłam.

– Wiem, że tak było. Że też o tym nie pomyślałam. Nie będziesz już musiała robić niczego, czego nie lubisz.

– Czy ona będzie na mnie zła?

– Ależ skąd. To był głupi pomysł. Nie martw się tym. Po prostu powiem Pauline, że nie chcesz zapisać się do kółka dramatycznego ani do żadnego innego. Dobrze?

– Dobrze.

Potem Dorothy zabrała się do robienia klopsa, a kiedy wsadziła go do pieca, wzięła się do łuskania zielonego groszku. Uśmiechnęła się do Betty Raye, myjącej w zlewie miskę po mięsie, i pomyślała: „Nic się nie stanie, jeśli Pauline nie będzie wywoływać jej do odpowiedzi w klasie. Nic się nie stanie, jeśli Betty Raye nie ruszy ziemi z posad. Nie każdy musi być kimś znaczącym. Co za różnica, czy dostanie czwórkę czy trójkę, a nie piątkę? Jest, jaka jest, i dobrze jej z tym. Pomaga w kuchni i ma dobry charakter. Na pewno będzie dla kogoś wspaniałą żoną. Może nie jest tak ładna jak Anna Lee, ale z pewnością lepiej od niej gotuje. Słusznie czy nie, ale mężczyźni wolą spokojne kobiety, które dobrze gotują”.

A potem pomyślała jeszcze: „Dobrze, że Anna Lee jest ładna, gdyż nie potrafi gotować”.

Kiedy Betty Raye wróciła do stołu, Dorothy uśmiechnęła się do niej i zadała swoje ulubione pytanie:

– Kochanie, gdyby mogło się spełnić jedno twoje życzenie, to co byś chciała?

Betty Raye wzięła do ręki garść strączków, pomyślała chwilę, po czym odrzekła:

– Dom.

– Dom? – zdziwiła się Dorothy. – Jakiego rodzaju dom?

– Och, zwyczajny, mały domek, może jeszcze z jakimś pieskiem.

– A męża byś nie chciała mieć? Żeby ci kupił dom?

– Nie, proszę pani. Po szkole pójde do pracy i sama sobie kupię dom. Chłopcy chyba mnie nie lubią.

Dorothy popatrzyła na nią z zagadkowym błyskiem w oku.

– Znam kogoś, kto pracuje w Trolejbusowej Gospodzie i uważa, że jesteś wspaniała... Wtedy do kuchni wszedł na paluszkach Bobby, prezentując czerwone usta zrobione z wosku.

Dorothy obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

– Dlaczego, młody człowieku, nie jesteś w swoim pokoju i nie odrabiasz przykładowie lekcji?

Bobby na paluszkach wycofał się z kuchni.

Później jednak, gdy Dorothy poszła do jego pokoju sprawdzić, co robi, zastała go zwieszającego się z framugi drzwi i udającego nietoperza.

– Bobby – zganiała go. – Czy ty naprawdę chcesz do końca życia siedzieć w szóstej klasie? Zabieraj się do roboty.

Bobby zeskoczył na podłogę i powłókł się w stronę biurka. W końcu zabiegi matki odniosły skutek.

W następną piątek Betty Raye wróciła ze szkoły z zadowoloną miną. Wręczyła Dorothy żółtą legitymację członkowską, na której było napisane: BETTY RAYE OATMAN, KLUB KSIĄŻKI PRZY SZKOLE ŚREDNIEJ W ELM WOOD SPRINGS.

– Brawo! Taka jestem dumna z ciebie, że nie masz pojęcia! – Wiedziała, że nie było to łatwe dla Betty Raye. – Musimy to uczcić. – Dorothy wstała i przeszła przez cały dom, wołając: – Matko Smith! Bobby! Ubierajcie się. Idziemy wszyscy do drugstore’u na lody!

Pięć minut później siedzieli na wysokich stołkach przy saturatorze z wodą sodową, zamawiając deser lodowy z krówkami, tylko Bobby, wieczny oportunistą, zamówił dla siebie podwójną porcję bananów z lodami i bitą śmietaną.

Pora na indyka

Od kiedy Beatrice wyjechała z miasta, by przystać do rodziny Oatmanów, bliźniaczki Bess i Ada zaczęły wspierać Dorothy. Przy szczególnych okazjach przychodziły zaśpiewać

w jej programie, a dzisiaj właśnie nadarzyła się taka okazja.

Zanim zaczęła się audycja, Dorothy wyjrzała przez okno, by przekazać najbardziej aktualny stan pogody.

– Dzień dobry, drodzy słuchacze. Oto następny ładny jesienny dzień tutaj, w Elmwood Springs, i mam nadzieję, że u was jest tak samo ładnie. Wiem, że jesteście zajęci, bo wkrótce nadejdzie Święto Dziękczynienia i ferie, więc jesteśmy naprawdę wdzięczni, że możecie te parę minut spędzić razem z nami. Nie wiem, jak wy, ale ja na pewno będę szczęśliwa, kiedy minie ten tydzień. Bobby doprowadza nas do szaleństwa, ucząc się na pamięć Pieśni o Hajawacie, którą ma opanować do piątku. Jeśli jeszcze raz usłyszycie: „Nad brzegiem Gitche Gumee, nad Iśniącą Wielką Wodą”*, zacznę chyba wrzeszczeć. Biedna Betty Raye stara się mu pomóc, ta dziewczyna naprawdę ma zacięcie do tej roboty. Wszyscy w domu nauczyliśmy się tego wiersza na pamięć, tylko Bobby nie.

Jutro jest czwarty listopada, ważna data, bo tego dnia idziemy głosować. – Matka Smith zagrała początek hymnu. – Dobrze, Matko Smith, że nastąpiła już demokracja. Dziś rano zadzwoniła do nas Ida Jenkins, która jest przewodniczącą miejscowego politycznego konwentyklu kobiet, z prośbą, żebym wam, moje panie, przypomniała, że macie pójść głosować. Nie zostawiajcie tego mężczyznom. Zgodzi się z tym nasza Matka Smith. Pamiętajcie, że Matka Smith była sufrażystką i walczyła o prawa wyborcze dla nas, z czego jesteśmy bardzo dumne. Następnie mają wpaść

* Pieśń o Hajawacie – The Song of Hiawatha, Henry Wadsworth Longfellow. Gitche Gumee – tak Indianie nazywali Jezioro Górne.

do nas Ada i Bess Goodnight i zaśpiewać: Bongo, Bongo, Bongo, zostaniemy w Kongo. Nie wiem, co prawda, co to może mieć wspólnego z dniem wyborów... Mam nadzieję, że nie zaszła tu żadna pomyłka... Nie? Matka Smith mówi, że właśnie to zaśpiewają. – Dorothy ujęła kartkę papieru. – Zobaczmy, co my tu jeszcze mamy. Aha, ogłoszenie Izby Handlowej. Proszę, by w nazwie konkursu zmienić Miss Indyczą na Miss Dziękczynienia. Jeśli zatem pójdziecie jutro do drugstore’u, zagłosujcie i na to. A Harry Johnston z A & P prosi, aby poinformować wszystkie panie, że z okazji Dnia Dziękczynienia ma promocję na zielony groszek Del Monte, przy zakupie jednej puszki drugą dostajecie gratis. Mówi też, że ma jeszcze dużo indyków, już przyprawionych i gotowych do pieczenia.

A teraz zadam wam inne pytanie: czy złapał was kiedyś prąd podczas zmieniania

korków? Jeśli tak, to musicie kupić to natychmiast. Łatwe i bezpieczne, jak wymiana żarówki. Używajcie korków Royal Crystal ze szklaną końcówką, zabezpieczającą przed porażeniem. Pytajcie w sklepach o korki Royal Crystal, a także o lampki na choinkę tej właśnie firmy wraz ze sznurem elektrycznym. Wszystko to można dostać u Warrena w sklepie z artykułami żelaznymi. A skoro mówimy o Warrenach – wczoraj obie z Matką Smith odwiedziłyśmy naszą najmłodszą mężatkę, Normę Warren, która nas oprowadziła po swojej kuchni. Pokazała nam nowiutki zestaw kuchenny Formiki*, nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie fikuśnego i wesołego. Norma powiada, że sajeszcie inne kolory: żółty, niebieski i zielony, ale ona wybrała kolor wiśniowy. – Matka Smith zagrała parę taktów piosenki Życie jest jak miseczka wiśni. – Norma mówi też, że bardzo łatwo utrzymać ten zestaw w czystości, po prostu przeciąga się po powierzchni wilgotną szmatką i to wszystko. Każdy twierdzi, że to mebel nad meblami, i ja w to wierzę. A kiedy Norma rozłoży nowe białoczerwone linoleum, jej kuchnia może być pokazywana ludziom z całego Środkowego Zachodu!

* Formika – firmowa nazwa sprzętów kuchennych z laminowanymi blatami.

Nie siadaj!

Macky i Norma byli małżeństwem zaledwie od czterech miesięcy, i Norma świetnie się czuła w nowej roli żony i gospodyni domowej. Z wielką przyjemnością urządzała ich mały domek, a szczególną radością napawała ją kuchnia, którą utrzymywała w nienaganej czystości, podobnie jak Macky ich nowego nasha ramblera. Zbliżało się Boże Narodzenie, które po raz pierwszy mieli obchodzić jako małżeństwo. I z tej to okazji Norma powzięła doniosłą decyzję. Po przedyskutowaniu jej z Mackym zadzwoniła do matki, żeby zakomunikować radosną nowinę.

– Jak się masz – powitała ją Ida.

– Wiesz co, mamó? Chciałabym, żeby w tym roku wszyscy przyszli do nas na świąteczny obiad.

– Jacy „wszyscy”?

– Ty, tatuś... Warrenowie, ciocia Gerta, wuj Lodor, ciocia Elnor i wuj Will. Cała rodzina, będzie fajnie.

Ida ważyła słowa.

– To bardzo ładnie z waszej strony, kochanie, ale nie wydaje mi się, żebyś to dokładnie przemyślała.

– Owszem, przemyślałam.

– Norma, jak ty podasz obiad tylu ludziom? Przecież nie masz takiego stołu, który by mógł służyć za bufet.

– Spokojnie, to nie musi być takie oficjalne. Po prostu wystawię wszystko na ladę w kuchni, a każdy będzie mógł wziąć talerz, podejść i nałożyć sobie bez zbytnich ceregieli. Macky mówi, że mógłby rozstawić w salonie stoły karciane, na które narzuciłoby się prześcieradła.

Nie ma takich słów, które mogłyby wyrazić niechęć Idy do jedzenia ze stolika karcianego przykrytego prześcieradłem, ale z drugiej strony wyczuwała, ile to znaczy dla Normy.

Przytrzymała się mocniej blatu stoliczka pod telefon i powiedziała:

– Dobrze, kochanie, jeśli tego właśnie chcesz, to na pewno będzie uroczko.

Po tym, jak każdy z zaproszonych gości potwierdził przybycie, Norma nagle sobie uświadomiła, że nigdy nie gotowała dla więcej niż dwóch osób. Przygotowanie jedzenia dla dziesięciu osób mogło okazać się trudniejsze, niż z pozoru się wydawało, a w dodatku chciała, żeby wszystko wypadło idealnie. Zadzwoiła więc najpierw do Sąsiadki Dorothy, która pomogła jej ułożyć menu w najdrobniejszych szczegółach, do ostatniego kąska. Dla pewności, by uniknąć błędów, rozpisała dokładnie czas, kiedy poszczególne dania miała wstawić do piecyka, następnie kiedy je wyjąć, kiedy zacząć gotować kartofle, jak długo piec pieczeń wołową, ile minut trzymać na ogniu sos, kiedy podgrzać cztery puszki z groszkiem, a kiedy rozgrzać bułeczki.

Przez cały następny tydzień Norma nie wychodziła z kuchni, wypróbując każdą potrawę. Jeden dzień spędziła na sprawdzaniu rozkładu czasowego, jednocześnie nakrywając wszystko do stołu, gotowe do podania. Postanowiła w dzień Wigilii przełożyć groszek do rondelka z pokrywką, a puszki wyrzucić. Wiedziała, że kryło się w tym oszustwo, ale także zdawała sobie sprawę, jaka by była reakcja matki, gdyby przypadkiem zobaczyła puszki po groszku. Słyszała to setki razy: „Norma, tylko włóczędzy i bezdomni jedzą z puszek”.

Przyszedł Macky i obserwował ją, jak nastawia zegarki, biega od lodówki do lady i piecyka ze swoim minutowym rozkładem, udając, że podaje dania, i mówiąc do siebie. Wyglądała na tak przejętą, że Macky’emu zrobiło jej się żal i zaproponował:

– Czy mógłbym się na coś przydać?

Popatrzyła na niego.

– Tak. Trzymaj wszystkich z dala od kuchni, szczególnie matkę. I tak będę wystarczająco zdenerwowana, a jakby jeszcze tu stała i patrzyła mi na ręce... Po prostu zabawiaj wszystkich rozmową i czekaj, aż wyjdę i powiem: „Obiad gotowy. Chodźcie i nakładajcie sobie”.

– „Obiad gotowy, chodźcie i nakładajcie sobie”?

– Może nie użyję dokładnie tych słów, mogę powiedzieć: „Czas na jedzenie” albo coś w tym rodzaju, ale kiedy to już powiem, to niech wszyscy wstaną, wezmą talerze ze stołu i podchodzą, ale nie wcześniej.

– Okay.

– Módl się, żebyś czegoś nie przypaliła ani nie stłukła.

– A jeśli nawet coś takiego się zdarzy, to jeszcze nie koniec świata. To tylko obiad.

Popatrzyła na niego z najwyższym zdumieniem.

– To tylko obiad? Tak ci się wydaje po tym, jak ja zadałam sobie tyle trudu i mam wydać nasz pierwszy świąteczny obiad w naszym własnym domu?

– Nie, źle mnie zrozumiałaś. Chciałem powiedzieć, że jeśli coś zepsujesz, nikt się tym nie przejmie.

– Nikt się tym nie przejmie?

Macky zorientował się, że kopie pod sobą dołek, do którego jednak nie chciałby wpaść, spróbował więc się wycofać.

– Ale niczego nie zepsujesz. Wszystko ci się uda.

– Łatwo ci mówić. Spróbuj ugotować dla dziesięciu osób.

W sobotę, na tydzień przed proszonym obiadem, Norma wypucowała cały dom od podłogi do powały. Kiedy Macky wrócił po południu do domu, w drzwiach przywitała go Norma ze szczotką w ręku.

– Macky, nie siadaj na kanapie ani na krzesłach, nie wchodź na dywan i postaraj się nie korzystać z łazienki.

Ciągle jeszcze młody żonkoś Macky dopiero uczył się, że kiedy Norma jest czymś przejęta, to najlepiej w ogóle z nią nie dyskutować.

Świąteczna wystawa

Dwudziestego pierwszego grudnia wszyscy mieli ręce pełne roboty. Dorothy upiekła na

święta piętnaście tuzinów ludzików z piernika, Bobby wyciągał z szaf świecidełka i ozdoby na choinkę, a Betty Raye i Matka Smith robiły z wykałaczek drzewka na stół. Około piątej trzydzieści wrócił Doc, taszcząc ze sobą wielką laskę wykonaną z miętowego cukierka, zaczerwieniony od mrozu i od wypitych dwóch papierowych kubeczków całkiem mocnego ajerkoniaku, co mu dodało animuszu. Zanim wrócił do domu, wstąpił do fryzjera, by razem z Edem i całą ferajną, jak co roku, uczcić nadchodzące Boże Narodzenie. Za kilka dni Anna Lee miała wrócić do domu na ferie, a tego dnia całą rodziną szli do miasta, by wybrać choinkę.

Doc wszedł do kuchni, wręczył Dorothy cukierkową laskę ze słowami:

– Ho, ho, ho.

Roześmiała się na to i odpowiedziała:

– Ho, ho, ho dla ciebie.

Po obiedzie Bobby musiał nałożyć skórzaną pilotkę z nausznikami i wtedy całą rodziną, z Jimmym i Betty Raye włącznie, poszli do miasta na placyk za kościołem, by wybrać choinkę. Civitan Club* ogrodził placyk białymi lampkami, by jak co roku sprzedawać tam drzewka. Mroźne powietrze pachniało igliwem, a ten dobrze znany zapach świąteczny sprawił Doca w jeszcze lepszy humor. Gdy wszedł do kantorka Merlego w poszukiwaniu odpowiedniego drzewka, z małego radioodbiornika płynęły dźwięki piosenki śpiewanej przez Gene'a Autry'ego Rudolf, czerwono nosy renifer. Doc zatrzymał się, by obejrzeć kilka choinek, potrząsnął nimi i szedł dalej wzdłuż alejki.

– Jak ci się wydaje, Dorothy, powinniśmy kupić duże czy małe drzewko?

* Civitan Club – organizacja społeczna skupiająca inwalidów.

– Duże – powiedział Bobby.

– Jak myślisz, Matko Smith? – zapytała Dorothy.

– Och, myślę, że na przyjazd Anny Lee powinniśmy mieć dużą choinkę.

Cała rodzina przechadzała się po placyku, oglądając różne rodzaje drzewek. Niektóre zostały zabarwione na dziwaczne kolory. W którymś momencie Doc usłyszał, jak idąca sąsiednią alejką Matka Smith mówi do Dorothy:

– Czy ktoś przy zdrowych zmysłach chciałby mieć różową choinkę?

– Wydaje mi się, że to taka moda. Może niektórzy ludzie potrzebują jakiejś odmiany – odpowiedziała Dorothy.

– Moim zdaniem, nawet jeśli jest to modne, to i brzydkie.

Poszukiwania trwały nadal przy wydatnym udziale Doca, który przeprowadzał dokładne oględziny każdego ewentualnego kandydata. Jak dotąd jednak nic nie przykuło na dłużej jego uwagi, dopóki nie wypatrzył leżącego na ziemi dużego świerka obwiązanego sznurkiem. Wyciągnął go, chcąc mu się lepiej przyjrzeć, kiedy jeden z gospodarzy, Fred Haygood, zaproponował, że rozetnie sznurek, by uwolnić gałęzie. Postukał drzewkiem jeszcze parę razy o ziemię, by Doc mógł lepiej obejrzeć je ze wszystkich stron. Miało z osiem stóp wysokości, było gęściutkie i zgrabne.

– Chyba jest niezłe, jak sądzisz? – zapytał Doc.

Fred wygłosił swą przemyślaną opinię eksperta:

– Uhum, miałby pan ładne drzewko.

– Co o tym myślisz, Jimmy? – zapytał Doc.

Jimmy kiwnął głową z uznaniem.

– Mnie się podoba.

– Ile kosztuje? – chciał wiedzieć Doc.

Fred krzyknął w stronę kantorka:

– Merle, ile za ten srebrny świerczek, którego dopiero co przywieźli?

– Może być dolar pięćdziesiąt! – odkrzyknął Merle.

Po zbiorowych konsultacjach wszyscy wyrazili zgodę na to drzewko.

– Niech chłopaki przyniosą choinkę na nasz ganek, a stamtąd już ją sobie dalej wniesiemy

– powiedział Doc.

Potem poszli jeszcze do domu towarowego Braci Morgan, żeby popatrzeć na świąteczne wystawy. Kiedy mijali zakład fryzjerski, zobaczyli siedzących tam paru mężczyzn, między innymi Jamesa Whootena, męża Tot, którzy pomachali do nich. Z głośników wychodzących na ulicę płynęła muzyka. Pery Como śpiewał Wygląda na to, że zbliża się Boże Narodzenie, co było prawdą. Na wszystkich szybach wystawowych widniał napis: WESOŁYCH ŚWIĄT wymalowany w kolorach czerwonym, białym i zielonym. Bobby miał wrażenie, że centrum miasteczka uległo przeobrażeniu w ciągu jednej nocy. Dwie zwyczajne butle wypełnione czerwonym i niebieskim płynem, zawsze eksponowane na wystawie drugstore'u, nagle przeistoczyły się w dwie ogromne bombki na choinkę. Tego wieczoru nawet beton przed kinem zdawał się migotać tysiącem iskier, jakimi posypuje się świecidelka. Kiedy dotarli do domu towarowego, już kłębił się tam tłum dorosłych i dzieci, którzy podziwiali świąteczną

wystawę „Zimowa Kraina Czarów”, z przynajmniej setką mechanicznych figurek, poruszających się jednocześnie. Krasnoludki, Święty Mikołaj z Mikołajową, pociągi pełne zabawek, bez trudu forsujące góry, by zaraz z nich zjechać i zniknąć w przepastnych tunelach, a potem znów z nich wychynąć. Wyciągi wywoziły na szczyty gór narciarzy, którzy szusowali po zboczach. Renifery kiwały głowami, a wozy zaprzężone w konie oraz samochody sunęły po drogach maleńkich wiosek. Psy merdały ogonami, małe figurki mężczyzn, kobiet i dzieci krążyły po lodowej tafli jeziora zrobionego z okrągłego lustra, otoczonego iskrzącym się śniegiem i zielonymi drzewkami. Za szybą wystawową toczyło się życie w świątecznym, bajkowym świecie. Bobby mógłby tak obserwować ten świat z nosem rozpląszczonym o szybę całymi godzinami, gdyby mu na to pozwolono.

W drodze powrotnej do domu mijali raz jeszcze placik koło kościoła, a wtedy natknęli się na Normę i Macky’ego Warrenów, niosących różową choinkę.

– Cześć – powitała ich radośnie Norma. – Patrzcie, co mamy. Widzieliście kiedy takie cudencko?

Matce Smith na moment odjęło mowę, ale zaraz włączyła się Dorothy.

– Owszem – powiedziała. – Oglądaliśmy ją już wcześniej – dodała, nie popełniając przecież kłamstwa.

– Niech Anna Lee zadzwoni do mnie, jak tylko przyjedzie – poprosiła Norma.

– Powiemy jej – obiecała Dorothy.

Kiedy oddalili się już na bezpieczną odległość, Matka Smith wyznała:

– Dałabym milion dolarów, żeby widzieć minę Idy Jenkins, kiedy zobaczy to чудо w salonie Normy.

Wrócili do domu pełni wrażeń i zmęczeni, poszli więc zaraz do łóżek. Bobby śnił o Bożym Narodzeniu przez całą noc. W swoim śnie ślizgał się na lustrzanym lodowisku, kręcił kółka i ósemki wraz z dziewczynką w czerwonej spódnicy i białych łyżwach, która wyglądała dokładnie tak samo jak Claudia Albeta – dziewczynka, która siedziała w ławce tuż przed nim.

A trzy dni wcześniej Jimmy snuł się między stoiskami u Braci Morgan, starając się znaleźć w ostatniej chwili jakieś prezenty. Przekonał się, że to wcale nie takie proste.

Sprzedawczyni przyglądała mu się, jak brał do ręki jedną rzecz za drugą, po czym odkładał je

na miejsce. W końcu podeszła do niego.

– Jimmy, dlaczego nie powiesz mi, czego szukasz? – zagadnęła go. – Może mogłabym ci pomóc.

‘– Więc...

– Dla kogo ma być ten prezent?

Jimmy był zbyt zmieszany, by jej odpowiedzieć na to pytanie, ale zdołał wyjąkać, że rzeczywiście potrzebuje rady.

– To dla kobiety.

– Rozumiem. Może odpowiednia byłaby jakaś ładna apaszka? – zapytała. – Apaszka to zawsze dobry prezent. Jakiego koloru ma włosy?

– Ciemne – mruknął, podążając za nią do działu z szalikami.

Świąteczna audycja

Następnego dnia po szkole Betty Raye i Bobby zaczęli rozpakowywać zabawki na choinkę, a potem przyszedł Doc i przyniósł jeszcze trzy nowe sznury szklanych lampek z pęcherzykami powietrza w środku. Pomyślał, że miłym urozmaiceniem będą takie właśnie lampki z kipiącymi bąbelkami, bo do tej pory mieli tylko migoczące światełka.

Kiedy wrócił Jimmy, razem z Dokiem powiesili na drzwiach piękny wieniec świąteczny, nadesłany przez sponsora Dorothy, Cecila Figgsa. Po obiedzie wszyscy przeszli do salonu, by ubierać choinkę, a Matka Smith jak zwykle siedziała na kanapie i pokazywała, co i gdzie jeszcze trzeba umieścić. O dziewiątej wieczorem w każdym oknie stały już tekturowe świeczniki kremowego koloru, a w nich paliły się niebieskie lampki, nad drzwiami widniał wielki napis ułożony z czerwonych liter wyciętych z glansowanego papieru: WESOŁYCH ŚWIĄT, a na stojącej w kącie choince wisały już zielone i czerwone bombki z satyny, a także błyszczące bombki w kolorze czerwonym i niebieskim z opasującym je oszronionym srebrnym paskiem. Całości dopełniały anielskie włosy z kolb kukurydzianych i umieszczony na czubku skrzydlaty anioł w postaci cocker spaniela, przysłany kiedyś przez słuchaczy na cześć Princess Mary Margaret.

Następnego dnia rano o ósmej pięćdziesiąt cztery wszystkie uczennice Dixie Cahill, ubrane w kostiumy i z pełnym makijażem, zeszyły triumfalnie po schodach Szkoły Stepowania i Marszów Paradnych i przemaszerowały ulicami miasta, by na końcu – jak co roku na Boże

Narodzenie – wziąć udział w świątecznej audycji Sąsiadki Dorothy. Ponieważ miały przymocowane dzwoneczki do bucików, którymi wybijały takt, ich przemarsz słycać było naprawdę z daleka. Fryzjer Ed powiedział, że można by pomyśleć, iż przechodzi stado reniferów. Parę minut później wmaszerowały na schodki prowadzące na ganek domu Sąsiadki Dorothy, ustawiły się rzędkiem pod ścianą saloniku i grzecznie czekały na swoją kolej. Dom był pełen ludzi. Chór występujący z dzwoneczkami ustawił się szeregiem w hallu, a Ernest Koonitz wciśnięty w róg jadalni czekał, aż go zawołają, by jak co roku zagrał solo na tubie. Sąsiadka Dorothy w znakomitym nastroju przeszła przez hali, ubrana w odświętną zieloną suknię z bukiecikiem przypiętym do gorsetu. Był to dla niej podwójnie świąteczny dzień. Zawsze bardzo lubiła prowadzić bożonarodzeniową audycję, a poza tym do domu przyjeżdżała Anna Lee. Po powitaniu wszystkich uczestników precisnęła się przez tłum, przeszła nad głowami dzieci siedzących na podłodze i wreszcie usiadła za biurkiem z plikiem ogłoszeń reklamowych w ręce, i rozpoczęła audycję słowami:

– Witam wszystkich serdecznie i życzę wam pomyślnego dnia dwudziestego trzeciego grudnia! Mamy dla was tyle radosnych niespodzianek i tyle świetnych występów, że sama nie mogę się tego doczekać.

My tutaj w Elmwood Springs jesteśmy tak podekscytowani... Najpierw wystąpią uczennice Szkoły Stepowania i Marszów Paradnych Dixie Cahill, które wystukają nam i wytupią Jingle Bells, wiem, że wszyscy to lubimy. Mamy jeszcze chór z dzwoneczkami z Pierwszego Kościoła Metodystów, który wykona dla was O północy zrobiło się jasno. Będzie dzisiaj mnóstwo dzwoneczków, ale chyba podczas świąt Bożego Narodzenia nigdy nie jest ich za dużo. Siedzi tu z nami również Ernest Koonitz, który wystąpi solo ze swoim numerem zatytułowanym... – Zamilkła na chwilę. – Niech no ktoś zajrzy do jadalni i zapyta go. – Dixie dowiedziała się i wykrzyknęła głośno tytuł, który Dorothy zaraz przekazała słuchaczom. – On zagra Radość światu, ale zanim przejdziemy do części rozrywkowej, muszę wam o czymś przypomnieć... – Matka Smith zagrała jeden czy dwa akordy melodii Święty Mikołaj przybywa do miasta. – Racja, Matko Smith, Święty Mikołaj przybywa do miasta i będzie dzisiaj stał za domem towarowym Braci Morgan i jeszcze jutro przez cały dzień, nie zapomnijcie więc przyjść i zrobić sobie z nim zdjęcia. Ja też się tam wybieram razem z Princess Mary Margaret, żeby mieć z nim wspólne zdjęcie. Pamiętajcie, cały dochód idzie na Armię Zbawienia, która robi tyle dobrego, i to nie tylko w okresie świąt, ale przez okrągły rok.

Nagle słuchacze siedzący za nią zaczęli się z czegoś śmiać, a kiedy się odwróciła, zobaczyła Świętego Mikołaja i Mikołaj ową, jak stoją na ganku i machają do niej przez okno jadalni.

– Własnym oczom nie wierzę! To przecież Święty Mikołaj we własnej osobie już tu jest!
– wykrzyknęła Dorothy.

Otworzyła okno, a wtedy Święty Mikołaj nachylił się do niej i zawołał tubalnym głosem:
– Wesołych Świąt, maleńka!

Dorothy nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Nie spodziewała się niezapowiedzianej wizyty Mikołaja, zwłaszcza takiego, który mówił głosem Bess Goodnight. Ada i Bess, które wcześniej odwiedziły szkołę podstawową, gdzie rozdawały prezenty, w drodze powrotnej zajrzały do zakładu fryzjerskiego na małą świąteczną rozgrzewkę i trochę się znieczuliły. Jako kobiety światowe i nowoczesne nieraz dołączały do chłopców, by razem z nimi wypić jednego lub dwa, a nieraz zabierały ze sobą Matkę Smith, która też lubiła od czasu do czasu wychylić miarkę ajerkoniaku z papierowego kubka.

Anna Lee wyglądała ślicznie, kiedy pojawiła się na stacji pełna wrażeń i opowieści o swoich nowych adoratorach. Nic dziwnego. Rzecz jasna, Doc czuł się uszczęśliwiony, widząc swoją jedynaczkę, swoje oczko w głowie, wyglądającą tak pięknie. Razem z nim cieszyli się wszyscy pozostali. Dorothy nie mogła się doczekać, kiedy już przyjdą do domu. Powiedziała Annie Lee, że bez względu na to, ile lat będą mieli, ona nie zaśnie spokojnie, dopóki nie zobaczy, jak jej dzieci leżą grzecznie w łózkach, zdrowe i bezpieczne.

Tego wieczoru, kiedy Dorothy jeszcze krzątała się w kuchni, Doc położył się spać.

Nakremowała twarz, zgasiła światło i położyła się przy nim. Po chwili odezwała się:

– Śpisz, Doc?

– Prawie.

– Czyż to nie był wspaniały dzień? Właściwie idealny.

– Tak.

Po chwili znów się odezwała:

– Doc, zapytaj mnie, jakie bym miała życzenie, jeżeli jedno mogłoby się spełnić.

Nie musiał pytać.

– Skończyłby w tym roku dwadzieścia sześć lat, Doc.

Odwrócił się do niej i poklepał ją po ręce.

– Wiem, kochanie.

Bez względu na to, ile lat minęło od śmierci Michaela, ich najstarszego syna, każde kolejne święta zabarwione były cichym smutkiem. Przez pierwsze dziesięć lat wszystkie Wigilie zaczynali od odwiedzenia jego grobu, który ozdabiali drzewkiem przybranym zabawkami, a w każdą Wielkanoc zostawiali tam koszyczek ze święconką. Co roku w rocznicę jego urodzin i śmierci brakowało im go coraz bardziej. Nie było dnia, by przynajmniej któreś z nich nie pomyślało: „Michael miałby sześć lat” lub dwanaście czy jeszcze więcej, w zależności od tego, która rocznica przypadała w danym roku. I chociaż nigdy z nikim nie dyskutowali na ten temat, darowizny dla uczczenia pamięci Michaela Smitha pokrywały wydatki związane z zakupem tapet i łóżek dla całego skrzydła Szpitala dla Dzieci. Większość sumy, za jaką kupiono psa przewodnika dla Beatrice Woods, pochodziła z okazałej ofiary, jaka wpłynęła w jego imieniu na rzecz Fundacji Princess Mary Margaret. I oto minęły już dwadzieścia dwa lata. Dorothy zastanawiała się, jakim byłby człowiekiem. Jaka dziewczyna by go pokochała i może do tej pory nawet wyszła za niego? Jakie miałby dzieci, czy podobne do niego? I chociaż minęło już wiele lat od jego śmierci, obraz tego dziecka ciągle był żywy w pamięci Dorothy. Nadal widziała go, jak stoi i macha do niej ręką, mały chłopczyk, który już nie żyje. Ciągle myślała o pączku, który nie zakwitł, o jajeczku, z którego nic się nie wykuło, zastanawiając się, co się z nimi stało. Czy tak po prostu znikają bez śladu i na zawsze, czy też powrócą któreś wiosny? Całymi latami doszukiwała się obrazu swojego synka w każdym napotykanym dziecku, w każdym blondynku z niebieskimi oczami próbowała znaleźć spojrzenie swego malca. Ale nigdzie go nie znalazła.

Wesołych Świąt

Dwudziestego czwartego grudnia Bobby nie mógł doczekać się nadejścia wieczoru. Od kiedy Jimmy stał się ich lokatorem, w domu Smithów zaczęto otwierać prezenty w wieczór wigilijny. Jimmy bowiem musiał zdążyć na autobus odjeżdżający kwadrans przed północą do Kansas City, by tam spędzić święta z kolegami ze szpitala weteranów. Była to korzystna odmiana, gdyż zarówno Bobby, jak i Matka Smith wiedzeni niezdrową ciekawością, widząc zapakowane prezenty, zwykle potrząsali nimi na wszystkie strony i opukiwali, tak że

mogłyby nie dotrzeć do świątecznego ranka. Ale i tak czekanie zawsze się dłużyło. Od kiedy Dorothy zobaczyła świąteczną migawkę z Joan Crawford, swoją ulubioną gwiazdą, jak otoczona dziećmi siedzi przy pianinie i wszyscy śpiewają kolędy, rodzina Smithów przejęła ten obyczaj. Od tej pory co roku po skończonej kolacji wszyscy zbierali się przy fisharmonii i śpiewali. Bobby szczerze nie znosił tego obowiązku. Jego zdaniem to tylko oddalało prawdziwy sens świąt – prezenty. A kiedy wreszcie około wpół do dziewiątej zasiedli do otwierania prezentów, zadzwonił telefon.

– Poczekajcie, zobaczę, kto dzwoni – powiedziała Dorothy, zanim podniosła słuchawkę.

– Niczego nie otwierajcie beze mnie.

„Choinka!”, pomyślał Bobby, który już-już miał rozdrzeć papier na pudełku

z wypisanym jego imieniem. Usłyszeli, jak Dorothy mówi do kogoś:

– No nie... moje ty biedactwo... Jestem pewna, że pójdzie... No jasne... Jak mi cię szkoda.

– Po skończonej rozmowie spojrzała na Doca. – To Biedna Tot. Jej matka dobrała się do zapakowanych prezentów, wyniosła je gdzieś na podwórko, a teraz nie może ich znaleźć. Pyta, czy nie poszedłbyś otworzyć dla niej drugstore’u, żeby mogła kupić parę rzeczy dla dzieci, by miały rano jakieś prezenty. Powiedziałam jej, że pójdiesz.

– Dobrze – odrzekł Doc i wstał, by się ubrać. – A wy otwórzcie swoje prezenty. Ja zaraz wrócę.

– Nie zrobimy czegoś takiego – obruszyła się Dorothy. – Nie będziemy ich rozpakowywać, dopóki nie wrócisz.

– Może tylko jedną rzecz byśmy otworzyli? – zaproponował Bobby.

– Nie, Bobby, odłóż to.

Matka Smith westchnęła ciężko.

– Biedna Tot. Haruje od rana do wieczora, a potem musi tolerować szusy swojej zwariowanej matki, do tego wychowując jeszcze dwoje dzieci. Pojęcia nie mam, jak ona to wszystko znosi.

– Ani ja – przyznała Dorothy. – Na domiar złego James wpadł na drzewo i znów wszystko sobie połamał.

Ledwo Doc dotarł do miasta, zdążył wejść do drugstore’u i pozapalać światła, Biedna Tot zaraz się tam pojawiła w kordonkowej sukience, kapciach i z udręczonym wyrazem twarzy – jak ostatnio, kiedy wydarzyła się podobna historia. Przejrzeli półki i wybrali dla

siedmioletniej Darlene lalkę Sparkle Plenty oraz zapinki do włosów, a dla Dwayne'a juniora, który miał dwa i pół roku, parę pluszowych zwierzątek. Krążyli między regałami, rozglądając się, co by tu jeszcze wybrać, wtedy Biedna Tot wzięła do ręki przezroczystą plastikową portmonetkę i powiedziała:

– Nie wiem już, co robić, zacząć krzyczeć czy rzucić się z okna. James szybciej wydaje pieniądze, niż zdążę je zarobić. Ja czeszę przez cały dzień, a on w jeden wieczór wszystko przepija.

Doc poradził jej to, co zawsze:

– Wiesz, co powinnaś zrobić? Rzucić łobuza, i tyle.

Tot popatrzyła na niego i odpowiedziała też to, co zawsze mówiła:

– Wiem, że powinnam, ale jeśli ja się nim nie zajmę, to kto? Przecież nikt z nim nie wytrzyma.

Kiedy Tot odeszła, rozplywając się w podziękowaniach, Doc musiał zostać jeszcze trochę, bo do drugstore'u wpadło niespodziewanie parę osób, chcących też kupić coś w ostatniej chwili. Nie wziął jednak od nich zapłaty.

– W Wigilię wszystko jest za darmo – powiedział.

Dopiero po godzinie wrócił do domu. Nareszcie Bobby mógł rzucić się do otwierania wielkiego pudła z prezentem od rodziców. Wewnątrz znajdował się adapter, a do tego dostał od babci dwie płyty, o których marzył: Jadą muły i Duchy jeźdźców na niebie.

I ciepłą bieliznę.

Od Jimmy'ego dostał pieniądze, od Betty Raye książkę, a od Anny Lee oryginalny hełm tropikalny Jungle Jim, czym sprawiła mu prawdziwą niespodziankę.

Dorothy dostała szlafrok, kameę i nowe firanki. Doc – nową fajkę, piżamę, kaptcie i przybornik wędkarza od Bobby'ego. Prezenty dla Matki Smith to chusteczki do nosa, perfumy i piękny komplet kart do gry w pudełeczku. Jimmy jak co roku dostał swój przydział dwunastu kartonów cameli oraz obcinacz do paznokci od Bobby'ego. Dziewczęta dostały również perfumy, ubrania, trochę gotówki, obcinacze do paznokci od Bobby'ego, a od Dorothy albumy do wycinków. Minnie i Ferris Oatmanowie, którzy pojechali na świąteczne śpiewy do Karoliny Północnej, przysłali Betty Raye oprawny w białą skórę egzemplarz Biblii z jej imieniem i nazwiskiem wytłoczonym złotymi literami na okładce. Betty Raye rozwinęła także paczuszkę ze śliczną jedwabną apaszką; na bileciku wprawdzie widniało jej imię, ale nie było żadnej informacji, kto jest ofiarodawcą. Później wszyscy usiedli na ganku

w oczekiwaniu na autobus, który zjechał punktualnie piętnaście minut przed północą, a wtedy Jimmy wsiadł i odjechał.

Jak zwykle Dorothy najdłużej była zajęta w kuchni, a kiedy wszystko pokończyła, przeszła do saloniku pogasić lampki na choince. Zatrzymała się na chwilę, patrząc, jak mrugają, pulsują i kipią bąbelkami. Wyglądały tak ładnie, że postanowiła zostawić je zapalone na całą noc.

Wuj Floyd wpada w szal

Dwa dni po świętach Dorothy właśnie była na antenie, kiedy zadzwonił telefon. Betty Raye, która akurat tamtędy przechodziła, podniosła słuchawkę i ku wielkiemu zaskoczeniu usłyszała swoją matkę. Minnie Oatman zamówiła rozmowę międzymiastową z kancelarii Ewangelicznego Kościoła Baptystów w Talladega w Alabamie. Jej głos zdradzał załamanie nerwowe.

– Och, Betty Raye, słoneczko, stało się coś okropnego, przygotuj się na złe nowiny.

– Mamo, co się stało?

– Słoneczko, wczoraj wieczorem Chester gdzieś zginął. Nie ma go, a Floyd zamknął się w męskiej toalecie, bluźni i powiada, że nie wyjdzie.

– W jakiej męskiej toalecie? – zapytała Betty Raye.

– Tu, nad lokalem rybnym. Jak raz zjadał krewetki, wesolutki jak ptaszek, aż tu nagle widzimy: Floyd lata po całym parkingu, wrzeszcząc jak opętany. W ciągu tego czasu, ile trzeba na zjedzenie dwunastu smażonych krewetek, ktoś zakradł się i rąbnął Chestera wprost z jego pudła, w biały dzień. Porwanie, tak jak tego dzieciaczka Lindbergerów. Potem to już tylko wiadomo było, że Floyd zamknął się w klozecie i odgrażał, że się utopi. Wszyscy próbowali mu wybić to z głowy, Beatrice i każdy jeden, ale nic go nie ruszało. Chłopcy chcieli dostać się do niego przez okno, ale on oblał ich wodą i nie wpuścił. Musieli go zostawić, żeby iść na ostatni występ. Floyd zaszył się tam, a tata wychodzi z siebie. Toć na cały tydzień jesteśmy porezerwowani.

– To co zrobicie, mamusiu?

– Teraz dogląda go policja stanowa. Jeśli Chester się nie znajdzie, to twój wujek może w ogóle stamtąd nie wyjść, to nawet do niego podobne.

– Uderzyła w lament. – Biedny nasz Chesterek, kto mógł ukraść naszą kukiełkę? Muszę

iść, twój tata na mnie czeka... Módl się za nas, dziecino – powiedziała jeszcze i odłożyła słuchawkę.

Następnie Minnie i Ferris utworzyli w restauracji krąg modlitewny, a tymczasem po całym stanie został rozesłany ośmiopunktowy biuletyn o zaginionym: „Kto widział? Zaginiony: kukła brzuchomówcy znana jako Chester, kukła cytująca Pismo Święte. Jasna peruka, niebieskie oczy, piegi. Po raz ostatni widziano go w samochodzie na parkingu restauracji rybnej Wentzela przy autostradzie nr 21. Miał na sobie strój kowbojski i kowbojski kapelusik”.

Ferris był przekonany, że zniknięcie Chestera to sprawka diabła, natomiast trzon ortodoksyjny zgromadzenia brał pod uwagę możliwość wniebowstąpienia w trakcie ekstazy. Bervin, Vernon i Beatrice nie wiedzieli, co robić, a Minnie po prostu modliła się bez przerwy, wierząc, że Chester się znajdzie. Floyd przebywał w męskiej toalecie restauracji rybnej Wentzela przez siedemdziesiąt dwie godziny, do czasu aż wreszcie Chester został odnaleziony, zdrów i cały.

Jak się okazało, był to nieszkodliwy, głupi żart. Przejeżdżająca tędy inna grupa gospel spostrzegła samochód Oatmana, a wiedząc, jak bardzo Floyd jest przywiązany do kukły, ktoś z tej grupy dostał się do bagażnika i wyciągnął Chestera. Chester odbył z nimi podróż do Marianny na Florydzie, gdzie kupili mu ulgowy bilet na autobus Greyhounda i odesłali z powrotem.

Tego wieczoru w Loxley w Alabamie Chester wrócił na scenę i zaśpiewał: Jadąc przez góry i lasy do Jezusa oraz Kiedy nastał czas.

– Chwalić Pana Boga, że on jest znowu z nami – powiedziała uradowana Minnie, dzwoniąc do Dorothy. – Po prostu wiedziałam, że Pan nie opuści nas w potrzebie... Mówię ci, Dorothy, aż mnie coś ścisnęło w sercu, kiedy zobaczyła Chesterka w autobusie. Tak jak mówi Biblia: „Kto by utracił... najdzie...”

Wieczorem Dorothy wyznała Matce Smith:

– Może ona jest hałaśliwa i kaleczy język, ale gdybym chciała, by ktoś się pomodlił za mnie czy za kogoś mi bliskiego, Minnie Oatman byłaby pierwszą osobą, do której bym się z tym zwróciła.

Luty, miesiąc miłości

Jak się okazało, cafeteria Trzy Małe Świnki nie tylko wniosła do miasta dobre jedzenie, ale też romantyczne uczucia. Nowi właściciele z St. Louis mieli córkę, która obecnie chodziła do szóstej klasy razem z Bobbym. Z ojca Włocha i matki Greczynki zrodziła się Claudia Albetta – czarnooka piękność o oliwkowej cerze, przez którą wkrótce wszyscy chłopcy zaczęli się głupio zachowywać. W miasteczku zamieszkanym głównie przez potomków Szwedów, Norwegów i Irlandczyków Claudia wydawała się stworzeniem egzotycznym i zjawiskowym, jak połączenie Yvonne De Carlo i Dorothy Lamour. Nie minął luty, jak Bobby wpadł po uszy. Już z samego jego zachowania można było się domyślić, że coś się dzieje. Po pierwsze, zaczął wcierać we włosy ogromne ilości Wildroot Cream Oil, a po drugie, włożył nowiutką, lśniącą dziesięciocentówkę do życzeniowego ciasta.

Kiedy Dorothy wróciła ze sklepu warzywnego, ze zdziwieniem zobaczyła, że Bobby siedzi w kuchni przy stole zarzuconym pocztówkami, których kupił całą paczkę w sklepiku z towarami po dziesięć centów.

– Jeszcze żadnej nie wybrałeś?

– Nie – odpowiedział, odsuwając je od siebie. – Te są takie naiwne. Ja szukam czegoś odpowiedniego.

– Mogę wiedzieć, dla kogo ma być ta walentynka? Czy to zbyt osobiste pytanie?

– Dla Claudii Albetty – odpowiedział i zaraz dodał: – To nie był mój pomysł, żeby wysyłać jakieś głupie kartki. Panna Henderson kazała nam losować nazwiska z kapelusza, bo chciała mieć pewność, że każdy w klasie dostanie walentynkę.

– Miałeś szczęście, że wylosowałeś dziewczynę, która ci się podoba.

– Nie wylosowałem jej – przyznał się Bobby. – Monroe dostał ode mnie finkę i indiańską bransoletkę, żeby się ze mną zamienił. Ona jemu też się podoba czy coś w tym rodzaju.

– O, rozumiem. – Usiadła przy nim. – Masz tu duży wybór. – Przejrzała pocztówki i wybrała jedną. – Ta jest ładna, z koszem pełnym małych kotków, nie sądzisz?

Bobby popatrzył jeszcze raz uważnie.

– Wolałbym coś poważniejszego.

– A, rozumiem. – Przetasaowała kartki i wybrała inną, z amorkiem, przyjrzała się jej, po czym odłożyła. – Nie, takiej byś nie chciał, potrzebujemy czegoś pośredniego między walentynkami dla dorosłych i dziecinnymi. Nie może być naiwniutka, ale też i niezbyt cikliwa.

– Wybrała następną pocztówkę. – Zobaczmy tę. Nie, ta się też nie nadaje. A ta? Co powiesz o tej? Niewyszukana, prosta. Ładne serduszko i bezpretensjonalna treść: „Jesteś dla mnie

idealną walentynką. Zostań moja”.

Bobby wziął z jej rąk pocztówkę i uważnie jej się przyjrzał.

– Naprawdę myślisz, że ta jest dobra?

– Tak, w dobrym guście, nie mówi wszystkiego, ale wystarczająco.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Bobby z zadowoloną miną wziął pióro i napisał pod spodem: „Zgadnij od kogo”. Jego matka spojrziała na podpis.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że po to zadaliśmy sobie tyle trudu, żebyś nawet nie ujawnił swojego imienia?

Bobby wpadł w popłoch.

– Nie chcę, żeby wiedziała, że to ode mnie! A poza tym my się nie podpisujemy.

– To może jakaś lekka aluzja, co ty na to? To chyba jest dopuszczalne?

– Na przykład jaka aluzja?

– Nie wiem. Może opisowa.

– To znaczy jaka?

– Mógłbyś na przykład napisać: Od twójgo wielbiciela, chłopca z ciemnymi włosami.

– Ojej, mamo, to głupie.

– Wcale nie. Przemyśl to. A tobie byłoby miło, gdybyś się podobał jakiejś dziewczynce i nie wiedział nawet której? W takich sytuacjach trzeba zdobyć się na odwagę. Pamiętaj, uczuciom trzeba dać szansę.

– A jeśli ona wyrzuci kartkę albo coś w tym rodzaju?

– Na litość boską, Bobby, można by pomyśleć, że nagle stałeś się nieśmiały i chcesz się wycofać. Co się z tobą dzieje?

Bobby rozmyślał nad tym przez dłuższy czas. Potem zebrał całą odwagę, jaką miał w sobie, a nawet posunął się krok dalej, i odrzucając wszystkie niedawne obiekcje, napisał: „Od chłopca w trzecim rzędzie, co ma ciemne włosy i piwne oczy”.

Następnego ranka Dorothy powiedziała do swoich słuchaczy: – Jeśli stoicie, to usiądźcie, ponieważ nigdy nie myślałam, że dożyję dnia, w którym Bobby sam, bez przypominania, wstanie i uczesze się. No i czy miłość nie jest darem? Mówię to na podstawie własnego doświadczenia. Od lat chciałam mieć w ogródku bujaną ławeczkę, taką Bujawkę dla Dwojga,

nie wiem już, ile razy mówiłam o tym Docowi: „Czy miejsce pod grabem nie byłoby wprost wymarzone na Bujawkę dla Dwojga, skąd moglibyśmy patrzeć na pola i oglądać zachód słońca?” Czy uwierzycie mi, kiedy wam powiem, że wczoraj rano, tuż po naszej audycji, wyglądam na ogródek i co widzę? Glenn i Macky Warren instalują nowiusieńką Bujawkę dla Dwojga. Glenn mówi: „Przysłał nas tu Doc i kazał życzyć szczęśliwych walentynek”. Tak więc młodzi ludzie nie mają monopolu na miłość. – Matka Smith zagrała parę taktów piosenki Tylko ze mną siadaj pod jabłonką. Sąsiadka Dorothy zachichotała: – Racja, Matko Smith. Tylko ze mną siadaj pod jabłonką, z nikim innym, słyszysz, Doc?

Bobby wiercił się w ławce przez cały dzień, czekając z niecierpliwością na rozpoczęcie uroczystości walentynkowych. Wreszcie weszła panna Henderson, rozdała ciasteczka i walentynki. Kiedy wywołała Claudię Albettę, Bobby udawał, że rozgląda się po klasie, ale w rzeczywistości pilnie obserwował, jak Albetta siada i otwiera kopertę. Potem obróciła się, uśmiechnęła i wdzięcznie pomachała.

Bobby też się uśmiechnął w odpowiedzi i pomachał, ale ona go nie widziała. Uśmiechała się do chłopca, który siedział trzy rzędy za nim, też miał ciemne włosy i piwne oczy, o czym Bobby nie pamiętał. Choinka.

Kiedy wrócił do domu, Dorothy czekała na niego przy wejściu.

– No i? – zapytała.

– Mówiłem ci, że to głupi pomysł. Teraz jej się podoba Eugene Whatley.

– Ojej – zmartwiła się Dorothy.

Kiedy zaprzyjaźniony z nimi pan Charlie Fowler, inspektor od drobiu, przyjechał do nich na proszony obiad, pierwsze pytanie, jakie zadał, dotyczyło Anny Lee, jak jej się powodzi w szkole.

– Wspaniale – odpowiedziała Dorothy. – Mówi, że cieszy się każdą spędzoną tam chwilą.

– A co u młodego Roberta?

Dorothy potrząsnęła głową.

– Obawiam się, że młody Robert ma problemy sercowe, przy czym dodatkową komplikację stanowi błędna identyfikacja.

Claudia Albetta nie była jedyną osobą, która tego roku popełniła błąd w identyfikacji.

Betty Raye, która rano znalazła wsuniętą pod drzwi kartę walentynkową, a poprzedniego dnia wieczorem widziała Bobby'ego w kuchni, uznała, że kartka pochodzi właśnie od niego.

A Bobby zastanawiał się, dlaczego ucałowała go bez powodu. Oprócz pudełka słodczy od Doca i Dorothy nie dostał niczego więcej na tegoroczne walentynki.

Jeszcze jedna absolwentka

Czas od lutego do maja płynął bardzo szybko wszystkim z wyjątkiem Bobby'ego. Te trzy miesiące wydawały mu się długie jak całe dziesięciolecie; pod koniec roku szkolnego czuł się już jak zwierzę w klatce, chcące wreszcie wyrwać się stamtąd. Dorothy z wielkim trudem udało się wbić go w garnitur i skłonić do nałożenia krawata na uroczyste zakończenie ostatniego roku szkolnego w liceum Betty Raye. Dorothy chciała mieć pewność, że każdy będzie podkreślał wagę tego wydarzenia. Na uroczystość stawiała się cała rodzina, łącznie z przyjaciółmi, takimi jak Monroe, którzy przyszli współuczestniczyć w obchodach. Bili brawo, wznosili okrzyki, a Jimmy nawet zagwizdał, kiedy wymienione zostało nazwisko Betty Raye. Dorothy martwiła się, że Betty Raye nie jest tak popularna w szkole jak jej koleżanki i może czuć się osamotniona tego dnia, zwłaszcza gdy okazało się, że Oatmanowie nie mogli przyjechać w tym terminie, chciała więc zrobić wszystko, by dziewczyna czuła wokół siebie życzliwych ludzi. Kiedy skończyły się oficjalne uroczystości i wszyscy otoczyli ją kołem, by złożyć gratulacje, podeszły do nich dwie dziewczyny, pytając, czyby nie poszła z nimi do Kaskady.

– Chyba nie – odpowiedziała Betty Raye, a Dorothy, niewiele myśląc, zaprotestowała:

– Ojej, Betty Raye, nie możesz nie pójść na zabawę z takiej okazji. Dlaczego nie chcesz? Na pewno będziesz się świetnie bawiła.

– No pewnie – poparła ją jedna z dziewcząt. – Nie musisz się umawiać. Ale jak chcesz, to chodź z nami.

– Mogę iść z tobą, jeśli się zgodzisz – zaofiarował się Bobby.

Dziewczęta nie czekały na odpowiedź.

– Zadzwoń do nas, jeśli zmienisz zdanie.

Przez całą drogę powrotną Dorothy musiała gryźć się w język, żeby nie powiedzieć czegoś więcej na ten temat, ale powstrzymała się od dalszych komentarzy. Wprawdzie obiecała kiedyś, że Betty Raye nie będzie musiała robić niczego, na co nie ma ochoty, ale mimo to przykro jej było na samą myśl, że dziewczyna miałyby opuścić wieczorną imprezę. Wcześniej już nie poszła na studniówkę. Wprawdzie pewien chłopak zaprosił ją na zabawę,

ale powiedziała mu, że nie mogłaby tańczyć, więc zaprosił kogoś innego. W dniu studniówki została w domu i zajęła się swoim albumem z wycinkami. Sprawiała wrażenie, że jej to nie przeszkadza, za to Dorothy okropnie się z tym czuła. A teraz jeszcze Betty Raye miałyby nie pójść na bal absolwentów.

Później, kiedy wszyscy odpoczywali na ganku, a Dorothy i Matka Smith siedziały w kuchni przy kawie, Dorothy powróciła do tego tematu:

- Tak mi przykro z jej powodu – powiedziała – ale pojęcia nie mam, co robić.
- Dlaczego, czy ona coś mówiła na temat swoich rodziców, że nie mogli przyjechać?
- Nie, nie o to chodzi. Ona nigdy nic nie mówi na ten temat. Tylko kiedy weszłam do jej pokoju, zobaczyłam, że siedzi tam samiuteńka nad swoim albumem, podczas gdy wszyscy inni świetnie się bawią.
- Może ona lubi zajmować się swoim albumem z wycinkami?
- A wiesz, co tam wkleja? Zdjęcia domów, które wycina z kolorowych czasopism.
- Domów? Dlaczego domów?
- Ponieważ, jak mówi, o niczym bardziej nie marzy, jak właśnie o tym.
- Zdjęcia aktorek, to rozumiem, ale domów? Jakiego rodzaju to są domy?
- Małe domki. Ma ich chyba około setki wklejonych do zeszytu.
- I dlatego ci jej żal?
- Nie, nie dlatego. Ale mam wrażenie, że jest jej smutno z jakiegoś powodu. Nie widać tego na pierwszy rzut oka, to tkwi w niej gdzieś głębiej, nawet nie wiem, jak to nazwać. – Dorothy odwróciła wzrok, a jej oczy napęchły się łzami. – Czasami, kiedy na nią patrzę, widzę, że jest jak zagubiony piesek, który błąka się sam po świecie. Wtedy serce pęka mi z żalu.

Matka Smith wyjęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i podała ją Dorothy.

- Przepraszam – powiedziała Dorothy. – Nie chciałam się tak rozklejać.
- Nic nie szkodzi, kochanie. Jesteś po prostu przewrażliwiona na punkcie tej dziewczyny. Uważam, że jest jej u nas dobrze.

Dorothy otarła oczy.

- Tak myślisz?
- Tak. Sądzę, że jest szczęśliwsza z nami niż ze swoją rodziną.
- Naprawdę tak myślisz?
- Zdecydowanie tak.

– Cóż, pewnie się myliłam – przyznała Dorothy. Wytarła nos i dodała: – Przynajmniej taką mam nadzieję.

Następny przypadek pomylenia osób

Dorothy nie myliła się. Betty Raye naprawdę była smutna. I rzeczywiście czuła się zagubiona w świecie, tylko nie wiedziała dlaczego. Miała też wyrzuty sumienia, że nie jest podobna do reszty Oatmanów i Varnerów i że sprawia im zawód, nie będąc jak oni dobrą pieśniarką ani też osobą łatwą w obejściu. Kochała swoją rodzinę, ale czasami wydawało jej się, że ślepy los zrządził, iż znalazła się wśród obcych sobie ludzi, jakby zesłana tam z innej planety. Nie było żadnego rozsądnego powodu, żeby tak myślała ani żeby zawsze i wszędzie czuła się obco. Ale od kiedy sięga pamięcią wstecz, zawsze towarzyszyło jej takie poczucie obcości.

Betty Raye nie wiedziała o tym, ale istniał prawdziwy powód, dla którego mogła się czuć inna od Oatmanów i Varnerów. Bo rzeczywiście była inna. W gruncie rzeczy nie łączyło ich nawet dalekie pokrewieństwo. Byli sobie najzupełniej obcy. Wprawdzie nawet Minnie Oatman święcie wierzyła, że przed siedemnastoma laty urodziła właśnie tę dziewczynkę, ale myliła się. Życie nieraz bywa bardziej niezwykle niż powieściowe wątki.

W ostatnim miesiącu ciąży Minnie, Ferris i chłopcy mieszkali w Sand Mountain razem z jego ojcem i matką, a kiedy nadszedł czas rozwiązania, wszyscy wgramolili się do samochodu i pojechali do Birmingham, gdzie Minnie przyjęto do szpitala Hillmana. 9 listopada 1931 roku w ciągu niespełna pół godziny przyszła na świat trójka dzieci. Chłopczyk, nazwany Jesse Bates, dziewczynka, którą nazwano Carolina Lee Sizemore, i Betty Raye Oatman urodzili się tej samej nocy. Wtedy na czwartym piętrze personel szpitala miał pełne ręce roboty, a sytuacji nie poprawiał fakt, że cały klan Oatmanów i Varnerów, łącznie z Floydem i jego kukłą Chesterem, właściwie oblegał oddział położniczy jak jacyś najeźdźcy. Brat Ferrisa Oatmana, Le Roy, który w tym czasie śpiewał jeszcze gospel z rodzinnym zespołem, zaprosił swoich przyjaciół z folklorystycznego zespołu w Birmingham, występujących w programie radiowym Country Boy Eddie, na imprezę w szpitalu. Oprócz więc normalnego rozgardiaszu, jaki zazwyczaj panował na oddziale położniczym wielkomijskiego szpitala, w poczekalni grał zespół ludowy, a mali Oatmanowie i ich kuzyni biegali w tę i z powrotem po całym hallu, krzycząc i głośno się nawołując. Niezależnie od

tego rozgardiaszu, dodatkowo przejęta faktem, że oto widzi na własne oczy prawdziwe gwiazdy muzyki country, jak Eddie Boy i jego przyboczny Butter Bean, pielęgniarka Ethylene Buck zupełnie straciła głowę tego wieczoru. I tak była zdenerwowana, tym bardziej że na oddziale położniczym pracowała dopiero drugi tydzień, na dobitkę zaś wręczono jej jednocześnie trójkę noworodków do zważenia i umycia, po czym odpowiednio przygotowane miały być pokazane matkom. Do tego jeszcze za szybą stał jakiś mężczyzna i potrząsając kukłą, poruszał brwiami i pohukiwał: „Hu, hu, hu!” Chester tłukł swoją drewnianą głową w szybę, usiłując zwrócić na siebie uwagę. I niestety zwrócił. Siostra Buck, wyprowadzona z równowagi, założyła bransoletkę dziewczynki Sizemore’ow na rączkę Oatmanówny, a identyfikator Oatmanówny na rączkę córeczki Sizemore’ow.

Pani Kathrine Sizemore, jasnowłosa i piękna młoda żona prominentnego prawnika w Montgomery, zobaczywszy dziecko, które jej przyniesiono, zdziwiła się, że maleństwo ma ciemne włosy. Podobnie zdziwiona była Minnie Oatman, widząc, że jej dzieciątko ma jasne włosy. Natychmiast zwróciła na to uwagę Ferrisowi:

– Jakie to maleństwo bledziutkie! I spójrz, jakie ma małe uszka!

Gdyby ktoś wiedział o pomyłce, jaką owego wieczoru popełniła siostra Buck, osiemnaście lat później nie dziwiłby się tak bardzo, że krępa, grubokoścista dziewczyna o kruczoczarnych włosach z trudem usiłuje wbić się w biały wieczorowy strój, w którym miała po raz pierwszy wystąpić w Country Club w Montgomery. Oczywiście rodzice uwielbiali ją, ale w głębi ducha dziwili się, dlaczego – mając wysoką, szczupłą i pełną wdzięku matkę – Carolina za każdym razem, kiedy usiłuje wykonać głęboki ukłon do ziemi, pada niezgrabnie jak kluska. Tak samo Oatmanowie nie mogli się nadziwić, dlaczego Betty Raye ma trudności z utrzymaniem tonacji. Ale co się stało, to się nie odstanie. Taki jest los. Podczas gdy Carolina przygotowywała się do oficjalnego zaprezentowania śmietance towarzyskiej Montgomery jako najbardziej obiecująca panna na wydaniu, Betty Raye, która powinna być na jej miejscu, w tym czasie o wiele mil stamtąd ubiegała się o posadę sprzedawczyni jarzyn w kafeterii Trzy Małe Świnki.

Betty Raye chciała iść do pracy po skończeniu szkoły, ale nie mogła podjąć się zajęcia, które wymagałoby łatwości nawiązywania kontaktów lub jakichkolwiek zdolności towarzyskich. Praca w kafeterii wydawała się dla niej odpowiednia. Dziewczyna miała tylko stać za kontuarem i odmierzać porcje jarzyn wskazanych przez klienta. Nie musiała wiele rozmawiać z ludźmi; kiedy więc dostała to zajęcie, była całkiem zadowolona. Obecnie jej

świat sprowadzał się do nakładania fasolki, okry, kukurydzy z masłem czy co tam akurat przewidywał jadłospis na ten dzień, po czym szła do domu. Nieświadoma faktu, że mogłaby być młodą damą, cieszyła się z tego, że jest dziewczyną od nakładania jarzyn. Kto wie zresztą, kiedyś może dojdzie do deserów.

Tego lata Anna Lee została w Chicago na praktykach studenckich, Bobby natomiast po walentynkowym niepowodzeniu na zawsze wyrzekł się dziewczyn. Albo chodził popływać na basen, albo czytał kowbojskie powieści Zane'a Greya, które Betty Raye przynosiła mu z biblioteki. Tak wciągnęła go ta lektura romantycznych opowieści z Dzikiego Zachodu, że do czerwca zdążył przeczytać wszystkie, od Jeźdźców purpurowego stepu do Niezwykłego stada, czerpiąc niemalą pociechę z faktu, że większość prawdziwych kowbojów nie miała swoich dziewczyn.

Kręglarki

Kiedy załadowany paniami samochód zajechał pod dom i zatrąbił, Dorothy zawołała:

– Kochanie, to twoja drużyna kręglarska.

W okamgnieniu Betty Raye wybiegła już ubrana, powiedziała zebrany do widzenia i zbiegła po schodach. Wszyscy łącznie z Monroe'em siedzieli na ganku i jedli lody, Bobby pomachał w stronę auta i rzucił:

– Powodzenia!

– Dziękujemy – odpowiedziały i odjechały.

Kiedy skręciły za róg, Doc wstał, podszedł do narożnika, gdzie wystukał popiół ze swojej fajki, po czym zauważył:

– Cieszę się, że ją zaprosiły. Powinna mieć jakieś rozrywki od czasu do czasu.

Jimmy skinął głową.

– Aha. To dobre dla niej.

Dorothy wstała, żeby odnieść swoją miseczkę do kuchni.

– Też tak myślę – powiedziała. – Z przykrością patrzę, jak ona siedzi w domu bez przerwy, taka młoda dziewczyna.

– Bardzo bym chciała – dorzuciła Matka Smith – żeby jakiś tutejszy chłopiec zaczął się z nią umawiać. Ktoś w jej wieku.

Jimmy chrząknął.

– Jeśli chcecie znać moje zdanie, to ja tu nie widzę nikogo, kto by był jej wart.

Monroe, obnosząc swoją nową fryzurę, świeżo przyciętego jeża, wyrwał się:

– Ja ją gdzieś zaproszę... jeśli będzie płaciła za wszystko. – Wyobrażając sobie, że powiedział najśmieszniejszą rzecz pod słońcem, szturchnął Bobby’ego w zębra, jakby stymulując jego śmiech. Jego rude włosy wyglądały niczym druciki wyskakujące mu z głowy. Bobby oddał mu kuksańca.

– Ona by z tobą nigdzie nie poszła, ty wszarzu.

– Teraz wiesz, co miałem na myśli – powiedział Jimmy do Doca.

Nigdy się do tego głośno nie przyznawał, ale uważał, że gdyby był trochę młodszy i gdyby nie ten wypadek z nogą, sprawy potoczyłyby się zgoła inaczej. Zastanawiał się, dlaczego chłopcy, którzy durzyli się w Annie Lee i na których ona nie zwracała większej uwagi, nie interesowali się Betty Raye. Myślał o nich z niesmakiem. Kiedy Jimmy wsunął pod jej drzwi walentynkową kartkę, pomyślał sobie wtedy, że skoro miejscowi amanci są tak głupi, że nie widzą, jaka z niej świetna dziewczyna, to już jego w tym głowa, żeby ona dowiedziała się, że jest w mieście przynajmniej jedna osoba, która ciągle o niej myśli. Jimmy nie mylił się też co do kręgli, ta gra dobrze jej robiła. Przed kilkoma miesiącami, kiedy Ada i Bess Goodnight przyszły namawiać ją na przyłączenie się do drużyny kręglarskiej pań z Elmwood Springs, Dorothy i Matka Smith też ją zachęcały. Wbrew początkowym oporom Betty Raye, Adzie i Bess udało się ją w końcu namówić. Ada, masywniejsza z sióstr, pracowała kiedyś w biurze rekrutacyjnym WASP-ów* i wiedziała, jakich użyć argumentów. Ostatecznie Betty Raye nie mogła powiedzieć „nie”. Bo zgodnie z tym, co Ada mówiła, byłoby to niepatriotyczne, nieamerykańskie i uwłaczające całej płci niewieściej, gdyby się do nich nie przyłączyła.

Mimo że Betty Raye weszła do składu drużyny w ostatniej chwili i nigdy przedtem nie grała w kręgle ani nie uprawiała żadnego sportu, ku swojemu zdziwieniu – i w przeciwieństwie do pozostałych Oatmanów – okazała się urodzoną lekkoatletką. Miała wdzięczne i skoordynowane ruchy, a po kilku lekcjach, jakich udzielił jej Doc, zaczęła całkiem nieźle grać w kręgle. Ada i Bess, a także ich najmłodsza siostra Irene, którą nazywano Irene Dobranocka, też były dobre. Nikt jednak nie był tak dobry jak Tot Whooten. Samo wymówienie jej imienia wzbudzało strach wśród drużyn przeciwników. Znana była w okolicy jak „Straszna Tot, leworęka kręglarka z piekła rodem”. Tego wieczoru jechały do nowo otwartej kręgielni w East Prairie. Verbena, najbliższa sąsiadka Tot, miała zostać

z Darlene i Dwayne'em juniorem, jak również przypilnować jej matki, tak że Tot mogła pojechać. Chodziło o mistrzostwa okręgu.

To była ostatnia chwila, żeby wygrać. Bombowce Elmwood Springs prowadziły wyrównaną walkę ze Żbikami New Madrid. Ale kiedy ostat-

* WASP – White Anglo-Saxon Protestant, członek amerykańskiej białej elity pochodzenia anglosaskiego.

nia Żbiczka straciła punkt, otworzyła się szansa na zwycięstwo dla drużyny przeciwnej.

Atmosfera była napięta. Irene Dobranocka zwała wszystkie kręgle dwoma rzutami i gdyby Tot udało się zwalić wszystkie kręgle za jednym zamachem, zarobiłaby dodatkowy punkt i ich drużyna by wygrała. Szmer przebiegł przez klimatyzowaną salę zazwyczaj pełną gwaru. Tot, ubrana w brązowe spodnie, świeżo wyondulowana specjalnie na tę okazję, skupiła na sobie wszystkie spojrzenia. Ogarnęła wzrokiem kręgle, odłożyła papierosa, podeszła bliżej, sięgnęła do worka z talkiem, chwilę ważyła w ręku kulę, po czym uniosła ją przed siebie, całą siłą woli skoncentrowała się na miejscu, które miała trafić, wzięła głęboki oddech i cisnęła.

W tej samej chwili, kiedy kula wymknęła się z jej ręki i potoczyła torem, Tot wiedziała, co się dzieje. Pod wpływem presji, że od tego jednego rzutu zależy zdobycie mistrzostwa, tak mocno wcisnęła palce w otwory kuli, że razem z kulą torem potoczyła się też jej ślubna obrączka. Nie tylko nie udało jej się zbić wszystkich kręgli, ale jeszcze nadwreżyła sobie palec i cała drużyna przez kilka godzin musiała szukać jej obrączki. Przy świetle latarki sprawdzili około czterystu kul, aż wreszcie Betty Raye ją wypatrzyła. Ale choć znaleziona, obrączka za nic nie dała się wyjąć i Tot musiała kupić kulę, żeby odzyskać też ślubną obrączkę.

Ale i to okazało się niełatwe. Właściciel kręgielni, facet z byczym karkiem, patrzył na Tot podejrzliwie.

– A skąd ja mam wiedzieć, że to jest akurat panina obrączka?

Tot nie wierzyła własnym uszom. Ujęła się pod boki i patrząc mu prosto w oczy, zapytała:

– A ile pan zna osób, które mają wygrawerowane na obrączkach: JAMES I TOT WHOOTEN NA ZAWSZE?

Betty Raye wiedziała, że to nie było śmieszne, ale nie mogła się powstrzymać od śmiechu i musiała odejść na chwilę. Tot nie dała za wygraną i nie popuściła właścicielowi ani na jotę. Powiedziała, że nie wyjdzie bez obrączki, nawet gdyby miała spędzić tu całą noc. W końcu sprzedał jej kulę, a ona wyszła stamtąd, fukając, a za nią cała drużyna, zarzekając się jednocześnie, że nigdy już nie będą grać w kręgle. Podczas drogi powrotnej do miasta nikt nie odważył się roześmiać, choć wymagało to dużego opanowania.

Było już późno, kiedy Betty Raye wróciła do domu. Dorothy, która nigdy nie mogła zasnąć, dopóki wszyscy domownicy nie znajdowali się bezpieczni pod dachem, słyszała, jak Betty Raye wchodzi i śmieje się przez całą drogę do swego pokoju. Na pewno wygrali, pomyślała Dorothy, przekręcając się na drugi bok.

Nazajutrz Tot poszła z kulą do sklepu żelaznego, gdzie Macky wszelkimi sposobami próbował wydłubać obrączkę za pomocą przeróżnych śrubokrętów, młotków i obcęgow, ale bezskutecznie. Wreszcie się poddał:

– Pani Whooten – przyznał. – Nie wiem, jak to pani powiedzieć, ale skurczybyk utknął tu na dobre.

– W każdym razie dziękuję, Macky – odrzekła. Wzięła swoją kulę i wróciła do domu. Zgodnie z zapowiedzią na tym zakończyła się krótka, ale barwna kariera „Strasznej Tot, leworękiej kręglarki z piekła rodem”.

– Możecie mi nie wierzyć, ale to była jedyna konkurencja, w jakiej byłam dobra.

Przepadła nie tylko jej kariera zawodnicza, ale też dwutygodniowy zarobek.

– Nie można przecież nakręcać włosów zwichniętym palcem – powiedziała.

Zawody

Kiedy Bobby zadzwonił do drugstore’u, telefon odebrała Bertha Ann.

– Słucham, Rexall.

Wtedy Bobby głosem, tak mu się przynajmniej wydawało, brzmiącym jak głos dorosłego mężczyzny, zapytał:

– Czy jest u was Prince Albert* w puszcze?

– Owszem – odpowiedziała.

– To go wypuście, bo się udusi.

Zanim Bobby odłożył słuchawkę, Bertha Ann usłyszała w tle śmiech Monroe’a.

Nudzili się jak mopsy. Oprócz tego, że zostali przyłapani, jak w gabinecie Doca przeglądali „National Geographic” w poszukiwaniu zdjęć kobiet z afrykańskich plemion z nieosłoniętymi piersiami, oraz oprócz wizyt u doktora Orra, który założył Bobby’emu trzy plombę, przez całe lato nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Ale w życiu jak w pokerze, nieoczekiwanie karta może się odwrócić i odmienić na zawsze czyjś los. A jeśli nawet nie na zawsze, to przynajmniej w taki sposób, że zaczyna się inaczej postrzegać siebie w wielkim świecie. Dla Bobby’ego ten dzień był znaczący, mimo że dla innych nie wyróżniał się niczym specjalnym.

Jimmy wstał jak zwykle o wpół do piątej, zapalił swojego pierwszego papierosa, zaparzył kawę, włożył białą koszulę, spodnie i skórzaną muszkę, by już o piątej być w Trolejbusowej Gospodzie. Jeszcze nie był tego świadom, ale miał być pierwszą osobą w domu Smithów, która dowie się o ważnym wydarzeniu. Tego ranka jak zawsze poszedł do pracy. Był nadzwyczaj dumny ze swojej jadłodajni, którą utrzymywał we wzorowej czystości. Jak co dzień wyszorował białoczną posadzkę. Chromowane kontuury i podstawki stołków z czerwonej skóry wypolerował

Prince Albert – nazwa tytoniu, sprzedawanego w puszkach.

i wyczyścił tak, że lśniły jak nowy samochód wystawiony w salonie. Przetarł też drzwi i jasnozielony automat do sprzedawania papierosów. Następnie pokroił ciasta – czekoladowe, stożkowate bezowocytynowe, marmurkowe i jabłecznik, po czym rozłożył je na białych talerzykach i ustawił w witrynkach. Posiekał cebulę, włożył pikle do metalowych pojemniczków, a do kieliszka z grubego szkła wetknął garść wykałaczek, których końce owinięte były jaskrawoczerwonym i pomarańczowym celofanem. Następnie przetarł grill i wyjął z lodówki plasterki sera, jajka, bekon, hamburgery, pomidory i sałatę. Usmażył partię bekonu, przekroił kartofelki, żeby były gotowe do podsmażenia, i pokrajał w plasterki pomidory. Na końcu rozwinął kilka opakowań białego chleba merita oraz tuzin bułek na hot dogi i hamburgery i już był gotów do otwarcia lokalu.

W marynarce Jimmy nauczył się gotować i błyskawicznie przyrządzać szybkie dania.

Potrafił przygotować jajka na najrozmaitsze sposoby, upiec idealnie grzankę na złoty kolor i to tak, że stopiony ser spływał na skórę chleba, ale z niej nie skapywał, albo przyrządzić tak smacznie kanapkę z bekonem, pomidorem i sałatą, że zanim się zjadło jedną, już miało się

ochotę na drugą. Dokładnie minuta przed szóstą włożył czysty fartuch, papierową czapkę z czerwonym paskiem i otworzył drzwi dla klientów. Ku swemu zdziwieniu zobaczył w progu Bobby'ego.

– A ty co tu robisz tak wcześnie?

– Nie mogłem spać – odpowiedział Bobby. – Więc pomyślałem sobie, że przyjdę tutaj i razem wypijemy filiżankę kawy. Wiesz, dziś są zawody w wydmuchiwanie gumy balonowej.

– Racja. Wejdz.

Jimmy wiedział, że Dorothy nie pozwalała Bobby'emu pić kawy, ale uznał, że trochę mu nie zaszkodzi. Bobby wdrapał się na stołek, a Jimmy postawił przed nim filiżankę ze spodkiem z grubej porcelany i do połowy napełnił kawą. Bobby przysunął sobie cukierniczkę i beztrąsko wsypał do filiżanki cztery łyżeczki cukru.

– No to jak oceniasz swoje szansę, koleś?

– Nie wiem. W zeszłym roku byłem już blisko.

– Zjesz coś?

– Chyba lepiej nie. – Wsypał następną łyżeczkę cukru. – Wiesz, sekret polega na kontrolowaniu oddechu. Przekonałem się o tym ostatnim razem. Na końcu zabrakło mi tchu, inaczej bym wygrał.

– Jasne. Więc jaką taktykę zamierzasz teraz przyjąć?

Bobby pociągnął łyk kawy.

– Ćwiczyłem codziennie i starałem się wyrobić w sobie panowanie nad oddechem, na przykład trzymając w wannie głowę pod wodą. Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. Trochę miałem nadzieję, że może ty mi udzielisz jakiejś dobrej rady w ostatniej chwili.

– A dzisiaj już ćwiczyłeś?

– Jeszcze nie. Ale do dziewiątej zostało mi trochę czasu.

Jimmy otworzył dużą puszkę chili i głęboko się namyślił, zanim przemówił.

– Moja rada jest taka. Możesz ją przyjąć albo odrzucić, ale ja na twoim miejscu już bym w ogóle dziś nie ćwiczył.

– Wcale?

– Ja bym wcale nie ćwiczył. Chyba domyślasz się, że wszyscy inni będą ćwiczyć, zgadza się?

– Aha, chyba tak.

– A ty, jak wejdiesz wypoczęty i odprężony, będziesz miał nad nimi przewagę.

Kapujesz?

Bobby'emu roześmiały się oczy.

– Aha... Kapuję.

– Zachowasz całą energię na wielki dmuch, wtedy ci będzie potrzebna. A kiedy już tam będziesz, skup się. I kiedy ta chwila nadejdzie, ty pozostaniesz niewzruszony, spokojny i opanowany. Nie patrz na prawo, nie patrz na lewo, nie trząś się, trzymaj fason, bądź opanowany i wyluzowany przez cały czas.

Bobby słuchał uważnie.

– Aha. Nie trząść się... opanowany i wyluzowany.

– Jaka jest za to nagroda?

– Dwadzieścia pięć biletów do kina.

To zrobiło na Jimmym wrażenie albo tylko udawał przejętego.

– Co ty powiesz? To całkiem niezła stawka.

Wtedy weszło dwóch stałych klientów Jimmy'ego.

– Dzień dobry, chłopaki – przywitał ich.

Bobby szybko dokończył swoją kawę i wybiegł z jadalni.

– Dzięki, Jimmy.

– Powodzenia, koleś.

Bobby pędem wrócił do domu i tam odegrał całe przedstawienie odpoczywania: położył się na środku podłogi salonu, tak że każdy, kto tamtędy przechodził, pytał go, co robi, leżąc tak na środku podłogi. A kiedy Princess Mary Margaret obiegała go w kółko, ujadając bez przerwy, Bobby w końcu poskarżył się matce i poprosił, żeby ją zabrała, gdyż dla niego to takie ważne odprężyć się przed zawodami. Odciągając Princess Mary Margaret na bok, Dorothy powiedziała:

– Wstań, Bobby, z podłogi, bo ona myśli, że stało ci się coś złego.

Punktualnie o godzinie dziewiątej rano dwunastu chłopców, wszyscy przynajmniej o dwa cale wyżsi od Bobby'ego, ustawieni w równiutki rządęk stanęli na scenie Elmwood Springs Theater, wszyscy w mniejszym lub większym stopniu stremowani. Ward McIntire, przedstawiciel Bazooki, producenta balonowej gumy do żucia, trzymał w ręku szklaną kulę wypełnioną kostkami gumy zawiniętymi w lśniący woskowy papier, a każda paczuszka miała w środku zwiniętą kartkę również z woskowanego papieru. Bobby stał wśród innych

chłopców i powtarzał sobie: „Nie trząś się... nie patrz na prawo, nie patrz na lewo”, co wcale nie było takie łatwe. W pierwszym rzędzie siedziała Claudia Alberta razem ze swoimi dwiema koleżankami. Od czasu, gdy pan YoYo przybył do miasta, Bobby koniecznie chciał wygrać w jakimś konkursie. Miesiąc wcześniej przegrał w konkursie na odbijanie piłeczki kijem baseballowym zaledwie o trzy uderzenia, ale drugie miejsce go nie zadowalało. Zgodnie z zasadą głoszona przez jego matkę: „Jeśli nie uda ci się za pierwszym razem, próbuj dalej”, Bobby nie ustawał w próbach, jednak bez większego sukcesu. Zaczynał nawet podejrzewać, że jego przeznaczeniem życiowym jest zajmowanie wyłącznie drugich miejsc. Tym razem przybył do teatru na godzinę przed wyznaczonym czasem, żeby zająć pierwsze miejsce w szeregu. Wiedział, że im dłużej trzyma się gumę w ręku, tym bardziej miękka się staje. I był pierwszy w szeregu do czasu, kiedy na trzy minuty przed rozpoczęciem zawodów nie otworzyły się drzwi i nie wparował Luther Griggs oraz trzech jego kolegów, którzy wepchnęli się przed nim, tak że teraz Bobby stał czwarty. A jednak spotkała go pociecha, gdyż pan, który szedł wzdłuż szeregu, by po kolei rozdawać gumę, zaczął od przeciwnego końca, Luther więc mimo nachalnego rozpychania wylądował jako ostatni. Bobby usłyszał, jak Monroe, przyglądający się całemu zajściu z widowni, głośno zachichotał, naśladując rzenie osła: „Hiiii-haaa!” Kiedy każdy dostał już swój przydział gumy, pan McIntire odszedł na bok sceny, gdzie ustawiony był mikrofon, i tubalnym głosem zakomenderował:

– Panowie, rozpakujcie swoje gumy.

Bobby’emu głośno biło serce, a ręce miał mokre od potu, kiedy z trudem rozwijał gumę ze śliskiego opakowania. Cały czas powtarzał sobie: „Opanowany i wyluzowany... nie trząść się”. Wkrótce wszyscy zawodnicy stali, obracając nerwowo w palcach różowe kostki gumy obtoczonej w cukrze pudrze i czekając na następną komendę. Pan McIntire popatrzył na stoper i powiedział:

– Gotowi... Start!

Dwunastu chłopców unisono wrzuciło gumę do ust i zaczęło wściekle ją żuć, jakby to był nieprzyjaciel, którego należało zmiażdżyć w szczękach. Bobby zmusił się do opanowania i spokoju. Wiedział, że tajemnica sukcesu polegała również na tym, by nie za wcześnie zacząć ją wydmuchiwać, dopóki nie będzie należycie wyzuta... nie za miękka... nie za twarda... Odpowiednie rozłożenie w czasie było najważniejsze. „Zaczekaj, zaczekaj...”, powtarzał w myśli. „Nie trząś się, nie trząś, spokojnie”. Słyszał, jak kilku chłopców zaczęło już

wydmuchiwać balony, on jednak zaczekał do chwili, kiedy poczuł, że guma jest już dobra. Wtedy zaczął ją wydmuchiwać, najpierw powoli, ostrożnie, a dopiero wtedy, gdy balon stał się większy, zaczął dąć coraz mocniej, starając się, by oddech był coraz głębszy, aż za każdym razem unosiły mu się ramiona w górę i opadały w dół, z każdym wdechem i wydechem. Obok niego z trzaskiem zaczęły pękać balony, jeden po drugim wzdłuż szpaleru, ale Bobby dalej nadmuchiwał swój balon, aż w końcu został sam spośród zawodników. Nie wiedział jednak o tym i dalej dął w balon. Na całej scenie stał już tylko on, widząc otaczający go świat przez rożowawą mgiełkę cienkiej powłoki balona, który rósł i pęczniał w nieskończoność. Na sali zapanowała kompletna cisza. Wszyscy na widowni wstrzymali oddech. Czy balon kiedykolwiek pęknie? Ale on rósł coraz bardziej, zakrywając już całą twarz Bobby'ego i głowę i powiększając się jeszcze bardziej. Teraz była to wielka kula balonowa z chłopcymi rękami wystającymi z boków i wsparta na nogach. Rosła nadal, aż Bobby poczuł, że mógłby się unieść w górę i poszybować w powietrze... ponad teatr, nad dachami, gdzieś daleko w świat, i nigdy nie wrócić. Wtedy to nastąpiło. Usłyszał miękkie plaśnięcie, po którym lepka powłoka oblepiła mu całą twarz i czubek głowy.

– Zwycięzca! – wykrzyknął Ward McIntire, a widownia zerwała się z miejsc i zaczęła bić brawo. Co za sukces! Jaka chwała! Chwila jego triumfu! Pięć minut później Bobby wbiegł do Trolejbusowej Gospody, z resztkami gumy na rzęsach i uszach, wymachując książeczką z dwudziestoma pięcioma biletami i wrzeszcząc:

– JIMMY, WYGRAŁEM... NIE SPANIKOWAŁEM, NIE TRZĄSŁEM SIĘ!
WYGRAŁEM!

Zanim jednak Jimmy miał szansę pogratulować mu, Bobby już był za drzwiami, by pobiec do drugstore'u i podzielić się nowiną z ojcem. W domu matka musiała użyć terpentyny, żeby zmyć mu z włosów resztki gumy. Dwadzieścia pięć bezpłatnych biletów starczyło na mniej niż tydzień, gdyż Bobby bez przerwy kogoś zapraszał do kina, ale to nie było ważne. Jego balon był największy w historii zawodów, tak przynajmniej mówiono. A może i największy w całym stanie. Odtąd Bobby czuł się kimś wyjątkowym.

Wygranie zawodów oznaczało przede wszystkim, że jest on człowiekiem z przyszłością.

Sukces

Jak Bobby zauważył, w życiu zdarzają się takie chwile, że człowiek po prostu ma

szczęście i trafia w dziesiątkę. Po latach prób i błędów pociągasz wajchę automatu do gry i nagle trzy wisienki ustawiają się w jednym rządku i wygrałeś. Podobne zdarzenie miało miejsce tego dnia, kiedy do zespołu Oatmanów przybyła Beatrice Woods.

Śpiewali razem zaledwie od kilku miesięcy, kiedy w Atlancie usłyszał ich producent płyt z Hallelujah Records. Po nagraniu pierwszego albumu wydarzenia potoczyły się wartko. Zaledwie ich *Nie mogę się doczekać*, kiedy pójdę do nieba weszła na pierwsze miejsce listy przebojów gospel, posypały się propozycje. W „The Singing News” napisano, że stają się najciekawszą grupą roku.

Wkrótce ich następny album zatytułowany *Byłem zagubiony, ale Bóg mnie odnalazł* – od pieśni, którą Minnie napisała pod wpływem zniknięcia Chestera – również wszedł na szczyt listy. Zbiegło się to z ich udziałem w show Arthura Godfrey’a, po którym stali się grupą gospel numer jeden w całym kraju. Ku wielkiej radości Beatrice ta nieoczekiwana popularność wiązała się z koniecznością odwiedzenia każdego stanu, a nie minęło sześć miesięcy, jak trafili ze swoim występem nawet do Białego Domu. Pod koniec 1949 roku mieli zapełniony kalendarz na pięćdziesiąt dwa tygodnie następnego roku. Teraz jeździli już własnym srebrzystym autobusem z wymalowanym po obu bokach wielkimi czarnymi literami napisem THE OATMAN FAMILY GOSPEL SINGERS.

Betty Raye była bardzo rada z tego sukcesu, mimo że wiązał się on z rzadszym widywaniem rodziny, i równie rada też była, że nie musi razem z nimi występować. Życie, jakie obecnie wiodła, wydawało jej się idealne. Spokojne, ciche. Nie musiała występować co wieczór ani też pakować się i wyjeżdżać gdzie indziej na następną noc. Mogła spać w tym samym łóżku i w tym samym mieście przez całe tygodnie. Miała nieskomplikowaną pracę, którą lubiła, mnóstwo książek do czytania i raz na tydzień grę w kręgle. Zdarzyło się to po raz pierwszy w jej życiu, że mogła codziennie wykonywać te same czynności, i to jej się ogromnie podobało. Wreszcie mogła poczuć, że gdzieś przynależy. Chciała, by trwało to wiecznie. Pewnego dnia jednak pojawił się Hamm Sparks.

Pod wieloma względami Hamm Sparks był zwyczajnym młodym człowiekiem – trochę palił, trochę pił, trochę tańczył i trochę flirtował. Ale jedno w nim było niezwykajne.

Ambicja. Nie pasowały do niego słowa piosenki, którą śpiewali Ink Spots: *Wcale nie chcę wstrząsnąć światem*. Nie chodzi o to, że inni młodzi ludzie nie byli ambitni, ale Hama Sparksa wprost pożerała ambicja. Gdyby był samochodem, ścigałby się, wykorzystując moc

wszystkich szesnastu cylindrów, gotów rozsadzić silnik. Tak też rozsadzała go ambicja. Jednak w przeciwieństwie do tych, których ambicja zżerała, on pod jej wpływem rozkwitał. Jakby to była ambrozja, którą pojono go od niemowlęctwa. W przyszłości mieli o nim mówić, że ambicja paliła go tak, że w ciemności widać było, jak z niego emanuje. Miał życiowe plany, cel do osiągnięcia – obecnie było to pójście do college'u, co gwarantował mu G.B. Bili*, kelnerowanie w akademiku po sześć godzin dziennie, sprzedaż traktorów Allis-Chalmers w weekendy, latem zaś pomaganie matce i dwóm młodszym siostram. Nie bał się pracy ani też jej nie unikał. Pracował od dziesiątego roku życia. Praca była dla niego środkiem wiodącym do celu. W Ameryce bez względu na to, jak biednym się mogło być, i bez względu na to, skąd się pochodziło, można było zejść dowolnie wysoko, ale pod warunkiem, że chciało się na to zapracować. Hamm uznał, że to zasada do przyjęcia, i wierzył w nią. Dawała mu nadzieję na świetlaną przyszłość, a on był na dobrej drodze. Wprawdzie nie wiedział jeszcze dokładnie, w którym miejscu się znajdował, ale uważał, że później się nad tym zastanowi. Jedno, co wiedział, to że mu się spieszyło. Musiał nadrobić stracony czas. Szybko jadł, szybko mówił, szybko chodził i bardzo mało spał. Wymieniał uściski rąk, poklepywał po plecach i nigdy nie przepuszczał okazji, by się przedstawić napotykanym ludziom.

Tego szczególnego dnia do Elmwood Springs przywiodła go Bess Goodnight. W 1942 roku przejeżdżał tędy pociągiem zdążającym do Fort Leonard Wood i wzorem innych żołnierzy też wyrzucił przez okno kartkę

G.B. Bili – przepis ułatwiający kombatantom studiowanie w college'u.

ze swoim imieniem, w nadziei, że ktoś do niego napisze. To właśnie Bess Goodnight pisała do niego przez całą wojnę. Jak wielu innych korespondencyjnych przyjaciół Bess i on przejeżdżał do niej, kiedykolwiek znajdował się w pobliżu Elmwood Springs. Świetnie się czuł w towarzystwie Bess i z przyjemnością zabierał ją do kafeterii na lunch. Hamm był zwolennikiem dobrego jedzenia połykanego w pośpiechu, ale tej soboty, kiedy przesuwał się wraz z kolejką, zwolnił, zobaczywszy sympatyczną dziewczynę w okularach, stojącą na stanowisku z parującymi jarzynami, która czekała, aż jej powie, co ma mu nałożyć. Zazwyczaj mijał to stanowisko i zmierzał wprost do deserów, tego dnia jednak się zatrzymał. Dziewczyna trzymała w jednej ręce łyżkę, a w drugiej plastikową chochelkę i czekała na jego

zamówienie. Popatrzył na parujący blat i różnorodność jarzyn.

– Zaraz, co tam jest? Wezmę trochę kartofli i może makaron z serem?

Pokazał na coś zielonego w pojemniku.

– Czy to jest rzepa?

– Nie, proszę pana, to kapusta.

– Aha, no dobrze. To proszę mi dać trochę tego i trochę tego.

Zamówiłby jeszcze więcej, ale kolejka za nim napierała, więc musiał się przesunąć.

Jeszcze zanim dotarli do stolika i zdjęli dania z tacy, Hamm zapytał Bess o dziewczynę w okularach nakładającą jarzyny.

Bess spojrzała za siebie, upewniając się, o kogo chodzi, i odpowiedziała:

– O, to Betty Raye, lokatorka Dorothy. Mówi ci coś nazwisko Oatmanowie?

– Tak – potwierdził. – Słyszałem ich przez radio.

– No więc to ich córka. Kiedyś śpiewała razem z nimi, ale przestała.

Hamm ponownie rzucił okiem na Betty Raye, pod jeszcze większym wrażeniem.

– Ja bym nie przestał. Mężatka?

– Nie.

– Spotyka się z kimś?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Jak myślisz, chciałaby chodzić ze mną?

Bess roześmiała się.

– Widzę, że nie tracisz czasu.

Przez następne cztery tygodnie Hamm jeździł tak daleko i jadł tyle jarzyn, ile jeszcze nigdy przedtem. Przychodzenie do kafeterii było jedynym sposobem, żeby widywać Betty Raye. Co sobotę dziewczyna czuła się speszona i wystraszona całym zamieszaniem, jakie on powodował. Prosiła, by nie hamował kolejki, ale za każdym razem odpowiadał:

– Nie będę, gdy tylko powiesz „tak”.

Jednej soboty, kiedy po raz czwarty ustawiał się w kolejce, zaczął ją błagać:

– Betty Raye, musisz zacząć umawiać się ze mną. Bo jeśli zjem jeszcze jedną porcję tego groszku, stanę się całkiem zielony. Chcesz mnie mieć na sumieniu?

W którymś momencie pan Albetta wyszedł z zaplecza i spojrzął na niego surowo, wtedy Hamm przesunął się, a dziewczęta zachichotały. Jednak nie poddał się. Późnym popołudniem, kiedy Betty Raye wróciła po pracy, zobaczyła Hamma siedzącego na ganku, gawędzącego

z Matką Smith i Bess Goodnight. Matka Smith, w widoczny sposób oczarowana, powiedziała z uśmiechem:

– Betty Raye, ten młody, sympatyczny człowiek powiada, że jest twoim przyjacielem.

Hamm uśmiechnięty od ucha do ucha wyjaśnił:

– Przyprowadziłem ze sobą Bess, żeby świadczyła o moim nieskazitelnym charakterze.

– Nie wiem, do jakiego stopnia jest nieskazitelny – roześmiała się Bess – ale dla mojego dobra powinnaś się z nim umówić, bo inaczej on mnie zamęczy.

Co było robić? Hamm szedł jak burza; nie sposób było mu się oprzeć.

Pierwsza randka

W poniedziałek przypadła wolny dzień dla Betty Raye i tego dnia Hamm miał przyjść wczesnym popołudniem i zabrać ją do Poplar Bluff na obiad. Denerwowała się perspektywą spędzenia z nim tak długiego czasu, ale w gruncie rzeczy niewiele miała do powiedzenia w tej kwestii. Dorothy i Matka Smith były tak podekscytowane jej umówieniem się na randkę, że telefonicznie zamówiły wizytę u Tot, aby ta umyła i ułożyła jej włosy. Byłaby to ostatnia rzecz, której Betty Raye by sobie życzyła, niemniej poszła do Tot. Dorothy i Matka Smith wybrały dla niej odpowiedni strój, a w ostatniej chwili Matka Smith przybiegła jeszcze do niej ze sznurem perełek. I tak o godzinie czwartej Betty Raye w butach Anny Lee na wysokich obcasach, ze świeżą ondulacją na głowie i Hamm w pożyczonym garniturze wyszli z domu.

Betty Raye nigdy nie była na prawdziwej randce. Zresztą nie podobał jej się cały ten pomysł. Nie miała pojęcia, jak powinna się zachować, a przez cały czas, kiedy jechali do Poplar Bluff, marzyła, żeby randka jak najszybciej minęła i żeby wreszcie mogła wrócić do domu. Stanowili osobliwą parę. Ona o tym nie wiedziała, ale on też nie miał zbytniego doświadczenia w spotkaniach z dziewczynami. Zanadto pochłaniała go praca, zresztą nie miał pieniędzy, by je gdziekolwiek zapraszać. Żeby móc zaprosić Betty Raye na obiad, musiał sprzedać kilka książek.

Przez cały czas trwania obiadu Betty Raye niewiele się odzywała. Na szczęście nawet nie musiała, gdyż on mówił za nich dwoje. Po raz pierwszy widział ją ubraną inaczej niż w białym fartuchu i służbowej czapeczce i zrobiło to na nim wrażenie. Nie była szczególnie ładna w obiegowym znaczeniu tego słowa, ale było coś ujmującego w jej nieśmiałości

i emanującym z niej ciepło, tak że w miarę upływu czasu wydawała mu się coraz ładniejsza. W drodze powrotnej Betty Raye była jeszcze bardziej stremowana niż przedtem. Ledwo słuchała, co on mówi. Przez całą drogę martwiła się, że może on zechce ją pocałować albo coś w tym rodzaju, ale nic takiego się nie zdarzyło. Nie miał nawet ku temu specjalnej okazji, bo gdy tylko zajechali pod dom, uściśnęła mu rękę i powiedziała:

– No to do widzenia.

Zanim on mógł cokolwiek przedsięwziąć, ona znalazła się już za drzwiami swojego pokoju. Dorothy i Matka Smith przebywały w tym czasie w kuchni, umierając z ciekawości, jak było, ale musiały zaczekać do rana.

– Jak tam? – zagadnęła Dorothy, kiedy rankiem Betty Raye weszła do kuchni ubrana już do pracy. – Przyjemnie było?

– Tak, przyjemnie – odpowiedziała Betty Raye.

I to wszystko, co miała do powiedzenia. Ale Matka Smith przejęła pałeczkę.

– Jak ci się wydaje, będziesz się z nim umawiała?

Betty Raye wyglądała na zaskoczoną tym pytaniem.

– Nie, nie sędzę. – Uważała, że wystarczy, jak się z nim raz umówi. Niby dlaczego miałyby to powtarzać? Randki były zbyt uciążliwe. Chciała nakładać jarzyny i mieć spokój. Kiedy wyszła, Dorothy zauważyła:

– Szkoda, myślałam, że to się jakoś ułoży.

– Ja też – westchnęła Matka Smith. – Ale jak nic, to nic, nie ma rady.

Jednakże tę samą sytuację każdy widzi odmiennie. W następną sobotę Hamm wybrał się do drugstore'u, skinął Bercie Ann i Thelmie na powitanie, mówiąc też: „Jak się macie, dziewczyny?”, i pomaszerował wprost na zaplecze apteczne, gdzie oparty na kontuarze przedstawił się Docowi:

– Nazywam się Hamm Sparks i chciałem pana zapytać, czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym ożenił się z Betty Raye.

Doc, który wprawdzie nigdy jeszcze go nie spotkał, ale słyszał już co nieco o tym indywiduum, mimo wszystko był trochę zaskoczony.

– Nie wiem. Sędzę, że to od niej zależy. A co ona na to?

– Jeszcze jej nie pytałem, ale muszę pana zapewnić, że nie będzie pan miał powodu do zmartwienia. Mam niezłą pracę, a kiedy skończę college, zamierzam lepiej się urządzić. Myślę o służbie państwowej, a ludzie mówią, że mam do tego smykałkę.

– To widzę – skonstatował Doc.

– Proszę pana, byłbym panu niezmiernie wdzięczny, gdyby pan wstawił się za mną. – Wręczył swoją wizytówkę. – Żegnajcie, panie – rzucił na odchodnym.

– Kto to był ten czupurny kogucik? – zapytała Bertha Ann.

Doc roześmiał się.

– Sympatia Betty Raye, w każdym razie tak mu się wydaje.

– Tej Betty Raye od pana? – Thelma była zdziwiona.

– Tak on uważa.

– Kimkolwiek by był – powiedziała Bertha Ann – jest zabawny.

Thelma, nadal pod wrażeniem rewelacji, że Betty Raye ma sympatię, zauważyła zamyśloną:

– Cóż, mam nadzieję, że to prawda, co się mówi.

– Co takiego? – chciała wiedzieć Bertha Ann.

– Że cicha woda brzegi rwie.

– Też tak sędzę – zgodziła się Bertha Ann. – Właśnie takich cichych i spokojnych trzeba się wystrzegać.

Doc o jego wizycie nie wspomniał ani słowem Dorothy, Betty Raye czy Matce Smith.

Jeśli chodzi o kobiety i sprawy sercowe, to jak mu doświadczenie podpowiadało, najlepiej było trzymać się z daleka, niech one same domyślają się i kombinują. Rozsądnie więc nie puścił pary z ust i pozwolił, żeby sama natura zadecydowała o wszystkim.

Sympatia

Jak się okazało, Doc nie żałował, że nic nie powiedział. Po pierwszej randce Hamm nie dał znaku życia.

Kiedy minął miesiąc, Betty Raye zaczęła o nim zapominać, ale nie Hamm Sparks. Nie potrzebował wiele czasu na podjęcie decyzji. Już po pierwszej randce wiedział, że chciałby się z nią ożenić, na co więc czekać? Miał prawie dwadzieścia siedem lat i spieszno mu było do ożenku i rozpoczęcia kariery politycznej. Nazajutrz już przystąpił do planowania przyszłości ich obojga. Najpierw musiał jednak zdobyć pieniądze. Następnego dnia poszedł na rozmowę do rejonowego szefa sprzedaży w Allis-Chalmers, aby dodał mu trzy rewiry. Pracował dniami i nocami przez prawie miesiąc, aż uzbierał wystarczającą sumę pieniędzy na

pierwszą ratę i zdołał jeszcze trochę odłożyć. W następny piątek ubrał się w nowy niebieski garnitur od Spearsa i z pudełeczkiem w kieszeni pojechał do Elmwood Springs. Nie zaprzętał sobie głowy wcześniejszym powiadomieniem Betty Raye, gdyż chciał jej zrobić niespodziankę.

Podszedł do drzwi domu Smithów i zastukał. Otworzyła mu Dorothy.

– Dzień dobry, pani Smith. Czy jest Betty Raye?

– Witaj, Hamm. – Dorothy zaprosiła go do środka. – Tak, jest w domu. Proszę, wejdź.

Właśnie zasiadaliśmy do kolacji, może zjesz z nami?

– Dziękuję, chętnie, jeśli nie narobię kłopotu.

– Najmniejszego. Wystarczy, że dostawię dodatkowy talerz. Idź do jadalni i usiądź. –

Gdy wchodziła do kuchni, zawołała jeszcze z hallu, tak aby ją wszyscy słyszeli: – Betty Raye i wszyscy domownicy, Hamm przyszedł!

Kiedy do jadalni zajrzał Doc i zobaczył niebieski garnitur, pomyślał sobie: „Oho, będą kłopoty”. Hamm wszedł do jadalni, pozdrowił wszystkich, odstawił krzesło i usiadł naprzeciwko Betty Raye. Każdy odpowiedział: „Jak się masz”, tylko Jimmy ograniczył się do kiwnięcia głową. Nie miał przekonania do tego faceta. Jak na jego gust, był zbyt natarczywy. Hamm zaraz zaczął jeść i rozprawiać o traktorach, farmerach, firmie Allis-Chalmers i o wszystkim, co mu tylko przyszło do głowy, nie wyłączając zasłyszanego ostatnio kawału. Bobby’emu od razu się spodobał, wydawał mu się taki zabawny, ale Betty Raye była zmieszana. Nawet nie miała pewności, czy cieszy się, że znów go widzi, czy nie. Raczej go lubiła, tak jej się wydawało, ale trochę ją denerwował tym swoim szybkim mówieniem, szybkim poruszaniem się i nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Zmieszało ją to, że tak nagle pojawił się bez zapowiedzi, ale jakoś nikogo to nie raziło. Zarówno Matka Smith, Doc, jak i Dorothy gawędzili jakby nigdy nic.

Po kolacji Betty Raye zebrała kilka talerzy, żeby pójść z nimi do kuchni, zadowolona, że choć przez chwilę będzie mogła się odprężyć. Przy stole Hamm uśmiechał się do niej przez cały czas, a ona rumieniła się za każdym razem, kiedy ich spojrzenia się spotykały. Ale Dorothy zaoponowała:

– Odlóż te talerze, Betty Raye, idź na ganek i porozmawiaj ze swoją sympatią. Przejechał taki kawał drogi, żeby się z tobą spotkać. Dzisiaj ja pozmywam, a Matka Smith mi pomoże. Betty Raye nie miała wyboru, musiała iść. A kiedy Doc i Bobby podnieśli się, by pójść za nimi, Dorothy zrobiła śmieszoną minę do Doca.

- Czy czasem nie mieliście razem z Bobbym słuchać sprawozdania z meczu piłkarskiego?
- zapytała, jednocześnie mrugając znacząco do Doca.
- Co? – zdziwił się.

Posłała mu następne piorunujące spojrzenie, po którym wreszcie zrozumiał.

- A, rzeczywiście. Chodź, Bobby, posłuchamy sprawozdania z meczu.
- Z jakiego meczu? Dziś nie ma żadnego meczu – bronił się Bobby, podczas gdy ojciec zdecydowanie położył mu rękę na karku i wyprowadził do salonu. Jimmy przeprosił wszystkich i tylnymi drzwiami od podwórka wyszedł do VFW na swój piątkowy poker z kolegami, a Betty Raye została sama z Hammem, dziwiąc się w duchu, jak to możliwe, by ktoś, kogo prawie nie знаła, okazał się raptem jej sympatią.

Na ganku po kilku minutach Hamm wyciągnął z kieszeni pudełeczko i wręczył je Betty Raye.

- Otwórz je – poprosił.
- Co to jest? – zapytała.
- Otwórz. Kupiłem dla ciebie pierścionek.
- Dlaczego? – zdumiała się.
- Bo chcę, żebyś za mnie wyszła.

Nie wierzyła własnym uszom. Hamm może nosił się z tym zamiarem od miesiąca, ale na nią spadło to jak grom z jasnego nieba.

- Co takiego? – zapytała.
- Wyjdiesz za mnie?
- Ja?
- Tak, ty. Jaką dasz mi odpowiedź?

Była tak oszołomiona, że zupełnie nie wiedziała, co robić. Oddała mu więc pudełeczko ze słowami:

- Dziękuję, że mnie o to prosisz, aleja chyba nie chcę wychodzić za męża. Mam nadzieję, że nie ranie twoich uczuć ani nic w tym rodzaju, ale nie mogę. Ja mam pracę. Musisz mi wybaczyć – powiedziała – ale na mnie już pora. W każdym razie dziękuję. – Otumaniona weszła na siatkowe drzwi przeciw owadom, przeprosiła je w roztargnieniu i zostawiła go samego na bujanej ławce na ganku.

Wieczór ten przebiegł niezupełnie zgodnie z wyobrażeniami Hamma. Ale tylko ten

wieczór.

Hamm nie poddawał się tak łatwo. W każdej wolnej chwili biegł zobaczyć się z Betty Raye. Zjawiał się w cafeterii, stawał w kolejce i wyśpiewywał:

– Daj spokój, kochana, powiedz „tak”, bo będę tu przychodził tak długo, aż się zgodzisz. Zaczął nawet zaglądać na kręgielnię. Ada i Bess Goodnight, które mu sprzyjały, zawsze gotowe były mu powiedzieć, gdzie i kiedy ma przyjść, pozostałe członkinie drużyny też go lubiły i starały się namówić Betty Raye, przeważnie ze skutkiem, by zgodziła się, żeby odwiózł ją do domu.

Upływały tygodnie.

– Tam, do licha – zżymał się Doc. – Ten chłopak łązi za mną, jakby to mnie chciał poślubić.

Trudno się oprzeć trwającym tygodniami zalotom i adorowaniu, nawet komuś, kto nie chce wychodzić za mąż. Betty Raye nie miała zresztą wielkiego wyboru. Hamm działał jak tornado, ona zaś znalazła się w oku cyklonu i jak większość kobiet, najpierw była zaintrygowana, a potem otumaniona.

Któregoś wieczoru zaparkował przed domem Smithów i nie chciał jej puścić, dopóki nie da mu całusa.

– Betty Raye, tylko jednego – prosił. – Chyba nie chcesz mi łamać serca, co?

Po jednym całusie i następnych Betty Raye zauroczona weszła przez ganek do domu i wyznała Dorothy:

– Wydaje mi się, że mogłabym się zaręczyć.

Kiedy Betty Raye poszła do swojego pokoju, Matka Smith powiedziała do Dorothy:

– Wiesz, osobiście nawet go lubię, ale jakoś martwię się, że ten chłopak wdarł się do naszego domu i zagarnął dziewczynę dla siebie.

Dorothy też się zatroskała.

– Ojej, tak myślisz?

– No niezupełnie. Chodzi tylko o to, że nie jestem pewna, czy dał jej dość czasu na zastanowienie. Znają się zaledwie od kilku miesięcy. A ty co o tym myślisz, Doc?

– Musi jej się podobać. Powiedziała przecież „tak”. Ale że jemu się piekielnie śpieszy, to więcej niż pewne.

Wyjście do ludzi

Wkrótce Betty Raye dowiedziała się, że Hamm wytropił, gdzie aktualnie przebywali Oatmanowie, występujący właśnie w Charlotte w Karolinie Północnej, obydwójce więc, wspólnie z Adą i Bess Goodnight w charakterze przyzwoitek, jechali całą noc po błogosławieństwo rodziców. Oatmanowie mogli wyjść do nich dopiero po przerwie, tak więc poselstwu z Elmwood Springs udało się w porę przybyć na posłuchanie. Betty Raye nie widziała ich na scenie od czasu swego wyjazdu, a właśnie od tej pory odnieśli oni wielki sukces. Zdziwiła się, widząc, jak bardzo zmieniły się ich występy. Wprawdzie matka i Beatrice Woods nadal występowały bez makijażu, ale ubrane były w jednakowe kostiumy wyszywane na brzegach cyrkoniami. Ferris i chłopcy mieli na sobie błyszczące garnitury z ozdobnymi szarfami. Ich występ rozpoczynała Minnie, stojąc z mikrofonem w ręku, oświetlona reflektorem punktowym. Podczas gdy w tle zespół mrucał murmurando, ona zaczęła mówić:

– Jestem tylko biedną kobietą. Nie posiadam drogich kamieni, ni srebra, ni złota, nie posiadam żadnego doczesnego domu ani bogactw tego świata. Mój ojciec jest tylko biednym człowiekiem... Wiele ciężarów dźwigam na swych ramionach... wylałam wiele gorzkich łez... Czasem dziwiłam się, jak ja to wytrzymuję... Ale pewnego dnia jakaś kobieta ubrana w łachmany zapukała do mych drzwi i zobaczyła mą rozpacz... Jej oczy pałały radością, gdy przemówiła do mnie: „Moja córko, czy nie słyszałaś o Ewangelii? Nie znasz jeszcze nowiny? Twój Ojciec w niebiesiech dał ci więcej, niż ma dziecko milionerów. Więcej, niż ma królowa na tronie. Otwórz oczy, córko, i przyjmij dary i kosztowności, które ci zsyła Ojciec. On ci daje diamenty, które migoczą na niebie, rubiny w skrzydłach ptaków, szafiry w głębinach mórz. Zielone trawy mienia się drogocennymi szafirami, a w górskich strumieniach mieni się srebro, złoto w codziennych zachodach słońca. Okrywa cię Jego miłość, a dom twój jest w niebie. Tam nie ma zmartwień, nie ma głodu, smutku ni żalu, nie musisz zmywać naczyń, gotować posiłków, rąbać dREW”. Pytam was, bracia i siostry, czy to dziwne, że nie mogę się doczekać, by pójść do nieba?

Wtedy scena nagle rozbłysła tysiącem kolorowych świateł, oni zaś brawurowo wykonali swój najnowszy przebój.

Słuchacze jak zwykle wpadli w szal uniesienia, bili brawo, krzyczeli z radości. Po

występie Hamm i Betty Raye musieli przedzierać się przez tłum, by wreszcie przedstawić go rodzinie.

Potem Minnie zabrała Betty Raye ze sobą do ich nowego autobusu, by za zamkniętymi drzwiami mogły porozmawiać w cztery oczy. Posadziła ją i powiedziała:

– Wiesz, że ze wszystkiego na świecie najbardziej pragnę, żeby moja córeczka była szczęśliwa.

– Wiem, mamusi.

– Otóż on wygląda na przyzwoitego młodego chrześcijanina, ale chcę cię o jedno zapytać.

– Co takiego?

Minnie ujęła ją za rękę, spojrzała głęboko w oczy i zapytała:

– Dziecko, czy ty go kochasz?

Betty Raye jak dotąd właściwie nie miała okazji zastanowić się nad tą kwestią.

Dotychczas ważne wydawało się tylko to, co on czuje i jak bardzo ją kocha. Odwróciła się, by popatrzeć przez okno na Hamma stojącego na dworze w otoczeniu grupy ludzi, do których uśmiechał się i coś mówił, ściskając im ręce. Nie słyszała, co mówił, ale z daleka wydał jej się taki mały, samotny w tłumie obcych, których tak bardzo starał się zjednać, że widok ten wzruszył ją niezmiernie, zalewając falą gorącego uczucia. W owej chwili poczuła, jak jej serce wyrywa się do niego. Popatrzyła na Minnie i wyrzekła słowa, które ją samą zdumiały:

– Tak, mam, bardzo.

Minnie ścisnęła ją mocno za rękę, po czym nacisnęła guzik, który wydał przeciągły świszczący dźwięk, a gdy otwarły się drzwi autobusu, zawołała głośno:

– CHWAŁA NAJWYŻSZEMU, NASZE DZIECKO WYCHODZI ZA MAŻ!

Wkrótce po wielu pożegnalnych uściskach wielki srebrzysty autobus Oatmanów ruszył na całonocne śpiewy w Birmingham. Minnie wychylona przez okno długo jeszcze machała im chusteczką na pożegnanie, a z innego okna wychylał się drewniany Chester, mrugając do młodej pary, dopóki nie zniknęła im z oczu.

Po powrocie ogłosili wszystkim wielką nowinę. Zamierzali nazajutrz pojechać do Poplar Bluff, gdzie ślubu miałyby udzielić im sędzia pokoju. Tylko Jimmy nie był zachwycony tą nowiną, ale skoro tego właśnie chciała Betty Raye, on nie zamierzał się wtrącać. Jednak późnym wieczorem, kiedy obaj siedzieli na ganku, paląc papierosa, rzekł spokojnie do Hamma:

– Mam nadzieję, że będziesz dobrze traktował tę dziewczynę teraz, kiedy już ją dostałeś.

– Będę – odpowiedział Hamm. – Wiem, jakim jestem szczęściarzem.

Jimmy pstryknął niedopałkiem za dom.

– To dobrze, bo inaczej musiałbym cię zabić, czego chciałbym uniknąć.

Hamm roześmiał się głośno i chciał jeszcze coś dodać, ale Jimmy już sobie poszedł.

Następnego ranka Hamm przyjechał po Betty Raye do domu Smithów, gdzie zebrała się już cała drużyna kręglarska, łącznie z byłą zawodniczką. Tot, by ich gremialnie pożegnać. Narzeczeni odjeżdżali wśród pożegnalnych łez i najlepszych życzeń.

– Pierwszemu dziecku daj na imię Bess, nawet jeśli to będzie chłopiec! – wołała za nimi Bess.

– Nawet nie zdążyliśmy kupić jej ślubnej wyprawy – powiedziała Dorothy. – Mam nadzieję, że Betty Raye nie będzie żałować swej decyzji. Ledwo dał jej czas na spakowanie się, a co dopiero mówić o kupowaniu wyprawy.

Tego dnia po południu, kiedy stojąc przed sędzią pokoju, Betty Raye powiedziała „tak”, wiedziała, co mówi. Nie miała pojęcia, jak to się stało ani dlaczego, ale świeżo poślubiona pani Hammowa Sparks spostrzegła, że jest bez pamięci zakochana w swoim małżonku.

Dwa tygodnie później Dorothy weszła do domu szeroko uśmiechnięta i wręczyła Matce Smith pocztówkę z Blue Haven Motor Court pod Centralią w Missouri.

– Wiem, że obie przeżyłyśmy chwile zwątpienia, ale wygląda na to, że wszystko układa się pomyślnie – powiedziała. Na odwrocie kartki widniały słowa:

Droga Rodzinko Smithów!

Jestem taka szczęśliwa! Dziękuję za wszystko.

Serdeczności Betty Raye

Gratulacje

Wydawało się, że to lato było dla wszystkich szczęśliwe. Dwudziestego sierpnia rano Dorothy przebiegła przez hali lekka jak motylek. Uskrzydliła ją otrzymana przed chwilą wiadomość, którą chciała natychmiast podzielić się ze słuchaczami. Gdy tylko usiadła, rozbłysło czerwone światełko.

– Witam was wszystkich. Piękny mamy dzień tu, u nas w Elmwood Springs, mam nadzieję, że u was jest tak samo ładnie. Wiecie, że w ciągu tych lat tyle już zapowiadałam

ślubów, urodzin, zgonów i zaręczyn, a do głowy mi nie przyszło, że będę zapowiadać bliski ślub we własnym domu. – Matka Smith zagrała dwa takty z Oto nadchodzi panna młoda. – Tak jest, Matko Smith, wczoraj wieczorem Anna Lee zadzwoniła do domu i oznajmiła nam radosną nowinę. I to oficjalnie. Jak wam mówiłam, jest zaręczona z pewnym miłym chłopcem, a zatem i ja będę matką panny młodej. Tak jesteśmy przejęci naszą córeczką. Ona i William mają się pobrać w czerwcu, tuż po ukończeniu przez nią kursów pielęgniarских. Oczywiście bardzo się z tego cieszymy. Ponadto mam jeszcze jedną dobrą wiadomość. Chcecie, to wierzcie, chcecie, nie wierzcie, ale nie jestem jedyną matką w Elmwood Springs, która ma dziś do zakomunikowania radosną nowinę. – Tu Matka Smith zagrała parę taktów z Niebo błękitne nade mną. – Tuż przed naszą audycją dzwoniła Ida Jenkins, aby mnie poinformować, że spodziewa się przed końcem tego roku zostać babcią. Serdeczne gratulacje dla Normy i Macky’ego.

O, mamy wiele dobrych wiadomości na dzień dzisiejszy. Ale najpierw zapytam was, czy wiecie, że dziewięć na dziesięć gwiazd filmowych używa mydła Lux? Jestem „Luxusowa” dziewczyną, powiada gwiazda filmowa, Linda Darnell. Jeżeli więc chcecie mieć już jutro delikatną, aksamitną skórę, dziś użyjcie mydła Lux. A teraz prośba o sąsiedzka przysługę. Pani Ellen Nadel z Booker w Missouri zwraca się z pytaniem i prośbą jednocześnie, czy ktoś z was ma ostatni rozdział powieści w odcinkach Very Caspary Morderstwo w Klubie pod Bocianem, drukowany w „Collier’s” w zeszłym miesiącu. Pisze ona, że akurat skończyła jej się prenumerata, a chciałaby się dowiedzieć, jak to się kończy. Może więc ktoś z was mógłby jej pomóc. A teraz bliźniaczki Goodnight, z siostrą Irene, wyśpiewają dokładnie mój obecny nastrój w piosence pt. Osiągnęłam szczyt świata.

I jakby osiągnięcie przez Bobby’ego tytułu Króla Balonowej Gumy i zaręczyny Anny Lee nie wyczerpywały na ten rok radosnych rodzinnych wydarzeń, jeszcze coś wspaniałego miało się zdarzyć. W pewien piękny niedzielny poranek, w tydzień po tym, jak Bobby miał otrzymać promocję do siódmej klasy, Stary Henderson wyszedł na podwórko ze swoją lornetką pamiętającą czasy pierwszej wojny światowej. Parę minut wcześniej bowiem spostrzegł coś dziwnego.

Kiedy nastawił lornetkę na żadaną odległość, wymamrotał do siebie: – Jakiś wariat wszedł na szczyt wieży ciśnień i poprzywiązywał na samej górze czerwone baloniki.

LATA PIĘĆDZIESIĄTE

Kowboj Bob

Kiedy następnym razem do miasta przybył pan Charlie Fowler, inspektor od drobiu, zaskoczyło go, że „młody Robert” urósł prawie o pięć cali, a jego głos zaczął się zmieniać. Gdyby nadal rósł w takim tempie, w przeciągu roku mógłby przerosnąć swojego ojca. Dwa tygodnie po piętnastych urodzinach Bobby’ego przyszedł do niego urzędowy list z Organizacji Skautów Amerykańskich w Irving w Teksasie. Bobby niecierpliwie rozerwał kopertę i zaczął czytać:

Drogi Robercie!

Gratulujemy! Zostałeś Orlim Skautem. Spełniłeś wszystkie warunki i wymagania, wykazując wiele umiejętności. Przysięga Skautów na wierność jej zasadom staje się integralną częścią Twojego życia. Będziemy się modlić za Ciebie i za Twoje przyszłe sukcesy.

Z pozdrowieniami

Bruce Thompson

Naczelnik

Obaj z Monroe’em zdobyli tytuł Orlego Skauta i już następnego lata wsiedli do pociągu, który powiózł ich przez cały kraj do Santa Ynez w Kalifornii na wielki zjazd skautów. Po raz pierwszy przekroczyli granice Missouri, a dla Monroe’a był to nawet pierwszy raz, kiedy w ogóle opuścił Elmwood Springs. Kiedy wjechali do Oklahomy i Teksasu, a potem do Nowego Meksyku i Arizony, czuli się tak, jakby wylądowali na Księżycu. Kiedy gapili się przez okno na odmienne krajobrazy Zachodu, nie mogli się napatrzeć. Trudno było uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Zdumiewało ich, jak daleko rysował się horyzont i jak wielkie przestrzenie rozciągały się przed ich oczami. Żaden z nich nie wyobrażał sobie, jak wielki to kraj. „O rany!” – to był jedyny komentarz, na jaki zdobył się Monroe, kiedy przejeżdżali przez Pstrą Pustynię, mijali rezerwy Indian, stada bawołów i po raz pierwszy zobaczyli, jak wygląda tamtejszy zachód słońca. Powtarzał ten okrzyk przez całą Kalifornię, a także kiedy dotarli do Alisal Ranch, gdzie stacjonował obóz skautów. To było prawdziwe, funkcjonujące ranczo, równie autentyczne jak kowboj o pałakowatych nogach, który wskazał

im miejsce do spania. W najprawdziwszym baraku, jak się wkrótce okazało. Tego wieczoru, kiedy wracali po pierwszym uroczystym apelu, gwiazdy na granatowym niebie zdawały się migotać tak blisko, że aż chciało się po nie sięgnąć ręką. Pomyśleć, że kiedyś wydawało im się, że gwiazdy w Elmwood Springs świecą najjaśniej. I chociaż trwało jeszcze lato, noc była naprawdę zimna, tak że Jake, najęty pracownik, rozpałił ogień w wielkim kamiennym kominku. Co za dzień. Spotkali tam chłopców z całego świata, którzy podobnie jak oni nie widzieli przedtem prawdziwego rancza, ale Bobby był chyba najbardziej z nich wszystkich przejęty.

Później, kiedy położyli się już spać, z wrażenia nie mógł zmrużyć oka. Wpatrywał się w pełgające pomarańczowe płomienie i ich refleksy tańczące na suficie, wsłuchiwał się w odgłosy kojotów z pobliskich wzgórz i czuł się jak bohater powieści Zane'a Greya. Kiedy tak walczył z ogarniającą go sennością, puścił wodze fantazji i zaczął marzyć.

Ojciec chłopca wszedł do pokoju z poważną miną. W ręce trzymał list.

– Nie mówiliśmy ci tego przedtem, synu... Miałeś jednak wuja na Zachodzie, który właśnie umarł i zostawił ci całe ranczo. Zarządzanie ranczem wielkości pięciuset tysięcy akrów to wielka odpowiedzialność, ale wiemy, że dasz sobie radę.

Młodzieniec podjechał pod ranczerski dom oznaczony podwójną literą „R” i zamyślony ogarnął wzrokiem setki krowich łbów porykujących od niechcenia na łące i pastuchów, którzy stali wokół, obserwując kątem oka, jak powoli, ale zdecydowanie zbliża się do nich młody właściciel. „Tak... Dziś może jesteś nowicjuszem, Bobbie Smith, ale jutro, kto wie...”

W owej chwili córka zarządcy rancza, nieśmiała i ładna dziewczyna, pojawiła się na oplecionej winoroślą werandzie.

– Witaj – powiedział do niej, zsiadając z konia. – Jak masz na imię?

– Margarita – odpowiedziała z błyskiem w czarnych oczach...

To była niezapomniana podróż.

Wyż demograficzny

Lata pięćdziesiąte przyniosły wiele zmian zarówno w Elmwood Springs, jak i w całym kraju. Gdzie spojrzeć, tam wyrastał las anten telewizyjnych, rzekłbyś, w ciągu nocy, na

każdym domu, każdym bloku. Do języka weszły nowe słowa, jak Philco, Sylvania*, Motorola, Uncle Miltie** czy Howdy Doody***. Ale mnożyły się nie tylko telewizory i spektakle. Co minutę, nocą i dniem, przychodziły na świat tysiące dzieci.

Norma i Macky mieli małą córeczkę, której dali na imię Linda. Anna Lee też spodziewała się dziecka, a tego dnia Dorothy miała zapowiedzieć jeszcze jedne narodziny. Siódmego kwietnia Dorothy zeszła jak zwykle do hallu przywitać swoich gości, po czym rozpoczęła audycję.

– Witam wszystkich, znów mamy ładny dzień. Matka Smith też was pozdrawia, powiada, że czuje się dobrze. Szpanersko, jak by powiedział Walter Winchell****. Uwaga, uwaga, wszyscy Amerykanie i Amerykanki oraz ci, co na morzu. Wczoraj wieczorem nasza przyjaciółka, Betty Raye z Sedalii w Missouri urodziła ważącego siedem funtów Hamma Sparksa juniora... Witaj na świecie, maleńki! Wiem, jak dumni z ciebie muszą być twoi rodzice. Wydaje się, że to zaledwie wczoraj żegnaliśmy się z twoją mamusią. Ależ ten czas ucieka. Przygotowaliśmy dla was mnóstwo atrakcji. Gośćmi dzisiejszego programu są Ruth i Down, czescy harfiści, którzy przyjechali do nas aż z Gaylord w Missouri i zaprezentują nam swą słynną przeróbkę Śpiewaj, Cyganie.

Zanim jednak do tego przejdziemy, ogłaszam, że mamy następnego

* Philco, Sylvania – handlowe nazwy amerykańskich telewizorów. ** Uncle Miltie – sceniczny pseudonim Milтона Berlego, amerykańskiego aktora komediowego (1905-2002). *** Howdy Doody – kukielka z telewizyjnych programów dla dzieci. **** Walter Winchell (1897-1972) – amerykański pisarz i aktor.

kotka, który poszukuje domu i który jest, zaręczam wam, najśłodszym stworzonkiem pod słońcem. Jedynym jego pragnieniem jest siedzieć wam na kolanach i kochać was z całej siły. Kotek jest zdrowy, tak stwierdził doktor Stump, który ponadto obiecuje, że za darmo zrobi mu zabieg kastracji. Musimy zadbać o to, by nasze zwierzątka przeszły takie zabiegi... Tyle wspaniałych kotów i psów pozostaje bezdomnych. Patrząc na Princess Mary Margaret i serce mi się kraje na myśl, że mogłaby ona nie mieć domu ani rodziny i być sama na tym świecie. Wy chyba też tak to odczuwacie.

Pragnę teraz podziękować pani Lettie Nevior z Willow Creek, która przysłała prześliczny paltocik dla naszej Princess Mary Margaret z wyhaftowanym na bokach jej imieniem.

Zachwycam się pani ścięciem, jest pani prawdziwą artystką.

Bess Goodnight, która pracowała w biurze Western Union, podeszła na ganek i podała Dorothy coś, co właśnie zeszło z dalekopisu.

– Myślę, że może zechcesz to teraz przeczytać – powiedziała.

– Dziękuję, Bess. – Dorothy szybko przebiegła wzrokiem karteczkę. – Matko Smith, prosimy o fanfary. Właśnie nadeszła wiadomość, którą przekazuję z ogromną przyjemnością. Otóż pan Cecil Figgs z firmy Cecil Figgs, Pogrzeby i Kompozycje Kwiatowe po raz drugi z rzędu otrzymał tytuł Biznesmena Roku w Missouri. Po raz drugi więc serdecznie gratulujemy! Zawsze się cieszymy, kiedy naszym sponsorom dobrze się wiedzie.

Król pogrzebów

Jeśli można dowieść, że reklama popłaca, to firma Cecila Figgsa Pogrzeby i Kompozycje Kwiatowe jest tego najlepszym przykładem. Na początku mieściła się w niedużym betonowym budynku otynkowanym na różowo, a obecnie rozrosła się do trzydziestu sześciu dużych gmachów przypominających Tarę z Przemineło z wiatrem, rozsianych po całym stanie, z czego dwa znajdowały się w samym Kansas City. Teraz nazwisko Cecila Figgsa było najbardziej znaczące w branży kwiatowej i pogrzebowej. Ogłaszał się w całym stanie przez radio, na billboardach, przystankach autobusowych, w gazetach i książkach telefonicznych. Gdzie oko zaczepić albo ucho przystawić, wszędzie widziało się i słyszało o Cecilu Figgsie. „Firma czynna przez 24 godziny, wysyłamy pickupa pod każdy wskazany adres. Waszych najbliższych traktujemy jak swoich najbliższych”. Dając ogłoszenia, działał oczywiście długofalowo. Po tym, jak Cecil został uznany po raz drugi za Biznesmena Roku, Helen Reid, dziennikarka z miejscowej gazety, która miała o nim napisać, zaaranżowała wywiad z jego dwiema ciotkami, nadal mieszkającymi w niewielkim miasteczku Eudora w Missouri, jego rodzinnej miejscowości. Pani Mozelle Hemmit siedziała w saloniku, snując wspomnienia z jego dzieciństwa na użytek dziennikarki.

– Cecil zawsze lubił pogrzeby. Kiedy miał sześć lat, już wyprawiał pogrzeby kotkom, z kwiatami i muzyką. Na dodatek stawiał im nagrobki.

Jego starsza ciotka, pani Ethel Moss przytaknęła.

– To prawda. Kiedy większość chłopców w jego wieku ganiała za piłką, on ubrany w niebieski gamiturek chodził do zakładu pogrzebowego Shimsa, by wziąć udział w czyimś

pogrzebie. Wszystko jedno: znał zmarłego czy nie. Pamiętasz, Mozelle?

– Tak było – potwierdziła. – Po prostu lubił wmieszać się w tłum i współczuć żałobnikom. Kiedy miał dwanaście lat, pan Shims już go zatrudnił do nadzorowania książki klientów i rozdawania wachlarzy. Dobrze mówię, Ethel?

Ethel potwierdziła skinieniem głowy.

– Zgadza się. Do tego całkiem nieźle już zarabiał. Powiem wam, że jeśli jest coś takiego jak urodzony przedsiębiorca pogrzebowy, to na pewno jest nim Cecil. On po prostu lubi ludzi, żywych czy umarłych, zawsze taki był.

– Poza tym – ciągnęła Mozelle – miał dar układania kwiatów. Cecil był specem od bukietów, co nie, Ethel?

– Tak, ten chłopak potrafił ułożyć wiązanekę z tego, co ludzie wyrzucali na śmietnik. Pamiętasz tę wiązanekę z kłosów pszenicy i liści kukurydzy, którą ułożył na trumnę starej Nannie Dotts? Jeśli chodzi o kompozycje, to on po prostu dokonuje cudów. Da mu się pięć dmuchawców i pęk chwastów, a on z tego zrobi dekorację stołu, która przyćmi wszystkie dania.

– Pamiętam, jak zaczynał – powiedziała Mozelle. – Kupił dom pogrzebowy pana Shimsa. Był jak jednoosobowa orkiestra, robił wszystko: dekorował kwiatami, balsamował i wyprowadzał, witał żałobników, wygłaszał mowy pożegnalne, śpiewał pieśni i prawił kazania... a na dodatek prowadził karawan. Jeśli to się nie nazywa pełna obsługa, to ja nie wiem, co to jest. Ale od tamtych czasów przeszedł długą drogę. Wiem, że Ursa jest z niego dumna. To dobry syn. Ilu chłopców w jego wieku wzięłoby matkę do siebie i tak troskliwie się nią zaopiekowało? Wszędzie ją ze sobą zabiera, kupuje jej, co ona tylko zechce. Najął jej służącą, traktuje ją jak królową. Palcem o palec uderzy.

Mozelle potrząsnęła głową w zamyśleniu.

– Taki kochany chłopiec, a się nie ożenił, nawet nie wiem dlaczego. Zawsze był lubiany, co nie, Ethel?

– A jakże. Cecil w liceum przewodził szkolnemu zespołowi i zawsze grał we wszystkich szkolnych przedstawieniach.

– Nie miał szkolnej sympatii? – zapytała dziennikarka.

– Zaraz – zastanowiła się Mozelle. – Była taka jedna, pamiętasz? Chodził z nią przez jakiś czas. Myśleliśmy, że może coś z tego będzie, ale kiedy pytałam o to Ursę, powiedziała, że ta dziewczyna należała do Christian Science i że nic by z tego nie wyszło. Ale on ma

mnóstwo przyjaciół. Bardzo się udziela w YMCA*, co roku jest w zarządzie wyborów Miss Missouri, a w Kansas City prowadzi teatrzyk.

– Jeszcze dyryguje na festiwalach muzyki sakralnej – dorzuciła Ethel. – I nie zapominajmy, że udziela się w kościele. U metodystów

* YMCA – Young Men’s Christian Association, Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej.

proceedzi chór kościelny. Mając więc tylu przyjaciół w teatrze i branży muzycznej, nawet nie ma czasu na samotność, to pewne. W świątku śpiewaków gospel znalazł bratnie dusze. W obrębie sześciu stanów nie uświadczysz takiej grupy gospel, gdzie nie byłoby jego klienteli. Jak ktoś z nich umiera, to zaraz do niego dzwonią, żeby on wszystko organizował i załatwiał.

Mozelle pokiwała głową.

– Oni zawsze kończą na zawał albo wylew, tego typu rzeczy. Cecil mówi, że ma dla nich przygotowane trumny na specjalne zamówienie i trzyma zawsze kilka takich w pogotowiu na wszelki wypadek.

– Już sami tylko śpiewacy gospel dają mu wystarczająco dużo zajęcia – dodała Mozelle.

– Jak panie myślą – dziennikarka skierowała swoje pytanie do nich obu – jaka jest tajemnica jego sukcesu?

Obie się zastanowiły, pierwsza odezwała się Mozelle.

– Ja bym powiedziała, że zamiłowanie do przedstawień i znajomość ludzi. Kiedyś tak mi powiedział: „Ciociu Mo – bo on mnie nazywa Mo – ciociu Mo, mówi, ludziom trzeba pomóc wypłakać się po swoich zmarłych”. Twierdzi, że większość ludzi powstrzymuje się od płaczu, a powinni swoim uczuciom dać ujście. I niech mi pani wierzy, z jego doświadczeniem teatralnym on świetnie wie, w jakie struny trzeba uderzyć... światło, muzyka, te rzeczy. On naprawdę wie, jak to wydobyć z człowieka.

– Faktycznie. Gwarantuję, że jak pójdzie pani na jeden z pogrzebów organizowanych przez Cecila, to na pewno będzie pani ryczała jak bóbr razem z krewnymi. Ja to znam. On urządził pogrzeb starej pani Brock, a już w połowie nabożeństwa czułam się tak, jakby to moja rodzona matka umarła. Pod koniec uroczystości jest się wyżętym jak ścierka, ale też odprężonym, zgodzisz się?

– Pewnie – odrzekła druga ciotka. – I dla Cecila to nie tylko praca. Nigdy nie zdarzyło się na ceremonii przez niego organizowanej, żeby sam się nie wzruszał. Zawsze, za każdym razem, bez względu na to, kim jest nieboszczyk, on siedzi na końcu i też się wypłakuje. Mam wrażenie, że jemu podoba się ta praca tak samo jak klientom. I on nie żałuje pieniędzy. Najmuje najlepszych wizażystów i fryzjerów.

– Zgadza się. Kiedyś poszłam na jakiś jego pogrzeb i słyszałam, jak rodzina powiedziała, że zmarły wyglądał lepiej po śmierci niż za życia.

Dziennikarka podziękowała obu paniom, poszła do domu i napisała historię Cecila Figgsa. Kusilo ją, żeby artykuł zatytułować *Lepiej po śmierci niż za życia*. Ale po dłuższym zastanowieniu dała inny tytuł – *Król pogrzebów dobry dla swej mamy*.

Pogrzeb Ferrisa

Kiedy umarł Ferris Oatman, pierwszą osobą, którą o tym powiadomiono, był rzeczywiście Cecil Figgs. On to zdecydował, że uroczystości pogrzebowe odbędą się nie w rodzinnym miasteczku zmarłego, oddalonym o siedemdziesiąt pięć mil, ale w Boutwell Auditorium w Birmingham, gdzie Ferris tyle razy brał udział w festiwalach muzyki sakralnej. Na pogrzeb przybyły wszystkie amerykańskie zespoły gospel, by złożyć zmarłemu ostatni hołd. Nie widziano jeszcze tak licznych zgromadzenia śpiewaków gospel w jednym miejscu. Ponadto przybyli też wszyscy Oatmanowie i Varnerowie, a także przysięgli fani, w rezultacie z kilkuset autobusów wiele nie miało gdzie zaparkować. Na uroczystości pojawił się nawet burmistrz i gubernator we własnej osobie.

Wielka biała trumna Ferrisa pokryta była wiązkami białych goździków z czarnymi nutkami zaprojektowanymi przez samego Cecila. Pożegnalną pieśń *Nastanie spokój w dolinie* zaśpiewała Beatrice Woods, stojąca z tyłu sceny, na której tłoczyło się dwadzieścia sześć zespołów gospel. Kiedy uroczystości dobiegły końca, Minnie była tak zmaltretowana, że musiano ją wywieźć z audytorium na wózku inwalidzkim. To był ładny pogrzeb, taki, jakie lubił Cecil Figgs. Tłumny i wystawny. Wszystko toczyło się gładko i zgodnie z planem, z wyjątkiem incydentu z bratem Ferrisa, Le Royem. Targały nim tak silne wyrzuty sumienia z powodu odejścia od grupy i przystania do zespołu country, że przyjechał już pijany i przez całe nabożeństwo jęczał, żeby Ferris mu przebaczył. Betty Raye była jedyną osobą z rodziny, która tego dnia z nim rozmawiała.

Hamm przywiózł Betty Raye na pogrzeb jej ojca i wykorzystał tę okazję, by wymienić uścisk dłoni i przedstawić się niezliczonej liczbie osób. Przed nabożeństwem Hamm obserwował bacznie cały tłum, a zwłaszcza gubernatora. Jeszcze nigdy nie znajdował się tak blisko człowieka o takiej władzy i znaczeniu. Patrzył zafascynowany, jak wszyscy skaczą wokół niego, a gdy wygłaszał krótką mowę pogrzebową, niemal spijali z jego ust każde słowo.

Do wieczora, kiedy było już po wszystkim i zebrani rozjechali się do domów, zaszły dwie ważne okoliczności:

1. Hamm odkrył, o jaki urząd chciałby się ubiegać.
2. Hamm spotkał Cecila Figgsa.

Emmett Crimpler

Pierwszą osobą, która zadzwoniła do Dorothy i powiedziała jej, w jakim stanie jest Minnie, była Beatrice Woods. Dorothy natychmiast zadzwoniła do Betty Raye, która wzięła maleństwo i pojechała, by być przy matce.

– Kochanie – zaofiarowała się Dorothy. – Dopiero się o wszystkim dowiedziałam. Może mogłabym wam jakoś pomóc?

– Och, dziękuję – odpowiedziała Betty Raye – ale nie mam pojęcia, co w ogóle można zrobić w tej sytuacji. Tak się o nią martwię, ona nie pójdzie do lekarza, a nie je już od prawie trzech tygodni.

– Ojej. Informuj mnie na bieżąco i pamiętaj, że wszyscy jesteśmy z tobą.

Po pogrzebie Minnie powiedziała do chłopców i Floyda:

– Zabierzcie mnie do domu.

Zapakowali więc ją do autobusu i ruszyli w drogę, a ona płakała przez cały czas. Kiedy dojechali do małego domku w Sand Mountain, Minnie z pomocą chłopców położyła się do łóżka i oświadczyła im:

– Nie mogę żyć dalej bez Ferrisa. Przyjechałam tu, by umrzeć.

Rodzina była tym tak zmartwiona, że zawołała wielbego W. W. Nailsa, kaznodzieję, by się za nią modlił. Ale nie zdało się to na nic.

– To nie ma sensu, wielbny – powiedziała Minnie słabym głosem. – Bo mimo że często przekraczałam już granicę doliny cieni z powodu wysokiego ciśnienia, cukrzycy, zapalenia

stawów i podagry, zawsze udawało mi się wymodlić pozostanie po tej stronie. Ale teraz już nie chcę tu zostawać. Będę tu leżała i czytała Pismo, dopóki śmierć mnie nie zabierze.

Wielebny W.W. Nails wyszedł z sypialni i powiedział:

– Ta kobieta jest na wskroś przeniknięta boleścią. Tylko cud może ją uratować.

Wszyscy starali się jakoś na nią wpłynąć. Betty Raye z płaczem błagała ją, by zjadła choć krakersa. Ale Minnie nie chciała. Dom tonął w kwiatkach i listach od fanów, ale to też nie robiło na niej żadnego wrażenia. Chester kukielka przyszedł zaklinać ją, demonstrując swoje drewniane serduszko.

– Mamo Oatman – mówił. – Wstań, jesteś nam potrzebna. Co się stanie z rodziną Oatmanów bez ciebie?

– Kochany Chesterku – odpowiedziała – straciłam ochotę do śpiewania, skoro straciliśmy twojego wujka Ferrisa. Bądź dobrym chłopcem i opiekuj się Floydem.

Floyd nie mógł tego znieść, wybiegł z pokoju i znów zamknął się w łazience.

Weszli Bervin i Vernon, nie mając pojęcia, co powiedzieć. Ujęła ich ręce i przemówiła do nich:

– Chłopcy, w moim sercu nie ma już muzyki. Wy i cała reszta musicie być dzielni i zacząć sobie radzić beze mnie.

Cały świat gospel snuł domysły, co będzie dalej. W „Singing News” zaczęły ukazywać się artykuły, w których zastanawiano się, czy śmierć Ferrisa oznacza koniec zespołu Oatmanów. Ktoś nawet zadzwonił do nich z pytaniem, czy czasem nie sprzedają swojego autobusu.

Ale pomoc była już w drodze w postaci mierzącego sześć stóp pięć cali mężczyzny, zwanego Crimpler. Kilka dni później jego zielony studebaker zajechał pod dom Oatmanów. Pierwszy zauważył go Vernon.

– Toż to Emmett Crimpler! – zawołał.

Chłopcy otworzyli na oścież drzwi sypialni i zakomunikowali:

– Masz gościa, mamo.

Minnie była już tak słaba, że z wielkim trudem usiadła na łóżku. Emmett stanął u stóp jej łóżka i nie rzekłszy ani słowa, otworzył usta i zaczął śpiewać Słodsza z każdym dniem najpiękniejszym basem, jaki Minnie kiedykolwiek słyszała. Kiedy skończył, powiedział:

– Minnie, mam nadzieję, że mnie słyszysz. Przyjechałem tutaj, aby ci powiedzieć, że jestem gotów z wami śpiewać, jeśli mnie przyjmiesz.

Minnie trochę pewniej usiadła na łóżku. Emmett Crimpler, obok J.D. Sumnera i Jamesa (Wielkiego Szefa) Wetheringtona, uchodził za najświetniejszy bas w muzyce gospel. Powiedział Minnie, że miał sen, w którym przyszedł do niego Ferris i polecił mu opuścić własny zespół i zająć jego miejsce.

Po godzinie Minnie zawołała Bervina:

– Leć do drivein i przynieś mi frytki i kanapkę z serem i szynką.

Emmett nic nie wspominał, że już od roku nosił się z zamiarem odejścia od Harmony Boys, ale przecież i tak nie miało to znaczenia. Jego pojawienie się, jak orzekł wielebny Nails, było tym oczekiwanym cudem.

Minnie straciła przeszło trzydzieści pięć funtów, ale Oatmanowie znów ruszyli w trasę!

Człowiek z ludu

Jak już mówiliśmy, Hamm Sparks nie był szczególnie przystojny ani wysoki, zaledwie pięć stóp dziewięć cali, średniej budowy. Miał ciemne włosy, piwne oczy i coś jeszcze oprócz tego. Dzięki urokowi osobistemu był również pociągający, choć nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Taki dar zjednywania otoczenia właściwy jest ludziom, którzy wiedzą dokładnie, czego chcą. Potrafią oni wyraźnie dać do zrozumienia, do czego dążą i czego można się po nich spodziewać w zamian za pomoc w osiągnięciu przez nich celu.

Jednak najbardziej pociągającą cechą Hamma Sparksa, która czyniła jego nieprzepartą ambicję nie tylko strawną, ale wręcz urzekającą, była jego otwartość i szczerść, co na ogół nie cechuje ludzi ambitnych. W jego osobowości nie sposób było dopatrzeć się jakiegś sztuczności czy fałszu. Wierzył, że każdy napotkany człowiek jest jego przyjacielem i odwzajemniał te uczucia. Wierzył też, że jest tym, który może występować w ich imieniu, walczyć o prawa jednostki, zwłaszcza o prawa ludzi krzywdzonych. Był gotów walczyć z całym światem. Sympatyczny w obejściu był jednak nieugięty, dążył zawsze do wytyczonego celu, a pochodził z rodziny dumnej od pokoleń.

Kiedy władze doliny Tennessee chciały przejąć ziemię należącą do jego rodziny, by zbudować na tym miejscu tamę, która byłaby źródłem elektryczności dla całego regionu, jego ojciec walczył z nimi zaciekle do samego końca. Jednak na próżno. W końcu władze załapały cały teren, nie zostawiając nawet skrawka ich ziemi. Wykopali szczątki swoich przodków walczących podczas wojny secesyjnej i przenieśli na nowe miejsce. W przeciwieństwie do

większości mieszkańców Norris w Tennessee, którzy starali się dostrzec i wykorzystać dobre strony trudnej sytuacji, podejmując w nowym przedsiębiorstwie pracę, jego ojciec nie zgodził się pracować na państwowej posiadzie ani też zamieszkać w nowym miasteczku, które zostało wybudowane przez to przedsiębiorstwo. Wędrował z rodziną po całej okolicy, do końca swych dni malując na dachach stodół napis: ZWIEDZAJCIE ROCK CITY. Była to ciężka i niezbyt popłatna praca, która w końcu zabiła go, gdy miał zaledwie czterdzieści jeden lat, ale przynajmniej nie musiał zależeć od władz federalnych. Umarł jak bohater, przynajmniej tak widział to jego syn. Ojciec często mu powtarzał:

– Synu, jeżeli władze federalne chcą zabrać człowiekowi jego ziemię i ma im to ująć na sucho, to demokracja jest zagrożona. Jeśli dojdzie do tego, że dobro jednostki zostanie poświęcone dla tak zwanego dobra ogółu, to mamy do czynienia z socjalizmem. Gdyby mnie poproszono o moją ziemię, może bym i ją oddał. Nie jestem taki znowu głupi, żeby nie rozumieć, że elektryczność to dobra rzecz, ale jeśli przychodzą do mnie i nie dają mi żadnego wyboru, to jest się o co bić. O to toczą się wojny. W każdym razie ja o to walczyłem, żeby być niezależnym od rządu. Żeby mieć swoją ziemię. To wszystko, co mamy. Ale łobuzy zabrały naszą ziemię, nigdy o tym nie zapomnij.

To zdarzenie na zawsze odmieniło życie jego ojca i całej rodziny. To sprawiło, że Hamm stał się obrońcą praw człowieka. Jego samego i każdego innego. Pod tym względem przypominał konia z klapkami na oczach; nie widział, co znajdowało się z prawej strony ani co z lewej. Teraz, kiedy minęły już wojna i kryzys, uważał, że program pomocy Roosevelta powinien być wstrzymany. Nie miał żadnego zrozumienia dla kogoś, kto mógł pracować, ale nie pracował. Przekonał się na własnej skórze, ile kosztują zasiłki – opłacane dumą i godnością. Raz tylko przyjął pomoc od władz federalnych, było to w bardzo trudnym okresie po śmierci ojca. Matka była chora, więc Hamm poszedł do Knoxville, by uzyskać jakąś pomoc. I chociaż nie było ich na liście, kobieta z opieki społecznej zrzędcąc, dała mu woreczek fasoli, kawałek boczku, kilka kartofli, mąkę i cukier. Wziął to, ale całą drogę do domu płakał, wyobrażając sobie, jak czułby się ojciec. Byli jednak głodni, więc zjedli wszystko. A potem Hamm wyszedł za dom i zwymiotował to, co zjadł. Zemdlilo go ze wstydu. Wtedy to przysiągł sobie, że do końca życia nie weźmie niczego od władz.

Następnego dnia poszedł do pracy, miał wtedy trzynaście lat. Udało mu się zaoszczędzić tyle, że mógł kupić używaną dubeltówkę, codziennie więc przed lekcjami i po szkole szedł polować i wracał z mięsem, które kładł na stole. Latem łowił ryby i hodował warzywa, potem

wymieniał sumy i cebule na jajka, cukier, mąkę kukurydzianą. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży królików, saren i wiewiórek kupował dla siostr ubrania i buty. Całkiem zrozumiałe zatem było, dlaczego nie tolerował ludzi, którzy nie pracowali, mimo że mogli pracować. Albo dlaczego nie miał cierpliwości do ludzi, którzy nie byli gotowi walczyć i polec dla idei, w które wierzyli. Podobnie jak jego ojciec i dziadek zaciągnął się do wojska, kilka godzin po ataku na Pearl Harbor był już członkiem piechoty. Jego niezachwiana wiara, że przyszedł na ten świat z pewną misją do spełnienia oraz że nie zginie, uczyniła z niego idealnego żołnierza i dowódcę oddziału. Jego doskonałe opanowanie bronią oraz absolutny brak strachu sprawiły, że robił rzeczy, których niewielu mężczyzn było w stanie dokonać. Na wojnie dokonania te nagradzane są medalami i propozycjami awansu. Nawet wtedy, w odległych dżunglach, między jedną a drugą bitwą na Pacyfiku, Hamm planował swoją przyszłość. Kiedy w wojsku zaproponowano mu szkolenie oficerskie, grzecznie odmówił. Wiedział, że choćby ze względu na swoją liczebność, głosować będzie znacznie więcej szeregowców i podoficerów niż oficerów. Podczas służby wojskowej zawarł wiele cennych i szczerych przyjaźni. Po powrocie do domu pracował w niepełnym wymiarze czasu i niemal skończył college, ale kiedy ożenił się z Betty Raye, zaczął pracować na pełnym etacie, usiłując odłożyć trochę pieniędzy na dom. Jednak w 1952 roku jego pragnienie zajęcia się polityką stało się tak silne, że rzucił pracę jako sprzedawca traktorów i stanął do wyborów o urząd okręgowego komisarza do spraw rolnictwa w Pettis.

Mimo że były to tylko okręgowe wybory, ich życie w wynajętym domku zostało przewrócone do góry nogami. Telefony urywały się, ludzie wchodzili i wychodzili, a kiedy wygrał, Betty Raye wymogła na nim obietnicę, że nigdy już jej nie narazi na coś takiego. Sprawował ten urząd przez rok i dokonał wiele dobrego. Zależało mu jednak na tym, by iść do przodu. Następnym etapem kariery Hamma mogła być funkcja stanowego komisarza do spraw rolnictwa. Betty marzyła tylko o tym, by zdobyć jakiś mały domek i niewielkie zabezpieczenie na przyszłość. Wówczas nie mieli niczego z wyjątkiem dwuletniego dziecka i służbowego samochodu do dyspozycji, który tracili wraz z upływem kadencji. Stanowisko okręgowe było marnie płatne, więc musieli przeprowadzać się z jednego wynajmowanego lokum do drugiego. Hamm jednak nie myślał wtedy ani o domku, ani o żadnym zabezpieczeniu. Myślał o własnej przyszłości. Wiedział, że gdyby wygrał te wybory, otworzyłyby mu to drzwi do wielkiej polityki. Wszystkie te lata sprzedaży traktorów i wymieniać uścisków rąk powinny zacząć procentować. Miał jednak silnego przeciwnika,

który już zajmował to stanowisko. Hamm potrzebował pieniędzy na kampanię i samochód. Próbował wziąć z banku pożyczkę, ale bank mu odmówił. Hamm znalazł tylko jednego człowieka, który mógłby mu pożyczyć taką sumę pieniędzy. Bardzo niechętnie, ale jednak zadzwonił do swojego starego kumpla z wojska, Rodneya Tillmana. Przed wojną Rodney był sprzedawcą w salonie pontiaca, teraz zaś miał kilka komisów samochodowych pod Sedalią. Kiedy Hamm zadzwonił do niego, Rodney przez parę minut słuchał, nie przerywając mu, a potem zapytał:

- To ile ci potrzeba, Hambo? Nawet jeśli nie będę miał tyle, to skombinuję.
- Wystarczyłoby mi pięć tysięcy – odpowiedział Hamm.
- Dostaniesz sześć.
- Oddam ci – zapewnił go Hamm.
- Wiem, że mi oddasz.
- Nigdy ci tego, koleś, nie zapomnę.
- Nie martw się o to. Startuj i wygraj to cholerstwo.

Raz jeszcze musieli się przeprowadzić i raz jeszcze życie Betty Raye zostało wywrócone do góry nogami. Gdy tylko się zgłosił, natychmiast do domu zaczęli napływać ludzie, dniami i nocami. Kiedy kładła się spać, w salonie siedzieli obcy mężczyźni. Rano wstawiała, ubierała się i przebierała dziecko, a w porze śniadania przy kuchennym stole już siedziało razem z nimi czterech albo pięciu mężczyzn, wypełniając atmosferę całego domu dymem z cygar. Niemal nie widywała Hamma samego. Albo był w rozjazdach, albo otoczony kumplami. W domu panował nieustanny rozgardiasz, a większość czasu Betty Raye spędzała na sprzątanii po gościach. W ich mieszkaniu znajdowała się tylko jedna łazienka, więc obcy mężczyźni bez przerwy przechodzili przez jej sypialnię. Kiedy zaś wchodziła do łazienki, nigdy nie miała pewności, czy nie natknie się tam na kogoś albo czy ktoś tam nie wejdzie, kiedy ona będzie się myć. Starła się znosić to wszystko dzielnie, ale kiedy raz obudziła się, a nieznany mężczyzna przechodził przez jej sypialnię, załamała się. Hamm nie potrafił pojąć, dlaczego jej to przeszkadza. Jemu to wcale nie przeszkadzało; przeciwnie, mógłby mieć ludzi wokół siebie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wtedy rozkwitał. Wydawało się, że właśnie to mu dodaje energii. Z Betty Raye natomiast zrobił się wrak na skutek całkowitego i nieustannego braku prywatności. Nie mogła nawet usiąść gdzieś w samotności i wypłakać się. Skończyło się to po sześciu miesiącach. Ogłoszenia radiowe, plakaty, wizyty Hamma na licznych farmach – wszystko to sprawiło, że wygrał. Teraz był już stanowym komisarzem do

spraw rolnictwa.

Betty Raye była szczęśliwa, że to minęło. Wreszcie odzyskała męża tylko dla siebie i mogli wrócić do normalnego życia.

Hamm i Rodney

W komisie samochodowym Tillman i Reid zadzwonił telefon. Rodney Tillman podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Cześć, chłopie, co robisz? – zapytał męski głos.

To był jego przyjaciel, Hamm Sparks.

– Akurat teraz siedzę i zastanawiam się, czy mam zabić swojego byłego szwagra czy nie.

Hamm roześmiał się.

– A co on takiego zrobił?

– Dostaliśmy szewroletkę z czterdziestego dziewiątego w całkiem niezłym stanie, a ten głupek zaczął majstrować przy szybkościomierzu, mimo że mówiłem mu, by tego nie robił.

I ten cholerny idiota dokręcił dodatkowe dwieście mil.

– Dlaczego nie cofniesz, jak zawsze to robisz?

– Zrobiłbym tak, gdybym mógł, Hambo – powiedział, mierzając wzrokiem byłego szwagra, który właśnie przechodził – ale to cholerstwo się zacięło. A ty co robisz?

– Dziś pracuję w twoich okolicach. Może się ze mną zabierzesz, pojeździlibyśmy razem po południu?

Rodney popatrzył na plac pełen pokrytych kurzem samochodów, żadnego klienta na horyzoncie.

– Czemu nie – zgodził się.

Po drodze na farmy, które tego dnia Hamm miał wizytować, Rodney wyjmował piersiówkę z tylnej kieszeni i pociągał łyka.

– Mówię ci, chłopie, czasami żałuję, że nie zostałem tam i nie ożeniłem się z tą Japoneczką, te alimenty mnie wykończą. Ty to miałeś szczęście, że spotkałeś Betty Raye, to słodka kobitka.

– To prawda – przyznał Hamm.

Kiedy zatrzymywali się na farmach z listy Hamma, Rodney siedział skulony na przednim

siedzeniu, pociągał z flaszki i przyglądał się, jak Hamm truchta po podwórkach, zaglądając do stodoł, obór i na pola, rozmawiając z farmerami, poklepując ich po plecach, mówiąc to, co zazwyczaj mówią między sobą rolnicy. Przy mniej więcej piątej farmie Rodney zapytał:

– Ile jeszcze miejsc chcesz dzisiaj odwiedzić?

– Jeszcze sześć.

– A moglibyśmy się gdzieś zatrzymać? Chętnie bym coś przetrącił.

– Jasne, niedaleko jest takie miejsce.

„Niedaleko” okazało się odległe o dwadzieścia trzy mile.

Kiedy wyszli z przydrożnej niewielkiej stacji benzynowej, przy której stał wiejski sklepik z kiełbasą, krakersami i colą, Hamm skierował się z powrotem do samochodu.

– Nie możemy usiąść na zewnątrz? – zapytał Rodney. – Przykro mi to mówić, koleś, ale zaczynasz – zajeżdżać oborą. Bóg raczy wiedzieć, w co wdepnąłeś, a te ślady świńskich ryjów na twoich spodniach też nie dodają apetytu.

Hamm popatrzył na swoje spodnie i wybuchnął śmiechem.

– Rozumiem, o czym mówisz. Przepraszam, to należy do moich obowiązków.

Poszli za sklep, gdzie nad strumieniem stała sklecona drewniana ławeczka i tam usiedli.

Rodney podał Hammowi swoją colę.

– Wypij trochę, zrób to dla mnie – poprosił.

Hamm pociągnął łyka i oddał butelkę Rodneyowi. Wtedy Rodney napełnił ją whisky, upił trochę i skonstatował:

– Teraz to jest cola. To jak, Hambo? Tak wygląda twoja codzienna praca? Obchodzenie stodoł?

– Mniej więcej tak.

Rodney obejrzał nieufnie herbatnik, który trzymał w ręce, po czym jednak zdecydował się go ugryźć.

– Zagadką dla mnie pozostanie, dlaczego ubiegałeś się o tego typu zajęcie. Przecież pieniędzy na tym też nie robisz.

– Nie, na pewno nie dla pieniędzy – przyznał Hamm. – Ktoś jednak musi pomóc tym ludziom, którzy próbują się utrzymać właściwie z niczego i którzy na rynek mogą dotrzeć tylko takimi polnymi drogami. Większość z nich ledwo daje sobie radę. – Hamm ugryzł serowego krakersa, przełożonego masłem orzechowym, i dodał: – Kiedy pada, oni są odcięci od świata, a rząd nie naprawia tych dróg. Pieniądze ładuje w duże miasta, gdzie buduje się

różne podziemne i nadziemne przejścia, a potrzeby drobnych farmerów są lekceważone. Muszę ci powiedzieć, że do pasji doprowadza mnie sytuacja, w której ci dobrzy, ciężko pracujący, uczciwi podatnicy traktowani są jak śmiecie. Widziałem, jak pomiatano moim tatą, więc wiem, jak to jest... Niewiele mogę pomóc. Po prostu podtrzymuję ich na duchu.

– Takie jest życie, Hambo. Bogaci się bogacą, a biedni ubożeją, niech ich Pan Bóg ma w swojej opiece. Jedyna różnica, jaka jest między tobą, mną a bogatymi, to ta, że oni mają pieniądze, a my nie.

– Nie, Rodney – sprzeciwił się Hamm. – To nie tylko kwestia pieniędzy, oni są inni niż my. Przebywałem w towarzystwie kilku bogatych ludzi i mogłem się o tym przekonać na własne oczy.

– Kiedy to było?

– Po wojnie, w szkole, spotkałem kilku bogatych chłopaków z college'u. Ja wtedy pracowałem jako kelner, by móc się utrzymać i uczyć. Czasami wygłupialiśmy się razem. Nie byliśmy na stopie przyjacielskiej, nic z tych rzeczy, ale jeden młodziak z Minneapolis musiał uważać, że ja jestem jakimś oryginałem czy coś w tym rodzaju i kiedyś zaprosił mnie na weekend do siebie do domu.

– Zaraz. Ty oryginałem?

Hamm uśmiechnął się.

– Tak, uważali, że mam śmieszny akcent, a ja jeszcze trochę przesadzałem, udając większego wsioka. W każdym razie wybraliśmy się do niego i zajechaliśmy przed wielkie trzypiętrowe domiszczce, gdzie mieszkał. W życiu nie widziałem niczego podobnego, z tyłu zamiast podwórka rozciągało się wielkie jezioro.

– Jakie znowu jezioro?

– Ich jezioro. Mówię ci, to byli bogacze, a ten mały powiadał, że to tylko ich letni domek. To gdzie oni mieszkają zimą? W pałacu Buckingham? W każdym razie nigdy w życiu nie czułem się tak nieswojo. Ta cała jego rodzinka to były zimne ryby. Nawet nie wydaje mi się, żeby oni lubili się nawzajem, a mnie traktowali, jakbym właśnie zszedł z drzewa. I coś ci powiem: po tym weekendzie ja tych farmerów tam zawiozę. Sam nie chcę niczego, co tamci mają. Niech sobie mają te wielkie domy, służbę, samochody, mnie to niepotrzebne. – Tu jego głos stracił na sile. Patrzył na strumień niewidzącym wzrokiem i powiedział cicho: – Ale oni mają łódź. Któregoś dnia pewien dziadzio zabrał nas wszystkich na jezioro właśnie tą łodzią... Mówię ci, stary, to najładniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem... cała biała, w środku lśniące

drewno. – Potrząsnął głową. – Powiem ci, bracie, dałbym sobie rękę uciąć za takie cacko.

Rodneyowi nagle zrobiło się żal kolegi. Spróbował go rozweselić.

– Wiesz, Hambo, czego ci potrzeba? Powinieneś wybrać się ze mną do St. Louis, zagrać w pokierka, tam jest trochę niezłych gier, zobaczyłybyś. Należy ci się trochę rozrywki, no, co na to powiesz?

– Chciałbym, ale nie mam chwili do stracenia – odpowiedział Hamm, podnosząc się z ławki.

– No cóż, znasz moje powiedzenie: jeśli nie możesz pojechać tam, gdzie chcesz, to możesz się dobrze zabawić na miejscu, nigdzie nie jadąc.

Na drzewie

Ciocia Elner po śmierci męża chciała zostać na farmie, ale Norma martwiła się, jak też ciocia da sobie radę sama na wsi, nalegała więc na jej przeniesienie się do miasta. Wołała mieć ciocię blisko siebie, gdyż łatwiej było wtedy mieć ją na oku, i nie spoczęła, dopóki nie dopięła swego. Ciocia Elner sprzedała zatem farmę, a Norma i Macky znaleźli dla niej dom o parę ulic od nich. Był to nieduży domek, składał się z sypialni, kuchenki, saloniku i przyjemnego ganeczku, ale cioci Elner najbardziej podobało się duże drzewo figowe rosnące za domem. Na nowe miejsce przywiozła ze sobą kilka swoich ulubionych kurcząt, razem z nią wprowadził się także kot Sonny, a Norma nadal nieustannie, nocą i dniem, sprawdzała, jak jej się żyje.

– Z waszego postępowania można by sądzić, że mieszkam dwadzieścia mil stąd, a nie parę przecznic dalej – mówiła ciocia Elner.

– Tak, ale jakby coś się stało, możemy być u ciebie w ciągu paru minut.

– Kochanie, kiedy umrę, nie sprawi mi większej różnicy, czy znajdziesz mnie martwą natychmiast czy troszkę później.

– Tobie może nie, ale ja czuję się lepiej, mając pewność, że nie leżysz gdzieś martwa na podwórku, dziobana przez kurczaki.

Ciocia Elner roześmiała się na to.

– Mnie by to nie przeszkadzało. Ja ich tyle zjadłam w swoim życiu. – Lubiała się przekomarzać z siostrzenicą, obiecała jednak, że będzie na siebie uważać. Ale mimo że złożyła obietnicę i zamierzała jej dotrzymać, od czasu do czasu dawała Normie powód do

zmarwienia. Choćby tego ranka zdarzyło się coś, co dla Normy stało się powodem do niekończących się uwag.

– W twoim wieku nie powinno się wchodzić nawet na schody, a co dopiero mówić o wysokiej drabinie. Nieomal zemdlałam, jak przyszłam i zobaczyłam cię, że wisisz na drzewie.

– Nie wisiałam, tylko siedziałam.

– Wszystko jedno, wisiałaś czy siedziałaś, a co by było, jakbym w porę nie nadeszła? Musisz bardziej na siebie uważać. A gdybym tak znalazła cię martwą, leżącą na ziemi?

– Ależ, Norma, przez całe życie zbierałam owoce i jakoś jeszcze od tego nie umarłam. A zresztą to przez psa Griggsów. On gonił mojego Sonny’ego i przewrócił drabinę. Na niego powinnaś fukać.

– Nieważne przez kogo, obiecaj mi, że już nie będziesz wchodziła na drabinę. Niech Macky zbiera owoce albo można zawołać Merlego z sąsiedztwa.

– No dobrze.

– Wiesz przecież, nie jesteś już taka młoda jak kiedyś.

Późnym wieczorem ciocia Elner zadzwoniła do Normy.

– Norma, muszę cię o coś zapytać.

– O co?

– A kto jest młodszy, niż był kiedyś? Ja nie znam nikogo takiego. Nawet ci, co sobie robią operacje plastyczne, są tak samo starzy jak przed operacją. Nawet gdyby się przenieść do innej strefy czasowej, to też pozostaje się w tym samym wieku, zgodzisz się ze mną? Norma musiała przyznać, że ciocia Elner miała rację. Niemniej dodała:

– To nie o to chodzi. Chodzi o to, żebyś na siebie uważała.

– Nie, chodzi o to, żeby pies Griggsów trzymał się z dala od mojego podwórka i przestał gonić mojego kota.

– Ciociu Elner.

– Wiem, obiecałam, a obietnica to obietnica.

Ale nowy dzień to nowy dzień. Następnego ranka, około dziesiątej, kiedy Linda była w szkole, zadzwonił telefon. Norma podniosła słuchawkę.

– Norma? Mam do ciebie pytanie – oświadczyła ciocia Elner.

– Poczekaj chwilkę, tylko zmniejsz płomień pod fasolką.

– Jaką fasolkę gotujesz?

– Szparagową. Wrzuciłam garść, żeby Macky zjadł trochę zieleniny na lunch. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie. A co dostanie na lunch?

– Łososiowe paluszki, sałatkę z pomidorów, kukurydzą i fasolkę.

– A jaki chleb?

– Z mąki kukurydzianej. Zostało mi parę kawałków. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie.

– Chciałaś mnie o coś zapytać.

– Rzeczywiście.

– Co to było?

– Poczekaj... Muszę sobie przypomnieć.

– Na jaki temat?

– Już wiem. Norma, czy ja mam ubezpieczenie?

– Jakie ubezpieczenie?

– Jakieś. Wszystko jedno jakie.

– Chyba wuj Will miał polisę Masona. Dlaczego pytasz?

– Bo przyszła tu jakaś pani i o to pytała, a ja nie wiedziałam, więc poradziłam jej, żeby ciebie o to zapytała.

– Jaka znowu kobieta?

– Jakaś kobieta, nie znam jej. Zostawiła swoją wizytówkę. Chcesz, żebym przyniosła i przeczytała ci?

– Tak.

Rozległo się głośne stuknięcie, kiedy ciocia Elnor położyła słuchawkę na blat stołu. Po chwili była z powrotem.

– Nazywa się June Garza. Znasz ją?

– Nie. Z jakiego towarzystwa ubezpieczeniowego?

– Aetna... Zakład Ubezpieczeń... Więc powiedziałam jej, że tymi sprawami zajmuje się moja siostrzenica i jej mąż.

– Dobrze. A co ona na to?

– Zapytała, gdzie mieszkasz, bo chciała z tobą porozmawiać na ten temat.

– Wielki Boże, chyba jej nie podałaś naszego adresu?

– Musiałam. Prosiła mnie o to.

- Kiedy to było?
- Niedawno, dopiero co...
- O Boże...
- To naprawdę miła kobieta. Miała na sobie zieloną garsonkę...
- Ciociu Elner, zadzwonię do ciebie później.
- Dobrze. Chciałam cię tylko uprzedzić.
- Zadzwonię później.

Norma odłożyła słuchawkę, pobiegła do saloniku, wyjrzała stamtąd na ulicę w obu kierunkach, zamknęła frontowe drzwi, okiennice i zaciągnęła firanki. Potem poszła do kuchni, tam też zamknęła okiennice, kucnęła przy ściennym telefonie, tak aby nikt nie mógł zobaczyć, jak zdejmuje słuchawkę i wykręca numer Macky'ego. Kiedy odebrał telefon, zaczęła do niego mówić szeptem:

- Macky... kiedy przyjdiesz do domu, nie wchodź frontowym wejściem, pójdź dalej i dopiero potem zawróć. Zastukaj trzy razy, tak abym wiedziała, że to ty.
- Co?
- Ciocia Elner podała nasz adres agentce ubezpieczeniowej i ona do nas idzie... a ja nie chcę z nią niczego załatwiać.
- Nie musisz z nią niczego załatwiać. Po prostu podejdź do drzwi i powiedz jej, że nie potrzebujesz ubezpieczenia.
- Nie chcę być dla niej niegrzeczna, na litość boską.
- Nie będziesz niegrzeczna.
- Kiedy nie można powiedzieć „nie”, dopóki oni nie przedstawia swojej oferty. Przecież nie wiesz, dlaczego ta biedna kobieta musi pracować... Może ma na utrzymaniu dzieci. Ty może byłbyś zdolny złamać jej serce, ale ja nie...
- Norma, nie złamiesz jej serca. To agentka ubezpieczeniowa.
- Może ma męża pijaka... Ćśśś... – Dało się słyszeć stukanie do drzwi. – O Boże, ona już przyszła... Cicho bądź. – Przeniosła telefon do spiżarni, żeby go ukryć.
- Norma, po prostu podejdź do drzwi i powiedz jej, że dziękujesz bardzo, ale nie potrzebujesz żadnego ubezpieczenia. Jeśli tego nie zrobisz teraz, to ona tu wróci. A chyba nie chcesz podsycać jej nadziei... Tak przecież jest jeszcze gorzej. Powinnaś nauczyć się mówić „nie”. Wcale nie musisz być przez to nieuprzejma. Idź zaraz, będziesz to miała za sobą. Kobieta nadal stukała do drzwi. Nie zamierzała odejść.

– Macky, ja cię zabiję.

Norma odłożyła słuchawkę, przywarła do ściany, przez chwilę zbierała całą swoją odwagę, w końcu wzięła głęboki oddech i ruszyła w kierunku drzwi.

Mniej więcej czterdzieści pięć minut później zadzwieczał dzwonek umieszczony nad drzwiami wejściowymi sklepu żelaznego i do środka weszła kobieta około czterdziestki, ubrana w zieloną garsonkę, trzymająca pod pachą brązową aktówkę. Podeszła do Macky'ego z miłym uśmiechem.

– Czy to pan Warren?

– Tak, proszę pani – odpowiedział Macky. – Czym mogę służyć?

– Jestem June Garza z Zakładu Ubezpieczeniowego Aetna, pańska żona powiedziała mi, że pan mógłby być zainteresowany kupnem polisy „Trzy w jednym”. Czy odpowiada panu obecna pora na rozmowę? – W tym momencie zadzwonił telefon. – Bo jeśli pan woli, mogę przyjść po lunchu.

Macky poczuł się złapany w pułapkę.

– Eee, zaraz... przepraszam na chwilę, pani Garza... tylko odbiorę. – Podniósł słuchawkę.

Po drugiej stronie była Norma.

– Macky, czy ona już przyszła?

Macky uśmiechnął się w stronę pani Garza.

– Tak jest.

– Zaczekaj, zanim zaczniesz się na mnie wściekać, muszę ci to powiedzieć. Jej mąż jest diabetykiem i stracił lewą nogę. Zdaje się, że grozi mu utrata drugiej, o ile dobrze zrozumiałam.

– Tak. Dobrze. Dziękuję bardzo.

Ale Norma mówiła dalej.

– A jej teściowa miała już trzy wylewy i musi przyjmować bardzo kosztowne lekarstwa. Jednym z powodów, dla których ona musi pracować, jest to, że nie byli ubezpieczeni.

– W porządeczku, czy coś jeszcze? – Udawał, że coś zapisuje.

– Wiem, że będziesz na mnie zły, ale...

Macky starał się nadać swemu głosowi uprzejmy ton.

– Zgadza się.

– Tylko nie wiń jej za to. Po prostu jak wrócisz do domu, weź rewolwer i zastrzel mnie.

Celuj prosto w głowę, żebym długo nie cierpiała.

– Dziękuję, na pewno to zrobię. Do widzenia, pani Mud. Skończyło się na tym, że Macky kupił dwie polisy dla właścicieli domów, jedną dla nich, a drugą dla cioci Elner.

Życie w małym miasteczku. Luty 1953

Gdyby ktoś obcy przechodził w sobotnie popołudnie koło zakładu fryzjerskiego w Elmwood Springs i zjrzał do środka, zobaczyłby grupkę gawędzących ze sobą siwych panów w średnim wieku. Ale gdyby to był ktoś z nich, zobaczyłby grupkę przyjaciół, z którymi się dorastało, a nie starszych panów. Doc nie dostrzegł zmarszczek na twarzy Glenna Warrena ani też jego poczerwieniałego karku czy talii rozszerzonej do granic wytrzymałości szelek. Widział siedmioletniego chłopca, bystro patrzącego na świat. Każdy z nich w oczach kolegów był chłopcem, takim samym jak przed laty. Kiedy Doc patrzył na Merlego, który miał teraz sześćdziesiąt osiem lat, widział w nim dziesięcioletniego blondynka, z którym chodził pływać. Dla wszystkich z kolei łysiejący pan z brzuszkiem był tym, który strzelił decydującą piłkę, przesądzającą o zdobyciu mistrzostwa okręgu. Nie mieli przed sobą tajemnic. Zнали nawzajem swoje rodziny tak samo jak siebie samych. Ich żony, teraz poważne zażywne matrony w wygodnym obuwii, pozostawały dla nich wdzięcznymi dziewczuszkami, w których się kiedyś durzyli, z dołeczkami w policzkach. Razem dorastali, więc nie musieli się zastanawiać, jaki jest każdy z nich, mogli przeglądać się w oczach kolegów. Nigdy nie podawali w wątpliwość wzajemnej przyjaźni, ona po prostu stale istniała, taka sama jak w czasach ich dzieciństwa. Każdy z nich był na ślubie pozostałych. Wspólnie przeżywali radości i smutki. Nikomu z nich nie zdarzyło się być samotnym. Nie doświadczyli tego, jak to jest nie mieć przyjaciół. Nie musieli przemieszczać się z miasta do miasta w poszukiwaniu swojego miejsca na ziemi. Wiedzieli dobrze, gdzie jest dom, do którego się wraca i gdzie jest się witany z radością. Żadnemu z nich nie było sądzone zostać bogaczem, ale też żaden z nich nigdy nie chodził głodny, zmarznięty ani samotny. Wiedzieli, że w razie śmierci któregoś z nich pozostali dyskretnie go zastąpią; zaopiekują się wdową, wykształcą jego dzieci, nawet nie trzeba było o tym mówić. Byli ze sobą związani. Ludzie z małych miasteczek wiele rzeczy przyjmują za oczywiste. Tego roku miał się o tym przekonać pewien młody człowiek, Bobby Smith.

W dniu 3 stycznia Dwight D. Eisenhower został zaprzysiężony na prezydenta Stanów

Zjednoczonych, co nie napawało zbytnią radością Tot Whooten.

– Trzeba mieć moje szczęście – powiedziała. – Po raz pierwszy w życiu zadałam sobie trud i poszłam głosować po to tylko, żeby mój kandydat przepadł.

A w dniu 21 stycznia Sąsiadka Dorothy i Matka Smith wybrały się aż do Kansas City, żeby powitać Harry'ego i Bess Trumanów z powrotem w stanie Missouri. Stały na stacji wraz z dziesięcioma tysiącami innych osób, czekając na pociąg, który godzinę się spóźnił. Były jednak na miejscu, kiedy Harry i Bess powrócili, a American Legion Band zagrał im Missouri Waltz. Trudno było pogodzić się z myślą, że Harry już nie będzie zasiadał w Białym Domu, ale jak to się mówi, czasy się zmieniają. Przy czym jeśli nawet inne rzeczy się zmieniały, audycja Sąsiadki Dorothy pozostała niezmienna. Nadal miała grono wiernych słuchaczy, którzy nie opuściliby swej porannej audycji, tak jak nie rezygnuje się z porannej filiżanki kawy.

Dziewiętnasty lutego był zimnym i wietrznym dniem w Elmwood Springs. Dorothy właśnie skończyła ostatnią reklamę mąki Złote Płatki i nadal pozostawała w smętnym nastroju. Pod koniec audycji powiedziała:

– Przez tyle lat wiele razy pytaliście mnie, co robić, gdy się jest markotnym, pytacie też, czy kiedykolwiek byłam przygnębiona. Tak, z pewnością. Ale zawsze mi pomagało pieczenie ciast. Nie zliczę, ile ciast wypiekłam przez te wszystkie lata, ile kubków mąki przesiałam, ile blaszek natłuściłam, ale jest w tym coś, co pozwala mi odzyskać dobry nastrój. A skoro już o tym mowa, wiecie, że ostatnio jestem w trochę smętnym nastroju głównie dlatego, że tęsknię za dziećmi, ale właśnie wczoraj dostałam list od Bobby'ego i chciałabym wam go przeczytać.

Droga Mamo!

Ponieważ podałaś mój adres przez radio, dostałem tyle kartek, listów i innych rzeczy, że wprost nie do uwierzenia. Proszę, podziękuj wszystkim w imieniu moim, jak również pozostałych chłopaków. Sporo żołnierzy w ogóle nie dostaje żadnych listów, więc wielką radość sprawia im, że mogą dzielić ze mną te wszystkie przesyłki, ciasteczka i inne smakołyki, jakie nadeszły tu, do Korei. Większość chłopaków z mojej kompanii pochodzi z dużych miast. Chyba trzeba mi było wyjechać tak daleko, żeby docenił swoje rodzinne miasteczko. Ucałuj ode mnie Tatę i trzaśnij drzwiami w moim imieniu, tak aby słuchaczom

zanadto mnie nie brakowało.

Całuję

Twój syn

szeregowy Bobby Smith

I ja wam też bardzo dziękuję. Za to, że zechcieliście pisać do niego i wysyłać mu upominki. Wiecie, że nie lubię być sentymentalna, ale powiem tak: wszyscy wiemy, jaki z niego był urwis, sama krzyczałam na niego wiele razy, żeby siedział cicho, nie biegał, nie trzaskał drzwiami, ale dziś dałabym milion dolarów za to, żeby usłyszeć, jak trzaska drzwiami, albo zobaczyć, jak paluchem wybiera surowe ciasto z dna foremki. Ach, gdyby tak można było zatrzymać czas... A skoro o tym mowa, patrzę na zegar ścienny i widzę, że pora kończyć. Już nie mogę się doczekać jutrzejszego spotkania z wami. Tyle dla mnie znaczący, wszyscy razem i każdy z osobna. Sąsiadka Dorothy i grająca na fisharmonii Matka Smith mówią wam do usłyszenia, do jutra.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Dorothy Bobby w dniu swoich osiemnastych urodzin zawieziony przez Monroe'a do Poplar Bluff zaciągnął się do wojska, rzucając szkołę. Wszyscy byli tym zaskoczeni, ale nie dało się już nic zrobić. W przeddzień wyjazdu Bobby'ego Jimmy przyniósł mu do pokoju swój zegarek.

– Chciałbym, żebyś go nosił, kiedy tam będziesz. Gdybym mógł, też bym tam pojechał.

Wzruszony Bobby zaraz założył zegarek na rękę.

– Dzięki, Jimmy, będę o niego dbał.

– No cóż, rano nie będę miał okazji zobaczyć się z tobą, więc powodzenia, koleś.

– On jedzie tylko na obóz szkoleniowy – Doc pocieszał Dorothy, próbując bagatelizować jego wyjazd, ale kiedy następnego dnia o dziesiątej czterdzieści pięć usłyszał przejeżdżający pod oknami drugstore'u autobus uwożący jego syna, przemknęło mu przez myśl pytanie, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

Gdy skończył wydawać leki na tarczycę dla pani Whatley, wyszedł z zaplecza na zewnątrz i postać chwilę oparty o ścianę budynku. Świeciło słońce, a na pobliskim boisku szkolny zespół muzyczny odbywał próbę, jakby to był zwykły jesienny dzień.

Zimowa Kraina Czarów, Marzec 1953

Od czasu, kiedy Bobby znalazł się w Korei, miał wrażenie, że zamknięto go w oknie wystawowym ze świąteczną dekoracją, taką, jakiej przyglądał się zafascynowany co roku w okresie Bożego Narodzenia przed domem towarowym Braci Morgan. Tylko że tym razem poruszające się rzeczy były brudne, brzydkie – czołgi miażdżące wszystko po drodze, mężczyźni z karabinami maszynowymi, lekarze niosący nosze z rannymi, zabitymi i umierającymi żołnierzami. Plamy krwi znaczyły biały śnieg, czasem leżała też urwana ręka lub odstrzelona noga albo widać było ciała zabitych rozrzucone w promieniu dwudziestu stóp. Z drzew pozostały sterczące kikuty i leżące na śniegu patyki. Bobby przysiągł sobie, że jeśli wyjdzie stamtąd żywy, już nigdy nie będzie chciał oglądać śniegu.

Tymczasem szansę na wyjście cało z opresji zmniejszały się z każdą godziną. Jego kompania została otoczona ze wszystkich stron.

Wydarzyło się to nocą. Usłyszeli, jak koreańskie czołgi posuwają się na południe, z posiłkami nadciągającymi z północy. A ich zostało zaledwie czternastu. Przed kilkoma dniami stracili łączność z pozostałymi, teraz schronili się w okrągłej dziurze, którą wykopali poprzedniej nocy. Tydzień przedtem miała ich uwolnić inna kompania, ale zostali zepchnięci tak daleko do tyłu, że szansę na ich odnalezienie właściwie zmały do zera. Podczas szaleńczego odwrotu stracili większość swoich zasobów żywnościowych, co gorsza, nie mieli pojęcia, gdzie sami się znajdują ani gdzie są pozostali Amerykanie.

Wszędzie było białe i zimno. Widoczność nie dochodziła nawet do pół metra. Kiedy śnieg przestał sypać, opadła gęsta mleczna mgła. Wojna wydawała się czymś surrealistycznym, tak jakby mieli walczyć otuleni kokonem z waty. Wokół słychać było przytłumione odgłosy strzałów z broni maszynowej, wiedzieli jednak, że niesie śmiertelne niebezpieczeństwo. To było niesamowite: świat wokół spowity był w miękką biel, a oni odczuwali paraliżujący strach, w samym środku burzy śnieżnej pocili się jak myszy. Od czasu do czasu słyszeli też nawoływania, nie wiedzieli jednak, czy to ich ktoś woła czy kogoś innego. Większość z nich, podobnie jak Bobby, wychowała się na filmach ukazujących drugą wojnę światową, a teraz słyszane wysokie tony orientalnego języka, przypominającego japoński, wyzwały w nich przyspieszone bicie przestraszonego serca, jak wtedy, gdy mieli po dwanaście lat. Tym razem jednak to nie był film. A ich sierżant nawet nie przypominał Johna Wayne'a. Ich dowódca był dwudziestodwuletnim młodziakiem z Akronu w Ohio, żonatym zaledwie od roku. Wkrótce stracili wszystko: żywność, amunicję, wszelkie szansę. Nawet nie mogli zasygnalizować swoich pozycji, gdyż natychmiast by odkryto ich kryjówkę.

Znaleźli się w potrzasku. Jeśli ruszą do przodu, czeka ich śmierć; jeśli zostaną, również czeka ich śmierć.

Wtedy około pierwszej po południu Bobby odezwał się do pozostałych:

– Do cholery z tym wszystkim. Idę ich znaleźć.

Oddał broń koledze i wyczołgał się z okopu. Wiedział, że nie może wytknąć głowy, bo mu ją odstrzelą, więc cały czas się czołgał. Kiedy tak z wolna posuwał się po śniegu, nagle przypomniał sobie, co mu kiedyś poradził Jimmy przed czekającymi go zawodami w wydmuchiwanie gumy balonowej: „Nie patrz na lewo. Nie patrz na prawo. Skup się. Spokojnie trzymaj kurs”. Zaczął powtarzać w myśli te słowa. Myślał o tamtym dniu, o balonie, który wydmuchał, o oklaskach, jakie dostał... „Nie trząś się. Skup się. Spokojnie, bez nerwów. Cały czas tak trzymaj”.

I podczas gdy on czołgał się cal po calu, zmierzając po ratunek dla siebie i swoich kolegów zostawionych w okopie, tysiące mil dalej, w Elmwood Springs, klasa maturalna miała swoje problemy – kogo zapisać w szkolnej księdze Who is Who, jakiego koloru ma być oczko w ich szkolnych sygnetach oraz kogo zaprosić na bal abiturientów. W tym czasie jego przyjaciel Monroe siedział ze swoją sympatią Peggy w drugistorze, popijając cherry colę i pytał Doca, czy miał od syna jakieś wieści.

Dwadzieścia osiem godzin później, pełzając, mijał w odległości sześciu stóp czyjeś zwłoki, a dwadzieścia stóp dalej – gniazdo karabinów maszynowych, przy którym zasnęło trzech koreańskich żołnierzy, których nawet nie zauważył. Kiedy wreszcie dotarł na szczyt wzgórza, wstał i pobiegł, padł i znowu biegł, krzycząc co sił w płucach: „Wio, Siwku, w drogę!” Amerykanie, gotowi strzelać do wszystkiego, co się rusza, poznali natychmiast, że to nie Koreańczyk, wyszli z ukrycia i znaleźli go. Prawie odchodził od zmysłów, nie miał pojęcia, co mu przyszło do głowy, żeby wrzeszczeć, ale to uratowało mu życie.

Zanim doprowadził tę kompanię do poprzedniej kryjówki, sześciu mężczyzn zdążyło zamarznąć, ale resztę uratowali. Odmówił przyjęcia medalu i nigdy nie opowiadał o tym zdarzeniu. Majorowi wyjaśnił:

– Wcale nie byłem odważny, po prostu bałem się tam zostać i umierać.

O mały włos

Bobby wyszedł z wojska szczęśliwy z powrotu do domu, ale niepodobny do dawnego

chłopca, który wyjeżdżał z Elmwood Springs. Spokojniejszy niż przedtem, bardziej skupiony, sprawiał wrażenie, że utracił dawną radość życia. Martwiło to jego rodziców, którzy jednak nic nie mówili na ten temat. Wydawało się, że nie ma on ochoty umawiać się z dziewczynami czy dawnymi przyjaciółmi. W tym czasie Monroe ożenił się z Peggy i zaczął pracować w warsztacie wulkanizacyjnym jej ojca. Przyjaciele wybrali się razem kilka razy na ryby i na kręgle, ale przeważnie Bobby siedział w domu albo szedł do Trolejbusowej Gospody porozmawiać z Jimmym.

Minęło parę następnych miesięcy i Dorothy zaczęła się poważnie martwić. Zastanawiała się, czy on w ogóle stanie się na powrót taki jak dawniej i czy znajdzie sobie dziewczynę, która będzie mu się podobała. Wyobrażała sobie, że gdyby zakochał się w jakiejś sympatycznej dziewczusce, to by mu pomogło. Nie wiedziała o tym, że jej syn był już beznadziejnie zakochany i jeszcze nie całkiem mu to przeszło. Może obejrzał zbyt wiele filmów, ale zawsze miał bujną wyobraźnię, która podsuwała mu wyidealizowane wizje rycerzy w lśniącej zbroi, damy w opałach i szczęście aż po grób. Parę razy podkochiwał się w koleżankach, ale kiedy skończył siedemnaście lat, zakochał się bez pamięci i nieszczęśliwie. Spalał się w gorącym uczuciu. Budził się z myślą o niej i zasypiał pełen marzeń o ukochanej. Nie było to zadurzenie, ale namiętna, wszechogarniająca miłość, trawiąca go obsesja. Kochał aż do bólu. Wystarczyło, żeby się do niego uśmiechnęła albo odezwała w najzwyczajniejszy sposób, a on delectował się tym i karmił przez całe tygodnie. Był wtedy przyszczatym, niezgrabnym wyrostkiem, a ona dorosłą kobietą, która skończyła już dwadzieścia osiem lat. Nikomu o tym nie mówił, nawet przyjacielowi, musiał więc cierpieć w milczeniu. Jej najdrobniejszy gest potrafił wprawić go w radosną ekstazę albo strącić w piekielne otchłanie, nawet tego samego dnia.

Panna Anne Hatcher, nauczycielka dramatu o pięknym głosie i łagodnych piwnych oczach... Panna Anne Hatcher, która złamała mu serce jeszcze w szkole podstawowej, kiedy zaręczyła się z Hugh Sparrowem, nauczycielem nauk społecznych w szkole średniej. Sparrow był niemłodym wdowcem z dwojgiem dzieci. Bobby pracował wtedy jako bileter w kinie, a oni wybrali się tam parę razy i Bobby prowadził ich na miejsce. Nie znosił, jak ten zażywny, łysiejący mężczyzna kroczył przed nią i niemal słabo mu się robiło na widok Sparrowa obejmującego ją ramieniem, jakby była jego własnością. Nienawidził go szczerze i głęboko. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że Sparrow nie miał pojęcia, jakim cudownym była stworzeniem. Nie mógł być zdolny do takiej miłości, jaką obdarzał ją Bobby.

Sparrowowi zależało jedynie na tym, żeby mieć matkę dla swoich dzieci. Bobby fantazjował, że idzie do niej do domu, wyznaje swą miłość i prosi ją o rękę. Wyobrażał sobie, że wyzywa nauczyciela nauk społecznych na pojedynek, w którym go zabija. Niczego takiego jednak nie zrobił. Za to, kiedy skończył osiemnaście lat, wstąpił do wojska. Byleby nie być w pobliżu, kiedy będą brali ślub. Na wojnie myślał o niej przez cały czas. Teraz zaś, po powrocie do domu, zamiast palącej miłości odczuwał tępy ból, kiedy tylko ją zobaczył albo usłyszał, jak ktoś wymawia jej imię.

Wrócił wyprany z entuzjazmu do czegokolwiek. Czuł się tak jak dawniej, kiedy w sobotnie wieczory wraz z Monroe'em wychodzili z kina otumanieni po czterogodzinnym oglądaniu filmów i kreskówek. W porównaniu z filmowym światem oglądanym w technikolorze świat rzeczywisty wydawał się mdły i bezbarwny. Rzeczywistość pozbawiona była tła muzycznego, a ludzie widziani na ulicach nudni i nijacy.

Wydawało się, że zniknęła cała magia życia, on sam zaś pozostał znużony i zobojętniały na wszystko.

Ale któregoś wieczoru Monroe i Peggy zabrali go do Polarnego Niedźwiedzia, restauracji dla zmotoryzowanych, gdzie na wrotkach podjechała do nich Wanda Ricketts w minispódniczce z frędzelkami, i wtedy w oczach Bobby'ego zamigotały jakieś iskierki. – Kto to jest? – zapytał, gdy dziewczyna oddaliła się.

Peggy wyjaśniła mu, że rodzina Rickettów sprowadziła się do miasteczka przed kilkoma laty, ale też dodała:

– Słyszałam, że ona jest trochę zepsuta.

– Naprawdę? – Zainteresowanie Bobby'ego jakby wzrosło.

Jak się okazało, Wanda zyskała opinię femme fatale w kręgach szkoły średniej w Elmwood Springs. Już kilku chłopców nosiło jej imię WANDA wytatuowane na ramionach, nie wyłączając młodego Dockrilla, który zamierzał zostać księdzem.

Umawiała się z trzema czy czterema chłopakami w mieście, ale oni nie stanowili żadnej konkurencji dla Bobby'ego, który wyrósł na całkiem przystojnego młodzieńca. Wkrótce on i Wanda zaczęli na serio chodzić ze sobą i Bobby'emu z wolna wrócił zapal do życia, podobnie jak dawna bujna wyobraźnia. Swym zwyczajem począł snuć romantyczne rojenia na temat Wandy, które z jej rzeczywistym odpowiednikiem niewiele miały wspólnego. Przez dwa miesiące chodził zaślepiony, uważając, że Wanda wygląda dokładnie jak Marilyn

Monroe, co nie mogło być dalsze od prawdy. Całe podobieństwo sprowadzało się do tlenionych blond włosów i tej samej płci. Kiedy przyprowadził ją po raz pierwszy na kolację do domu, ona najpierw przylepiła gumę do żucia do talerzyka, by zaraz potem oświadczyć:

– Ja i cała moja rodzinka mamy bzika na punkcie zapaśników. Ja z mamą uważamy, że Gorgeous George jest tak apetyczny, że można by go schrupać na surowo. Mama twierdzi, że on w każdej chwili mógłby zostawiać swoje buty przy jej łóżku.

– Naprawdę? – zdziwiła się uprzejmie Dorothy, starannie ukrywając zaszokowanie. Doc i Matka Smith utkwili spojrzenia w talerzach, ale Bobby, zdając się nie zauważać niezręcznej przerwy w konwersacji, wpatrywał się w nią z głupawą miną. Oczywiście Dorothy nie była zbyt zachwycona Wandą, jednak nigdy nie powiedziała o niej złego słowa.

Któregoś dnia Bobby siedział w Trolejbusowej Gospodzie, jak zwykle rozwodząc się nad zaletami i urodą Wandy, a na koniec spytał Jimmy'ego, co by powiedział na to, gdyby się pobrali. Jimmy dotychczas nie wypowiadał się na ten temat, ale zapytany odrzekł:

– Szczerze mówiąc, uważam, że popełniłbyś wielki błąd. Twój rodzice ci tego nie powiedzą, ale ja nie chciałbym, abyś zmarnował sobie życie tylko dlatego, że jakaś lafirynda owinęła sobie ciebie wokół palca, a ty straciłeś rozum. Zastanów się dobrze, koleś, nad tym, co robisz; żeby nie było za późno.

Wtedy do zakładu wszedł fryzjer Ed, zamówił kielbaskę chili i usiadł. Jimmy, jeszcze zanim odszedł przygotować zamówienie, zdążył powiedzieć:

– Mówię ci, to dziewczyna nie dla ciebie. Stać cię na kogoś lepszego.

Bobby poczuł się tak, jakby mu wylano kubel zimnej wody na głowę.

Ale oczywiście Jimmy miał rację. Bobby stopniowo przestawał patrzeć przez różowe okulary i Wanda coraz mniej wydawała mu się podobna do Marilyn Monroe. Zaczął krytycznie patrzeć na rodzinę Rickettów, na matkę, która była starszą wersją Wandy ze zmarszczkami oraz takimi samymi blond włosami i wyskubanymi brwiami, która mając pięćdziesiąt lat, nadal nosiła minispódniczki i trykotowe wydekoltowane podkoszulki; na ojca, który miał brudne paznokcie i czytał „Over Sixteen”, niezmordowanie usiłując podetknąć Bobby'emu tę lekturę; całej reszcie nieudanych braci i siostr Rickettów i... czar prysł. Perspektywa dożywotniego spędzania weekendów z tą rodziną ostatecznie go ocuciła.

Przedtem Matka Smith w rozmowie z Dorothy zwięźle wyraziła się o rodzinie Rickettów:

– To prostacy, kochanie, najzwyczajsi prostacy.

Ale kiedy Bobby oświadczył matce, że zerwał z Wandą, nie pytała go, dlaczego.

Ograniczyła się tylko do uwagi:

– Cóż, sądzę, że wiesz najlepiej, co robisz.

Kiedy zapytał Monroe'a, co on o tym sądzi, ten odpowiedział:

– Cieszę się, że to słyszę. Ja i Peggy nie chcieliśmy ci nic mówić, ale dziewczyna jest ordynarna jak szare płótno.

Kilka miesięcy później Wanda, najwyraźniej nie mając złamanego serca z powodu zerwania z Bobbym, uciekła z dwudziestopięcioletnim menedżerem Polarnego Niedźwiedzia i wkrótce go poślubiła.

Dwa tygodnie później Macky, spotkawszy Bobby'ego u fryzjera, powiedział mu:

– O mały włos wpadłbyś jak śliwka w kompot, zgadza się?

Cóż, to było małe miasteczko.

Tot Whooten znowu w akcji

W piątek, po tym, jak natknął się na Bobby'ego, Macky gorączkowo przeglądał magazyn w poszukiwaniu przedłużacza o długości piętnastu stóp dla starego Hendersona, kiedy zadzwonił telefon.

– Tylko odbiorę – usprawiedliwił się i podszedł do telefonu. – Sklep żelazny.

To był Norma.

– Słuchaj, Macky.

– Cześć, kochana. Mogę oddzwonić do ciebie? Mam teraz klienta.

– Poczekam.

– Dobra.

Odłożył na bok słuchawkę i wrócił do starego mężczyzny, który stał już przy regałach i wyciągał wszystkie sznury, starając się przeczytać informacje na metkach.

– Na pewno potrzebuje pan przedłużacza o długości piętnastu stóp? – chciał upewnić się Macky.

– Aha, może być też dwudziestka. Masz taki?

– Do czego ma służyć?

– Chcę wystawić telewizor na ganek, żebym tam mógł oglądać mecz piłki nożnej.

– Nie ma pan kontaktu na ganku?

– Ba, gdybym miał, tobym chyba nie szukał przedłużacza, no nie?

Macky przekopywał się przez zwoje przewodów.

– Mam dwadzieścia pięć.

Stary Henderson nastroszył się:

– A ile liczysz za stopę?

– Nie ma zmartwienia. Policzę panu za piętnaście stóp. Wydawało mi się, że mam gdzieś tę długość, ale musiałem chyba sprzedać.

– No dobra. Chyba lepiej, jak jest za długi niż za krótki, no nie?

– Jak pan myśli, St. Louis ma szansę wygrać w tym roku?

– Ja wiem... Chyba żeby wszystkich przeciwników pierwej szlag trafił.

Macky wyciągnął papierową torbę.

– Nie potrzebuję żadnej torby – burknął pan Henderson.

– W porządeczku. W takim razie życzę miłego dnia.

Staruszek trzasnął drzwiami stanowczo za mocno, tak że dzwonek przez dłuższy czas dźwięczał Macky'emu w uszach. Zaczął upychać z powrotem na miejsce sznury i przewody, zastanawiając się jednocześnie, ile lat może mieć pan Henderson. Przyjaźnił się z jego dziadkiem, musiał więc mieć przynajmniej osiemdziesiątkę z okładem. Wtedy przypomniał sobie, że Norma czeka przy telefonie.

– Kochanie, jesteś tam jeszcze?

– Tak... jestem.

– Przepraszam. Co się dzieje?

Norma najwyraźniej postanowiła być ostrożna. Po znaczącym namyśle wyznała:

– Byłam u fryzjera.

Macky usiadł na stołku za ladą. Dziś była umówiona u Tot Whooten. Wiedział już, co się szykuje.

– Nie mów ani słowa na ten temat, Macky. Nie chcę słyszeć żadnych uwag na temat mojego uczesania. Jeśli zamierzasz wrócić do domu i coś powiedzieć o moich włosach, to lepiej nie przychodź.

– Niczego nie powiem. Co ona tym razem ci zrobiła?

– I tak jestem wystarczająco zdenerwowana tym wszystkim bez twoich uwag.

– Norma. Ja nie zrobiłem najmniejszej uwagi. Ja nawet cię jeszcze nie zobaczyłem.

– Dobrze, ale obiecaj mi... Przyrzeknij, że nie powiesz ani słowa, bo inaczej przeprowadzę się do motelu Howarda Johnsona i na tym się skończy.

- Dobrze, Norma, uspokój się.
 - Mówię poważnie.
 - Nie powiem ani słowa.
 - Zostawiam ci lunch na stole... Sama będę w sypialni, na wypadek gdybyś chciał rzucić jakąś dowcipną uwagę.
 - Norma, w ogóle nie odezwę się na ten temat, okay? Ale zrób przynajmniej jakąś drobną aluzję. Co się stało?
- Nastąpiło dłuższe milczenie.
- Próbowaliśmy czegoś nowego.
 - No i?
- Jeszcze dłuższa chwila milczenia.
- I nie wyszło.
- Macky wzniosł oczy do nieba.
- O Boże.
 - Widzisz, jaki jesteś? Wiedziałaś, że tak będzie. Po prostu nie przychodź do domu, jeśli masz do tego taki stosunek.
 - Nie mam żadnego stosunku. Po prostu powiedziałem „O Boże”, i to wszystko.
 - Tak... Ale za to sposób, w jaki to powiedziałaś... Wiem, że siedzisz tam i przewracasz oczami, więc jeżeli rzeczywiście masz zamiar przyjść do domu, to nie chcę, żebyś patrzył na moje włosy.
 - Norma, a na co mam patrzeć? Czy chcesz, żebym przemawiał do twoich kolan?
 - Widzisz? Znowu zaczynasz. Nie możesz ani chwili wytrzymać bez głupich żartów. Przydarzyło mi się coś niedobrego z włosami i potrzebuję twojego wsparcia. Nie musisz mnie pogębiać.
 - No dobrze. Przepraszam. Ale przynajmniej powiedz mi, co próbowaliście zrobić.
 - Puszyste fale.
 - Puszyste fale?
 - Tak, trwała, tylko trochę lżejszą. To miały być lekko utrwalone puszyste fale...
 - I co się stało?
 - Nie wiadomo. W każdym razie wiemy, że nie była to lekka trwała.
 - Nie martw się tym, kochanie. Odrosną i sieje zetnie, tak jak ostatnim razem...
 - Nie trzeba będzie tego robić – oświadczyła.

– Nie? Dlaczego?

– Ponieważ, skoro koniecznie chcesz wiedzieć, ona już je ścięła.

– O Jezu.

– Widzisz? Nie można ci niczego powiedzieć, bo zaraz masz do tego negatywne nastawienie. Najpierw mnie prosisz, żebym ci powiedziała, a potem stroisz sobie żarty.

– Okay, okay, przepraszam. Ale założę się, że wyglądasz świetnie. – Zamilkł na moment.

– A jak krótko je ścięła?

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Nie może być całkiem krótko, co?

– Jest krótko.

– Jak krótko?

– Na młodego Włocha.

– Co?

– Tak to się nazywa. Na młodego Włocha.

– O Jezu...

– No właśnie! Weź sobie swój lunch. Ja idę do motelu.

– Norma, na litość boską, nie pójdziesz do żadnego motelu. Zaraz wracam do domu.

Po dziesięciu minutach Macky był już w domu, ale Norma nie wyszła z sypialni.

W końcu po wielu namowach stanęła w drzwiach. Popatrzył na nią, ale nic nie powiedział.

– No i co? Nie masz nic do powiedzenia? Wiem, że wprost umierasz z chęci powiedzenia mi czegoś, więc ulżyj sobie, no, śmiało!

– Więc... rzeczywiście są krótkie.

Norma wybuchnęła płaczem.

– Jestem skończona... Wyglądam okropnie... strasznie... Ja chcę umrzeć. A miałam wyglądać jak Audrey Hepburn... Na zdjęciu wygląda to fajnie...

– Kotuś, przestań. Jest fajnie.

– Nieprawda, nie jest. Ty tylko tak mówisz, żeby mnie pocieszyć.

– Wcale nie. Naprawdę mi się podoba.

Później wieczorem, kiedy Norma już zasypiała, Macky obrócił się do niej i powiedział:

– Kochanie, chcę, żebyś wiedziała...

– Co takiego?

– Że jesteś najbardziej seksownym młodym Włochem, z jakim kiedykolwiek spałem.

Nastąpiła chwila milczenia. A potem Norma poklepała go po ręce.

– Grazie tante, signore.

Panna Henderson

Bobby w wojsku zdał egzaminy końcowe będące odpowiednikiem matury i po czterech miesiącach pobytu w domu nagle zdecydował, że chciałby pójść do college'u i zdobyć wyższe wykształcenie. Nie wiedział tylko jeszcze, na jakim kierunku. Przedtem Doc miał nadzieję, że Bobby pójdzie w jego ślady i zostanie farmaceutą, ale zważywszy na to, że był bardzo słaby z matematyki i chemii, ta ewentualność nie wchodziła w rachubę. Zastanawiał się, czy nie podjąć studiów na kierunku biznes i administracja, ale jeszcze nie był całkiem pewien tego wyboru. Na tydzień przed wyjazdem siedział właśnie na ganku, rozmyślając na ten temat, kiedy nagle zobaczył pannę Henderson, swoją nauczycielkę z szóstej klasy, kierującą się z wolna w stronę ich domu.

– Jak się masz, Robercie? – zagadnęła go lekko zadyszana. – Twoja matka mówiła mi, że jesteś w domu.

Poderwał się, nieoczekiwanie ucieszony, że ją widzi.

– Dzień dobry, pani Henderson. Jak się pani miewa? – przywitał ją, prosząc, by usiadła.

– Nieźle – odpowiedziała, sadowiąc się na krześle. – Podobno wybierasz się na studia?

– Tak, proszę pani, do stanowego college'u Missouri.

Zaczęła grzebać w torebce, najwyraźniej czegoś szukając.

– Chciałam wpaść do was, zanim wyjedziesz, i dać ci mały prezent, który noszę od jakiegoś czasu dla ciebie. Miałam nadzieję, że ci go wręcę na koniec roku szkolnego, ale ty wcześniej poszedłeś do wojska, więc pomyślałam sobie, że wpadnę tu i dam ci go teraz.

Wręczyła Bobby'emu małą paczuszkę zawiniętą w wymęczony papier, noszący widoczne ślady drugiego pozostawania w tym stanie. Bobby nie posiadał się ze zdumienia.

– Bardzo dziękuję, pani Henderson.

A kiedy rozwijał paczuszkę, powiedziała mu:

– Słuchaj, Bobby, pewnie o tym nie wiesz, ale byłeś zawsze jednym z moich ulubionych uczniów.

– Ja? – zdumiał się. – Chyba pani żartuje.

W środku zawiniątka znajdowała się miniaturowa mapa świata wytłoczona w skórze,

z dołączonym napisem: „To dla Ciebie. Powodzenia we wszystkim. Panna Henderson”.

Bobby był wniebowzięty.

– Nie wiem, co powiedzieć, panno Henderson, oprócz podziękowań.

– Bardzo proszę.

– Wie pani, zawsze wydawało mi się, że jestem raczej zakałą w klasie.

Uśmiechnęła się.

– Może nie miałeś najlepszych stopni, trudno też było skłonić cię do spokojnego siedzenia w ławce, ale miałeś coś, czego większość uczniów nie miała – dociekliwy umysł.

A tego właśnie nauczyciel szuka u uczniów: dociekliwego umysłu.

Bobby, zaskoczony przyjściem panny Henderson, nagle przypomniał sobie o dobrych manierach.

– Och, przepraszam, panno Henderson, może przyniosę pani mrożonej herbaty albo coś innego do picia?

– Nie, muszę już iść. Ale, ale... mówiła mi twoja matka, że nie możesz się zdecydować, co studiować, prawda?

– Tak. Po prostu mam nadzieję, że mnie nie wyrzucą.

Pokiwała głową.

– Ponieważ byłeś moim uczniem przez dwa lata, więc nieźle cię znam i myślę, że mogę ci coś doradzić. Wybierz kierunek, który rzeczywiście będzie cię interesował. Jeśli tak zrobisz, na pewno dasz sobie radę.

– Dziękuję, panno Henderson – powiedział, odprowadzając ją do wyjścia po schodkach. – I jeszcze raz dziękuję za mapę.

Zaczął zastanawiać się nad tym, co mu powiedziała, ale przecież interesowało go wszystko, więc jak tu zdecydować się na jedną rzecz?

Nadal jeszcze nie był zdecydowany, kiedy przyjechał na uczelniany campus i raz jeszcze rozpatrzył się w możliwościach wyboru. Zaskoczył wszystkich, kiedy zadzwonił do domu i powiedział, co wybrał. Tylko jedna osoba nie była zaskoczona, panna Henderson. Jej zdaniem historia Ameryki świetnie nadawała się na przedmiot studiów Bobby'ego.

Jednakże na wydziale uczuć często się zdarza, że człowiek nie wie, co jest dla niego nieodpowiednie, ale też często nie orientuje się, co jest dla niego dobre. Bobby zaczął umawiać się z Lois Scott, studentką drugiego roku anglistyki, którą wybrała też po próbowaniu wszystkiego po trosze.

Poznał ją przez wspólnych znajomych i jak się okazało, dziewczyna pochodziła z Poplar Bluff, mieli więc mnóstwo wspólnych przyjaciół. Jej matka była nawet kiedyś gościem programu Sąsiadki Dorothy, po którym wymieniły kilka listów. Na pierwszej randce Lois zabrała go na kort tenisowy, gdzie dostał od niej manto. Była inteligentna, atrakcyjna, miała duże poczucie humoru, piękne rude włosy i, co najważniejsze, szalała na punkcie Bobby'ego.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia 1955, a 23 grudnia Macky Warren stał dumny w drzwiach swojego sklepu i machał Lindzie, swojej córeczce, która wraz z szesnastoma innymi dziewczętami z kursów Dixie Cahill, przebrana w kostium i obwieszona maleńkimi dzwoneczkami maszerowała przez miasto wprost na świąteczny program Sąsiadki Dorothy. Wśród słuchaczy siedziały już Norma i ciocia Elner, czekając wspólnie z Ernestem Koonitzem i chórem z dzwoneczkami z kościoła metodystów. Fryzjer Ed przyrządził już pierwszą porcję świątecznego ajerkoniaku, a Bess i Ada Goodnight, przebrane za Świętego Mikołaja i Mikołajową, jak zwykle rozdawały gwiazdkowe podarki w sąsiedniej szkole podstawowej. W domu stała już nowa choinka, ubrana tymi samymi co zawsze zabawkami, a w każdym oknie wystawione były te same jak co roku beżowe świeczniki z kartonu z niebieskimi płomykami. Na rodzinne święta przyjechała też Anna Lee z dwiema córeczkami i z mężem Williamem, który jako dermatolog praktykował obecnie w Seattle w stanie Waszyngton. Jedyną nowością było to, że Bobby przywiózł do domu na święta Lois Scott.

Uziemiony i nie do pary

Dorothy przekonała się do Lois w okamgnieniu, jak to bywa w sytuacji, gdy wiadomo, że właśnie wchodzi do domu idealna przyszła synowa. Wkrótce Bobby zauważył, że obie mają wspólne sekrety. Co więcej, wszyscy natychmiast polubili Lois: Matka Smith, Anna Lee i Doc.

– Nic ponadto – powiedział nawet Jimmy.

Pod koniec jej wizyty wszyscy byli zgodni co do tego, że Lois była dla niego idealną dziewczyną i że oboje stanowią idealną parę. Ta podkreślana przez wszystkich „idealność” w pewnym momencie zaczęła irytować Bobby'go, a nawet przejmować go strachem. Wcale nie chciał być w idealnym związku. Marzyła mu się raczej miłość burzliwa i pełna przygód, taka, jakie oglądał na filmach. Ona zaś, będąc ideałem, sprawiała, że Bobby czuł się

nieswojo. Wiedział też, że Lois nie była typem dziewczyny, którą da się zwodzić, więc jak raz już się zaangażuje, to na amen. Podejrzał, że jego własna matka weźmie raczej jej niż jego stronę. Czuł się jak ryba, która jeszcze chwilę może się popluskać, zanim złapią ją na wędkę, czego wszyscy chcieli. Powziął więc pewną decyzję. Któregoś wieczoru, zanim Lois wróciła na noc do akademika, powiedział, usiłując nadać swemu głosowi najzwyczajniejszy ton:

– Wiesz, Lois, coś sobie pomyślałem. Ponieważ oboje wracamy do domów na lato, zastanawiam się, czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy zaczęli też spotykać się z innymi ludźmi. Nadal możemy chodzić ze sobą, ale jeśli damy sobie trochę odetchnąć, będziemy mogli przekonać się, co naprawdę czujemy do siebie.

Odpowiedziała z niezmaconym spokojem:

– Dobrze, Bobby, skoro tak uważasz.

– Oczywiście nie musimy – dodał szybko. – To tylko propozycja do rozważenia.

Zadzwoń jutro – powiedział jeszcze, kiedy wysiadała z samochodu.

Przeplakała całą noc. A następnego dnia Bobby dostał od niej liścik, który przyniosła mu jej koleżanka z roku, patrząc na Bobby'ego z odrazą.

– Masz – powiedziała. – A ja myślałam, że jesteś miły.

Zaraz odmaszerowała, a Bobby otworzył kopertę i przeczytał zwięzły liścik.

Nie dzwoń do mnie. I nie pisz. Nie chcę Cię widzieć.

Lois

Kiedy po powrocie do domu na wakacje Bobby opowiedział matce, co zaszło, nie wyglądała na zachwyconą, ale nie odezwała się ani słowem. Z jej wyglądu wnioskował, że uważała, iż to jego wina.

Zadzwoił do Seattle, żeby omówić tę sprawę z Anną Lee.

– Nie wiem, co się stało Lois. Zachowuje się jak wariatka.

– A co jej zrobiłeś?

– Nic. Tylko powiedziałem, że powinniśmy rozważyć możliwość spotkania się z innymi ludźmi przez jakiś czas.

– Rozumiem.

– Nie mogę ożenić się z kimś tylko dlatego, że podoba się mojej mamie.

– Wiem.

- To ja powinienem powziąć decyzję, bo to moje życie.
- Masz rację, Bobby. Powinieneś robić to, co twoim zdaniem jest dla ciebie najlepsze.
- W każdym razie chciałbym wyrwać się stąd na pewien czas. Czy mógłbym przyjechać do ciebie w odwiedziny?
- Oczywiście. Wiesz, że możesz do nas przyjeżdżać, kiedy tylko chcesz, i zostać tak długo, jak ci się podoba. Dziewczynki będą zachwycone, że ciebie zobaczą, ja tak samo i William też.
- Dziękuję ci, Anno Lee.

Bobby spędził w Seattle cały miesiąc. Spotykał się z kilkoma dziewczętami, z którymi poznali go Anna Lee i William; były to miłe i wesołe dziewczęta. Szczególnie jedna pielęgniarzka wydała mu się bardzo zabawna. Ale za każdym razem, kiedy wracał do domu siostry, czuł się samotny, miał zresztą wrażenie, że oszukał Lois i swoją matkę. Którejś nocy około trzeciej nad ranem obudził się zlany zimnym potem. Naszła go myśl, która zdała mu się ciężka jak ołów. Bo co będzie, jeśli Lois spotkała kogoś innego, a on straci ją na zawsze? Ogarnęła go taka panika, że wyskoczył z łóżka, ubrał się błyskawicznie i wybiegł z domu, by znaleźć budkę telefoniczną, gdyż nie chciał hałasować w domu Anny Lee. Biegł ulicami, myśląc tylko o tym, że musi ją natychmiast nakłonić do powrotu. Co on sobie wyobrażał? Zanim znalazł budkę telefoniczną, zobaczył ją w wyobraźni zameżną, z dwojgiem dzieci, chociaż nie spotykali się dopiero od kilku miesięcy. Zadzwoił do domu jej rodziców, kamień spadł mu z serca, kiedy usłyszał jej głos, przynajmniej miał pewność, że nie wyszła jeszcze za męża za kogoś innego i on nadal miał szansę. Nie odłożyła słuchawki, cierpliwie wysłuchała jego wyznania, jakim to był głupcem i że gotów jest ożenić się z nią choćby natychmiast, jak żałuje, że sprawił jej tyle przykrości i że teraz jest pewien jak jeszcze nigdy przedtem. Ale po tym, jak otworzył przed nią swoje serce, z jej odpowiedzi tchnął chłód. Poinformowała go, że teraz to ona nie jest pewna swoich uczuć do niego i że niewątpliwie potrzebuje trochę czasu, aby sobie wszystko przemyśleć.

Ogarnął go jeszcze większy strach, że ją straci. Pędem wrócił do domu Anny Lee, po ciemku się zapakował i pojechał natychmiast do Poplar Bluff. Miał więc to, czego chciał: burzę uczuć i konflikty, tyle że nie był to film. I to było straszne. Mógłby ją stracić na zawsze. Kiedy sobie to uświadomił, stała mu się droższa nad życie. Lois znalazła wakacyjne zajęcie jako nauczycielka, więc dwa dni później czekał na nią przed szkołą, mając nadzieję, że na jego widok zmieni zdanie, tak się jednak nie stało. Oczywiście była piękniejsza, niż ją

pamiętał, wszystko było w niej lepsze i bardziej pożądane, niemniej długo trwało, zanim przekonał ją, że jest już innym człowiekiem, że jest pewien i nigdy nie zwątpi w swoje uczucia do niej. Zapomniał o swojej ambicji. Posunął się nawet do tego, że poprosił matkę, by się za nim wstawiła.

– Lois, tu Dorothy – powiedziała. – Wiem, że musisz się kierować własnym dobrem, ale jeśli przynajmniej odrobinę obchodzi cię mój syn

– w tym momencie popatrzyła wymownie na Bobby'ego, który stał obok – choć muszę przyznać, że nie jestem pewna, czy powinnaś po tym, jak on się z tobą obszedł, to przyjdź i weź go ode mnie, bo nikt nie ma z niego pożytku, on sam zresztą też nie.

W końcu wróciła do niego, a on, jak każdy mężczyzna, w noc przedślubną zastanawiał się, czy dobrze czyni, choć było już za późno, żeby się wycofać, więc tylko rozmyślał jak ktoś, kto za chwilę rzucić ma się ze skały. Ale jego wierny przyjaciel miał dla niego parę słów mądrości:

– Ty dupku – powiedział Monroe. – To najlepsza rzecz, jaka ci się w życiu przytrafiła.

Mimo to nazajutrz, kiedy Matka Smith zagrała Oto wchodzi narzeczona, a Anna Lee i jej trzy dziewczuszki ruszyły, rozpoczynając ślubny orszak, Bobby miał ochotę rzucić się do okna i zbiec. A potem zobaczył Lois, jak idzie ku niemu. Spoglądała na niego uśmiechnięta, a Bobby omal nie zemdlął z wrażenia, kiedy uświadomił sobie, że ta piękna kobieta ma zostać jego żoną.

Cecil ratuje sytuację

W 1956 roku Betty Raye urodziła drugiego synka i czuła się szczęśliwa, wiodąc życie matki i żony, mimo że nadal mieszkali w wynajętym domku. Hamm oszczędzał pieniądze na zaliczkę, by wreszcie kupić ten dom. Wszystko przebiegało według wytyczonego planu, ale po dwuletniej służbie państwowej w charakterze stanowego komisarza do spraw rolnictwa stawał się coraz bardziej rozgoryczony i sfrustrowany, widząc, jak drobni farmerzy są kompletnie ignorowani. Pojechał do Jefferson City, stolicy stanu, by spotkać się z gubernatorem, ale jak zwykle powiedziano mu, że gubernatorowi coś wypadło i musiał zmienić plany. To wydarzyło się po raz piąty z rzędu. Tego dnia Hamm podszedł bliżej pod ogromny dom gubernatora i zaczął mu się uważnie przyglądać. Nie jest taki znowu duży, powiedział do siebie w myśli. Tego dnia powziął decyzję. Tak dalece miał dość swojej

bezsilności, że postanowił kandydować z ramienia Partii Demokratycznej na urząd gubernatora stanu Missouri, mimo że Betty Raye błagała go, by zarzucił ten pomysł. Nie tylko Betty Raye uważała ten pomysł za fatalny. Wszyscy próbowali mu go wyperswadować, dowodząc, że to szaleństwo mieć nadzieję na wygranie kampanii gubernatorskiej, kiedy jest się nikomu nieznanym kandydatem, który co gorsza nie ma pieniędzy, ale on był już zdecydowany i nie dał się przekonać.

– Betty Raye – powiedział – kochana, jeśli będziesz mnie wspierać jeszcze ten jeden raz, obiecuję, że w razie przegranej zupełnie wycofam się z polityki. Ale przecież nie mogę poddać się, nie podejmując nawet próby wygrania.

Do niej należałoby tylko ustawić się razem z nim i dziećmi do zdjęcia. Poza tym nie będzie musiała niczego robić ani występować publicznie. Resztą on się zajmie.

Co miała robić? Kochała go. Tak więc Hamm Sparks stanął do wyborów, mając za kapitał jedynie dobrą opinię u farmerów, nazwisko brzmiące nieco znajomo i chęć do pracy nocą i dniem, jeśli zajdzie taka potrzeba. Był przekonany, że nie potrzebuje krzykliwych plakatów ani nowoczesnych biur do przeprowadzania kampanii wyborczej, z doradcami i tak zwanymi ekspertami. Powiedział, że jego macierzystym biurem są boczne drogi i małe miasteczka w całym stanie. I sam przedstawi ludziom swój program wyborczy, patrząc im prosto w oczy i mówiąc, jak jest. Powie, że potrzebują kogoś, kto ujmie się za weteranami, ludźmi ciężko pracującymi i drobnymi farmerami.

– Przecież w naszym stanie – dowodził – jest co niemiara niegłupich ludzi, którzy potrafią dobrze rozumować i nie dać się poprowadzić do urn wyborczych jak cielecia na postronku, wciągnięte tam przez maszynę wyborczą. Ja muszę tylko dotrzeć do nich i powiedzieć im, w jaki sposób są wykorzystywani przez starych wyjadaczy, kierujących partią w Kansas City.

Brzmiało to niezłe, ale po miesiącu rozjazdów po całym stanie był u kresu sił. Większość mieszkańców tego stanu w ogóle go nie znała, jeżeli więc czegoś nie zrobi, i to szybko, nie będzie miał najmniejszych szans przebrnąć choćby przez pierwszy etap wyborów. Wydał już niemal wszystkie wspólne oszczędności. Rozejrzał się wśród znajomych, którzy mogliby go wesprzeć finansowo, ale na upowszechnienie swojego programu i nazwiska potrzebne były fundusze daleko przekraczające możliwości finansowe Rodneya Tillmana. Pochłonęłyby to więcej pieniędzy, niż ktokolwiek z jego znajomych miał czy widział. W każdym razie tak się Hammowi wydawało.

W tym samym czasie, czterysta mil dalej, w sześciopokojowym mieszkaniu w Kansas City, które dzielił wraz z matką, Cecil Figgs przygotowywał się akurat do wyjścia do pracy. Przed toaletką pedantycznie przymocowywał nad czołem tupecik, po czym wpiął w klapę świeży kwiat i już był gotów zaczynać dzień. Kiedy wszedł do swego biura wyłożonego puszystym dywanem, mieszczącego się w domu pogrzebowym, znalazł notatkę od swojego asystenta, informującą go, że pierwsze spotkanie zostało przesunięte o dziesięć minut. Wziął leżącą na biurku gazetę. Na ogół od razu zaglądał na strony z nekrologami, by sprawdzić swoje ogłoszenia, ale tym razem jego uwagę przykuło zdjęcie Sparksa. Podpis głosił, że to jeden z kandydatów ubiegających się o fotel gubernatora. Cecil Figgs sądził, że Hamm nie pamięta, jak się spotkali przed czterema laty na pogrzebie Ferrisa, za to Cecil nigdy nie zapomniał tego spotkania. Kiedy pogrzeb dobiegł końca, Hamm podszedł do niego podczas okolicznościowego przyjęcia, przedstawił się jako mąż Betty Raye Oatman, energicznie uścisnął mu rękę i zapewnił go, że świetnie wszystko urządził. Potem wcisnął mu swoją wizytówkę, poklepał po plecach i powiedział:

– Panie Figgs, jeśli kiedykolwiek zechce pan kupić traktor albo kombajn, to niech pan się do mnie zgłosi. – I oddalił się.

Cecil oniemiał. Czy Hamm postradał zmysły? Przecież Cecil był ostatnią osobą, która chciałaby kupić traktor. Miał prawo wpaść we wściekłość na tak niedorzeczne posądzenie, ale w człowieku, który wcisnął mu swoją wizytówkę, dostrzegł szczerłość i uczciwość, więc zamiast wyrzucić wizytówkę, schował ją do kieszeni. Z niezrozumiałego powodu ten prosty chłopak zrobił na nim wrażenie.

Mimo że Cecil był zajęty pilnowaniem przebiegu uroczystości, kątem oka obserwował Hamma, jak krąży po sali, źle ubrany w niebieski garnitur, źle ostrzyżony – pewnie u fryzjera, który strzyże za dwa dolary – ale za to z niezłomną wolą przybliżenia się do gubernatora i jego otoczenia. Oczywiście Hamma ignorowano bardziej lub mniej otwarcie, a mimo to ten chłopak nie dawał się zbyć. Tamtego popołudnia zaszło coś nieoczekiwanego dla samego Cecila. Jeszcze nie wiedział, co takiego jest w Sparksie, ale to coś sprawiało, że Cecil poczuł do zupełnie nieznanego przecież osoby dziwne uczucia. Żał mu się go zrobiło, a jednocześnie w jakimś sensie go podziwiał. Może zauważył, że Hamm stara się ukryć fakt, że rękawy jego marynarki są za krótkie, co stawało się widoczne, kiedy wymieniał uściski dłoni, a może przypominał mu kogoś, kogo znał za młodu i darzył sympatią. Bez względu na to, co nim powodowało, właśnie ta dziwna sympatia do Hamma Sparksa sprawiła, że kiedy Cecil

zobaczył jego zdjęcie w gazecie, w tym samym źle skrojonym garniturze i tak samo kiepsko ostrzyżonego, postanowił mu pomóc w miarę swoich możliwości. A Hamm Sparks akurat bardzo potrzebował pomocy.

W gruncie rzeczy Hamm nie miał stałego personelu, zaledwie kilku przyjaciół, którzy od czasu do czasu mu pomagali, oraz Rodneya Tillmana. Jego biuro wyborcze urządzone w dawnym sklepiku z lampami, a wyposażenie stanowiło biurko, cztery składane metalowe krzeselka, telefon i trzy zakurzone lampy, które zostały po dawnym sklepie.

Cecil zadzwonił do Hamma, by się z nim umówić. Trochę się zdziwił, słysząc, że Hamm też go pamięta. Cecil nie zdawał sobie sprawy, że tylko nieliczni potrafili go zapomnieć. Bo iluż mężczyzn w Missouri nosi w klapie żywe kwiaty, a na głowie przypinkę z włosów w kolorze korzennego piwa?

Po kilku dniach Cecil wszedł do biura wyborczego, rozejrzał się po obskurnym otoczeniu, po pokoju, w którym panował nieład, po czym potrząsnął głową. Pierwsze słowa, które wyrzekł do Hamma, brzmiały:

– Kochany, musisz mieć lepsze miejsce. – Starł dłonią kurz z krzesła, zanim na nim usiadł, po czym powiedział: – Jeżeli zamierzasz wytrwać w swoich zamiarach, musisz mieć jakieś przyzwoite lokum do pracy i trochę lepszej reklamy. Otóż ja mam kupę pieniędzy, więc jeśli naprawdę myślisz poważnie o tym stanowisku, mogę cię wesprzeć.

Hamm nie wierzył własnemu szczęściu. Po raz pierwszy w życiu ktoś zaoferował mu pomoc, zanim jeszcze Hamm poprosił o cokolwiek. Zerwał się z miejsca, okrążył biurko, by dojść do Cecila i uścisnąć mu dłoń.

– Panie Figgs, jestem poważny jak stan ciężarnej kobiety, a jeśli pan mi pomoże, to przysięgam, że będę walczył do upadłego. Będę pracował bez ustanku.

– Nie wątpię – odrzekł Cecil. – Oblicz, ile ci potrzeba, i daj mi znać. Taki jest Cecil. – Podniósł się do wyjścia.

Hamm odprowadził go do drzwi.

– Niech pan zaczeka. Nie chce pan dowiedzieć się czegoś na temat mojego programu wyborczego?

– Nie, kochasiu – zbył go Cecil. – Nie znam się na programach. Po prostu dam ci pieniądze, a zajmowanie się polityką zostawiam tobie.

W taki sposób zaczęła się niewiarygodna przyjaźń obu mężczyzn, niepojęta dla nikogo.

Nawet oni sami niewiele z tego rozumieli.

Kiedy wieczorem zajrzał Rodney, jak zwykle przynosząc butelkę whisky i dwa papierowe kubeczki, zastał Hamma uśmiechniętego od ucha do ucha.

– Sie masz Hambo, co jest grane?

– Rodney, właśnie zyskałem poważnego poplecznika z dużą kasą.

– Kto to?

– Cecil Figgs, Król Pogrzebów. Akurat się z nim minąłeś. Powiedział, że zapłaci za całą kampanię, dostarczy mi wszystkiego, czego potrzebuję. Właśnie robię listę.

Rodney nie podzielał jego entuzjazmu. Orientował się, ile pieniędzy pochłania taka kampania.

– Wiesz co, koleś, zastanawiam się, czy ktoś cię nie nabrał. Nie ma nikogo, kto by był tak dziany.

Ale Cecil nie nabrał Hamma. I był tak dziany. Stał się nie tylko Królem Pogrzebów w Missouri, ale przez lata dochodzenia do fortuny wykupił większość zakładów pogrzebowych w siedmiu innych stanach, a także otworzył filie w wielu innych miejscach. Mając zakłady pogrzebowe i interes kwiatowy, a do tego pięćdziesiąt procent udziałów w Spółce Obrzędów Grzebalnych Wieczny Odpoczynek, stał się człowiekiem niezmiernie bogatym i pozbawionym zahamowań w wydawaniu pieniędzy. W jego zawodzie każda chwila przypominała o przemijaniu życia, którego nie da się zabrać ze sobą. Nie miał dzieci, którym mógłby zostawić swoje bogactwo, dlaczego więc nie wydać tych pieniędzy, choćby nawet stawiając na czarnego konia. Co prawda w jego działaniu grały rolę jeszcze inne motywy, było coś, co chciał dostać w zamian, ale na razie nie chciał niczego zapeszać.

Hamm natomiast był tak podekscytowany nową sytuacją, że aż go roznosiło. Jedyne, czego potrzebował, to parę ogłoszeń, dobry, popularny zespół country oraz ciężarówka z platformą i dobrym sprzętem nagłaśniającym, a gotów był ruszać w drogę choćby natychmiast. Zadzwoił zaraz do Nashville do wuja Betty Raye, Le Roya Oatmana, który miał zespół country o nazwie Oracze z Tennessee, i natychmiast ich wynajął. Tydzień później Hamm Sparks, mając już ciężarówkę z platformą i zespół Le Roya, który przechrzczył na Oraczy z Missouri, pożegnał się z Betty Raye i z dziećmi i ruszył w drogę. Docierali wszędzie, od smażalni ryb dla weteranów wojennych do wytwornych klubów Elków, gdzie spożywano naleśniki na śniadanie, do miejsc zebrań klubów Kiwanis*, klubów bingo, a nawet

na zjazdy rodzinne... Wszędzie tam, gdzie zbierało się więcej niż dziesięć osób, można było spotkać Hamma Sparksa.

Firma Public Relations Coleman i Barnes zajmowała się wszystkimi ogłoszeniami domów pogrzebowych Cecila Figgsa, kiedy więc Cecil zadzwonił do Artura Colemana, specja od ogłoszeń, ten rzucił się do telefonu. Cecil był nie tylko zaprzyjaźniony z jego ŻonąBipsey, ale także zaliczał się do najlepszych klientów.

– Jak się masz, Cecil?

– Dobrze.

– Czym mogę ci służyć?

– Kochany, chciałbym, żebyś mi wyświadczył małą przysługę.

– Już się robi. Co to ma być?

– Czy mógłbyś dyskretnie sprawdzić jedną osobę i powiedzieć mi, co o nim myślisz?

* Kiwanis – amerykańska organizacja, której członkowie pracują społecznie na rzecz swego regionu, zajmując się głównie działalnością charytatywną.

– Jasne. Z przyjemnością. O kogo chodzi?

– Nazywa się Hamm Sparks i ubiega się o urząd gubernatora. Chciałbym mu pomóc, o ile to możliwe, ale w ogóle nie znam się na polityce.

– Na co mam zwracać uwagę?

– Po prostu zobacz, czy można coś zrobić, żeby polepszyć jego wizerunek publiczny. Ty się na tym znasz, a ja nie.

Artur zapisał nazwisko.

– Hamm Sparks? Czy to nie ten facet o prowincjonalnym wyglądzie, kiepsko ostrzyżony?

– Tak, to ten – westchnął Cecil.

Wiadomości dobre i złe

Po dwóch tygodniach Coleman zadzwonił do Cecila z raportem.

– Sprawdziłem tego gościa. – Roześmiał się. – Trzeba przyznać, że wybrałeś sobie niezły kąsek, ale przynajmniej to barwna postać, to mu trzeba oddać.

– Co, twoim zdaniem, powinien zrobić?

- Szczerze? Nic a nic.
 - Nie wydaje ci się, że może powinien dostać odpowiedni garnitur albo nauczyć się poprawnie mówić?
 - Nie, z punktu widzenia społecznego odbioru lepiej będzie nie majstrować przy jego wizerunku publicznym. Ten facet jest surowy, ale to naturalszczyk, a jeśli zacznie się coś w nim zmieniać, pogubi się.
 - Radzisz więc niczego nie zmieniać?
 - Niczego. On kieruje się instynktem i może się podobać taki, jaki jest. Jeśli chodzi o całość, ma swoje plusy – dwójka dzieciaków, miła żonka, typ kurki domowej, nie wtrącającej się w sprawy męża... Ale tak naprawdę, Cecil, czy ty wierzysz w to, że ten facet może stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla Wendella Hewitta? Chyba nie, co?
 - Cóż, w każdym razie dziękuję ci.
 - Zawsze do usług. Ale tak z ciekawości pytam, powiedz mi, co cię skłoniło, żeby popierać akurat tego kandydata?
- Cecil odpowiedział zgodnie z prawdą:
- Kochany, nie wiem i sam chciałbym to wiedzieć. Może mam jakieś przeczucie.

Wendell Hewitt, z pewnością wybraniec ogółu, prowadził w rankingu popularności od pierwszego dnia i utrzymywał tę pozycję przez cały czas. Wysoki (sześć stóp dwa cale), towarzyski, nie stroniący od kieliszka, w dodatku kobieciarz był nie tylko mocno osadzony w polityce, ale też uważany za wolnomyśliciela. Najważniejsze, że był powszechnie lubiany. Jednakże stanowi notable partii demokratów nie darzyli go zbyt dużą sympatią i nie popierali. Woleliby kogoś ze swoich szeregów, kogo mogliby kontrolować, a Wendell Hewitt raczej się do tego nie nadawał. Uważali go za wolnego strzelca. Mieli swojego człowieka: był nim Peter Wheeler, bogaty, wykształcony, ale raczej bezwolny członek kierownictwa towarzystwa ubezpieczeniowego z Kansas City. Tu rysowała się pewna trudność: ich człowiek był zbyt bezbarwny, by mógł wygrać z kimś tak popularnym jak Wendell. Szef partii, Earl Finley, uważał po cichu, że dobrze byłoby jakoś wyeliminować Hewitta z konkurencji. Miesiąc później ich modły poparte tysiącem uścisków rąk zostały wysłuchane. Cudownym zrzędzeniem losu zdjęcie Wendella opuszczającego motel z panią, która na pewno nie była jego żoną, ukazało się w „Kansas City Star”. Przedrukowały je wszystkie stanowe gazety. Ekipa Wendella i on sam uważali, że to robota republikanów, którzy zastawili na niego sieci,

niemniej zrobił dobrą minę do złej gry, nie kajał się ani nie próbował wyłgać. W swym telewizyjnym wystąpieniu oświadczył:

– Z powodu ostatnich wydarzeń zmuszony jestem wycofać swoją kandydaturę w wyścigu do fotela gubernatorskiego, ponieważ muszę przyznać, że jeśli moi przeciwnicy będą uciekać się do tak niskich metod i łapać mnie na przynętę pięknych blondynek, panie i panowie, dam się złapać za każdym razem.

Po wyeliminowaniu Wendella Pete Wheeler był już o krok od zwycięstwa. Albo tak się tylko mogło wydawać.

Earl Finley i jego paczka nie traktowali Hamma Sparksa poważnie. Był dla nich samozwańczym marzycielem, domorosłym filozofem, któremu wydawało się, że swoim mędrkowaniem prezentowanym w całym stanie na tle śpiewu country utoruje sobie drogę do gubernatorskiego fotela. Ale przez ten czas, liczony w tygodnie, kiedy cała ich uwaga koncentrowała się na wyeliminowaniu z gry Hewitta i wypromowaniu Pete'a Wheelera, Hamm Sparks przemierzył cały stan, docierając ze swoją maskaradą do najodleglejszych zakątków i zapadłych dziur.

Hamm wszędzie mówił mniej więcej to samo, ale kiedy przemawiał do rolników lub uboższych mieszkańców miast, jego zaangażowanie stawało się bardziej widoczne. Kiedy zaczęła rosnąć liczba jego zwolenników, zaniepokojony tym Earl Finley wysłał człowieka z kamerą, by przekonać się, do jakich to diabelskich sztuczek ucieka się rywal. Człowiek ten dołączył do spotkania wyborczego i sfilmował je takie, jakie się odbyło pod miasteczkiem Cooter w Missouri, niedaleko granicy między Tennessee i Arkansas. Co mogli chłopaki zobaczyć na tym filmie? Rolnicze, przykurzone miasteczko, siedemdziesięciu, może osiemdziesięciu ludzi zgromadzonych wokół platformy ciężarówki, na której stał Hamm, przemawiając przez kiepskiej jakości mikrofon. Kiedy dochodził do sedna albo dodawał jakiś żart, za każdym razem na wiwat rozlegał się dźwięk dzwoneczka, jakie zawiesza się krowom na szyi. Zebrani słuchali go jak urzeczeni. Mężczyźni w roboczych kombinezonach i czapkach typu John Deere, kobiety w bawełnianych sukienkach i słomkowych kapeluszach na głowach śmiały się, kiwając głowami na znak, że zgadzają się z każdym jego słowem.

– Słuchajcie, ludzie – mówił. – Nie zamierzam otumaniać was jakimiś wygibasami językowymi, bo zresztą bym nie umiał. Na to trzeba być prawnikiem, poza tym uważam, że każdy Amerykanin zasługuje na to, by mu prawdę wyłożyć prostą angielszczyzną, zrozumiałą dla każdego.

Nie łudźcie się, bonzowie chcą, żebyście głosowali. Będą się do was uśmiechać, przymilać, obiecywać miłość, szacunek i posłuszeństwo. Bo chcą was zaciągnąć do ołtarza. Ale powinniście też wiedzieć, jak o was mówią za zamkniętymi drzwiami. Myślą, że jesteście głupi. Że uwierzycie we wszystko, co się wam powie. Myślą, że wszystko im wolno i wszystko im ujdzie na sucho. Pamiętam, jak sam dorastałem na wsi. Moja matka otwiera spiżarkę, a tam chmary moli zjadających nasze ziarno i mąkę. Wołała wtedy: „Ociec, w spiżarce jest pełno moli!” Otóż w ciągu ostatnich kilku lat odwiedzałem często stolicę stanu i zobaczyłem, jak ta banda przejada podatki, które im płacimy. Więc powiem wam, ludzie, że w naszej stanowej spiżarce już jest pełno szkodników. Pozbędę się ich, jeśli mnie wybieriecie. Wszystkie dodatkowe fundusze wycofam z budżetu i zwrócę ludziom pracy, bo to wasze ciężko zapracowane pieniądze. W domu gubernatora nie będzie opłacanych kucharzy, którzy by przygotowywali wymyślne dania, jakieś kotleciki jagnięce i inne frykasy podawane na srebrnej zastawie. Mnie wystarczy pocziwy amerykański hamburger. Mój przeciwnik, pan Peter Wheeler, powiada, że jego rodzina ma długi rodowód. W porządku. A czyja nie ma? Och, może nie mam wywiedzionego drzewa genealogicznego i nie zaprasza się mnie na ich wytworne herbatki. Ale za mną stoi moja matka i mój ojciec. Tak samo jak za wami wasze matki i ojcowie, którzy wam przekazali, co mieli najlepszego. Wiem, że ta banda z Kansas City, wystrojona w futra i brylanty, jeździ limuzynami do murowanych kościołów za milion dolarów. Ale powiem wam tak: nieważne, czy wyborca jest chudy czy gruby, czyjego skarpetki pasują do butów i czy pali skręty czy gotowe kupne papierosy. Nieważne, czy słucha Grand Ole Opry i czy pije kawę ze spodka... Ba, nie ma znaczenia, czy nosi jedwabne gatki czy też zrobione z worków po mące. – W tym momencie publiczność głośno się śmiała i biła mu brawo. – Prawo głosu to nasz skarb. Głos oddany przez moją czy waszą matkę, która chodzi do drewnianego, rozwalającego się kościółka, liczy się tak samo jak głos bogacza. Czasem słyszę, jak jeden z drugim mówi: „Wszystko jedno, czy zagłosuję czy nie, bo i tak wszystko jest z góry ustalone”. Racja, wszystko jest ustalone. Ustalone jest to, że wygra ten, kto dostanie najwięcej głosów. Więc potrzebne mi są wasze głosy. Nie będę was okłamywał. Mógłbym występować z ramienia jakiejś bogatej grupy interesów, która by mnie popierała, i miałbym się znacznie lepiej. Ale tego nie robię. Dlaczego? Bo nie chcę być niczym dłużnikiem, tylko waszym. Dziś proszę was, byście mi coś dali, coś w rodzaju pożyczki. Co mogę zaproponować w zamian? Cóż, nie mam wiele. Nie posiadam domu, samochód mam niespłacony. Nie mogę wam dać swojej żony. Ale mogę

wam dać swoje słowo. Słowo, że jeśli wybieriecie mnie na gubernatora, będę dla was pracował. I chciałbym, żebyście mnie trzymali za słowo. Odplacę się wam – nowymi prawami, nowymi drogami, szkołami, słupami elektrycznymi.

Kiedy Oracze z Missouri grali, ludzie Finleya patrzyli, jak wszyscy farmerzy, jeden za drugim, podchodzili kolejno do beczułki z napisem „Kontrola antyszkodnikowa Hamma” i wrzucali do niej pieniądze, wymieniając uściski dłoni z Hammem Sparksem. Kiedy zgaszono światła i wyłączono projektor, Earl uśmiechnął się do siebie.

– Ten facet to idiota. Pobjemy go jego własną bronią.

Następnego dnia dla Pete’a Wheelera została wynajęta wielka kapela dixielandowa, najlepsi ludzie z branży rozrywkowej z Hollywood i Nowego Jorku, którzy mieli występować wszędzie tam, gdzie zbierano fundusze na jego kampanię. Na wystawnym obiedzie pod hasłem „Pete Wheeler na gubernatora” wystąpiła nawet sama Kate Smith, którą sprowadzono samolotem z Nowego Jorku, by odśpiewała God Bless America.

Następne przedstawienie

Widząc te wszystkie przyjęcia i szastanie pieniędzmi na kampanię Petera Wheelera, Hamm zaczął się poważnie martwić. Pamiętał swoją obietnicę daną Betty Raye, że się wycofa w razie przegranej, tym bardziej więc desperacko postanowił walczyć do upadłego. Po przeszło tygodniowej nieobecności wrócił do domu o trzeciej nad ranem i zaczął budzić Betty Raye, tak jednak, by dziecka nie wyrwać ze snu.

– Kochanie. – Potrząsnął nią. – Zbudź się.

Otworzyła oczy.

– Cześć... Która godzina?

Usiadł na łóżku.

– Późno. Ale muszę z tobą porozmawiać.

– Co się stało? Czy to coś złego?

– Nie.

Wstała i zapaliła światło.

– Może chcesz coś zjeść?

– Nie. Zatrzymaliśmy się po drodze z chłopakami i coś tam przekąsiliśmy.

Sięgnęła po okulary i założyła je, by mu się uważnie przyjrzeć. Domyśliła się z wyrazu

jego twarzy, że coś jest nie tak.

– O co chodzi?

Westchnął.

– Wiesz, kotku, że nigdy nie chciałem cię w to mieszać. Ale teraz jestem zmuszony.

Potrzebuję twojej pomocy.

Nigdy przedtem o nic jej nie prosił, z jednym wyjątkiem: żeby za niego wyszła, więc musiało to być coś poważnego. Zrobiło jej się go żal, ujęła go za rękę. Po chwili wahania wyznał:

– Bardzo niechętnie cię o to proszę... ale takie pieniądze rzucono teraz na kampanię Petera Wheelera, że naprawdę jestem w kropce.

– A co ja mogę zrobić?

– No więc, jak powiedziałem, bardzo niechętnie cię o to proszę, ale z rozmowy z chłopakami wynikało, że twoja mama i Oatmanowie są tak bardzo popularni, że gdybyś była razem ze mną na tych spotkaniach, tak żebym mógł cię przedstawić, to by mi pomogło. Nagle w sąsiednim pokoju zaczęło płakać niemowlę. Betty Raye wstała z łóżka, a Hamm podążył za nią.

– Nie musiałybyś niczego robić, tylko siedzieć tam ze mną, kotuś, nie musiałybyś śpiewać ani nic z tych rzeczy. A ja znacznie więcej czasu spędzałbym z tobą i z dziećmi... Tylko na trochę...

Szóstego kwietnia Sąsiadka Dorothy zakomunikowała swoim słuchaczom, że jej książka kucharska z przepisami na desery dotarła aż do Lake Martin w Minnesocie.

– Pani Verna Prodgen pisze: „Droga Sąsiadko Dorothy, przesyłam Ci przepis na przekładanica nazywanego przez niektórych ciastem Minnehaha, ale choć podobne do Minnehahy, jest od niego jeszcze lepsze. My, mieszkańcy prerii w Minnesocie, nazywamy ten wypiek ciastem prerii”. Dziękujemy ci, Verno, zwłaszcza że jakkolwiek je nazwiemy, jest naprawdę świetne. Co tam jeszcze, aha, zadzwoniła Tot Whooten, która prosi, abym ogłosiła, że jej salon zostanie ponownie otwarty we środę. Jak już wam mówiłam, zdarzyło się u niej krótkie spięcie spowodowane wybuchem suszarki, na skutek czego musiała w całym domu wymienić przewody elektryczne, co trwało dłużej, niż można było się spodziewać. Chciałam wam również powiedzieć, że z prawdziwą przyjemnością zobaczyliśmy dziś w gazecie zdjęcie naszej Betty Raye z Hammem juniorem, który wyrósł już na sporego chłopczyka.

Wydaje się, jakby to było zaledwie wczoraj, kiedy jeszcze chodziła tutaj do szkoły średniej. Dwa lub trzy tygodnie później do następnego etapu kampanii wyborczej ruszyła cała karawana złożona z ciężarówką z platformą, wyładowanej sprzętem nagłaśniającym, drewnianymi składanymi krzeselkami i transparentami z napisem: HAMM SPARKS NA GUBERNATORA, oraz trzech samochodów: w jednym jechał Le Roy i Oracze z Missouri, w drugim Hamm z wybranymi kumplami, a w ostatnim Betty Raye, Hamm junior i niemowlę. Jeśli chodzi o Betty Raye, było to ostatnie miejsce na świecie, w jakim chciałyby się znaleźć, ale nadal nie potrafiła niczego odmówić mężowi. Wędrowali wzdłuż i wszerz całego stanu, z północy na południe, robiąc czasem po sześć albo i siedem przystanków w ciągu dnia. Nawet dla mężczyzn był to męczący program, a co dopiero mówić o Betty Raye, która przez cały czas musiała też zajmować się dwojgiem dzieci. Nic więc dziwnego, że pod koniec tygodnia była kompletnie wyczerpana. Hamm jednak dotrzymywał słowa. Betty Raye nie musiała robić nic więcej, jak tylko siedzieć z boku na krzeselku, uśmiechać się i machać zebrany, kiedy ją przedstawiał jako swoją żonę i jednocześnie córkę Minnie Oatman, wielkiej gwiazdy gospel, co zawsze wywoływało spodziewany entuzjazm.

Bez słowa skargi odgrywała swą rolę, ale po tygodniu, podczas przemawiania w Clark County, przebrała się miarka. Nagle, bez żadnej zapowiedzi, w środku swego przemówienia Hamm zrobił maleńką pauzę i wyznał:

– Wiecie, ludzie, ja mam szczególny sentyment do tego miejsca w Clark County.

Niedaleko stąd spędziliśmy z żoną swój miesiąc miodowy. – Potem obrócił się do niej i dodał jeszcze: – Można by więc powiedzieć, że mały Hamm Sparks junior pochodzi z Clark County. – A jakby tego nie było dość, starając się przekrzyczeć gwizdy i pohukiwania, dorzucił na koniec: – Cała przyjemność po mojej stronie, zapewniam was.

Betty Raye chciała się zapaść pod ziemię. Kiedy dotarła do samochodu, wybuchnęła płaczem – nie wiedziała, czy to ze zmęczenia, czy też ze wstydu. Hamm nie spodziewał się takiej reakcji, był zaskoczony.

– O co chodzi? – zapytał.

– Dlaczego to powiedziałaś?

– Co powiedziałem?

– O naszym miodowym miesiącu. Wszyscy na mnie patrzyli i śmiali się. Gdyby to jeszcze była prawda.

Chichocząc, wgramolił się na siedzenie obok niej.

– Daj spokój, kotuś. Nie bądź taka. Nikt się z ciebie nie wyśmiewał. To był tylko niewinny żarcik, nic więcej, chciałem trochę rozweselić ludzi. Oni lubią myśleć, że miejsce, gdzie mieszkają, jest wyjątkowe. Ale nikt się nie śmiał z ciebie, żabko. – Objął ją i pocałował.
– Poza tym, jakby się tak dobrze zastanowić, przecież mogłaby to być prawda.

Niemowlę znów zaczęło płakać.

– No widzisz, kochanie, przestraszyłaś nasze maleństwo. – Opuścił szybę i zawołał: – Chodź tu na chwilę, Hamm junior, daj mamie buzi i powiedz, żeby przestała płakać. Hamm junior, który w wieku pięciu lat stawał się już takim samym czarusem jak jego tata, podpełzł do nich, objął matkę za szyję i wycisnął na jej policzku sześć rzetelnych pocałunków. Co miała zrobić? Przegłosowali ją.

A ponieważ ryzykowny żart Hamma wywołał taką wesołość w Clark County, zaczął go powtarzać wszędzie tam, gdzie zawitali przez następne dwa tygodnie. Po jakimś czasie Rayford Fusser, basista Oraczy z Missouri, który nie grzeszył zbyt bystrością, zapytał Le Roya:

– To ile miesięcy miodowych spędził ten facet?

Wielonakładowe gazety, przeciwne jego kandydaturze, nadawały mu różne niepochlebne przydomki, jak „Szkodnik w spizarni”, „Chamski Hamm”, a czasem nawet „Miodowy Hamm”, nic to jednak w porównaniu z przezwiskami, jakimi obrzucali go ludzie Earla Finleya, kiedy zaczęła rosnać liczba zwolenników Sparksa.

W miarę jak zbliżał się dzień wyborów, jego przeciwnicy, chcąc dać przeciwwagę obiegowej opinii powtarzanej przez Hamma, że Pete Wheeler jest niczym więcej jak synem bogacza, dodali mu nowy epitet: „Przyjaciół małego”. Hamm jednak był mądrzejszy, niż myśleli. Poszedł do stacji telewizyjnej nadającej program na cały stan i złożył oświadczenie przed kamerami:

– Wiecie, ludzie, że na ogół staram się pozostawać w przyjaznych stosunkach ze swoimi przeciwnikami. Ale kiedy pan Peter Wheeler powiada, że „stoi za małym”, muszę zaprotestować. Bo wiecie, państwo, w Ameryce nie ma czegoś takiego jak mały mężczyzna czy mała kobieta. Zgodnie z konstytucją wszyscy jesteśmy równi. Może nie jestem tak bogaty jak poczciwy Pete, ale nazywając mnie „małym człowieczkiem”, rani moje uczucia.

Hamm ogłosił też, że jeśli zostanie wybrany gubernatorem, nie będzie się u niego podawało alkoholu oraz że zabroni serwowania go w urzędach stanowych. To było dobre posunięcie. Wiedział, że dzięki temu zyska przychylną wyznawców dwóch największych

kościółów w stanie Missouri: baptystów oraz zielonoświątkowców.

Ludzie Finleya przekonali się na własnej skórze, że niebezpiecznie było zadzierać z Hammem. Odparowywał natychmiast każdy cios. Kiedy w jednej z gazet ukazało się pospiesznie zaaranżowane zdjęcie Pete'a Wheelera siedzącego na traktorze i mającego w tle pole kukurydzy, Hamm to od razu wykorzystał. Na najbliższej konferencji prasowej powiedział:

– Stary farmer Pete musiał być bardzo zdziwiony, widząc, co się stało z jego kukurydzą, kiedy wymłócił ją wielką młockarnią do pszenicy.

Ósmego maja z samego rana Coleman z agencji ogłoszeniowej zadzwonił do Cecila i zapytał ze śmiechem:

– To gdzie jest ten stół, pod który mam wejść i odszczekać, co Przedtem mówiłem?

– Kochany, jestem tak samo zaskoczony jak ty – odpowiedział Cecil.

Kiedy wreszcie emocje opadły, okazało się, że większym zaskoczeniem było nie to, że Hamm Sparks wygrał pierwszą turę wyborów, ale że ludzie nie przekonali się do Petera Wheelera. W każdym razie wiele osób następnego dnia po obudzeniu się pytało: „A kto to jest ten Hamm Sparks?”

Na szczęście dla Hamma jego przeciwnik z partii republikańskiej, aktualnie piastujący ten urząd Delbert K. Whisenknot, miał niskie notowania, a przy tym wygląd i osobowość jeża. Mimo to pokonanie go wcale nie było zadaniem łatwym i do ostatniego dnia wyborów toczyła się zaciepła walka. Jeź czy nie, w każdym razie był już znany na swoim terenie. Do ostatniej chwili Hamm i Delbert szli łeb w łeb, a w ostatecznej rozgrywce Hamm wygrał niewielką różnicą głosów. I to głosami niezdecydowanych, którzy w ostatniej chwili przeważyli szalę na jego stronę. W wiejskich obwodach Hamm miał stuprocentowe poparcie rolników. Ale wieczorem, kiedy zachodziła obawa, że mógłby przegrać, pojawiło się mnóstwo krów, byków, mułów, które przyszły oddać głos. A w jednym przypadku białoczarny wieprzek z Sullivan County, nazywany Buddy T. Bacon, oddał głos nawet dwukrotnie. Równie zadziwiającym zjawiskiem było objawienie się wielu nieżyjących już osób, które zmartwychwstały, by wrzucić swoją kartkę do urny wyborczej, oddając swój głos na Hamma. A nikt nie znał tyłu nazwisk drogich nieobecnych co Cecil Figgs. Bez zbytniej przesady można by też powiedzieć, że wiele lokali wyborczych było dość swobodnie prowadzonych. Szczególnie dotyczyło to punktów znajdujących się w okolicach St. Louis,

zamieszkanymi przez Polaków i Włochów. Jeden lub dwóch osiłeków siedzących przed kabinami do głosowania z kijami baseballowymi w dłoniach w jakimś stopniu stanowili gwarancję, że głos zostanie oddany na Hamma.

Nowa administracja

Tymczasem w Elmwood Springs Dorothy, której praktykowaną zasadą było niewtrącanie się do polityki w swoich programach, a zwłaszcza nieprzechwalanie się znajomością ważnych osób, tym razem uradowana ze względu na Betty Raye nie mogła powstrzymać się przed powiedzeniem kilku słów na ten temat. Na początku stycznia 1957 roku, po ogłoszeniu wyników konkursu „Twoje ulubione wakacje”, powiedziała:

– Jak wam wiadomo, Matka Smith, Doc i ja zostaliśmy zaproszeni na inaugurację urzędowania nowego gubernatora, więc chciałam wyznać, jak bardzo jesteśmy dumni z naszej nowej pierwszej damy Missouri. Wyglądała ślicznie jak z obrazka we wdzięcznym różowym kostiumiku, życzymy jej wszystkiego najlepszego na przyszłość, dużo szczęścia!

Jimmy również dostał zaproszenie, ale postanowił zostać w domu i oglądać inaugurację w telewizji razem z kumplami z VFW. Czego w końcu nie żałował, gdyż okazało się, że w telewizji było to wydarzenie roku. Pojawił się cały klan Oatmanów, nie wyłączając Chestera ubranego stosownie do okazji w wizytowy garnitur. Wszyscy siedzieli na podwyższeniu tuż za Betty Raye. Podczas uroczystości Minnie niestrudzenie machała swoją białą chustką do wszystkich zgromadzonych po kolei, a podczas ceremonii zaprzysiężenia Hamma kamera pokazywała Chestera, który ruszał brwiami w górę i w dół, strojąc miny do siedzących w pierwszym rzędzie. Uroczystość transmitowano na żywo i widocznie został przyciśnięty nie ten guzik, gdyż telewidzowie usłyszeli głos, który miał być słyszany tylko w słuchawkach kamerzystów:

– Zabierzcie mi stąd tego pie... manekina!

Poza tym wszystko przebiegało bez zakłóceń.

Piątego listopada Betty Raye zaraz po przebudzeniu dowiedziała się, ku swemu skrywanemu przerażeniu, że od tej pory jest żoną nowego gubernatora stanu Missouri. Nie ona jedna wpadła w panikę. Mnóstwo ludzi ze zgrozą zdało sobie sprawę po przebudzeniu, że ich nowym gubernatorem został jakiś nieznany były komisarz do spraw rolnictwa. Ale już pierwszego dnia swojego urzędowania Hamm poczynił kilka bardzo udanych posunięć.

Pierwszy telefon skierował do Petera Wheelera, proponując mu posadę w swojej administracji. Wheeler grzecznie odmówił, na co zresztą Hamm liczył. Następnie zadzwonił do Wendella Hewitta, drugiego rywala, którego pokonał w pierwszej turze, i poprosił go o rozważenie, czyby nie przyjął stanowiska prokuratora stanowego. Hewitt się zgodził. I to było dobre posunięcie. Bo mimo że Wendell Hewitt został przyłapany w motelu z blondynką, nadal cieszył się dużą popularnością.

Następną rzeczą, jaką zrobił Hamm, było oszczędzenie podatnikom sporych pieniędzy. W ramach swojego programu „Pozbywamy się szkodników ze spiżarni” zapowiedział, że zwalnia cały personel swojego domu pobierający wynagrodzenie i zastępuje kucharzy, pokojówki, ogrodników i im podobnych więźniami i aresztantami ze stanowych więzień. Co więcej, wszystkie warzywa podawane na stół w jego domu mają odtąd pochodzić z własnego ogrodu, który będzie założony na tyłach domu, a mleko, masło, jajka i nabiał – od własnego inwentarza.

Jednego nie można mu było zarzucić: braku lojalności. Trzecią rzeczą, którą zaczął wprowadzać w czyn, było odplacenie tym, którzy mu pomogli. Sprowadził około dwudziestu kolegów i każdemu dał jakiś urząd. Le Roy Oatman i Oracze z Missouri zostali „stanowymi muzykami” i odtąd mieli uprzyjemniać wszystkie oficjalne uroczystości podczas jego kadencji. Rodney Tillman został jego rzecznikiem prasowym, a Seymour Gravel, inny kolega z wojska, któremu niezbyt dobrze się wiodło, otrzymał funkcję stanowego dyrektora do spraw bezpieczeństwa, w praktyce natomiast został ochroniarzem Hamma. Te nominacje okazały się pewnym zaskoczeniem, bardziej jednak zaprzętało wszystkich pytanie, jak Cecil Figs wpasuje się w nową administrację. Trudno było czegokolwiek się domyślić, Cecil bowiem w ogóle nie zajmował się polityką. Czego więc mógłby oczekiwać od Hamma?

Dowiedzieli się kilka tygodni później. Rodney z nieszczęśliwą miną wszedł do biura Wendella, przynosząc nie dobrą wiadomość:

- Właśnie wyznaczył Cecila na szefa protokołu stanu.
- Co? Przecież nie ma nic takiego jak szef protokołu stanu Missouri.
- Teraz już jest. Właśnie w auli odbywa się uroczyste nadanie mu urzędu.

Wendell pokręcił głową z dezaprobatą.

- Jezu Chryste... Już i tak niedobrze, że tylu koleśków dostało stanowiska i nie wiadomo, co właściwie oni robią. Teraz Cecil Figs będzie tu się plątał przez następne cztery lata.

Tymczasem w Kansas City Earl Finley siedział w pokoju na zapleczu głównej siedziby Demokratów wraz z innymi zmartwionymi panami, gryząc cygara i ciskając wściekle spojrzenia.

– No więc, chłopcy, mamy teraz w siedzibie gubernatora byłego sprzedawcę traktorów, była piosenkarkę gospel, ciotę łapiducha i jednego ochlapusa. Jak, do cholery, można ich stamtąd wykurzyć?

Prawdziwa pierwsza dama

Można by się dziwić, dlaczego Cecil Figgs, który bardzo wiele osiągnął w branży pogrzebowej i kwiatowej i z pewnością nie potrzebował marnych groszy, jakie wiązały się z funkcją szefa protokołu, przyjął to stanowisko. Jednak Cecil miał swoje powody. Po osiągnięciu szczytów powodzenia w swojej branży i w miarę upływu lat zajęcie to zaczęło go coraz bardziej nudzić. Sam nie opracowywał już scenariuszy mniejszych pogrzebów, jedynie tych bardziej znaczących, a takich było niewiele. Cecil odczuwał palącą potrzebę urządzania wielkich gali. Uwielbiał pompę, muzykę, specjalne oświetlenie, spektakularną oprawę i oryginalne kostiumy. Nudził się do tego stopnia, że wpadł na pomysł, by urządzić wielki pogrzeb panny Lily Mae Caldwell, która leżała w grobie przynajmniej od dziesięciu lat. Z jej inicjatywy obierano Miss Missouri, a teraz on wpadł na pomysł, aby zaprosić wszystkie byłe Miss Missouri do wzięcia udziału w wielkiej imprezie wspomnieniowej, która odbyła się na scenie teatru, gdzie koronowano wszystkie Miss Missouri. Większość dziewcząt nie bardzo ją lubiła, mimo to przyjęły zaproszenie. W pewnym sensie musiały, Cecil bowiem sprowadził filmowców, by nakręcili całą imprezę, a w takim razie niepokazanie się publicznie byłoby źle odebrane. Widowisko ku pamięci było wielkim wydarzeniem. Do prowadzenia konferansjerki Cecil wynajął Berta Parksa, a scenę zapełnił orkiestrą, która towarzyszyła dwudziestu czterem chórom z całego Kansas City, ubranym w specjalnie na tę okazję zaprojektowane niebieskie suknie z aksamitu, z wyhaftowaną na przodzie koroną Miss Missouri. Dziesięć byłych miss prezentowało swoje stare numery, a pozostałe, w wieczorowych sukniach, wywoływane były po kolei na scenę. Kiedy już wszystkie wyszły, na znak dany przez Cecila wypuszczono dwadzieścia pięć białych gołębi, a w tym samym czasie u szczytu rozjarzonych światłami schodów odsłonięto ogromny portret Lily Mae Caldwell, podczas gdy Karen Bo Bo, również była Miss Missouri, odśpiewała Zbuduję schody do raju. Ta ekstrawagancja rozerwała go na

jakiś czas, ale kiedy wszystko minęło, znów poczuł się tak znudzony jak przedtem. Cecil marzył o scenerii znacznie większej, teraz zaś, dzięki zainwestowaniu w kampanię Hamma, miał do dyspozycji cały stan.

Pierwszym pomysłem, jaki forsował po objęciu urzędu szefa protokołu, była zmiana mundurów policji stanowej. Przybiegł w lansadach do domu gubernatora z projektantem kostiumów z Teatru Małego i z setkami rysunków kostiumów, jakie ów scenograf zaprojektował do *The Student Prince*. W sali pełnej oniemiałych senatorów przybyłych na uroczyste śniadanie, którzy musieli wnieść projekt ustawy, by uzyskać fundusze, oświadczył, że chciałby wyeliminować stare szarobure mundury i stworzyć nowy styl przez wprowadzenie chabrowoniebieskich mundurków z czerwonymi lampasami i mnóstwem złotych guzików. Ale działając przez zaskoczenie, Cecil niewiele mógł osiągnąć. Ostatecznie udało mu się uzyskać fundusze na umundurowanie specjalnej Gwardii Honorowej gubernatora, która miała występować podczas szczególnych uroczystości. W projekcie jednak widniały trzy zastrzeżenia: 1) żadnych mieczyków; 2) żadnych piór; 3) żadnych białych butów. Słyszając o takich ograniczeniach, Cecil wpadł w furję, no ale przynajmniej miał swoją Gwardię Honorową. W ciągu całego następnego tygodnia rezydencję gubernatora nachodziły hordy dekoratorów, obładowanych próbkami materiałów i kolorów. Ale ponieważ Hamm okroił budżet, w rezydencji pracowali aresztanci ze stanowych więzień. Cały personel kuchenny, aż do ostatniej pomocnicy, stanowili mordercy, podobnie pokojówki i ogrodnicy, którym dla przeciwwagi dorzucono pięciu złodziei i pięciokrotnego bigamistę. Ale nie bacząc na ich zabagnioną przeszłość, Cecil uznał, że tu liczy się ich wygląd, czyli wykrochmalone białe mundurki, zawsze czyściutkie i schludne. Jedna kucharka, Alberta Peets, która miała na swym koncie morderstwo dokonane przy użyciu kilofa do rąbania lodu, nie lubiła mieć na nogach obuwia, kiedy gotowała, Cecil jednak zabronił jej chodzić boso po rezydencji. To ją okropnie zbulwersowało, w związku z czym powszechnie uważano, że dni Cecila są policzone.

On jednak zdawał się tego nie zauważać. Pochłaniało go następne zadanie – uczynić z rezydencji miejsce szczególne, by goście spoza stanu nie myśleli, że znaleźli się w jakiejś pierwszej lepszej amerykańskiej pipidowie. Mieli orientować się natychmiast, że administracja tego gubernatora zdolna jest szybko pchnąć stan naprzód, a wcale nie ma do pchnięcia. Nadal większość urzędników z otoczenia gubernatora Hamma nosiła białe skarpetki i brązowe buty. Po miesiącu wściekłego biegania po domu Cecila Figgsa i jego

dekoratorów, którzy ściągali jedne, a zawieszali drugie firanki i uparcie sprawdzali, czy mężczyźni noszą świeże kwiaty w butonierkach, Rodney Tillman, wydelegowany przez ogół, poszedł do gabinetu Hamma poskarżyć się na te praktyki. Hamm jednak odprawił go ze słowami:

– Niech się tym cieszy, zasłużył na to.

– Ależ, Hamm, to bulwersuje cały personel – upierał się Rodney.

– To ich problem. Muszą się nauczyć go tolerować, on nikogo nie krzywdzi.

Rodney nie przekonał Hamma. W końcu uznał, że widocznie Hamm ma swoje powody, by trzymać Cecila, i wie, co robi. Hamm zaś nie zamierzał w niczym ograniczać inwencji Cecila. Wkrótce stało się jasne, że to Cecil prowadzi dom, nie było co do tego dwóch zdań. Poza tym, jeśli chciało się dotrzeć na posłuchanie do Hamma, najlepiej było to uczynić za pośrednictwem Cecila.

Zaczęły się żarty na ten temat. Na przykład mówiono za ich plecami, że Cecil Figgs był rzeczywistą pierwszą damą, ale Hamm, zajęty ważniejszymi sprawami, zdawał się tego nie słyszeć, zresztą nie zamierzał zajmować się plotkami służby. Cecil również był zaabsorbowany wprowadzaniem do rezydencji gubernatora, jak mówił, odrobiny wyszukanego smaku. Codziennie wyrażał swoje niezadowolenie z decyzji Hamma zakazującej podawania alkoholu. Twierdził, że to była kompromitacja na skalę państwową podać wyłącznie lemoniadę i sok winogronowy Kool-Aid prezydentowi Francji i jego małżonce przybyłym z oficjalną wizytą. Ale nawet jeśli potrafił wpaść w prawdziwą furję z powodu byle drobiazgu, zawsze był niezwykle miły i uprzejmy dla Betty Raye.

Betty Raye z kolei nie tylko nie miała nic przeciwko temu, ale nawet wołała, by to Cecil planował przyjęcia i pełnił rolę gospodarza zabawiającego różnych gości odwiedzających rezydencję. Ulżyło jej, że ktoś wyręczają w sprawach, o których nie miała pojęcia. I mimo że Hamm obiecał, że nie będzie musiała w niczym brać udziału, to jednak odstąpiła od tego w kilku przypadkach, kiedy Cecil powiedział jej, że powinna się pokazać. Cecil wiedział, jak bardzo była nieśmiała, dlatego niezwykle rzadko prosił ją o wystąpienie oficjalne, i to tylko wtedy, gdy uważał, że jest to absolutnie niezbędne.

– Kochana – mówił do niej, patrząc błagalnie tymi swoimi dużymi oczami. – Naprawdę powinnaś się pokazać na pięć minut. To sprawa wagi państwowej i nie wyglądałoby dobrze, gdybyś się w ogóle nie pojawiła. – Za każdym razem, kiedy ją o to prosił, ulegała, ale też zawsze czuła się w takich sytuacjach niezręcznie i wyczekiwała niecierpliwie, aż Cecil da jej

dyskretnie znak, że może już się wymknąć.

Wyjąwszy tego rodzaju sytuacje, na ogół trzymała się na uboczu i starała się wszystkim schodzić z drogi. Okazało się to niezbyt trudne być pierwszą damą. Nawet niewiele osób ją rozpoznawało. Kiedy Cecil zabrał ją do sklepu, by kupić sobie odpowiednią suknię na uroczystość inauguracyjną, podeszła do niej klientka, pytając, czy mają w magazynie rozmiar czternasty. A potem jeszcze jedna z pytaniem o czarną suknię wieczorową bez rękawów. Jak zauważyło kilku mało eleganckich dziennikarzy w swoich artykułach, nie należała ona do charyzmatycznych pierwszych dam. W rzeczywistości odezwała się zaledwie do kilku osób, zastanawiano się więc, czy czasem nie jest niemową. Ale najbardziej ze wszystkiego doskwierało jej, że musi wychowywać dzieci w rezydencji. Odbierała to jak życie w szklanej kuli. Nigdy nie była sama. W domu tym bez przerwy roilo się od ludzi. Nie mogła nawet zejść do kuchni po szklankę wody, żeby nie natknąć się na grupę zwiedzających. Nie mogła też nigdzie udać się bez asysty stanowego policjanta. A jednak nie skarżyła się. Hamm wyglądał na szczęśliwszego niż kiedykolwiek przedtem. Poza tym miały to być tylko cztery lata. Obiecał jej, że kiedy upłynie jego kadencja, kupi dla nich dom i zaczną znów wieść normalne rodzinne życie. Dla tego gotowa była wytrzymać te parę lat.

Elektryczność w Missouri, 1959

W ciągu pierwszych dwóch lat sprawowania urzędu Hamm dowiódł, że nie jest w polityce nowicjuszem ani chorągiewką na wietrze i że trwa w postanowieniu dotrzymania swoich obietnic wyborczych, zwłaszcza jeśli chodzi o zaoszczędzenie pieniędzy podatników. Zepsuł interesy Earla Finleya i jego układy ze spółkami betonu i żwiru, by zawrzeć umowy z tańszymi oferentami. Szczególnie interesował się usługami komunalnymi oraz ich wydajnością i poziomem. Prowadził dochodzenia zakrojone na cały stan, gdzie i na czym można by zaoszczędzić, niekoniecznie w najbardziej legalny sposób, a Elmwood Springs zajmowało na tej liście wysoką pozycję.

Młody, mniej więcej dwudziestoletni mężczyzna ubrany w białą koszulę z krótkimi rękawami i z muszką na gumce, w brązowych spodniach i czarnych butach, o wyglądzie przypominającym listonosza, podszedł do drzwi frontowych i zapukał. Żadnej odpowiedzi. Zapukał raz jeszcze. Widział jednak starszą panią, jak przechadza się z tyłu domu. Nie

zwracała na niego najmniejszej uwagi, ale jemu potrzebne były jeszcze trzy osoby, z którymi miał przeprowadzić wywiad, więc obszedł dom naokoło i zapukał do siatkowych drzwi przeciw owadom.

Starsza pani podniosła głowę i wreszcie go zobaczyła.

– O, dzień dobry...

– Pukałem do frontowych drzwi, ale pani mnie nie słyszała.

– Zaczekaj no chwilę – odezwała się starsza pani. – Pójdę po swój aparat, to będę lepiej słyszała. – Po chwili była z powrotem. – Co mogę dla pana zrobić? Czy pan coś sprzedaje?

– Nie, proszę pani. Jestem z...

Zanim skończył, już otworzyła drzwi.

– W takim razie niech pan wejdzie. Chyba nie jest pan seryjnym mordercą? Nikt taki nie może przebywać w mojej kuchni, obiecałam to swojej siostrzenicy, Normie, że nie będę wpuszczała morderców do domu.

Wszedł do środka.

– Nie, proszę pani. Ja prowadzę...

– Niech pan siada.

– Dziękuję. Prowadzę...

– Zje pan kawałeczek ciasta?

– Nie, dziękuję pani.

– Na pewno nie ma pan na nie ochoty? Dopiero co je upiekłam.

– Nie, proszę pani.

– To ja sobie wezmę kawałek. Nie będzie pan miał nic przeciwko temu?

– Ależ skąd, proszę pani. Proszę się nie krępować. – Usiadł i otworzył pękatą skórzaną teczkę.

Starsza pani odeszła na chwilę, by ukroić sobie duży kawał ciasta, po czym położyła go na talerzyku i wyjęła z szuflady widelczyk.

– Na pewno pan nie chce? Bo tym razem naprawdę mi się udało. Ostatnim razem wyszedł mi zakalec. – Rzuciła okiem na papiery, które rozłożył na stole. – Chodzisz do szkoły?

– Nie, proszę pani. Ja już skończyłem szkołę. Przeprowadzam ankietę Biura

Konsumentów w Missouri dla Stanowej Elektrowni Światło i Prąd... Chciałbym więc, jeśli pani pozwoli, zadać kilka pytań.

Wyprostowała się, jakby uderzona jakąś myślą.

- Czy wiąże się z tym jakaś nagroda, jeśli odpowiem prawidłowo?
- Nie, proszę pani. To tylko ankieta informacyjna. Dla naszych potrzeb.

Wyglądała na zawiedzioną. Zajął się na powrót swoim ciastem.

- No dobrze, jedźmy dalej, strzelaj.
- Jak się pani nazywa?
- Na pierwsze imię mam Elner, na drugie Jane, a na nazwisko Shimfissle.
- Data urodzenia?
- Gdzieś między 1850 a 1890, dodaj lub ujmij parę lat.

Zapisał: „Nieznana”.

- Stan cywilny?
- Pani Willowa Shimfissle, wdowa od pięćdziesiątego trzeciego.
- Ile osób zamieszkuje we wspólnym gospodarstwie?

Zastanowiła się chwilę.

- Pięć... Kot, ja i trzy myszy.

Zmusił się do uśmiešku, wymazał cyfrę pięć i zastąpił ją jedyneką.

- Zawód?

Przybrała nieodgadniony wyraz twarzy, jakby nie usłyszała, co do niej powiedział.

Nachylił się więc w jej stronę i powtórzył:

- Co pani robi, pani Shimfissle?

Przez chwilę mełła w ustach niezrozumiałą odpowiedź, wreszcie powiedziała:

- Chyba żyję, co innego mogłabym robić? Przecież wszyscy próbujemy żyć, zgadza się?
- Nie o to chodzi, proszę pani, pytałem o to, czy pani pracuje gdzieś poza domem.
- Rozumiem, do czego zmierzasz. Trochę pracuję w ogródku, zajmuję się kurami, które siedzą na jajkach. Przedtem znacznie więcej robiłam, ale ostatnio mąż mojej siostrzenicy, Macky, przychodzi do mnie co sobotę, żeby skosić trawę i przyciąć żywopłot. Norma powiada, że nie chce, bym miała do czynienia z ostrymi rzeczami. Ona uważa, że wąż do podlewania jest bezpieczny, więc podlewam trawnik, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Zapisał: „Nie pracuje”.

- Czy dom jest pani własnością, czy pani go wynajmuje?
- Jest moją własnością. Kupiłam go i całkowicie spłaciłam. Will, mój mąż, mówił: „Elner, nie chcę, żeby ktoś cię nękał spłacaniem kredytu, kiedy mnie już nie będzie”, no więc kiedy sprzedałam farmę, kupiłam dom za gotówkę i nie muszę się teraz martwić co miesiąc

o płacenie rat. Płacę tylko podatek, i to wszystko.

– Co z wyposażenia elektrycznego ma pani w swoim domu?

Twarz starej kobiety rozjaśniła się.

– Wreszcie jakieś sensowne pytanie. Bardzo dużo mam. Zaraz, policzmy... Oczywiście całe oświetlenie. Kuchenka. Toster. Radioodbiornik, ten i jeszcze jeden. Dalej, aha, mam dwie lodówki... Ta druga stoi na ganku z tyłu domu, czy to się liczy?

– Nie, jeżeli pani jej nie używa.

– Ale działa. W każdym razie działała. Mówiłam Normie, że właściwie jej nie potrzebuję. Robię dużo przetworów, ale mam bardzo dużo miejsca w tamtej lodówce, więc trzymam tam tylko ziarnka dla ptaszków i takie tam różności. Myślę nawet, czyby nie oddać komuś biednemu tej drugiej lodówki, i pewnie tak zrobię. Ktoś by się z niej ucieszył, prawda?

– Tak, proszę pani. – Młody człowiek usiłował kontynuować zadawanie pytań ze swojego kwestionariusza. – A teraz...

– Chwileczkę, jeszcze nie skończyłam – powstrzymała go. – Lampa na ganku od frontu, odkurzacz, wiatraczek, klimatyzator. Nastawiam go tylko czasami, kiedy...

– Dobrze. A gaz?

– Co gaz?

– Urządzenia na gaz, czy ma pani coś na gaz?

– A powinnam?

– Właściwie to nie. Można więc powiedzieć, że pani woli urządzenia elektryczne od gazowych.

– Chyba nie można tak powiedzieć. Bo właściwie nie wiem. Po prostu nie mam w domu żadnych urządzeń na gaz, tylko elektryczne.

Napisał: „Tak”.

– Pani Shimfissle, czy pani zdaniem rachunki za elektryczność, które pani otrzymuje, są: wysokie, średnie czy niskie?

– To dobre. Hmm, niech się zastanowię. Chyba odpowiednie. Bo to, co dostaję za te pieniądze, to taniocha. Ale niech pan tego nie zapisuje, bo zaczną mi przysyłać wyższe rachunki. A tego nie chcę. Więc niech to zostanie między nami.

Zakreślił: „Niskie”.

– Czy pani zdaniem używa pani więcej sprzętu elektrycznego niż przeciętny człowiek?

– W gruncie rzeczy uważam, że elektryczność to jedna z najtańszych rzeczy, jakie można

dostać za te pieniądze. Tańsze to, niż mieć dziecko czy operację serca. Czy mówiłam, że mam w łazience piecyk elektryczny?

– Nie, ale...

– To dopisz. Wiesz, czasem myślę o cenach... i zastanawiam się, co inni ludzie sądzą na ten temat.

– Proszę pani...

– Co dla kogo jest wartościowe, a co nie. Wie pan, że samochód kosztuje więcej niż urodzenie dziecka w szpitalu? Chciałabym wiedzieć, kto zdecydował, że samochód jest więcej wart niż dziecko. Mąż mojej sąsiadki, Merle, pojechał aż do Teksasu, gdzie lekarze założyli mu rozrusznik serca, tak że teraz on nie umrze, i to kosztowało mniej niż dobra przyczepa kempingowa. A czy słyszał pan kiedyś, żeby przyczepa ocaliła komuś życie?

– Nie, proszę pani, ale...

– Zgadza się, nie słyszał pan. Mówię więc do Verbeny, co byś wolała: przyczepę czy swojego męża? Przecież jakby mąż umarł, toby nawet nowa przyczepa nie cieszyła. Musiała przyznać mi rację. Zawsze wybiorę rozrusznik serca zamiast przyczepy, a pan?

– Ja też. Mam jeszcze kilka pytań.

– Pan jest młody i długo jeszcze nie będzie pan potrzebował rozrusznika serca, ale kiedy ten czas nadejdzie, niech pan o tym pomyśli. Ile kosztuje rozrusznik serca, który może być nie większy od paznokcia, a ile przyczepa? I co komu z przyczepy, jak serce już nie będzie biło?

I tu wracamy do punktu wyjścia.

– Proszę pani...

– Elektryczność to najlepsza rzecz, jaką mamy, a nawet nie da się jej zobaczyć.

Dostrzegł przerwę w jej wywodzie i natychmiast to wykorzystał.

– Więc jeśli chodzi o usługi związane z elektrycznością, to jest pani z nich bardzo zadowolona, średnio zadowolona czy niezadowolona?

– Powiem, że jestem nadzwyczaj zadowolona, ponad wszelkie najśmielsze oczekiwania.

W 1928 roku moja siostra Gerta powiedziała: „Zaczekaj, aż będziemy mieli elektryczność na farmie”. I ja pamiętam, jak pierwszy raz prąd popłynął do naszego domu, od tej pory uwielbiam go. Nawet sobie nie wyobrażam, jak można było kiedyś żyć bez elektryczności.

Niech pan im powie, tym w elektrowni, że uważam prąd za coś cudownego. No bo pomyśleć tylko, w jakim stopniu jesteśmy uzależnieni od elektryczności. Powiem więcej: moim zdaniem, Thomas Edison to po Jezusie najważniejsza postać, jaka kiedykolwiek stąpała po

ziemi. A nawet nie mamy święta nazwanego jego imieniem. Taki święty Patryk, na przykład, ma swój dzień, a co on zrobił? Wypędził tylko trochę węży. A Thomas Edison rozjaśnił świat. Gdyby nie on, nadal siedzielibyśmy w ciemnościach, najwyżej przy świeczce, a nawet nie obchodzimy jego urodzin. Mędrzec z Menlo Park nawet nie ma swojego dnia.

Młody człowiek zaczął wpychać do teczek swoje papiery.

– To prawda, proszę pani.

– Jesteś za młody, żeby to pamiętać, ale ja pamiętam, jak on umarł, w trzydziestym pierwszym roku. Wszyscy zapalili światła na minutę. Ale potem o nim zapomnieli. Czy wiesz, co ja robię co roku w dzień jego imienia?

– Nie wiem, proszę pani.

– Włączam wszystko, co mam, każdą żarówkę, pralkę, wiatraczki, radio, telewizor i trzymam włączone przez cały dzień. I mówię: „Wszystkiego najlepszego, Tom”. Tak bardzo szanuję pana Thomasa Edisona.

– Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić trochę czasu. – Stał, gotów już do wyjścia.

– Muszę cię o coś zapytać. Czy tam, w tej waszej firmie Światło i Prąd, wisi na ścianie portret Thomasa Edisona?

– Nie pamiętam, żeby wisiał, proszę pani.

– Teraz wiesz, o czym mówię. Przecież nikt z nich nie miałby tu pracy, gdyby nie poczciwy Thomas Edison, a nawet nie powieszają jego portretu na ścianie.

– To prawda, proszę pani. – Powoli przesunął się w stronę wyjścia.

– To już wszystko? Skończyłeś?

– Tak, proszę pani.

– O, i jak wypadłam?

– Dobrze.

– Tak jak mniej więcej wszyscy?

– Powiedziałbym, że lepiej.

Wstała.

– Zaczekaj no chwilę. Dam ci na drogę trochę fig i śliwek. – Poczłapała do kredensu, by wyciągnąć z szuflady pomietą papierową torbę, do której zaczęła wrzucać świeże owoce. – Tej torby już raz użyłam, ale jest czysta, więc możesz się nie obawiać zarazków, tak samo jak nie musisz myć tych owoców. Nie traktuję ich żadną trucizną. Domyślam się, ile robaków najpierw się do nich dobiera, ale nie szkodzi. Zresztą wystarcza mi tyle, ile mi zostawia. To

nawet więcej, niż mogę przejeść i rozdać. Z drugiej strony nie znoszę, jak się marnują, rozumiesz. Dlatego dokładam jeszcze trochę dla twojej matki, OK?

Oszłomiony wziął torbę z owocami i skierował się ku drzwiom.

– Dziękuję pani.

– Nie ma za co. Życzę ci powodzenia w twoich planach. Tylko powiedz tam, komu trzeba, żeby powiesili portret Toma Edisona na ścianie.

– Oczywiście, proszę pani, przekażę.

Był już w połowie schodów, kiedy jeszcze wybiegła za nim i zawołała:

– Wiedziałałam, że o czymś zapomniałam. Dopisz jeszcze koc elektryczny, dobrze? Idź też do domu Normy, niech i ona odpowie na te pytania. Ona ma o wiele więcej urządzeń elektrycznych. Mieszka dwie ulice stąd, na Second Avenue 212. Ale nic jej nie mów, że to ja cię przysłałam. Może być jeszcze zła za tę kobietę od ubezpieczeń.

– Dobrze, proszę pani – obiecał, ale nie zamierzał przedstawiać ankiety nikomu z jej krewnych. Cała rodzina mogła być zwariowana.

Wielkie kuszenie

Nie licząc noszenia butów i kwiatów w butonierce, wszyscy więźniowie oczywiście woleli życie w rezydencji gubernatora niż za kratkami, a Cecil Figgs był wesoły jak szczygiełek, mogąc planować swoje ulubione przyjęcia i przedstawienia. Jednak najlepiej ze wszystkich używał życia Rodney Tillman. Przejście od handlu używanymi samochodami do kierowania biurem public relations to był nie lada skok społeczny, a Rodney korzystał z tego awansu na całego. Któregoś popołudnia wszedł do gabinetu Hamma z miną kota, który właśnie upolował kanarka, usiadł i rzucił lekkim tonem:

– Powiedz mi, Hambo, co byś powiedział na to, żeby mieć łódź?

Hamm podniósł głowę znad papierów.

– Łódź? Jaką łódź?

– Dużą łódź. – Wyciągnął z kieszonki koszuli zdjęcie nowiutkiej jednostki i rzucił je na biurko. Hamm wziął do ręki fotografię i oglądał ją z uśmiechem.

– Wiesz, że zawsze chciałem mieć łódź. Więc co to ma znaczyć?

Rodney nachylił się do niego i powiedział konfidencjonalnie:

– Ponieważ, stary druho, znam kogoś, kto przebiera nogami, żeby ci to sprezentować.

– Dać mi? Za co?

– Bo wie, w jakim żyjesz stresie i dlatego potrzebujesz jakiegoś miejsca, gdzie mógłbyś się zrelaksować. Na jej pokładzie, brachu, mógłbyś spać spokojnie, a ona zabierze cię na Florydę albo na Bahamy, w każdej chwili, kiedy tylko zapragniesz.

– Co to za facet?

– Jeden z tych, co cię popierają... Chce ci sprawić przyjemność.

– Coś ty, Rodney. Przecież w trakcie mojego urzędowania nie wolno mi przyjmować żadnych prezentów.

– Wiem to, do diaska, Hambo. Ale przecież tyle jest sposobów, żeby to obejść. Załóżmy na przykład, że on zostawia tę łódź gdzieś w hangarze, żeby móc wypożyczyć ci ją w każdej chwili, a ty możesz w każdej chwili wybrać się nią na przejażdżkę. To chyba wolno, nie? Hamm popatrzył na niego sceptycznie.

– Daj spokój, Rodney, to wygląda podejrzanie.

– Poczekaj, posłuchaj. Załóżmy, że on dał mi klucze do hangaru, żebym pilnował jej dla ciebie, aż przestaniesz być gubernatorem i będziesz mógł przyjąć podarunek. – Rodney przechylił się na krześle i zaplótł ręce na karku. – Do tego czasu nawet nie poznasz nazwiska faceta, który jest jej właścicielem. Niech ci wystarczy, że to ja ją pożyczyłem od przyjaciela przyjaciela.

Hamm wpatrywał się w zdjęcie jachtu. Nie miał najmniejszego zamiaru go przyjąć, ale to była piękna łódź, a dla kogoś, kto kiedyś zarabiał nie więcej niż sześćdziesiąt pięć dolarów tygodniowo, kto nie mógł nawet marzyć o czymś takim, była to kusząca oferta. Odsunął od siebie fotografię.

– Powiedz mu, że dziękuję, ale raczej nie skorzystam.

Rodney wzruszył ramionami i powiedział:

– Dobra, ale myślałem też, jaka to by była frajda dla twoich chłopaków. Rób, jak uważasz... Ale gdybym ja był na twoim miejscu, nie spieszyłbym się tak z zaglądaniem darowanemu koniowi w zęby. Po co być gubernatorem, jeśli nie ma się z tego żadnej przyjemności?

Wyszedł, zostawiając zdjęcie na biurku Hamma. Przez pierwszy tydzień Hamm brał fotografię do ręki i długo się w nią wpatrywał. Drugiego tygodnia poprosił do swego gabinetu Wendella Hewitta, prokuratora stanu, i upewnił się:

– Powiedz mi, czy jako gubernator mogę pożyczyć od kogoś jacht, czy to byłoby wbrew

prawu?

– Nie, dlaczego? – odpowiedział Wendell.

– Tak tylko chciałem zapytać.

W czwartym tygodniu Hamm pomyślał, że właściwie mógłby przynajmniej pójść obejrzyć tę łódź. Przyjaciel przyjaciela miał nadzieję, że on przyjmie ten prezent, posunął się nawet do tego, że wymalował na burcie łodzi imię „Betty Raye”. Gdy tylko Hamm zobaczył „Betty Raye”, zakochał się w niej natychmiast.

Kiedy Wendell, który miał płynąć z nimi tego dnia, zobaczył imię wymalowane na burcie, zastrzegł się:

– Ja nie chcę nic wiedzieć, chłopcy. Ja nic nie wiem. Jestem tu tylko na przejazdźce.

Hamm nie wiedział o tym, ale przyjacielem przyjaciela był niejaki pan Anthony Leo z St. Louis. A kiedy Hamm złagodził jego bratu wyrok z kary śmierci na dożywotnie więzienie, zaskarbił sobie jego wdzięczność. Hamm wiedział tylko tyle, że owego dnia Rodney przyszedł do biura mocno zdenerwowany i odprężył się dopiero, gdy podpisane były już wszystkie ułaskawienia. Wendell, który był doradcą Hamma, zgodził się z tą decyzją.

W końcu morderca nie zabił kogoś niewinnego, ale podobnego jak on oprycha.

– Niewykluczone, że wyświadczył stanowi przysługę – dodał Hamm.

Obaj wyświadczyli także Rodneyowi przysługę, wcale o tym nie wiedząc. Rodney zrobił spore długi w kasynie, na skutek czego pozbawiono go już kredytu. Ale Hamm też nie był naiwny. Nigdy nie przyjął żadnego podarunku, a o „Betty Raye” powiedział tylko kilku zaufanym osobom. Za to korzystał z tej łodzi tak często, jak się dało.

Któregoś popołudnia, kiedy płynęli po Missouri i byli już po kilku drinkach i cygarach, Hamm zagadnął Rodneya:

– Wiesz co, Rodney, tak sobie myślałem, kiedy skończy się moja kadencja, na pewno byłoby dobrze, gdybyśmy mogli z Betty Raye i dziećmi od razu wprowadzić się do jakiegoś sympatycznego domku, bez czekania. Może zaciągnę pożyczkę, zastaw, a kiedy wprowadzę się tam i znajdę sobie jakąś posadę, zacznę ją spłacać. Co ty na to?

– Myślę, że to się da załatwić.

– No bo jakby to wyglądało, żeby były gubernator wprowadzał się do jakiegoś wynajętego domku? Nie najlepiej, zgodzisz się?

– Pewnie. A jakiego rodzaju dom nadawałby się dla byłego gubernatora?

Hamm usiadł wygodniej i zamyślił się.

– Uważam, że powinien znajdować się w dobrej dzielnicy, to ze względu na dzieci, domy murowane, z cegły, duży ganek, coś w tym rodzaju. Jak uważasz?

– Aha. Też tak sędzę. Rozejrzę się po okolicy, poniucham i coś ci zaproponuję.

– No i samochód. Może jakiś nowy DeSoto?

– Nie ma sprawy – odrzekł Rodney. – W jakim kolorze?

– Niebieskim.

To był jego ulubiony kolor. Poza tym, tak jak powiedział Rodney: co za sens być gubernatorem, jeśli nie byłoby z tego korzyści?

Ciastka i tęczę

Ostatnio Dorothy czuła się bardzo szczęśliwa. Jej dzieci poślubiły wspaniałych ludzi, miała już trzy śliczne wnuczki, a Anna Lee właśnie zadzwoniła z radosną wiadomością, że spodziewa się następnego dziecka. Tak więc dziś Dorothy była wesolutka jak szczygiełek.

– Dzień dobry, witajcie wszyscy... Mam nadzieję, że każdy z was bierze dziś udział w zawodach na wypieki. Bo to właśnie dziś mamy doroczny konkurs na najlepszy wypiek z użyciem mąki Złote Płatki i specjalnie na tę okazję Matka Smith coś wam zagra – będzie to piosenka Gdybym wiedziała, że dziś przyjdiesz, upiekłabym ci ciasto. Zatem, panie i ci panowie, którzy zostali z wami, sprawdźcie raz jeszcze, czy macie wszystkie potrzebne składniki. Liczy się każda sekunda. Przygotujcie się. Zapalcie piecyki, niech już się nagzewają. A ja przez ten czas przypomnę wam pokrótce zasady naszej zabawy. Jedno ciasto na jednego uczestnika. A kiedy ciasto będzie gotowe, czym prędzej zanieście je do siedziby VFW, by jury je oceniło.

Życzę wszystkim i każdemu z osobna powodzenia, a wy, zjadacze ciastek, pamiętajcie, że po werdykcie będą one sprzedawane, dziś około drugiej po południu. Dochód ze sprzedaży przeznaczony jest na pomoc naszym stanowym policjantom i strażakom. Robią tyle dobrego przez cały rok, przychodźcie więc i kupujcie ciasta, niech wiedzą, że doceniamy ich trud. W tym roku mamy też doborowy zespół sędziowski. Wszyscy pochodzą z Poplar Bluff: pan Jack Mann, prezes spółki Mąka Złote Płatki, jak również pani Edith Cagle Pool, autorka książki Ciasta na każdą okazję, wymieniana w Who is Who ekonomiki gospodarstwa domowego, i wreszcie niżej podpisana... Więc przychodźcie nas odwiedzić. Będziemy się

świetnie bawili.

Strzyżyki, drozdy wędrownie i północnoamerykańskie, kolibry i inne ziarnojady dały się zobaczyć. Ich obecność udokumentowała obserwatorka ptaków, Emma Henson z Walnut Shade, a pani Joanne Ault z Woodlawn w Missouri tak pisze:

Droga Sąsiadko Dorothy!

Przeczytałam ciekawą książkę i chciałabym podzielić się tym z twoimi słuchaczami. Jeśli chcą się trochę pośmiać, to niech przeczytają Na tuziny tańsze Franka Gilbretha juniora i Ernestine Gilbreth Carey.

Dziękujemy. Ja lubię polecać wyłącznie książki, które są wesołe i dobrze się kończą. Wiem, że tyle jest nieszczęść na świecie, ale wolę się na nich nie skupiać. Pewnie jestem jak ten struś, co chowa głowę w piasek – nie chcę przyjmować do wiadomości pewnych faktów. Naukowcy postanowili sobie poinformować nas dokładnie, z czego zrobiony jest księżyc, z czego składają się gwiazdy, co to jest tęcza... A ja wcale nie chcę tego wiedzieć. Kiedy wypowiadam życzenie, widząc spadającą gwiazdę, to czy muszę wiedzieć, z czego się ona składa? Wcale nie. I niech ci panowie zdają sobie z tego sprawę. Moim zdaniem, jeśli coś jest piękne, to nieważne dlaczego. Nigdy nie mogę napatrzeć się na księżyc. Jednej nocy jest mały i okrągły, lśniący jak kawałek lodu albo marmurowy okruch, a innej – wielki i żółty. Jak można się nudzić, kiedy natura daje nam tyle cudów do podziwiania? A to kojarzy mi się z następnym listem, który nadeszła pani Anne Carter z Repton w Missouri. Pisze ona:

Droga Sąsiadko Dorothy!

Czy zastanawiałaś się kiedyś, gdzie jest początek tęczy? Chcę się z Wami podzielić wrażeniami z przeżycia, które się stało naszym udziałem. Wczoraj wyjechaliśmy całą rodziną za miasto, a kiedy przeszła krótka burza, mój syn zwrócił uwagę na ogromną tęczę, która nieoczekiwanie pojawiła się na niebie. Miałam wrażenie, że sięga ziemi, a jej kraniec znajduje się na końcu drogi przed nami. Ruszyłam więc do przodu i zaczęłam pędzić jak szalona, a kiedy wysiedliśmy z samochodu i popatrzyliśmy na siebie, zobaczyliśmy, że nasza skóra opalizuje kolorami tęczy, różowym, niebieskim, zielonym. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Dosłownie staliśmy skąpani w tęczy. Czy to nie istny cud? Pan Bóg naprawdę okazał nam swoją łaskę, nigdy nie zapomnimy tego dnia.

Matka Smith zagrała kawałek z Gdzieś ponad tęczę.

– Bardzo dziękujemy pani Carter za podzielenie się z nami tą piękną opowieścią. Teraz, ile razy zobaczę tęczę, zawsze będę sobie przypominała o was, jak staliście skapani w tęczy. No i ja się pytam: czy życie nie jest piękne?

LATA SZEŚĆDZIESIĄTE

Pisklęta wracają do gniazd

Kiedy Bobby skończył studia, dostał pracę jako nauczyciel w college'u w Rindge w New Hampshire, a także uroczy domek nad jeziorem, gdzie zamieszkał wraz z Lois. Mimo że zarabiał niewiele, przez jakiś czas wiodło im się dobrze. Oboje przywiązali się do college'u i do miasteczka, ale ponieważ pochodzili z południowego Missouri, nie byli przyzwyczajeni do mroźnych zim i w pierwszym roku niemal zamarli tam na śmierć. Ponadto po doświadczeniach w Korei śnieg działał na Bobby'ego przygnębiająco, dlatego też zaczął rozglądać się za cieplejszym miejscem. Zgłosił swoją kandydaturę do pracy w Arizonie i Kalifornii, ale jak dotąd nic im nie zaoferowano, a tymczasem Lois spodziewała się pierwszego dziecka. Tak szybko jak tylko mogli, przyjechali do Missouri w odwiedziny. Spędzili tydzień z jej rodzicami i następny tydzień z Dorothy i Dokiem.

Kiedy przebywali w Elmwood Springs, zadzwonił do nich pan Charlie Fowler, inspektor od drobiu i ich stary przyjaciel, zapowiadając, że chciałby wpaść do nich na obiad. Bobby, który nie widział pana Fowlera od kilku już lat, ucieszył się z perspektywy spotkania. Pan Fowler był na ich ślubie, a potem przysłał im bardzo ładny prezent. Dorothy przygotowała jego ulubione kotlety schabowe panierowane z kartofelkami puree, a po pierwszym kęsie Fowler powiedział dokładnie to, co zawsze mówił:

– Coś mi się wydaje, Dorothy, że są to najlepsze schabowe, jakie kiedykolwiek zrobiłaś. Po posiłku, kiedy panowie wyszli na papierosa, Fowler zapytał Bobby'ego, czyby nie mogli się przejść razem.

– Jasne – zgodził się Bobby.

Wyszli na podwórko, usiedli na ogrodowych krzesłach Sweetheart Swing i przez chwilę podziwiali widok. Słońce stało jeszcze wysoko na niebie. Tego roku wiosna przysła wcześniej i jabłonka była już obsypana białoróżowymi kwiatami; kwitły też wilce, które

zwieszały się ze starego płotu i pięły po ścianie garażu. Ruby Robinson wychyliła się z okna obok i zakomunikowała:

– Powiedz mamie, że mam mnóstwo pomidorów i mogę jej dać, jeśli potrzebuje.

– Dobrze, na pewno przekażę – obiecał Bobby.

Bobby siedział tak i zastanawiał się, co też Fowler chciałby od niego, ale pomyślał, że zaraz się dowie. Po chwili Fowler odezwał się:

– Masz uroczą żonkę.

– Miło, że pan tak mówi – podziękował Bobby.

– Znam ciebie i twoją rodzinę od dawna. Widziałem, jak dorastałeś, ty i twoja siostra.

– Tak, proszę pana.

Fowler odchrząknął.

– Wiesz, gdybym sam był żonaty i miał syna, który akurat wchodzi w dorosłe życie, to pewnie bym mu powiedział to, co teraz tobie powiem. Młody Robercie – kontynuował – my, to znaczy ty i ja, powinniśmy przestać dziobać po podwórku drobne ziarenka, ale odważyć się i poszybować jak orły w świat wielkiego biznesu. Dlatego parę lat temu zacząłem skupować udziały farm kurzych. Podniosłem głowę i co widzę: napis na murze, że tak powiem, takiej oto treści. Charlie, brzmiało przesłanie, interes drobiowy się zmienia. To już nie jest świat jajka. To świat kurczaków smażonych w głębokim tłuszczu, więc szykuj się do skoku, póki pora. – Nachylił się do Bobby'ego. – Słuchaj, synu, uważnie. Niech to zostanie między nami. Ale właśnie podpisałem niezwykle korzystną umowę z tym facetem z Kentucky na dostawy kurczaków. Mam wyłączność. Teraz nie zrozum mnie źle. Ja jeszcze nie zarobiłem pieniędzy, ale mam oko na tego gościa i jeśli dalej ten biznes będzie się w takim tempie rozwijał, byłbym zdziwiony, gdyby wkrótce nie otworzył drugiego miejsca.

– Naprawdę? – zdziwił się Bobby.

– Aha. I to wszystko pasuje mi do mojej teorii na temat przyszłości.

– Jaka jest pana teoria?

– Ilość – odrzekł z emfazą. – Nie jakość. Szybko, niekoniecznie dobrze. Teraz, chłopcze, tak się robi pieniądze. To epoka samolotów odrzutowych. Ludzie chcąc w pośpiechu, bez konieczności zatrzymywania się. Pytają tylko, ile dostaną za dolara i jak szybko, i jak tanio. Bobby skinął głową i zaczął się nad tym zastanawiać.

– Tak czy owak, młody Robercie, powiem ci tyle. Szukam odpowiedniego człowieka, który będzie dla mnie pracował. Kogoś z osobowością, kontaktowego tak jak ja, i coś mi się

wydaje, że pasujesz mi do tego obrazu jak ulał. Rzeknij tylko słowo, a posada jest twoja. Bobby'emu pochlebiała ta propozycja, ale nic nie wiedział na temat drobiowego interesu.

– Na pewno jestem panu bardzo zobowiązany, że pomyślał pan o mnie – zaczął – ale... Fowler nie pozwolił mu dokończyć.

– Zanim porozmawiasz na ten temat z żoną – dodał, wyciągając jednocześnie z kieszeni notesik – napiszę ci sumę, jaką będziesz zarabiać w pierwszym roku. TswdĆL, że to tylko na początek. – Wykaligrafował cyferki i wręczył kartkę Bobby'emu. – Oczywiście będziesz musiał się przenieść, ale wydaje mi się, że warto skorzystać z tej okazji, a daję ci słowo, synu, że jeśli mnie się będzie dobrze powodziło, to i tobie też.

Liczba, jaką zapisał Fowler, wskazywała dwukrotnie większe zarobki od obecnego uposażenia Bobby'ego.

Następnego dnia, kiedy Monroe wstąpił do nich na kawę i Bobby pokazał mu tę sumę, Monroe, jak to miał w zwyczaju, gwizdnął przeciągle.

– Chłopie, to kupa szmalu.

Bobby był jednak niezdecydowany. Nie chciał zrezygnować z nauczania, ale mając w bliskiej perspektywie dziecko i żadnych nowych ofert w zawodzie nauczyciela, przedyskutował sprawę z Lois. Postanowili wyprowadzić się z zimnego New Hampshire i zaryzykować z panem Fowlerem.

Zgubiona szczęka

Tot Whooten nie znała Charliego Fowlera, ale Matka Smith, która wybrała się do zakładu Tot, żeby znów ufarbować sobie włosy na purpurową czerwień, wspomniała jej o nowej pracy Bobby'ego.

– Mam nadzieję – powiedziała Tot – że w jego przypadku to się powiedzie. Bo bez względu na to, czym się człowiek zajmuje, prawdopodobieństwo, że coś się nie uda, wynosi zwykle pięćdziesiąt procent. – Wylała na głowę Matki Smith miseczkę balsamu do płukania i dodała: – Chyba że ma się moje szczęście, bo w moim przypadku szansa, że coś się nie uda, wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Tot musiała coś przeczuwać.

W następny poniedziałek Norma Warren właśnie wróciła z Poplar Bluff, gdzie u swojej matki, Idy Jenkins, zostawiła na tydzień Linde, swą jedenastoletnią już córeczkę. Ku wielkiej

irytacji Normy, tuż po śmierci jej ojca matka szybko się zakreśliła i przeniosła do Poplar Bluff, żeby być bliżej kościoła prezbiteriańskiego.

– Teraz, kiedy jestem już wdową – oświadczyła – muszę być bliżej swoich.

Trochę to zabolalo Normę, że matka woli być bliżej kościoła niż własnej rodziny, ale w Elmwood Springs nadal pozostawała ciocia Elner, choć nieraz było z nią utrapienie. Tego dnia przypadał dzień domowych zabiegów kosmetycznych Normy, i właśnie kiedy nakładała sobie na twarz maseczkę Merle Norman, zadzwonił telefon, trzeci raz w ciągu godziny.

Początkowo nie miała zamiaru odbierać, ale ponieważ telefon nadal dzwonił, musiała ustąpić.

– Halo, ciociu Elner – odezwała się, usiłując nadać głosowi łagodny ton oraz nie naruszyć maseczki, ale tym razem to nie była ciocia Elner. To Verbena, sąsiadka Elner, telefonowała z pralni.

– Norma, to ja. Czy wiesz już, co się przydarzyło biednej Tot?

– O Boże, co takiego?

– Znasz Rochelle, tę wielką dziewczuchę, która lubi od czasu do czasu przespać się z doktorem Orrem?

– Tak, a co z nią?

– Domyślam się, że to ona zgubiła górną szczękę Tot podczas ostatniego weekendu. Za bardzo była zajęta baraszkowaniem w gabinecie.

– Jak to: zgubiła? – Maseczka Normy legła w gruzach.

– W piątek doktor Orr usunął Tot zęby, potem wziął wycisk górnej szczęki i kazał jej przyjść w poniedziałek, kiedy sztuczna szczeka miała być gotowa... Rano Tot wślizgnęła się tam tylnym wejściem, bo jak mówi, umarłaby ze wstydu, jakby ktoś ją zobaczył bez zębów, no więc weszła, usiadła i czeka. Powiedziała, że nie mogła doczekać się tej szczęki. Tot mówi, że należało się spodziewać, że coś będzie nie tak, bo kiedy wszedł doktor Orr, poczuła od niego zapach alkoholu. Tak w każdym razie twierdzi. „Proszę otworzyć usta”, on mówi i usiłuje wepchnąć jej do ust jakąś górną szczękę, która za Chiny nie pasowała. „Do diabła, Rochelle”, woła, „to nie jest szczeka Tot!” Kazał jej czekać i wyszedł z gabinetu. Po chwili Tot słyszy krzyki i przekleństwa, a po piętnastu minutach on wraca i mówi do niej: „Bardzo cię przepraszam, Tot, ale twoja szczeka musiała przez pomyłkę zostać wyrzucona. Trzeba będzie wziąć następną wycisk i zacząć od nowa”.

– No nie.

– No tak. Wyobrażasz sobie, że Tot była jak uwięziona. Nie wie też, czyją on jej wkładał

szczękę. I co gorsza, właśnie w tym tygodniu miała pójść do nowej smażalni ryb na suma. Jak zjeść suma bez zębów, a co dopiero obgryźć kolbę kukurydzy?

– No nie.

– A wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze?

– Może być coś jeszcze gorszego?

– Myślę, że James kołuje Tot z tą Rochelle. Tak mówi Merle. Widział ich na autostradzie, jak zjechali potem do Casa Loma Supper Club, czulili się do siebie, całowali i tak dalej.

– Nie mów, biedna Tot.

– Uważam, że z tą szczęką to był zwykły sabotaż. Ta dziewczyna złośliwie wyrzuciła tę szczękę po to, żeby mogła swobodnie zabawiać się z Jamesem, bo Tot będzie zmuszona siedzieć w domu. Ale pamiętaj, ja nic o tym Tot nie powiedziałam.

– Biedna Tot.

– No i patrz, jak to jest. Jak nie jedno, to drugie, zawsze coś. I to zaraz po tym, jak jej matka podpaliła dom, teraz ta historia. Cud, że Tot jeszcze budzi się co rano i może wstać.

Po skończonej rozmowie Norma poszła umyć twarz i nałożyć na nowo maseczkę.

Pomyślała, że powinna bardziej zadbać o swój wygląd. Bo przecież nie chciałyby, aby Macky zapraszał do Casa Loma czy gdzie indziej jakieś inne kobiety.

Widowisko

Niestety, również dla Betty Raye sprawy nie ułożyły się najlepiej. Hamm nie dotrzymał danego jej słowa i w 1960 roku powtórnie zaczął ubiegać się o urząd gubernatora na następne cztery lata. Jej marzenia o własnym domku obróciły się wniwecz. Choć załamana, musiała jednak przyznać, że kariera polityczna podobna była do rozpędzonej lokomotywy, której nie da się zatrzymać. Hamm znajdował się u szczytu swej popularności; twierdził, że nie wykorzysta tego i zrezygnować z kandydowania, byłoby zmarnowaniem wszystkich dotychczasowych wysiłków włożonych w rozwój jego kariery. Błagał ją, obiecywał, że jeśli uda mu się sprawować ten urząd przez następną kadencję, naprawdę na tym poprzestanie.

– Tak czy inaczej, kotuś – przekonywał – prawo stanowe nie przewiduje pełnienia tej funkcji dłużej niż przez dwie kadencje. Nawet gdybym chciał, to nie będę mógł więcej kandydować. Czy można mieć lepszą gwarancję?

Była zawiedziona, że będzie musiała wytrzymać następne cztery lata, widziała jednak, jak

bardzo jej mąż był ludziom potrzebny. Napięcie towarzyszące temu stanowisku zdawało się znakomicie służyć Hammowi, wyglądał kwitnąco i radował się każdą chwilą. Musiała przyznać, że Hamm okazał się świetnym gubernatorem, i chociaż tęskniła za posiadaniem własnego domu i męża wyłącznie dla siebie, była jednocześnie z niego dumna. I mimo że jej go brakowało, cieszyła się, że jest szczęśliwy.

Dobrą stroną popularności Hamma była znaczna liczba jego zwolenników, tak że tym razem nie musiała wyprawiać się wraz z dziećmi w podróż promocyjną. Właściwie kampania wyborcza okazała się niepotrzebna. Wprawilo to w bezsilną wściekłość Earla Finleya, który musiał odczekać kolejne cztery lata przed następną próbą przejęcia kontroli nad stanem. Kiedy Hamm wygrał kolejne wybory, uzyskując miażdżącą przewagę, Cecil Figgs był oczywiście zachwycony, że ma zapewnione zajęcie na następne cztery lata, i postanowił, że tym razem zaaranżuje wielkie widowisko w plenerze obrazujące historię Missouri. Zaplanował, że będzie to barwne widowisko z udziałem setek uczestników, nie wyłączając indiańskiego kucyka, który miał symbolizować przejazd Pony Express w 1860 roku z St. Joseph do Sacramento. Widowisko przedstawiałoby wszystkie ważniejsze wydarzenia, poczynając od czerwca 1812 roku, kiedy po raz pierwszy utworzono terytorium Missouri, i dalej, aż do czasów współczesnych.

Przez cały dzień odbywały się próby w wielkim Shrine Auditorium i przez cały czas cierpliwość Cecila wystawiana była na ciężką próbę z powodu ospałości policjanta stanowego Ralph Childressa, który przy swoim wzroście sześć stóp cztery cale nie dawał sobą bezkarnie pomiatać. Cecil szkolił Gwardię Honorową gubernatora, która miała równiutkim szeregim wkroczyć na scenę, by dalej przemaszerować pod ogromną rekonstrukcją Łuku St. Louis, na którego szczycie powiewała chorągiew z napisem BRAMA NA ZACHÓD. Po dotarciu na środek sceny mieli odwrócić się do publiczności, by jednocześnie zsalutować, a następnie założyć ręce do tyłu i stać tak w pozycji spoczynnej, kiedy Cecil policzywszy do dziesięciu, pstryknął palcami.

– Jeszcze raz to samo – zakomenderował, tupiąc nogą i klaskaniem w dłonie wskazując policjanta Childressa. – Szybciej, szybciej, ruszaj się, jesteś za wolny.

W końcu policjant, z twarzą nabiegłą krwią, gotów w każdej chwili wybuchnąć, nie wytrzymał.

– Słuchaj, ty pedale – zagroził mu – jeszcze raz pstrykniesz na mnie palcami, to ci je wyrwę i wetknę w twój tłusty tyłek.

Cecil przystanął i zamrugął zdumiony.

– Coś ty powiedział?

– Słyszałeś.

Cecil nachmurzył się.

– Nie próbuj marnować mojego drogiego czasu, który przeznaczam na próby, na cackanie się z tobą. Jestem reżyserem tego widowiska, a ty masz wziąć w nim udział i dobrze odegrać swoją rolę.

– Po moim trupie – zarzekł się policjant Childress.

Cecil rzucił okiem na zegarek.

– Piętnaście minut przerwy – ogłosił. – Chcę was widzieć z powrotem na scenie dokładnie o pierwszej czterdzieści, gotowych do powtórki od początku. – Po czym wskazując na policjanta Childressa, dodał: – A ty, mój panie, masz natychmiast zejść za mną na dół.

Idziemy.

Kiedy zeszli do dużej sali prób, Cecil zamknął drzwi i powiedział rozkazującym tonem:

– Zdejmuj koszulę. Nie zamierzam jej zniszczyć, kiedy nie ma czasu na zamawianie nowej.

Policjant skwapliwie wykonał polecenie, bo pilno mu było wdeptać Cecila w ziemię.

Ostatnie słowa, które usłyszał od Cecila, zanim ten natarł na niego i stłukł na kwaśne jabłko, brzmiały:

– Żaden z wykonawców nie będzie dawał reszcie złego przykładu.

Piętnaście minut później Cecil wrócił do auli jak gdyby nigdy nic i klaszcząc w ręce na znak wznowienia próby, zawołał:

– Zaczynamy, wiara... Jeszcze raz od początku.

Za nim stąpał Childress, lekko utykając. Kilka minut wcześniej leżał rozciągnięty na podłodze, nie mając siły, by się podnieść, a nad nim stał Cecil i ująwszy się pod boki, pytał:

– A teraz gotów jesteś wrócić do swoich obowiązków czy jeszcze nie?

Policjant był tak oszołomiony całym zajściem, że mógł tylko roześmiać się

i odpowiedzieć:

– Chyba tak.

Być może Cecil sprawiał czasem wrażenie rozlazłego, w rzeczywistości jednak był twardy jak skała i silny jak byk. Przez całe życie dźwigał zwłoki i trumny. I chociaż służba wojskowa upłynęła mu głównie na organizowaniu przyjęć i turniejów brydżowych dla

oficerów i ich żon, to jednak trenował samoobronę. Incydent ten nie miał dalszego ciągu, a kiedy ktoś pytał Ralpa, co się właściwie wydarzyło, ten machał lekceważąco ręką i mówił: – A tam, nic takiego, on jest w porządku, po prostu próbuje robić, co do niego należy. W policyjnym języku musiało to znaczyć bardzo wiele, bo od tej pory Cecil nigdy nie miał najmniejszych problemów z żadnym policjantem, a co więcej, wydawało się, że nawet go polubili. Prawdę mówiąc, kilku z nich przychodziło do Cecila po radę, kiedy mieli kłopoty ze swoimi żonami czy narzeczonymi. Odnosiło się wrażenie, że lepiej od nich rozumiał kobiety.

Dał tego dowód w innym poważnym przypadku. Mianowicie nie umknęło jego uwadze, że Hamm i Betty Raye coraz bardziej oddalają się od siebie. Po widowisku udał się do gabinetu Hamma i zamknął za sobą drzwi.

– Wiesz – powiedział – nie wtrącam się w niczyje prywatne życie, musisz jednak zacząć poświęcać więcej uwagi swojej żonie.

– Co takiego? – zapytał Hamm, pochłonięty myślami na całkiem inny temat.

– Chodzi o Betty Raye. Od przynajmniej pół roku nigdzie nie wychodziliście razem, a to nie jest w porządku.

– A, tak, tak... Chyba masz rację. Może powinienem wziąć ją gdzieś na kolację czy coś w tym rodzaju.

– Zrób tak i lepiej nie zwlekaj – poradził Cecil.

– Dobrze – zgodził się Hamm. – Jak tylko będę miał wolny wieczór.

Wolny wieczór jednak jakoś się nie zdarzył. Betty Raye nigdy się nie skarżyła, ale czuła się samotna. W Jefferson City nie miała żadnych przyjaciół. A ponieważ była to stolica stanu, większość mieszkańców zajmowała się bezpośrednio polityką, albo przynajmniej ich współmałżonkowie. Betty Raye wiedziała o polityce tylko tyle, że zabrała jej męża. Innym żonom zdawało się to nie przeszkadzać, ba, wyglądało na to, że uwielbiały taki stan rzeczy, nic dziwnego więc, że nie potrafiła znaleźć z nimi wspólnego języka. Najbliższa jej była Alberta Peets, ta od morderstwa toporkiem do lodu. Zabawiała Betty Raye opowieściami o swoich rozlicznych chłopakach, ale kiedy pojechała do domu na przepustkę, a dzieci przebywały na obozie, Betty Raye snuła się sama po wielkim mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

Któregoś dnia, wczesnym popołudniem, w domu Dorothy w Elmwood Springs zadzwonił

telefon. To była Betty Raye.

– Jak się masz, kochanie? Co za miła niespodzianka.

– Nie dzwonię w żadnej sprawie. Tak po prostu pomyślałam sobie, że zapytam, co u was słychać.

Chwilę gawędziły. Betty Raye wypytywała o wszystkich, chciała też wiedzieć, co u Jimmy'ego, i prosiła, by go od niej pozdrowić. Kiedy Dorothy zapytała, jak się czuje w roli pierwszej damy, Betty Raye odpowiedziała krótko:

– Dobrze.

Nie przyznała się do tego przed Dorothy, ale często myślała o nich i o czasach, kiedy mieszkała w Elmwood Springs. Ostatnio nawet przychodziło jej do głowy, że lepiej by zrobiła, w ogóle stamtąd nie wyjeżdżając, ale wystarczyło, by nadbiegł któryś z jej synków w poszukiwaniu mamy, a znów czuła się szczęśliwa.

Tańczące bociany

Na szczęście dla Bobby'ego i Lois, Charlie Fowler był człowiekiem honoru i dotrzymywał słowa, kiedy więc firma zaczynała się rozwijać, równocześnie rosły też zarobki Bobby'ego. Zaledwie rok po urodzeniu się ich synka mogli już sobie pozwolić na kupno ładnego domu i nowego samochodu. Obydwoje bardzo dobrze się czuli w Kentucky, dokąd zaprosili Dorothy z Dokiem oraz Matkę Smith i Jimmy'ego na lokalne derby. Dorothy akurat przeżywała stratę Princess Mary Margaret, która dożyła sędziwego wieku, podróż więc dobrze zrobiła jego matce, zwłaszcza że po raz pierwszy mogła zobaczyć swego wspaniałego wnuczka z jasnymi włoskami, Michaela.

Tego roku Biedna Tot również straciła swoją matkę, i to dosłownie. Kiedy Tot była w pracy, jej matka musiała wybrać się samodzielnie z domu i najprawdopodobniej wsiadła do samochodu jakichś obcych ludzi, którzy zawieźli ją aż do Salt Lake City, gdzie trafiła do domu dla starców prowadzonego przez mormonów. Kiedy już ją tam w końcu odnaleziono, orzekła, że nie ma ochoty wracać do domu, ale Tot musiała płacić co miesiąc za jej wikt i opierunek.

Szóstego lipca 1962 roku Macky i Norma obchodzili swój szczególny dzień i właśnie tego dnia z samego rana Norma zadzwoniła do cioci Elner, zanim ona sama zadzwoniła, co było ewenementem.

Ciocia Elner wytarła w fartuch umączone ręce i podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Ciociu Elner, tu Norma. Czy założyłaś swój aparat słuchowy?

– Tak.

– Nie zgadniesz, co Macky kupił mi na naszą rocznicę. To najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

– Co ci dał?

– Pamiętasz, jaka byłam zła, kiedy w zeszłym roku kupił mi ten idiotyczny zraszacz do trawy?

Ciocia Elner zachichotała.

– Pamiętam. Biedny Macky.

– Biedny Macky? To ja byłam dotknięta. Czy to moja wina? Nasza trzynasta rocznica ślubu, a on mi przynosi coś do trawnika. Bierze mnie do ogródka, odkręca wodę i mówi: „Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu”. A ja na to: „Macky Warren, trzynaście lat po ślubie ty mi dajesz zraszacz do trawnika?” Mało tego, wziął go ze swojego sklepu, nawet nie musiał kupować. A ja pojechałam specjalnie do Poplar Bluff, żeby mu kupić takie fajne bokserki, pamiętasz, ze wzorkiem w serduszka, no i upiekłam mu ciasto. Myślałam, że go zabiję. W każdym razie w tym roku odrobił swoje winy. Poczekaj, a zobaczysz sama, co ten głuptas mi kupił. Właśnie patrzę na to w tej chwili.

– Co to jest?

– Najfajniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Są to dwa bociany, a przynajmniej tak mi się wydaje, że to bociany – ptaki z długimi dziobami? Więc te ptaki, nieważne, jak tam się one nazywają, są śmiesznie ubrane i tańczą. Samiec ma smoking, a samiczka jest ubrana w zieloną wieczorową suknię, i sobie tańczą na takiej podstawce. Odwraca się pudełko, a to jest pozytywka. Kiedy się ją nakręci, obraca się w kółko i gra melodię Arabski szejk, a bociany tańczą w takt tej melodii. Powiedziałam Macky’emu, że to najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Zaraz ją nakręcę, żebyś i ty mogła posłuchać.

Norma niemal przytknęła pozytywkę do słuchawki, żeby lepiej było słyhać. Po minucie znów podniosła telefon.

– Słyszałaś? I czy to nie jest najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałaś?

Ciocia Elner przytaknęła.

– Masz rację. Zawsze lubiłam tę melodię.

- Ja tak samo. Zawsze się niesamowicie wzruszam, kiedy ją słyszę. Powiedziałam do Macky’ego: „To znacznie bardziej romantyczne niż zraszacz do trawnika”. Ach, ci mężczyźni, czasem są jak dzieci. On mi nie powie, skąd to ma, ale na spodzie napisane jest „Made in Czechoslovakia”, więc musiało go to kosztować majątek. Powiedział, że kupił mi to, żebym postawiła na półce ze swoimi bibelotami. Ale ja mu mówię: „Macky, to nie jest taki sobie zwyczajny bibelot”. Zastanawiałam się, gdzie by to postawić, i myślę, że odpowiednie miejsce będzie na stole w saloniku. Bo to się nadaje jako tło do rozmowy. Sama powiedz, w ilu domach można spotkać bociany tańczące do Arabskiego szejka?
- Nigdzie nie widziałam czegoś takiego – przyznała ciocia Elner.
- Wiesz, nawet byłam zdziwiona, że Macky ma tyle gustu, żeby bez niczyjej pomocy wybrać taki prezent. Sama widziałaś, jakie barachło nieraz znosi do domu. Więc powiedziałam mu: „Macky, ty mnie ciągle zadziwiasz. To znaczy, że jesteśmy dobrym małżeństwem”. A on na to: „Na pewno, bo ty mnie codziennie czymś zadziwiasz”. A ja na to: „To dobrze, bo nie chcę, żebyś się ze mną zanudził na śmierć”. Na co on odpowiada, że wszystko można by mi przypisać, ale nie to, że jestem nudna. No i czy on nie jest wspaniały?
- Owszem, jest. A jak mu się podobał twój prezent?
- Bardzo, ale znasz go, można mu dać cokolwiek, byleby z rybą, to on już będzie zachwycony.

Nie wszystkie małżeństwa były tak szczęśliwe jak Normy z Mackym. W ciągu ostatnich kilku lat coraz bardziej zaczęło się psuć w małżeństwie Hamma i Betty Raye. I nawet nie można powiedzieć, że przestało im na sobie zależeć. Po prostu stopniowo się od siebie oddalali, aż wreszcie każde z nich zaczęło wieść oddzielne życie, początkowo nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Ona wiodła spokojne życie, starając się pozostawać w cieniu, podczas gdy on zdawał się dążyć stale ku światłu jupiterów. Hamm miał nieuregulowany rozkład zajęć, spał po dwie, trzy godziny na dobę, tak że w rezultacie przestali sypiać razem. Zaczął korzystać z pokoiku położonego nad sypialnią państwa, niby że nie chciał jej przeszkadzać, ale nigdy już nie wrócił. Ona miała swoich dwóch chłopaczków, których uwielbiała, i z nimi spędzała większość czasu, cierpiała jednak, kochając Hamma i nie mogąc go mieć dla siebie. Czasami trudno jej było robić dobrą minę, zwłaszcza kiedy odwiedziła ją matka.

Minnie przyjechała do rezydencji gubernatora, by zobaczyć córkę i wnuczków.

Oatmanowie mieli kilka wolnych dni, Minnie i Beatrice Woods postanowiły więc, że Floyd zawiezie ich na jeden dzień do Elmwood Springs. Wszyscy bardzo się cieszyli ze spotkania dawno niewidzianej Beatrice. Widać było, że jest szczęśliwa, ciągle ją śmieszyły żarty Chestera.

Nikt nie wiedział dlaczego. Ruby Robinson twierdziła, że gdyby Beatrice mogła go zobaczyć, pewnie przestałby wydawać się jej zabawny.

Zawsze, gdy zejdą się dwie matki, ich rozmowa na ogół dotyczy powodzenia i szczęścia ich dzieci. Nie inaczej było z Dorothy i Minnie. W tym przypadku Minnie miała prawo mówić o uśmiechu fortuny. Jej córka była żoną gubernatora, a grupa Oatman Family Gospel Singers zdobyła takie powodzenie, że mogli sobie pozwolić na nowy autobus, Silver Eagle, wykonany na ich specjalne zamówienie, oraz wydali nowy album, który okazał się hitem.

– Jestem wdzięczna Panu Bogu za wszystko, czym mnie obdarzył – powiedziała Minnie – a zwłaszcza za to, że nadal pozostaję z Nim w dobrych stosunkach. Patrzą wokół i widzę, że pieniądze wcale szczęścia nie dają, bo ludzie nigdy nie mają dość. Zawsze wydaje im się, że potrzebują więcej. A jedyne, czego potrzebują, to Boga. Pieniądze go nie zastąpią, no nie?

– W większości przypadków chyba nie – zgodziła się Dorothy.

– Kiedyś powiedziałam Emmettowi Crimplerowi... Emmett, mówię, ile ci potrzeba nowych garniturów? Przecież na raz nie włożysz więcej jak jeden garnitur. Ale ile razy zatrzymujemy się w pobliżu Searsa, on zawsze musi lecieć tam i kupić nowe ubranie. Mówi, że to dlatego, że jak był mały, to żył w biedzie, ale ja w to nie wierzę.

– Nie?

– Nie. Jemu wydaje się, że nowe ubrania przyniosą mu szczęście. Ale tak nie jest. Wiesz, Dorothy, do tej pory musiałam liczyć się z każdym groszem, żeby związać koniec z końcem. Całe życie byłam biedna. Pamiętam, jak chodziłam boso jako mała dziewczynka, kiedy mieszkaliśmy w szopie, którą tatuś zbudował dla nas na wsi. Tatuś harował od świtu do nocy, zbierał kawałki węgla, żebyśmy mieli się czym ogrzać, ale byliśmy szczęśliwi. Teraz mamy pieniądze, a patrząc na swoich chłopców, widzę, że wcale nie są szczęśliwi. Bervin przebiera nogami, żeby się zerwać i zostać drugim Elvisem, a Vernon zalicza trzecią żonę i odwrócił się od Boga. – Westchnęła. – A Betty Raye... Nie pojmuję, co się tam dzieje. Ma swojego mężulka, dwójkę dzieciaków, ale... Wiem, próbowała robić dobrą minę, specjalnie dla mnie, ale matka zawsze pozna, kiedy coś jest nie tak.

Bo na pewno coś jest nie tak. Słowo daję, przez cały czas, gdy tam byłam, Hamm chodził swoimi drogami, a ona swoimi. To nie po mojemu. Ferris i ja nigdyśmy się nie rozstawali, ani na jeden dzień czy noc, jakżeśmy się pożenili w 1931 roku, kiedy wielebny W.W. Nails udzielił nam ślubu. Powiedział: „Kogo Bóg złączył, człowiek niech nie waży się rozłączyć”, i ja zawsze o tym pamiętałam... Coś mi się wydaje, że tam jest coś, co ich rozłącza...

Vita Green

Kiedys Harry S. Truman powiedział, że są trzy rzeczy, które mogą zniszczyć mężczyznę: władza, pieniądze i kobiety. Hamm zdobył władzę i miał perspektywę dojścia do pieniędzy. Teraz już tylko kobieta mogła wkroczyć w jego życie.

Hamm postanowił sobie, że będzie doskonałym gubernatorem, i bardzo się starał to urzeczywistnić. Pilnował, by informowano go dokładnie, co jego elektorat sądzi o każdym jego posunięciu. Poza tym przy każdej okazji rozmawiał z ludźmi i codziennie rano czytał wszystkie gazety wychodzące w Missouri. I chociaż na ogół nie zwracał uwagi na kolumny towarzyskie, coś jednak rzuciło mu się w oczy w prasie z Kansas City. Spozrzegł mianowicie powtarzające się fotografie jednej kobiety, zawsze obecnej na wszystkich ważniejszych przyjęciach i spotkaniach. Zazwyczaj nie interesował się tym, co robili bogaci ludzie, gdyż nie było mu to potrzebne, ale po kilku tygodniach zauważył, że odczuwa coś na kształt zawodu, jeśli któregoś dnia nie znalazł w gazecie zdjęcia tej kobiety.

Pewnego dnia zawołał Cecila do swego gabinetu.

– Kiedy tkwiłeś w interesie kwiatowym w Kansas City, czy spotkałeś się z kimś o nazwisku Green? Vita Green?

– Czy ją znałem? Ona była jedną z moich najlepszych klientek. Zresztą jest nią nadal. Dajemy oprawę kwiatową do wszystkich wydawanych przez nią przyjęć.

– Naprawdę?

– Któregoś roku wydała przyjęcie dla naszego zespołu teatralnego, wtedy przystroiliśmy jej cały taras białymi różami. Zajmuje wielki apartament na najwyższym piętrze w Highland Plaza, gdzie z każdego pokoju rozciąga się piękny widok.

– Aha – zastanowił się Hamm.

– Mógłbyś obejrzeć to miejsce. Bardzo spektakularne.

– Chciałbym je kiedyś zobaczyć. A co robi jej mąż?

- Wszystko, co wiem na ten temat, to że doszedł do sporych pieniędzy. Kiedy się poznaliśmy, była już rozwiedziona. A dlaczego pytasz?
- Tak sobie, bez powodu. Po prostu przeczytałem, że pewna pani Green została wybrana przewodniczącą jakiejś rady artystycznej, i pomyślałem sobie, że może dobrze byłoby, gdyby gubernator brał w coś takim udział.
- Naprawdę? – zdziwił się Cecil.
- No jak to. Przecież nikt inny, tylko właśnie ty stale mi suszysz głowę o różne artystyczne fiu-bździu. Więc pomyślałem, że może powinienem spróbować.

Cecil wyszedł z gabinetu Hamma zadowolony, że jego starania, by zainteresować go sprawami sztuki, wreszcie przyniosły jakiś rezultat. Vita Green, ogólnie lubiana – zwłaszcza przez mężczyzn – była jedną z bardziej znanych animatorek kultury w Kansas City. Wysoka, czarnowłosa, gładko uczesana z przedziałkiem pośrodku głowy i kokiem zebrany na karku, mimo swoich czterdziestu trzech lat zwracała na siebie powszechną uwagę. Ubierała się zawsze elegancko, choć skromnie, przeważnie w coś czerwonego lub w szmaragdową zieleń, która pasowała do koloru jej oczu, z efektowną broszką zdobiącą jej prawe ramię. Na pierwszy rzut oka można ją było wziąć za Hiszpankę lub grecką arystokratkę. Nieliczni tylko, którzy mieli z nią do czynienia, rozpoznaliby w niej stuprocentową Irlandkę, którą w istocie była. Poza miłą powierzchownością była też inteligentna, bystra. Pod każdym względem stanowiła kobiecy ideał dla każdego mężczyzny. Mogła rozmawiać na dowolny temat, zawsze skupiając na sobie powszechną uwagę. Ale kiedy otrzymała od gubernatora list z zapytaniem, kiedy mogliby się spotkać w celu omówienia spraw kultury w stanie Missouri, najpierw ogarnął ją pusty śmiech. Dla Vity, jak też dla towarzystwa, w którym się obracała, Sparks był wsiokiem z departamentu rolnictwa, który dokonał awansu społecznego i którego nigdy nie zainteresują problemy kultury. Zadzwoiła do zaprzyjaźnionego z nią Petera z elektryzującą wiadomością:

- Nie uwierzysz, kto chce się ze mną spotkać.

Peter Wheeler, którego Hamm pokonał przed sześcioma laty i który odrzucił propozycję Hamma, by zacząć pracować w jego administracji, jak zwykle był dżentelmenem w każdym calu.

- Uważam, Vito, że powinnaś się z nim spotkać i przynajmniej go wysłuchać. Nigdy nic nie wiadomo, może on chce rozwinąć swoją działalność?

Zastanowiła się przez chwilę nad tym, co jej poradził, i odrzekła:

– Chyba masz rację, Peter. Jak to się mówi, wszystko poświęcę dla sztuki.

Kilka dni później ktoś z biura Hamma zadzwonił do niej z informacją, że gubernator przyjedzie na jeden dzień do Kansas City i zapytuje, czy będzie mogła się z nim spotkać we środę między ósmą trzydzieści a dziewiątą, przed jego przemówieniem w Elks Club.

Przystąpiła na to spotkanie, mimo że godzina wydała jej się nieludzka. Umówili się w centrum, w budynku rady sztuki. Kiedy przyjechała, on już siedział w biurze prezesa i załatwiał telefony. Zdenerwowana sekretarka powiedziała jej:

– Gubernator mówił, żeby pani od razu weszła tu, gdy tylko się pani pojawi.

Siedział tyłem do wejścia z nogami na parapecie i rozmawiał przez telefon. Zatrzymała się w drzwiach, ale jej perfumy ją wyprzedziły. Zapachowa chmura przetoczyła się przez biurka i dotarła do nozdrzy Hamma, zmuszając go do odwrócenia głowy. W zapachu tym mieściły się obietnice niewyobrażalnych rozkoszy – albo pod dachem jej penthouse’a, albo na plaży w blasku księżyca. A wszystko to, zanim wyrzekła:

– Dzień dobry, jestem Vita Green.

Kiedy Hamm ujrzał kobietę, którą dotąd oglądał jedynie na czarno-białych fotografiach prasowych, zapomniał o wszystkich innych poznanych wcześniej ładnych dziewczynach – a jako gubernator naoglądał się ich sporo, przeważnie jasnowłosych królowych piękności, które właśnie wygrały jakiś konkurs. Jako żonaty mężczyzna ani razu nie pomyślał o innych kobietach w ten sposób, ale kiedy weszła Vita, wszystkie jego zasady opuściły go natychmiast, zatrzaszcząc za sobą drzwi. Przed nim stała właśnie esencja kobiecości w najbardziej luksusowym wydaniu, prawdziwy rolls-royce kobiecości. To nie była dziewczyna. To była dojrzała kobieta, która przewyższała go pod każdym względem, co natychmiast dostrzegł, już tylko patrząc na nią, ale co go jednocześnie niezwykle podniecało. Poczł się, jakby ktoś zamachał przed jego nosem milionem dolarów. I jak to on, nie zwlekał z podjęciem decyzji.

Vita z kolei zobaczyła krępego mężczyznę, który zerwał się z miejsca i okrążył biurko, by ją powitać, mniej więcej jej wzrostu, jeśli nie włożyła pantofli na wysokich obcasach, niezbyt przystojnego, przynajmniej w dotychczas uznawanych kategoriach, niezbyt wysublimowanego i na pewno nie najlepiej ubranego. Ale kiedy złapał ją za rękę i nie puszczał, jakby nie chciał, by mu się wymknęła, ujęła ją jego witalność i energia, niemal fizycznie poczuła bijący od niego żar. Przywykła do hołdów składanych jej przez mężczyzn,

ten jednak był zupełnie inny. Zazwyczaj przy pierwszym spotkaniu oczarowani nią mężczyźni byli onieśmieleni, zbici z tropu, próbowali wymyślać coś oryginalnego, czym mogliby jej zaimponować. Hamm Sparks jednak nie zamierzał silić się na żadne dowcipne bon mots ani też wycofywać się. W jego zachowaniu nie dostrzegano się niczego, co mogłoby wydawać się chłodną kalkulacją czy wynikiem głębokiego przemyślenia. Powiedział dokładnie to, co akurat w danej chwili pomyślał, patrząc na nią przy tym z nieskrywaną przyjemnością mężczyzny spoglądającego na kobietę, która bardzo mu się podoba.

– Pani Green – powiedział bez ogródek. – Co mam zrobić, żeby panią zdobyć? Bo otwarcie przyznaję, poruszę niebo i ziemię, żeby osiągnąć cel. Mam skakać dla pani przez obręcz? Proszę tylko powiedzieć, ile razy i jak wysoko.

To z kolei ujęło Vitę, sama była zdziwiona, taka szczerłość wydała jej się świeża i pociągająca. Nie mogła się nie uśmiechnąć. Wtedy ktoś zastukał do drzwi.

– Może zaczniemy od wspólnej kolacji? – zaproponowała.

Nie wypuszczając jej ręki i patrząc prosto w jej oczy, odpowiedział:

– Pani Green, ja nie mogę czekać tak długo. Co pani powie na lunch?

– Jestem Vita. Dokąd chciałby pan pójść?

– Wszystko mi jedno. Proszę tylko powiedzieć gdzie i o której...

– To może w Klubie Śródmiejskim? Na przykład o pierwszej?

Skinął głową.

– Czy będziemy omawiać sprawy sztuki, panie gubernatorze Sparks?

– Szczerze wątpię. Ale mów mi Hamm.

Szła już ku drzwiom, ale w ostatniej chwili zatrzymała się, by powiedzieć: – A propos, zamierzam przyjść wcześniej.

– A ja już tam będę – odrzekł.

Śmiała się do siebie przez całą drogę do domu, albo raczej z samej siebie. Ze wszystkich rzeczy, których się spodziewała w swoim na ogół starannie zaplanowanym życiu, nieokrzesany polityk Hamm Sparks zajmowałby chyba ostatnią pozycję.

Tego wieczoru po kolacji powiedział jej, że postanowił przedłużyć swój pobyt w tym mieście o kilka następnych dni.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – A nie musisz kierować stanem?

Popatrzył na nią.

– Kochana, to ty nie wiesz, że potrafię robić dwie rzeczy naraz?

„Nie wątpię w to”, pomyślała sobie.

I tak zaczęła się historia Vity i Hamma. Nie było w niej zalotów, żadnych gier, po prostu czyste fizyczne przyciąganie. Oboje spotkali godnych siebie partnerów, każde z nich miało nieodparte wrażenie, że oto natknęli się na coś, czego szukali przez całe życie. Nie było w tym elementów walki, jedynie początek związku dwojga silnych ludzi.

Wiele wspólnego

Nikogo to nie zdziwiło, kiedy Vita Green została mianowana doradcą gubernatora do spraw sztuki. Nikt też nie dziwił się ani trochę, kiedy gubernator zaczął coraz więcej czasu spędzać w Kansas City, zostawiając żonę w domu. Nawet nikt tego nie zauważył, gdyż i przedtem bardzo rzadko towarzyszyła mu w wyjazdach. Nikt okiem nie mrugnął, kiedy Vita i gubernator zaczęli pokazywać się w tych samych miejscach i na tych samych spotkaniach, gdyż i to wydawało się całkiem naturalne. Zaledwie kilka osób wiedziało, że po zameldowaniu się w swoim apartamencie w Muehlebach Hotel wymykał się tylnym wyjściem, gdzie czekał już na niego policjant Ralph Childress, żeby go zabrać do apartamentu Vity, a rano przywieźć z powrotem do hotelu.

Vita nie tylko pożądała go tak jak nikogo przedtem, do tego jeszcze go lubiła. Hamm Sparks stanowił jej wierne odbicie. Był pilnym studentem, nieustannie czegoś się uczył, doskonalił swoje umiejętności. A ona mogła go wiele nauczyć. Mieli ze sobą mnóstwo wspólnego. Większości ludzi nie przyszłoby do głowy, że mogła ona choćby jeden dzień swego życia spędzić na pracy albo że nie była urodzoną arystokratką. A w rzeczywistości kiedyś znała zaledwie ze słyszenia historie swoich bogatych kuzynów, którzy mieszkali w eleganckich domach, chodzili do najlepszych szkół, kupowali w drogich magazynach. Jej ojciec, sympatyczny gość, pochodził z klasy średniej, ukończył nawet dobry college, miał jednak skłonność do hazardu i alkoholu. Po kolei tracił wszystkie posady, by w końcu żyć ze skromnego czeku, który co miesiąc przysyłali mu skonsternowani bracia, bardziej z potrzeby trzymania go na dystans niż z jakichkolwiek innych powodów. Wyrastała w przekonaniu o swojej kondycji ubogiej krewnej. Vita miała w pamięci oczy matki, kiedyś błękitne, iskrzące się życiem, potem zgasłe i matowe, oraz jej włosy przedwcześnie posiwiałe od nadmiaru stresów i wstydlivej biedy. Wtedy postanowiła sobie, że takie życie nie stanie się

jej udziałem. Przysięgła sobie, że nigdy nie będzie zależeć od nikogo. Jasną stroną tej ciężkiej sytuacji było to, że stanowiła napęd jej ambicji, która zawiodła ją tam, gdzie się obecnie znajdowała.

Vita była kobietą całkowicie ukształtowaną przez samą siebie. Zaraz po ukończeniu szkoły średniej wyjechała z Kansas City do Chicago, gdzie natychmiast dostała pracę w firmie Produkty Uboczne Illinois, firmie zatrudniającej około siedmiuset pracowników. W ciągu pięciu lat doszła od stanowiska jednej z sekretarek do stanowiska prywatnej asystentki zastępcy prezesa. Po dwóch kolejnych latach została mianowana osobistą asystentką prezesa spółki i miała do dyspozycji własne dwie sekretarki. Prezes i właściciel firmy, Robert Porter, oraz jego żona Elsie nie mieli własnych dzieci, zajęli się więc młodą ambitną dziewczyną jak własną córką. Często zapraszali ją do domu na kolację albo do któregoś z klubów. Vita była pojętną uczennicą. Szybko nauczyła się zasad eleganckiego ubioru, właściwego posługiwania sztuccami. Wieczorami studiowała historię, sztukę, muzykę. Wkrótce zaczęła być częstym gościem w wielu pięknych rezydencjach rozrzuconych wzdłuż Lake Shore Drive, w domach ludzi, którym została przedstawiona przez Porterów. Wkrótce Vita miała wrażenie, że obcuje z ludźmi, wśród których powinna przebywać przez całe życie. „Produktami ubocznymi” firmy, w której pracowała, były cudowne pozostałości rud żelaza, miedzi i stali, a z pomocą pana Portera udało jej się przed ukończeniem dwudziestego ósmego roku życia dojść do niewielkiego majątku zdobytego na sprzedaży powojennych nadwyżek złomu żelaza. Towar to niezbyt romantyczny, ale zwłaszcza po śmierci pana Portera, który zostawił jej więcej akcji, niż sama zdołała kupić, terminy „złom” i „żelazo” stały się jej ulubionymi słowami.

Nigdy nie wyszła za mąż. Nigdy nie istniał żaden pan Green. Kiedy wróciła do Kansas City, pan Green był wytworem jej wyobraźni i prywatnym żarciem okolicznościowym. Nazwisko swoje dostał z powodu koloru kojarzących się z nim dolarów. Owszem, byli w jej życiu mężczyźni posiadający władzę i pieniądze, ale żadnego z nich nie chciała poślubić. I bez nich była już bogata i szczęśliwa. Podobało jej się życie, jakie prowadziła. Lubiła wracać do swojego przestronnego apartamentu urządzonego w beżu, umeblowanego w sprzęty, jakie się jej podobały, czerpała satysfakcję z zajmowania wysokiej pozycji w mieście, w którym kiedyś była biedna i nieszczęśliwa. Kiedy spoglądała wstecz na swoje życie, zadawała sobie pytanie, czy czułaby się równie szczęśliwa, gdyby pieniądze przyniesiono jej na srebrnej tacy. Zapracowała na każdy swój grosz. Gdyby odziedziczyła

majątek, jej sytuacja w świecie męskiego biznesu wcale nie byłaby łatwa, w jej obecnym położeniu jednak jej wartość przedstawiała się zgoła odmiennie.

Teraz mogła mieć wszystko, czego dusza zapagnie, łącznie z Hammem Sparksem.

W poddaniu się mu bez reszty było coś przynoszącego absolutną wolność. Zdarzały się takie chwile, w których pozwalała sobie na całkowite zapomnienie i stopienie się z nim, kiedy nie wiedziała, gdzie koniec, gdzie początek, kiedy czuła się tak szczęśliwa jak jeszcze nigdy w życiu. Stanowił ujście jej miłosnych potrzeb. Wszystko, co robił, robił błyskawicznie, jadł szybko, chodził szybko, mówił szybko i kochał się z nią szybko. Uwielbiała w nim to, że zawsze był gotów, zawsze pełen impetu i energii, jak samochód wyścigowy, który do maksymalnej mocy dochodzi w niespełna pięć sekund. Mogła na niego liczyć, być pewna, że nie będzie się zastanawiał, czy jej pożąda. Kiedy z nim była, miała wrażenie, że ma przed sobą wygłodniałego człowieka, który pochłania obfity posiłek, ciesząc się ostatnim kęsem nie mniej niż pierwszym. A w kobiecie, będącej jak ona w pewnym wieku, wywoływało to tajemniczy uśmiech na twarzy i drżenie całego ciała. Najbardziej jednak podobało jej się w nim to, jak bardzo jej ufał i zależał od niej.

Hamm z kolei znalazł w niej osobę, z którą mógł rozmawiać, kobietę, która go nie wyśmiejnie ani nie będzie patrzyła na niego z góry ze względu na jego pochodzenie, która nie pomyśli, że coś jest dla niego nieosiągalne. Przeciwnie, Vita miała wobec niego większe ambicje, niż on sam mógłby zamarzyć. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu spostrzegł, że Vita ma lepszą od niego orientację w funkcjonowaniu polityki wewnętrznej i zewnętrznej. Przez jakiś czas bowiem, zanim jej ojciec popadł w kompletną degrengoladę, brała udział w lokalnych grach politycznych, a w latach dwudziestych i trzydziestych należała do ekipy szefa Pendergasta, kiedy to polityka Kansas City stała się wylegarnią chciwych łapówkarzy. Do czasu aż Pendergast poszedł siedzieć. To wtedy właśnie, choć miała zaledwie dwanaście, trzynaście lat, nauczyła się spostrzegać, gdzie jest pies pogrzebany, głównie dzięki ojcu i jego nieumiejętności trzymania języka za zębami w stanach zamulenia, które zdarzały mu się coraz częściej.

Jej związek z Hammem trwał już od około roku, kiedy postanowiła złożyć wizytę jednemu z przyjaciół ojca, Earlowi Finleyowi. Znał on Vitę w czasach, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, i zawsze darzył ją wielką sympatią. Wiedział, że w znacznym stopniu subsydiowała kampanię Petera Wheelera, cieszył się, że po latach znów ją spotka i że razem powspominają stare dobre dzieje. Po jakimś czasie Vita sprowadziła rozmowę na Hamma. Na

samą wzmiankę o nim Earl niemal odgryzł plastikową końcówkę swojego cygara White Owl.

– Nie miej do nas żalu, Vito – zaczął się tłumaczyć. – Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by go zastopować. Ale wyprzedził nas ten skórkowany wsiok i teraz gra nam na nosie, drwiąc sobie z każdego naszego słowa.

– Earl, chyba mylisz się co do Hamma – powiedziała Vita. – Może jest uparty, ale nie głupi. On chyba zdaje sobie sprawę z tego, że nie może walczyć jednocześnie przeciwko wam i senatowi. Odwołaj krucjatę przeciwko niemu i przestań blokować wszystko, co on chce przeprowadzić, a ja dam ci słowo, że załatwię kilka spraw, na których będzie ci zależało. Przez dobrą chwilę żuł końcówkę cygara, zastanawiając się, co się za tym kryje.

– No co ty, Vita, skąd możesz wiedzieć, co ten skórkowaniec zrobi? Jak dotąd, nie zrobił jeszcze niczego, co chcieliśmy przeforsować.

Odpowiedziała mu wiele mówiącym uśmiechem. Spojrzał na nią i zaczął się domyślać.

– Chyba nie chcesz powiedzieć...

– Owszem – odpowiedziała. – Im wcześniej to zrozumiesz, tym lepiej.

Po chwili wybuchnął śmiechem tak gromkim, że cały stół się trząsł i drżało powietrze w zajmowanym przez nich pokoju. Kiedy wreszcie uspokoił się na tyle, że mógł wydobyć z siebie głos, co trwało dłuższą chwilę, wyciągnął z kieszeni chusteczkę z wyhaftowanym monogramem E.F., otarł nią załzawione od śmiechu oczy i wreszcie wydusił z siebie:

– No dobrze, Vito, zobaczymy, co się da zrobić.

A potem nieoczekiwanie kwestia napraw drogowych, tkwiąca w miejscu przez ponad trzy lata, przeszła przez obie izby i Earl dostał parę drobiazgów, na których mu zależało. Nie za dużo, już tego Vita przypilnowała. Rozsądnie uświadomiła to Hammowi, mówiąc:

– Kochanie, istnieją ludzie, którzy albo będą ci skakać do gardła, albo iść przy nodze.

Lepiej jest mieć ich przy nodze.

Hamm awansuje

Początkowo Hamm nie zamierzał brać udziału w przyjęciach artystycznych ani spotykać się z licznymi przyjaciółmi Vity. Ona jednak nalegała, wiedząc, że przyda się to w dalszej karierze Hamma.

– Słuchaj – bronił się – ja po prostu nie czuję się dobrze w takim towarzystwie.

– A dlaczego? Moi przyjaciele są bardzo sympatyczni. Wydają dużo pieniędzy. Dlaczego

się opierasz?

– Bo nie lubię przebywać z ludźmi, którzy zadzierają nosa i mają mnie za głupka.

– Hamm, jesteś gubernatorem stanu. Nikt nie uważa cię za głupka.

– Nieważne, czego jestem gubernatorem, wiem, że właśnie tak myślą. Poznałem takich w college'u, jak zadawali szyku, jeżdżąc po kampusie bajeranckimi samochodami, należąc do snobistycznych klubów. A ja miałem wstęp do ich klubów tylko jako kelner. Nie znoszę tych snobów, jajogłowych skurwieli. Wcale nie mniej od nich chciałem uzyskać tytuł magistra, ale nie miałem dzianego taty, który by za to wszystko zapłacił, więc odpadłem z tej konkurencji. Nigdy nie zrobiłem żadnej specjalizacji, jeśli nie liczyć sprzedawania traktorów. To jak ja mogę mieć wspólny język z tym twoim towarzystwem?

– I to cię martwi? Wiesz przecież, że to, czy ktoś ma tytuł magistra czy nie, bynajmniej nie przesądza o jego intelekcie. Spójrz, jak daleko zaszedłeś. Jakim jesteś ekspertem, jeśli chodzi o znajomość ludzkich potrzeb. Większość tych twoich koleśków z college'u raz-dwa zamieniłoby się z tobą miejscami.

– Tak myślisz?

– Hamm, ty nie potrzebujesz tytułu magistra, żeby udowodnić, jaki jesteś mądry i inteligentny.

Musiał jej się przyznać jeszcze do czegoś.

– Vita, nie chodzi o sam tytuł naukowy. Chodzi o wszystko inne. Ci bogaci smarkacze od dziecka są nauczeni, jak się zachowywać w towarzystwie czy na przyjęciach. Przez cztery lata na studiach nie robią niczego innego, tylko zawierają przyjaźnie, sprawdzają, kto jest kto. I tego im zazdroszczę. Ja musiałem pracować od trzynastego roku życia. My nie prowadziliśmy żadnego życia towarzyskiego. Do diabła, Vita, prawdę mówiąc, to ja się tego cholernie boję. Powiem coś niewłaściwego albo użyję nie tego co trzeba widelca. Swobodnie czuję się w towarzystwie Rodneya i swojej paczki. Wiem, że nie będą się ze mnie nabijali, bo jestem wśród swoich.

Vita potrząsnęła głową.

– Kochanie, strasznie trudno dać ci kopa w górę. Ale postanowiłam, że to zrobię.

Hamm nadal się opierał, ale Vita nie ustępowała. W końcu obiecał, że od czasu do czasu będzie się udzielał towarzysko.

Miesiąc później Vita czekała na niego w swoim apartamencie. Kiedy przyszedł, miał zadowoloną minę. Usiadł, rozluźnił krawat i położył nogi na jej stoliku do kawy.

- No i jak wypadłem?
 - Byłeś wspaniały, podbiłeś wszystkich. Przez cały wieczór ludzie podchodzili do mnie i mówili, jaki to ich gubernator jest przystojny i sympatyczny.
 - Naprawdę? – upewniał się, biorąc z jej rąk przygotowanego przez nią drinka.
 - Tak. Byłam z ciebie bardzo dumna.
 - Nie zachowywałem się zbyt głośno czy coś w tym rodzaju?
 - Nie.
 - A nie wyglądałem głupio w tym gangu? Nie śmieli się czasem ze mnie, co?
 - Nikt a nikt.
 - Muszę ci powiedzieć, Vita, że nawet byłem zaskoczony. Ten Peter Wheeler, jak się go bliżej pozna, to całkiem fajny chłop, no nie? Zaczynam żałować, że czasem na niego psioczyłem.
 - Cieszę się, że go polubiłeś. To naprawdę miły człowiek, tak samo zresztą jak jego żona.
 - A wiesz, co on mi powiedział?
 - Nie, co?
 - Powiedział, że mi zazdrości mojej umiejętności zjednywania ludzi. Powiedział, że wolałby nie mieć wszystkiego od początku, tylko tak jak ja móc samemu dochodzić do wszystkiego. – Patrzył na nią w zadziwieniu. – Wyobrażasz to sobie? Ja mu zazdroścę, a tymczasem on mi też zazdrości.
- Mogłaby mu powiedzieć: „A nie mówiłam?”, ale większą satysfakcję sprawiało jej śledzenie, jak on to wszystko samodzielnie odkrywa.

Jakiś czas potem Rodney, który przeważnie nie miał nic lepszego do roboty, jak być pod ręką, w razie gdyby Hamm potrzebował jego towarzystwa, wchodził do gabinetu prokuratora stanu. Wendell Hewitt rzucił na niego okiem znad rozłożonych na biurku papierów i powiedział:

- Wejź i zamknij drzwi, muszę z tobą pomówić.
 - O czym?
 - O tym chodzeniu Hamma z jednego przyjęcia na drugie. Coś mi się wydaje, że za dużo zaczyna mu się podobać życie wyższych sfer, obecność na szpaltach kronik towarzyskich. Jest nieostrożny, może sobie zrazić tych wszystkich, którzy na niego głosowali.
- Rodney machnął lekceważąco ręką.

– Nie ma obawy. Wszystko jedno, ile nowych garniturów włoży i z iloma bogaczami będzie się bratał, zwykli ludzie będą wiedzieli, że i tak on jest jednym z nich.

– Tak uważasz?

– No jasne. Wiesz, prości ludzie mają swoje sposoby rozpoznawania swoich, o czym my nie mamy pojęcia. I nie dadzą się oszukać. Fałsz wyczują na milę.

– Naprawdę?

– No pewnie. Nie zapominaj, że ja znam Hamma od dawna. Widziałem go z tymi ludźmi, a co najważniejsze, on jest jednym z nich, po drugie, on ich lubi, rozumie ich sposób myślenia, wie, czego chcą, i możesz mi wierzyć, gdyby przestał ich lubić, co tam: lubić, kochać nawet, zaraz by to po nim poznali. I oni wierzą, że on będzie trzymał ich stronę, a co jeszcze ważniejsze, to, że on wierzy, że będzie za nich walczył, choćby przeciwko nam.

– Myślisz, że byłby do tego zdolny?

– No masz. On wie wszystko na ich temat, że to nie jest jakaś tam hołota. Nie chodzi o podlizywanie się im czy mówienie tego, co chcieliby usłyszeć. Wie, gdzie ich swędzi i w którym miejscu trzeba ich podrapać. My byśmy tak nie potrafili, ja czy ty, ale oni są z nim na dobre i złe. Przy tym on wie, gdzie przebiega granica, żeby się nie posunąć za daleko.

– Jesteś pewien?

– Mowa... Ci ludzie wytyczają niewidzialną linię. Jeśli ją przekroczysz, to, bracie, musisz uważać. Jesteś dla nich na zawsze skończony. Ale Hamm wie, w którym miejscu przebiega ta linia. Jak pies, który usłyszy gwizd swojego pana, niesłyszalny dla innych psów.

Wbrew jednak niefrasobliwości Rodneya zaczęto coraz głośniejszemu szemrać na temat Hamma. Parę osób zauważyło, że Hamm się zmienił. Tu i ówdzie w prasie zaczęły się ukazywać drobne wzmianki o nim, jakieś felietoniki. Niektórzy uważali, że Hamm zbyt wiele czasu poświęca elitom, zaniehbując tych, którzy wynieśli go na ten urząd. Swoje ostatnie telewizyjne wystąpienie tuż przed udaniem się do Nowego Jorku na krajowy zjazd gubernatorów zakończył sarkastyczną uwagą:

– Wiecie, ludzie, wygląda na to, że nie można zadowolić wszystkich. Niektórzy narzekają, że się zanadto bratam z bogaczami, i to się zgadza, ale muszę was o coś zapytać. Jak niby mam mieć ich na oku i upewniać się, że was nie okradają, jeśli się trochę z nimi nie zbratam? Niektórzy mówią, że zaczynam przypominać ulubioną gęs Lady Astor ze swoją rozwichrzoną fryzurą i koszulą zapiętą pod szyją. Wcale nie czuję się w tym tak dobrze, ale jakież ja mam wpływ na modę? Mnie zależy tylko na tym, żeby nikt w Nowym Jorku nie

powiedział, że gubernator wielkiego stanu Missouri to ciołek, który nie potrafi się ubrać. W każdym razie, dopóki sprawuję ten urząd. Co tam, mogę nałożyć nawet naszyjnik z pereł, jeśli zajdzie taka potrzeba. A moda idzie w takim kierunku, że całkiem niewykluczone, że to się sprawdzi już w przyszłym roku.

Kamerzyści w studiu parsknęli śmiechem, podobnie telewizywnie zgromadzeni przy odbiornikach, a potem znów zapanował spokój.

Elektryczność

Nie tylko Hamm Sparks wybierał się tego roku do Nowego Jorku. Kiedy Norma miała cztery lata, jej siostra cioteczna Dena Nordstrom wyjechała z miasteczka wraz z matką i od tej pory Warrenowie jej nie widzieli. Dena pracowała w nowojorskiej telewizji i miała już ugruntowaną pozycję zawodową jako dziennikarka. Norma uznała, że nadszedł czas, by wraz z Mackym pojechać do Nowego Jorku i złożyć jej wizytę. Po śmierci Gerty, babci Deny, Norma pomyślała, że powinna zadbać o dalsze kontakty rodzinne z Deną. Tego dnia rano, kiedy mieli wyjeżdżać, ciocia Elner smażyła właśnie w kuchni bekon, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, ciekawa, kto może dzwonić tak wcześnie.

– Halo.

– Ciociu Elner, to ja, Norma.

Elner zdziwiła się, słysząc jej głos.

– Już tam jesteście? To szybko...

– Nie, ciągle jesteśmy na lotnisku...

– Aha.

– Ciociu Elner, bądź tak dobra, wyjrzyj ze swojej sypialni i sprawdź, czy nie widzisz dymu.

– Poczekaj chwilkę. – Elner odłożyła na bok słuchawkę. Wróciła po chwili. – Nie, nie ma żadnego dymu.

– Jesteś pewna? Czy patrzyłaś w stronę naszego domu?

– Tak.

– I nie ma tam dymu?

– Nie.

– Na pewno? A może czujesz zapach dymu? Pójdź, spójrz jeszcze raz, dobrze?

– Zaczekaj.

Po chwili odezwała się.

– Niebo jest kryształowo czyste.

– Nie słyszałaś czasem wozów strażackich?

– Dlaczego miałabym słyszeć?

– Bo coś mi się wydaje, że zostawiłam włączony ekspres do kawy. Zabiję tego Macky'ego. Tak mnie popędzał i teraz nie pamiętam, czy wyłączyłam ekspres czy nie. Nie rozumiem, dlaczego on musi być na lotnisku dwie i pół godziny przed odlotem.

Wyjechaliśmy w takim pośpiechu. W ogóle już niczego nie pamiętam, co dopiero mówić o ekspresie do kawy. Jestem cała roztrzęsiona.

– Kochanie, na pewno wyłączyłaś. Jak cię znam, to nawet umyłaś go przed waszym wyjazdem.

– Dobrze, Macky! Ciociu Elner, zrób mi tę grzeczność i zadzwoń do Verbeny do pracy.

Ona ma klucz od naszego ogrodowego wejścia. Zapytaj, czy nie przeszłaby się do nas i nie sprawdziła, czy wyłączyłam ekspres z kontaktu, a jeśli nie, to niech wyłączy.

– Dobrze.

– Próbowałam zadzwonić do niej do domu, ale już wyszła, a my zaraz mamy wchodzić do samolotu. Jeszcze by tego brakowało, żeby nam dom spłonął doszczętnie... DOBRZE, MACKY! Wrzeszczy na mnie, więc muszę już kończyć.

– Nic się nie martw, przypilnuję tego. Biegnij i o nic się nie martw. Wyluzuj się. Kiedyś sama zostawiłam ekspres włączony na cały dzień i jakoś jeszcze się nie spaliłam.

– Dziękuję, ciociu Elner... Już idę, Macky. No, muszę już bieć, zadzwonię, jak będziemy na miejscu. Pa!

Ciocia Elner odłożyła słuchawkę i wróciła do kuchni. Po skończonym śniadaniu poszła do saloniku, usiadła przy stoliczku z telefonem, wzięła do ręki szkło powiększające, które tam trzymała, i zaczęła szukać w książce telefonicznej numeru pralni Blue Ribbon. Potem wykręciła numer.

– Verbena? Tu Elner. Właśnie zadzwoniła do mnie Norma z lotniska, chodzi o jej ekspres do kawy... Tak, znów. Mówię ci, jak nie ekspres, to żelazko. W każdym razie prosiła mnie, żebym do ciebie zadzwoniła, więc dzwonię. Nie znam nikogo takiego, kto by był w równym stopniu co ona uczulony na elektryczność. Jak tylko w pobliżu przechodzi burza, ona biegnie do kuchni jak kurczak z odciętą głową i wyciąga wszystko z kontaktów. Potem nakłada

kalosze i siedzi w ciemności. Możesz to sobie wyobrazić? Chyba wierzy, że jak włoży kalosze, to piorun jej nie dosięgnie. Ktoś jej musiał opowiedzieć o tym chłopcu z Poplar Bluff, którego raził piorun. Pamiętasz, siostrzeniec Claire Hightower. Tak, ten uroczy chłopczyk, który stepował. No więc kiedyś biegł do domu po lekcji tańca, zapomniał zmienić obuwie i wtedy piorun strzelił prosto w te jego podkute buciki, w których stepował. Wyrzuciło go w górę może na dwadzieścia stóp. We wszystkich gazetach o tym pisali, a potem jak Claire mówiła, włosy zaczęły mu się kręcić. Przedtem miał proste jak druciki. Mówi, że już nigdy nie był taki jak przedtem. Nie ożenił się, więc nie wiemy, jakich doznał obrażeń. W każdym razie, kiedy wieczorem wrócisz do domu, zajrzyj tam, tak żebym mogła ją uspokoić, że dom jeszcze się nie spalił doszczętnie. Żeby można było powiedzieć, żeśmy sprawdziły. To na razie, pa.

O siedemnastej dwadzieścia osiem telefon Elnor znów zadzwonił.

– Halo.

– Elnor, ekspres nie był włączony, stał umyty w zmywarce.

– Tak myślałam.

– Ale jednak dobrze, że tam poszłam, bo drzwi od ogrodu zostawiła otwarte na oścież, a dwa psiska, które Macky karmi, siedziały rozwalone na kanapie w salonie.

– Coś takiego... Nie powiem jej tego. Wpadłaby w furję.

– Czyja wiem...

– Czy to był ten stary chow-chow?

– Tak. I jeszcze jeden, ten, no, jak mu tam...

– Dobrze, żeś je wygoniła.

– Mam nadzieję, że nie zostawiły pcheł. Bo jeśli tak, to co powiemy, że skąd się wzięły?

– Ja mogę kłamać jak z nut.

Kiedy wrócili z Nowego Jorku, Norma usiadła przy stole kuchennym i wypisała całą listę dla Verbeny i straży pożarnej ze szczegółowymi instrukcjami, co robić w razie pożaru.

A kiedy Macky przyszedł do domu na lunch, wręczyła mu gotowy dokument.

– Weź to do sklepu i zrób ze dwadzieścia kopii. Tylko żeby odbitki były wyraźne i czytelne.

– Dobrze. A co to jest?

– To lista rzeczy do ratowania w pierwszej kolejności, którą Verbena ma dać strażakom.

– Po co ta lista?

– No, kiedy na przykład my będziemy gdzieś poza domem i wybuchnie pożar. Chcę mieć pewność, zanim nie będzie za późno, że najpierw uratują te rzeczy, które są dla nas ważne.

– Norma, na litość boską, przecież się nie pali.

– Może jeszcze nie, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. A jeśli uderzy piorun? Trzeba być przygotowanym na różne sytuacje. Chcę przejrzeć z tobą tę listę, w razie gdybyś ty był w domu, a ja nie.

Norma zasiadła przy stole obok Macky'ego.

– No dobrze, najpierw rzeczy z najniższej szufladki toaletki po prawej stronie. Tam trzymam wszystkie metryki, zdjęcia, świadectwo ślubu, ślubne fotografie, kronikę rodzinną, takie rzeczy, wszystkie dokumenty, których nie da się odtworzyć.

– Norma, przecież możemy zrobić kopię naszej kroniki rodzinnej.

– Może, ale jak zapamiętać wszystkie wpisy dokonywane w kronice przez różnych ludzi? Tego się nie pamięta. Nie da się tego odtworzyć. A nasze zdjęcia, twojej rodziny i mojej, zdjęcia Lindy z niemowlęstwa? Też się tego nie da odtworzyć. Przypomnij sobie, co się stało u Biednej Tot, kiedy jej matka podpaliła dom. Wszystko poszło z dymem, fotografie, metryki. Nie zostało jej ani jedno zdjęcie rodzinne, w ogóle nic. Nie chciałabym, żeby nam przydarzyło się to samo... Tego się nauczyłam, że trzeba zhierarchizować rzeczy, przygotować się na najgorsze.

– To może przytroczę ci do pleców gaśnicę? Wtedy będziesz gotowa w każdej chwili.

– Och, nie mów głupstw.

– No dobrze, Norma, więc teraz poważnie: czy wyobrażasz sobie, że w przypadku pożaru, co jest zresztą nieprawdopodobne, strażacy będą mieli czas czytać jakieś listy?

Norma popatrzyła na Macky'ego.

– Słuszna uwaga. Oni muszą mieć taką listę wcześniej, tak żeby już ją znać i nie tracić czasu na czytanie w ostatniej chwili.

– Mam lepszy pomysł – zaproponował Macky. – Może byśmy ich zaprosili na ćwiczenia praktyczne z naszą listą?

– A czy robi się coś takiego?

– Norma, w miarę upływu czasu masz coraz większego hopla. Pokaż mi to.

Norma wręczyła mu listę.

– Co jest w brunatnej torbie na ubrania?

– Twoja najlepsza jesionka, moje najlepsze palto, kapelusz, buty... takie rzeczy. Chyba nie chcemy zostać w łachmanach, w tym tylko, co mamy na grzbiecie. Dodam tam jeszcze wszystkie nasze rodzinne filmy, bo też są nie do odtworzenia. Biżuterię, której akurat nie noszę, tańczące bociany, twoją półdolarówkę z Kennedym, pierwsze buczki Lindy, chyba nie chciałbyś tego stracić, co? Czy przychodzi ci do głowy coś, co pominęłam?

Macky raz jeszcze przejrzał całą listę.

– Widzę, że nie uwzględniłaś niczego z moich skarbów.

– Przecież w twoim pokoju nie ma niczego wartościowego, tylko zdechłe ryby na ścianie.

Chciałbyś coś stamtąd uratować?

– Parę fotografii... kilka książek... piłkę baseballową...

– A czy oni będą mieli czas iść na górę? Lepiej za każdym razem, kiedy będziemy wychodzili, włóż do pudełka pod łóżkiem wszystko to, co przedstawia dla ciebie jakąś wartość. Ja nie zamierzam też ryzykować z trofeami Lindy zdobytymi w marszach paradnych. Zniosę je na dół i zapakuję... Strażacy rzeczywiście mogą nie mieć czasu, by iść na górę. Czy coś jeszcze przyszło ci do głowy? Teraz albo nigdy. Pamiętaj, najpierw wszystkie papiery... listy, kartki, wycinki, zdjęcia, one idą na pierwszy ogień. Jeśli masz coś takiego, dołącz.

– Dlaczego umieściłaś na liście ten głupi zegar z kukułką? Przecież to rupieć.

– Ale stary rupieć. W dodatku to nasz prezent ślubny. Zapisz, co tam jeszcze chcesz.

Macky wstał, żeby się przejść po całym domu i zdecydować. Po kilku minutach wrócił z piłką baseballową, którą otrzymał od Bobby'ego z podpisem Marty'ego Mariona.

– No, dobrze, włóż ją do pudełka pod łóżkiem. Przecież nie będą marnowali czasu na szukanie jakiejś starej piłki, kiedy tyle innych ważniejszych rzeczy trzeba będzie ratować. –

Dopisała ją do listy, a potem zapytała:

– Czy wiesz, jak duże są pojemniki sejfów? I czy są ognioodporne?

– Dlaczego pytasz?

– Bo... Bo wydaje mi się, że może lepiej będzie, by wyjeżdżając z miasta, zostawiać wartościowe rzeczy w bankowym sejfie. Wtedy nie będziemy musieli się martwić o ludzkie niedopatrzienia. A tak będziemy mieli pewność.

– A jeśli bank się spali?

Norma wbiła w niego wzrok.

– Macky, jak możesz mi mówić takie rzeczy? Jak możesz dopuszczać, żeby coś takiego chodziło mi po głowie?

- Rany boskie, Norma, przecież żartowałem. Bank się nie spali, nasz dom zresztą też nie.
- A mnie chodzi tylko o to, by ocalić nasze wspomnienia, ochronić historię rodzinną, tak by Linda i nasze wnuki nie zostały z pustymi rękoma, kiedy nas już nie będzie, a ty sobie z tego żarty stroisz.
- Norma, żartowałem.
- Coś mi się wydaje, że ty nie doceniasz tych rzeczy, które ja usiłuję zrobić dla dobra rodziny. Poczucie ciągłości jest bardzo ważne, trzeba to zaszczepić dzieciom.
- Norma, nam jeszcze daleko do wnuków.
- Ale pewnego dnia możemy je mieć.
- W takim razie, jeśli coś się stanie, zawsze możemy zrobić nowe zdjęcia.
- Wiem, ale nie o to chodzi. Bo tak to będą oglądali nas już w starszym wieku, a nie kiedy byliśmy młodzi. I ja o tym mówię.
- Norma, przestań, masz dopiero trzydzieści pięć lat. Wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek.
- Chwila milczenia. Macky dostrzegł w niej szansę dla siebie i uczepił się jej. – Wyglądasz lepiej niż w dniu naszego ślubu.
- Och, tylko tak mówisz.
- Nie, wcale nie. Przyglądałem ci się ostatnio któregoś wieczoru, kiedy miałaś na sobie tę różową, no wiesz co.
- Koszulę?
- Aha. I wtedy sobie pomyślałem: Norma z każdym dniem jest coraz bardziej atrakcyjna.
- Naprawdę?
- Tak. Byłaś ładną dziewczyną, ale teraz jesteś... seksowną, dojrzałą kobietą. Tak jak dojrzała śliwka, którą można już zerwać. Akurat najlepsza pora.
- Od lat mam ten różowy komplet.
- Możliwe, ale wyglądasz w nim świetnie.
- To tylko stary komplet, kupiony kiedyś w Kmarcie.
- No więc nie musisz się martwić o swój obecny wygląd, to właśnie chciałem ci uświadomić. Jesteś przystojną babką, pamiętaj o tym.
- W komplecie jest do tego peniuar. Nie wiem, dlaczego nigdy w nim nie chodzę. Nie wiem nawet, czy jeszcze gdzieś jest, do tej pory mogłam go wyrzucić albo oddać komuś.

Kiedy Macky wyszedł z domu, Norma poszła do sypialni, wyjęła swoją różową nocną

koszulę, przyłożyła do siebie i uważnie przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Ustawiła się jednym bokiem, potem drugim, w końcu uśmiechnęła się do siebie.

Dziesięć minut później w sklepie żelaznym zadzwonił telefon. Macky podniósł słuchawkę.

– Sklep żelazny Warrena.

– Macky, chcę cię o coś zapytać, ale musisz mi odpowiedzieć szczerze.

– No co?

– Czy rozmawiasz o mnie z innymi mężczyznami?

– Co?

– No czy opowiadasz kolegom, jak wyglądam w nocnej koszuli?

– Ależ skąd!

– Byłoby okropne, gdybyś rozmawiał.

– Kochanie, wiesz dobrze, że nikomu nie opowiadam, jak wyglądasz wszystko jedno w czym.

– Chyba umarłabym ze wstydu, gdybym wiedziała, że mężczyzna, z którym rozmawiam, wyobraża sobie, jak ja mogę wyglądać w nocnej koszuli.

– Norma, czy ty sądzisz, że mógłbym doprowadzać do szaleństwa wszystkich facetów w mieście? O co ty mnie posądzasz?

– Nie o to chodzi. No wiesz... Po prostu bym się głupio czuła, jakbym wiedziała, że ktoś wyobraża mnie sobie w śmiesznych sytuacjach.

– Nic się nie bój, nie zdradzam twoich sekretów.

– To dobrze. Teraz mam lepsze samopoczucie. A wiesz co? Znalazłam ten stary peniuar.

Położyłam go na najwyższej półce razem z zapasowymi powłoczkami, których nie używamy, w tym czerwonym pudełku. Ale wiesz co jeszcze?

– Nie, co?

– Nie da się go nosić.

– Dlaczego?

– Już nie pasuje. Ma znacznie intensywniejszy kolor niż koszula, więc to już nie jest komplet. Zastanawiam się, czy się tam nie wybrać i nie sprawdzić, bo może jeszcze mają te same rzeczy co kiedyś, tobym kupiła sobie samą koszulę, jeśli oczywiście zgodziliby się sprzedać tylko jedną rzecz, mogą się nie zgodzić, ale gdyby... A może trzeba wrzucić peniuar do pralki parę razy, to w końcu kolor spełźnie. Jak myślisz, powinnam tak zrobić?

- Ale co?
- Spróbować kupić nową koszulę. Pomyślałam sobie, że skoro podobam ci się w niej, powinnam kupić drugą taką samą... Jeśli nadal prowadzą taki sam asortyment, bo przecież moda się zmienia. Chciałabym, żeby można było, a ty?
- Ale co?
- Dokupić to samo. Bo jeśli się kupuje coś, co ci się podoba, a potem pójdzie się po to samo, a już tego nie mają, to jest to okropne. Musisz o tym pamiętać w swoim sklepie. Nie rezygnuj z niczego, nie zmieniaj asortymentu.
- Dobrze, kochanie, będę o tym pamiętał.
- Macky, nie będziesz na mnie zły, że idę do Kmart, co?
- Nie będę.
- Nie kupuję przecież artykułów żelaznych. Mogę w ogóle nic nie kupić. Jeśli mają tę jedną rzecz, to ją kupię, i na tym koniec. Zgoda?
- Zgoda.
- Wezmę ze sobą ciocię Elnor. Tylko sobie popatrzymy, okay?
- Okay.
- Nie pomyślisz sobie, że jestem oszukanica?
- Nie, idź i rozejrzyj się za swoją koszulą nocną.
- Macky, czy ty naprawdę uważasz, że po tylu latach nadal jestem atrakcyjna, czy tylko tak mówisz?
- Chcesz, żebym zamknął sklep i przyszedł zaraz do domu, żeby ci to udowodnić?
- Przestań mówić takie rzeczy, Macky Warrenie. Co będzie, jeśli jakiś klient cię usłyszy? Macky szczerze się uśmieł, a Norma odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do siebie. Może jak już tam pójdzie, to powinna rozejrzeć się, czy czasem nie mają innych kolorów.

Bliskie spotkanie

Od kiedy Vita i Hamm byli ze sobą, raz tylko zdarzyło im się coś, co można by nazwać sprzeczką. Na początku ich związku Hamm przeżył ten etap, kiedy to mówi się o rozwodzie, ale Vita szybko ucieła ten temat.

- W żadnym razie. Nie pozwolę na to, byś przeze mnie zrujnował swoją karierę polityczną. Poza tym nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż. Jestem dorosła

i zadowolona z tego, co osiągnęłam. Jeśli dręczą cię jakieś skrupuły ze względu na mnie, to pozbadź się ich jak najszybciej. Trzeba ci też wiedzieć, że wcale nie chcę mieć dzieci. Nie interesuje mnie status matki ani babci.

– Ależ, Vito, ja źle się z tym czuję.

Ujęła jego twarz w swoje dłonie.

– Kochanie, ja dobrze wiem, co czujesz w związku ze mną. I nie musisz marnować sobie życia, żeby mi udowodnić, jakie to są uczucia. Twoja sprawa, co robisz w domu, a to, co wspólnie przeżywamy, pozostaje między nami. Nikogo nie ranimy. Taki układ jest najlepszy. Oczywiście Vita jeszcze nie wiedziała, że jej romans z Hammem rani czyjeś najgłębsze uczucia.

Pozornie Hamm się nie zmienił w stosunku do Betty Raye. Zawsze był poza domem, a kiedy już wracał, rzadko pozostawał z nią sam. Nawet nie zauważył, jak pod wpływem Vity zmienił się jego ogląd świata i patrzenie na Betty Raye. Nadal ją kochał, ale inaczej niż kiedyś. Bez względu na własne deklaracje Hamm dał się uwieść blichtrowi wielkich pieniędzy i wielkich słów, nadal trochę mu pochlebiało ocieranie się o towarzystwo ludzi w białych kołnierzykach, którzy jeszcze niedawno nie chcieliby z nim rozmawiać. Rzadko zabierał ze sobą Betty Raye. Głównym powodem była jej słynna nieśmiałość i niechęć do wszelkich spotkań towarzyskich, a następnym – fakt, że po prostu by tam nie pasowała. Kilka razy zabrał ją ze sobą na takie spotkania wiedziony względami politycznymi, ale zawsze porywały go tłumy ludzi chcących go poznać za wszelką cenę. Ona natomiast zwykle zaszywała się wtedy w kącie, mając za towarzystwo jedną lub dwie panie, które podchodziły do niej z litości albo ze zwykłej ciekawości. Przy pierwszej nadarzającej się okazji Betty Raye dyskretnie wymykała się do domu.

Ze wszystkich sił starała się nie tracić kontaktu z Hammem, być zawsze w pobliżu, kiedy będzie jej potrzebował, ale jakoś nigdy nie okazał, że jest mu potrzebna w jakikolwiek sposób. Po pewnym czasie Betty Raye przygasła jak gwiazda, która o świcie traci swój blask. Żyła jakby w innym świecie, w którym stawała się niewidoczna.

Nawet chłopcy zaczęli jej się wymykać. Obaj przypominali bardziej ojca niż matkę, byli jak on niesforni i agresywni, a większość wolnego czasu spędzali na grze w piłkę ze strażnikami wokół rezydencji. Nie wiedziała jeszcze dlaczego, ale zaczynała czuć się obco w domu, w którym każdy oprócz niej znał sekret.

I tak było w istocie. Jego najbliżsi współpracownicy wiedzieli niemal od samego

początku o związku Hamma i Vity. Hamm postawił sprawę jasno:

– Jeśli Vita będzie o coś prosiła czy czegoś potrzebowała, chcę, żebyście przypilnowali, by niczego jej nie brakowało. Zrozumieliście? A jeśli będziecie chcieli poznać moją opinię na jakiś temat, możecie pytać Vitę, a ona wam powie.

Dwaj mundurowi funkcjonariusze, Ralph i Lester, w mig pojęli, o co chodzi. Zawożąc ją na umówione z nim spotkania, z szacunkiem dotykali kapeluszy i zwracali się do niej „pani Green”. Nie pozwalali sobie na żadne uśmiešky, żarciki czy poufałość. Wiedzieli, kim jest, zwłaszcza dla gubernatora, i nie do nich należało osądzanie go. Vita z kolei nie skarżyła się ani nie tłumaczyła, po prostu była obecna. Cały personel rozumiał, że według niepisanej umowy Vita nie może pokazywać się publicznie tam, gdzie istniałaby możliwość spotkania oficjalnej pierwszej damy. A jeśli, co nie daj Boże, miałyby przyjść obie w to samo miejsce, to w żadnym razie nie powinny spotkać się w tym samym pomieszczeniu.

Wypadki jednak się zdarzają. Któregoś dnia Peter Wheeler i jego żona Carole wydawali przyjęcie z okazji otwarcia nowego muzeum sztuki w Kansas City. Wielu znanych artystów z całego świata przyleciało samolotami na tę uroczystość, i Cecil, zawsze czuły na sprawy protokołu, uznał, że nieobecność pierwszej damy mogłaby być źle widziana.

– Kochanie – argumentował – pokaż się przynajmniej na pół godzinki. Przywitasz się tylko, zrobisz ci parę zdjęć, a ja gwarantuję, że po tym szybciotko będziesz mogła się wymknąć, a któryś z policjantów odwiezie cię do domu.

– Och, Cecil, czy to naprawdę konieczne? – zapytała zbolalym głosem.

– Dobrze by było dla spraw państwowych. Wiem, że zdaniem Hamma powinnaś być koło niego i witać przybyłych. To nie jest pierwsze lepsze przyjęcie. A chyba nie chcemy sprawiać mu zawodu, prawda?

– Chyba nie – ustąpiła.

Rzeczywiście był to zjazd gwiazd, zgromadzenie około pięciuset ludzi przewijających się przez pokoje wspaniałej rezydencji Wheelera. Betty Raye przysła ubrana w tę samą koktajlową suknię w kolorze beżowym, którą zawsze wkładała na przyjęcia, i na tle innych pań, występujących w toaletach o żywych barwach rozświetlonych biżuterią, wyglądała mdło. Ale tak jak obiecała, dzielnie pozowała do zdjęć i stała w pierwszym szeregu osób witających gości. Uśmiechała się do każdego wchodzącego i wymieniała uściski rąk, powtarzając jak papużka słowa, których nauczył ją Cecil:

– Serdecznie witamy w naszym stanie, czujemy się zaszczytzeni pańską obecnością.

Potem, mniej więcej po trzech kwadransach, wymieniła znaczące spojrzenia z Cecilem. Kiedy pożegnała się z gospodarzami, Cecil odprowadził ją do auta, gdzie wreszcie poczuła się swobodnie.

Po dziesięciu minutach jazdy Betty Raye zdjęła kolczyki i chciała je schować do torebki. Wtedy spostrzegła, że musiała zostawić ją na przyjęciu, najprawdopodobniej w garderobie. Nie wracałaby do Wheelerów, gdyby nie to, że w torebce zostawiła też okulary do czytania. Młody policjant, który tego wieczoru zastępował Ralphi Childressa, zawrócił, by zawieźć ją z powrotem na przyjęcie. Udało jej się wejść niepostrzeżenie i udać na piętro, gdzie w garderobie rzeczywiście znalazła swoją torebkę, ale gdy już wracała, starając się pozostać niewidzialną, usłyszała czyjś śmiech, tak dźwięczny i zaraźliwy, że nie mogła się powstrzymać, by się nie obejrzeć i sprawdzić, skąd ów śmiech pochodził. Kobieta, która właśnie przysła na przyjęcie, już była otoczona grupą mężczyzn i znów roześmiała się perliście, ubawiona opowiadaną właśnie historyjką. Betty Raye stała przez chwilę, przyglądając się scenie, aż Martha Ross, którą poznała wcześniej, podeszła i donośnym głosem zawołała:

– A my myśleliśmy, że pani już nas opuściła!

Betty Raye usiłowała dotrzeć do drzwi i w nadziei, że reszta jej nie zauważy, odpowiedziała cichutko:

– Bo tak było, ale wróciłam, gdyż zostawiłam tu swoją torebkę.

Martha podążyła za nią.

– Mnie się to stale zdarza, ale czy to nie okropne? Wprost nie znoszę zapominać rzeczy, a pani?

Kiedy Betty Raye była już przy drzwiach, wiedziona ciekawością nie wytrzymała i zapytała:

– Kim jest ta przystojna dama?

Pani Ross popatrzyła we wskazanym kierunku.

– Ależ to Vita Green. Nie zna jej pani?

Betty Raye potrząsnęła głową, a pani Ross spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Ona właściwie realizuje cały program związany z polityką kulturalną pani męża.

Wprost nie do wiary, że pani jeszcze nie zna Vity Green.

– Schwyciła Betty Raye za rękę i pociągnęła przez hali, wołając głośno

podekscytowanym tonem: – Vita! Popatrz, kogo tu mamy... Wprost nie do uwierzenia, że

jeszcze nie poznałaś pani Sparks.

W pokoju dotąd rozbrzmiewającym śmiechem i gwarem nagle zaległa cisza, jakby wszystkim jednocześnie odjęło mowę. Nie było słycać nawet kostek lodu, jeszcze przed chwilą dźwięczących w szklankach. Mężczyźni otaczający Vitę pobledli.

Vita, dotąd odwrócona do Betty Raye plecami, zachowała przytomność umysłu.

Niespiesznie zwróciła się w jej stronę i nie zmieniając wyrazu twarzy, odpowiedziała swobodnie ciepłym tonem:

– Tak się jakoś złożyło, że do tej pory nie spotkałyśmy się jeszcze.

– Następnie z uśmiechem wyciągnęła rękę na powitanie, dodając mile brzmiącym głosem: – Tak się cieszę, że wreszcie możemy się poznać.

Betty Raye oszołomiona urodą Vity, a także widokiem ogromnej broszy z brylantem spinającej jej suknię na ramieniu, zdołała wydusić z siebie wątle:

– Jak się pani miewa?

Vita odpowiedziała kolejnym uśmiechem.

– Bardzo mi było miło spotkać panią. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się zobaczymy.

– Dziękuję – odpowiedziała Betty Raye.

A kiedy już wychodziła z zatłoczonej sali, pani Ross, której wydawało się, że spełniła dobry uczynek, zauważyła:

– Jak to miło. Tak się cieszę, że mogłam was sobie przedstawić.

Gdy za Betty Raye zamknęły się drzwi, szklaneczki powoli zaczęły znów pobrzękiwać, a goście odzyskali zdolność poruszania się. Vita bez mrugnięcia okiem wróciła do przerwanej konwersacji, jak gdyby przed chwilą nie zdarzyła się groźna sytuacja, jaką zazwyczaj jest spotkanie żony i kochanki.

W drodze do domu Betty Raye rozmyślała o pani Green. Kiedy spotkały się, Vita z taką gracją i w tak niewymuszony sposób przełożyła czarną cygarniczkę z jednej ręki do drugiej, w tym jednym geście było tyle elegancji i szyku. Przypominała pewną gwiazdę filmową, którą Betty Raye oglądała kiedyś wraz z Anną Lee w kinie w Elmwood Springs. Betty Raye przyszło do głowy, czy czasem nie powinna nauczyć się palić. Natomiast Vita, znając Betty Raye wyłącznie z fotografii, zastanawiała się, jak Hatnm mógł kiedykolwiek zainteresować się tą raczej prostą dziewczyną, o bezbarwnym wyglądzie, która niewątpliwie mogła być miła, ale która bardziej wyglądała na służącą niż na gościa.

Hamm w tym czasie przebywał w innym pokoju, nie mógł więc być świadkiem tego zdarzenia. Betty Raye nie powiedziała ani słowa na temat tego spotkania i nie wyglądało na to, by cokolwiek podejrzewała, ale i tak Hamm wpadł we wściekłość i obiecał Vicie, że nic podobnego więcej się nie powtórzy. Od tej pory policjant Ralph Childress ani na moment nie spuszczał Betty Raye z oka.

Władza

Po tym, jak Betty Raye i Vita miały swoje niebezpieczne bliskie spotkanie, Cecil zwrócił się do Hamma z uwagą:

– To twoje życie, kochany, ale nie liczysz się ze swoją żoną, a ja więcej na ten temat nic nie powiem.

Wendell Hewitt natomiast, prokurator stanu, bardziej martwił się o to, że polityczny wizerunek gubernatora może być narażony na szwank. Wendell wiedział najlepiej, jak szybko mogą się potoczyć tego typu sprawy, sam przecież został przyłapany w motelu z blondynką i przypłacił to utratą szans na zdobycie pozycji gubernatora. Bardziej jednak im obu, Wendellowi i Rodneyowi, chodziło o wpływ Vity na Hamma, którego niepodzielnymi doradcami dotąd byli oni sami. Próbowali go ostrzec, że sytuacja jest bardzo poważna. Ale Vita nie przejmowała się na ogół tym, co ludzie powiadają, przynajmniej kiedy dotyczyło to Hamma. Wiedziała, że to do niej Hamm zwraca się, kiedy jest smutny, szczęśliwy, przestraszony czy też szukając rady. Zaakceptowała go takim, jaki był, i on o tym wiedział. Tego dnia, kiedy wygłosił przemówienie przed siedmiotysięcznym tłumem podczas stanowego zjazdu demokratów, przyszedł do niej podniecony, z pałającym wzrokiem. Zawsze atmosfera panująca wokół niego była o jakieś trzy stopnie wyższa, ale tego wieczoru bił od niego żar.

– Powiadam ci, Vita, to uczucie, że słucha cię parę tysięcy ludzi, a ty możesz im powiedzieć właściwie wszystko, napawa mnie przerażeniem, jak łatwo jest wmówić im wszystko, jak łatwo nimi kierować. – Popatrzył na nią rozgorączkowanym wzrokiem. – Wiesz, czasami jestem naprawdę zmęczony ustawiczną walką z Earlem Finleyem i całą resztą, próbując przeforsować byle drobiazg. W końcu zadaję sobie pytanie: po co ja to robię? Po co to wszystko? Ale dzisiaj, kiedy tak stałem przed tyloma ludźmi, zrozumiałem, że właśnie za tym gonię. – Wstał i przemierzył energicznie pokój. – Chciałbym móc opisać to

uczucie, kiedy tysiące ludzi słucha każdego twojego słowa, jak łatwo jest się przypodobać im, zdobyć poklask, słyszeć, jak skandują twoje imię. To tak jak panować nad oceanem, móc sprawić, że się wzburzy albo uciszy. Wielki Boże, Vita, to już nie jest kierowanie ludźmi, ale jakby jakąś wielką rzeczą, a jak raz się tego zasmakuje, przepadłeś. To znaczy, że jeśli tego nie osiągniesz, to po prostu umrzesz, bo nie możesz bez tego żyć. Rozumiesz, jak to jest? Dostałeś do ręki pałeczkę i możesz dyrygować potężną orkiestrą. Czy twoim zdaniem jest w tym jakiś sens? Chodzi o to, że później dyrygowanie pięcioosobowym zespołem to w ogóle jest nic po tym, jak się kierowało wielką orkiestrą, a tysięczny chór śpiewał, jak im zagrałeś. Vita uśmiechnęła się i wtedy on zamilkł.

– Chyba za dużo wypilem, przepraszam.

– Nie przepraszaj. Naprawdę nie musisz hamować się przy mnie ani mieć obaw przed powiedzeniem czegoś. Przecież wiesz o tym. Im więcej mi mówisz, tym lepiej ciebie rozumiem. Pamiętaj, że kocham cię i jestem po twojej stronie.

Usiadł.

– Pewnie myślisz, że zgłupiałem, ale przecież nie mogę rozmawiać o tym z chłopakami, oni by nie zrozumieli. Tylko tobie mogę ufać. Betty Raye nie obchodzi polityka, napawa ją raczej przerażeniem. Owszem, stara się, robi, co może, ale w gruncie rzeczy zależało jej zawsze tylko na tym, by wieść spokojne, ciche życie, a patrz, do czego ja ją przywiodłem. W miarę możliwości usiłuję nie włączać jej do tego wszystkiego. W dzieciństwie musiała występować na scenie, czego szczerze nienawidziła, tak samo jak teraz mojej roli gubernatora. Ale, na Boga, ja to uwielbiam.

Tymczasem Betty Raye liczyła dni dzielące ich od opuszczenia rezydencji gubernatora i wprowadzenia się do prawdziwego domu, którego nie trzeba będzie dzielić z setką obcych ludzi. Zgodnie z poleceniem Hamma Rodney zawiózł ją ostatnio do przyjemnej podmiejskiej dzielnicy i pokazał nowiutki dom murowany z cegieł. Po powrocie, kiedy weszła do jego gabinetu, on, nie podnosząc nawet głowy znad papierów, zapytał:

– O czymś takim myślałaś?

– Och, Hamm, to przechodzi moje najśmielsze marzenia.

Jako były sprzedawca używanych samochodów Rodney znał wiele sposobów zawierania ustnych transakcji przypieczętowanych pod stołem, zobowiązujących agenta nieruchomości do zatrzymania domu, dopóki Hamm nie opuści urzędu gubernatora.

Betty Raye była pewna, że nie zateęskni za rolą pierwszej damy, ale że będzie jej brakowało kilku osób z otoczenia gubernatora. W pierwszym rządzie Cecila, następnie Alberty Peets, zabójczynie toporkiem do lodu, do której przywiązała się w miarę upływu lat i która oprócz gotowania pomagała jej w wychowywaniu chłopców i była znakomitą opiekunką do dzieci. Kiedy mówiła im, że mają kłaść się spać, szli do łóżek. Bardziej jej słuchali niż rodzonej matki czy ojca.

Poza tym Betty Raye nie mogła doczekać się dnia, kiedy spakuje manatki i wyprowadzi się na dobre z rezydencji gubernatora.

Hamm próbował jakoś pogodzić się z myślą, że ustępuje z urzędu, ale kiedy zbliżały się majowe wstępne wybory, stawał się coraz bardziej niespokojny i zdeterminowany. Podczas gdy Betty Raye z Cecilem biegali po sklepach, kupując meble i zastawę stołową do nowego domu, Hamm narzekał i użalał się przed każdym, kto tylko gotów był go słuchać, że nie może po raz trzeci startować w wyborach na gubernatora stanu. Miotał się i ciskał gromy nawet przed niczego nie przeczuwającymi wyróżniającymi się harcerkami z Joplin.

– Gdybym nie musiał tracić czasu na walkę z Earlem Finleyem i z tymi przekłętymi demokratami, podczas dwu kadencji dokonałbym tego, co zamierzałem, a tak nie starczyło mi czasu. Teraz potrzebuję następnych czterech lat na zakończenie tego, co zacząłem.

Tymczasem Earl sprowadzi tego idiotę Carniego Boofera i zepsuje wszystko...

Betty Raye i Cecil zaabsorbowani byli szukaniem odpowiednich dywanów i pasujących do nich zasłon, ale Hamm z każdym dniem stawał się coraz bardziej rozdrażniony i nie mógł spać. Chłopaki próbowali go rozweselić, ale bezskutecznie; nic go nie bawiło. Wreszcie Rodney wpadł na pomysł, że Hammowi dobrze by zrobił jakiś krótki wypad. Wtedy Wendell, Rodney i Seymour powieźli go do dyskretnej przystani, skąd wypłynęli w rejs łodzią „Betty Raye”.

Zazwyczaj na wodzie Hamm relaksował się i zapominał o wszystkim, ale nie tym razem.

Teraz siedział tylko, patrzył przed siebie i rozmyślał, co by tu zrobić. W pewnej chwili zwrócił się do Wendella, który oparłszy nogi o ścianę, popijał piwo.

– Gdybyśmy tak zwołali specjalne posiedzenie konwentu prawników, jakie twoim zdaniem mielibyśmy szansę na uchwalenie poprawki do konstytucji?

Wendell wiedział, do czego Hamm zmierza.

– Hamm, do diaska, nie ma takiej możliwości, byś mógł jeszcze raz piastować ten sam urząd, to jest prawo stanowe.

– Ale przecież prawo można zmienić, zgadza się?

– Tak, ale nie to. Republikanie nie opowiedzą się za tym, a Earl jest zdecydowany sprowadzić Carniego Boofera, wyluzuj się więc i weź na wstrzymanie na najbliższe cztery lata. Wtedy wrócisz i sprzątniesz cały ten bajzel po Booferze. Przez ten czas ciesz się życiem na pokładzie, zrób parę wycieczek i baw się dobrze, chłopie.

Hamm miał kilka propozycji pracy od przyjaciół Vity, ale nic nie wydawało mu się godne uwagi. Podczas następnej wizyty siedział u niej na kanapie i usiłował przedstawić stan swojego ducha.

– Nie o to chodzi, Vita, żebym nie doceniał tych propozycji, bo owszem, doceniam. Tylko nie wiem, jak mógłbym stać się na powrót kimś anonimowym. Będzie mi brakowało jupiterów, które teraz mnie oświetlają i do których się przyzwyczaiłem.

– Ależ, kochanie, możesz znów kandydować w sześćdziesiątym ósmym. To tylko cztery lata.

Popatrzył na nią niemal z rozpaczą w oczach.

– Vita, ja nie wytrzymam tak długo. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale to tak, jakbym przedtem marznął przez całe życie, zanim wreszcie znalazłem jedyne miejsce, gdzie jest mi ciepło, naprawdę ciepło. Chodzi o to, że jak raz coś cię wciągnie na dobre, to już nie popuści, nawet jakbyś chciał. Za późno. Jak już raz się wejdzie na szczyt, to każda droga prowadzi w dół. Tylko tu można żyć, tylko tu czuć, że się żyje, więc trzeba walczyć o to, by tu pozostać. A jeśli nie będę mógł już tu wrócić? A jeśli Carnie Boofer namiesza tak, że w następnych wyborach znów opowiedzą się za republikanami? Kiedy traci się władzę, ludzie zaraz o tobie zapominają. Prawdę mówiąc, Vita, strasznie się boję odejść.

Tonący brzytwy się chwyta

Hamm, będąc już z powrotem w Jefferson City, siedział w swoim biurze i popijał z kolegami, kiedy wpadł Hamm junior z prośbą o garść drobnych do automatu do gry ustawionego w podziemiach, po czym zaraz wybiegł. Po jego wyjściu Hamm zapytał Wendella:

– Jaka jest dolna granica wieku dla kandydatów na urząd gubernatora?

– A bo co?

– Bo gdyby Hamm junior nie był za młody, to wysunąłbym jego kandydaturę.

Wendell wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Daj spokój, chłopie, jeszcze trochę, a wysuniesz kandydaturę swojej żony.

– A co powiesz na swojego psa? – dorzucił Seymour Gravel.

– To bystra bestia, bystrzejsza od Carniego Boofera.

– Każdy jest bystrzejszy od niego – dodał Rodney.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, z wyjątkiem Hamma, który siedział z ponurą miną, patrząc tępo przed siebie. Nagle spojrzał na Wendella.

– A właściwie dlaczego nie? – zapytał.

– Co dlaczego nie?

– Dlaczego nie wysunąć kandydatury mojej żony?

– Do licha, Hamm, przecież ja tylko żartowałem.

– Czy prawo tego zabrania?

– Nie, ale nie możesz tego zrobić.

– A dlaczego nie? Podaj mi choć jeden powód. To byłoby prawie tak samo, jakby ludzie na mnie głosowali. Czy nie?

– Tak, ale nikt nie będzie przecież głosował na kobietę, choćby była twoją żoną.

– Dlaczego nie?

Teraz Seymour zapytał Wendella:

– No właśnie, dlaczego nie?

Po godzinie gorących debat na temat „dlaczego nie?”, Hamm przeprosił kolegów na chwilę i wyszedł do sąsiedniego pokoju, żeby zatelefonować.

Vita właśnie przyjmowała gości i całe towarzystwo zgromadzone było w salonie na poobiednich drinkach, kiedy weszła jej służąca Bridget i powiedziała:

– Pani Green, dzwoni arcybiskup i mówi, że musi natychmiast z panią porozmawiać.

Vita przeprosiła zebranych i telefon Hamma odebrała w sypialni. Kiedy usłyszała, co mu przyszło do głowy, długo śmiała się, odrzuciwszy głowę do tyłu, urzeczona jego szalonym pomysłem. On jednak z rosnącym entuzjazmem odnosił się do własnego projektu. Wyrzucał z siebie słowa jak karabin maszynowy.

– Słuchaj, Vita, przecież to tak samo jak kupić dom na czyjeś nazwisko, prawda? Dom byłby nadal mój. W ten sposób byłbym nadal gubernatorem... Tyle że pod innym imieniem.

No, co o tym myślisz?

Śmiała się tak bardzo, że nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Ale ja wcale nie żartuję, mówię poważnie.

– Wiem, Hamm, że mówisz poważnie.

– No więc, co o tym myślisz?

– Cóż – odpowiedziała w końcu. – To zupełnie szaleńczy pomysł. Ale chciałabym zobaczyć wyraz twarzy Earla, kiedy usłyszy tę wiadomość. – Otarła oczy załzawione od śmiechu. – O Boże, tak mnie rozśmieszyłeś, że zepsułam sobie cały makijaż.

– Powiedz, Vita, mam to zrobić?

– Dlaczego nie? – odrzekła. – Spróbuj. Nigdzie nie jest powiedziane, że masz przegrać.

Poza wszystkim innym przyglądanie się tej grze na pewno będzie zabawne.

Hamm wrócił do gabinetu, usiadł i oświadczył:

– Wydaje mi się, że powinniśmy to zrobić.

Kiedy przekonał wszystkich po kolei, nacisnął guzik wewnętrznego telefonu i odezwał się głosem ociekającym udawaną słodyczą:

– Betty Raye, możesz tu zejść na minutkę?

Usłyszeli jej odpowiedź:

– Hamm, ja już jestem w koszuli nocnej.

– Nie szkodzi, kochanie, włóż szlafrok i przyjdź tutaj bocznymi schodami. Muszę z tobą porozmawiać.

Rodney miał sceptyczną minę.

– Ona na to nie pójdzie, mówię ci.

– Zgodzi się – uspokoił go Hamm. – Ale, chłopaki, musicie mi pomóc przekonać ją, że to nasza jedyna i ostatnia szansa.

Betty Raye nie miała pojęcia, czego Hamm mógłby od niej chcieć o tej porze, ale włożyła szlafrok, wsunęła na nogi puchate różowe kapcie, które na gwiazdkę dostała od Ferrisa, swego młodszego synka, i zeszła do biura bocznymi schodami. Kiedy otworzyła drzwi, stanęła w progu zaskoczona widokiem tylu mężczyzn siedzących w gabinecie. Zebrała dłonią górne połę szlafroka.

– Nie wiedziałam, że tylu tu panów.

– Nic nie szkodzi, Betty Raye, chodź, usiądź z nami – powiedział pajak do muchy.

Weszła z ociąganiem, czując się coraz bardziej nieswojo. Wszyscy mężczyźni zebrani w biurze odwrócili się w jej stronę i patrzyli na nią, jakby nigdy przedtem nie widzieli ani jej, ani jej męża.

– Czy coś się stało? – zapytała.

– Nie, złotko, nic się nie stało. Tylko chcielibyśmy razem z chłopakami omówić z tobą pewien drobiazg.

Godzinę później, już w sypialni, Betty Raye gorzko płakała.

– Jak mogłeś mi zrobić coś takiego? Dałeś słowo, że to ostatni raz. Tylko te cztery lata, mówiłeś.

– Wiem, kochanie, mówiłem tak, ale sama słyszałaś, co chłopcy mówią. Muszę skończyć, co zacząłem. W przeciwnym razie Earl Finley zmarnuje wszystkie moje dokonania i drogi nigdy nie zostaną zbudowane. Jestem to winien ludziom, którzy na mnie głosowali.

A wysunięcie za mnie twojej kandydatury jest naszą jedyną szansą, jedyną nadzieją.

– Ależ, Hamm, to po prostu śmieszne. Zupełnie nie znam się na polityce, nie mówiąc już o sprawowaniu urzędu gubernatora.

– I nie musisz niczego wiedzieć. W rzeczywistości nie będziesz gubernatorem, będziesz tylko mnie reprezentowała.

Podeszła do toaletki, by wyjąć stamtąd następne opakowanie chusteczek higienicznych.

– Jeszcze jedna sprawa. Jestem przecież matką dwojga dzieci. Nie chciałabym być wplątana w jakąś aferę, w coś, co jest niezgodne z prawem.

– Ale to jest zgodne z prawem. Wendell przecież mówił ci o tym.

– Może. Ale jednak to nieuczciwe. Udawać gubernatora, kiedy się nim nie jest. Co ludzie na to powiedzą?

– Złotko, to nie jest nieuczciwe. Ludzie będą wiedzieli, że głosują na mnie. Podziękują ci za to. Wiesz przecież, jakie wysokie mam notowania.

Gdyby nie te głupie przepisy, ludzie znów by mnie wybrali. Wyświadczasz im przysługę. Wendell mówił ci o tym.

– No to dlaczego Wendell nie kandyduje?

– Bo nie. Kotuś...

– A ja ci powiem dlaczego. Bo każdy wie, że on jest rozsądny, podczas gdy ja jestem idiotką, którą można popchnąć do wszystkiego.

– O rany, Betty...

– A co z moim domem? Czekam już osiem lat... Obiecałeś przecież, mówiłeś, jeszcze tylko te cztery lata.

Podszedł bliżej i usiadł obok niej na łóżku.

– Wiem, najdroższa, że tak mówiłem, i jest mi przykro z tego powodu nie mniej niż tobie. Ale mamy pewne zobowiązania wobec ludzi.

– A my to co? My też jesteśmy ludźmi. A co z naszymi chłopcami? Chciałabym, żeby dla odmiany mieli normalne życie. Nigdy nawet cię nie widzą. I ja ciebie nie widzę.

– Ależ, kotuś, to dla ich dobra. I dla ich przyszłości. Nie chcę, żeby mieli tatusia, któremu się nie udało. Dobre imię, tylko to mogę im zostawić po sobie. Chcę mieć pewność, że będą dumni z mojego imienia. Jestem im to winien.

Widział, że przynajmniej zaczęła go słuchać. Wytoczył teraz ciężką artylerię.

– Betty Raye, wstyd mi to przyznać, ale nie byłem z tobą całkiem uczciwy. Poważnie myślałem o ponownym kandydowaniu w sześćdziesiątym ósmym. Ale teraz wiem, że byłoby na to za późno. Jeśli nie pociągnę tego teraz, kiedy mam duże poparcie, i nie obronię tego, czego już dokonałem, cały mój wysiłek, wszystkie starania pójdą na marne. Na Boga, Betty Raye, nie wiem, czy mógłbym to znieść. W tobie moja ostatnia nadzieja. Czy ci się wydaje, że mi było przyjemnie tak rzadko widywać ciebie i naszych chłopców? Otóż nie. Ale jeśli wytrwasz przy mnie jeszcze ten jeden raz...

– Hamm, przestań. Już przedtem to słyszałam.

– Wiem, że słyszałaś. Ale tym razem mówię szczerze, przysięgam na głowy moich dzieci, że potem nie będę już ubiegał się o urząd gubernatora. Mogę to przysiąc na Biblię albo przed Sądem Najwyższym stanu Missouri, jeśli chcesz.

Minęła następna godzina płaczu Betty Raye i zaklęć Hamma, wreszcie Betty Raye zaczęła mięknąć.

– Hamm, proszę, nie wymagaj tego ode mnie. Bo równie dobrze mógłbyś wziąć rewolwer i od razu mnie zastrzelić, gdyż wolę umrzeć, niż wygłosić przemówienie.

– Nic nie będziesz musiała robić, wstaniesz tylko, przedstawiś mnie i usiądziesz z powrotem. I to wszystko. Prócz tego reszta pozostanie jak przedtem. Jedyne różnica, to że teraz będziemy przebywać ze sobą bez przerwy, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Cały czas będę przy tobie, a jedyny twój obowiązek to być moim cichym partnerem. A przecież gdybym przyjął normalną pracę, codziennie wychodziłbym z domu i znów byśmy się nie widywali. Zrozum, kochanie, że w ten sposób możemy stale być blisko siebie, tak jak kiedyś. Przecież chcesz tego, prawda?

– Tak, wiesz, że chcę, ale...

– To tylko cztery latka, a wtedy odejdę, wiedząc, że wywiązałem się ze swoich obowiązków najlepiej, jak potrafiłem, i wtedy koniec z polityką na zawsze.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Jesteś pewien, że to jedyny sposób?

– Słyszałaś, co powiedział Wendell. Jeśli tego nie zrobisz, ucierpi na tym cały stan.

Znow się rozplakała.

– A co z moim domem? Nakupiłam już tyle ładnych rzeczy... Byłby taki przytulny...

– Coś ci powiem. Możesz zatrzymać ten dom.

– Naprawdę?

– No pewnie. Zaczeka na nas, nigdzie nie ucieknie. Możesz go urządzić razem z Cecilem, jak ci serce dyktuje. A kiedy skończy się kadencja, od razu się tam wprowadzimy. W dodatku będziesz mogła ze mną i z dziećmi już teraz tam nocować podczas weekendu czy w zwykły dzień, kiedy tylko zechcesz. Albo inaczej, dzieci zostawimy z Alberta i sami się tam schronimy, zrobimy sobie z tego domu coś w rodzaju naszego miłosnego gniazdka. I co na to powiesz? Zrobisz to dla mnie, już o nic więcej nie będę cię prosił.

Popatrzyła na niego.

– Żadnych przemówień?

– Żadnych.

– Przysięgasz?

– Przysięgam. Na Biblię.

Ciężko westchnęła.

– O Boże, Hamm. Nie do wiary, że dałam się do czegoś takiego namówić. Ale jeśli rzeczywiście od tego zależy dobro stanu...

W taki sposób o drugiej trzydziści cztery nad ranem kobieta w różowych puchatych kapciach zgodziła się startować w wyborach na gubernatora stanu.

Popatrzył na nią z wyrazem prawdziwej wdzięczności w oczach.

– Dziękuję ci, kochana, nie pożałujesz, że się zgodziłaś. Wiem, że do tej pory nie byłem najlepszym mężem, ale teraz będzie inaczej, zobaczysz. Obiecuję. – Pocałował ją i natychmiast pobiegł do gabinetu.

Betty Raye nadal siedząc na łóżku, sięgnęła po następną chusteczkę higieniczną i zadała sobie w duchu pytanie, w co tym razem dała się wciągnąć.

Jeszcze przez jakiś czas nie ruszała się z miejsca, rozpamiętując słowa Hamma. Może

miał rację, może w ten sposób zbliżą się do siebie. W końcu był to pierwszy raz w ciągu ostatnich ośmiu lat, kiedy rzeczywiście czegoś od niej potrzebował. Może nie będzie tak źle. Ona zatrzyma dom, a on obiecał przysiąc na Biblię, że to ostatni raz. Nic takiego jeszcze się nie zdarzało. Może znów wszystko będzie jak przedtem. Przynajmniej taką miała nadzieję. Bo na dobre czy złe nadal kochała swojego męża.

Sprzedaż wiązana

Earl Finley zadzwonił do Vity i wrzeszczał do słuchawki jak opętany.

– Ten nędzny sukinsyn obiecał mi, że poprze Boofera! Taką mieliśmy umowę, a teraz on wbija mi nóż w plecy. Powiedz temu sukinsynowi, że go dopadnę, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię.

– Powiem mu to, Earl – obiecała Vita.

– Zadusiłbym go gołymi rękami.

– Wiem, co czujesz, możesz mi wierzyć. Sama byłam zaszokowana, kiedy to usłyszałam.

– Uśmiechnięta Vita odłożyła słuchawkę. Zabawny wydał jej się widok człowieka, który przez całe życie knuł brudne intrygi, a kiedy sam stał się ich ofiarą, wpadł we wściekłość.

Minnie Oatman brała właśnie udział w festiwalu „Śpiew w górach”, który odbywał się w Pine Mountain w Georgii, kiedy dotarła do niej nowina. Akurat skończyła śpiewać swój nowy przebój Z radością wam to mówię, kiedy ktoś wbiegł na scenę i podał jej karteczkę.

Wtedy wzniosła ręce w górę i wielkim głosem zawołała do synów:

– CHWALIĆ PANA BOGA, WASZA SIOSTRA BĘDZIE GUBERNATOREM!

Kiedy oficjalnie ogłoszono, że Hamm wysunął kandydaturę swojej żony, wiadomość ta wywołała mieszane uczucia. Jego zwolennicy śmiali się i porozumiewawczo puszczały do siebie oczka, zadowoleni, że ich człowiek wytoczył potężne działo. Pozostali byli wściekli. Czuli, że Hamm z siebie i z nich robi balona. Wśród zwolenników i przeciwników wiadomość ta spowodowała jednak ogólne poruszenie. Dotychczas w całej historii Stanów Zjednoczonych tylko dwie kobiety zostały gubernatorami, a i to wydarzyło się dawno temu, w 1924 roku. Na mocy dodatkowych wyborów Nellie Ross z Wyoming przejęła urząd po swoim mężu, który zmarł podczas pełnienia obowiązków, natomiast Miriam Ferguson z Teksasu zastąpiła w tej funkcji męża, którego usunięto za malwersacje finansowe. W 1964 roku kobiety w świecie polityki nadal stanowiły nowinkę, i to raczej dość zabawną.

Fergusonów z Teksasu nazywano żartobliwie Mamą z Tatą Ferguson, a kiedy śmiano się, że teraz Missouri ma swoją parę Mamy i Taty, Hamm był tym zachwycony. Ogólnokrajowe tygodniki wysłały w teren swoich reporterów, którzy przyjechali fotografować go w domowym otoczeniu, przepasanego fartuszkami, z miotełką z piórek w ręku. Chcieli też przeprowadzać wywiady z Betty Raye, ale cały personel miał surowo przykazane pod żadnym pozorem nie dopuszczać do niej dziennikarzy.

Wbrew obietnicom Hamma Betty Raye natychmiast dostała się w ręce zastępu fryzjerów, kosmetyczek i projektantów mody, sprowadzonych przez Cecila dla „poprawienia jej ogólnego wizerunku”, jak to określił. Choć przecież miała swój wizerunek, zastrzegł się. Po wielu godzinach strawionych na przymierzaniu w nieskończoność przeróżnych kreacji i wypróbowywaniu rozmaitych stylów, kiedy to Cecil z przyjaciółmi sprzeczał się o trafność propozycji, w końcu postanowili, że najlepszy dla niej będzie styl na Jackie Kennedy – proste garsonki z dzianiny i toczek na głowie. Wkrótce jednak okazało się, że nie było to korzystne dla osoby noszącej okulary. Cecil więc przekonał ją, że powinna nosić szkła kontaktowe.

– Kochanie, masz takie piękne oczy, trzeba je pokazać, na zdjęciach znacznie lepiej wychodzi się bez okularów, uwierz mi.

Sprawy jednak przybrały fatalny obrót. Podczas swej pierwszej konferencji prasowej stała przy boku Hamma, z oklapniętą fryzurą, która w zamierzeniu miała być wersją uczesania Jackie Kennedy, mrużąc oczy, które ją piekły, i demonstrując nieszczęśliwą minę. Kiedy Hamm był w środku swego przemówienia, wypadła jej jedna soczewka, co wprawilo ją w prawdziwy popłoch.

– Zgubiłam jedną! – zawołała i natychmiast rozpoczęła gwałtowne poszukiwania zguby w okolicach swojego dekoltu.

Jeden z dziennikarzy zwrócił się do kolegi z pytaniem:

– Co ona właściwie zgubiła?

– Nie wiem, bracie – odpowiedział tamten – i boję się pytać.

Potem nastąpiły długie dni nie kończących się jazd po najodleglejszych drogach Missouri, samochodami i ciężarówkami wyładowanymi po brzegi, wiozącymi sprzęt nagłaśniający, flagi, składane krzeselka, przenośną scenę, a także zespół Le Roya Oatmana i jego Oraczy z Missouri, którzy specjalnie zostali ściągnięci na tę okazję. Betty Raye siedziała w samochodzie pogrążona w lekturze, dopóki nie przyszedł po nią Seymour, żeby poprowadzić ją na scenę, gdzie podchodziła do mikrofonu i wygłaszała te słowa:

– Szczęśliwa, że możemy dziś być tu razem, mam zaszczyt i przyjemność przedstawić swojego doradcę numer jeden i mojego męża w jednej osobie, gubernatora Hamma Sparksa. Potem siadała z tyłu, a przez następne trzy kwadranse Hamm przemawiał. Kiedy skończył, odprowadzano ją z powrotem do samochodu, który wiozł ją do następnego miejsca przeznaczenia.

Hamma atakowano ze wszystkich stron. Carnie Boofer zaciskał pięści.

– Ten głupi kawał, który Sparks wycina wyborcom Missouri, przynosi wstyd i upokorzenie wszystkim amerykańskim kobietom.

Dziennikarze oskarżali go, że uczepony spódnicy żony szermował racją stanu, by tylko powrócić na stanowisko. Każdy mieszkaniec Missouri i pozostałych stanów miał na ten temat wyrobione zdanie. A w odległym Elmwood Springs tego dnia, kiedy rozeszła się wieść o kandydowaniu Betty Raye, Dorothy – mimo że wyznawała żelazną zasadę niemieszania się do polityki i forsowania któregośkolwiek z kandydatów – tym razem powiedziała:

– Zdaje się, że to nasza Betty Raye kandyduje na stanowisko gubernatora, co napawa nas wielką radością. Nie znam lepszej od niej i miłszej dziewczyny.

Ale Doc i Jimmy mieli odmienne zdanie. Któregoś wieczoru, kiedy siedzieli na ganku, Doc odezwał się:

– Ta dziewczyna nie powinna być zamieszana w te wszystkie brudy. Co on sobie właściwie wyobraża?

– W każdym razie to świństwo wciągać w to taką miłą panią, nie ulega wątpliwości – zgodził się Jimmy.

– Należy mu się za to lanie.

– Albo i coś gorszego.

Jimmy nie przyznał się, co naprawdę chciał zrobić. Szczerze nienawidził Hamma Sparksa od czasu świąt Bożego Narodzenia sprzed czterech lat, kiedy to odwiedził swoich kolegów w szpitalu weteranów w Kansas City. Nazwisko Hamma Sparksa wypłynęło wówczas najzupełniej przypadkowo. Przyjaciele wręczyli mu prezent, a gdy go rozpakował, zobaczył, że w środku znajduje się karton dwunastu pudełek papierosów.

– Nie dziękuj nam – powiedział jeden z kolegów. – Podziękuj gubernatorowi.

A drugi dodał:

– Aha, często tu przyjeżdża, by widzieć się ze swoją panią. Od kiedy zaczęli ze sobą

kręcić, poświęca nam się dużo uwagi.

– On też służył w wojsku podczas wojny, więc jak tylko jest w mieście, zostawia nam po drodze parę kartonów papierosów. A ona to dama z towarzystwa, ślicznotka, sądząc ze zdjęć w gazetach, widać znudziło mu się już śpiewanie gospel. Całkiem często tutaj zagląda. Nie mówię, że bym miał mu to za złe. Podobno wpakowała w niego kupę pieniędzy, ona i ci ludzie, z którymi się zadaje...

Jimmy pokiwał głową i zapalił swojego papierosa.

– Tak to wygląda? – A w duchu pomyślał: „Tym gorzej dla ciebie, ty nędzny sukinsynu”.

Nie zająknął się ani słowem, że znał Hamma i Betty Raye. Chłopak na wózku inwalidzkim dodał:

– Ja tam bym nie wyrzucił ze swojego łóżka przystojnej i dzianej kobitki, to pewne.

Zresztą, żadnej bym nie wyrzucił z łóżka, wszystko jedno, jak by wyglądała.

Pośmiali się i zaraz zmienili temat. Większość z nich była sparaliżowana i spanie z kobietą w ogóle już nie wchodziło w rachubę.

Kiedy Jimmy wyszedł ze szpitala i znalazł się na stacji Greyhounda, żeby złapać ostatni autobus do domu, cisnął karton papierosów jakiemuś mężczyźnie, który siedział na zewnątrz pod ścianą.

– Masz, chłopie, wesołych świąt.

Jimmy lubił palić, ale prędzej by go szlag trafił, niżby miał wziąć cokolwiek od Hamma Sparksa. Najchętniej poszedłby za nim z kijem baseballowym.

Ciąg dalszy przedstawienia

Oczywiście trzeba było pokonać parę przeszkód. Opowiedzenie się za Hammem Sparksem to jedno, ale byli tacy mężczyźni, którzy za nic nie głosowaliby na kobietę, choćby miała być tylko podstawioną osobą. Jednak większość demokratów nie zawiodła i Betty Raye bez problemu zwyciężyła w prawyborach. Następnie pojawili się republikanie, którzy walczyli o zwycięstwo w listopadowych wyborach. Ich kandydat bardzo uważał, żeby nie atakować bezpośrednio Betty Raye, i uplasował się na drugiej pozycji za Hammem. Jednak jeden z jego głównych doradców powiedział coś niepochlebnego o przeszłości Betty Raye związanej z zespołem gospel, ktoś to podsłuchał i sprawa dostała się do gazet. Hamm tylko na to czekał. Zareagował natychmiast.

– Moja żona i ja, w przeciwieństwie do szanownego przedstawiciela obozu przeciwnych nam republikanów, nie wstydzimy się przyznać, że jesteśmy chrześcijanami korzącymi się przed Bogiem. Moja żona należy do skromnych kobiet, ale jest dumna, że wywodzi się z rodziny o bogatych tradycjach. To Oatman Family Gospel Singers. Ja natomiast szczycę się tym, że jestem zięciem tak zacnej kobiety jak Minnie Oatman. Twierdzę, że atakowanie ludzi z powodu ich religii jest bardzo nieamerykańskie i – że tak powiem – niedżentelmeńskie. Mówię szczerze, wstydzę się za niego, że zniżył się do tego poziomu, by zaatakować moją żonę i jej rodzinę.

Hamm dał mu taki wycisk, że w końcu ludzie kojarzyli tego kandydata wyłącznie z owym niefortunnym wystąpieniem. Podczas całej kampanii Hamm i Vita nie spotykali się tak często, jak by sobie tego obydwójce życzyli, niemniej kontaktowali się ze sobą codziennie przez telefon, a ponadto Vita czerpała wiele radości z całego przedstawienia, którego Hamm był głównym bohaterem.

Piątego listopada rano we wszystkich domach były nastawione telewizory.

– Otóż mamy dziś w Missouri prawdziwe święto kobiet – zaanonsowała z uśmiechem Barbara Walters z NBC, w programie Today. Jej partner chrząknął tylko znacząco, ale zaraz opanował się i zmienił temat, uprzednio jednak złożywszy gratulacje nowej gubernator, pani Sparks.

Bobby i Anna Lee zaraz wysłali jej telegramy z gratulacjami, podobnie Doc, Dorothy i Matka Smith. W pierwszą niedzielę po wygraniu wyborów przez Betty Raye Dorothy natknęła się w kościele na Pauline Tuttle, nauczycielkę Betty Raye, która uczyła angielskiego w szkole średniej. Tę samą Pauline Tuttle, która przed szesnastoma laty przepowiadała, że Betty Raye nigdy niczego nie osiągnie. Dorothy nie zamierzała jej niczego wytykać, ale choć przeświadczona, że nie powinna, nie mogła oprzeć się pokusie powiedzenia czegoś na ten temat podczas spotkania parafian przy kawie i ciastkach:

– No jak tam, Pauline? – zagadnęła. – Co sądzisz o naszej dziewczynce w Jefferson City? Pauline z talerzykiem w ręce patrzyła bezradnie na Dorothy.

– Wprost nie wiem, co powiedzieć. Brak mi słów. Jak taka nieśmiała dziewczyna mogła do tego stopnia wydorosnąć i stać się gubernatorem, pozostaje dla mnie absolutnie niezrozumiałe, naprawdę, jestem zupełnie zdezorientowana.

Podobnie zdezorientowana była sama Betty Raye. Dla niej samej pozostawało zagadką, jak to się stało, że pozwoliła Hammowi dać się wmanewrować w tę maskaradę, ale było to

faktem i teraz tkwiła w pułapce. To tak jak być w szóstym miesiącu ciąży. Nie można było tego odkręcić, nawet jeśli się chciało. Pozostawało już tylko czekać, co przyszłość przyniesie. W końcu nadszedł dzień inauguracji, którego tak bardzo się obawiała. Przebrnęła jednak przez rutynowe zaprzysiężenie, pozowanie do fotografii i choć trzęsły jej się ręce i kolana, przeczytała mowę specjalnie dla niej napisaną.

– Panie i panowie, z największą pokorą przyjmuję dziś ten urząd. Mając wasze poparcie oraz z pomocą mojego męża i pierwszego doradcy, obiecuję dołożyć wszelkich starań, by najlepiej jak umiem wypełniać swoje obowiązki jako nowy gubernator. Tak mi dopomóż Bóg.

Wtedy Cecil dał znak orkiestrze, żeby zaczęła grać. W ten najzimniejszy dzień roku Hamm i Betty Raye przeszli aleją do rezydencji gubernatora. Ulice wypełnione były ich zwolennikami, Hamm kroczył dumnie u boku swojej żony i uśmiechnięty pozdrawiał tłumy. Ze sposobu jego zachowania ktoś nieorientowany mógłby wywnioskować, że to właśnie on został wybrany na gubernatora. Mimo aplauzu licznie zgromadzonych ludzi Betty Raye czuła się samotna. Nie było przy niej jej matki, gdyż tego dnia Oatmanowie mieli zobowiązania, których nie mogli odwołać. Dorothy i Doc również byli zaproszeni, ale Matka Smith się rozchorowała, więc w ostatniej chwili musieli odwołać swój przyjazd. Kiedy dotarli do rezydencji, na schodach Betty Raye dostrzegła znajome twarze.

– Witamy w domu, pani gubernator Betty – przywitała ją Alberta Peets, morderczyni toporkiem do lodu. – Już zadbałam o to, żeby zanieść rzeczy pana gubernatora Hamma do jego pokoju, a pani rzeczy są już wyprasowane i czekają na ułożenie, i tak samo rzeczy chłopców.

Betty Raye uradowała się na jej widok jak jeszcze nigdy w życiu.

– Och, dziękuję ci, Alberto.

– Z przyjemnością to zrobiłam. Wie pani, że nie jest dobrze objąć się. Jak to się mówi? Próżne ręce to warsztat dla szatana czy jakoś tak.

Potem przyszykowała chłopcom kąpiel i wyprawiła ich do łóżek, a na koniec przyszła jeszcze do pokoju Betty Raye.

– Widzę, że ten Figgs znów jest tutaj.

– Cecil? A tak. Wszyscy wrócili, sami starzy znajomi.

– No dobrze, ale tym razem niech on lepiej uważa. Nogi mnie bolą bardziej niż przedtem, więc jak on przyjdzie mi do kuchni i każe nosić buty, to za siebie nie odpowiadam. Wiadomo,

czego się można po mnie spodziewać.

Betty Raye, ubrana już na gubernatorski bal, przysiadła jeszcze na chwilę na łóżku.

– Wiesz co, Alberto – powiedziała – dałabym milion dolarów za to, żeby nie musiała tam iść.

– A teraz, kiedy pani została gubernatorem, idę o zakład, że będzie pani musiała robić wiele rzeczy bez najmniejszej ochoty.

– Mam nadzieję, że tak nie będzie.

Do drzwi zapukał Cecil.

– Nie chcę cię poganiać, kochana, ale przed wyjściem trzeba jeszcze dać się sfotografować, więc zejdz na dół, gdy tylko będziesz gotowa. Czy jestem ci do czegoś potrzebny?

Betty Raye podniosła się z ciężkim westchnieniem.

– Nie, już jestem gotowa.

Cecil otworzył przed nią drzwi i powiedział:

– Och, wyglądasz zachwycająco. – Wtedy zauważył Albertę stojącą za drzwiami, więc dodał beztróskim tonem: – Jak się masz, Alberto, czyż to nie wspaniałe? Znowu jesteśmy wszyscy razem.

– Aha – odrzekła ponuro, patrząc na niego z ukosa. – Znowu razem.

Z chwilą, kiedy po inauguracji Betty Raye weszli znów w progi rezydencji gubernatora, stało się jasne, że niewiele się zmieniło. Hamm natychmiast udał się do swego gabinetu wraz własną ekipą i tam zaczęli ustalać terminarz spotkań, przeglądać listę wydatków, przepisy, których nie wydano w ciągu ostatnich czterech lat, zastanawiać się, jak by tu je zmienić, a przy tym wyjść na swoje. Okazało się, że proroctwo Alberty było prawdziwe. Od tej pory codziennie Betty Raye spędzała godziny na ustawianiu się do wspólnych zdjęć z królowymi piękności, laureatkami nagród FHA*, skautami i skautkami, nauczycielami roku, biznesmenem i bizneswoman roku, z każdym, komu Cecil obiecał wspólną fotografię z gubernatorem, gdy tymczasem Hamm ze swoją ekipą siedział w sąsiednim pokoju i wykonywał faktyczne obowiązki gubernatora stanu. Pod koniec każdego dnia siadywała z piórem w ręce i podpisywała wszystko, co Wendell podsuwał jej do podpisu, a potem szła na górę położyć się spać, jak zwykle samotnie.

Życie jednak nie było wcale takie złe. Pozostały wolny czas spędzała w swoim nowym domu, snując się po pokojach bez celu, tylko po to, by się nimi nacieszyć, albo wykonując

drobne prace w ogródku. Kilka miesięcy po wyborach Dorothy i Matka Smith, która przeszła ciężką gripę, przyjechały na jeden dzień w odwiedziny. Ze śmiechem przyjęła zawiniętą w folię aluminiową zapiekankę z parówką posypaną chili, którą przesłał jej Jimmy, zachłannie słuchała wszystkich wieści o nowej pracy Bobby'ego i następnym dziecku Anny Lee. One z kolei nie mogły się nadziwić, jak bardzo urosli jej obaj chłopcy. W sumie spędziły razem wspaniały dzień.

* FHA – Federal Housing Administration, Federalny Zarząd Budynków Mieszkalnych.

Starzy przyjaciele

Sąsiadka Dorothy nigdy nie lubiła się chwalić, więc i tym razem po powrocie z odwiedzin u swojej przyjaciółki, nowej gubernator stanu, ograniczyła się tylko do kilku słów skierowanych do swoich słuchaczy na zakończenie audycji:

– Podczas ostatniego weekendu Matka Smith i ja odwiedziłyśmy naszą wieloletnią przyjaciółkę, i była to bardzo miła wizyta. Dziś rano, zanim czas zacznie nas gonić i wciąż codzienna krzątanka, chcę wam powiedzieć, jak bardzo obie z Matką Smith cenimy waszą obecność w naszym życiu. Wprost trudno nam jest sobie wyobrazić, jak dawałybyśmy sobie radę bez życzliwości naszych radiosłuchaczy, którzy przez te wszystkie lata nadają sens i radość naszym dniom. A skoro mówimy o przyjaciółach, pani Hattie Smith z Bell Meade w Missouri przysłała nam taką myśl: „Jeśli zasiewasz ziarno życzliwości, twoim plonem są liczni przyjaciele”.

Dziękujemy ci, Hattie. A teraz pora na ogłoszenie, kto zwyciężył w naszym konkursie ortograficznym. Mistrzynią ortografii została trzynastoletnia panna Ronnie Claire Edwards, która poprawnie napisała słowo „gżegżółka”. Serdeczne gratulacje, musisz być genialna w tej dziedzinie. Będziemy z zainteresowaniem śledzić rozwój twojej kariery. Co do mnie, to muszę przyznać, że opanowanie pisowni niektórych słów jest dla mnie równie nieosiągalne jak opróżnienie wód oceanu kubeleczką.

Tymczasem Matka Smith sprawdza w słowniku, co piszą o gżegżółce. Że to jest gwarowa nazwa kukulki? No proszę, następna trudność ortograficzna.

Arbuzy, słodka kukurydza i pomidory to temat omawiany podczas Otwartego Dnia Warzyw w najbliższy piątek. W wykładach zostaną uwzględnione najnowsze wyniki badań

naukowych w tej dziedzinie, więc nie omieszkajcie przyjść i posłuchać. Czekają nas jeszcze wiele atrakcji, ale najpierw najważniejsza wiadomość dnia. Niech zabrzmiały fanfary z tej okazji, Matko Smith. Ada i Bess Goodnight wybrały się do Kansas City, gdzie kupiły sobie nowiutką przyczepę campingową airstream, a ponieważ obie są wdowami już na emeryturze, powiadają, że wyprawiają się w siną dal, stając się zapuszkowanymi turystkami. Mówią, że jeszcze nie wiedzą, dokąd pojedą ani kiedy wrócą, i to im się właśnie podoba. Wyobraźcie sobie, budzić się codziennie z innym widokiem z okna. Nie wiem, jak bym się czuła, wyglądając rano przez okno i widząc coraz to inne podwórko, ale te dwie panie są pełne samozaparć i woli takiego zwiedzania świata. Ich pierwszym przystankiem będzie Zjazd Nocny dla Przyczep Campingowych niedaleko Mill Grove... Hej, wy tam, co mieszkacie w pobliżu, jeśli zobaczycie pomidorowego dodge'a, ciągnącego przyczepę campingową, wiedźcie, że to one w drodze na podbój nieznanego. Życzymy powodzenia naszym dziewczętom, które zapuszkowane na własne życzenie wyruszają w podróż.

Następna nowina z wydziału dobrych wiadomości: wczoraj dostałam list od swojej synowej Lois, która pisze, że Bobby awansował na wiceprezesa odpowiedzialnego za działalność Przedsiębiorstwa Drobiowego Fowlera, co, jak na chłopca, który repetował szóstą klasę i nie potrafił poprawnie napisać słowa wół, nie mówiąc już o gżegżółce, jest naprawdę nie lada wyczynem!

Zjazd gubernatorów

W 1966 roku Betty Raye dowiedziała się, że jeszcze jedna żona ubiega się o urząd gubernatora. Była to Lurleen Wallace z Alabamy, która właśnie zgłosiła swoją kandydaturę. Betty Raye nic o niej nie wiedziała, ale modliła się o jej zwycięstwo, bo wtedy przestałaby być już jedyną kobietą gubernatorem w całych Stanach Zjednoczonych. A to wcale nie należało do przyjemności.

Na początku roku, kiedy gubernator stanu Missouri, Betty Raye Sparks, otrzymała zaproszenie na Krajowy Zjazd Gubernatorów w Waszyngtonie, powiedziała do męża:

– Hamm, nie mam zamiaru tam jechać i spotkać się z prawdziwymi gubernatorami. Nie chcę wystawiać się na pośmiewisko.

– Wcale nie zrobisz z siebie pośmiewiska, kochanie. Będę tam cały czas przy tobie. –

Poklepał jej rękę uspokajającym gestem. – Jedyne, co do ciebie należy, to uśmiechać się i być

miła. A jeśli chodzi o głosowanie, to powiem ci, jak to się robi.

Cecil, który już się szykował na tydzień zakupów z okazji wyjazdu, popatrzył na nią wymownie swoimi dużymi oczami i potwierdził:

– Kochana, jeśli nie pojedziesz, nasz stan nie wypadnie dobrze.

Hamm pojawił się na zjeździe z pałającym wzrokiem, pusząc się jak paw. To była jego pierwsza podróż w charakterze męża pani gubernator, nic więc dziwnego, że prasa się nim szczególnie zainteresowała. Hamm odgrywał swą rolę jak pierwszorzędnny aktor. Z kolei Betty Raye, która na zjeździe była jedyną kobietą, najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Czula się nie na miejscu i nieszczęśliwa, on zaś pojawiał się na wszystkich imprezach towarzyszących, przeznaczonych dla żon gubernatorów – na różnych herbatkach, lunchach, pokazach mody i oczarowywał wszystkie panie. Na jednej z licznych loterii wygrał nawet główną nagrodę – kapelusz pana Johna, z którym nie rozstawał się do końca lunchu, czym zachwyił zgromadzone panie. Hamm był otwarty i szczery, często mówił to, co myślał, nie zastanawiając się wiele. Dziennikarzom, znudzonym relacjonowaniem imprez towarzyszących przeznaczonych dla żon gubernatorów, Hamm jawił się jako ktoś niecodzienny i stanowiący przyjemną odmianę. Zazwyczaj małżonki polityków w swoich wypowiedziach nie wychodziły poza standardowe: „Proszę o to spytać mego męża” albo: „Nie wiem, muszę zapytać o to męża”. Hamma jednak to nie dotyczyło.

Tymczasem nie docenił czyhającego nań niebezpieczeństwa. W jego rodzinnym stanie cecha ta uznawana była za jego zaletę, ale na arenie ogólnokrajowej groziła wpadką, mogącą się w każdej chwili wydarzyć, kiedy wokół niego zaczęło się zbierać coraz więcej dziennikarzy czekających na jakieś powiedzenie, które mogłoby stać się kanwą ciekawej opowieści.

Wszyscy wtedy mówili o Wietnamie, a był to śliski temat, którego politycy starali się unikać. Wendell ostrzegł Hamma, by w tej kwestii trzymał język na wodzy, ale podczas spotkania koktajlowego dla pań przysiadła się do niego jakaś ładniutka dziennikareczka i po skomplementowaniu jego krawata zapytała:

– Co pan myśli o coraz liczniejszej grupie protestujących przeciwko wojnie?

Hamm bez namysłu wypalił:

– To banda idiotów. Powinni raczej protestować przeciwko gubernatorom, którzy nie ruszają tyłków ze swoich foteli, żeby uciszyć tych gówniarzy, którzy korzystają z owoców naszej pracy... Albo rybka, albo pipka...

– Co pan przez to rozumie? – zapytała.

– Przestać cackać się z tymi złotkami i przeciąć ten wrzód. Trzymamy słonia w salonie, ale chodzimy wokół niego na paluszkach.

Jego rozmówczyni odegrała pierwszą naiwną, udając, że nie rozumie, o czym on mówi.

– Jakiego słonia? Chyba nie nadażam za panem.

– Bombę, złotko. My mamy bombę, a oni nie. Jaki jest sens mieć ją, jeśli nie chcemy jej użyć? Truman dobrze myślał. – Wskazał przez okno na grupkę protestujących, którzy maszerowali po drugiej stronie ulicy. – Wszystkie te mięczaki i gołąbki pokoju powinny się zamknąć i dać nam skończyć z tym świństwem, nim będzie za późno. A wtedy sprowadzimy do domów naszych chłopców, wygnamy z kraju zdrajców i będziemy mieli święty spokój. Żałował potem, że użył nieparlamentarnych słów w obecności pań, ale tak właśnie myślał i było już za późno, by cokolwiek cofnąć. Za późno, by zdać sobie sprawę, że ta pani zrelacjonuje całą rozmowę w „Washington Times”. Zanim wrócili do Missouri, historia obiegła cały kraj, a „Newsweek” zamieścił jego karykaturę, przedstawiając go jako wędkarza, który wyrzuca do oceanu całe wiaderko przynęty w postaci hippisów. W innym piśmie zamieszczono jego wizerunek z chmurą w kształcie grzybka nad głową, gdzie indziej przedstawiony został jako wściekły pies toczący pianę z pyska, podczas gdy Betty Raye ze smyczą w ręku próbuje go powściągnąć.

Mimo że Hamm wyraził pogląd wyznawany przez wielu weteranów, dostało mu się od ogólnokrajowych mediów; nawet we własnym stanie Missouri krytykowano go za popędliwość, co sprawiło, że przycichł na jakiś czas.

Kilka tygodni później Rodney, krztusząc się ze śmiechu, wszedł do gabinetu Hamma.

– Zrobiłeś furorę, bracie. Właśnie zadzwonili z uniwersytetu w Berkeley w Kalifornii, pytając, czy nie przyjechałbyś do nich i nie wygłosił przemówienia.

Hamm okazał zainteresowanie.

– Naprawdę? Kiedy?

Rodney machnął ręką.

– Nic się nie martw, powiedziałem im, że w tym czasie jesteś zajęty.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Dlatego, że nie mam zamiaru wysyłać cię do gniazda szerszeni.

Wendell był tego samego zdania.

– Nie, daj sobie spokój, chyba nie chcesz tam jechać. To zbyt niebezpieczne. Nie ma

bardziej agresywnej grupy od tych bojowników o pokój. Rozedrą cię na strzępy, jeśli tylko uda im się ciebie dopaść.

– Chwileczkę, zastanówmy się – powstrzymał ich Hamm. – To duży i znany uniwersytet.

To by oznaczało też większy rozgłos w ogólnokrajowej prasie, mam rację? Mógłbym dobrze wypaść, że jadę tam, by z nimi porozmawiać. Że niby chcę poznać drugą stronę medalu...

A jeśli oni zgodzą się trochę mnie posłuchać, może udałoby mi się załatwić to i owo.

– Nic nie załatwisz – orzekł Wendell. – Im zależy tylko na tym, by wywlec cię na widok publiczny i zakrzyczeć. Nie posłuchają ani jednego twojego słowa.

Hamm domyślał się, że mają rację, z drugiej jednak strony pochlebiało mu, że się do niego zwrócono. Zawsze pociągało go wszystko, co było związane z wyższą uczelnią.

Wszyscy, łącznie z Vita, uważali, że to był zły pomysł, ale on nie mógł oprzeć się temu wyzwaniu.

W przeddzień wystąpienia polecili do San Francisco, Hamm, Rodney, Wendell i Seymour, który narzekał przez całą drogę. Zatrzymali się w hotelu, ale Hamm niewiele spał tej nocy. Długo pracował nad przemówieniem, zadał sobie też sporo trudu, żeby zwrócić uwagę na gramatykę wypowiedzi, jak też na akcent. Zależało mu, żeby okazać się godnym zaszczytu wygłaszania mowy w tak szacownym miejscu, na wyższej uczelni. Po raz pierwszy od lat denerwował się przed publicznym wystąpieniem. Cztery razy pytał Rodneya, czy ma odpowiedni garnitur, oraz dwukrotnie zmieniał krawat. Odebrano ich z hotelu o dziewiątej, powieziono przez most na drugą stronę, gdzie znajdował się uniwersytecki campus i gdzie zgodnie z oczekiwaniami czekało na nich już wielu studentów. Kiedy mijali te tłumy, kierując się w stronę bocznego wejścia do audytorium, studenci, i nie tylko oni, zaczęli wznosić wrogie okrzyki i bębnić w maskę samochodu. Hamma jakoś nie zbiło to z tropu. Teraz był już spokojny i opanowany. Ale reszta nagle zaczęła okazywać agresję. Rano Seymour, jego ochroniarz, nalegał, by Hamm nałożył kamizelkę kuloodporną, i teraz, kiedy popatrzył na protestujących, uznał, że dobrze zrobił, pamiętając o tym.

– Cholera – mruknął. – Walczyłem z Japończykami, ale oni nie byli tacy wściekli jak ta łobuzeria tutaj. – I sięgnął do kieszeni, by namacać pałkę. – Będziemy mieli dużo szczęścia, jeśli uda nam się wyjść z tego cało.

Wymachiwali przed nimi transparentami, na których wypisano: WIETNAM TO WOJNA RASISTÓW, HAMM HIROSHIMA, WRACAJ NA WIOSKĘ, PODŻEGACZ, BIAŁA MENDA, DO DOMU, TY GŁUPI CIOŁKU, CHAMSKI HAMM, BUJAJ SIĘ. Hamm

jednak uśmiechał się i machał do tłumów, jakby witano go z entuzjazmem, co ich jeszcze bardziej rozwścieczyło. Kiedy wreszcie dotarli do auli, rektor uniwersytetu, chudy, bezbarwny mężczyzna z łupieżem na kołnierzyku przywitał ich chłodno, a gdy Hamm wyciągnął do niego rękę, ten odwrócił się i uchylił od takiego powitania, ignorując wyciągniętą dłoń w obawie, że ktoś mógłby uwiecznić ten moment na fotografii. Kiedy znaleźli się na scenie, zapowiedział go sucho i zwięźle:

– Panie i panowie, Hamm Sparks.

Od początku sytuacja nie wyglądała dobrze. Na dźwięk jego nazwiska sala zawrzała, wznosząc niepochlebne okrzyki. Rektor zszedł z podium i usiadł w pierwszym rzędzie obok pozostałych profesorów, a Hamm zbliżył się do mikrofonu, trzymając tekst swego przemówienia.

– Dziękuję za miłe wprowadzenie, panie rektorze – powiedział z uśmiechem, usiłując robić dobrą minę do złej gry. – Czuję się zaszczycony zaproszeniem mnie do wygłoszenia odczytu w murach tej uczelni. Chcę wam powiedzieć, że nikt bardziej ode mnie nie docenia roli wyższego wykształcenia. Przekazuję wam także najlepsze pozdrowienia od mieszkańców stanu Missouri.

Wśród narastającego tumultu i krzyków rzucono na scenę sześć czy siedem pomidorów, z których jeden rozbił się u jego stóp.

Hamm spojrzał na pierwszy rząd, oczekując, że rektor położy temu kres, ale nie uczynił żadnego gestu w tym kierunku ani on, ani żaden z zasiadających obok niego profesorów, z których ten i ów uśmiechał się z wyższością. Wtedy dopiero Hamm zdał sobie sprawę z tego, że jest pozostawiony sam sobie. Przez chwilę stał nieporuszony, słuchając narastającego zgiełku i patrząc, jak wchodzi z zewnątrz grupa kontestatorów i maszeruje wokół, potrząsając tablicami z hasłami i skandując wrogie teksty, co musiało być zaplanowaną uprzednio demonstracją.

W ogóle nie mieli zamiaru słuchać jego przemówienia. Wszedł na głupca. Vita i chłopaki mieli rację. W kulisach stał Rodney i dawał mu znaki, żeby zszedł ze sceny. Mógł odwrócić się i wyjść, ale nie zrobił tego. Przeciwnie, wstąpiła w niego wściekłość, zapał się teraz. I mimo że wiedział, iż jego głos nie przebije się przez okrzyki, skandowania i tupot, zaczął mówić:

– Możecie mnie obrażać, ale nie jesteście w stanie obrazić byłego gubernatora stanu Missouri. I niech mnie szlag trafi, jeśli dałbym się zakrzyczeć. Poprosiliście mnie, żebym

wygłosił przemówienie, więc je usłyszycie. Przeczytałem wszystkie wyzwiska, jakie powypisywaliście na tablicach. Możecie mnie nazywać ciulem, burakiem, wsiokiem czy jak wam się podoba. Ale my mamy przynajmniej tyle wychowania, że nie zapraszamy nikogo po to, by go mieszać z błotem. Teraz szczycę się tym, że jestem wsiokiem, ale za to nie jestem fanatykiem. Jeśli mówię, że reprezentuję wszystkich, to naprawdę wszystkich, was też, hippisy. I jest mi was żal, bo wcale nie wiecie niczego lepiej ode mnie. – Popatrzył na pierwszy rząd. – Opowiadam się za wszystkimi, ale nie za tymi jajogłowymi profesorkami, którzy tu siedzą i robią wam pranie mózgów, byście występowali przeciwko własnemu krajowi. Faszcerują was wywrotowymi hasłami... buntują was, byście spalili karty powołania, pozwalają, byście szargali amerykańską flagę. – Teraz mierzył palcem w grono profesorskie. – Nie dziwota, że uczycie dzieciaki. Bo dorośli dawno by już wypruli z was flaki. Ale mam dla was radę. Jak wam tu się nie podoba, to jest kupa chłopaków w VFW czy w Legionie Amerykańskim, których aż palce świerzbią, by was wyprawić do Rosji. A Ruscy nie będą się z wami patyczkować, zważać na wasze jęki i biadolenie. Wierzę w wolność i prawa jednostek, ale nikt nie ma prawa mieszkać w tym kraju i nic nie robić, tylko krytykować i przeszkadzać w rządzeniu.

Następnie zwrócił się do protestujących, którzy skandowali co sił w płucach: SZYTO-KRYTO, SZYTO-KRYTO, ILU CHŁOPCÓW DZIŚ ZABITO? oraz DO WOJSKA NIE PÓJDZIEMY, WOJNY NIE CHCEMY!

– Wiecie, że radość z tego mają wyłącznie komuniści, a kiedy opluwacie jednego żołnierza albo jednego policjanta, plujecie na cały naród. Jesteście tylko bandą wystraszonych maminsynków, którzy chcą, żeby inni za was walczyli. A wielu z nich to czarne chłopaki, których mama i tata nie mieli dość kasy, by ich wyreklamować z wojska. To wy jesteście zakłamani. A jeśli kiedykolwiek przyjdą tu komuniści, ci sami zasmarkani profesorkowie będą się rozglądać za kimś, kto ich obroni, ale wtedy już nie będzie komu ich bronić, bo wszyscy zwieją do Kanady.

Skandujcie teraz, ile wlezie, obnoście te swoje transparenciki, okupujcie, co tam chcecie, ale kiedy dorośniecie, będzie wam wstyd. A jeśli rzeczywiście chcecie przydać się temu krajowi, to idźcie do fryzjera, zetnijcie kudły, weźcie kąpiel i pójdźcie do szpitala weteranów odwiedzić tych, którzy walczyli, żebyście wy teraz mogli wznosić te swoje żałosne haselka. – Przerwał dla nabrania oddechu. Wrzawa nie ustawała. – Kiedy tu przyjechałem, wasz rektor poinformował mnie, że nie dostanę od was medalu za zasługi, jaki zazwyczaj dostają

zaproszeni goście, ponieważ tak zwane prezydium profesorskie nie uznaje moich zasług. No i dobrze, bo ja nie uznaję ich zasług. W moim biurze przeprowadzono krótkie badania i co się okazało? W ciągu ostatnich pięciu lat przyjmowaliście tu Fidela Castro, Nikitę Chruszczowa i członka Czarnych Panter, i nie mogliście się doczekać, by wręczyć wasze medale za zasługi tej trójce przysięgłych wrogów naszego kraju, którzy jeśliby tylko mieli cień szansy, zniszczyliby nasze państwo bez chwili wahania. Jeśli więc tacy ludzie dostają od was medale za zasługi, to ja się cieszę, że mi go nie przyznano.

Wyszedł przy akompaniamencie nie słabnących wrogich okrzyków, pohukiwań i terkotek. Dotarł do samochodu i zobaczył, że w aucie opony zostały pocięte, a cała karoseria pomalowana sprayem na pomarańczowo. Kiedy w końcu na kapciach udało im się wyjechać z kampusu, Rodney odwrócił się, pokazując im środkowy palec i śmiejąc się do rozpuku.

Kiedy Wendell zapytał, co go tak rozśmieszyło, Rodney odpowiedział:

– Te bydlaki są takie głupie, że nawet nie wiedzą, że to ich samochód.

Hammowi nie było do śmiechu. Wygłosił przemówienie, którego nikt nie słuchał. Przez cały czas zebrani krzyczeli, pohukiwali, tupali. Później jednak Hamm uznał, że to dobrze, przynajmniej on słyszał, co mówił, i to mu poprawiło samopoczucie.

Kiedy wrócili do domu, opinia była jednoznaczna. Nawet on sam musiał przyznać, że tym razem charyzma Hamma Sparksa nie zadziałała. Myśleli, że na tym koniec. Tymczasem jeden ze studenckich reporterów, spodziewając się, że prelegent może być zagłuszony, umieścił na scenie mały magnetofon, którego Hamm nie zauważył. Każde wypowiedziane przez niego słowo zostało nagrane. Później student ten odtworzył całe nagranie, spisał wszystko słowo po słowie i opublikował w uniwersyteckiej gazecie.

Hamm nie spodziewał się zobaczyć czarno na białym, co powiedział. Liczył raczej, że nikt tego nie słyszał. Dziennikarz z kolei liczył na to, że opublikowanie tego przemówienia do końca zniszczy karierę Hamma. Tymczasem w Akron w Ohio ojciec dziennikarza, weteran wojenny jak Hamm, znalazł gazetkę, w którą jego syn zawinął brudną bieliznę, wysłaną do domu matce do wyprania, i przeczytał mowę Hamma. Po zapoznaniu się z treścią przemówienia, powiedział do siebie:

– Tak jest, chłopie.

A potem rozesłał odbite na powielaczu kopie wszystkim swoim przyjaciołom, a ci następnie swoim przyjaciołom. Tak więc publikacja zamiast zaszkodzić Hammowi Sparksowi, na co liczył reporter, zaszkodziła jemu samemu, bo ojciec przestał łożyć na jego

studia, co z kolei sprawiło, że chłopakowi groziło powołanie do wojska. I tak głosiciel miłości z wyłączeniem wojny musiał autostopem uciekać do Kanady.

Wkrótce odbitki mowy Hamma zatoczyły krąg i dotarły do wszystkich szpitali weteranów wojennych i świetlic Amerykańskich Legionów. Na tablicach ogłoszeń posterunków policji, w halach straży pożarnej i świetlicach w całym kraju porozlepiane zostały kopie mowy Hamma Sparksa, który wkrótce zaczął otrzymywać setki listów z wyrazami poparcia ze wszystkich stanów. Miesiąc później nagłówek jednej z największych gazet amerykańskich brzmiał:

HAMM PRZECIW JAJOGŁOWYM: Hamm 10, Jajogłowi 0.

To spowodowało serię kolejnych artykułów. Wkrótce zadzwonił rzecznik prasowy NRA* z pytaniem, czy mogą nazwać rewolwer jego imieniem, a kiedy sprzedaż nalepek na zderzaki ze sloganem KTO NIE Z NAMI, TEN PRZECIW NAM wzrosła niemal dwukrotnie w ciągu jednego tygodnia, firma drukująca je przesłała mu list dziękczynny z wdzięczną dotacją.

* NRA – National Rifle Association, odpowiednik polskiego Bractwa Kurkowego.

Według powszechnego mniemania ten nagły przyływ poparcia i popularności przywiódł Hamma do fałszywego wniosku, że powinien ubiegać się o urząd prezydenta.

Tego dnia, w którym Hamm złożył swoje zadziwiające oświadczenie, zachwycony Cecil poczuł miękkość w kolanach na samą myśl o wspaniałych przyjęciach i rautach, jakie będzie mógł planować w Białym Domu. Vita miała mieszane uczucia. Oczywiście nie zamierzała przeszkadzać mu w realizacji jego planów, jakiegokolwiek by one były, ale jego decyzja wprawiła ją w głęboki niepokój. Polityka na tym etapie przestawała oznaczać grupkę mężczyzn spiskujących w pokoju na zapleczu. To już była śmiertelna walka. Ludzie ginęli w tej walce. A Hamm zdążył już dorobić się wielu politycznych wrogów. Dla niego jednak rezygnacja z kandydowania byłaby równoznaczna ze śmiercią.

Kiedy nocą spojrzała na przytulonego do jej piersi uśpionego faktycznego gubernatora i być może przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, westchnęła do siebie:

– Niech nas Bóg ma w swojej opiece.

Nieoczekiwana decyzja Hamma, by startować w wyborach prezydenckich, zaskoczyła wszystkich, ale najbardziej nie przygotowana na to okazała się Betty Raye. Hamm niczego z nią nie omawiał. Jak zawsze nie miała pojęcia, co robić, dopóki on nie podjął decyzji.

I nagle, z dnia na dzień, Hamm przestał być obecny w biurze, gdyż zaczął jeździć po kraju, przygotowując swą kampanię prezydencką, ona zaś znalazła się w pułapce. Jej pierwszy doradca przestał być osiągalny. Przed wyjazdem zapewnił jeszcze wystraszoną Betty Raye, że nie ma się czym martwić, bo on nadal będzie czuwał nad wszystkim, choć tylko przez telefon. Na krótką metę to skutkowało, ale w miarę upływu czasu Hamm tracił zainteresowanie sprawami stanu, a bardziej skupiał się na organizowaniu własnej kampanii; w praktyce, coraz trudniej było się z nim skontaktować.

Kiedy Hamm przebywał poza stanem, jego obowiązki w miarę możliwości przejął Wendell, ale coraz częściej Hamm odciągał go do swojej kampanii, podobnie jak i pozostały personel, tak że Betty Raye nieraz całymi dniami pozostawała zdana wyłącznie na siebie. W rezultacie zaczęła osobiście kierować sprawami stanu, do czego nie była przygotowana, nie lubiła tego ani się na tym nie znała.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy została wybrana na gubernatora stanu, Betty Raye musiała zacząć czytać to, co podsuwano jej do podpisu, i samodzielnie podejmować decyzje. Przerazona możliwością popełnienia błędu wysiadywała do trzeciej, czwartej nad ranem, przekopując się przez sterty ksiąg i przepisów, usiłując zgłębić w rekordowym tempie zasady kierowania stanem, a jednocześnie zmagając się z wychowywaniem dwójki dzieci. Hamm dzwonił od czasu do czasu, starał się telefonicznie dodać jej ducha, tłumaczył się, że wie, iż to wszystko jest dla niej trudne, ale on ma zobowiązania wobec narodu amerykańskiego, by występować w jego imieniu. Może to i dobre dla Ameryki, myślała Betty Raye, ale tymczasem to ona musiała samodzielnie ciągnąć taczki i podejmować decyzje bez żadnego wsparcia. Robiła jednak, co było w jej mocy. Czasem parę osób mogło się głęboko zadziwić, że emisja obligacji została zatwierdzona i podpisana po uzyskaniu pochlebnej opinii Alberty Peets, która dobrze wiedziała z autopsji, czego dotyczyły. Właśnie ona podpowiedziała Betty Raye, że wyasygnowanie kwoty piętnastu milionów dolarów na odnowienie więzienia dla kobiet Mabel Dodge to świetny pomysł.

Nieoczekiwanie dla samej siebie Betty Raye musiała popatrzeć trzeźwym okiem na to, co się działo w stanie Missouri. Budowanie dróg i mostów z pewnością było korzystne dla gospodarki, ale oprócz tego istniało jeszcze mnóstwo spraw czekających na rozwiązanie, którymi Hamm nie zaprzętał sobie głowy z powodu nadmiaru zajęć. Zaczęła czytać listy od kobiet adresowane do pani gubernator, napływające z całego stanu, listy, na które przedtem odpowiadał ktoś z biura Wendella. Betty Raye przejęła się głęboko sprawami, z którymi się

do niej zwracano. Pisały kobiety porzucone przez mężów lub wdowy pozostawione bez środków do życia. Niektóre z nich musiały nawet rozstać się ze swoimi dziećmi. Stare kobiety, które przepracowały całe życie, a na koniec zostawały bez grosza i dachu nad głową. Nadeszły setki listów pisanych w nadziei, że ona jako kobieta zrozumie problemy autorek. Z pewnością nie zwracałyby się z tym do żadnego innego polityka.

Betty Raye dotychczas podpisywała wszystkie dokumenty u siebie na górze. Ale teraz gromadziło się tego coraz więcej, tak że trudno było ze wszystkim nadażyć. Któregoś ranka zeszła do gabinetu gubernatora, po raz pierwszy usiadła za biurkiem Hamma i nacisnęła guzik, nie mając pewności, czy właściwy.

– Tak? – zgłosił się ktoś, kogo nawet nie знаła.

Odskokczyła przestraszona.

– Tak? – powtórzył ten sam głęboki głos.

Wtedy pochyliła się, by cichutko poprosić:

– Czy mógłby mi pan przynieść listę stanowych szkół handlowych, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu?

– A kto mówi? – zapytał głos.

– Gubernator – odparła zaskoczona własną odpowiedzią.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem nagle opamiętanie.

– Tak jest, proszę pani, w tej chwileczce.

W oczekiwaniu na żądany dokument rozejrzała się po przestronnym gabinecie. Po chwili spostrzegła stojącą na biurku plakietkę z napisem GUBERNATOR HAMM SPARKS, obejrzała ją sobie, po czym otworzyła szufladę, włożyła do niej plakietkę i zamknęła szufladę z powrotem.

Hamm był dumny ze szkół handlowych, które osobiście otwierał, ale Betty Raye, która nigdy o nic nie pytała, zauważyła ku swemu rozczarowaniu, że szkoły te były przeznaczone przeważnie dla chłopców. Odkryła też, że większość stanowych stypendiów również przyznawana była chłopcom. Istniały programy dla chłopców, sportowe stypendia wyłącznie dla nich, natomiast nic dla dziewcząt. Młodzieńcy, którzy popadli w tarapaty, posyłani byli na obozy, gdzie udzielano im pomocy, ale dziewczęta nie miały dokąd się udać.

Pomyślała, że to nie w porządku. Betty Raye wiedziała, że jej polityczna siła jest właściwie żadna. Ale dzień, w którym przestąpiła próg rozpadającego się starego budynku,

gdzie hasały szczury, będącego siedzibą szkoły dla głuchoniemych i niewidomych, okazał się punktem zwrotnym w jej działalności. Szkoła ta przeznaczona była dla dzieci z biednych rodzin, które nie mogły zapewnić im opieki w domach. Przekonała się, jak bardzo te dzieci potrzebowały schludnego miejsca, gdzie mogłyby mieszkać i uczyć się, oraz jak niedoceniani i nisko opłacani byli nauczyciele i cały personel tej placówki. Przeżyła straszną chwilę, kiedy mała niewidoma dziewczynka dotarła do niej po omacku, przedzierając się przez tłum, gdyż myślała, że Betty Raye to jej mama, a kiedy już do niej trafiła, uczepiła się jej spódnicy i w kółko powtarzała: „Mama, mama”. Betty Raye była tym tak wstrząśnięta, że z trudem doszła do samochodu. Płakała przez całą drogę powrotną. Dziewczynka mogła wyglądać jak Beatrice Woods, kiedy ta była w jej wieku.

Nie wiedziała, jak tego dokonać, ale gdy tylko Hamm wracał do domu na trochę dłużej, nastawała, że jeśli ma pozostać na stanowisku gubernatora, to koniecznie coś trzeba będzie w tych sprawach zrobić.

Po raz pierwszy w życiu zamierzała stanąć w czyjejs obronie.

Żyła złota

Hamm zadzwonił do Vity z Detroit tak podekscytowany jak jeszcze nigdy dotąd. Właśnie wrócił do hotelu po spotkaniu z przedstawicielami związku zawodowego kierowców ciężarówek, na którym przemawiał do pięciu tysięcy ludzi.

– Vita, mam szansę wygrać. Przekonałem się po raz pierwszy tak naprawdę, że powinienem kandydować. Walter twierdzi, że może zapewnić mi głosy całego związku. Powiedział, że kraj czeka na kogoś takiego jak ja i że ludzie są już zmęczeni tym ciągłym przestawianiem ich z kąta w kąt.

– Jak się udało przemówienie?

– Świetnie!

Hamm przystąpił do ogólnokrajowej kampanii zaledwie przed paroma miesiącami, a zdążył już pozyskać nie tylko sympatię rolniczych środowisk, jak się spodziewał, ale też, ku zaskoczeniu wszystkich pozostałych, zaczął ponadto przyciągać ogromne rzesze ludzi w Chicago, Newarku i Pittsburghu; jego popularność rosła z każdym dniem. Hamm trafił w dziesiątkę albo – jak określił to jeden z felietonistów – trafił na nieprzebrane pokłady ludzkiego niezadowolenia; był jedynym kandydatem, który „mówił, jak jest”, wypowiadał

głośno to, o czym inni mówili po cichu. Wielu ludzi odczuwało frustrację, widząc, dokąd zmierza ten kraj. Wprawiało ich w gniew forsowanie przez rząd decyzji nie po ich myśli. Zaczynali się obawiać, że jeśli nie znajdzie się ktoś, kto położy temu kres, nie wiadomo, jak się to wszystko skończy. W środkowych stanach Ameryki coraz bardziej zaczęto się obawiać, że liberalni bogaci politycy ze wschodu ze swoimi programami nieustannych ustępstw prowadzą naród na ścieżkę socjalizmu, zaśmieconą przy tym nadmiarem biurokracji. Niemal wszyscy byli zaniepokojeni obrotem wojennego teatrum, w czym dostrzegali słabość rządu, który nie potrafił tego zakończyć. Szokował ich brak szacunku protestujących grup dla amerykańskich żołnierzy walczących w Wietnamie, zwłaszcza wśród tych, którzy przedtem walczyli w czasie drugiej wojny światowej i w Korei. Ada Goodnight, która brała udział w drugiej wojnie światowej jako pilot, oświadczyła, że byłaby gotowa w każdej chwili pojechać do Wietnamu. Dla nich wojna to wojna, a ci, co unikali powołania, byli zwyczajnymi zdrajcami. Wszędzie dawały się odczuć niepokoje na tle rasowym, wzrost przestępczości, narkotyki, pojawienie się w miastach gangów i ich bezkarność. Wielu wyborców zaczęło uważać, że wraz ze wzrostem znaczenia ACLU* przestępcy zdawali się mieć więcej praw niż ich ofiary. W całym kraju duchowni bili na alarm z powodu rosnącej bierności młodzieży i braku zasad moralnych. Niektórzy źródła zła upatrywali w telewizji. Albo też, jak ujął to wielebny W.W. Nails, „zło kryje się pod trzema inicjałami: ABC, NBC i CBC**”. Oni bardziej kochają Lucy niż Pana, prędzej zwrócą się do Beavera niż do Jezusa***. Przeciętni Amerykanie należący do klasy średniej, którzy ciężko pracują, rzadko się skarżą, nie są przestępcami i nie korzystają z zapomóg opieki społecznej, nagle zaczęli okazywać oznaki rosnącego rozczarowania, widząc, że w rezultacie nowych programów społecznych cały ciężar utrzymania zarówno bogatych, jak i biednych spada na ich barki. Zmęczyło ich płacenie wysokich podatków dochodowych na rzecz pomocy połowie świata, podczas gdy oni sami ledwie wiąźali koniec z końcem. Zaczęli podejrzewać, że bez względu na to, jak ciężko będą pracowali i jak wysokie zapłacą podatki, nigdy nie będzie tego dość i nikt im za to nie podziękuje.

Najsilniej jednak doznawali uczucia strachu. Rozglądali się wokół siebie i cóż widzieli? Radosna, świetlana Ameryka, w jakiej wzrastali, zaczynała być brukana i rozłazić się w szwach. Hamm Sparks wiedział dokładnie, jak ująć to w słowa, jak zwerbalizować powszechne frustracje i obawy. W przeciwieństwie do pozostałych kandydatów on zdawał się podzielać punkt widzenia przeciętnego Amerykanina.

Jak ujął to Rodney, Hamm wiedział, gdzie kogo boli i gdzie przyłożyć plaster.

Wykorzystał w pełni ich niepokój i niezadowolenie, powiedział

* ACLU – American Civil Liberties Union, Amerykańska Unia Praw Obywatelskich.

** ABC – American Broadcasting Company; NBC – National Broadcasting Company; CBC – Columbia Broadcasting Company – amerykańskie sieci telewizyjne.

*** Aluzje do popularnych programów telewizyjnych: I Love Lucy z lat pięćdziesiątych, z udziałem Lucille Ball, oraz Leave it to Beaver, z lat sześćdziesiątych; Beaver to ksywka jednego z młodych bohaterów, którego trzymały się kłopoty.

swoim słuchaczom dokładnie to, co chcieli usłyszeć. Pozyskał wszystkich wściekłych, załamanych i przestraszonych, coraz liczniejsze ich rzesze gromadził codziennie po swojej stronie. Wkrótce Hamma całkowicie opanowała przedwyborcza gorączka, gotów był zrobić wszystko, co – jak uważał – mogło go doprowadzić do Białego Domu. Układał się z ludźmi, z którymi nie powinien wchodzić w żadne układy, mówił rzeczy coraz bardziej nieodpowiedzialne. Vita przestrzegała go, by był bardziej ostrożny, Betty Raye zaklinała, by wrócił do domu. Ale to przypominało próbę zatrzymania rozpedzonego pociągu. Hamm nie był złym człowiekiem, ale dał się ponieść niepohamowanej ambicji. Wkrótce nawet ludzie z jego najbliższego otoczenia zaczęli się tym martwić, co najlepiej określił Wendell. Kiedy jakaś pani na obiadku w John Birch Society wyraziła pogląd, że Hamm jest jedynym człowiekiem, który może ocalić Amerykę, Wendell powiedział:

– Pół biedy, jeśli ona tak myśli, ale biada nam, jeżeli on też tak uważa.

Obciążenie dziedziczne

Norma poszła do salonu piękności na swoje cotygodniowe ułożenie włosów, a Macky jak w każdy piątek jadł lunch w Trolejbusowej Gospodzie. Przy barze siedziało paru mężczyzn, gdzie jak zwykle rozmawiano o polityce i Hammie Sparksie.

– Ten facet jest niebezpieczny – zauważył Macky. – Z każdą chwilą staje się coraz bardziej niepoczytalny. Teraz na przykład przyciąga każdą grupę wariatów, a tłumy ziejące nienawiścią zachęca do wyjścia z ukrycia. Jeśli nie znajdzie się nikt, kto każe mu się zamknąć, to on comie nas do czasów maccartyzmu, a zaraz potem sprowokuje wojnę z Rosją.

– Czytałem któregoś dnia, że popiera go Klan – przypomniał Ed.

Merle, którego poglądy plasowały go w bliskich okolicach radykalnej prawicy, powiedział:

– On nie ma wpływu na to, kto go popiera. W swoim wystąpieniu w prasie zaznaczył, że nie jest jednym z nich.

– Może tak sobie mówić – odparł Macky. – Ale ręczę, że bierze od nich pieniądze i Bóg raczy wiedzieć, od kogo jeszcze.

– A ty jak myślisz, Jimmy? – zapytał Ed.

Jimmy, który dotąd nie wypowiedział się na ten temat, odrzekł spokojnie:

– Zgadzam się z Mackym. Powinien się zamknąć i przestać wciągać w to bagno swoją żonę.

– No tak – przytaknął Ed. – Ale jak to zrobić? Przecież, jak to on mówi, żyjemy w wolnym kraju.

Monroe Newberry, który przyszedł właśnie ze swego składu opon i dołączył do nich, dorzucił:

– Rozmawiałem niedawno przez telefon z Bobbym, a on mówi, że wszystkie wielkie firmy ubezpieczeniowe popierają Hamma, ale trudno powiedzieć, jakie są jego faktyczne szanse.

– Nie wiem, co piszą na ten temat gazety – odezwał się Merle – ale ja uważam, że on ma całkiem spore szansę na wygraną.

Jimmy przejechał ścierką po kontuarze i nie odezwał się ani słowem.

Dwie ulice dalej w salonie piękności rozmowa toczyła się bynajmniej nie o polityce.

Betsy Dockrill, która właśnie wyszła spod suszarki, gotowa do rozczesywania, rzuciła:

– U Montgomery’ego mają wyprzedaż karnawałowych narzutek, są takie tanie, że kupiłam dwie.

Tot ściągnęła siateczkę z włosów Betsy.

– Chciałabym mieć tyle czasu, żeby siedzieć w domu w strojach przebierańców. Ale mój dzień jest tak wypełniony, że nie mam kiedy kupić nawet jednej sztuki. Gdy wieczorem zamykam zakład, marzę już tylko o tym, żeby znaleźć się w domu i rozprostować nogi.

– Powinnaś od czasu do czasu zrobić sobie wolny dzień.

– Zrobiłabym, gdybym mogła. – Tot rzuciła wymowne spojrzenie w stronę Darlene,

swojej dwudziestopięcioletniej córki, która razem z nią pracowała w zakładzie. Betsy pojęła aluzję. Darlene nie grzeszyła zbytnią inteligencją i nie można jej było zostawić samej w zakładzie bez kogoś, kto by pilnował, żeby znów nie nałożyła czegoś niewłaściwego na włosy klientki. Już i tak Tot płaciła niebotyczną składkę ubezpieczeniową.

Norma siedziała na sąsiednim fotelu, mając połowę włosów nakręconych, i przeglądała jakiś magazyn.

– Czy sądzisz, że Elizabeth Taylor jest szczęśliwa? – skierowała pytanie do Tot, która akurat zaciągała się papierosem.

Tot wydmuchnęła kłęb dymu.

– Obnosi się z brylantem wielkości gałki do drzwi, dlaczego więc miałaby nie być szczęśliwa?

– Po prostu zastanawiam się, czy z całą tą sławą, pieniędzmi i niezliczonymi mężami można naprawdę osiągnąć szczęście.

– No cóż – orzekła Tot. – Jeśli nie jest z tym szczęśliwa, ja chętnie się z nią zamienię. Może sobie zatrzymać swoich panów, mnie wystarczą pieniądze i ten pierścionek. Ja już przeszłam piekło, począwszy od tatusia i Jamesa, nie mówiąc już o Dwayne juniorze. Piękne dzięki.

– Och, Tot, to brzmi okropnie. Nie wierzę, żeby twoje życie było przez cały czas takie złe. Czy nigdy nie byłaś szczęśliwa?

Tot zaciągnęła się jeszcze raz swoim pali mailem i odłożyła papierosa na czarną plastikową popielniczkę. To było ciekawe pytanie, nigdy ją o to nikt nie pytał. Zastanowiła się przez chwilę.

– Zaczekaj, weźmy ślub. Pomijając ten drobny fakt, że tatuś się upił i zwałił nieprzytomny przed wejściem, tak że musiałam sama maszerować do ołtarza, wszystko dalej poszło gładko, dopóki przed kościołem, kiedy nas obsypano ryżem, jedno ziarnko nie wpadło Jamesowi do ucha. Od tego momentu cały nasz miodowy miesiąc był zmarnowany, ponieważ on wyłącznie narzekał, że mu dzwoni w ucho. To ucho doprowadzało go do szaleństwa przez ponad dwa miesiące. Był tym tak oszołomiony, że nic, tylko leżał plackiem. Tak mu to dokuczało, że trzeba go było operować, i to trzy razy, gdyż dopiero za trzecim razem znaleźli to ziarenko, a my popadliśmy w długi, płacąc za jego szpitalne leczenie.

– Nie pamiętałam o tym – powiedziała Norma.

– Spędziłam więc pierwsze trzy miesiące swojego małżeństwa jako pielęgniarka. Potem

on dostał powołanie do wojska, a kiedy wrócił po pięciu latach, był zdeklarowanym alkoholikiem, jak tatuś. A przecież wyszłam za Jamesa głównie po to, by uciec z domu i od pijaństwa tatusia. Tak więc byłam szczęśliwa od chwili, w której powiedziałam „tak”, do momentu, kiedy wyszliśmy z kościoła i ktoś wrzucił mu ziarnko ryżu do ucha. Ile czasu trwa przejście od ołtarza wzdłuż nawy na zewnątrz? Minutę? Można więc powiedzieć, że byłam szczęśliwa przez minutę.

Norma gorzko pożałowała, że w ogóle wyrwała się z tym pytaniem.

– Biedna Tot – powiedziała. – Tak mi przykro.

– Nie, nie powinno ci być przykro, bo sama sobie jestem winna. Powinnam była wiedzieć, że to zły znak, kiedy się rezygnuje z własnych potrzeb. Trzeba mi było zakręcić się na pięcie i wrócić do domu, ale chyba wszyscy czekają na ślub. Kobiety są głupie, gotowe wyjść za każdego, kto się rusza, byleby mieć swojego chłopca. – Znów spojrzała znacząco na Darlene. – Ciągłe płacę za jej życiową pomyłkę, już trzecią z rzędu. Zresztą nie tylko kobiety są głupie. Dwayne właśnie zmajstrował dzieciaka dwóm dziewczynom, a ja będę łożyła na dzieci. Czasami żałuję, że moje dzieci nie okazały się homo, to zaoszczędziłoby mnóstwa problemów.

– Mamo, to wcale nie jest zabawne.

– Wiem, że nie jest, ale to prawda. – Tot popatrzyła na odbicie Betsy w lustrze. – Od piętnastego roku życia do dwudziestego piątego zdążyła poślubić każdego półgłówka, jaki objawił się w tym mieście, a teraz umawia się z czwartym.

Jej córka postanowiła wziąć w obronę swoje ostatnie niepowodzenie.

– Mamo, on ma przecież pracę.

Tot wzniosła oczy do nieba.

– Jeżeli zbieranie puszek po piwie i wrzucanie ich na tył ciężarówki uważa się za pracę, to przepraszam, zwracam honor. – Zmieniła temat.

Darlene, leć do miasta i przynieś mi sałatkę z tuńczykiem na chlebie pełnoziarnistym i do tego torebkę frytek. A ty chcesz coś, Norma?

– Nie, dziękuję, jadłam już lunch. Od wpół do szóstej jestem na nogach.

Po wyjściu Darlene Tot potrząsnęła głową.

– Ciesz się, Normo, że twoja córka ma wszystkie klepki w porządku. Ja chyba zwariuję przez Darlene. Mówię ci, od kiedy wylano ją ze szkółki stepowania, nic jej się nie udaje.

Zaszłam kiedyś do niej i widzę, że siedzi nad cegłą. Pytam ją, co robi, a ona na to, że piłuje

paznokcie. To ja wydałam majątek na posyłanie jej do szkoły kosmetycznej, a ona piłuje paznokcie cegłą. Kiedy w dziesiątej klasie oblała wszystko po kolei, za to przez cały czas wymyślała coś ze swoimi włosami, natychmiast posłałam ją do szkoły kosmetycznej. Wyobrażałam sobie, że przynajmniej w tym będzie dobra. Ale się myliłam. I pojęcia nie mam, po kim ona odziedziczyła te cienkie roztrzepane włosiny. Bo na pewno nie po mnie, w mojej rodzinie nie było takich włosów. To po Whootenach. Nie mówiąc o tym, co jeszcze mogła odziedziczyć, ale takie włosy to najgorsza z możliwych antyreklama mojego zakładu. Przysięgam, że taka jestem zmordowana przez nią, Jamesa i Dwayne'a, że rano ledwo mam siłę zwlec się z łóżka.

Mimo że nie chciała, by ludzie się o tym dowiedzieli, Tot miała szczerzłote serce, potrzebującym oddałaby ostatnią koszulę z grzbietu. I to był główny powód jej ciągłego zmęczenia. Po skończonym tygodniu pracy w zakładzie pakowała w weekendy swoje fryzjerskie akcesoria i szła do domów, w których mieszkały staruszki, by ułożyć im włosy. Większość z nich to były chore albo całkiem przykute do łóżek kobiety, których w dodatku nie stać było na fryzjera, ale Tot na to nie zważała. Twierdziła, że póki porusza rękoma, żadna jej znajoma w starszym wieku nie zostanie pozbawiona cotygodniowego mycia i ułożenia włosów.

I chociaż stale narzekała na Darlene i Dwayne'a juniora, dawała im jednak wszystko, czego tylko zapragnęli, a ponadto zostawała z wnuczętami za każdym razem, kiedy ją o to poproszono, co niestety zdarzało się dość często.

Wyjazd na polowanie

Hamm prowadził swoją kampanię prezydencką zaledwie od kilku miesięcy, ale już zdążył narazić się wielu wpływowym osobom. Znowu Hamm Sparks („Mówi, jak jest”) narobił sobie wrogów nawet w łonie własnej partii, ale tym razem na skalę ogólnokrajową. Mógł zaczynać z marszu jako amator, jednak na dłuższą metę, zwłaszcza gdy w grę wchodziło pozyskanie szeregowych członków, których nie należało lekceważyć, kampania okazała się znacznie trudniejsza, niż wydawało mu się na początku. Poza tym jego uboga angielszczyzna i niedostatki w obyciu towarzyskim zaczęły być żenujące dla elit ze Wschodniego Wybrzeża, wychowanków Harvardu i Yale, waszyngtońskich demokratów z fajkami i w tweedach.

Uważali też, że jego radykalne poglądy polityczne („nie bierzemy zakładników”, „wóz albo przewóz”) stanowiły zagrożenie zarówno dla nich, jak i dla kraju. Władza próbująca się z nim porozumieć chciała w końcu, by wystąpił z partii, ale on zachowywał się jak pies, który nie da sobie zabrać trzymanej w zębach kości. Hamm nie wycofał się, a gdyby go wykluczono, startowałby jako kandydat niezależny.

W dniu 31 grudnia noworoczne postanowienie Dorothy było takie samo jak w poprzednich latach:

1. Schudnąć dziesięć funtów.

W dniu 31 grudnia Minnie Oatman usiadła przy małym stoliczku w swoim srebrzystym autobusie, którym jechała na noworoczne śpiewy w Bloomington w Illinois, i też powtórzyła swoje stare postanowienie:

1. Schudnąć pięćdziesiąt funtów.

Tot Whooten zapisała to samo postanowienie od siedmiu lat, z tą tylko różnicą, że tym razem przymocowała je do drzwi lodówki:

1. Nie pożyczać więcej Darlene ani Dwayne’owi juniorowi nawet szeląga.

A w wielu domach w całym kraju powzięto całkiem nowe postanowienie noworoczne:

1. Pozbyć się Hamma Sparksa.

Wprawdzie nikt nie zapisywał tego zobowiązania na papierze, ale zakonotowano je sobie w głowach.

Tymczasem Hamm zapędzał się coraz dalej. Wiadomo było, że nie zdoła zebrać tylu głosów, żeby zwyciężyć w wyborach – zanadto przypominał zawodnika z dziką kartą – ale teraz nawet republikanie mieli powód do zmartwienia. Ku ich niesłychanej irytacji Hamm zaczął dostawać tysiące dolarów od bogatych sponsorów, którzy powinni popierać swojego człowieka. Obu partiom nie na rękę była jego rosnąca popularność. I mimo że największe dzienniki i stacje krajowej telewizji wyśmiewały go lub też wykazywały jego ignorancję, w sumie na tym zyskiwał. Coś należało z tym zrobić; gdyby sprawy dalej toczyły się w takim tempie, mógłby wszystkim zepsuć plany wyborcze.

Niektórzy ludzie wspierający go finansowo woleli tego faktu nie nagłaśniać. Ale byli też tacy, od których Hamm chętnie wzięłby pieniądze, byleby po cichu.

Z Rodneyem skontaktował się pan Anthony Leo, ten sam, który dał Hammowi łódź „Betty Raye” przed ośmioma laty, i powiedział mu, że zna kogoś w Nowym Orleanie, kto być może gotów byłby przekazać nieoficjalnie duże pieniądze, ale najpierw musiałby

porozmawiać z Hammem o tym, kogo on widzi na stanowisku pierwszego wiceprezydenta. Hamm wyraził zgodę na takie spotkanie. Obaj też uważali, że ze względu na prywatny charakter najlepiej byłoby spotkać się na jachcie tego mężczyzny w Orleanie. Kiedy nadeszła stosowna pora, Hamm zarezerwował sobie na ten cel weekend. Niestety, miał to być ten sam weekend, który obiecał spędzić wraz z Betty Raye w Jefferson City. Nie mogła się tego doczekać nie tylko dlatego, że się za nim stęskniła, ale też dlatego, że miała do niego mnóstwo pytań. W piątkowy rano poprzedzający weekend Hamm zadzwonił do niej z Jackson w Missisipi i zawiadomił ją, że nie przyjedzie do domu, ponieważ postanowił udać się z chłopakami na polowanie. Powiedział też, że w poniedziałek rano wyleci z Jackson, by wygłosić gdzie indziej kolejne przemówienie, i że nie wie na pewno, kiedy wróci. Kiedy Betty Raye odłożyła słuchawkę, omal się nie rozplakała.

Alberta Peets, akurat obecna wtedy w pokoju, zauważyła, jak bardzo Betty Raye była tym przybita, i gestem pocieszenia objęła ją ramieniem.

– Lepiej, żeby te chłopy przestały tak panią pomiatać, kiedy ja tu jeżdżę. Wiedzą, że jak wyjdę z siebie, to nie można za mnie ręczyć... Niech sobie przypominają, co się stało za ostatnim razem, kiedy się wkurzyłam na takiego jednego.

Wendell Hewitt i Seymour Gravel zadzwonili do swoich żon i powiedzieli im to samo co Hamm. W przypadku Hamma i jego paczki nie było to znowu takie kłamstwo. W końcu chodziło o polowanie na pieniądze. A ponieważ prasa deptała im po piętach i stale węszyła, należało bardzo ostrożnie zaplanować podróż do Nowego Orleanu. Po starannych przemyśleniach i studiowaniu mapy Rodney Tillman przedstawił im swój plan. Ponieważ Hamm będzie w Jackson, by wygłosić przemówienie, Rodney wróci do Missouri kilka dni wcześniej, weźmie łódź „Betty Raye” i spotka się z nimi w pobliżu granicy między stanami Missisipi i Luizjana na przystani krewniaka pana Leo i stamtąd zabierze ich do Nowego Orleanu drogą wodną. Aby zaś nikt niepowołany nie mógł ich zobaczyć, Cecil Figgs o czwartej rano podjedzie po nich do motelu starym karawanem, który pożyczy z zaplecza jednego ze swoich kansaskich domów pogrzebowych, i zawiezie ich na spotkanie z Rodneyem już czekającym na nich na pokładzie. Nie był to najwygodniejszy sposób podróżowania, ale przynajmniej nikt za nimi nie jechał ani nie widział Hamma i Wendella skulonych z tyłu karawanu za zaciągniętymi firankami. Zostawili karawan ukryty w krzakach o pół mili od miejsca na rzece, gdzie miała na nich czekać „Betty Raye”, i resztę drogi przebyli na piechotę. Gdy dotarli już na pokład, zaśmiewali się przez całą drogę po Missisipi,

zadowoleni, że udało im się wyprowadzić wszystkich w pole.

Cecil nie miał pojęcia, jaki charakter miało mieć to spotkanie i niewiele go to obchodziło. Kiedy wpłynęli na nadbrzeże w Nowym Orleanie i przycumowali tuż obok łodzi długości siedemdziesięciu pięciu stóp, gdzie mieli się spotkać z przyjacielem pana Leo, Cecil miał już swoje plany na spędzenie wolnego czasu w Dzielnicy Francuskiej. Poza tym, czyż warto sobie zaprzętać głowę politykami, skoro wokół tyłu było pięknych chłopców, matka zaś daleko i nikt nie miał pojęcia, gdzie Cecil się podziewa? Sama radość. Miał już ochotę wyskoczyć z łodzi. Ale frajda!

Zaginiony Hamm Sparks

i czterej pozostali – podejrzenie przestępstwa

We wtorek rano wszystkie gazety, radio i telewizja w całej Ameryce grzmiały tylko o jednym.

Po południu na trawniku przed rezydencją gubernatora koczowały już tłumy dziennikarzy, kamerzystów i fotoreporterów, i stale nadciągali nowi. Zapowiedź wieczornego programu NBC prowadzonego przez Davida Brinkleya zawierała się w jednym zdaniu:

„Kontrowersyjny kandydat na prezydenta Hamm Sparks wraz z czterema innymi osobami, w tym prokuratorem stanu Missouri, zniknęli w czasie ostatniego weekendu. Pytanie: dokąd się udali?”

To była prawdziwa zagadka. Policja stanowa, prokurator okręgowy, FBI powiadomieni o zaginięciu tych osób znaleźli się w ślepych zaułku. Jedyne, co udało im się stwierdzić, to że mężczyźni ci po raz ostatni byli widziani w piątkowy wieczór i że w poniedziałek rano żaden z nich się nie pojawił w miejscu, gdzie ich oczekiwano.

Hamm miał wygłosić przemówienie do sześciu tysięcy zgromadzonych członków AFL-CIO* w Grand Rapids, a Cecil obiecał zabrać swoją matkę do okulisty. Stało się coś naprawdę niedobrego. Przez kilka dni bez przerwy FBI wypytywało wszystkich po kolei. Seymour i Wendell opowiedzieli żonom tę samą wersję, że jada na polowanie. Była żona Rodneya o niczym nie wiedziała, ponieważ wcześniej już się rozstali, nie omieszkała jednak podać do prasy informacji, że Rodney zalegał z płaceniem alimentów. Najbardziej zadziwiające było to, że Ce-

* AFL-CIO – American Federation of Labor and Congress of Industrial Organizations, Amerykańska Federacja Pracy i Kongres Organizacji Przemysłowych.

cil zostawił swojej matce, pani Ursie Figgs, liścik, w którym donosił, że udaje się w podróż służbową i że wróci w poniedziałek, by zawieźć ją do okulisty. Tylko on nie wspomniał o polowaniu. A ponieważ nie należał do grona myśliwych, trudno było wyrokować, czy w tym czasie przebywał z pozostałymi mężczyznami czy nie, można było jedynie tak domniemywać, ponieważ zniknęli w tym samym czasie. Betty Raye chodziła jak nieprzytomna, usiłując uspokoić chłopców i trzymać ich z dala od prasy.

Kiedy Minnie usłyszała tę złą nowinę, zostawiła zespół w Charlotte w Karolinie Południowej i natychmiast przyleciała samolotem, by być razem z córką. Przeprowadzono ją przez tłum dziennikarzy, a kiedy znalazła się już w środku, ze łzami rzuciła się do Betty Raye, porwała ją w objęcia i zawołała:

– Moje kochanie, to tak samo jak wtedy, gdy skradli nam Chestera. A teraz znowu zabrali naszego Hamma!

Minnie natychmiast zaczęła tworzyć grupy modlitewne w środku rezydencji i na zewnątrz. Reporterzy, w większości przybyli z Nowego Jorku, chcąc nie chcąc, padli na kolana, i trzymając się za ręce wraz z grubaską, modlili się o powrót Hamma. Wezwano Straż Narodową Missouri, która miała przeczesywać tereny, gdzie polowali zazwyczaj Hamm i jego świta. Przez kolejne dni Betty Raye, coraz bardziej zrozpaczona i przerażona, czekała na wieści o swoim mężu. Zadzwoiła do niej Dorothy z pytaniem, co może dla niej zrobić, ale przecież nikt nie mógł dla niej zrobić niczego poza znalezieniem jej męża.

Nikt nie wiedział, co począć, Betty Raye też nie miała żadnego pomysłu. Wydawało się nie do pojęcia, jak pięciu dorosłych mężczyzn mogło zniknąć bez śladu. Sprowadzono z Waszyngtonu Jake'a Spurlinga, eksperta FBI od zaginionych osób, i powierzono mu ten przypadek do rozwikłania. Niezwłocznie przesłuchano licznych wrogów Hamma, ale żaden w najmniejszym stopniu nie był zamieszany w jego zniknięcie. Rząd wyznaczył nagrodę 500 000 dolarów za jakiegokolwiek o nim informacje. Spowodowało to lawinę telefonów do rozgłośni radiowych i telewizyjnych, setki ludzi dzwoniło, twierdząc, że podczas owego weekendu widzieli latający talerz. Pewna kobieta utrzymywała, że zobaczyła zaginionych, jak wyglądali przez okno jednego z latających talerzy podczas startu, który miał miejsce na jej pastwisku. Wezwano wszystkich znanych jasnowidzów. Jeden, sprowadzony z Londynu,

twierdził nawet, że mężczyźni ci sprzeniewierzyli znaczne sumy pieniędzy i teraz przebywają w Nowej Gwinei wśród Pigmejów. Inny uważał, że zaginęli w regionie Trójkąta Bermudzkiego. Cały kraj znajdował się w stanie szoku i trwogi spowodowanych faktem, że kandydat na prezydenta mógł tak po prostu zniknąć z powierzchni ziemi bez najmniejszego śladu.

Alberta Peets, która miewała przeczucia, owego weekendu pojechała na przepustkę odwiedzić matkę. Tam nieoczekiwanie przejął ją zimny dreszcz, co jej zdaniem musiało oznaczać, że zaginionieni znajdują się gdzieś na Alasce.

– Zaginionieni na pewno znajdują się gdzieś na Alasce – oznajmiła.

Kilka dni po tym, jak gazety wszczęły alarm, nadzwyczaj zdenerwowany pan Anthony Leo zadzwonił z budki telefonicznej do swego przyjaciela w Nowym Orleanie. Przyjaciel stwierdził, że nic mu nie jest wiadomo o tym, co po spotkaniu stało się z pięcioma mężczyznami, i zapytał, czy czasem pan Leo nie wie czegoś na ten temat. Pan Leo odparł, że nie wie. Po skończonej rozmowie każdy z nich zastanawiał się, czy ten drugi nie kłamie, ale oczywiście żaden nie powiedział tego głośno. W tych kręgach tak było najlepiej. Mieszkańcy Missouri nie mieli pojęcia, co robić ani jak zachowywać się w takim przypadku. Nic podobnego dotychczas się nie zdarzyło. Nie wiedzieli więc, czy opuścić flagi do połowy masztu czy tylko trochę, bo tak na dobrą sprawę nie wiadomo przecież było, czy zaginionieni są żywi czy martwi. Tylko Cecil Figgs mógłby wiedzieć, co robić, ale on przecież należał do zaginionych.

Było jednak dwóch mężczyzn, którzy ani specjalnie się nie dziwili, ani też nie martwili zniknięciem Hamma i jego towarzyszy – Earl Finley i Jimmy Head. Wkrótce potem, kiedy Earl wykonał obowiązkowy telefon do Betty Raye, by w imieniu własnym i Partii Demokratów Missouri powiedzieć jej, jak bardzo mu przykro z powodu złych wiadomości, jakie do niego dotarły, zamknięty wraz z kilkoma przyjaciółmi w tanim hoteliku z trudem powstrzymywał się od uśmiechu, kiedy obmyślał następne posunięcie. Jimmy Head natomiast przyjechał akurat do Kansas City na pogrzeb przyjaciela, kiedy dowiedział się o nieszczęściu, ale gdy wrócił do Elmwood Springs, jego jedynym komentarzem na ten temat były słowa:

– Dziwię się, że to się stało dopiero teraz. Przykro mi ze względu na Betty Raye, ale bez niego będzie jej o niebo lepiej.

Po jakimś czasie stało się niestety jasne, że oni nie wrócą. Betty Raye podziękowała matce za przybycie, powiedziała, że czuje się już dobrze i że Alberta się nią zajmie, Minnie natomiast powinna wrócić w trasę. Prawdę mówiąc, Betty Raye wcale nie czuła się dobrze, ale kiedy nie przebywała razem z chłopcami, wołała zostać sama i móc pomyśleć w samotności, próbując jakoś pogodzić się z nową sytuacją. Nikt nigdy nie wyobraża sobie, że czyjeś ostatnie spojrzenie może być rzeczywiście ostatnie. Nie mogła spać, nie mogła jeść. Niepewność, czy on jeszcze znajduje się wśród żywych, była dla niej torturą, ale prócz oplakiwania męża musiała jeszcze martwić się o swoich synów i cały stan.

Miesiąc później, kiedy wróciła po dwuznacznym i raczej dziwnym nabożeństwie żałobnym poświęconym Hammowi i pozostałej czwórce, dotarło do niej z całą wyrazistością, że najprawdopodobniej Hamm już nigdy nie wróci. Wtedy zapragnęła umrzeć. Mogłaby, gdyby nie dwójka synów. Zwłaszcza Hamm junior, który ubóstwiał ojca i szczególnie boleśnie odczuwał jego stratę, w tym okresie bardzo jej potrzebował.

Jako wdowa po tak znaczącej postaci Betty Raye przynajmniej odbierała wyrazy powszechnego współczucia i solidarności, natomiast Vita Green cierpiała w całkowitej samotności i milczeniu, czekając – podobnie jak Betty Raye – na jakiś znak. Ona jednak – w przeciwieństwie do Betty Raye – zdawała sobie sprawę z tego, jak brutalne może być współzawodnictwo w polityce i jak bardzo Hamm wystawiał się na ryzyko i niebezpieczeństwo, dlatego też w jakimś stopniu spodziewała się, że może się zdarzyć coś takiego, co się akurat zdarzyło. Przygotowana na cios czy nie, odczuła go bardzo boleśnie. By nie urazić jego rodziny, nie poszła na poświęcone mu nabożeństwo żałobne. Przez ten czas czuwała w domu, rozpamiętując w samotności jego stratę. Ludzie, którzy wiedzieli o jej związku z Hammem, próbowali ją jakoś pocieszyć, ale nic nie mogło przynieść jej pociechy, z wyjątkiem może upływu czasu.

Czas i cierpliwość to były rzeczy, którymi Jake Spurling dysponował w nadmiarze.

Niezbyt atrakcyjny, o ospowatej cerze, był tak przywiązany do przypadków osób zaginionych, jak większość mężczyzn do swoich rodzin.

Chociaż odprawiono nabożeństwa za zmarłych, to jednak ciała pięciu mężczyzn nie zostały odnalezione i z punktu widzenia Jake'a Spurlinga sprawa daleka była jeszcze do zamknięcia. Uważany za jednego z najlepszych kryminologów w kraju, przysiągł sobie, że

nie spocznie, dopóki nie rozwiąże do końca zagadki zniknięcia Hamma Sparksa. A także kto się za tym kryje. Jake znany był z tego, że mając do czynienia z jakąś sprawą, przypominał psa, który nie popuści i nie odejdzie od trzymanej w pysku kości. I będzie tak długo węszył, drażył, aż dowie się wszystkiego, bez względu na to, ile mu to zajmie czasu. Dla Jake'a była to sprawa jego życia.

Cioci Elnor puszcza nerwy

Luther Griggs, byczysko, który często tłukł Bobby'ego Smitha i który teraz mieszkał w przyczepie campingowej na parkingu za pocztą, miał syna, takiego samego gagatka jak on, kiedy był w jego wieku. Przez cały czas ciocia Elnor trzymała kolejno rude koty, którym nadawała to samo imię: Sonny. Tego dnia rano Luther Griggs Junior rzucił kamieniem w obecnego kota cioci Elnor, Sonny'ego, i trafił go w głowę.

Kwadrans przed północą ciocia Elnor zadzwoniła do siostrzenicy z piorunującą wiadomością:

– Norma, zabiłam chłopaka Griggsów.

– Co?

– Zabiłam chłopaka Griggsów, zamordowałam go z zimną krwią. Nie chciałam, ale doprowadził mnie do tego. Powiedz Macky'emu, żeby zawiadomił policję.

– Ależ, ciociu Elnor, co ty opowiadasz?

– Zabiłam go, otrułam, pewnie leży tam gdzieś bez życia, a ślad krówki prędzej czy później zaprowadzi ich do mnie, więc równie dobrze sama mogę wcześniej załatwić sprawę i mieć to już za sobą. Przez tyle lat usiłowałam wieść uczciwe życie, ale okazuje się, że skończę jako bezlitosna morderczyni.

– Ciociu Elnor, posłuchaj. Zostań tam, gdzie jesteś, i nic nie rób, słyszysz?

Norma poszła do sypialni i potrząsnęła Mackym.

– Macky! Wstawaj! – Zaczęła go tarmosić. – Zbudź się, Macky! Musimy iść do cioci Elnor.

– Co się stało? Zachorowała?

– Ubieraj się... Mówi, że zabiła chłopaka Griggsów.

– Co takiego?

– Nie wiem, Macky. Jest cała roztrzęsiona. Twierdzi, że go otruła. Ubieraj się, zanim ona

zawoła policję.

Macky wciągnął spodnie na piżamę. Norma chwyciła palto, a kiedy przybyli na miejsce, ciocia Elner już na nich czekała na ganku, załamując w rozpaczę ręce.

– Wiem, że przyniosłam wstyd rodzinie – przyznała. – Nie mam pojęcia, co mnie do tego skłoniło.

Macky wprowadził ją do domu.

– Ciociu Elner, usiądź i opowiedz nam wszystko po kolei.

Elner była zrozpaczona.

– Opiszą mnie we wszystkich gazetach. Jak myślisz, czy zostanę zakuta w kajdanki?

Biedny Sonny ma dziurę w łebku, a jego pani pójdzie do więzienia, kto wie, może nawet na krzesło elektryczne.

– Ciociu Elner, uspokój się – powiedział Macky. – Co się stało?

– Musiałam zwariować. Może uznają mnie za niepoczytalną, jak myślisz?

– A co zrobiłaś?

– No więc chciałam mu odpłacić za to, co zrobił Sonny’emu. Wiedziałam, że go nie dogonię, więc obmyśliłam sposób, jak by tu go ściągnąć na ganek i wtedy dać mu wciry. Przyrządziłam dla niego krówki, żeby go zwabić. – Wyglądała na udęconą. – Że też się wtedy nie powstrzymałam. Ale miałam dużo przeterminowanej czekoladki na przeczyszczenie, to ją roztopiłam i dodałam do masy.

– To wszystko?

– Jeszcze odrobinę męskiego dezodorantu pod pachy.

– I to tyle?

– Nie.

– Co jeszcze?

– Pół filiżanki proszku do czyszczenia kuchenek. I proszek do mycia zębów... Obsypałam nim krówki z zewnątrz... wyglądał jak cukier puder.

– O Boże – nie wytrzymała Norma.

– Zaczekaj, Norma – uspokoił ją Macky. – Czy to już wszystko, ciociu Elner? – zapytał wyjątkowo spokojnie.

Norma popatrzyła na niego, jakby to on oszalał.

– Czy to wszystko...? Przecież to wystarczy, żeby zabić całą rodzinę!

– Nie przyszło mi to do głowy – przyznała Elner. – Uważasz, że mógł zanieść krówki do

domu? W takim razie rzeczywiście mogłam ich wszystkich wytruć. Może już tam leżą wszyscy bez ducha w swojej przyczepie. – Wyrzuciła w górę ręce w geście bezgranicznej rozpacz. – W takim razie jestem seryjną morderczynią!

– Nie tak szybko, ciociu Elnor – poprosił Macky. – Zaczynaj od początku. Opowiedz dokładnie, jak to się stało.

– Przyrządziłam cukierki... i czekałam, aż on znowu zakradnie się do mego ogródka. Wtedy zawołałam: „Chodź, chłopczyku, mam dla ciebie cukiereczki”. Myślałam, że weźmie jednego, spróbuje, a ja go wtedy złapię, ale nawet nie miałam okazji, bo on porwał z talerzyka garść cukierków i uciekł, zanim mogłam go złapać.

– Kiedy to się stało?

– Dziś rano.

– Dlaczego tak długo zwlekałaś, zanim nam o tym opowiedziałaś?

Ciocia Elnor potrząsnęła głową.

– Chyba to tak jest, że jak się robi coś takiego, to ma się wtedy mentalność przestępcy. Myślałam, że mi się upiecze. Trzeba mi było od razu się przyznać, a tak wymordowałam całą rodzinę Griggsów.

– Ach, mój Boże – zawołała przejęta Norma. – Macky, może powinniśmy zaraz sprowadzić dobrego adwokata? Chyba tak należy postępować w takich sytuacjach, co?

– Nie będziemy nikogo sprowadzać. Jestem pewny, że chłopakowi nic nie jest.

– Macky, tu nie można się niczego domyślać. Mamy do czynienia z przypadkiem morderstwa. Zaraz musisz tam iść i zobaczyć, jak się chłopak miewa. Może wszyscy powinniśmy się zacząć ukrywać.

– Na litość boską, mogę tam iść, ale to bez sensu.

– Macky, obiecaj mi, że nie wrócisz, dopóki nie sprawdzisz, czy chłopak jest zdrow i cały.

– Dobrze, już dobrze.

Drzwi się otworzyły i Luther Griggs najpierw wyjrzał ostrożnie, trzymając w ręku broń, a potem otworzył drzwi szerzej.

– Czego szukacie, do cholery, o tej porze?!

– Czy wszystko u was w porządku?

– Jasne, do pioruna. A u was?

– Czy mógłbym wejść dalej? Chciałbym porozmawiać.

Kiedy Macky wszedł do środka, ogarnął go stęchły zapach piwa zmieszany z dymem papierosów. Popatrzył na Luthera Griggsa, usiłując dopatrzeć się u niego oznak zatrucia, ale Luther nigdy nie miał zdrowego wyglądu, więc trudno było cokolwiek wywnioskować.

– Przepraszam, że przychodzę tak późno, ale powstał pewien problem. Czy syn jest w domu?

– A co on takiego zrobił tym razem?

– Nic. Chodzi o to, że mógł zjeść niedobrego cukierka i niewykluczone, że powinien obejrzeć go lekarz.

Tymczasem wyszła do nich nadęta pani Griggs, w znoszonym różowym szlafroku w brunatne kwiaty.

– Co on takiego zmalował?

– Nic, pani Griggs. Muszę go tylko na chwilę zobaczyć. Jeśli pani pozwoli.

– Po co?

– O, to długa historia. Ale niewykluczone, że moja ciocia dała mu dziś rano cukierka, który mógł mu zaszkodzić, więc chciałem tylko zobaczyć, czy nic mu nie jest.

Nie ruszając się z miejsca, wrzasnęła:

– Chodź no tutaj, słyszysz?! I to zaraz! – Po chwili zakreśliła się po pokoju i wypadła do sypialni. – Co ja powiedziałam?! Wstawaj! I to już!

Minęła następna chwila i pani Griggs znów się pojawiła, ciągnąc chłopaka za uszy, podczas gdy on opierał się i wierzgał przez cały czas.

– Moja ciocia mówiła – zaczął Macky – że wzięłaś od niej garść cukierków, którymi cię poczęstowała... Tak było?

– Ona kłamie... Nie brałem żadnych krówek – zaparł się chłopak.

– Ona nie oskarża cię o kradzież, ona...

– Głupia baba. Nie brałem żadnych cukierków, nie widziałem ich na oczy...

Luther Griggs zaczął sapać ze złości.

– Słyszysz, co mój chłopak mówi? Nigdy nie brał żadnych cholernych cukierków. Chcesz powiedzieć, że on kłamie?

– Nie, wcale nie. Chciałem tylko sprawdzić, czy nic mu nie jest. Cukierek mógł mieć...

No, niepożądane składniki. – Macky przyjrzał się jeszcze uważniej chłopakowi. – Na pewno dobrze się czujesz, synu? Cukierek ci nie zaszkodził?

– Nie próbowałem żadnego cukierka.

– W porządku, skoro dobrze się czujesz. Ale jeśli coś będzie nie tak, zadzwoń do mnie.

Masz tu mój telefon. – Na wszelki wypadek zapisał im swój numer.

A tak naprawdę Luther junior wziął cukierka, ale kiedy ugryzł kawałek, poczuł smak tak obrzydliwy, że zaraz go wypluł, a resztę wyrzucił za płot Whatleyów.

Macky już w drzwiach puścił oko do Normy.

– Nie mam dla ciebie dobrych wiadomości, ciociu Elner. Oni żyją. Szkoda, bo może za ich pozbycie się dostałabyś medal od władz miasta.

– Cieszę się, że możemy sobie z tego żartować – oświadczyła Norma. – Bo niewiele brakowało, a ciocia Elner skończyłaby w stanowym więzieniu. Nie byłoby to przyjemne dla Lindy: mieć ciotecznią babkę siedzącą w celi śmierci.

Macky roześmiał się.

– Możesz się śmiać – skarciła go Norma. – Ale w przyzwoitych domach już by jej nie przyjmowano.

Spotkanie

Jakiś czas po nabożeństwie żałobnym Betty Raye zebrała się w sobie, by zrobić coś, z czym nosiła się od dawna. Poprosiła policjanta Ralpa Childressa, aby pozwolił jej oddalić się o jedną przecznicę dalej, a kiedy stała już przed wiadomym domem w Kansas City, odźwierny w mundurze przyłożył palce do daszka swej służbowej czapki i zapytał, czego sobie życzy.

Zmieszana zaczęła grzebać w torebce, jakby czegoś szukając.

– Przyszłam zobaczyć się z panią Vita Green.

– Tak jest, proszę pani. Kogo mam zapowiedzieć?

Betty Raye, z szalem na głowie i w ciemnych okularach, wpadła w popłoch. Nie przyszło jej do głowy, że zostanie zaanonsowana. Już miała odwrócić się i odejść, ale pomyślała sobie, że skoro posunęła się już tak daleko, powinna zrobić następny krok. Odpowiedziała niemal bezgłośnie:

– Proszę powiedzieć, że przyszła pani Sparks.

– Tak jest, proszę pani. – Nacisnął jakiś guzik. – Pani Green, pani Sparks chce się z panią zobaczyć.

Nastąpiła chwila ciszy.

Potem powtórzył raz jeszcze jej nazwisko: „pani Sparks”, po czym nastąpiła kolejna długa chwila oczekiwania. Serce Betty Raye waliło tak mocno, że miała ochotę uciekać. Ale wkrótce strażnik rozłączył się i powiedział:

– Proszę wejść. Wjedzie pani windą na czternaste piętro, wysiądzie i skręci w lewo schodami na górę. Po prawej stronie zobaczy pani numer 15A.

– Dziękuję – odpowiedziała Betty Raye i weszła do windy, gdzie niemal zwymiotowała. Vitę trochę zbiła z tropu ta niezapowiedziana wizyta. W pierwszym odruchu zamierzała powiedzieć, że nie ma jej w domu. Ale potem pomyślała, że może lepiej mieć to już za sobą, więc czemu nie dziś? Nie miała pojęcia, jaki był cel tej wizyty, ale domyślała się, że jakikolwiek by był, z pewnością nie będzie to przyjemna wizyta. Zawołała do służącej w kuchni:

– Bridget, otwórz drzwi i powiedz tej pani, że zaraz przyjdę.

Wyszła ubrać się do sypialni. Jeszcze teraz ciężko jej było rano nawet podnieść się z łóżka i ubrać.

Betty Raye wyszła z windy, potem jeszcze pół piętra przeszła schodami na górę, a kiedy stanęła przed drzwiami i nacisnęła dzwonek, wzdrygnęła się na jego ostry dźwięk. Po chwili drzwi się otworzyły i Bridget już zamierzała wyrecytować słowa, które wypowiadała setki razy: „Proszę wejść i rozgościć się. Pani Green zaraz przyjdzie do pani”. Rozpoznała jednak Betty Raye z licznych zdjęć zamieszczanych w prasie i na jej widok stanęła z rozdziawionymi ustami, gapiąc się na nią bez słowa. Betty Raye była nie mniej zaskoczona, stanęła jak ship, spodziewając się zobaczyć Vitę Green, a nie kogoś innego. W końcu zapytała:

– Czy to mieszkanie pani Green?

Bridget wykrztusiła:

– Tak, psze pani.

– Czy ją zastałam?

– Pójdę sprawdzić.

Wpadła do sypialni blada jak upiór, z oczami okrągłymi ze strachu.

– Przyszła żona arcybiskupa. Stoi właśnie w drzwiach. Co mam zrobić? Powiedzieć, że pani jest w domu?

Vita siedziała przed toaletką i spokojnie malowała sobie usta.

– W porządku, spotkam się z nią.

– Może jej powiem, że pani właśnie wyjechała z miasta.

– Nie, ale jeśli usłyszysz strzał, to zawiadom policję.

– Jezus Maria, Józefie święty! – przeraziła się Brigdet.

Vita z uśmiechem poklepała ją po ręce.

– Tak tylko żartowałam – powiedziała, ale z ducha dodała: „Mam nadzieję” i zaraz wyszła przywitać Berty Raye, która nadal stała w drzwiach.

Vita okazała jagnięcą łagodność, a słowa powitania, jakie wypowiedziała, brzmiały tak, jakby je kierowała do zwykłej dobrej znajomej, a nie do żony mężczyzny swojego życia.

– Pani gubernator Sparks, przepraszam, że musiała pani czekać, ale byłam nieubrana.

Proszę wejść dalej.

Betty Raye weszła do salonu na miękkich nogach. Cały pokój przesycony był zapachem perfum shalimar, zapachem, który Hamm wnosił ze sobą.

– Proszę usiąść, pani gubernator. Napije się pani kawy czy może herbaty?

– Nie, dziękuję bardzo, może tylko szklanek wody, jeśli pani pozwoli.

– Ależ bardzo proszę. Bridget, przynieś pani gubernator Sparks szklanek wody.

Kiedy obie usiadły, Vita odezwała się pierwsza:

– Jestem pewna, że wie pani, jak bardzo mnie i nam wszystkim z rady kultury jest żal z powodu straty, jaką pani poniosła.

Betty Raye skinęła głową.

– Tak, dziękuję też za kondolencje i kwiaty.

Zapadła krępująca cisza.

Betty rozejrzała się wokół.

– Ma pani piękne mieszkanie.

– Dziękuję. – To było pierwsze spotkanie po tym, jak przed paroma laty zobaczyły się przez chwilę na przyjęciu. Betty Raye znów poczuła się w towarzystwie Vity jak nieśmiała uczennica. W dalszym ciągu Vita, która teraz siedziała naprzeciwko Betty Raye, wytworna w kolczykach z wielkimi bryłkami żółtozielonego kryształu górskiego, odzwierciedlającego kolor jej oczu, była najbardziej efektowną wśród spotkanych dotychczas kobiet.

Vita z kolei czyniła własne obserwacje. Widziała oczywiście mnóstwo zdjęć Betty Raye, jeśli nie liczyć tamtych kilku krótkich chwil, kiedy spotkały się na przyjęciu u Wheelera, teraz jednak miała okazję przyjrzeć jej się z bliska. Zobaczyła kobietę o sympatycznych rysach twarzy, niby nic szczególnego, ale było coś w jej oczach, czego przedtem nie zauważyła.

Zastanawiała się, co to może być. Dłonie Betty Raye były długie i zręczne, usta dość wydatne, co przywracało równowagę zbyt szczupłej, być może, twarzy, ale to jednak spojrzenie jej oczu niepokoiło, zbijało Vitę z tropu, na co nie była przygotowana.

Kiedy Bridget przyniosła wodę, Betty Raye wzięła od niej szklankę i z uśmiechem podziękowała.

Wtedy Vita pojęła, co takiego niepokoiło ją w oczach przybyłej – taki sam bezbronny wyraz spojrzenia miała kiedyś jej suczka. W spojrzeniu Betty Raye kryła się słodycz zmieszana ze smutkiem i coś jeszcze, co sprawiało, że Vita natychmiast zrozumiała, że ta kobieta nigdy nikogo nie zastrzeli. Bo to ona się bała. Vita powiedziała Bridget, że może wyjść, bo w razie potrzeby ją zawoła. Służąca rzuciła jej jeszcze pytające spojrzenie, jakby chciała się upewnić, czy na pewno jej pani będzie bez niej bezpieczna. Vita potwierdziła skinieniem głowy.

Siedziały naprzeciwko i patrzyły na siebie. Wreszcie Betty Raye przemówiła.

– Pomyślałam sobie, pani Green, że mam powody, by tu przyjść, ale teraz jakoś sobie nie przypominam, co to było. Czuję się jak idiotka, chyba zrobiłam wszystko, żeby tak właśnie się czuć. Pomyślałam, że może chce pani z kimś porozmawiać, z kimś, kto... Chyba chodziło mi o to, żeby dowiedzieć się, czy pani czegoś nie potrzebuje, wiem, jak pani lubiła mojego męża i jak on był do pani przywiązany... Jak bardzo był od pani uzależniony... jeśli chodzi o pani rady i tak dalej. Nie przyszła pani na nabożeństwo jemu poświęcone, wydaje mi się, że wiem dlaczego. – W tym momencie Betty Raye czknęła.

– Och, przepraszam. Pomyślałam sobie, że musi być pani ciężko nie móc... – Znow czknęła. – Ojej, teraz to mam czkawkę.

Vita wstała i wzięła od niej szklankę.

– Przyniosę pani jeszcze wody – zaofiarowała się i wyszła do kuchni, podczas gdy Betty Raye siedziała na kanapie i czekała. Kiedy Vita podała jej wodę, Betty wzięła szklankę z jej rąk, przepaszającym tonem powiedziała „dziękuję”, upiła łyk i zaraz rozlała wodę na sukienkę.

– Ojej, nie tak to sobie wszystko zaplanowałam. Chciałam... – Znow złapała ją czkawka.

– Przepraszam. Chciałam zrobić tak, jak moim zdaniem Hamm mógłby sobie życzyć.

Vita siedziała i patrzyła, jak ta kobieta na jej oczach kompletnie się rozkleja, ale nie mogła temu zaradzić. Nadal przecież nie była pewna, co właściwie Betty Raye wie.

Tymczasem Betty Raye ciągnęła dalej:

– Myślałam, że będę szlachetna czy coś w tym rodzaju, ale teraz, jak już tu jestem, zdaję sobie sprawę z tego, że potrzebuję od pani pewnych informacji. – Wybuchnęła płaczem. – Chyba potrzebny jest mi ktoś przyjazny, a nie mam do kogo się zwrócić. Lepiej już sobie pójdę. – Podniosła się. – Na pewno nie planowałam tak się zachować. – W drzwiach czknęła raz jeszcze. – Bardzo przepraszam – powiedziała, zamykając za sobą drzwi.

Vita siedziała jeszcze przez chwilę, słysząc, jak Betty Raye czka, idąc przez hol, po czym wstała i mówiąc do siebie: „pewnie tego pożałuję”, wyszła na klatkę i już przy drzwiach windy, które zaczęły się zamykać, powiedziała:

– Proszę wrócić.

– Nie, powinnam iść i zostawić panią w spokoju.

– Nie chcę, żeby pani sobie poszła. – Vita zwróciła się do zdumionego windziarza, który stał w progu i czekał, nie wiedząc, co robić. – Ona jeszcze nie wychodzi.

– Nie? – zdziwiła się Betty Raye.

– Nie, proszę pójść ze mną.

Kiedy Vita prowadziła ją znów schodami do swego apartamentu, Betty Raye powiedziała:

– Przysięgam, że nie jestem taka głupia, jak się może wydawać – po czym jeszcze raz czknęła. Gdy weszły do mieszkania, Vita posadziła ją i zaraz przyniosła szklaneczkę whisky.

– Proszę to wypić.

Betty Raye upiła łyček i przerażona spojrzała na Vitę.

– Co to jest?

– Brandy.

– No dobrze. Pomyślałam sobie, że tu przyjdę, gdyż chcę, aby pani wiedziała, że jeśli jest coś, co mogę dla pani zrobić, to niech mi pani powie. Oraz że może pani przyjść zobaczyć się z chłopcami, kiedy tylko będzie pani miała na to ochotę; zdałam sobie sprawę z tego, że musi go pani okropnie brakować. – Przerwała na chwilę, po czym dodała: – Chcę jednak o coś zapytać. Pani Green, bardzo mi ciężko zadać to pytanie, ale muszę: czy pani wie, co się z nim mogło stać?

– Nie, nie mam pojęcia. Chciałabym wiedzieć, ale nie wiem. Niech mi pani wierzy.

– Pomyślałam sobie, że jeśli ktoś wie coś na ten temat, to właśnie pani...

Vita popatrzyła na Betty Raye z głębokim namysłem.

– Czy pani wiedziała o mnie i o swoim mężu?

– O, tak.

– Od jak dawna?

– Chyba od samego początku. Hamm nie był specjalnie subtelny.

– I nigdy nic pani nie powiedziała?

– Nie. Ale niech pani sobie nie myśli, że jestem święta, bo tak nie jest. To mnie zabijało.

Płakałam, modliłam się, ale przecież nie można sprawić, żeby ktoś przestał kogoś kochać tylko dlatego, że mu się tego zabroni. Gdybym to zrobiła, znienawidziłby mnie do końca

życia. Nie było wyjścia z tej sytuacji, przynajmniej ja go nie widziałam. Oczywiście,

myślałam czasem, żeby odejść od niego, może nawet powinnam była to zrobić. Wiedziałam

jednak, że rozwód zniszczy jego karierę, postanowiłam więc trwać przy nim i po prostu

przyzwyczaić się do tej sytuacji. – Spojrzała na szklaneczkę brandy. – Chyba to mi pomogło

na czkawkę. No i oszukiwałam się, mówiąc sobie, że jeśli zgodzę się kandydować za niego na

urząd gubernatora, on będzie jakoś ze mną związany. Miałam też nadzieję, że może kiedyś

przejdzie mu fascynacja pani osobą. Ale chyba tak naprawdę to ja się bałam odejść, cóż, nie

jestem specjalnie odważna. Myśl, że będę musiała sama dawać sobie radę i samodzielnie

wychowywać dzieci, napawała mnie lękiem...

Betty Raye pociągnęła następny łyk brandy i znów się skrzywiła.

– Ale czasami zastanawiałam się, co pani sobie o mnie myśli, jeśli w ogóle pani o mnie

myślała, albo czy próbowała pani namówić go, by mnie zostawił. Oczywiście, kiedy

zobaczyłam, jaka pani jest piękna i jaka inteligentna, zrozumiałam, dlaczego on się w pani

zakochał. Nie mogłam mu tego mieć za złe. Pani po prostu ma wszystko to, czego mnie

brakuje. Zastanawiałam się nawet, czy mnie pani czasem nie nienawidzi za to, że od niego nie

odeszłam. Czy tak było?

Vita podniosła się, podeszła do barku, nalała sobie mocnego drinka i odpowiedziała po chwili:

– Nie, ja nie nienawidziłam pani. Prawdą jest taka, że ja nigdy o pani nie myślałam.

– Rozumiem – odpowiedziała Betty Raye.

– Teraz, po zastanowieniu, widzę, że nie o to szło, by mnie to nie obchodziło. Ja po prostu

nie mogłam sobie pozwolić na myślenie o pani. Przypuszczam, że każda kobieta, która ma

romans z żonatym mężczyzną, jeśli nie przestanie myśleć o jego żonie i o tym, co jej

wyrządza, nie mogłaby kontynuować tego związku. Ja nawet nie mam takiej wymówki, która

jest udziałem większości kobiet w mojej sytuacji, że ta żona jest okropna. Wiedziałam, że

pani nie jest okropna, ale czego nie wiedziałam, to tego, jak dobrze pani go rozumiała. –

Wróciła na swoje miejsce i usiadła. – Wydaje mi się, że muszę pani powiedzieć o kilku sprawach. Przede wszystkim nigdy nie chciałam wychodzić za niego za męża. Nie jestem typem żonki i proszę mi wierzyć, nigdy nie marzyłam o dzieciach. To pani powinna mnie nienawidzić. To ja skradłam pani męża. Zabrałam pani to, co się pani należało. Ja brałam z niego to, co najlepsze, a pani zostawały resztki.

Betty Raye leciutko się uśmiechnęła.

– Cóż, uważam, że w pewnym sensie mnie przypadło w udziale to, co najlepsze. Ja mam synów. Ale wydaje mi się, że bez względu na to, jak bardzo kochał panią czy mnie, czy nawet chłopców, żadna z nas tak naprawdę nie miała go dla siebie. Jego największą miłością była polityka. My zajmowałyśmy drugie miejsce.

– Może ma pani rację – przyznała Vita.

Betty Raye wiedziała, że nadeszła pora pożegnać się. Już chyba wszystko zostało powiedziane. Ale z jakiegoś powodu jeszcze nie ruszała się z miejsca. Ciągłe patrzyła na Vitę, jakby pozostawało coś do powiedzenia, tylko nie wiedziała właściwie co.

Vita zastanawiała się, o co jej jeszcze może chodzić, skoro siedzi nadal zgnębiona. I nagle ją olśniło. Pochyliła się do przodu, ujęła w swoje ręce dłonie Betty Raye, popatrzyła jej głęboko w oczy i zapytała:

– Pani Sparks, a może pani potrzebuje pomocy?

Betty Raye uczepliła się jej rąk i z uczuciem ogromnej ulgi wyznała:

– Och tak, Boże, bardzo potrzebuję. W większości sytuacji nawet nie wiem, co robić ani kogo zapytać, bez Hamma śmiertelnie się boję. Wiem, jaka pani jest inteligentna i ile Hamm pani zawdzięczał. Och, pani Green, może rozważy pani propozycję zostania moim doradcą?

– Po pierwsze, jestem Vita i będę szczęśliwa, jeśli się na coś pani przydam, pani Sparks.

– Och, dziękuję ci, Vito, mów mi Betty Raye, bardzo proszę.

Vita odprowadziła Betty Raye do drzwi.

– To kiedy chciałabyś się spotkać? Jutro w porze lunchu, powiedzmy, około pierwszej?

– Prawdę mówiąc, Vito, chyba nie mogę tak długo czekać – odpowiedziała Betty Raye. – Może w porze śniadania, powiedzmy, około ósmej?

– Przyjdę o tej porze – roześmiała się Vita. Na ogół nie lubiła kobiet, ale tę polubiła. Ta drobna kobietka miała w sobie więcej charakteru i serca, niż można by się domyślać. Kiedy szły razem przez hall, Vita ujęła ją pod ramię i powiedziała: – Wiesz, Betty Raye, coś mi się zdaje, że to początek pięknej przyjaźni.

Jak poznałeś swego najlepszego przyjaciela?

Sąsiadka Dorothy przebiegła przez hali, wołając do Matki Smith: – Znalazłam! – Po czym dopadła swojego biurka akurat w chwili, kiedy zapalało się czerwone światelko. – Witajcie wszyscy, tyle mam wam dziś do powiedzenia. Mamy zwycięzcę w naszym konkursie: „Jak poznałeś swojego najlepszego przyjaciela?”, ale najpierw muszę wam powiedzieć, o czym zapomniałam wspomnieć wczoraj. Matko Smith, proszę o jakiś motyw z indiańskiej muzyki. Dostaliśmy właśnie list od siostr Goodnight aż z Oklahomy. Przysłały nam też zdjęcie. Szkoda, że nie możecie go zobaczyć, obie mają na głowach pióropusze i stoją obok najprawdziwszych Indian. Piszą do nas: „Pozdrowienia z krainy czerwonoskórych. Zostałyśmy zaadoptowane przez Wodza...” Nie mogę odczytać jego imienia... „I teraz już jesteśmy członkami plemienia Indian z Miami... Właśnie udajemy się na naradę wojenną. Szkoda, że nie ma was tutaj razem z nami. Ada i Bess Goodnight, teraz Księżniczka Śmiejący Się Ptak oraz Mały Piorun”. Powiadam wam, te dziewczyny są nieustraszone. Ciekawe, co jeszcze wymyślą... Ale powiem wam teraz, co nas jeszcze czeka.

Panna Virginia Mae Schmitt, nasz honorowy gość z dalekiego Dale z Indiany, przyjechała do nas, by nam zaśpiewać śmieszna piosenkę, całkiem nową, specjalnie napisaną dla wszystkich osób bez pary, pod tytułem Mieszkam sama i to mi się podoba. Ale zanim wysłuchamy tej piosenki, chciałabym, żeby wszyscy panowie, którzy nas słuchają, wyszli z pokojów, bo mam zapowiedź wyłącznie dla pań. Dziewczęta, przypilnujcie, żeby oni nie słuchali... Ty też, Doc, wiem, że masz w drugistorze nastawione radio, więc przycisz je na dwie minutki... Naprawdę. Bertha Ann, idź za kontuar i sprawdź, czy to zrobił. – W Rexallu Bertha Ann sprawdziła, gdzie siedzi Doc, i sama przyciszyła radio. – No więc zbliża się następny Dzień Ojca... I jeśli jesteście do mnie podobne, to wiecie, że co roku łamię sobie głowę, co by tu kupić dla Doca. Tak trudno jest kupić cokolwiek dla mężczyzny. W tym roku jednak coś mi się wydaje, że wpadłam na dobry pomysł, który i wam może się przydać. Wiecie, jak Doc lubi swoje narzędzia. No więc w tym roku dam mu list polecający do sklepu żelaznego Warrena, tak że będzie mógł sobie wybrać to, co chce. Wystarczy tylko zadzwonić do Macky’ego, a on powiedział, że z przyjemnością przygotowuje zestawy na dowolną kwotę. Kiedy zaproszony gość odśpiewał piosenkę, na antenę wróciła Dorothy. – Dziękuję ci, Virginio Mae. Jestem pewna, że piosenka podobała się wszystkim

dziewczynom, które nie mają pary. A teraz już bez zbytej zwłoki przechodzimy do listu, który wygrał w naszym konkursie. Oto, co pisze pani Joni Hartman z Bible Grove w Missouri:

Droga Sąsiadko Dorothy!

My tutaj w Bible Grove mamy bardzo dużo wiewiórek, które ciągle zrzucają z drzew żołędzie. Któregoś dnia patrzyłam, jak jakaś nieznajoma przechodzi obok mojego domu i w pewnej chwili wiewiórka zrzuciła z drzewa duży żołędź, który uderzył tę panią w głowę. Upadła, bo myślała, że ktoś do niej strzelał i trafił ją w głowę. Wyszłam i powiedziałam jej, że to tylko żołędź. Zaprosiłam ją do siebie, dałam aspirynę i dowiedziałam się, że ona pracuje w urzędzie podatkowym – i to dlatego jej się wydawało, że ktoś do niej strzelał. Zaraz potem rzuciła to zajęcie, a teraz ma ciekawą pracę w wydziale listów zaginionych w Waszyngtonie i regularnie ze sobą korespondujemy.

– Serdecznie gratulujemy pani Hartman. Kiedy się słyszy o takich sprawach, od razu robi się ciepło na sercu. Wystarczy, żeby wiewiórka rzuciła żołędziem, a już znajdujemy przyjaciółkę, nie mówiąc o pięcioletnim woreczku mąki Złote Płatki.

Po prostu nie wiemy, co nam życie przyniesie, prawda?

Niespodziewane

Betty Raye nie zdawała sobie z tego sprawy, ale zawarła przyjaźń z Vita w ostatniej chwili. Potrzebny jej był szczerzy przyjaciel, wiele odwagi i samozaparciu, by stawić czoło temu, co ją wkrótce czekało.

Earl Finley po cichu wykonał brudną robotę, pozawierał układy z różnymi ludźmi i złożył obietnice odpowiednim ludziom z obu partii. Odczekał przyczajony jak wąż, aż upłynie stosowny czas na uszanowanie żałoby, a potem zaatakował zniemacka. Z dnia na dzień, jak się wydawało, do senatu Missouri wpłynął wniosek o odwołanie Betty Raye ze stanowiska, jako że została ona wybrana z tą świadomością, że to jej mąż będzie kierował stanem, a to założenie przestało być aktualne. W ciągu dwudziestu czterech godzin uchwalono wniosek o unieważnienie urzędu Betty Raye wraz z postanowieniem o nowych wyborach, które wyłonią gubernatora na pozostałe dwa lata kadencji.

Carnie Boofer, dotychczas siedzący cicho w kulisach, gotów był do skoku na stanowisko. Wszystko zostało zaplanowane według najlepszych intencji, tak w każdym razie utrzymywano. Wniosek został postawiony w tym celu, aby uwolnić tę sympatyczną panią od niezręcznej i trudnej sytuacji, dając jej jednocześnie możliwość ustąpienia ze stanowiska w sposób wdzięczny i godny. Betty Raye otrzymała list dziękczynny od marszałka sejm, podkreślający jej zasługi i wierną służbę w ciągu ostatnich dwóch lat, a także zezwalający jej i synom – mimo że zgodnie z literą prawa przestawała być już gubernatorem – na dalsze zamieszkiwanie w rezydencji aż do końca wyborów. Przyznano jej też dożywotnią pensję w wysokości 10 000 dolarów rocznie.

Vita uważała, że to chwyt poniżej pasa, ale może korzystny w dalszej perspektywie. Nie powiedziała tego Betty Raye, ale znając Earla Finley a aż za dobrze, mogła być pewna, że jeśli on sobie postanowił usunąć Betty Raye ze stanowiska, to przed niczym się nie cofnie. Vita nadal podejrzewała, że był on w jakiś sposób zamieszany w nagłe zniknięcie Hamma, ale Jake Spurling ze swoimi ludźmi mogli co najwyżej wykazać niepodważalne alibi Finleya i jego współników.

Nikomiu nie przyszło do głowy, początkowo samej Betty Raye też nie, że mogłaby nie ustąpić ze stanowiska.

Najpierw rzeczywiście odczuwała ulgę, mogła odejść, zanim popełni jakiś kardynalny błąd i nieumyślnie zepsuje dobrą robotę Hamma. Poza tym wreszcie mogłaby przenieść się do swojego murowanego domku. Był już całkowicie umeblowany. Nawet zaczynała odczuwać coś na kształt wdzięczności do ludzi, którzy ją zwalniali.

Jednakże po kilku dniach, kiedy już z pomocą Alberty Peets zaczęła się pakować i przygotowywać do wyprowadzki, coś zaczęło jej świtać. Zrozumiała, że pod pozorem uprzejmości kryło się prawdziwe przesłanie polityków pod wodzą Finleya, które powinno się odczytać raczej jako: „Zabieraj swoje zabawki i gałganki i zmiataj stąd, i to szybko”.

Zadzwoiła do Vity do Kansas City.

– Wiesz, Vita, przemyślałam sobie parę spraw. Przecież nie wiemy na pewno, kto jest odpowiedzialny za pozbycie się Hamma, ale jeśli są to ci sami ludzie, którzy teraz usiłują się mnie pozbyć, to chyba nie powinno im to ująć płazem. Jak myślisz? W każdym razie nie bez walki, przynajmniej ze względu na Hamma, jeśli nie z innych powodów.

Vita usiadła i zaczęła uważnie słuchać.

– Co możesz zrobić?

– No cóż, skoro mówią, że ostatnia elekcja jest obecnie nieważna, to będę powtórnie ubiegać się o wybór, tym razem już we własnym imieniu.

– A czy wiesz, przeciwko komu stajesz? – zapytała Vita.

– Nie wiem.

– Ale ja wiem. Znam tych ludzi i zapewniam cię, że ostro grają.

– Vita, najwyżej mnie zabiją i to wszystko, co mogą mi zrobić. Domyślam się, że przypuszczalnie nie wygram. Ale wydaje mi się, że przynajmniej powinnam spróbować, jestem to winna Hammowi, nie uważasz?

Vita uśmiechnęła się.

– Chciałabym zobaczyć minę Earla.

– Czy mogłabyś więc przyjechać jutro, żebyśmy mogły omówić to bardziej szczegółowo?

– Chyba tak. Ale tylko na rozmowę. Przyjadę w porze lunchu.

Po drugiej stronie nastąpiła chwila ciszy.

– No dobrze... Niech będzie w porze śniadania.

Potem mówiło się, że wściekle krzyki Earla słychać było dwie przecznice dalej.

Vita Green zadzwoniła do zaprzyjaźnionego z nią Petera Wheelera, który akurat owdowiał, z propozycją, by przeniósł się do Jefferson City i razem z nią poprowadził kampanię Betty Raye. Był to ciekawy wybór, zważywszy na to, że Peter Wheeler był rywalem Hamma podczas jego poprzedniej kampanii oraz że to w jego domu Betty Raye i Vita spotkały się po raz pierwszy.

Earl Finley zaklinał się, że w tej sytuacji nie pozostanie bierny. Próbował pozbyć się Betty Raye w delikatny sposób, ale teraz koniec z działaniem w białych rękawiczkach. Jako przewodniczący Partii Demokratów w Missouri uznał jej kandydaturę za nieważną i odmówił udzielenia jej poparcia. Wobec tego musiała ubiegać się o urząd gubernatora jako kandydat niezależny.

Le Roy Oatman i Oracze z Missouri doszłusowali do nich raz jeszcze. Początkowo jej notowania były rekordowo niskie. Mimo wszelkich wysiłków nadal była bardzo nieśmiała, tak że kiedy stawała, by wygłosić przemówienie, każdy widział, jak jej się nogi trzęsą. Kiedy zaczęto ukrywać ją za wysokim podium, wówczas wypadał jej z rąk tekst przemówienia.

Jeżeli przedtem sporo było takich mężczyzn, którzy nie głosowaliby na kobietę, mimo że stał za nią Hamm, to teraz prawie nikt nie zamierzał głosować na kobietę, za którą nie stał żaden

mężczyzna. Pewien dziennikarz powiedział:

– Pani Sparks, w przeciwieństwie do całego stanu, zdaje się nie pamiętać, że zawsze była tylko papierowym gubernatorem. Trudno oprzeć się wrażeniu, że i tym razem ktoś zamierza się nią posłużyć jako pionkiem – w jakim celu, tego jeszcze nie wiemy. By jednak ustrzec się dalszej kompromitacji, dla własnego spokoju, jej dzieci oraz ze względu na pamięć męża, pani Sparks powinna usunąć się na bok i zająć swoimi sprawami, czyli gospodarstwem domowym i wychowywaniem dzieci.

Początkowo Carnie Boofer i pozostali kandydaci lekceważyli ją, ale w miarę upływu czasu Carnie nie mógł oprzeć się pokusie przygadania swej przeciwnicze. W swym pierwszym płatnym wystąpieniu telewizyjnym tak zakończył swoją wypowiedź:

– Jeśli zaś chodzi o maleńką panią, która też postanowiła kandydować, muszę powiedzieć, że większość z nas szanuje panie i nie odmawia im pewnych zdolności, ale czy któryś z nas pozwoliłby swojej żonie czy córce narażać się na okropności świata polityki? W tym świecie codziennie podejmuje się trudne decyzje. Jestem przekonany, że pani Sparks to urocza dama, co powiedziawszy, muszę też dodać, że była pieśniarka gospel i niegdysiejsza pomoc w jadłodajni z zaledwie średnim wykształceniem ma niewystarczające kwalifikacje do kierowania stanem. Miejsce pani Sparks jest w domu, przy dzieciach, a życie polityczne niechaj zostawi mężczyznom. W końcu to mężczyźni walczyli o niepodległość tego kraju, mówimy przecież o ojcach konstytucji, a nie o matkach*. Do wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych zgłaszali się ochotnicy**, nie ochotniczki. Betsy Ross została w domu, gdzie szyła flagę. Proponuję, by pani Sparks została w domu i zajęła się szydełkowaniem, a ja zawrę z nią umowę – jeśli ona nie będzie kandydować, ja nie będę szydełkował.

Reakcją na to był śmiech, ale śmiali się wyłącznie mężczyźni.

Prawdę mówiąc, Dorothy wpadła we wściekłość – co w jej przypadku można by określić jako poirytowanie w najwyższym stopniu. Po usłyszeniu jego mowy zwróciła się do Matki Smith:

– On mnie drażni.

– A mnie nie tylko drażni – odpowiedziała na to Matka Smith. – Gdybym miała broń, tobym go zastrzeliła.

Dla Dorothy, która naczytała się już wielu niepoehlebnych uwag innych kandydatów na temat Betty Raye, słowa Carniego Boofera były kroplą przepelniającą kielich goryczy.

Następnego dnia rano, po standardowej reklamie („dziewięć na dziesięć gwiazd filmowych używa mydła Lux”), złamała zasady i postawiła wszystko na jedną kartę.

– Wiecie, że w naszej audycji nigdy nie wnikamy w kontrowersje polityczne, tym razem jednak muszę zabrać głos na ten temat. Przy okazji wybaczcie mi moją nie najlepszą francuszczyznę. Sprzykrzyło mi się już słuchać męskich tyrad (a wiecie pewnie, kogo mam na myśli) o tym, jak to kobiety nie powinny robić niczego innego, tylko siedzieć w domu i troszczyć się o rodzinę. Znacie mnie i wiecie dobrze, że nie mam nic przeciwko temu. Sama jestem kura domową. Ci panowie jednak muszą zdać sobie sprawę z tego, że czasy się zmieniły.

Tu Matka Smith wtrącała kilka tonów z piosenki Jak ich zatrzymasz na roli, kiedy oni zobaczyli Pari-i-ż.

– Racja, Matko Smith, i tak samo to się odnosi do kobiet. Mężczyźni muszą pamiętać, że nie sami wygrali wojnę, na litość boską. Podczas wojny my pracowałyśmy w fabrykach, kierowałyśmy pociągami, autobusami, wstępowałyśmy też do wojska, tak samo jak mężczyźni. Choćby nasza Ada Goodnight – pilotowała samoloty. Ale kiedy to się skończyło,

* W angielskim różnica pici jest tu wyraźniej zaznaczona – o twórcach konstytucji mówi się Founding Fathers.

** Ochotnicy – tych nazywano Minutemen.

mężczyźni wrócili do domów i chcieli, żeby wszystko było po staremu, tak jak dawniej. Rozumiem, ale kiedy człowiek przekona się, że może coś robić i lubi to robić, nie należy mu wmawiać, że nie powinien. W tym kraju oczekuje się od nas, że będziemy postępowali fair, a to nie wydaje mi się zagranie fair. I chyba zgodzicie się ze mną, że powinniśmy powiedzieć im, jak się na to zapatrujemy, prawda? No dobrze, dosyć już moich gorzkich żalów na ten temat, ale jak powiada Matka Smith, zbyt długo i zbyt ciężko walczyłyśmy o prawa wyborcze dla siebie, aby teraz ktoś nam mówił, że mamy nie głosować na jedną z nas. Otóż my nie uznajemy oręża lekceważących uwag i uszczypliwości, a w dniu głosowania możemy zorganizować protest. W każdym razie takie jest moje zdanie. Nie uważam za słuszne atakowania kogoś tylko dlatego, że jest kobietą. Jak może wszyscy pamiętać, mieliśmy to szczęście gościć Betty Raye pod naszym dachem i powiem wam tyle – jeżeli ktoś potrafił nakłonić Bobby’ego Smitha do przeczytania trzydziestu czterech książek

w ciągu jednego lata, to potrafi też rządzić stanem. I tyle mam do powiedzenia na ten temat. Tyle musiała powiedzieć. Prawdę mówiąc, niewiele kobiet interesowało się polityką, dopóki Sąsiadka Dorothy nie zagrzała ich do walki. Już następnego dnia po tej audycji do głównej kwatery demokratów zaczęły napływać listy krytykujące Carniego Boofera. Tym razem politycy nie trafili z celem swojego ataku. Przypominało to rzut kamieniem w gniazdo szerszeni, gdyż wkrótce zarówno demokraci, jak i republikanie myśleli już tylko o ratowaniu własnych głów.

Ponieważ audycja Sąsiadki Dorothy była odbierana w całym stanie, wszyscy pozostali kandydaci, jak również ci, co popierali Carniego Boofera, natychmiast wystosowali apel do firmy mąka Złote Płatki, domagając się zdjęcia z anteny jej programu. Ale Jack Mann, prezes firmy, robił wyłącznie to, czego życzyła sobie jego siedemdziesięciodwuletnia matka, pani Suzanne Mann, która była też właścicielką firmy i stała na czele zarządu. Ta zaś powiedziała z niezmaconym spokojem:

– Zdjąć z anteny Dorothy? Po moim trupie.

Podobnie jak tysiące pozostałych słuchaczek, Ida Jenkins, matka Normy, kiedy wysłuchała audycji Dorothy, napuszyła się jak paw i zapowiedziała:

– No, strzeż się, panie Carnie Boofer, bo tym razem zaczepiłeś niewłaściwą osobę.

Jako przewodnicząca stanowego Klubu Kobiet, była prezeska trzech klubów działkowiczów i aktywna prezbiterianka, miała rozległe koneksje, wpływy i wiedziała dobrze, jak je wykorzystać. Namówiła wszystkich członków klubu działkowiczów i kobiecych organizacji w całym stanie, by napisali listy w tej sprawie, co też uczynili, wysyłając całe wory pism.

Najskuteczniejszym jednak listem okazał się zapewne telegram wysłany do głównej kwatery demokratów przez jednego mężczyznę, którego matka, jak też żona Bess były przysięgłymi słuchaczkami audycji Sąsiadki Dorothy. Mężczyzna ten miał duży wpływ na demokratów tego stanu – i pozostałych. Telegram zawierał lapidarną wiadomość:

NIECH TA MŁODA DAMA KANDYDUJE!

HARRY S. TRUMAN

Earl Finley wpadł w szal. Nie dość, że miała Trumana po swojej stronie, to jeszcze coraz większą sympatię ogółu. Miotał się po pokoju, wykrzykując do zebranych mężczyzn, którzy

nieporuszeni siedzieli przy stole.

– Do pioruna! Ale nas udupili! A wiecie dlaczego? Jak nie, to wam powiem. Nie można zaczepić w telewizji wdowy z dwojgiem dzieci, nie można jej ruszyć. Bo jeśli nie pozwolisz jej kandydować jak mężczyźnie, jesteś głupim sukinsynem, ale jeśli potraktujesz ją jak kobietę, to też jesteś głupim sukinsynem. To jest granie na uczuciach, to pieprzony szantaż! – wykrzykiwał, waląc pięścią w stół.

W końcu nie było innego wyjścia, jak odstawić Carniego Boofera i pozwolić młodej damie kandydować.

Niech sobie kogut pieje, ale to kura znosi jajka

Mimo że Betty Raye kandydowała jako demokratka, opinia publiczna w dalszym ciągu uważała, że nie ma ona szans na wygraną.

Vita też podzielała tę opinię. Ale kiedy zobaczyła, jak ludzie zareagowali na audycję Dorothy, zrobiła coś, czego nigdy przedtem w historii Stanów Zjednoczonych nie zrobiono. Postanowiła zrezygnować z przekonywania mężczyzn do traktowania serio damskiej kandydatury i oprzeć się wyłącznie na głosach kobiet. Nadal była to wątpliwa szansa, ale innej nie widziała. Hamm często uciekał się do takiego tricku. Potrafił wykorzystywać ataki na siebie, obracając je na swoją korzyść. Tym razem Vita tak pokierowała kampanią Betty Raye, że im częściej ją atakowano za to, że jest kobietą, tym lepiej.

Intensywna kampania prowadzona w gazetach spowodowała reakcję przeciwników, którzy zaczęli popełniać te same błędy co Carnie Boofer. Ktoś powiedział, że ona nie ma kwalifikacji.

– Jedyne przepisy, na jakie możemy liczyć, to przepisy kuchenne – zakpił sobie ktoś.

Kiedy podchwyciła to jedna z ogólnokrajowych gazet, na co w cichości liczyła Vita, wówczas zewsząd zaczęły napływać telegramy popierające Betty Raye.

POWODZENIA, TRZYMAM Z TOBĄ – MAMA EISENHOWER WSZYSTKIEGO
NAJLEPSZEGO – PATTY, MAXENE

I LAVERNE ANDREWS

Z NAJLEPSZYMI ŻYCZENIAMI – LURLEEN WALLACE JESTEM Z TOBĄ PRZEZ
CAŁY CZAS – LADY BIRD JOHNSON

Ale telegram, który całkowicie ściął Betty Raye z nóg, nadesłany został przez pochodzącą z Missouri gwiazdę filmową, którą zapamiętała ze swej pierwszej bytności w Elmwood Theater, dokąd wyciągnęła ją Anna Lee na film Kitty Foyle.

DAJ IM CZADU, MAŁA... GINGER ROGERS

Kobiety zaczęły słuchać oraz czytać wypowiedzi Betty Raye o tym, jak w razie pomyślnego wyboru na to stanowisko zamierza kontynuować politykę swego nieżyjącego męża, a także wprowadzać pewne elementy pochodzące już od niej samej, co powinno je zainteresować. Obiecała przeforsować nowe prawa, które dawałyby możliwość przeznaczania stanowych funduszy na pewne udogodnienia dla dziewcząt i kobiet, dotychczas dostępne tylko dla męskiej części społeczeństwa. Mówiła o nierówności uposażeń kobiet w porównaniu z zarobkami mężczyzn, poruszając temat zazwyczaj przemilczany przez kandydatów. Kobietom podobało się to, co mówiła. Kiedy Ada Goodnight wraz ze swą siostrą Bess, razem podróżujące swą przyczepą Airstream, przeczytały, że ona kandyduje niezależnie, bez niczyjego poparcia, oraz że jest obiektem ataków, zawróciły z drogi, by okazać jej pomoc. Ada najlepiej wiedziała, jak ciężkie życie mają kobiety w środowisku zdominowanym przez mężczyzn. Kiedy w 1945 roku żołnierze zaczęli powracać z Europy, Adę i pozostałe pilotki, które służyły w oddziałach WASP-ów podczas wojny, odesłano bezceremonialnie do domów, bez zapłaty i bez słów podziękowań ze strony rządu. Kiedy jedna z towarzyszek broni Ady zginęła podczas lotu, wykonując zadanie bojowe, wojsko odmówiło pokrycia kosztów związanych z odesłaniem rodzinie jej ciała. Teraz Ada nastawiona była bojowo. Po powrocie skontaktowała się ze swymi koleżankami pilotkami, te zaś w swoich stanach porzuciły z góry tysiące ulotek zachęcających kobiety do głosowania na Betty Raye. Bess natomiast zorganizowała w całym stanie ligę kręglarek, które miały grać na rzecz Betty Raye. Wkrótce poparły ją również członkinie Elks, Moose, Lions, a także Eastern Star. Żony pracowników firmy sprzedającej traktory Allis-Chalmers wykupiły całostronicowe ogłoszenie w tygodniku rolniczym, który wydawany był na terenie całego stanu. Mieszkanki Elmwood Springs również się zmobilizowały, by dać swój wkład. Ciocia Elner przekazała piętnaście słoików dżemu figowego, które miały być rozlosowane w loterii odbywającej się w VFW podczas bingo. Norma skrzyknęła żony członków stowarzyszenia

kupców sklepów żelaznych w Missouri, a Ruby Robinson, która była grubą rybą w organizacji dyplomowanych pielęgniarek, też je skaptowała, co nie było trudne. Codziennie poganiane i popychane przez lekarzy, w zdecydowanej większości mężczyzn, odczuwały na własnej skórze, jak to jest być rządzonymi przez mężczyzn. Dixie Cahill urządziła pokaz na otwartym powietrzu zatytułowany „Stepowanie za dolary”, który przyniósł całkiem niezłą sumkę, płaconą głównie za to, by przestały stepować, jak twierdził fryzjer Ed. Nawet Tot, którą nie bardzo było na to stać, przeznaczyła jeden dzień działalności swojego salonu piękności na fundusz wyborczy. Matka Smith zatelefonowała do swojej przyjaciółki z lat młodości, Juliette Low, która była założycielką dziewczęcej organizacji skautek, a ta zorganizowała marsz popierający kandydaturę Betty Raye. Verbena nie miała pieniędzy, ale zagroziła, że nałoży areszt domowy na swojego męża, Merlego, jeśli on wspomni choć raz, że polityka to nie zajęcie dla kobiet. Przynajmniej tyle mogła zrobić, skutecznie go uciszając. Wdowy po zaginionych z Hammem Seymourze Gravelu i Wendellu Hewitcie, a nawet była żona Rodneya Tillmana, zorganizowały całą kampanię na rzecz poparcia dla Betty Raye, a pani Ursa Figgs, mimo że przez całe życie była republikanką, przekazała na ten cel znaczną sumę pieniędzy. Pieniądze zaczęły napływać od setek naleśnikami i specjalnie zainicjowanych na ten cel sprzedaży wypieków, a wiele niezamożnych żon farmerów przesyłało swoje skromne koszyczkowe, co w sumie przyniosło spore kwoty. Mężczyźni poczuli się zagrożeni, a wyrażało się to zintensyfikowaniem coraz bardziej zaciekleń ataków.

W końcu Minnie Oatman miała dość tego. Podczas swego pobytu w Columbus w stanie Missisipi znalazła automat zainstalowany na ścianie przed garderobą i wybrała numer.

– To ty, Elvis? – zapytała. – Tu Minnie Oatman.

– O, dzień dobry pani – ucieszył się. – Co u pani słychać?

– Wiesz, dziecko, moja córcia, Betty Raye, startuje w wyborach na gubernatora stanu Missouri i dostaje porządne ciągi. Może byś tak wziął udział w jednej z jej tras promocyjnych? Zrobisz to dla mnie?

– Dobrze, chętnie. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie i kiedy, a się zjawię.

Elvis uwielbiał gospel. Mimo że karierę i pieniądze zrobił na rock and rollu, muzyka gospel zajmowała w jego sercu poczesne miejsce. Jego matka, pani Gladys Presley, była wielbicielką Minnie, a Elvis w dzieciństwie wielokrotnie słuchał występów rodziny Oatmanów i nieraz chodził na ich całonocne sesje śpiewacze. Minnie zawsze mile odnosiła

się do jego matki i jego taty, Vernona. Przeszli wspólnie kawał drogi. Elvis spełniłby prośbę Minnie Oatman, nawet gdyby musiał z czegoś zrezygnować.

Jedno można było powiedzieć o śpiewakach gospel bez ryzyka popełnienia błędu – byli wobec siebie lojalni. Najtrafniej ujęła to Minnie:

„W razie czego nasi ludzie ujmą się za swoimi”. Nie tylko Elvis, ale też Jerry Lee Lewis, Johnny Cash i siostry Carter występami okazali swoje poparcie dla Betty Raye. Również wszystkie pozostałe grupy gospel pojawiały się w Missouri, by występami zaznaczyć swoje poparcie. Za nimi poszli inni wyborcy. Na przykład Bobby Smith, który teraz zarządzał całym przedsiębiorstwem drobiowym Fowlera, zaoferował setki pojemników z pieczonymi kurczakami, by wspomóc swoją przyjaciółkę. W końcu gdyby nie ona, pewnie nigdy nie zdołałby ukończyć szkoły podstawowej.

Kiedy w sondażach przedwyborczych liczba zwolenników Betty Raye zaczęła rosnąć, Vita nabrała obaw co do jej bezpieczeństwa. Oczywiście zatrudniano ochroniarzy, ale Hamm też miał ochroniarzy i wcale go to nie ocaliło. Vita jednak niepotrzebnie się martwiła. Betty Raye bowiem miała kogoś, kogo nie miał Hamm – Albertę Peets. Alberta nie odstępowała Betty Raye ani na krok. Nie do pomyślenia była sytuacja, by ktoś mógł przemknąć się nie zauważony koło Alberty Peets, zbliżyć do Betty Raye i pozostać wśród żywych.

Tymczasem Betty Raye w miarę upływu czasu nabierała coraz większej pewności siebie i zaufania do własnych możliwości. Wreszcie nauczyła się przemawiać do grupy słuchaczy bez drżenia i upuszczania dokumentów. Przełomowy okazał się moment podczas jej bytności w Clark County, kiedy to przemawiając do zgromadzonych tam tłumów, dodała:

– Wiecie, mam szczególny sentyment do Clark County. Ja i mój nieżyjący mąż spędziliśmy niedaleko stąd nasz miesiąc miodowy... Można więc powiedzieć, że Hamm junior stąd się wywodzi.

Hamm junior, który siedział tuż obok niej, na te słowa zaczerwienił się jak burak, ale tu właśnie zdobyła siedemdziesiąt osiem procent głosów.

Tego dnia, po wyjątkowych ze względu na okoliczności wyborach, Sąsiadka Dorothy jak zwykle poprowadziła swoją audycję, ale zanim się wyłączyła, na zakończenie, bez fanfar, powiedziała:

– I jeszcze gratulacje dla nowo wybranej pani gubernator. Zawsze jest nam trochę przykro ze względu na osobę przegrywającą, ale jak to się mówi, niech lepszy wygrywa. Teraz

powinniśmy trochę zmodyfikować to powiedzenie: „Niech lepsza wygrywa”. Sąsiadka Dorothy i Matka Smith grająca na fisharmonii życzą wam miłego dnia. Pamiętajcie, dajcie nam tyle radości, więc bądźcie znów z nami, dobrze?

LATA SIEDEMDZIESIĄTE

Nowa dekada

W 1970 roku rodzina Smithów poniosła bolesną stratę – po długiej chorobie zmarła Matka Smith. W tym samym roku Bobby’emu i Lois urodził się drugi syn. Świat zasadniczo niewiele się zmienił, z wyjątkiem może tego faktu, że człowiek, i to w dodatku Amerykanin, wylądował na Księżycu, z czego wszyscy mieszkańcy Elmwood Springs byli niesłychanie dumni. Wśród zaproszonych gości na specjalnie z tej okazji wydane przyjęcie u Macky’ego i Normy jedynie ciocia Elner czuła się zasmucona tym wydarzeniem. Kiedy Linda zapytała ją, dlaczego nie cieszy się wraz z innymi, Elner odpowiedziała:

- Ależ cieszę się, tylko żal mi tego biednego Neila Armstronga.
- Dlaczego ci go żal, ciociu Elner?
- Ponieważ, dziecino – odpowiedziała – jak się już było na Księżycu, to gdzie jeszcze można pójść?

Trafiła w sedno.

Linda Warren, córka Normy i Macky’ego, wyrosła na ładną dziewczynę o włosach rudoblond, a Norma, choć bardzo się starała nie być podobna do swojej matki, w końcu zachowywała się wobec Lindy tak samo jak kilkanaście lat wcześniej jej matka wobec niej samej. Kiedy Linda zrobiła coś nie po myśli matki, Norma mówiła wtedy: „Jesteś dokładnie taka sama jak twój tatuś”. Szczerze mówiąc, w tym jej ulubionym powiedzeniu było więcej niż tylko żdźbło prawdy. Linda, oczko w głowie tatusia, miała podobny temperament i zainteresowania. Uwielbiała chodzić na ryby, grać w baseball i była typem sportsmenki.

W szkole, mimo usilnych nalegań Normy, z zajęć praktycznych nie wybrała nauki gotowania, ale majsterkowanie. Linda wytłumaczyła matce, że woli raczej wiedzieć, jak zbudować domek dla ptaszków, niż upiec ciasto, a Macky jak zwykle przyznał jej rację.

- Nie mam pojęcia, w jaki sposób chcesz wychować dziecko i zatroszczyć się o męża, skoro nie potrafisz nawet ugotować jajka czy posłać łóżka – zrzędziła Norma.

Kiedy Betty Raye została wybrana na gubernatora na następną kadencję, pierwszą rzeczą, jaką uczyniła, było powołanie Vity Green na stanowisko wicegubernatora. Po raz pierwszy funkcję tę miała pełnić kobieta. Większość obywateli nie zdawała sobie sprawy, że stanem rządziły żona i kochanka Hamma. Do pomocy miały Petera Wheelera oraz innych mądrych ludzi, którymi obsadziły stanowiska administracyjne. Betty Raye sprowadziła też swego dawnego przyjaciela, byłego kucharza przyrządzającego szybkie dania, i powierzyła mu utworzone przez siebie stanowisko doradcy do spraw weteranów wojennych. Po zamknięciu Trolejbusowej Gospody Jimmy przeniósł się do Jefferson City, gdzie w wielu sprawach okazał się przydatny. Alberta Peets, która miała na sumieniu morderstwo i inne grzechy, nie mogła zająć żadnego oficjalnego stanowiska, ale zwolniona przed terminem, została osobistą sekretarką Betty Raye. Earl Finley, który twierdził, że chyba nie dożyje zmierzchu ery Hamma Sparksa, nie pomylił się. Zmarł na wylew w 1969 roku.

W rodzinie Oatmanów nie tylko Betty Raye się powiodło. W 1970 roku Departament Stanu zorganizował trasę koncertową zespołów wykonujących muzykę amerykańską, wśród których wybrano Oatman Family Gospel Singers, by reprezentowali muzykę gospel. Odwiedzili szesnaście krajów, czerpiąc z tego mnóstwo radości, zwłaszcza kiedy występowali w londyńskim Royal Albert Halli.

Minnie była tak podniecona spotkaniem z Królową Matką, że po wykonaniu zgodnego z etykietą i wyćwiczonego dygnięcia, co przy jej wadze trzystu funtów było jak ruszenie z posad kopca, klasnęła w dłonie i zawołała pełna ukontentowania:

– Nie widziałam jeszcze nic śliczniejszego w takiej pięknej koronie! Wiem, że nie wolno nam dotykać, ale niech ja przynajmniej obejmę panią za szyję.

Królowa Matka, urzeczona potężną Amerykanką w czerwonej sukni, rogowych okularach i piętrowej fryzurze na głowie, słuchała jej paplania.

– Wie pani, chociaż może pani nie wie, ale obie mamy coś wspólnego. Pani córka została królową, a moja gubernatorem stanu Missouri. Musiałyśmy więc dobrze się z czymś spisać, co nie, złotko?

– W rzeczy samej, pani Oatman – odpowiedziała Królowa Matka, przechodząc dalej, by przywitać się z Rosemary Clooney.

Tymczasem Jake Spurling bynajmniej nie zamierzał zaniechać dochodzenia w sprawie zagadkowego zniknięcia Hamma Sparksa. Zrobił wiele w ciągu ostatnich trzech lat i w

styczniu 1970 roku doczekał się przełomu w dochodzeniu.

Kiedy Jake otrzymał wiadomość o porzuconym w Luizjanie karawanie, zarządził przeczesanie całego terenu. Karawan znalazły dzieci bawiące się w pobliskim lesie. Pojazd był pordzewiały, a tapicerka oblażała ze starości. Ludzie Jake'a przetrząsnęli cały pojazd. Starszy model tego karawanu należał, jak się okazało, do Domów Pogrzebowych Cecila Figgsa i garażowany był w Kansas City, gdzie trzymano starsze modele. Dalsza kontrola wykazała, że karawan przepadł wkrótce po zniknięciu Hamma Sparksa i pozostałej czwórki. Przesłuchiwani w tej sprawie ludzie odpowiedzialni za samochody pozostawione na parkingu Figgsa zeznali, iż nie zaniepokoiło ich specjalnie zniknięcie jednego karawanu, gdyż stare pojazdy były nagminnie kradzione przez małodatów chcących się przejechać. Pomyśleli sobie, że i tym razem zdarzył się podobny przypadek. Jake natychmiast poleciał do Luizjany, obdeptał całą okolicę, ale nie znalazł niczego poza rozpadającą się przystanią.

Ciekaw był, do kogo należała owa przystań, i dowiedział się. W 1967 roku prawnym właścicielem tego terenu i przystani dla łodzi był niejaki Buddy Leo, wuj pana Anthony'ego Leo z Kansas City z Missouri, człowieka o niewątpliwych powiązaniach z zorganizowanym światem przestępczym. Być może nie miało to żadnego znaczenia w prowadzonej sprawie, ale na nos Jake'a zbyt wiele byłoby wtedy zbiegów okoliczności. Przystań znajdowała się nieopodal ostatniego miejsca pobytu Hamma w Jackson. Niewykluczone, że przybył tu drogą wodną. Po długich poszukiwaniach ustalono, że w maju 1959 roku nowiutka łódź motorowa o długości trzydziestu pięciu stóp została zakupiona w Kansas City na nazwisko pani Jeannie Micelli, siostry pana Anthony'ego Leo. Właśnie takich związków szukał Jake. Porzucony karawan, przystań, zaginięcie pięciu ludzi, wszystko to wiodło do Kansas City.

Niestety nie można było przesłuchać żadnego pana Leo. Wuj zmarł ze starości, a Anthony Leo, chociaż młodszy, również już nie żył. W 1968 roku przypadkiem znalazł się w zasięgu pięciu wystrzelonych kul, co okazało się dla niego zgubne. Jego siostra, pani Micelli, podczas przesłuchania zeznała, że nigdy nie posiadała żadnej łodzi, co mogło być prawdą. Panowie ci znani byli z dokonywania zakupów, do których niewygodnie byłoby się przyznać, na nazwiska osób postronnych.

Betty Raye z kolei, przesłuchiwana przez Jake'a, powiedziała mu, że pamięta, jak Hamm kilkakrotnie wspominał o jakimś przyjacielu Rodneya, od którego nieraz wypożyczali łódź.

– Naprawdę? – upewniał się Jake.

– Tak. Wydaje mi się, że parę razy zabrał kolegów na taką wycieczkę.

Hamm junior pamiętał to bardzo dobrze.

Ucieszyło to Jake'a. Przynajmniej dokądś prowadzą te ślady, pomyślał sobie.

Pozostawało jeszcze tylko dowiedzieć się, co się stało z łodzią.

Wakacje Tot

Dwudziestego pierwszego kwietnia ciocia Elner zadzwoniła do Normy i od razu przystąpiła do rzeczy, nie mówiąc nawet „dzień dobry”.

– Słyszałaś, co się przydarzyło Biednej Tot?

Norma wiedziała, że cokolwiek to było, nie powinna spodziewać się pomyślnych wieści.

– Nawet mi nie mów.

Ciocia Elner zignorowała ten apel.

– Wiesz, jaka była biedna, kiedy złamała palec, a ponieważ w tym stanie nie mogła nikogo czesać, dała się namówić Dwayne'owi juniorowi na wspólny wyjazd na Florydę, gdzie ryba niemal odgryzła jej prawą nogę. Teraz, biedactwo, leży w szpitalu, a przecież nawet nie wędkowała. Mówi, że w tym czasie zeszła pod pokład, żeby sobie przyrządzić zapiekankę z serem, nikomu nie zwracała głowy, a wtedy właśnie ta ryba ją capnęła.

– Jaka ryba? – Norma usiadła z wrażenia.

– Nie wiem, ale ta ryba była wściekła, że się ją wyciąga z wody, to ci gwarantuję.

– Kto ci o tym powiedział?

– Verbena. Właśnie przed chwilą rozmawiała z Tot.

– Ciociu Elner, zadzwonię do ciebie troszkę później – powiedziała Norma i natychmiast wykręciła numer pralni Verbeny, żeby z pierwszej ręki dowiedzieć się o wszystkim.

Słuchawkę podniosła Verbena.

– Blue Ribbon.

– Tu Norma.

– O, właśnie dzwoniłam do ciebie, ale miałaś zajęty telefon.

– Mówiłaś cioci Elner, że Tot została pogryziona przez rybę?

– Nie, nigdy nie powiedziałam, że została pogryziona. Mówiłam, że została ukąszona.

– Jak mogła zostać ukąszona, skoro znajdowała się na dolnym pokładzie i przygotowywała sobie jedzenie?

– Pewnie ryba też zeszła na dół, żeby ją tam znaleźć, tak myślę.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ Tot to największy pechowiec, jakiego znam.

– Jak to się stało?

– Znajdowała się właśnie na Florydzie na łodzi rybackiej, którą wynajął Dwayne junior ze swoim kolegą, żeby ją trochę rozerwać. Tak on twierdzi, ale mnie się wydaje, że on sam chciał się wybrać na ryby. W każdym razie po trzygodzinnym sterczeniu w upale, kiedy nie udało jej się niczego złowić, powiedziała: „Jestem głodna, idę na dół zrobić sobie zapiekankę z serem”. Dwayne tymczasem złapał rybę, ale wyciągnął ją z wody trochę zbyt gwałtownie, a kiedy rzucił ją na pokład, ona odbiła się i dała susa na schody, przeleciała nad nimi i pyskiem dźgnęła Tot w udo.

– O Boże, Tot musiała się śmiertelnie wystraszyć.

– Na pewno się zdziwiła, kiedy zobaczyła, że jakaś ryba wbiła jej się w nogę. Kapitan obłożył jej nogę lodem i zawiózł ją aż do Pensacoli, aby tam jej to wyjęli. Tot mówi, że czuła się jak idiotka z rybą tkwiącą w jej nodze, ale kapitan twierdził, że oni sami nie odważą się usunąć ryby. Mogliby jeszcze coś uszkodzić.

– Co mogliby uszkodzić?

– Rybę, jak się domyślam. Dwayne junior przywiózł ją jako cenne trofeum z tej wyprawy.

– Co to była za ryba?

Norma usłyszała szelest kartek.

– Gdzieś to miałam zapisane. O, jest. Została zidentyfikowana jako ryba piła. Zrobili jej zdjęcie, żeby posłać do gazety.

– A jak Tot się czuje?

– Dobrze, jeśli nie liczyć sześciu szwów i zastrzyków.

– Czy może kogoś pozwać za to do sądu?

– A kogo miałyby pozywać? Powiedziała, że rybacy nie pokryją tych kosztów. Mówią, że to była wola boska... No więc kogo ma skarżyć? Zatokę Meksykańską? A może rybę? Taki jej pech, nie tylko z tym. Jutro wraca. Powiada, że nie wykorzystwała ani jednego dnia wakacji. Była w opłakanym stanie, kiedy wyjeżdżała, to możesz sobie wyobrazić, jak teraz się czuje.

– Biedna Tot.

Nazajutrz mieszkańcy Pensacoli mogli zobaczyć w gazecie zdjęcie pani Whooten na wózku inwalidzkim, wiezionej na pogotowie. Nagłówek głosił: „Kobieta ugodzona przez

latającą rybę?”. W Elmwood Springs ludzie starali się nie poruszać tego tematu, kiedy jednak coś o tym wspominali, Tot mówiła:

– To wszystko miało mi obrzydzić tuńczyka, zapewniam was.

Do Szerokiego Ogólu,

Ostatnio zostałam gorzko doświadczona, za co w dodatku musiałam słono zapłacić, o czym chcę wszystkim powiadomić ku przestrodze. Nie pozwólcie w miarę możliwości, by wzywano do Was karetkę. Możecie mi wierzyć, że mogłabym dwukrotnie wybrać się do Europy za te pieniądze, jakie wydałam na przewiezienie mnie karetką sześć ulic dalej w godzinach szczytu, czego w ogóle nie brali pod uwagę. Owszem, byli bardzo mili, ja zresztą też byłam dla nich miła, ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, że będzie mnie to kosztować majątek. Nadal zresztą spłacam tę należność, a moja składka ubezpieczeniowa skoczyła do góry jak szalona. Miałam tylko skaleczoną nogę, ale oni założyli mi kołnierz usztywniający kark, a w drodze do szpitala podali mi przez nos tlen, zupełnie niepotrzebnie, i co dwie minuty mierzyli mi gorączkę i sprawdzali ciśnienie. Na dobitkę mieli praktykanta, który na mnie uczył się, jak to robić, za co jednak nie udzielili mi zniżki. Ale nie to było najgorsze. Jak już znajdziecie się na pogotowiu, strzeżcie się. Ci wszyscy lekarze z pogotowia są okropnie drodzy, a płatni są chyba od minuty. Prześwietlili mnie od stóp do głów, potem zrobili tomografię, ciągnęli mnie od jednego miejsca do drugiego, cały czas w arktycznej temperaturze. Zimno tam jak na biegunie. W końcu zostałam odesłana do gabinetu zabiegowego na usunięcie ryby (nie dacie wiary, ile mnie to kosztowało). Tam dali mi znieczulenie miejscowe, po którym nie mogłam chodzić, więc zatrzymali mnie na noc. Jakbym Wam powiedziała, ile mi policzyli za łóżko, kilka pastylek aspiryny i środek uspokajający, włos by się Wam zjeżył na głowie. Nie myślcie sobie, że pokryje to Wam ubezpieczenie. Nic z tego. Więc moja rada: jeśli jesteście w stanie chodzić lub jechać, zawołajcie taksówkę albo pojedźcie sami autobusem na pogotowie. W żadnym razie nie dzwońcie pod 911, chyba że leżycie bez ducha.

Zatroskana obywatelka Tot Whooten

PS. Wystrzegajcie się latających ryb.

Dzień Matki

Wiosną 1970 roku spośród audycji radiowych nadających głównie muzykę młodzieżową, tuż po liście przebojów „Tops in Pops” plasował się program Sąsiadki Dorothy, nadal nadawany przez stację WDOT.

Nic się nie zmieniło z wyjątkiem tego, że nie było już Matki Smith, a Dorothy niemal całkowicie osiwiła. Jej głos jednak pozostawał taki sam, ciepły i serdeczny, co stanowiło miłą odmianę w zestawieniu z agresywną muzyką rockandrollową nadawaną prawie przez cały czas.

– Dzień dobry, witajcie wszyscy. Nie wiem, jak u was, ale tutaj wszyscy przechodzą właśnie wiosenne odurzenie. Trudno się dziwić, taki mamy ciepły kwiecień, spodziewam się, że u was jest tak samo. Tyle żonkili nagle wystrzeliło spod ziemi, jak nigdy dotąd. Wkrótce będziemy obchodzili Dzień Matki, a jeśli zastanawiacie się, co w tym roku ofiarować mamie, to kupcie jej coś, co śpiewa. Na przykład kanarka, który w kuchni czy salonie swoim trelem radośnie wprowadzi ją w nowy dzień. Wiem, jak to jest, z własnego doświadczenia, więc z czystym sumieniem mogę taki prezent polecić. Nie do wiary, ile radości przysporzyły mi moje ukochane ptaszki, Pierozek i Kret, w ciągu minionych lat. A jeśli wasza matka ma już kanarka, co powiecie na dzwonek z melodyjką do drzwi? Przyjemna dla ucha zapowiedź, że gość stoi za progiem.

Co my tu jeszcze mamy... Aha... Dostaliśmy jeszcze jedną kartkę od naszych zapuszkowanych turystek z puszki, sióstr Goodnight. Szkoda, że nie możecie zobaczyć tej kartki. Widzę je, jak obie siedzą na strusiu. Kartka została wysłana z farmy hodowlanej strusiów w Kalamazoo. Doprawdy, te dziewczyny są nieustraszone.

A jeśli ktoś z was właśnie podróżuje w okolicy Lebanon w Missouri i nie ma gdzie się zatrzymać, to niech pamięta o Dream Village Motor Court Nelsona... Można tam zobaczyć elektryczną fontannę i posłuchać, jak gra. Można spędzić orzeźwiająca noc w Ozark Mountains przy autostradzie numer 66... wrotach na wschód i zachód. Dream Village Nelsona – to obiekt nowoczesny, ogniotrwały, składający się z bungalowów, gdzie dzieci są bezpieczne.

A skoro mówimy o dzieciach – właśnie otrzymałam wspaniały liścik od Bobby’ego i Lois, i z przyjemnością wam komunikuję, że mój wnuczek Michael został Orlim Skautem. Wiele bym dała, by móc zobaczyć to na własne oczy. Aż trudno uwierzyć, że moje dzieci

mieszkają tak daleko od nas, a przecież bez względu na to, ile mają lat, zawsze pozostają naszymi dziećmi, prawda? Teraz, kiedy patrzę na Bobby'ego, nie mogę uwierzyć, że zarządza dużym przedsiębiorstwem. Wiem, że to dorosły mężczyzna, który ma też swoje dzieci, dla mnie jednak zawsze pozostanie małym Bobbym, tak samo jak moja córeczka Anna Lee, która – nie spadnijcie z krzeseł – wczoraj wieczorem do mnie zadzwoniła z wiadomością, że sama zostanie wkrótce babcią, zatem Doc i ja będziemy już pradiadkami. – Dorothy roześmiała się. – Powiedziałam Docowi, że po raz pierwszy zostanę obdarzona tak szacownym mianem. W następnej części naszej audycji porozmawiamy z Gertrude Hazelette na temat „Jak najlepiej rozłupać orzeszki hikorowe”. Przedtem jednak chciałam was zapytać: czy jest wśród was taki sam chomik jak ja? Co roku, kiedy przystępuję do wiosennych porządków, idę na strych z mocnym postanowieniem zrobienia generalnych porządków i powyrzucania wszystkich niepotrzebnych rzeczy, które są tylko zbiornikiem kurzu. A zawsze kończy się na tym, że niczego nie wyrzucam... Siedzę tam, a każda rzecz, którą biorę do ręki, przywołuje tyle przyjemnych wspomnień... Wiem, że powinnam pozbyć się tych rupieci, ale nie mam serca tego zrobić... No cóż, może w przyszłym roku...

Opuszczone gniazdo

Linda Warren miała po raz pierwszy w życiu wyjechać z domu na dłużej, i jej matka, przygotowując się do tego wydarzenia, bynajmniej nie była zachwycona. Linda natychmiast po skończeniu szkoły średniej poszła pracować do AT&T. W dniu wyboru zawodów i przyszłej pracy do szkoły zawitali przedstawiciele tej firmy, by zwłaszcza wśród dziewcząt zorganizować nabór na szkolenie przyszłej kadry kierowniczej. Zależało im na określonej liczbie kobiet, gdyż ostatnimi czasy rząd amerykański, a szczególnie gubernator stanu, zwracali uwagę na to, by kobiety miały swobodny dostęp do stanowisk. Siostrzenica męża cioci Elner, Mary Grace, miała dobrą pracę w towarzystwie telefonicznym w St. Louis i mogła szepnąć słówko komu trzeba na temat Lindy. Ale Norma czuła się zawiedziona, kiedy wybrano Linde.

– Miałam nadzieję, że pójdziesz do college'u przynajmniej na dwa lata, jeśli nie na dłużej. Sama żałuję, że tak wcześnie wyszłam za mąż i nie wybrałam się na studia.

– Wiem, mamusiu, ale pomyśl tylko, jaka to dla mnie wielka szansa. Zostanę przygotowana do pracy na stanowisku kierowniczym. Po co mam marnować cztery lata na

studia, kiedy w tym samym czasie mogę już pracować i dobrze zarabiać?

– Ale, kochanie, pomyśl, ile przyjemności cię ominie – organizacje studenckie, spotkania, mieszkanie w akademiku z innymi dziewczętami.

– Och, tego już się nie praktykuje tak jak dawniej, a ja mogę mieć równie wiele przyjemności, zarabiając na sobie. Jeśli się weźmie wszystko pod uwagę, to mój wybór jest bardziej praktyczny i logiczny.

– Za młoda jesteś na to, byś mogła być praktyczna i logiczna. Chyba że masz to po swoim ojcu. Ja nigdy nie byłam ani praktyczna, ani logiczna. Może powinnam być bardziej podobna do ciebie. Ale od razu wyszłam za męża i niczego nie zdążyłam się nauczyć. Gdyby coś się stało twojemu tacie, to pewnie bym skończyła jako czyjaś służąca albo kucharka, bo tylko to potrafię robić: sprzątać i gotować, nic poza tym.

– Ależ, mamo, przecież gotowanie to też prawdziwa umiejętność.

– Wcale nie – upierała się Norma. – Każdy potrafi gotować.

– Ja nie – oświadczyła Linda.

– Bo tak naprawdę nigdy nie próbowałaś. Wiesz, że tatuś będzie bardzo zmartwiony, że nie pójdziesz do college'u.

– Wcale nie będzie. Uważa, że to świetny pomysł.

– A skąd ty to wiesz?

– Bo poszłam do niego do sklepu i pokazałam mu list.

– Kiedy?

– Dziś rano.

– Jeszcze zanim mnie go pokazałaś?

– Tak, chciałam się przekonać, co on o tym sądzi. Powiedział, że tak właśnie powinnam postąpić.

– Rozumiem, jak zwykle wy oboje razem coś postanowiliście, ja się nie liczę, jestem poza nawiasem.

– Oj, mamo...

– Kiedy to prawda. Nie wiem, po co jeszcze fatygujesz się, żeby mi mówić cokolwiek. Dla was znaczą tyle, co klamka u drzwi. Po co mnie w takim razie pytasz o zdanie? I tak zrobisz, co twój tatuś ci powie, zawsze tak jest.

– Mamo, wiesz przecież, że to nieprawda. Ale jeśli jesteś tak bardzo przeciwna tym planom, to z nich zrezygnuję.

- Jasne, a jeśli zrezygnujesz, nigdy mi tego nie darujesz. Miałam tylko nadzieję, że będziesz trochę bliżej domu, o to mi chodziło, żebyś tak daleko nie wyjeżdżała.
 - Więc to cię martwi – stwierdziła Linda.
 - A dlaczegoż by nie? Jestem normalną matką.
 - Ale nie musisz się martwić. Wszystko będzie dobrze.
 - Czy ty sobie wyobrazasz, że ja cię puszczę do dużego miasta pełnego gangów i białych niewolników i że nie będę się martwiła?
 - Ojej, mamusiu, w San Francisco nie ma żadnych białych niewolników.
 - Skąd wiesz? Ja oglądam telewizję i widzę, co się dzieje. Barbara Walters w swojej audycji pokazywała młode Rosjanki, które mogłyby coś powiedzieć na temat białego niewolnictwa. Te rzeczy nadal się zdarzają, nie oszukujmy się. – W oczach Normy pojawiły się łzy. – Pomyślałam więc sobie, że w college’u spędzisz bezpiecznie cztery lata.
 - Mamo.
 - Mam nadzieję, że będziesz nosiła w torebce broń, co mogę więcej powiedzieć? Ludzie obrywają na prawo i lewo. Nie zasnę spokojnie przez cztery następne lata, chyba wiesz o tym. Godzinę później Linda zadzwoniła do Macky’ego.
 - Tatusiu, musisz porozmawiać z mamą, bo nabiła sobie głowę obsesyjnymi myślami, że albo mnie ktoś napadnie, albo zostanę białą niewolnicą.
 - Domyślałem się, że tak będzie. Nie mówiła jeszcze nic o trzęsieniu ziemi?
 - Jeszcze nie, ale jestem pewna, że gdy tylko przyjdzie jej to do głowy, będzie to następny temat.
- Zgodnie z przewidywaniami wieczorem Norma zasiadła w kuchni do rozmowy z Mackym.
- Pojęcia nie mam, co ci ludzie z towarzystwa telefonicznego sobie wyobrażają. Jak można spodziewać się, że młoda dziewczyna pojedzie sama aż do San Francisco.
 - Przecież ona pojedzie z całą masą swoich rówieśników, którzy razem z nią będą się szkolić.
- Nagle Norma zamarła.
- San Francisco! Wielki Boże! Przecież tam występują trzęsienia ziemi!
- Macky wstał i nalał sobie następną filiżankę kawy. Zapowiadał się dłuższy wieczór.
- Dostanę przez to zawału, zobaczysz. Czuję to.
 - Norma, chciałbym, żebyś przestała się zamartwiać z tego powodu. Sama doprowadzasz

się do szaleństwa.

– Nic na to nie poradzę. Już taka jestem. Taka była moja matka, wiecznie zamartwiająca się, i ja też taka jestem. Już jako dziecko byłam nerwowa. A potem jako nastolatka. Zawsze się denerwowałam. Wiedziałaś, że się wszystkim przejmuję, kiedy się ze mną żeniłeś.

Uprzedzałam cię, że jestem nerwowa.

– Tak, ale myślałem, że po pierwszych dwudziestu latach ci przejdzie.

– Ty się nigdy w życiu nie denerwowałeś, więc nie wiesz, jak to jest. I nie możesz siedzieć tu spokojnie i mówić mi, żebym po prostu się nie przejmowała. Zachowujesz się tak, jakbym ja naumyślnie się denerwowała. Chyba wyobrażasz sobie, że budzę się co rano z mocnym postanowieniem, by stać się zaraz kłębkiem nerwów i zamartwiać się o wszystkich, drzeć na każdy dźwięk telefonu, bo to takie zabawne. Naprawdę, Macky, bardzo bym chciała, żebyś postarał się mnie zrozumieć. Ty i ciocia Elner jesteście do siebie podobni, nie macie w sobie ani odrobiny nerwów. Też bym tak chciała, ale niestety nie mogę. Domyślam się, że tak jest w świecie zwierząt, jedne są płochliwe, inne nie. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale spodziewam się, że Pan Bóg, stwarzając właśnie taki świat, miał swoje powody. Nie można powiedzieć ptakowi, żeby stał się bardziej podobny do krowy.

– No dobrze, Norma, wyjaśniłaś swoje stanowisko.

– Albo lwu, żeby się zachowywał jak osioł.

– Okay, Norma, chciałem tylko podpowiedzieć ci, że może zaznałabyś więcej radości, gdybyś mogła się bardziej zrelaksować.

– Myślisz, że tego nie wiem? Myślisz, że mówisz mi coś nowego? Chciałabym móc patrzeć spokojnie, jak dom schodzi na psy, a ty, ciocia Elner i Linda robicie, co chcecie.

Niech sobie Linda wyjeżdża do dużego miasta, mieszka po sąsiedzku z gwałcicielami i mordercami, co mi tam. A ty w twoim wieku chcesz sobie pohulać w wesołym miasteczku? Proszę bardzo, mnie to w ogóle nie rusza. Ciocia Elner chce zostawiać dom szeroko otwarty dla włóczęgów, którzy przyjdą w nocy i ją zamordują, no to co z tego?

– Wiem, Norma, że jesteś taka kokoszka zmartwioszka, która się boi, że zaraz jej niebo spadnie na głowę. Czy myślisz, że swoim martwieniem się możesz odsunąć jakieś nieszczęście? Co ma się stać, to się stanie, a co nie, to nie.

Norma popatrzyła na niego, jakby chciała go zabić.

– Wielkie dzięki, Macky, to naprawdę wielka pociecha. Będę pamiętała, żeby ci to powiedzieć, kiedy ty będziesz się czymś martwił.

Kiedy Linda wyjechała do San Francisco, ciocia Elner zadzwoniła do Normy i powiedziała:

– Wiesz, co ci jest? Cierpisz na syndrom opuszczonego gniazda.

– Co takiego?

– Przeczytałam właśnie w „Reader’s Digest” i coś mi się wydaje, że syndrom opuszczonego gniazda odnosi się do ciebie. Chyba dlatego jesteś taka przygnębiona i wszystkim się zamartwiasz. Piszą, że objawia się to tym, że człowiek myśli, że jego życie minęło i nikomu nie jest potrzebny. Objawy są jasne jak słońce.

– Jakie objawy?

– Mnie nie oszukasz. Za każdym razem, kiedy przychodzisz mnie odwiedzić, aż cię ręce świerzbią, by mi wysprzątać cały dom. Potrzebne ci jest jakieś hobby. Słuchaj, przeczytam ci, co piszą na ten temat w „Reader’s Digest”, słuchasz mnie?

– Tak.

– „Syndrom opuszczonego gniazda można przezwyciężyć w następujący sposób: wyjdź z domu i zawrzyj nowe przyjaźnie, postaraj się o nowe hobby, poświęć swój czas na jakieś prace społeczne, wybierz się z mężem na powtórny miesiąc miodowy”.

– Powtórny miesiąc miodowy? Nawet nie mieliśmy pierwszego. Muszę więc odbyć dwa. Co tam masz jeszcze?

– Wybierz się przynajmniej raz w tygodniu do restauracji albo zapisz na kurs tańca.

Norma musiała przyznać, że ciocia Elner trafiła w sedno. Czuła się beużyteczna i miała nieprzepartą ochotę wysprzątać dom cioci Elner po sam dach. Ale nie miała ochoty na lekcje tańca ani najadanie na mieście raz w tygodniu. Teraz można się było wybrać tylko do Howarda Johnsona, kiedy zamknięto cafeterię, ale ile razy można jeść smażone mięczaki? Wiedziała też, że Macky nie zamknąby sklepu, by wyruszyć na powtórny miesiąc miodowy. Pozostawało więc tylko znaleźć sobie jakąś pracę społeczną, co w Elmwood Springs wcale nie było zadaniem łatwym, wszyscy bowiem mieszkańcy miasteczka mieli to, co chcieli.

Zapuszczkowane turystki, 1974

Ciocia Elner wojowała na dworze z psem, który polował na jej kota, przez co straciła większą część audycji Sąsiadki Dorothy, ale jeszcze zdążyła na zakończenie. To był ostatni tydzień nadawania audycji Sąsiadki Dorothy, tym bardziej więc ciocia Elner nie chciała

stracić ani minuty.

– Otrzymałyśmy następną kartkę od naszych zapuszkowanych turystek, Ady i Bess Goodnight. Bess pisze, że ich podróże dobiegły kresu i że chcą zostać tam, gdzie dotarli, już na zawsze. Ich nowy dom to Ollie Trout Trailer Camp, który mieści się na Biscayne Boulevard przy 107 Ulicy, półtorej mili od granic miasta Miami. Pocztówka przedstawia śliczny widok i opisuje parking Olliego jako jeden z najładniejszych w kraju, gdzie mieści się trzysta pięćdziesiąt pojedynczych działek, z palmą kokosową na każdym rogu. Moim zdaniem brzmi to bajecznie. Kartka została podpisana tak: „Ju-hu! Przyjeżdżajcie do nas w odwiedziny. Ada i Bess Goodnight”.

Wydaje się, jakby to było zaledwie wczoraj, kiedy one wyjeżdżały. A tymczasem upłynęło już dziewięć lat. No dobrze, podzieliłam się z wami wszystkimi nowinami, nadeszła więc pora, bym podzieliła się też przemyśleniami, jakie ostatnio naszły Doca i mnie. Wczoraj wieczorem siedzieliśmy razem za domem i obserwowaliśmy, jak słońce zachodzi i zaczynają się pojawiać gwiazdy... Jakież to był piękny widok... Widzieć pierwszą gwiazdkę, która do nas mruga... Wieczór był taki ciepły i przyjemny, siedzieliśmy więc, czekając, aż wzejdą wszystkie gwiazdy. I wtedy coś mi przyszło do głowy. Zadałam sobie pytanie, jak byśmy się czuli, gdyby w ogóle nie było gwiazd na niebie ani księżyca, ale potem nieoczekiwanie by się pojawiły. Na pewno wszyscy oniemielibyśmy z zachwytu, mówilibyśmy: „Jakież to piękny widok”. A niekiedy jestem tak zajęta, że nawet nie mam czasu popatrzeć na gwiazdy i księżyc i docenić, jakie to szczęście, że one są tam na niebie. Przeważnie nie doceniamy piękna księżyca, dopóki nie schowa się za chmury. Bóg obdarzył nas tyloma pięknymi rzeczami, które możemy podziwiać, a teraz, kiedy moje dzieci są już dorosłe i poszły z domu, mamy z Dokiem więcej czasu na uświadamianie sobie, ilu łask doznaliśmy, ile szczęścia, więcej niż moglibyśmy się spodziewać. Wiem, jakie mieliśmy szczęście, że Matka Smith żyła z nami pod jednym dachem tyle lat. Nasze dzieci są zdrowe i szczęśliwe, a ja z kolei zostałam obdarzona tyloma wspaniałymi sąsiadami – tymi prawdziwymi i tymi z anteny – którzy byli ze mną przez te wszystkie lata. Często się zastanawiam, co takiego zrobiłam, żeby sobie zasłużyć na tak wspaniałe życie. Myślę, że będzie mi ciężko nie podchodzić codziennie do mikrofonu, aby się z wami spotkać, ale wiecie równie dobrze jak ja, że czas niestety ucieka i na nikogo nie czeka, jak to mówią. Jestem pewna, że nowi ludzie, którzy mnie zastąpią, będą mieli mnóstwo ciekawych propozycji. Długo przebywałam na antenie, trzydzieści osiem lat, to znacznie więcej, niż kiedykolwiek mogłam sobie wymarzyć.

Jak większość z was już wie, Doc przechodzi na emeryturę w przyszłym miesiącu, oboje nie możemy się tego doczekać, gdyż zaczniemy teraz podróżować i składać wizyty.

U schyłku życia nie jesteśmy bogaci, nie mamy też wielu materialnych rzeczy, ale kiedy zasiadam do lektury waszych listów, które nadsyłałiście mi przez te wszystkie lata, czuję się bogata jak milionerka. Mam też nadzieję, że napiszecie do mnie jeszcze od czasu do czasu. Poproszono mnie, bym czasem wpadała do studia w Poplar Bluff, by z wami pogawędzić, więc tak całkiem to mnie się nie pozbędziecie, poza tym mamy przed sobą jeszcze cały tydzień, czyli jeszcze się z wami nie żegnam. A zatem do jutra mówi wam Sąsiadka Dorothy z First Avenue North 5348 w Elmwood Springs w Missouri, gdzie zawsze jesteście mile widziani.

Elnor z ciężkim westchnieniem wstała od stołu, próbując sobie wyobrazić, jak świat będzie wyglądał bez audycji Sąsiadki Dorothy. Nie tylko ona tak myślała. Dwadzieścia mil poza miastem w innej kuchni wiejska kobieta wyciągnęła blat znajdujący się z lewej strony zlewu i po wypróbowaniu około sześciu długopisów w końcu znalazła pisak, w którym zostało jeszcze nieco tuszu. Usiadła i zaczęła pisać list.

Droga Sąsiadko Dorothy!

Pomyślałam sobie, że napiszę do Ciebie, by Ci powiedzieć, jak bardzo będzie mi brakowało Twego głosu, którego słuchałam codziennie w radiu. Słuchając Ciebie, nie czułam się tak samotna w tej swojej głuszy, z dala od miasta. Gdyby nie Ty i Twoja rodzina, wiodłabym smutne, samotne życie. Czasem nawet miałam wrażenie, że Bobby i Anna Lee to moje dzieci. Boże, więc to się naprawdę skończyło? Szczerze mówię, byłaś dobrą sąsiadką.

Twoja przyjaciółka

Vernonowa Boshell

Route 3

Koniec pewnej epoki

Doc znajdował się akurat w drugstorze i przyuczał młodego aptekarza, który miał zająć jego miejsce, kiedy przyniesiono receptę. Zobaczywszy, komu przepisano ów lek nasercowy, natychmiast pobiegł do domu. Nigdy nie udali się w podróż. Tego roku jesień była

wyjatkowo ciepła, często więc siadywali na bujanej ławce za domem i obserwowali zachodzące słońce.

Dwudziestego drugiego października wysoki i szczupły spiker radiowy wszedł do kabiny, popatrzył na zegar i chwilę czekał. Dokładnie o dziewiątej trzydzieści, kiedy to tuż po wiadomościach nadawano „Tops in Pops”, zaskoczeni słuchacze usłyszeli:

– Panie i panowie, stacja WDOT z żalem zawiadamia, że zmarła nasza przyjaciółka.

Wczoraj wieczorem w swoim mieszkaniu w Elmwood Springs odeszła od nas cicho Sąsiadka Dorothy. Zostawiła córkę Annę Lee i syna Roberta. Przesyłamy im wyrazy naszego głębokiego współczucia, jak też setkom radiosłuchaczy, którzy od wielu lat znali ją i kochali. Na prośbę rodziny zawiadamiamy, że kto chce uczcić jej pamięć, proszony jest o przesłanie zamiast kwiatów wpłaty na Fundusz Princess Mary Margaret, zarządzany przez Towarzystwo Humanitarne w Elmwood Springs. My zaś godziną ciszą na antenie uczymy pamięć tej, której nieobecność odczuwamy wszyscy.

Na koniec taka refleksja – czym jest życie? Najlepiej, najszlachetniej przeżywa życie taka osoba, po której odejściu do lepszego świata mówimy, że kiedy była wśród nas, przynosiła miłość, radość i pociechę wszędzie tam, gdzie się znalazła. Takie było życie kobiety, którą znaleźliśmy jako Sąsiadkę Dorothy. Mimo że na tym świecie jej głos ucichł, wierzymy, że gdzieś tam, w innym miejscu, ludzie włączają radio i słyszą jej głos po raz pierwszy. Żegnaj, droga przyjaciółko.

LATA OSIEMDZIESIĄTE

Trwoga

Przez całe lata Norma zamartwiała się z byle powodu, ale kiedy nadeszła chwila, gdy coś rzeczywiście strasznego mogło się wydarzyć, to właśnie ona zachowała spokój i zimną krew. Nie powiedziała ani słowa Macky’emu i cioci Elner. Wiedzieli tylko, że poszła na coroczne badanie kontrolne. Powiedziała im dopiero po dwóch tygodniach. Tego wieczoru po kolacji, kiedy już włożyła naczynia do zmywarki i pogasiła światła w kuchni, przeszła do saloniku i usiadła obok Macky’ego.

– Macky, jestem pewna, że tam nic nie ma, ale dopatrzyli się czegoś w mojej mammografii, co im się nie podoba, więc doktor Hailing chce mi zrobić biopsję.

Macky poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Tymczasem Norma mówiła dalej.

– We środę muszę więc iść do szpitala. Będę tam tylko dzień lub dwa, tak czy inaczej, jednak chcę przygotować coś dla ciebie i schować do lodówki, żebyś miał co jeść podczas mojej nieobecności.

Macky w końcu odzyskał głos.

– Jezus Maria, kiedy się o tym dowiedziałas?

– Parę dni temu.

– Parę dni temu? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Bo nie było sensu cię martwić. Teraz mówię ci tylko dlatego, że mogą mnie tam zatrzymać na noc, zależy, co znajdą, a nie chcę, żebyś wrócił do domu i zastanawiał się, gdzie ja jestem.

– Powiedziałaś o tym cioci Elner albo Lindzie? Czy ona przyjeżdża do domu?

– Nie. Już ci mówiłam, że nie ma sensu rozpowiadać o tym komukolwiek, dopóki nie dowiemy się, co to jest, a być może to w ogóle nic nie jest.

– Dlaczego ukrywasz coś takiego przede mną? Co się z tobą dzieje?

– Kochanie, nic się nie dzieje. Po prostu uważam, że nie powinienes się martwić, i to wszystko.

– Norma, na litość boską, jestem twoim mężem, nie możesz tak sobie powiedzieć: „O, a propos, niewykluczone, że mam raka”.

Gdy tylko to powiedział, natychmiast pożałował swoich słów. Ale Norma wstała, podeszła do niego, odgarnęła mu włosy z czoła i poklepała po ramieniu.

– Kochanie, ja nie mam raka.

– Ale mogłaś mieć.

– Prawdopodobieństwo jest niewielkie, ale nawet jeśli, to jeszcze nie jest koniec świata.

Doktor powiedział, że wcześniej zauważyliśmy.

– Więc on myśli, że to jest to?

– Nie, mówił tylko, co by było gdyby, więc gdyby to był rak, co jest nieprawdopodobne, to został wcześniej wykryty.

Potem poszli spać, ale Macky nie mógł zasnąć. Około trzeciej nad ranem wstał i wyszedł na podwórko. Łzy spływały mu po policzkach. I to nawet nie dlatego, że był śmiertelnie przerażony, ale dlatego, że Norma była taka dzielna, co go niewymownie wzruszyło.

Następne dni były dla niego męczarnią. Pomyślał, że gdyby ją stracił, nigdy by sobie tego

nie wybaczył. Chciał z nią przeżyć jeszcze wiele lat, budzić się rano i patrzeć na nią, cenić ją taką, jaka była. Była jego żoną, kochanką, matką jego dziecka, ale przede wszystkim jego najlepszym przyjacielem. Bez niej byłby zupełnie zagubiony.

Siedział w szpitalnej poczekalni i kiedy jej robiono biopsję, on myślał o istocie czasu, którego nie daje się zatrzymać. Kiedy był dzieckiem, czas przypominał nakręcaną zabawkę. Wydawało się, że ciągnie się w nieskończoność, kiedy na lekcjach Macky czekał na dzwonek, i jest krótki jak okamgnienie, kiedy zabawa trwała w najlepsze. Dłużył się niemiłosiernie od wieczoru wigilijnego do ranka Bożego Narodzenia. Teraz, zaledwie za kilka sekund, doktor powie mu o wynikach. W ciągu tych kilku sekund jego życie może się diametralnie zmienić, chyba że – dostaną jeszcze jedną szansę.

Czy ci ludzie w białych kitlach, pracujący w laboratorium wiedzą, na co patrzą? Czy pójdą na lunch nieświadomi faktu, że to, co znajdą pod mikroskopem, na zawsze odmieni czyjeś życie? Miał ochotę krzyknąć na cały szpital: „To moja żona, to moje życie, w waszych rękach jest cała nasza przyszłość!” Oto mężczyzna, który nie pozwalał, by ktoś inny siedział za kierownicą jego samochodu, nie znosił latać samolotem, bo wtedy nie on kontrolował sytuację, teraz siedział zupełnie bezradny. Całkowicie uzależniony od personelu szpitalnego, który w jego oczach wyglądał na niedojrzałych małych. Co się stało ze statecznymi pielęgniarkami i szpakowatymi lekarzami, których pamiętał z ostatniej bytności Normy w szpitalu trzydzieści jeden lat temu, kiedy miała się urodzić ich córka? I dlaczego wszyscy są tacy zadowoleni? Na litość boską, czyż oni nie wiedzą, że tu się waży sprawy życia i śmierci? Jego kochane biedactwo może obudzić się bez piersi, dowiedzieć się, że wszędzie są już przerzuty i że czeka ją tylko śmierć. Dlaczego, do diabła, jeszcze nie wynaleziono lekarstwa na to świństwo?!

Dlaczego wysyłamy pieniądze nie wiadomo gdzie, wydajemy miliardy na zbrojenia, na idiotyczne filmy i głupawe programy telewizyjne? Codziennie umierają ludzie, a my wyrzucamy pieniądze w błoto. Dlaczego nie da się tych pieniędzy naukowcom, żeby wynaleźli lekarstwo? Coś jest nie tak – rak atakuje już zbyt długo, pomoc musi nadejść, dlaczego jeszcze tego nie ogłoszono? Macky był już bliski szału, kiedy w holu pojawił się doktor.

– Pan Warren? Właśnie dostaliśmy z laboratorium wyniki, guz jest łagodny, zupełnie nieszkodliwy, tak więc na tym zakończymy badania. Żona powinna dość do siebie już za kilka godzin. – I dodał jeszcze do przechodzącego obok innego lekarza: – O, Duke, możesz

wziąć dla mnie jeszcze dwa bilety na jutrzejsze rozgrywki?

Macky nie słyszał, co Duke odpowiedział. Wstał i wyszedł przed szpital, żeby przejść się trochę. Tam w środku wszystko było chłodne i sterylne, teraz Macky znów wyszedł na słońce, poczuł, że może odetchnąć pełną piersią. Zauważył, że uśmiecha się do przechodzących obok ludzi, i wtedy właśnie coś sobie postanowił. Spełni wszystko, czego tylko zechce ta kobieta. Potem musiał sobie przypominać postanowienie, jakie tamtego dnia powziął, stojąc przed szpitalem. Kiedy w następnym roku zapytał ją, gdzie by chciała pojechać na wakacje, odpowiedziała:

- Jest takie jedno miejsce, gdzie strasznie bym chciała pojechać, ale nie wiem, czy ty się zgodzisz.
- Norma, już ci mówiłem, że pojedziemy, gdzie tylko zechcesz.
- Zawsze chciałam pojechać do Las Vegas i pójść na koncert Wayne’a Newtona. Zabrałby ją na księżyc, gdyby takie było jej życzenie.

Ożywić centrum Elmwood Springs

Pół roku po powrocie z Las Vegas Norma znalazła pracę społeczną, jakiej szukała. Wyglądało na to, że po śmierci Sąsiadki Dorothy nikt już nie chciał przyjeżdżać do Elmwood Springs. Kiedy prowadziła swoją otwartą audycję, ludzie walili drzwiami i oknami, ze wszystkich okolic zwoziły ich naładowane autobusy, ale teraz, zwłaszcza kiedy wybudowano autostradę międzystanową, centrum miasteczka zaczęło zamierać. Na ostatnim zebraniu izby handlowej nowo wybrane prezydium wysunęło projekt ożywienia śródmieścia Elmwood Springs, a na przewodniczącą komitetu wybrano Normę. Po przejściu przez miasteczko z notatnikiem w ręce Norma doszła do pewnych wniosków, które przedstawiła na najbliższym zebraniu.

- Jesteśmy nijacy. To, czego nam potrzeba, to jakiegoś motywu przewodniego.
- Jakiego znowu motywu przewodniego? – chciała wiedzieć Leona.
- Takiego, który odróżniałby nas od innych, stanowił nasz wyróżnik, sprawiał, że wydawalibyśmy się inni od pozostałych ludzi, którzy chcieliby do nas przyjechać. Tymczasem my nie mamy żadnego charakteru, wszystkie budynki w naszym mieście są takie nijakie. Musimy robić jakieś wrażenie. Jak się do nas wjeżdża, to co się widzi najpierw? Tablicę z napisem „Witamy w Elmwood Springs”. Ale potrzeba nam czegoś więcej. Napisu,

który by coś proponował, zachwalał, oferował coś wyjątkowego. Na przykład „Miasto największego kartofla” lub coś w tym rodzaju. Powinniśmy zaproponować coś niecodziennego, jakąś atrakcję, która sprawi, że ludziom będzie się chciało zjechać z autostrady międzystanowej i zatrzymać u nas.

Wszyscy naraz wystąpili z pomysłami.

– Może pomyśleć o czymś, co da nam przepustkę do Księgi rekordów Guinnessa?

– Na przykład największe na świecie ciastko. Albo pasztet czy nawet naleśnik.

– A co powiecie na wafel? Największy na świecie wafel?

– Ale to są rzeczy krótkotrwałe. Trzeba pomyśleć o czymś, co będzie można zobaczyć.

– To musi być coś lokalnego.

– Może w takim razie ojczyzna największej dyni? Pamiętacie, jak Doc Smith wyhodował dynię i posłał ją na stanowe targi?

– A skąd będzie wiadomo, że to największa na świecie dynia? Stanowa, zgoda, ale na świecie? Jak to sprawdzić?

– No dobrze, niech będzie największa w całym stanie. I tak tego nikt nie sprawdzi. Komu by się zresztą chciało?

– Chyba zrobili zdjęcie tej dyni. Jeśli je znajdziemy, moglibyśmy umieścić jej wizerunek na plakacie.

– Coś wam powiem – odezwała się Tot. – Ja bym na pewno nie zjechała z autostrady, żeby zobaczyć największą dynię, a co dopiero mówić o zdjęciu dyni.

– A czego wytwarzamy najwięcej?

– Kukurydzy?

– Nie, kukurydza rośnie w Iowa, Idaho ma kartofle.

– A rabarbar? Czy gdzieś jeszcze mają tyle rabarbaru? – zapytała Verbena, nagryzając pączka. – Moglibyśmy mieć rabarbarowe pola, rabarbar szybko rośnie.

– A dlaczego miałyby to być warzywo czy owoc? Dlaczego nie miałyby być napój, mięso czy ciastko?

– Nadal uważam – wtrąciła Norma – że motyw przewodni byłby najlepszy i trwały. Na przykład można urządzić główną ulicę jakoś inaczej od wszystkich. Niechby wyglądała jak ulica w innym kraju, wiecie, tak jak duńskie miasto w Kalifornii.

– A co powiecie na to: mielibyśmy wtedy motyw przewodni miasta. Musielibyśmy tylko zmienić wszystko na typ szwajcarskich szałasów pasterskich, pozawieszać krowom

dzwoneczki i tak dalej. Nazwalibyśmy się „Małą Szwajcarią” albo coś w tym rodzaju.

– Jakim krowom? Przecież u nas nie ma żadnych krów.

– No dobrze, w takim razie ty wysuń jakiś pomysł.

– A może styl hawajski? Uwielbiam wszystko, co hawajskie. Każdy nosiłby muumuus*, a Dixie uczyłyby tańczyć hulla. Może mogłaby na-

* Muumuus – noszona na co dzień hawajska suknia, bardzo kolorowa, w kwieciste wzory.

uczyć wszystkich mieszkańców, a każdy, kto by zjechał z autostrady do nas, dostawałby lei. Albo coś takiego.

Nazajutrz Norma objechała miasteczko, usiłując wyobrazić sobie jakiś motyw przewodni, który – co zasugerował komitet – dałby się łatwiej zaadaptować do istniejącej topografii. Nie było tu żadnego większego zbiornika wody, jeśli nie liczyć jeziora czy źródła, zatem odpadał pomysł z Hawajami. W promieniu trzystu mil nie było też widać żadnej góry. Elmwood Springs było płaskie jak największy na świecie naleśnik, i do tego znajdowało się w środku lądu.

Nagle doznała olśnienia. W samym środku lądu. Czemu nie skupić się właśnie na tym?

Elmwood Springs, dokładnie w samym środku kraju. W końcu znajdowali się niezbyt daleko na wschodzie ani na zachodzie, niezbyt wysunięci na północ ani też na południe. A jeśli nie liczyć Nowego Meksyku i Newady, co jest dopuszczalne, gdyż to tereny przeważnie pustynne, wtedy Elmwood Springs wypada dokładnie w samym środku kraju. Zawsze wszyscy mówili, że gdyby wspiąć się dostatecznie wysoko, można by zobaczyć Kentucky, Illinois, Indianę, Tennessee, Missisipi, Arkansas i całą drogę aż do Iowa.

I ten wniosek przeszedł w głosowaniu. George Crawford namalował wielką planszę, a 22 maja komitet zorganizował uroczyste odsłonięcie tablicy. Teraz każdy, kto przejeżdżał międzystanową autostradą, mógł przeczytać:

NASTĘPNY ZJAZD DO ELMWOOD SPRINGS W MISSOURI

UZNANEGO ZA NAJBARDZIEJ CENTRALNE MIASTO W AMERYCE

Nie zdarzyło się, by z powodu tego znaku jakieś auto zjechało z autostrady, ale za to

poprawiło się samopoczucie mieszkańców Elmwood Springs.

W świecie gospel

Pewnego popołudnia pani Pike ze Spartanburga w Karolinie Południowej została zaskoczona odwiedzinami swej starej znajomej, Minnie Oatman, która jechała właśnie na festiwal muzyki sakralnej w Dadeville. Minnie rozsiadła się w saloniku i zaczęła rozprawiać o stanie swojego zdrowia, jak również o miejscu muzyki gospel we współczesnym świecie.

– Wiesz, choroba mnie zwała na równe cztery miesiące.

– Tak, słyszałam o tym – odpowiedziała zatroskana pani Pike.

– Ale gdy tylko doszłam do siebie po ataku serca, natychmiast wsiadłam w samolot i poleciałam do Detroit, gdzie dołączyłam do rodziny, i wierz mi, to był ostatni dzwonek.

Kiedy ja leżałam, chłopcy i ten głupi Emmett wzięli sobie menedżera. Patrząc na nich i ich nie poznaję, wszyscy w obcisłych gatkach, wąziutkich krawacikach, z zapuszczonymi długimi bakami i wąsikiem cienkim jak ołówek, z przylizanymi loczkami zaczesanymi na tył głowy, a najgorsze to, że wyobrażali sobie, jak świetnie z tym wyglądają. Powiedziałam im:

„Chłopcy, jesteście już o krok od showbiznesu, gdyby wasz tata was teraz zobaczył, na pewno by się przewrócił w grobie”. Wpadłam w furję, nie miałam pretensji do Beatrice, bo biedula nie mogła zobaczyć, co oni z siebie zrobili. Tak czy owak, przegoniłam na cztery wiatry tego menedżera. Ale wiesz, zamartwiam się, że gospel staje się skomercjalizowany. Myślę, że wszystko zaczęło się wtedy, gdy Oak Ridge Boys zapuścili włosy i zaczęli śpiewać muzykę country. Teraz mnóstwo chłopaków uprawia country, chcąc szybko zrobić kasę. Drzę na myśl, że Vernon na dobre da drapakę do Nashville i zacznie się szprycować, jak cała reszta. Bervin wziął sobie nową żonę i odgraża się, że rzuci śpiewanie i zacznie pracować dla Amwaya, a jeśli to zrobi, wtedy zostaniemy bez tenora. – Pociągnęła łyk mrożonej herbaty. – Kiedyś miałam nadzieję, że ściągnę do naszego zespołu chłopaczków Betty Raye, ale już widzę, że nic z tego nie będzie. Żaden z nich nie ma słuchu.

Westchnęła ciężko i zapatrzyła się w przestrzeń zamyślona. – Ja tego nie rozumiem.

Żadne z nich nie ma za grosz słuchu. I to mają być wnuki moje i Ferrisa?

Po upływie drugiej kadencji Betty Raye wycofała się z polityki i zajęła domem oraz uprawianiem ogródka, o czym marzyła przez całe życie. Jediną dodatkową aktywnością,

poza odwiedzaniem od czasu do czasu swoich synów, było zasiadanie w komitetach dwunastu szkół dla głuchoniemych i niewidomych, które ufundowała w imieniu swego zaginionego męża. Peter Wheeler po śmierci żony ożenił się z Vita i razem wybrali się w podróż naokoło świata na pokładzie statku pasażerskiego. Jimmy Head wprowadził się do gościnnego domku położonego na tyłach domostwa Betty Raye i był bardzo szczęśliwy.

W 1984 roku Hamm Sparks junior stanął do wyborów na stanowisko gubernatora i wygrał. Mówiono, że Earl Finley przewraca się w grobie.

Jeśli zaś chodzi o sprawę zniknięcia Hamma Sparksa, Jake Spurling po ustaleniu, że łódź należała do pana Anthony'ego Leo, znów natknął się na mur. Nigdzie nie mógł jej znaleźć. On i jego ludzie sprawdzili dokładnie najpierw wszystkie meldunki o zaginionych łodziach, a potem wszystkie zaginione i odnalezione łodzie od St. Louis do granic Missouri, i dalej, aż do Zatoki Meksykańskiej, ale nic z tego nie wynikło. Zwłaszcza że Jake nadal nie był pewien, czy znaleziony karawan i nieodnaleziona łódź miały związek ze zniknięciem ekipy Hamma Sparksa. Wiedział tylko, że pewnego wieczoru Hamm był w Jackson w stanie Missisipi i że drugiego dnia przepadł bez wieści.

W całej okolicy dokładnie przeczesano teren łowiecki z udziałem sfory psów. Bez rezultatu. Każdy znaleziony w ciągu ostatnich siedemnastu lat szczątek, kość, ząb czy włos został poddany dokładnym badaniom, ale żaden z nich nie należał do zaginionych mężczyzn. Sprawa ta okazała się najbardziej zagadkowa w całej jego karierze zawodowej. Gdyby Jake Spurling nie był pragmatykiem i ekspertem w dziedzinie medycyny sądowej, który wierzył jedynie w to, co dało się rozpoznać pod mikroskopem, być może dałby wiarę krążącym opowieściom – że ludzie ci po prostu rozplynęli się w powietrzu.

Monroe

Bobby poleciał do Nowego Jorku w podróż służbową na cykl spotkań związanych z fuzją firmy Drób Fowlera z innym dużym przedsiębiorstwem. Trzeciego dnia, kiedy wrócił wieczorem do hotelu, zastał czekającą na niego wiadomość przesłaną przez Lois.

**ZMARŁ TWÓJ PRZYJACIEL MONROE NEWBERRY. POGRZEB WE ŚRODĘ
O DRUGIEJ. ZADZWOŃ DO MNIE PO OTRZYMANIU TEJ WIADOMOŚCI.**

Bobby udał się do pokoju hotelowego i zatelefonował do żony. Chwała Bogu Lois wszystko już załatwiła w biurze podróży, zarezerwowała dla niego miejsce na samolot lecący bezpośrednio z Nowego Jorku do Kansas City, gdzie zamówiła też dla niego wynajęty samochód, tak żeby mógł pojechać prosto z lotniska do Elmwood Springs. Po śmierci Dorothy Doc przeniósł się do Anny Lee, a Bobby nie był w Elmwood Springs od czasu pogrzebu matki i od lat nie widział się z Monroe'em. Tak bardzo był zajęty. Niemniej zawsze dzwonili do siebie na Boże Narodzenie i urodziny. Zawsze planowali, że razem coś zrobią, ale niczego nie zrobili. Obu wydawało się, że mają przed sobą mnóstwo czasu. A teraz było już za późno.

W Kansas City wsiadł w wynajęty samochód i podczas jazdy nową autostradą zaczął myśleć o wielu rzeczach, które robili razem z Monroe'em. Wspinaczka na wieżę ciśnień, kąpiele w Sinym Diabie, podróż pociągiem na Zlot Skautów, niezliczone noce spędzone przez Monroe'a w domu Bobby'ego, obietnica złożona tej nocy, kiedy razem z Matką Smith spoglądali w niebo, że zatelefonują do siebie w Nowy Rok 2000. Każdy z nich był drużbą na ślubie drugiego.

Ale czas i odległość robią swoje. Bobby dokonał życiowego awansu. Zyskał nowych przyjaciół. Razem z Lois kupili dom w Shaker Heights w Cleveland, gdzie teraz mieściły się biura zarządu, wstąpili do klubu wiejskiego. Monroe natomiast został w domu i prowadził sklep z oponami swojego teścia.

Bobby przybył do kościoła około pierwszej czterdzieści, złożył wyrazy współczucia wdowie, Peggy, zamienił parę słów z dawnymi kolegami. Następnie zbliżył się do trumny. Dotknął ciała leżącego w trumnie, ciała, które miało być Monroe'em, ale było tylko zimną bryłą wyjętą z lodówki. To nim wstrząsnęło. Dlaczego był taki zimny, dlaczego włożono go do zamrażarki? To, co leżało teraz ubrane w brązowy poliestrowy garnitur i krawacik ze sztucznego tworzywa, wyglądało jak nieudolnie zrobiona kukła, którą ktoś dla kawału wykonał na podobieństwo Monroe'a. Czym w końcu była śmierć? To jakiś okrutny żart zesłany przez wszechświat. Jednego dnia człowiek żyje, a następnego, jakby na skutek dotyku czarodziejskiej różdżki, już go nie ma.

Nie istniało już to, co kiedyś było Monroe'em. Ale gdzie w takim razie się podział?

Bobby zastanawiał się, tak jak dawniej, kiedy był dzieckiem, co się stało z królikiem, którego

magik wyciągnął z kapelusza, a potem uczynił niewidzialnym? Czy Monroe, ukryty gdzieś w tajemniczym schowku, czekał, aż będzie mógł tu wrócić?

Bobby wiedział, że powinien odczuwać coś jeszcze, ale był odrętwiały, prawie obojętny. Kiedy tak siedział w ławce i słuchał, jak ksiądz mruczy pacierze, w pewnym momencie uświadomił sobie, że nuci melodyjkę, która z jakiegoś powodu przewija mu się w pamięci. Melodyjka, której nie nucił od lat. „Baw się dobrze, masz mniej czasu, niż myślisz. Baw się dobrze, pókiś młody”. Wiedział, że powinien skupić się na nabożeństwie, ale nie mógł się skoncentrować. Kiedy było już po wszystkim, kobiety swoim zwyczajem przypilnowały najdrobniejszych szczegółów. Zdawały się nawet płakać w odpowiednich momentach. Wiedziały też, w jaki sposób płakać, a także jakie dania przyrządzić i kiedy je podać. Mężczyźni natomiast stawili się na miejscu, by nieść trumnę, ale i to im trzeba było podpowiedzieć. Podczas niesienia trumny niemal nie wierzył, że to rzeczywiście Monroe spoczywa w tej drewnianej skrzynce. Jak to możliwe? Miał przecież dopiero czterdzieści dziewięć lat. Można było sądzić, że zostało mu jeszcze wiele lat życia. Monroe szedł środkowym przejściem Wal-Mart „Wszystko na patio i ogrody”, szukając skutecznego środka chwastobójczego, a w następnej chwili leżał już na podłodze powalony rozległym zawałem. Mówiono, że nawet nie wiedział, co się dzieje.

Bobby jednak zastanawiał się, czy Monroe czuł zbliżającą się śmierć, czy choćby przez sekundę pomyślał, co mu się stało. Czy umierał? Czy to się po prostu tak skończyło? Czy doznał szoku na myśl, że to właśnie to, że tak to się odbywa? Czy została mu chwila, w której mógł przypomnieć sobie swoje ostatnie słowa wypowiedziane do żony albo do dzieci? Czy zastanawiał się nad tym, czego nie zrobił? Czy był wściekły z tego powodu? A może przerażony? Czy całe życie przewinęło mu się przed oczami, tak jak to ludzie powiadają? Czy też następuje ciemność? Czy to jest jak sen? Czy coś się wtedy śni? I czy teraz Monroe w jakiś sposób obserwuje go, zadowolony, że kolega przyjechał po tylu latach, czy w ogóle wszystko, co dziś Bobby robił, miało jakiegokolwiek znaczenie?

Gdyby Monroe wiedział, że tak krótkie będzie jego życie, czy przeżyłby je w inny sposób? Czy zmarnowałby wiele dni, objając się po sklepie albo oglądając tyle meczów baseballowych? Co by zrobił, gdyby wiedział, że tak szybko mija życie, jak pociąg, który ze świstem mija drugi pociąg – narastający huk, drżenie i zaraz znika tak szybko, jak się pojawił. Po zmówieniu ostatnich pacierzy na cmentarzu wrócili do domu. Peggy nakryła mały stoliczek, na którym zapaliła świeczkę i ustawiła kilka fotografii. Bobby zobaczył zdjęcie

Monroe'a na kucyku, tym samym, na którym i on miał zrobione zdjęcie, potem szkolne fotografie, ślubne zdjęcia, oprawione w ramki rodzinne fotografie z Monroe'em trzymającym wędkę ze złowioną rybą, potem Monroe trochę grubszy w miarę upływu lat, ale ciągle ten sam, dobroduszny Monroe, który poddawał się każdemu zwariowanemu pomysłowi, jaki tylko Bobby'emu przyszedł do głowy. Po pewnym czasie wszyscy dawni koledzy wyszli razem na werandę, by powspominać zabawne chwile, jakie razem spędzili w ciągu minionych lat. Jak to Monroe odstrzelił sobie palec u nogi, kiedy potknął się o swojego psa myśliwskiego, albo jak dał się złapać, kiedy chciał skraść taczki Starego Hendersona, wszystkie psie figle z chłopięcych lat. Jeden z nich wyciągnął butelkę whisky Jim Beam i wszyscy po kolei napili się z niej. W większości, tak jak Bobby, pochowali już swoje matki, ale to była naturalna kolej rzeczy. Śmierć Monroe'a to było coś innego. To był pierwszy przypadek, kiedy umierał ktoś z ich grona. Zbyt bliska była ta śmierć, by można było jakoś się pocieszyć.

Sama śmierć nie przerażała Bobby'ego. Napatrzył się na nią w Korei. Przerażał go jedynie ten moment, może kilka sekund za ledwie, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że umiera i że to koniec wszystkiego. Kiedyś omal nie utonął i wtedy przez ułamek sekundy pomyślał, że może to jego ostatnia chwila na ziemi. Jednak wtedy był bardzo młody, więc w krótkim czasie zapomniał o tej strasznej chwili i nadal różnymi wygrupami prowokował los. Młodzi szybko zapominają. Ale w miarę upływu lat coraz trudniej jest zapomnieć o własnej śmiertelności. Tyle rzeczy o tym przypomina. Wszędzie wokół ludziom wali się świat. Kiedy umierają dziadkowie, przed tobą są jeszcze rodzice, ale kiedy i oni odchodzą, rozglądasz się wokół i zaczynasz rozumieć, że jesteś następny w kolejce. A potem któregoś dnia wszczynasz rozmowę na temat miejsca na cmentarzu i ubezpieczenia na życie.

Około piątej skończyło się wspominkowe spotkanie. Przed udaniem się na lotnisko Bobby postanowił jeszcze przejść się po mieście. Nie był tu od lat, dokładnie od czasu pogrzebu matki. Szedł ulicami, na których kiedyś znał wszystkich mijanych ludzi, a teraz spoglądał na nieznajomych, którzy też nie mieli pojęcia, kim on jest. Uważali to miasto za swoje. Domy i ulice, które przed laty znał jak własną kieszeń, też się zmieniły. Przeszedł ulicami, którymi chodził kiedyś, roznosząc gazety, ale w domu Whatleyów mieszkali jacyś obcy ludzie, na werandzie Nordstromów też siedzieli obcy. Minał kilka alejek, które kiedyś wydawały mu się szerokie na przynajmniej dwadzieścia stóp, ale teraz ze zdziwieniem

spozregł, że to zaledwie wąskie ścieżki zarzucone puszkami po piwie. Nie przypominał sobie, żeby tu było tyle śmieci. Doszedł do swego dawnego domu. Przed kilkoma laty on i Anna Lee sprzedali go, ale teraz z przyjemnością zobaczył, że dom niewiele się zmienił, może tylko wydał się znacznie mniejszy od tego, jakim go pamiętał. Wszystko było mniejsze. Centrum wyznaczały tylko dwie przecznice. W jego pamięci rysowało się jako wielkie osobne miasto. Zatrzymał się przed wystawą domu towarowego Braci Morgan i zdumiał, jak na tak małej powierzchni udawało im się pomieścić cały zimowy świat. Nie było już obrotowego szyldu fryzjera. Niemal wszystkie sklepiki zostały zlikwidowane, z wyjątkiem sklepu żelaznego i drugstore'u należącego niegdyś do jego taty. Przeszklone drzwi do Elmwood Theater były zamknięte na łańcuch, a ostatni wypłowiąły plakat filmowy w zakurzonej gablocie zapowiadał film z roku 1968.

Stał przed wejściem i patrzył. Boże, pomyślał sobie, tyle godzin tu spędził, kino wypełnione hałaśliwymi dziećmi, skrzypiące podnoszone fotele. Zielone lampy na ścianach w blaszanych oprawach w kształcie rożków, oświetlające przy wejściu salę tak ciemną, że kiedy się wchodziło, nic nie było widać, dopiero po chwili, kiedy wzrok się przyzwyczajał, dawało się dostrzec w ciemności ukryte pod schodami maleńkie światełka oznaczające każdy rząd. Szło się środkowym przejściem po podłodze wysłanej cudownie miękką wykładziną dywanową w najprzeróżniejszych kolorach: zielonym, brunatnym i różowym, coraz dalej pod wielki ekran, na którym rozgrywało się bujne życie, pełne nieoczekiwanych możliwości i spełnionych marzeń. Podeszedł bliżej, by zajrzeć w głąb poczekalni, ale nie mógł niczego dostrzec. Nie wiedział, czy to skutek działania wypitego Jim Beam, ale mógłby przysiąc, że słyszy perkotanie maszyny do popcornu. Pamiętał smak przesyconej masłem prażonej kukurydzy, jedzonej wprost z zatłuszczonej torebki w białoczerwone pasy. I mimo że dawno już zamknięto jadłodajnię, nadal czuł w ustach pikantny smak musztardy i chili, którą smarowane były hot dogi, popijane zimnym jak lód napojem pomarańczowym. A kiedy mijał drugstore, bez trudu przywołał na pamięć smak piwa imbirowego, wody sodowej z sokiem cytrynowym i truskawkowym, banana z lodami i bitą śmietaną, a także deserów lodowych polewanych roztopionym toffi, które smakował przez lata.

Tyle smaków, tyle zapachów. Chyba się upił, pomyślał. Wrócił do samochodu, usiadł za kierownicą i siedział tam samotnie czas jakiś. Nastąpiła już jesień, liście zaczęły zmieniać kolory, co przywołało nową falę wspomnień.

To było wtedy. W tym miejscu. To się czuło. Ileż by dał za to, by wróciły te dni, choćby

tylko godziny, ale wiedział, że to równie niemożliwe jak złapanie w dłonie dymu. Kto by pomyślał, że to, co się wtedy przeżywało, wywoła potem nostalgię, jawić się będzie jako coś, co określa się mianem starych, dobrych czasów? Nikt nam przecież nie mówi: „To będzie twoja najszczęśliwsza chwila w życiu”. Dlaczego marnował te chwile, zamiast cieszyć się nimi, marząc o wyjeździe gdzie indziej. Po raz pierwszy w życiu Bobby uświadomił sobie, że to, czego mu najbardziej brakowało, minęło i już nigdy nie wróci. Wtedy rozplakał się jak dziecko. Chciałby, żeby jego dzieciństwo wróciło. Chciał wrócić do domu, minąć hol, wejść do swego starego łóżka i obudzić się, mając przed sobą całą przyszłość, rozpostartą na czerwonym dywanie. Chciał powrotu do czasów, w których dzień miał wymiar nieskończoności, pole za domem było rozległe i skrywało magiczne miejsca, basen zaś zdawał się szeroki i długi jak jezioro. Czasów, w których najlepszy przyjaciel zawierał z nim przymierze krwi, a dziewczęta uważały go za fajnego. Zastanawiał się, co się stało z Królem Gumy Balonowej 1949? Chłopcem, który chciał oblatywać samoloty, być kowbojem i dokonać tylu wspaniałych czynów.

Nic strasznego. Po prostu dorósł.

Biedna Tot

Może się zdarzyć, że po nieszczęśliwym dzieciństwie następuje szczęśliwy wiek dojrzały, może się też zdarzyć, że po szczęśliwym dzieciństwie następuje nieudane życie dorosłe. Ale w przypadku Tot Whooten niedole dzieciństwa przerodziły się w niedole wieku dorosłego, które nie opuszczały jej ani na chwilę. Zaabsorbowana borykaniem się z trudnościami dnia codziennego, późno spostrzegła, że życie innych ludzi wcale nie polegało na wojowaniu z innymi, ale przeciwnie, zdawali się całkiem zadowoleni ze swego losu i radośnie wypatrywali dnia następnego.

Nagle zrozumiała z całą wyrazistością, że jeśli człowiek rano przez godzinę nie może zmusić się do tego, by zwlec się z łóżka, to coś jest nie tak. Dotychczas codziennie, od przeszło dwudziestu lat, zagrzewała się do porannego boju, jakby odczyniając czary wspak, wmawiając sobie, „jakie to szczęście, że jest się żywym, bo życie to wspaniała rzecz... ta-ra-ram, ta-ra-ram... wstawaj, szkoda dnia, ptaszki śpiewają, witaj nowy dzień, ta-ra-ram, ta-ra-ram...” Była jak Old Man River*, zmęczona życiem, ale bojąca się śmierci, aż któregoś dnia uznała, że już dalej nie może.

Po tym, jak przez całe życie, dzień po dniu, troszczyła się najpierw o swoje rodzeństwo, potem o własne dzieci, wiecznie pijanego męża, rodziców, poczuła się jak słoń, który wyczerpany do granic możliwości ciężarami, którymi go objuczano, pada i nie może się podnieść. Biedna Tot wiedziała, że nie tylko nie daje rady ciągnąć tego dłużej, ale już nie chce. Każde dziecko przyniosło jej wyłącznie rozczarowania, ona sama zaś nigdy nie miała prawdziwych wakacji. Wszystkie święta zawsze były takie same. O dziesiątej rano James był już pijany jak bela, a w południe

* Old Man River – określenie Missisipi, najdłuższej rzeki płynącej przez niemal całe Stany.

zupełnie nieprzytomny, natomiast Darlene i Dwayne junior ciągle się ze sobą kłócili. Darlene zaliczała już czwartego męża, a jej córka Tammie Louise, obraz i podobieństwo mamusi, najwyraźniej zamierzała pójść w jej ślady – miała zaledwie dziesięć lat, a już szalała na punkcie chłopaków na motorach. Dwayne junior z kolei podczas ostatniej wizyty wyniósł z domu srebrne świeczniki, zapewne po to, by je przehandlować na prochy albo może, jak się domyślała Tot, sprezentować je tej swojej chudej dziewczusze, która miała wyskubane brwi i paliła jednego papierosa za drugim. Gdzie on taką znalazł, Tot wołała się nie zastanawiać. Żadne z jej dzieci nie słuchało matki. Wystarczyła jej mała uwaga, a natychmiast na nią naskakiwały: „A ty sama za kogo wyszłaś?” Starła się zrobić coś z Darlene. Zapisła ją na kurs stepowania do Dixie Cahill, ale Dixie wkrótce odesłała ją do domu z liścikiem:

Droga Tot!

Darlene nie rozróżnia lewej strony od prawej i chyba nigdy nie będzie z niej tancerki.

Szkoda, byś swoje ciężko zarobione pieniądze marnowała na jej dalsze lekcje.

Z poważaniem, Dixie

Tot przez lata użerała się z Jamesem i jego pijaństwem. Błagała, by rzucił picie. Kiedyś upił się jak świnia i leżał w garażu nieprzytomny i ledwie żywy. W końcu doktor mu powiedział:

– Następny kieliszek po prostu cię zabije.

I to jedno zdanie odniosło skutek, jakiego nie odniosły prośby i groźby Tot.

Wytrzeźwiał, wkrótce dostał dobrą pracę i zaraz potem przyszedł do Tot, usiadł na kanapie w saloniku i zaczął jej opowiadać o kobiecie, którą spotkał w klubie AA. Patrząc jej prosto w oczy, mówił:

– Tot, po raz pierwszy w życiu jestem zakochany.

Siedziała naprzeciwko niego, ona, która urodziła mu dwoje dzieci, znosiła jego pijaństwo przez trzydzieści dwa lata, a on miał czelność powiedzieć jej, że jest zakochany po raz pierwszy w życiu. W tamtej chwili zrozumiała ludzi, którzy w desperacji popełniają morderstwa, zakonotowała też sobie wtedy, by w przyszłości nie opowiadać się za utrzymaniem kary śmierci.

Gdyby znalazła w sobie dość siły, toby go zabiła, ale osłabła, niezdolna zrobić kroku.

Siedziała więc, wpatrując się w niego tępo, a on ciągnął w nieskończoność, jak to czasem ludzie mają szczęście i odnajdują swoje bratnie dusze. Jak to po raz pierwszy od swoich lat chłopięcych mógł się znowu śmiać. Jak świat nabrał znów blasku i powabu. Jak to pokochał dzieci tamtej kobiety i ma wrażenie, że tym razem może być lepszym ojcem, niż był dotychczas, od kiedy przestał pić.

Wreszcie skończył swoje wywody na temat miłości i drugiej życiowej szansy.

– Nie masz pojęcia, o ile lepiej czuję się teraz, kiedy mogłem być z tobą szczerzy.

– To dobrze. Cieszę się, że czujesz się lepiej.

– Mój szef powiedział mi, że im wcześniej ci o tym powiem, tym lepiej dla nas obojga.

– Cieszę się, że on tak myśli – powiedziała.

– No więc teraz, kiedy już wiesz, co zamierzasz z tym zrobić?

– Co ja zamierzam z tym zrobić?

– Tak – odpowiedział, spoglądając niecierpliwie na zegarek, jakby już był spóźniony na umówione spotkanie.

– Chcę, żebyś zadzwonił do tej kobiety i powiedział jej, że już masz żonę.

– Masz ci los, Tot, bądźże rozsądna. Jackie Sue mnie potrzebuje, a ty nie.

Tot myślała, że się przesłyszała.

– Jackie Sue Potts? Ta sama, która przespała się ze wszystkimi mężczyznami w całym mieście?

– Tot, nie mów rzeczy, których będziesz żałowała. Nie wiesz nawet, jakie ona miała ciężkie życie.

– To ona miała ciężkie życie?!

– Tot, co było, to było. Musimy żyć dniem dzisiejszym, z dnia na dzień.

– Coś ci powiem. Powolutku. Niech będzie z dnia na dzień. Dam ci rozwód, ale pod jednym warunkiem. Weź sobie tę kobietę i zabieraj się stąd jak najdalej, żeby cię tu z nią nie widziała. Słyszysz, co mówię?

Tot czuła się jak kompletna idiotka. Nie tylko dziewczucha była młodsza od jej córki, ale przez cały czas Tot kręciła włosy tej Jackie Sue. I to po to, żeby Jackie wyglądała ładnie, idąc na randkę z jej własnym mężem!

Oczywiście James się nie wyprowadził i wkrótce Tot zaczęła widywać ich na mieście, obnoszących się dumnie ze swoim nowym dziecięciem. Tego ranka zastanawiała się, dlaczego właśnie wtedy poczuła, że jest u kresu wytrzymałości. Może dlatego, że tak bardzo była zmęczona. Tak strasznie zmęczona, że już nie miała siły dłużej się trzymać. O siódmej rano zaczął dzwonić telefon. Wiedziała, że to Darlene, która chciała upewnić się, czy może podzucić dzieciaki, by móc ze swoim nowym mężem wybrać się na wyścigi starych samochodów. Po raz pierwszy jednak Tot nie odebrała telefonu. Do południa dzwoniło jeszcze parę osób, które coś od niej chciały, ale doznały zawodu, gdyż Tot nie podnosiła słuchawki. Oczywiście słyszała wszystkie dzwonki, ale jakoś jej nie przeszkadzały ani nie mobilizowały do tego, by choć dowiedzieć się, o co chodzi. Tot zastanawiała się, co jej się stało. Co wreszcie w niej pękło? Co ją zwolniło z przymusu aktywności, tak że leżała sobie w łóżku, nagle zupełnie spokojna i wyciszona jak radio, które wyłączono z sieci? Właśnie, pomyślała sobie, jestem wyłączona. Wreszcie w środku nieżywa. Już nie przeszywa mnie prąd, każąc mi wstać, funkcjonować, coś czuć.

Czy tak już miało być, czy też zrobiła sobie urlop, jakiego nigdy w życiu nie brała. Jak długo trwać będzie ten stan, zastanawiała się, mając nadzieję, że tak już zostanie na zawsze. To był stan błogości, bezbolesnego życia, bez niepotrzebnego odczuwania czegokolwiek. Tak jakby opuściła swoje ciało, zostawiając je puste, wydrążone.

Około trzeciej po południu postanowiła wstać z łóżka. Niemal bała się, że kiedy wstanie, jej dawne „ja” poderwie się, ale nic takiego się nie stało. Z uczuciem ulgi Tot spacerowała po mieszkaniu. Mogła się ruszać, ale jej dawna natura nie wracała. Snuła się jak duch we własnym domu, przyglądała się wszystkiemu beznamiętnie, nie biorąc w niczym czynnego udziału. Jakież to błogi stan! Jak spokojnie można spędzić dzień! Co to jest? Zadawała sobie to pytanie, zamykając okiennice, wyłączając telefon z gniazdka i chowając go do szafy. Na czym polegała ta odmiana? Po chwili znalazła odpowiedź. Zupełnie jasną. Po prostu przestało

ją obchodzić. Po wiecznym zabieganiu, troszczeniu się, walce, szukaniu rozwiązań, wreszcie nadszedł ten dzień. Dzień, w którym przestało ją cokolwiek obchodzić.

Niech się dzieci obrażają. Niech komitet kościelny zachodzi w głowę, co się stało, że jej nie ma. Niech jej zakład rozsypie się w pył i proch. Niech się pali, niech się wali. Ją już nic więcej nie obchodzi.

Zrobiła sobie zupełną pomidorową z torebki Campbella, napiła się coli, zjadła parę krakersów i zagryzła serem, po czym wróciła do łóżka. Naczynia zostawiła na stole. Co tam.

Marzyła o takim dniu, jaki wydarzył się, kiedy miała siedem lat. Było wtedy ciepło, a jej szkolna koleżanka zaprosiła ją na przyjęcie urodzinowe. Pozwolono jej na nie pójść.

Pamiętnego popołudnia 1928 roku mogła sama pójść na przyjęcie urodzinowe. Bez żadnej siostry czy brata, bez żadnych obowiązków, nic tylko bawić się na przyjęciu. Grali w różne gry i jedli lody, a potem biegała po łące razem z innymi dziećmi za domem tej dziewczynki, której matka wołała za Tot, by uważała i się nie przewróciła. Nie było z nią żadnego brata do opieki, żadnej siostry. Przez tę jedną chwilę była szczęśliwa, tamtego popołudnia, kiedy miała siedem lat.

Zastanawiała się, jak też wyglądałoby jej życie, gdyby nie tamta godzina szczęścia.

Tot dostaje fioła

Wszyscy w mieście martwili się o Tot Whooten. Norma odbyła na ten temat rozmowę telefoniczną z ciocią Elner.

– Zamartwiam się o nią – przyznała. – Przejeżdżałam tamtędy i widziałam Tot, jak spaceruje sobie za domem, sama jak ten palec, jakby nie miała nic do roboty. Wiesz, że przestała chodzić do kościoła, a swojej córce powiedziała, żeby nie przyprawiała więcej swoich dzieciaków. Na bingo też już nie przychodzi. Jej podwórko to teraz obraz nędzy i rozpaczy, a to już jest nie w porządku. Nigdy nie zapuszczała swojego otoczenia. Zawsze trawka u niej była świeżo skoszona, a żywopłot równiutko przycięty. Na jej żywopłocie można by nakryć do obiadu, taki był zawsze schludny.

– A kto by chciał jeść z żywopłotu? – zapytała ciocia Elner.

– Nie o to chodzi. Boję się, że ona ma fioła. Zawsze wydawało mi się, że jeśli ktoś w tym mieście dostanie fioła, to tym kimś będę ja, a tymczasem to Biedna Tot. Biedna Tot dostała kręcka, tak jak jej matka.

– Chyba nie – odpowiedziała ciocia Elner. – Poszłam do niej któregoś dnia i wydawała mi się całkiem normalna. Mówię ci, Norma, ona jest po prostu przemęczona, i to wszystko. Wyjdzie z tego, chyba żeby nie wyszła.

– Toś mnie pocieszyła, ciociu Elner. Co my powiemy Darlene czy Dwayne'owi juniorowi? Że ich matka wróci do siebie albo nie?

– Właśnie tak. Bo co innego możemy im powiedzieć?

Norma zastanowiła się przez chwilę.

– Chyba masz rację. Nie możemy nic za nią zrobić, sama musi się w tego wyciągnąć. My możemy tylko być przy niej, jeśli będzie nas potrzebowała. Chyba się nie mylę, jak myślisz?

– Tak mi się wydaje, że nic poza tym nie możemy zrobić – zgodziła się ciocia Elner.

Inni mieszkańcy miasteczka nie podzielali jednak tej opinii. Pani Mildred Noblitt, chuda jejmość z tikiem w prawym oku poszła do domu Tot i tak długo dobijała się do drzwi, aż wreszcie Tot jej otworzyła i wpuściła do środka. Tot miała na sobie przezroczystą koszulę nocną z rysunkiem flaminga na plecach. Pani Noblitt energicznym krokiem wtargnęła do salonu, usiadła i zapytała:

– Tot, wiesz, że jest już dziesiąta godzina, a ty jeszcze paradujesz w koszuli nocnej?

– Wiem – odpowiedziała Tot.

– Tot, wszyscy się o ciebie martwią. Musisz się wziąć w garść i wrócić do życia, włączyć telefon. Nie możesz tak siedzieć beczynn timer z zamkniętymi okiennicami, gdy twoje obejście zarasta chwastami. Co sobie ludzie pomyślą?

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Jak to, musi cię obchodzić, co sobie ludzie pomyślą. Twój ogródek zawsze tak ślicznie wyglądał, wiesz przecież, że taka nie jesteś.

– Wcale nie wiem. Nie mam pojęcia, jaka jestem.

– No to ci powiem, jesteś porządną osobą. Dlatego tak się martwimy o ciebie, po prostu przestałaś być sobą.

– Skąd wiesz? – zapytała Tot.

– Ponieważ dotąd świeciłaś przykładem, można było ciebie podziwiać. Chyba nie chcesz nas wszystkich rozczarować, prawda? Zawsze myślimy o tobie, kiedy coś złego się wydarzy; mówimy wtedy: „Ale pomyślmy, ile Biedna Tot musiała znieść”. I wtedy to nas podnosi na duchu, stajemy się lepsi. Jeśli się rozkleisz, to kogo będziemy stawiali za wzór?

Tot wzruszyła ramionami.

– No dobrze. W takim razie ci powiem, o czym pewnie nie słyszałaś. Wiesz, jak ludzie cię nazywają? Chrześcijańską męczennicą. Słyszałam to setki razy: „Biedna Tot, to jest dopiero męczennica”. No proszę, czy cię nie wzrusza, skoro już wiesz, jak wysoko cię ludzie cenią?

Tot rozważała to przez chwilę.

– Właściwie nie – odrzekła w końcu.

– Otóż chodzi o to... Och, nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale chyba nie warto żyć, skoro człowiek nie cieszy się życiem.

– Bingo! – zawołała Tot.

– Słuchaj, Tot, nie podobasz mi się, kiedy tak mówisz. I pozwalasz, żeby zmarniały wszystkie twoje paprocie. Jeśli się z tego nie otrząsniesz, to wkrótce wpadniesz w szal i zaczniesz zabijać.

Wątyły uśmiezek zaczął błąkać się w kącikach ust Tot, co sprawiło, że uaktywnił się tik pani Noblitt.

Wyprostowała się jak struna.

– Mogę tylko powiedzieć jedno i już sobie idę. – Przez chwilę szukała w pamięci, jakie słowa mogłyby wyrzucić pożądaną frazę, po czym wyrzuciła z siebie: – Ładnie jest postępować ładnie. – To powiedziawszy, wymaszerowała godnie z salonu.

Następną osobą, która usiłowała przyjść z pomocą, była Verbena.

– Wiesz, Tot – powiedziała – zawsze, kiedy zaczynam się użalać nad sobą, przypominam sobie Friedę Pushnik.

– Kogo?

– Friedę Pushnik. Kalekę, która urodziła się bez rąk i nóg. Zobaczyłam ją w 1933 roku na Światowych Targach w Chicago. Obnosili ją na wielkiej czerwonej poduszce, to był tylko kadłub i głowa, a jednak była wesolutka jak szczygiełek. Szczebotała bez przerwy. Mówiła, że potrafi nawlec igłę i że dostała państwową nagrodę za malowanie ustami. Kupiłam jej zdjęcie, podpisała je na moich oczach. Trzymała pióro między brodą a ramieniem, napisała mi: „Powodzenia, Frieda Pushnik”. Nadal mam to zdjęcie. Kiedy tylko jest mi smutno, wyciągam je i patrzę, a wtedy przestaję się martwić, bez względu na przyczynę, bo mała Frieda Pushnik, bez rąk i nóg, nigdy się nie martwiła. Nigdy nie narzekała, a przecież miała powody, żeby się skarżyć. Pomyśl sama, Tot, gdyby to ciebie tak obnoszono bez przerwy na

aksamitnej poduszce, to jak byś się czuła?

– Znakomicie – odpowiedziała Tot triumfalnie.

Verbena poddała się. Ale ponieważ Tot była jej najbliższą sąsiadką, uważała za swój moralny obowiązek osobiście wyciągnąć ją z tej apatii czy cokolwiek to było, i dwa dni później, po głębokich rozterkach wewnętrznych zdecydowała się złożyć ofiarę z najcenniejszej rzeczy, jaką miała – wsunęła pod drzwi kuchenne Tot fotografię Friedy Pushnik z dedykacją. Ale nawet uśmiechnięta buzia Friedy Pushnik na aksamitnej poduszce, z kokardą we włosach nie pomogła Biednej Tot. Odłożyła zdjęcie twarzą w dół pod przetrzebiony mocno komplet sreber obiadowych i wkrótce o nim zupełnie zapomniała. Ale któregoś poniedziałku, jak to się czasem zdarza, Tot obudziła się i wyjrzała przez okno, gdzie Verbena wieszała na podwórku swoje pranie, kiedy nagle przyfrunął ogromny trzmiel i usiadł na jej sukience. Verbena natychmiast rzuciła miednicę na ziemię, podkasła sukienkę i zaczęła podskakiwać i wymachiwać rękoma, pohukując jednocześnie:

– Uu-huu! Uu-huu!

Po chwili, kiedy trzmiel odleciał z jej sukienki i pofrunął gdzie indziej w bezpieczniejsze miejsce, Verbena opanowała się, opuściła suknię i rozejrzała wokół, chcąc sprawdzić, czy nikt nie był świadkiem komicznego zajścia. Zadowolona, że nikt nie widział, jak podskakuje po całym podwórku z suknią zarzuconą na głowę, podniosła porzucone pranie i dokończyła wieszanie bielizny. A tymczasem w sąsiednim domu Tot śmiała się tak bardzo, że łzy zaczęły jej spływać po policzkach i musiała przycisnąć sobie do ust poduszkę, żeby Verbena nie słyszała jej śmiechu. W ciągu całego swojego życia Tot nie uśmieła się tak serdecznie, tak niepohamowanie. Nadal leżała w łóżku, a kiedy tylko zdołała się uspokoić, obraz podskakującej Verbeny wracał natychmiast i powalał Tot następnym paroksyzmem śmiechu. Śmiała się tak szczerze i tak długo, że w końcu ze zmęczenia nie wstała już z łóżka i znów zasnęła. Gdy tylko budziła się, przypominała sobie o podskakującej Verbenie i znów śmiała się do rozpuku.

W końcu musiała wstać i pójść do łazienki, a kiedy popatrzyła na swoje odbicie w lustrze, znów dostała ataku śmiechu, ale tym razem śmiała się z siebie. Śmiech nie opuszczał jej przez cały dzień, aż obluzowała jej się sztuczna szczeka, co ją tylko jeszcze bardziej rozśmieszyło. Następnego dnia obudziła się cała obolała ze śmiechu, ale już spokojna i odprężona. Wtedy też po raz pierwszy od kilku miesięcy poczuła, że mogłaby już wstać na dobre.

Verbena, która tyle wysiłku włożyła w to, by jakoś rozruszać Tot, nie dowiedziała się

nigdy, że dzieła dokonał trzmiel siedzący na jej sukni. Była przekonana, że to Frieda Pushnik odegrała znaczącą rolę w procesie ozdrowieńczym Tot, a Tot nigdy nie wyprowadziła jej z błędu.

Wkrótce wszyscy w mieście wiedzieli już, że Tot wychodzi z tego okropnego stanu rozprężenia. Po raz pierwszy od tygodni podciągnęła story w salonie. W ciągu kolejnych tygodni unosiły się zasłony w następnych oknach, aż wreszcie któregoś dnia Tot wstała, ubrała się i wyszła do pracy, mając już inny ogląd świata.

– Wiesz, Norma – powiedziała – przez całe życie byłam na krawędzi załamania nerwowego, ale teraz, kiedy mam już to za sobą, czuję się znacznie lepiej.

Córki

Linda, córka Normy i Macky'ego, wyszła za męża, ale nadal pracowała, pomagając w ten sposób mężowi przebrnąć przez studia prawnicze, co bardzo drażniło Macky'ego.

– Skoro nie jest w stanie utrzymać żony ze swojej pensji, nie powinien się żenić – orzekł.

Norma z kolei widziała w tym tę dobrą stronę, że Linda nie musiała rzucać pracy.

– Sama chciałabym mieć pracę – powiedziała markotnie.

Kilka miesięcy później, kiedy otwarto nową naleśnikarnię, Norma zgłosiła się do pracy jako hostessa i ku swemu zdziwieniu została przyjęta. Jej matka, Ida, wtedy już zacna siedemdziesięcioletnia wdowa, która nosiła na szyi sześć sznurów pereł sięgających jej okazałego brzucha, wsparta na czarnej lasce, wybiła jej to z głowy.

– Norma, na litość boską, co na to ludzie powiedzą? Córka prezeski Zrzeszenia Klubów Kobietych w Missouri hostessą w naleśnikarni? Jeśli nie myślisz o swojej pozycji społecznej, pomyśl przynajmniej o mojej!

Tak więc Norma nadal miała status gospodyni domowej. Jej nadzieje zostania babcią spełzły na niczym, kiedy Linda poroniła w trzecim miesiącu. Po poronieniu w ich małżeństwie zaczęło się źle dziać. Linda chciała podjąć następną próbę, ale jej mąż był temu przeciwny, dopóki nie skończy studiów. Macky twierdził, że zięć obawiał się stracić bony obiadowe, ale jak wytknęła mu Norma, Macky nigdy go nie lubił.

Któregoś popołudnia, kiedy Macky wrócił z pracy, Norma wyszła do niego do salonu.

– Dzwoniła Linda i mówi, że zadzwoni jeszcze raz o szóstej, bo chce porozmawiać z nami.

Patrzyli na siebie pytająco.

– Co o tym myślisz?

– Mam nadzieję, że chodzi o to, co mi się wydaje – odpowiedział Macky.

– Uważasz, że to możliwe? – zapytała Norma.

– Taką mam nadzieję.

– Zjesz coś teraz czy zaczekasz na jej telefon?

Macky spojrział na zegarek.

– Zaczekajmy. Zostało tylko czterdzieści pięć minut.

– Dobrze, ale co będziemy robili przez te trzy kwadransy?

– Może powinniśmy do niej zadzwonić?

– Nie, ona jest właśnie w drodze na jakieś spotkanie, powiedziała, że zadzwoni do nas, jak to się skończy.

– Mam nadzieję, że to właśnie to, o czym myślę – powtórzył Macky.

– Wiem, tylko że nigdy nic nie wiadomo, ale jeśli to jednak to, proszę cię, nie występuj z żadnymi radami. Powiedz po prostu, że decyzja należy do niej i że cokolwiek ona postanowi, my ją popieramy.

– Norma, ja wiem, jak mam rozmawiać z rodzoną córką. Ona wie, co ja czuję.

– Wiem, że ona wie, co ty czujesz. Zwłaszcza jeśli chodzi o jej męża... Z pewnością nie pozostawiłeś co do tego żadnych wątpliwości, nikt ci nie może zarzucić, że owijałeś prawdę w bawełnę. – Norma pokręciła z naganą głową. – Urządziłeś prawdziwe przedstawienie. Nigdy w życiu nie czułam się tak zakłopotana.

– Już dobrze, Norma – próbował załagodzić Macky.

– Mógłbyś przynajmniej powiedzieć to na osobności, a nie czekać do dnia ślubu i wtedy wyciąć taki numer.

Macky wstał i poszedł schronić się do swojego pokoju, ale Norma nie ustępowała.

– Wyobraź to sobie. Trwa uroczystość. Każdy wie, że na pytanie, kto daje tę kobietę mężowi, wstaje ojciec, odpowiada: „Ja daję” i wraca na miejsce. – Norma wstała i zaczęła przekładać poduszki na kanapie. – Ale to nie ty, ty musiałeś głośno zakomunikować: „Jaję nie daję, jaja wypożyczam”.

– Okay, Norma – zawołał ze swojej kryjówki.

– A następnie wbić w niego wzrok jak bazyliśzek... Nic dziwnego, że mają kłopoty. Nie śmiałam spojrzeć w oczy jego rodzicom. Chyba pomyśleli sobie, że jesteś pijany, w każdym

razie mam nadzieję, że tak pomyśleli. Bo nie chciałabym, żeby myśleli, że ty jesteś zdolny powiedzieć coś takiego po trzeźwemu. A potem jeszcze ten głośny śmiech cioci Elner, to naprawdę cud, że nasza córka nadal z nami rozmawia.

Macky wrócił z kryjówki.

– Linda wie, co miałem na myśli. Nie zamierzałem publicznie oświadczać w kościele czy w jakimkolwiek innym miejscu, że oddaję swoją córkę... jak gdyby była przedmiotem w naszym domu. I bez względu na to, co ty czy Linda myślicie na ten temat, nadal uważam, że to była lekkomyślna decyzja.

– Macky, ona chodziła z nim przez sześć lat, jak więc to mogła być lekkomyślna decyzja? Wiedziałeś, że ona kiedyś wyjdzie za mąż, więc skąd nagle takie zachowanie? I to wobec wszystkich! To ja byłam matką panny młodej, to mnie uchodziło płakać, nie tobie.

– Norma, dlaczego to ciągle wywlekasz?

– Nie wiem, chyba z nerwów. Może dać ci krakersa czy coś innego? Mam trochę sera pimento.

– Nie, zaczekam, aż ona zadzwoni.

– Tylko, Macky, żebyś pochopnie nie wiązał zbyt wielkich nadziei, już raz mieliśmy fałszywy alarm.

– Niczego nie wiążę. Po prostu mam nadzieję, że to będzie dobra wiadomość.

Siedzieli naprzeciw siebie i czekali, już nic nie mówiąc, dopiero gdy telefon zadzwonił, on poszedł do swojego pokoju podnieść słuchawkę, a ona odebrała w kuchni. Po skończonej rozmowie Macky zszedł do kuchni rozpromieniony, ale Norma miała poważną minę.

– Cóż, mam nadzieję, że teraz jesteś zadowolony.

– Jestem – odpowiedział, sięgając do lodówki w poszukiwaniu sera pimento.

Norma otworzyła szafkę, gdzie trzymała krakersy.

– Szczerze mówiąc, nie widziałam jeszcze mężczyzny, który by był tak szczęśliwy na wiadomość, że jego córka się rozwodzi.

Podróże doktora Roberta Smitha

Po pogrzebie Monroe'a coś się zmieniło w Bobbym. Powrót do domu wywołał w nim tyle wspomnień. Bytność w Elmwood Springs przypomniła mu nie tyle, kim był, ile kim chciał być. Owszem, dorobił się, miał spore oszczędności w banku, dobre lokaty w akcjach,

nie mógł narzekać. Mieli dwa domy, jeden w Cleveland, drugi na Florydzie. Ich dzieci chodziły do najlepszych szkół, on sam ciężko pracował, był dobrym dostawcą, ale niepostrzeżenie zaczynały wracać dawne marzenia. Chłopiec, który kiedyś wpatrywał się w refleksy ognia tańczące na suficie, który zdawał się w nim uśpiony, zaczynał się budzić. Bobby zauważył, że nienawidzi nakładania krawata i uczestniczenia w sztywnych posiedzeniach prezydiów w każdym mieście, będącym filią spółki. Zauważył, że coraz częściej spogląda w okno.

Po trzymiesięcznych rozmyślaniach któregoś wieczoru stanął w drzwiach i zwrócił się do Lois z pytaniem:

– Lois, co byś powiedziała, gdybym ci wyznał, że miałbym ochotę wrócić do szkoły?

Lois bez chwili wahania odrzekła:

– Powiedziałabym: zrób tak.

Tak więc pan Robert Smith przeszedł na wcześniejszą emeryturę, wrócił na uczelnię, zrobił doktorat z historii, opublikował rozprawę na temat: Amerykański Zachód: marzenia i rzeczywistość, po czym już jako doktor Robert Smith udał się wraz z żoną w objazd z cyklem odczytów, co Lois tak skomentowała swoim dzieciom:

– Wasz ojciec korzysta teraz z życia.

Starzejemy się, kochanie

Macky nie mógł znaleźć sobie miejsca. Wreszcie wszedł do kuchni, usiadł naprzeciw Normy przy stole i zapytał:

– Norma, jak ja wyglądam?

Norma rzuciła na niego okiem znad zapisków, co ma dzisiaj zrobić.

– Co znaczy, jak ty wyglądasz? Wyglądasz jak zawsze. Po swojemu.

– Nie, poważnie pytam... Jak ja wyglądam?

– Macky, nie mam czasu na głupie zabawy. Próbuję wyliczyć, ile kanapek powinnam zamówić.

– To nie zajmie ci dużo czasu... Spójrz na mnie... i powiedz, co widzisz.

Norma odłożyła ołówek i uważnie mu się przyjrzała.

– Wyglądasz, jak zawsze wyglądałeś, może tylko trochę starzej.

– Jak bardzo starzej?

– Wyglądasz... Czy ja wiem, Macky, dla mnie wyglądasz zawsze tak samo. Nie wiem jak. Idź przejrzyj się w lustrze.

– Potrzebny mi jest obiektywny sąd. Ja codziennie siebie oglądam.

– Ja też codziennie ciebie widzę. Skąd mam wiedzieć, jak wyglądasz?

– Gdybym szedł ulicą, a ty zobaczyłabyś mnie z daleka, co byś powiedziała?

– Powiedziałabym: Oto idzie mój mąż, Macky Warren. Co innego miałabym powiedzieć? Oto nadchodzi ktoś zupełnie nieznajomy?

– Norma...

– No dobrze. Gdybym więc ciebie nie znała i zobaczyła, jak idziesz ulicą w moją stronę, to powiedziałabym... Och, nie wiem, daj mi spokój, Macky. Nie nadaję się do takich głupich zabaw. Mówisz jak ciocia Elner. Idź popatrz na swoje zdjęcie, jeśli chcesz dowiedzieć się, jak wyglądasz, zajrzyj do kroniki, w której jesteśmy uwiecznieni jako najmilsza para roku. Tak właśnie wyglądasz, starszy, ale ciągle miły.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– O co ci chodzi? Uważasz, że nie można wyglądać miło, kiedy jest się starszym?

– O ile starszy teraz ci się wydaję?

– Bo ja wiem... Wyglądasz na swoje lata. Tak jak powinieneś wyglądać, Macky. Nie wiem, co chcesz, żebym jeszcze powiedziała. Zapytaj kogoś innego. Muszę się zastanowić, czy mamy zamówić prażynki kartoflane czy sałatkę owocową. Jak tylko zdecyduję się na prażynki, wtedy wszyscy powiedzą, że woleliby sałatkę owocową. – Wróciła do swojej listy, ale gdy wstawała, dorzuciła: – Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś równie śmiesznego.

Po jego wyjściu Norma zaczęła się zastanawiać nad tym, co powiedział. Było oczywiste, że martwił się, że się starzeje. Ale w takim razie co ona ma mówić?

Trudno było powiedzieć cokolwiek na ten temat, skoro byli codziennie razem, przez tyle lat. Nigdy się nie rozstawali, z wyjątkiem jednej nocy, kiedy poszła do szpitala urodzić Linde, oraz trzech dni, kiedy pojechała z cicią Elner do St. Louis odwiedzić siostrzenicę cioci, Mary Grace. Ale zaczęły się pojawiać drobne objawy. Zdarzało jej się chrapnąć w fotelu podczas oglądania telewizji. Macky coraz częściej nie budził jej, żeby wstała i położyła się do łóżka. Wzrok jej się popsuł. Powinna nosić okulary właściwie już zawsze do czytania czy jakichś robótek. Macky też potrzebował okularów, ale uparł się nie zamawiać ich jeszcze, więc kiedy chciał przeczytać gazetę, pożyczał jej okulary, przez co oprawki były permanentnie za luźne. Może miał rację. Może rzeczywiście się zestarzelili. Kiedy wrócił do domu, zastał Normę

stojącą przed wielkim lustrem w samych tylko majtkach i biustonoszu.

– Macky – zapytała – czy ja wyglądam grubo?

Za Chiny nie odpowiedziałby na to pytanie.

LATA DZIEWIĘCDZIESIĄTE

Prosto z lodówki

Kiedy Macky przestąpił próg domu, Norma czekała na niego w salonie.

– Siadaj – powiedziała.

Wyraz jej twarzy wskazywał, że miała mu do zakomunikowania wiadomość bardzo dobrą albo bardzo złą, nigdy nie potrafił odgadnąć, co to miało być. Usiadł posłusznie.

– O co chodzi?

– Rozmawiałam z Lindą przez telefon – zaczęła.

– No i co?

– Ano to, że oświadczyła, że chce mieć dziecko, powiedziała, że tyka jej zegar biologiczny.

– Aha. A co? Spotkała kogoś?

Norma wstała, by poprzekładać poduszki na kanapie, co zawsze robiła, kiedy była zdenerwowana.

– Nie, nikogo nie poznała, ale zaczęła odwiedzać różne agencje.

Macky się zaniepokoił.

– Agencje? A po co jej agencje? Tam, gdzie pracuje, mężczyzn jest na kopy.

Norma odchrząknęła.

– W tym sęk. Ona nie chce mężczyzny, to znaczy nie chce go całego. Ona chce dziecko, ale nie chce mężczyzny... Tak w każdym razie powiedziała.

– Co takiego?

– Więc zanim zaczniesz się na mnie wściekać, wiedz, że moim zdaniem to nie jest dobry pomysł, ale ona postanowiła udać się do... – Norma starannie dobierała słowa – ...placówki, która się w tym specjalizuje. Szuka odpowiedniego banku... tych rzeczy.

– Banku?

Norma straciła cierpliwość.

– Ojej, Macky, czy mam przeliterować ten wyraz dla ciebie? Ona chce zajść w ciążę, ale nie chce powtórnie wychodzić za mąż. Zamierza udać się w takie miejsce, gdzie przechowuje się zamrożoną... – Norma walczyła ze sobą, ale to słowo nie mogło jej przejść przez gardło. Spojrzała w stronę okna, czy czasem ktoś akurat nie przechodzi w pobliżu i nie usłyszy, co ona powie, po czym przeliterowała: – S-P-E-R-M-E.

– Co?

– Macky, czyś ty nigdy nie słyszał o sztucznym zapłodnieniu? O to jej właśnie chodzi, i chce, żebyśmy o tym wiedzieli.

– Wielki Boże.

– Zawsze powtarzałeś, że ona może nam wszystko powiedzieć, no więc powiedziała. Już sama nie wiem, co mam o tym myśleć i co mam mówić. To twoja córka. Gdybyś nie dawał jej tak wyraźnie do zrozumienia, że marzysz o wnuczku, może by do tego nie doszło.

– Norma, ona była w ciąży, co więc mogłem mówić?

– Tak się zachowywałeś, jakby zostanie dziadkiem było największym marzeniem twojego życia, więc kiedy poroniła, poczuła się jeszcze gorzej z tego powodu. – Norma nagle wybuchnęła płaczem. – Możesz się cieszyć! Zostaniesz dziadkiem wnuczka, który będzie miał mrożonego tatusia!

Jednakże po miesiącach nieudanych prób zajścia w ciążę i wielu rozczarowaniach Linda w końcu się poddała. Macky i Linda pomyśleli sobie, że na tym sprawa się zakończyła, ale któregoś dnia, kiedy Macky wrócił z wędkowania, Norma czekała już na niego w drzwiach:

– Mam nadzieję, że lubisz czop sui.

– Co?

– Kiedy ciebie nie było, zadzwoniła twoja córka. Jest właśnie w drodze do Chin, żeby stamtąd przywieźć sobie zagraniczne dziecko.

– Co?

– Powiedziała, że przed rokiem zgłosiła chęć zaadoptowania małej dziewczynki. Tym razem nic nam nie mówiła, bo myślała, że nie będzie żadnego odzewu, ale przed trzema dniami zadzwonili do niej, żeby przyjeżdżała odebrać dziecko.

Stał z otwartymi ustami, ciągle trzymając w ręku nanizane na linkę ryby. Ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewał, to taka wiadomość.

– Moje gratulacje, Macky, teraz zostaniesz dziadkiem jakiejś komunistki, która jak

dorośnie, zamorduje nas wszystkich śpiących w łóżkach.

– Po tych słowach zostawiła go samego w kuchni i poszła wypłakać się do sypialni.

Mimo że oboje się tym zamartwiali, to gdy tylko zobaczyli maleńką dziewczuszkę z oczkami czarnymi jak guziczki, którą Linda nazwała Apple, natychmiast się w niej zakochali bez pamięci. Dwa lata później Norma przechadzała się po mallu, dumnie obnosząc bluzę z nadrukowanym wizerunkiem małej Chincezki i podpisem: KTOŚ WYJĄTKOWY MÓWI DO MNIE „BABCIU”.

Cecil Figgs, vel Ramón Navarro

Kiedy znaleziono na ulicy ciało dużej, krzepko zbudowanej kobiety w rudej peruce i przewieziono je do zakładu Cecila Figgsa, podczas przygotowywania zwłok do pochówku okazało się, że to wcale nie była kobieta. Można sobie wyobrazić powszechne zdumienie, kiedy wyszło na jaw, że istota w jaskrawej zielonej sukni to nikt inny, tylko sam Cecil Figgs! Straszny skandal. Na szczęście matka Cecila nie dożyła tej chwili. Jake Spurling natychmiast wsiadł w samolot i przyleciał do Nowego Orleanu. Ale nawet on, uzbrojony w umiejętność dedukcji, wspomagany przez zastępy profesjonalnych agentów FBI, nie potrafił ustalić, jak to się stało, że Figgs przedzierzgnął się w pannę Anitę „Boom Boom” De Thomas i przez ostatnie dwadzieścia lat z okładem wiódł w Nowym Orleanie niczym nie zakłócony żywot.

Mimo usilnych poszukiwań Jake nie dowiedział się niczego bliższego. Jedyne człowiek, który mógł wiedzieć, co się stało z Hammem i resztą jego kompanii, zakończył żywot, a może nawet i on nie był świadom wszystkiego. Jake rozwiązał niektóre elementy zagadki, na samym początku jednak umknął mu pewien istotny szczegół.

Rzeka wyrzuciła kawałek drewna, na którym widniały litery AYE. Policja rzeczna sprawdziła w swoich rejestrach, że łódź należąca do pana J.C. Pattersona, nazwana „Aye, Aye, Skipper”, zaginęła przed osiemnastoma laty. I tu właśnie tkwił błąd. Był to bowiem jedyny ocalały fragment łodzi „Betty Raye”.

Kiedy „Betty Raye” przycumowana była w Nowym Orleanie, Cecil poznał kogoś, kto gotów był mu sprzedać formaldehyd w dziesięciogalonowych opakowaniach po okazyjnej cenie, pomyślał więc sobie, że przez ten czas mógłby kazać załadować na pokład

osiemdziesiąt galonów, które popłynęłyby z resztą towarzystwa do Missouri.

Cecil nie wiedział, że okazjna cena brała się stąd, iż ów tani formaldehyd został skradziony z jego własnych magazynów. Podczas gdy Hamm i pozostali mężczyźni odbywali swoje spotkania, Cecil bawił w Dzielnicy Francuskiej, na łódź ładowano nie tylko formaldehyd, ale także pięćdziesiąt skrzyń nieopodatkowanego taniego rumu pędzonego nielegalnie na Kubie, który Rodney Tillman postanowił zabrać ze sobą w drogę powrotną do Missouri.

Po zakończonych spotkaniach wieczorem „Betty Raye” wyładowana po brzegi tanim trunkiem i formaldehydem po okazjnej cenie ruszyła w rejs powrotny, zmierzając ku hangarowi, skąd wypłynęła. Po drodze grano w karty, a Seymour Gravel ssał swoje śmierdzące cygaro.

– Beze mnie – powiedział i rzucił karty, narzekając na niefortunne dla niego rozdanie. Zaczął się rozglądać za zapalkami. Noc była gorąca, a reszta towarzystwa pogrążona w zaciętej grze w pokera.

– Jeśli zamierzasz palić tego śmierdziela – odezwał się Hamm do Seymoura, to idź z tym na rufę.

Seymour kołyszącym się krokiem wycofał się na wskazane pozycje i dalej przeszukiwał swoje kieszenie, usiłując znaleźć zapalki.

– Ej, Wendell – zawołał – rzuć mi na chwilę swoją zapalniczkę.

Wendell, namyślając się głęboko, czy przebić Hamma, sięgnął do kieszonki na piersiach i rzucił za siebie swoją ciężką zapalniczkę. Kiedy przelatywała w powietrzu, jej wieczko się odemknęło, a lądując na jednej ze skrzyń, uderzyła akurat kółkiem, które potarte w ten sposób wykrzesало snop iskier. Gdyby ktoś chciał świadomie uzyskać taki efekt, mogłoby mu się nie udać, choćby tysiąc lat próbował. Iskra z zapalniczki padła na źdźbło słomy, w którą owinięte były butelki z alkoholem, co wywołało natychmiastowy ogień.

Żaden z mężczyzn nie wiedział, że faktyczny właściciel łodzi, pan Anthony Leo, zdobył pewną ilość kradzionego dynamitu, którego zamierzał użyć w przyszłości jako argumentu w dyskusji o interesach. Ukrył go w sekretnym schowku usytuowanym na dolnym pokładzie „Betty Raye”.

Galony łatwopalnego formaldehydu, skrzynie z wysokoprocentowym alkoholem, do tego ładunek dynamitu na dnie – okazał się mieszanką wybuchową. Dwaj mężczyźni, którzy tego wieczoru wybrali się na ryby, zeznali, że zobaczyli ogromną kometę, jak zwałała się na

ziemię. Mówili, że rozdarła linię horyzontu i walnęła gdzieś w górze rzeki. Mylili się jednak. To, co widzieli tamtej nocy, to nie była kometa, tylko łódź, która wyleciała w powietrze wraz z Hammem i jego kompanami.

Po stronie strat tego wydarzenia należało odnotować koniec błyskotliwej kariery politycznej Hamma Sparksa. Po stronie zysków – spełniło się marzenie Hamma: zawsze chciał zajść wysoko. I jak to zwykle bywa, miał też wokół siebie swoich towarzyszy.

Później okazało się, że jeden z nich nie był owego wieczoru na pokładzie łodzi.

Cecil Figgs nie stawiał się wówczas o oznaczonej porze, kiedy mieli już odpływać. Odbili od brzegu bez niego, co wyszło mu tylko na dobre. Nieźle się wtedy bawił. Kluczyki od samochodu zostawił u Rodneya, pomyślał sobie, że zdąży jeszcze wrócić do domu samolotem.

Po dwóch dniach obudził się z ciężkim kacem w zapchlonym hoteliku w Dzielnicy Francuskiej. Jego młody towarzysz odjechał, ale zostawił wiadomość:

Drogi Ramónie!

Dziękuję Ci za mile spędzony czas. Zadzwoń do mnie, kiedy znów zawitasz do tego miasta.

Z wyrazami miłości, Todd

Cecil zawsze używał pseudonimu Ramón Navarro, gdy wyjeżdżał z domu. Kiedy uprzytomnił sobie, że to już wtorek i że nie zabrał matki do okulisty, owładnęło nim poczucie wielkiej winy. Chciał do niej natychmiast zadzwonić, ale poranna kawa miała pierwszeństwo. Cecil ubrał się i wyszedł do najbliższej kawiarni, gdzie zaczął się zastanawiać, co powie mamie, która na pewno będzie bardzo niezadowolona. Zanim upił pierwszy łyk kawy, wziął do ręki zostawiony na stoliku egzemplarz „Times-Picayune”. Rzucił okiem na pierwszą stronę i omal nie zemdlął.

HAMM SPARKS I CZTEREJ POZOSTALI MĘŻCZYŻNI PRAWDOPODOBNIENIE NIE ŻYJĄ

Pod zdjęciem przedstawiającym pięciu mężczyzn, w tym i jego, zamieszczona była notatka, która informowała, że zdaniami policji zaginieni zostali prawdopodobnie

zamordowani przez profesjonalnych zabójców. Obecnie trwają przesłuchania kilku osób mających powiązania z chicagowską mafią.

Resztki włosów zjeżyły się na głowie Cecila. Nie miał pojęcia, co się mogło stać. Gdy tylko otrząsnął się po szoku wywołanym straszną wiadomością, w pierwszym odruchu chciał zadzwonić do matki. Po chwili jednak pomyślał, że jeżeli ktoś zamierzał ich zabić, to dowiedziawszy się, że on pozostał przy życiu, będzie chciał go zgładzić. Owładnięty paniką usiłował wymyślić jakiś plan działania na najbliższą przyszłość. Kiedy tak siedział nad wystygłą kawą, dumając nad przyszłością i niechybnie grożącą mu śmiercią, nagle jak błyskawica przeleciała mu myśl. Zaraz, zaraz, pomyślał. W całej tej tragedii migotało światelko w oddali, mogące mu przynieść ocalenie. Wedle wszelkich domniemywań i litery prawa pozostawał martwy. Był zatem wolny, po raz pierwszy w życiu. Mógł więc być tym, kim w rzeczywistości był. Nie musiałby już prowadzić podwójnego życia, zawsze oglądać się przez ramię, czy ktoś nie widzi, umierać ze strachu, że zostanie zdemaskowany, zasmuci matkę i zhańbi dobre imię rodziny. Dla tego warto było umrzeć. Koszt takiego wyzwolenia wprawdzie był wysoki, ale wart poniesienia.

W końcu ów człowiek, z którym Hamm spotykał się potajemnie w Nowym Orleanie, nie pisał ani słowa. Nie mógł sobie pozwolić na uwikłanie w jakiś grubszy skandal. Pan Anthony Leo z St. Louis zastanawiał się, co się stało z łodzią i składowanym tam dynamitem, ale z pewnością w jego sytuacji nie mógł wychylić się z żadnym pytaniem. Jego ciekawość przez lata całe pozostawała więc niezaspokojona. Nie odezwał się też człowiek, który sprzedał Rodneyowi nielegalnie pędzony rum kubański, podobnie ten, który sprzedał Cecilowi kradziony formaldehyd. Cecil oczywiście również milczał.

Prawdę mówiąc, Cecila już nie było. Od tego dnia bowiem jedynie on wiedział, że zaginiony Cecil Figs z Missouri odrodził się pod postacią panny Anity „Boom Boom” De Thomas, głównej atrakcji nowoorleańskiego klubu My Oh My. Nieczęsto trafia się taka okazja, jaka właśnie trafiła się Cecilowi; mógł rozpocząć nowe życie, bez możliwości powrotu do dawnego. Mamie Figs i reszcie rodziny zostawił po sobie niezły mająteczek i wspomnienie dobrego syna, sam zaś mógł dalej żyć po swojemu i dobrze się bawić. Jedyne, czego żałował, to że nie będąc dłużej Cecilem Figgsem, nie mógł zorganizować uroczystego pogrzebu gubernatora. To by było ukoronowanie jego kariery. No, ale trudno.

Pora się żegnać

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że Macky ze swoim sklepikiem z artykułami metalowymi nie wytrzyma rosnącej konkurencji. Czuł to od dawna, jeszcze zanim powiedział cokolwiek na ten temat Normie. Trzy wielkie malle wyrosły jeden po drugim w krótkim odstępie czasu, a teraz, kiedy otwarto nowiutkie Centrum Majsterkowicza i wkrótce Wal-Mart i Ace Artykuły Żelazne, Macky musiał zamknąć interes. Przez jakiś czas większość jego dawnych klientów usiłowała pozostać mu wierna, ale sprowadziło się tylu nowych mieszkańców, a ceny w nowych marketach były tak niskie, że tracił klientów jednego po drugim.

– Nie mam do nich pretensji – powiedział Macky do swego przyjaciela Merlego – sam bym kupował u konkurencji.

Od dawna myślał o sprzedaniu sklepu i przejściu na emeryturę, jednak dopiero ostatnio zaczął się poważnie nad tym zastanawiać. Zmieniająca się w szybkim tempie sytuacja zmusiła go w końcu do tego, by porozmawiać z Normą o sprzedaży domu.

Wkrótce Norma i Macky zaczęli rozglądać się za ogłoszeniami o domach spokojnej starości. W broszurach oglądali fotografie siwowłosych par o dobrej prezencji. Ci ludzie uczestniczyli w przyjęciach koktajlowych, grali w golfa, tenisa, pływali, sprawiając ogólne wrażenie zadowolonych z życia. „To twój drugi dom, jeszcze lepszy od dawnego”, mówili. Okazało się jednak, że musieli się zdecydować w ciągu zaledwie czterdziestu ośmiu godzin, co nie miało nic wspólnego z ich dotychczasowymi planami. Któregoś dnia zadzwoniła do nich Verbena i Merle, bardzo podekscytowani. Ich siostrzeniec mieszkał w takiej zamkniętej społeczności w Vero Beach i właśnie się dowiedział, że za kilka dni jeden domek będzie wystawiany na sprzedaż, zadzwonił więc zapytać, czy ich to nie interesuje. Powiedział, że to osiedle dla emerytów jest jednym z najlepszych w okolicy i jeśli dom byłby szybko kupiony, zanim dowiedzą się o tym pośrednicy agencji nieruchomości, mogliby kupić go taniej, bo bezpośrednio od właściciela, i nie płacić prowizji pośrednikowi. Macky natychmiast zrelacjonował Normie swą rozmowę telefoniczną.

– Jest jeden mankament – powiedział. – Musimy podjąć decyzję od razu. Merle mówił, że jeśli my tego domu nie kupimy, to już jest wielu chętnych na jego kupno.

Norma wpadła w popłoch.

– O Boże. A czy mamy przynajmniej tyle czasu, żeby zadzwonić do Lindy?

– Tak, kochanie, dzwoń.

Po dziesięciu minutach Norma przekazała słuchawkę Macky'emu.

– A ty co o tym myślisz, tatusiu?

– To zależy od twojej matki, co ona myśli.

Norma wzniosła ręce do góry w geście rozpaczy.

– Wy tak zawsze robicie.

– No cóż, tatusiu, mnie się wydaje, że to dobra propozycja. Jeśli po przyjeździe nie będzie się wam tam podobać, zawsze można to sprzedać, ale mam wrażenie, że macie sposobność kupić przyjemne miejsce po atrakcyjnej cenie. Myślę, że będziecie żałowali, jeśli przepuścicie taką okazję. Nie znacie nikogo prócz siostrzeńca Verbeny, kto by mieszkał w Vero Beach? Nikogo, kto by wam mógł doradzić?

– Nie.

– To ja podzwonię po ludziach i popytam. Może się czegoś dowiem. – Po dwudziestu minutach zatelefonowała powtórnie. – Słuchaj, tatusiu, co ci to mówi: Vero Beach na Florydzie, wiejska rezydencja nad rzeką Indian, gdzie leży sławne Dodgertown.

– A co to takiego?

– Tatusiu, to miejsce, gdzie L.A. Dodgers odbywają swoje letnie treningi. Możecie razem z mamą chodzić i patrzeć, jak oni grają.

Następnego dnia po południu Norma zadzwoniła do Lindy.

– No więc, kochanie, klamka zapadła. Właśnie kupiliśmy z tatusiem kota w worku.

Powiedział temu panu, że bierzemy. Pokładam tylko w Bogu nadzieję, że nie okaże się po przyjeździe, że wylądowaliśmy w środku jakiegoś trzęsawiska.

– Świetnie! Cieszyacie się?

– Nie wiem, co o tym myśleć, wszystko stało się tak szybko. Mam nadzieję, że twój tata powziął słuszną decyzję.

Kiedy posprzedawali wszystko i zapakowali się, nadszedł czas strząsnąć z siebie kurz przeszłości i zacząć nowe życie. Merle i Verbena, kiedy przenosili się na Florydę, lecieli samolotem. Macky jednak postanowił kupić małego vana, by móc obejrzeć mijane po drodze widoki. Kupił sobie czapkę kapitańską, a z tyłu samochodu zawiesił tablicę z napisem CHUCKLEHEADS* i następnego dnia ruszyli z Normą, ciocią Elner i Sonnym numer cztery. Macky był podniecony wyprawą. Pamiętał nazwy wszystkich małych kafejek, gdzie zatrzymywali się całą rodziną, kiedy ostatni raz jechali wspólnie na Florydę, co było w 1939 roku. Zauważył jednak, że świat się zmienił. Dzień po dniu widywali niemal wyłącznie

restauracje Burger King, Taco Bell, McDonald's, Jack in the Box oraz Cracker Barrel.

W końcu Norma się zbuntowała.

– Macky, nie zamierzam truć się ptomainą tylko dlatego, że ty postanowiłeś odbyć swoją drogę wspomnień.

Jedyne miejsce, jakie udało się Macky'emu odnaleźć, odstraszyło Normę.

– Chodźmy gdzieś do Cracker Barrel, gdzie przynajmniej wiem, że jest czysto i dają smaczne jedzenie.

Drogi też już inaczej wyglądały. Sunęły po nich nie kończące się sznury ciężarówek. Aut osobowych prawie już się nie widywało. Jakby cały kraj zapakował się na ciężarówki i gdzieś jechał. Miasta były bliźniaczo do siebie podobne. Każda stacja benzynowa miała wewnątrz taki sam sklepik. Nawet poszczególne stany prawie się od siebie nie różniły.

Mężczyzna, który ich sprowadził do Vero Beach, mówił, żeby szukali centrum handlowego z dużym drugstore'em Publix, ale każde mijane centrum handlowe miało duży drugstore, więc w końcu Macky musiał zatrzymać się i pytać o drogę. Wreszcie jeden człowiek wsunął głowę do ich samochodu i powiedział:

– No przecież, jedźcie dalej jakieś pięć mil, a potem miniecie Winn-Dixie, weźmiecie ostry zakręt w lewo i wyjedziecie prościutko na Leisureville.

Znaleźli drogowskaz i wielką tablicę z napisem: WITAJCIE W LEISUREVILLE CENTRAL, NAJSŁYNNIEJSZYM OSIEDLU CHRONIONYM NA FLORYDZIE. Kiedy jednak wjechali tam, ujrzeli rzędy maciupkich domków z gipsu, w kolorze mięty, rózu i lawendy. Jak zauważyła ciocia Elner, przypominały kolorem miętowe cukierki, które trzymano w szklanym słoju przy kasie u panny Almy.

Na osiedlu nie spostrzegli żadnej srebrnowłosej, dobrze zakonserwo-

Chuckleheads – nazwa amerykańskiego zespołu piosenkarskiego.

wanej pary, jakie widniały w broszurze, popijającej koktajle na brzegu basenu, gawędzącej miło z podobnymi parami o wyrazie twarzy mówiącym: Wreszcie trzymam świat w cuglach. Widzieli tylko gromadki ludzi, ich zdaniem wyglądających staro, a zdaniem cioci Elner, jeszcze całkiem młodo.

Wkrótce zrozumieli, że to, co w ogłoszeniu określone było jako „domy z patio i widokiem na cytrusowe krzewy”, oznaczało kępę drzew pomarańczowych po drugiej stronie ulicy

i wybetonowane podwóreczko wielkości znaczka pocztowego. Kiedy weszli do swego nowego domu, Norma nie odezwała się. Sufit przypominający ser wiejski zwieszał się niżej, niż mogli się spodziewać, liczne plamy znaczyły oliwkowy kosmaty dywan, który nie dodawał urody piecowi w kolorze zielonej oliwki ani maleńkiej lodówce. Fakt, że domek stał pusty przez trzy miesiące i pachniał stęchlizną, tym bardziej nie pozwalał otrząsnąć się z pierwszego szoku. Spłowiałe ściany, których kolor określono w broszurze reklamowej jako słomkowy beż, był modny w latach pięćdziesiątych, podobnie jak tandetne aluminiowe drzwi przesuwane i okna w całym domu. Macky już zaczął się martwić, że trudno im będzie odsprzedać tę nieruchomość, ale zaskoczyła go Norma, ciągle jeszcze zdolna go zaskakiwać, mówiąc:

– Och, Macky, nie jest tak źle. Ani się obejrzysz, jak doprowadzę to miejsce do stanu używalności.

Sonny nie miał żadnych zastrzeżeń co do dywanika, na którym złożył zaraz powitalny prezent, akceptując w ten sposób nowe lokum. Przebywali w motelu, dopóki Macky nie zwinął wykładziny i nie wymalował na nowo ścian. Norma wybrała się do Searsa, gdzie kupiła nową kuchenkę i lodówkę, stare oddając Goodwillom. Podłogę w kuchni i łazience Macky wyłożył białym linoleum. Tydzień później, kiedy ciężarówka przywiozła z Missouri ich rzeczy i mogli powstawić je na miejsce, gipsowy domek nabrał przynajmniej znajomego wyglądu. Macky zasiadł na starym znajomym krześle, założył nogę na nogę i zadał sobie pytanie: „No i co dalej?”

W następnym tygodniu przysłano im nowy tygodnik. Macky popatrzył na okładkę i zapytał:

- Co to, u diabła, jest ten AARP*? Przypomina mi psie rzygi.
- To miesięcznik wydawany przez Amerykańskie Stowarzysze-

* AARP – American Association of Retired Persons, Amerykańskie Stowarzyszenie Emerytów i Rencistów.

nie Emerytów i Rencistów. Rozsyłają go wszystkim, którzy przekroczyli pięćdziesiątkę. Są w nim informacje o różnych zniżkach przysługujących emerytom.

Macky coś mruknął i poszedł się przejść. Co jest grane? On wcale jeszcze nie był gotów

przejsć na status emeryta; odnosiło się wrażenie, że cały świat się sprzysiągł, aby każdego, kto skończył pięćdziesiąt pięć lat, opatrzyć etykietką emeryta i wyrzucić poza nawias.

Pamiętał z czasów swojej młodości: stary był ten, kto ukończył przynajmniej siedemdziesiąt pięć lat czy choćby osiemdziesiąt, na litość boską, przecież nawet Stary Henderson uprawiał nadal swój ogródek, kiedy miał dziewięćdziesiąt trzy lata. Macky więc jeszcze był młody, całe lata dzieliły go od starości. Co oznaczało przejście na emeryturę? To, że miałby położyć się i czekać na śmierć? Krótki odpoczynek przed wiecznym odpoczynkiem? Zdawało się, że Norma z uśmiechem na ustach, przy pełnych żaglach, popychana przez sprzyjające wiatry, steruje ku spokojnej, emeryckiej przystani, ale nie on.

Macky przechadzał się po okolicy. To był nie tylko inny stan, ale i inny świat, w którym on czuł się zagubiony. Zagubiony w Leisureville.

Stare dobre czasy

Po kilku miesiącach Norma pozawierała już nowe przyjaźnie, a ciocia Elner czuła się tu szczęśliwa jak prosię w deszcz, mając do wyboru tyle klubów bingo. Sonny był zachwycony faktem, że przyszło mu mieszkać w okolicy pełnej piasku, w którym mógł grzebać do woli, Macky jednak ciągle dawał Normie powody do zmartwienia. Codziennie rano donosiła Lindzie przez telefon:

– Twój tata nie przystosował się do roli emeryta.

Norma co rano czytywała mu szpalty ogłoszeń o proponowanych stanowiskach pełnionych społecznie przez emerytów, ale on uporczywie odmawiał.

– Norma, daj mi spokój, nie będę przecież jak stara pierdoła sterczał w progu Wal-Marta i witał wchodzących klientów, na litość boską!

– To nie musi być od razu Wal-Mart. Jest jeszcze mnóstwo ofert dla emerytów. Na przykład w McDonalddie... Burger Kingu. Słuchaj, tutaj piszą, że można nawet pracować społecznie w kawiarence w szkole średniej czy w bibliotece. Chcą, żeby starsi dawali młodym przykład. Co w tym złego? Dawniej wiele robiłeś dla naszej społeczności.

– To było co innego.

– A niby dlaczego co innego?

– Bo wtedy pracowałem dla swojej społeczności. Ta tutaj nie jest moją społecznością.

– Teraz jest. A młodzież jest wszędzie taka sama. Czy nie chciałbyś być wzorem do

naśladowania? Dawać dobry przykład?

Wyszedł z domu przejść się po osiedlu. Dopiero kończył się listopad, ale tutaj już zaczęto wystawiać świąteczne dekoracje przywiezione z różnych stron Stanów. Wielkie ozdoby, które wyglądałyby stosownie na drzwiach domów w Maine czy New Hampshire, tu, w palących promieniach słońca Florydy wcale nie pasowały. Tak jakby wszyscy mieszkańcy zwariowali i w środku lata postanowili obchodzić Boże Narodzenie. Przed jednym domkiem w kolorze wyblakłej pomarańczy, na ciasnej werandce ustawiono bałwanka, ale zapomniano usunąć z trawnika plastikowego flaminga. Z kalendarza i reklam, które zaczęły pojawiać się w telewizji, Macky orientował się, że zbliżają się święta, ale poza tym dni niczym się nie wyróżniały. Wszelkie inne znamiona świąt należały do przeszłości.

W domu zawsze wiedział, kiedy zaczynała się jesień. Pachniało jesienią. Przypominały o niej zeschnięte liście grabione na podwórku. Mieli z Normą swoje zwyczaje związane z porami roku. Pod koniec września Norma wkładała wszystkie letnie ubrania do dolnych szuflad, a na wierzch wyciągała ciepłe swetry. Zimowe okrycie przenosiła z zaplecza sypialni do podręcznej szafy. Solidne obuwie zastępowało letnie sandały. Przynajmniej przez miesiąc ubrania pachniały jeszcze naftaliną. W maju rozpoczynał się rytuał odwrotny. W tym roku jednak nie zmieniali garderoby. W ich ubraniach nadal królowała kora i krótkie rękawki. Potrzebowali teraz zaledwie kilku swetrów, a i to ze względu na klimatyzację, a nie na chłodniejszą pogodę. Macky gdzieś wyczytał, że zdolność przystosowania się człowieka do zmieniających się warunków jest miarą inteligencji. Jak dotychczas nie udawało mu się wykazać zbytnej inteligencji. Przy czym nie można mu było zarzucić, że nie próbował. Na początku wykazywał nawet więcej dobrej woli niż Norma. Ale gdy opadło wstępne rozgorączkowanie pracą nad doprowadzeniem domu do porządku, gdy poznał już najbliższe sąsiedztwo i obejrzał otaczające ich widoki, jego zapał zaczął stygnąć.

Dotychczasowe życie należało do przeszłości. Minęły czasy życia w miasteczku, w którym rodzina zamieszkiwała od stu lat i gdzie wszyscy nie tylko cię znali, ale znali też całą twoją rodzinę. Tu był po prostu jeszcze jednym obcym. Następnym przechodniem. Nikim szczególnym. Tam, gdzie mieszkał przedtem, miał swoją indywidualność. Był Mackym Warrenem. Synem Olli i Glenna Warrenów. Jego ojciec posiadał własny sklep, którym kierował przez pięćdziesiąt lat, następnie on przejął sklep i też go prowadził. W ciągu niemal całego swego życia, kiedy znalazł się w środowisku, w którym go nie znano, zapytany, jak to zwykle ludzie pytają, w jakiej branży pracuje, mógł odpowiedzieć: „Och,

prowadzę u siebie niewielki sklep żelazny”. Teraz nawet nikt nie pytał go, w jakiej branży pracuje albo czym się zajmuje. Gdyby ktoś zapytał, Macky musiałby odpowiedzieć, czym się zajmował w przeszłości. Kim kiedyś był. A kim jest teraz? I czym? Jednym z wielu przesiedlonych obcych sobie ludzi, którzy usiłowali udawać, że życie we wspólnocie to tak jak mieszkanie w domu, tylko jeszcze lepsze.

Ciocia Elner poznała tylu nowych ludzi w jej wieku, że zaczynała uwielbiać Florydę, Norma jednak ciągle miała zmartwienie z Mackym. Kiedyś wróciła z zajęć na kursie układania kwiatów i powiedziała:

– Macky, rozmawiałam ze swoją przyjaciółką Ethe. Otóż ona powiada, że miała taką samą sytuację ze swoim mężem Arve’em, którą doktor rozpoznał jako problem męskiej tożsamości. Wiesz, co powinieneś zrobić? Nawiązać łączność ze swoim męskim wnętrzem.

– Wielki Boże, Norma, coś ty jej o mnie naopowiadała?

– Nic takiego. Powiedziałam tylko, że jesteś przybity i że przechodzisz ciężki okres, próbując przystosować się do życia na emeryturze. Nie ma się czego wstydzić, najwyraźniej wielu mężczyzn tak to przechodzi. W każdym razie ona odbyła rozmowę ze swoim mężem, a on zdecydował się skorzystać z porady, która mu skutecznie pomogła.

– Norma, przecież Arve to idiota. Czy ty naprawdę wierzysz w to, że obwieszenie się złotymi łańcuchami i wciśnięcie na łeb kudłatej czarnej peruki w wieku siedemdziesięciu pięciu lat to nazywa się przystosowanie? On jest niepoważny.

– No dobrze, niech ci będzie, że jest trochę głupawy, ale dobrze się z tym czuje, i o to chodzi. Bo przecież właśnie o to chodzi, żeby się dobrze czuć. Tak czy inaczej, nie zamierzam się kłócić o Arve’ego; najważniejsze, że ona dała mi dla ciebie broszurę, abyś sobie ją przejrzał.

Macky wziął broszurę, z której wyczytał, że raz w tygodniu odbywają się zebrania mężczyzn pod kierownictwem doktora Jona Avneta, aby „rozpoznać wojownika, jakiego się w sobie nosi, zagrać na werblach, pogadać, popłakać, opowiedzieć swoje historie w zacisznym miejscu”.

Macky popatrzył na Normę i nie odezwał się ani słowem.

Mrówka

Macky poszedł do Oceanicznego Parku, usiadł na betonowej ławeczce i zapatrzył się w bezkresny błękit wody. Nie było już świata, jaki znał dotychczas. Nie tylko znalazł się w obcym miejscu, ale też podczas, gdy zajęty był zarabianiem na życie, ktoś pozmieniał obowiązujące zasady. Równie dobrze mógłby zasnąć i obudzić się na księżycu.

Kiedy dorastał, wszyscy stosowali się, mniej lub bardziej gorliwie, do pewnych reguł. Istniały pewne kanony. Nie kłamało się, nie oszukiwało ani nie kradło, rodziców otaczało się szacunkiem, słowo było czymś zobowiązującym. Nie wyłudzało się rzeczy. Chłopak żenił się z dziewczyną. Płacił rachunki. Wychowywał dzieci. Nie przeklinał w obecności dziewcząt. Nie podnosił ręki na kobietę. Postępowało się według pewnych reguł i było się porządnym człowiekiem, nawet w razie niepowodzenia. Dom, otoczenie i siebie samego utrzymywało się w czystości.

Norma uważała, że można na to machnąć ręką i specjalnie się tym nie przejmować.

Chciałby, żeby to było możliwe; widać kobiety miały większą łatwość przystosowywania się do nowej sytuacji. Ale co go najbardziej martwiło, jak też jego rówieśników i jeszcze starszych panów, to, że dawne ideały, dla których warto było poświęcić życie, teraz straciły na wartości. Wszystko, w co dawniej wierzył i szanował, teraz stało się przedmiotem niewybrednych dowcipasów serwowanych w telewizji przez przemądrzałych dupków, tak zwanych komediantów, którym za te wygłupy płacono tyle, ile wystarczyłoby na utrzymanie niedużego państwa. Teraz zewsząd słyszał narzekania, jacy to ludzie są źli, jacy skorumpowani, a najgorsi ze wszystkich to biali. On sam nie uważał się za złego człowieka. Jednak już sam fakt, że był białym mężczyzną w starszym wieku, sprawiał, że wielu nie znanych mu ludzi go nienawidziło. Nigdy świadomie nie wyrządził żadnemu człowiekowi krzywdy ani nie był też dla nikogo przykry. Teraz okazywało się, że jest ciemżycielem, odpowiedzialnym za całe zło, jakie kiedykolwiek wydarzyło się na świecie. Zawsze był przeciwny wojnie, rasizmowi, niewolnictwu, nierówności płci, o co go teraz oskarżano, gdy tymczasem starał się przeżyć życie skromnie i uczciwie. Z minuty na minutę historię pisano i odczytywano na nowo. Bohaterowie jego młodości teraz jawili się jako nicponie, a ich życie osądzone było z perspektywy kapryśnie zmieniających się kanonów politycznej poprawności. Cholera, doszło nawet do tego, że wycofywano z bibliotek Przygody Hucka. Trudno już było się połapać w tym wszystkim.

Coraz rzadziej też widywało się ludzi. Królowała samoobsługa, personel krył się za szklanymi okienkami. W słuchawce telefonicznej zamiast żywego człowieka słyszało się

nagrany tekst, należało z kolei nagrać swoją wiadomość, po czym telefon się wyłączał. Każdy był wściekły na każdego i wszyscy na siebie wrzeszczeli. Macky nie wiedział, co było gorsze, skrajna prawica czy skrajna lewica. Umiarkowanych pozycji nikt nie zajmował. Na ogół człowiek opowiadał się po prawicy, ale trafił się niefortunny zakręt i już nie wiadomo było, dokąd droga prowadzi. Co przyciągnęło zło – narkotyki czy telewizja? A może posiadanie zbyt wielu dóbr? Próbował doczytać się, co na ten temat sądzą eksperci, ale ci byli tak samo zdezorientowani jak on, Macky. Jedno wiedział, że kiedy minęły lata czterdzieste i pięćdziesiąte, na które przypadało jego dzieciństwo i młodość, świat się przekreślił jak naleśnik do góry dnem i odtąd już wszystko było na opak. Kiedy był chłopakiem, każdy chciał być Tarzanem, teraz każdy chciał być autochtonem. Wpinali sobie kółka do nosów; nawet ładne młodzieńcze dziewczuszki farbowały włosy na zielono i nabijały ciało ćwiekami w najdziwniejszych miejscach.

Nikt już nie udzielał jasnych i prostych odpowiedzi: tak lub nie. Odpowiedzi formułowano z pewnego rodzaju retoryką. Wbrew własnym chęciom dowiedział się, co to znaczy być całkowicie obcym. O rzeczach, o których dawniej wstydzono się mówić, obecnie otwarcie pisano, bo świetnie się to sprzedawało i wiodło wprost na ekrany telewizyjne.

Morderców proszono o autografy i robiono z nich gwiazdy. Piłkarze, koszykarze i baseballiści mogli tłuc swoje żony, brać narkotyki, trafiać za kratki, ale nadal pozostawali graczami w drużynie i zarabiali miliony. Już nie miało znaczenia, jakim się jest człowiekiem. Pamiętał, że zawodowy atleta to był wzorzec, któremu starano się dorównać, teraz kolumny sportowe bardziej przypominały kroniki policyjne.

Nie wymyśliłby, choćby myślał i tysiąc lat, że zobaczy kiedyś u graczy w baseball kolczyki w uszach. Albo że będzie oglądał w telewizji dziewczynę śpiewającą w samym biustonoszu. Życie stało się tak odmiennie od dawnego, łącznie z tym, że teraz można było mieć dwie mamy albo dwóch tatusiów.

Nie wiedział już, co myśleć. Według niego życie stawało się coraz gorsze, a nie coraz lepsze. Siedział tak już przeszło godzinę, wpatrzony w wodę, i dumał, jak to się skończy i kiedy.

Pochylił się, wsparł łokcie na kolanach i przeniósł wzrok na ziemię, jakby tam spodziewał się znaleźć odpowiedź. Po chwili zauważył mrówkę dźwigającą z mozołem wielki kawał prażynki kartoflanej. Okruch był znacznie od niej większy i o wiele za duży, by mogła go sama zjeść, niemniej jednak dokądś go taszczyła, pełna samozaparć. Przyglądał się

mrówczej wędrówce, obserwował, jak natrafia na drugą betonową ławkę, cofa się, by ją okrążyć i iść dalej, omijając kamyki i inne przeszkody, zdecydowana donieść do domu swój skarb. Zdawała się nawet nie zauważać, że ładunek ten był ponad jej siły.

Macky siedział i obserwował mozolną wędrówkę mrówki, dopóki nie znikła mu ostatecznie z oczu. Wtedy uśmiechnął się, po raz pierwszy od dłuższego czasu. „Kto wie, pomyślał, jeśli ta mała lafirynda nie ustanie w swym marszu, może dojdzie do celu”.

Jak się masz, kolego

Następnego dnia Norma wkroczyła do mieszkania i od progu zakomunikowała:

– Powzięłam decyzję. Skoro nie chcesz nigdzie się zapisać, to ja wzięłam byka za rogi. Chodź ze mną do samochodu i pomóż mi to wyładować.

W samochodzie zobaczył pudło, opakowane w coś, co wyglądało jak czarnobiała krowia skóra. Norma kupiła mu komputer.

– Norma, ja nie potrafię się tym posługiwać.

– Ja też nie, ale się nauczymy. Zapisałam nas na kurs w Komputerlandzie. To nie powinno być takie trudne, powiadają, że nawet pierwszoklasiści dają sobie z tym radę. Poza tym Linda mówi, że jeśli kupimy sobie komputer, to będziemy mogli emailować do siebie.

– Norma, pomogę ci to zainstalować, ale nie będę chodził na żadne kursy do jakiegoś Komputerlandu. A ty rób, jak chcesz.

Pięć miesięcy później, po wielu zaklęciach i zarzekaniach, w końcu Macky zgodził się, by Norma mu pokazała, jak łączyć się z Internetem.

Któregoś dnia, kiedy Normy nie było w domu, po kilku próbach Macky’emu udało się wejść na czat.

„Ej, wy tam, starszaki, czy któryś z was pamięta Hardy Boys*?” Po dwóch minutach odezwał się Marvin z Beaver Falls w Pensylwanii.

„Jak się masz, kolego, potwierdzam, właśnie natknąłem się na trzy stare egzemplarze – The Tower Treasure, The Missing Hums, The Clue

* Hardy Boys – książkowy cykl przygód braci Hardy’ch, zazwyczaj uwikłanych w kryminalne perypetie, które starają się rozwiązać. Pierwszy tom z cyklu został napisany w Ameryce w 1927 roku, potem opowieści te doczekały się wersji filmowej i telewizyjnej.

of the Broken Blade. Mam dwa egzemplarze Missing Chums, chętnie ci jeden podeślę”. Wkrótce Norma nie mogła odciągnąć Macky’ego od komputera. Skakał po całej mapie. Mógł nawet zlokalizować ekspertów łowienia na muchę. Pozostawało dla niej zagadką, co można powiedzieć o muchówce, ale Macky całymi godzinami zawzięcie dyskutował na ten temat z kimś z Wyoming. I wyglądało na to, że obaj wiedzieli, co mówią. Któregoś dnia Macky, który ewidentnie połknął komputerowego bakcyła, oświadczył Normie:

– To tak jak krótkofalarstwo, tylko jeszcze lepsze.

Norma, jak to miała w zwyczaju, odpowiedziała:

– A nie mówiłam?

Dla Macky’ego życie stało się ciekawsze. Jego mała wnuczka, Apple, zaczęła przyjeżdżać do nich w odwiedziny, więc mógł teraz odsłaniać przed nią tajniki baseballu. Którejś słonecznej niedzieli wybrali się we dwójkę na mecz Dodgersów w Dodgertown i świetnie się razem bawili. Dziewczynka wtedy tego nie przeczuwała, ale po latach przypomni sobie ten dzień, ciepło promieni słonecznych, zapach trawy... hot dogi i fistaszki, które dziadek jej kupował, uścisk jego dłoni, kiedy wracając do domu, trzymał ją za rączkę – i uśmiechnie się na to wspomnienie.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy

Weźmy na przykład historię Betty Raye. Na początku jej życie było ubogie, a ona sama nie miała swego miejsca na ziemi, Opatrzność jednak przywraca czasem właściwy porządek. Obu jej synom powiodło się w interesach, zrobili wielką karierę na rynku nieruchomości. Jej wuj, Le Roy Oatman, zawsze targany wyrzutami sumienia, że porzucił gospel dla muzyki country, z nawiązką spłacił swe długi. W 1989 roku, podczas pijackiej trzydniówki, jaka mu się zdarzyła, kiedy przebywał w teksaskim Del Rio, napisał piosenkę o tym, jak to sława i pieniądze niewiele znaczą, gdyż jak to ujął w tytule, Nigdy nie rozstałem się ze swoją mamą. Piosenkę nagrał Clint Black, ówczesna gwiazda country and western, i w ciągu jednej nocy stała się ona przebojem, przy którym przez całe lata dorośli faceci ronili łzy nad kuflami piwa. Kiedy Le Roy zmarł, zapisał Betty Raye, jedynej osobie z całej rodziny, która niezmiennie była dla niego miłą, milion dolarów w tantiemach, jakie napływały bez przerwy.

Pieniądze napływały także z polisy ubezpieczeniowej Hamma, zainwestowane za radą Vity w różne akcje. Jedna została wyemitowana przez firmę farmaceutyczną, która, tak się złożyło, zaczęła produkować pigułki antykoncepcyjne. Kiedy w latach siedemdziesiątych wybuchła rewolucja seksualna, Betty Raye na samych tylko tych akcjach zarobiła pięć milionów. Mimo osiągniętego bogactwa nadal mieszkała w swoim domku z czerwonej cegły. Le Roy nie był jednak jedynym przedstawicielem rodziny, któremu powiodło się w muzycznym świecie.

Po dłuższym okresie posuchy, kiedy to gospel Południa został przyćmiony przez modny podówczas trend muzyczny zwany „współczesną muzyką chrześcijańską”, w 1992 roku rodzina Oatmanów została włączona do Gabinetu Sław Muzyki Gospel, a to dzięki telewizyjnym programom Billa i Glorii Gaither – Muzyka Gospel, które odświeżyły i spotęgowały ich sławę na niespotykaną dotąd miarę. Minnie cierpiała na cukrzycę, podagrę, rozedmę płuc, miała wymienione rzepki w kolanach i właśnie przechodziła swój piąty zawał, ale jak widać, nic nie było w stanie jej dobić. Kobieta, która wprost nie może się doczekać, by pójść do nieba, musi poczekać trochę dłużej na ten przywilej. Na razie przygotowuje cztery przedstawienia tygodniowo.

Jeśli zaś chodzi o Beatrice Woods, to przysłowie, że „miłość jest ślepa”, w jej przypadku potwierdziło się, i to dosłownie. Floyd Oatman nie należał do najprzystojniejszych mężczyzn, ale w głębi serca był romantyczny jak każdy inny, miał tylko pewien problem – był bardzo nieśmiały, zwłaszcza wobec kobiet, w przeciwieństwie do Chestera, który był ich ulubieńcem i nie objawiał żadnych oporów. Ponieważ biednemu Floydowi nieśmiałość nie pozwalała odezwać się do kobiety, więc wyręczał go w tym Chester, kukła cytująca Biblię. Ten oglądał się za każdą ładniejszą kobietką, pogwizdywał z uznaniem i flirtował na potęgę. Jednak ostatecznie w roku 1969, przy pewnej pomocy ze strony Beatrice, ale bez pośrednictwa Chestera, Floyd przemówił własnym głosem i we własnym imieniu poprosił Beatrice, by go poślubiła.

Oczywiście Beatrice nie miała pojęcia, że nie jest to najprzystojniejszy mieszkaniec Ameryki. Powiedział jej, że wygląda jak Clark Gable, ona jednak, będąc niewidomą od urodzenia, nie wiedziała też, jak wyglądał Clark Gable. Później wspomagany słowami zachęty Beatrice, Floyd ważył się na akt niesłychanej odwagi, zrzucając Chestera z mostu do nurtów Pea, niedaleko Elby w Alabamie. W końcu uwolnił się od Chestera i mógł zacząć życie na własny rachunek.

Jednakże, o czym Floyd już nie wiedział, Chester miał jeszcze swój ostatni solowy występ. Podczas wielkiej powodzi, kiedy wylała Pea, Chester niesiony z prądem przepłynął na wznak przez całe miasto, wzbudzając powszechne przerażenie i grozę. Trzech strażaków z narażeniem życia rzuciło się do wody, by wyłowić ciało domniemanego chłopca. Jakież było ich zdumienie, gdy okazało się, kogo właściwie wyłowili, wystawiając się przy tym na pośmiewisko ze strony pozostałych strażaków. Resztę swoich dni Chester spędził, wisząc na ścianie remizy strażackiej, zanim doszczętnie spłonęła. Będąc w końcu tylko drewnianym chłopcem, biedny Chester, kukielka, dosłownie obrócił się w proch.

Beatrice i Floyd dochowali się syna. Nie dali mu na imię Chester.

Do Szerokiej Publiczności:

To znowu ja, Tot, troszkę spóźniona. Wierzcie lub nie, ale wyszłam powtórnie za męża. Wiem, że się zdziwicie; ja sama byłam zdziwiona. On jest emerytem, pracował w drobiarstwie, ma niezłe dochody i jest wdowcem, to znaczy nie ma żadnej żony, aktualnej czy byłej, dzieci, psa ani kota. Hurra! Posiada (spłaconą do końca) beżowobrazową przyczepę campingową typu Winnebago, no i nie pije. Przejeżdżał tędy i wstąpił na nasz cmentarz, by odwiedzić grób przyjaciół, Dorothy i Doca Smithów. Ja akurat byłam też na cmentarzu i odchwaszczałam grób Mamy, więc zapytałam go: kogo pan szuka? I tak się potoczyło. Sprzedałam swój dom, a zakład fryzjerski przekazałam Darlene, ze wszystkim, cały, od podłogi do powały. Dwayne junior znów siedzi w pudle za sprzedaż prochów. Niech pozostanie na państwowym wikcie. Nigdy nie mogłam dojść z nim do ładu. A moja wnuczka, Tammie Louise, dokładnie tak jak przewidywałam, wkrótce będzie miała dzidziusia, co walenie się przyczyniło do tego, że postanowiłam dać stąd nogę. Nie mam zamiaru łożyć znów na wychowanie następnych dzieci. Kiedy to piszę, minęliśmy teraz z Charliem Nashville i jedziemy w kierunku Minnesoty, gdzie jest Amerykański Mali i gdzie zamierzam kupować do upadłego. Następnie pojedziemy do Vero Beach na Florydzie, żeby odwiedzić Macky'ego z Normą i ciocię Elner; niewykluczone, że zostaniemy tam na dobre. Przeniosły się tam już siostry Goodnight, a także Verbena z Merle'em, często ich tam odwiedzają Bobby Smith ze swoją żoną Lois, a także Anna Lee z mężem, więc wygląda na to, że tam może być tak samo jak w domu, tylko jeszcze lepiej. No i nie spotkam tam żadnych Whoottenów. Zdrowie na szczęście mi dopisuje, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, przez co musiałam przejść.

Ponadto, jak to się obecnie mówi, postęp medycyny sprawił, że dawna sześćdziesiątka to obecnie czterdziestka, co czyni, że znów mam pięćdziesiąt jeden lat!

Z najlepszymi życzeniami Tot Whooten Fowler

PS. Po raz pierwszy w życiu czuję się szczęśliwa.

Epilog

Ze względu na to, że Robert Smith przemierzył świat wzdłuż i wszerz z odczytami na temat Dzikiego Zachodu, został poproszony przez redakcję ulubionego miesięcznika cioci Elner, „Reader’s Digest”, o napisanie na ten temat książki. Tłukł się po domu, rozpamiętując, iluż to poznał królów i królowych, wodzów afrykańskich, premierów i prezydentów różnych krajów; zdumiewające, jak bardzo jeszcze fascynowali ludzi kowboje i Indianie. Spotkał tyle ciekawych osób, że wprost niemożliwością było wybrać jednego bohatera. W końcu pewnego dnia zdecydował się. Usiadł i zaczął pisać:

Dr Robert Smith Najciekawsza postać, jaką znałem

Na imię miała Dorothy i tak się złożyło, że była moją matką. Chyba najlepszym momentem rozpoczęcia tej opowieści będzie rok 1946 w moim rodzinnym mieście Elmwood Springs w Missouri, o którym zapewne nawet nie słyszeliście...

Podziękowania

Autorka pragnie podziękować następującym osobom za nieocenioną pomoc przy powstawaniu niniejszej książki. Są to: Sam Vaughan z rodziną, Wendy Weil, Bruce Hunter, Dennis Ambrose, Judy Sternlight, Carol Schneider, Todd Doughty, Sherry Huber, Lauren Krenzel, Trebbe Johnson, Bonnie Thompson, Susie Glickman, Joy Terry, Lois Scott, Cathy Calvert oraz Sue Grafton, którzy nie szczędzili mi dobrych rad. Szczególne podziękowania składam ponadto rodzinie Warrenów z Birmingham w Alabamie oraz Jonni Hartman Rogers, mojej rzeczniczce prasowej i przyjaciółce od tylu lat, do ilu nie bardzo nawet chcemy się przyznać.

Buck Rogers – bohater popularnych komiksów. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Charlie McCarthy, Edgar Bergen, Amos’n’Andy – czarni bohaterowie audycji radiowych i telewizyjnych, grani przez białych aktorów.

Fibber McGee i Molly – rozrywkowy program radiowy z lat czterdziestych.

Mickey Spillane – amerykański pisarz, autor popularnych powieści kryminalnych.

VFW – Veterans of Foreign Wars, kombatanci zagranicznych wojen.

Dwa ostatnie zawołania pochodzą z popularnego w latach pięćdziesiątych przygodowego serialu telewizyjnego, którego bohaterem jest Lone Ranger.

The Elks – organizacja skupiająca mężczyzn z małych miasteczek, zajmująca się głównie działalnością charytatywną.

Fowler – ptasznik, myśliwy polujący na ptactwo.

Specjalnie dla Danusi przygotował i wykonał Janusz M.